



**ADAM  
LeBOR**

**protokół  
budapesztański**

ADAM  
LeBOR

Protokół  
Budapesztański

Z języka angielskiego przełożyła Maria Kabat

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

*Dla moich kolegów z „Budapest Week”  
Azok Voltak a szep napok, baratami.*

## PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chciałbym podziękować Rosie Whitehouse i Laurze Kesling z Reportage Press za to, że we mnie uwierzyły. Ich przenikliwe uwagi i inspirujące sugestie pomogły przeistoczyć mój brudnopis w prawdziwą powieść. Zacząłem pracować nad historią, która stała się później Protokołem budapesztańskim, ponad dziesięć lat temu, w Paryżu. Adrian Brown i Patrick Bishop trwali wiernie przy moim boku - mobilizowali, pocieszali, a kiedy trzeba, gotowi byli spędzić wieczór przy karafce czerwonego wina i porcji królewskiego kuskusu w Chez Omar. Specjalne paryskie podziękowania ślę również Chantal Agueh i Alex Chester. Jestem ogromnie wdzięczny niezliczonej rzeszy przyjaciół i znajomych, którzy pomagali mi w pracy nad książką. Są wśród nich: Rick Bruner, Mark Burnell, Chris Condon, Dora Czuk, Charles Cumming, Simon Evans, Bob Green, Peter Green, Gerald Jacobs, Anthony Julius, Rudy Kennedy, Bea Klukan, Tony Lang, Justin Leighton, Nir Livay, Sam Loewenberg, dr Jancis Long, Mark Milstein, John Nadler, Laszlo Ney, Boris Starling, Erwin Tuil oraz Diana Tyler.

Dziękuję Danny’emu O’Brienowi z Electronic Frontier Foundation, Janet Haven z Open Society Institute oraz Solanie Larsen z Global Voices Online. Każde z nich udzieliło mi ważnych porad technicznych na temat bezpiecznej komunikacji w Internecie. Fiammetta Rococo i Helena Douglas z „The Economist” systematycznie dostarczały mi thrillery do recenzji, co okazało się bardzo przydatne, kiedy przyszło mi szlifować moją własną książkę. Nick Thorpe chętnie dzielił się ze mną anegdotami o jego potyczkach z władzami komunistycznych Węgier. David Chance, Katalin Korompay, Desmond McGrath, Bill Swainson, Olen Steinhauer - oni wszyscy czytali pierwsze wersje tej książki i wsparli mnie ważnymi sugestiami, podobnie jak moja agentka, Laura Longrigg. Wielkie podziękowania dla wszystkich współpracowników w dziale zagranicznym „The Times”, którzy wysyłali mnie do krajów byłej Jugosławii i Europy Wschodniej. Szczególnie wdzięczny jestem doktorowi Istvanowi Fenyowi i Kriszcie Fenyo za pewien niezapomniany spacer, na który mnie kiedyś zabrali. Dzięki nim zwiedziłem żydowską dzielnicę Budapesztu, gdzie w czasie wojny rozegrały się dramatyczne wydarzenia. Zainspirowało mnie to do napisania tej książki. Alan Furt i Roger Boyes przez lata wspierali mnie i zachęcali do pracy.

Najbardziej jednak chciałbym podziękować mojej rodzinie.

*Jestem przekonany, że za pięćdziesiąt lat nikt nie będzie już myślał  
w kategoriach państw.*

Joseph Goebbels, sierpień 1940 r.

## **Prolog**

*Budapeszt, listopad 1944*

Tylko nieliczni mogli liczyć na pochówek. Miklos Farkas przekroczył zamrożone ciało kobiety i otworzył walizkę, na której wciąż zaciśnięta była jej dłoń. Walizka okazała się pusta. Miklos, opatulony w swój cienki płaszcz, ruszył szybkim krokiem Bulwarem Karola. Instynkt samozachowawczy już dawno zabił w nim wszelkie poczucie wstydu, które mógłby odczuwać, przeszukując zwłoki. Chodnik był pokryty grubą warstwą lodu, śnieg mocno sypał. Lodowaty wiatr smagał Miklosowi twarz. Czuł w ustach smak pyłu unoszącego się nad zrujnowanymi kamienicami. W powietrzu rozchodził się zapach dymu i kordytu. Na środku drogi leżał martwy koń. Brama getta przy ulicy Dohany była jakieś dziewięćdziesiąt metrów za nim. Od miejsca docelowego, kwatery głównej SS, mieszczącej się obecnie w hotelu Savoy, dzieliło go siedem minut marszu.

Z mroku wyłonili się dwaj żołnierze i na widok Miklosa uśmiechnęli się chciwie. Jeden z nich, wysoki i szczupły, ze spiczastym nosem i długimi wąsami, do płaszcza miał przypiętą srebrną mezuzę, pojemnik z małym pergaminowym zwojem wieszany przez Żydów na drzwiach domów. Drugi mężczyzna, niski i rumiany, przestępował nerwowo z nogi na nogę. Obaj ubrani byli w wojskowe płaszcze i czapki, a na ich opaskach na rękach widniał strzałokrzyż. Buty owinęli warstwami pergaminu pokrytym hebrajskimi literami spływający z niego atrament wsiąkał w śnieg.

Wysoki żołnierz z całej siły uderzył Miklosa w brzuch kolbą karabinu. Ten stracił na chwilę dech, zachwiał się na oblodzonej ziemi i zgiął wpół. Zaraz jednak się wyprostował i podniósł prawą rękę. Serce waliło mu jak oszałałe.

- Odwagi, bracia - powitał ich pozdrowieniem strzało-krzyżowców. - Nie zauważyłem was wcześniej - powiedział, podając im dokumenty z nadzieją, że nie zauważą, jak trzęsą mu się ręce.

Niższy zaczął krążyć wokół Miklosa. Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, szturchając go co rusz trzymanym w ręku pistoletem.

- Bracia? Nie sądzę. Wyglądasz mi raczej na Żyda. - Wypowiadał te słowa głosem podekscytowanego uczniaka.

- Ja? Żyd? Jeśli ktoś tu wygląda na Żyda, to prędzej ty. Zastrzel mnie, jeśli chcesz - oznajmił z pogardą Miklos, po czym splunął na ziemię. - Ale będziesz się z tego tłumaczył przed SS.

- Przed SS? To się jeszcze okaże. - Wysoki żołnierz uśmiechnął się szyderczo. - Tu są Węgry, a nie Niemcy.

To mówiąc, przycisnęła lufę karabinu do gardła Miklosa, dokładnie między szyją a podbródkiem, zmuszając go w ten sposób do odchylenia głowy w tył. Miklos jęknął z bólu.

- Głowa do góry, właśnie tak, do góry. Według papierów jesteś Miklos Kovacs, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, brązowe włosy, niebieskie oczy - wyliczał, przyglądając się uważnie Miklosowi. Zajrzał do dokumentów. - Masz pozwolenie od Niemców na

przebywanie poza gettem po godzinie policyjnej ze względu na pracę, jaką wykonujesz w hotelu Savoy. Pięknie. Ale to nie wystarczy, Miklosie Kuhn - powiedział, dociskając mocniej lufę karabinu.

- Nazywam się Miklos Kovacs. Jest to wyraźnie napisane w dokumentach - odparł Miklos, próbując przełknąć ślinę.

- Kuhn, Cohen, jak zwał tak zwał. Zobaczmy, kim jesteś naprawdę. Odmawiaj swoje pacierze - zażądał mężczyzna, odsuwając lufę karabinu.

Dla Niemców zabijanie Żydów było zwykłą robotą, ale dla strzałokrzyżowców, ich węgierskich sprzymierzeńców, przyjemnością. Szczególnie teraz, kiedy zbliżali się Rosjanie.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie. - Miklos zakasłał, ale już po chwili kontynuował. — Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy...

- Kończ już - warknął żołnierz. Znad rzeki dobiegł odgłos eksplozji, od której zatrzęsły się szyby w okolicznych budynkach. - Pospiesz się.

Miklos płynnie recytował dalej:

- Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen. - Na koniec przeżegnał się starannie.

Wyższy żołnierz opuścił karabin. Przyglądał się teraz Miklosowi, podkręcając wąsa.

- Nieźle, całkiem nieźle. Ale co to za sztuka nauczyć się modlitwy. Spodnie w dół.

- Ano właśnie, tego nie ma jak się nauczyć - powiedział piskliwie drugi mężczyzna.

- Oszaleliście? Zamarznie mi i odpadnie! - zaprotestował Miklos.

Wysoki zamachnął się i mocno uderzył go w klatkę piersiową kolbą karabinu.

- Ze mną się nie dyskutuje - wycedził powoli.

Miklos się zachwiał. Siła ciosu pchnęła go na ścianę. Pośliznął się na lodzie i upadł, uderzając policzkiem o chodnik. Chwycili go pod ręce i szarpnęli nim tak, żeby uklęknął. Niski wykręcił mu rękę za plecami i śmiejąc się, przycisnął pistolet do jego karku.

- Czyja teraz kolej? - zapytał.

- Nie pamiętam - odpowiedział jego towarzysz - Chyba ja załatwiałem ostatniego. Czy ty?

Miklos trząsnął się, czuł, że po plecach spływa mu lodowata strużka potu. Próbował przywołać w pamięci obraz swojej żony Ruth, ale przed oczami miał tylko szary, oblodzony chodnik. Ogarnęła go wściekłość. „Nie teraz. Nie w taki sposób”. Próbował się wyrwać, ale niski jeszcze mocniej szarpnął jego wykręconą na plecach rękę. Poczował, jak przeszywa go ostry ból. Wyższy żołnierz wymierzył do niego z broni. Miklos znieruchomiał, zamknął oczy i przygryzł wargę; szybko wciągał i wypuszczał powietrze z płuc.

- Zrób sobie przysługę, Kuhn, i nie ruszaj się, a wszyscy będziemy mieć to z głowy szybko i bezboleśnie. Inaczej będzie niezły bałagan.

W tym momencie podjechał do nich czarny lśniący grosser mercedes z nazistowskimi proporczykami przy przednich reflektorach. Zatrzymał się gwałtownie, ślizgając się nieco na oblodzonej drodze. Drzwi auta gwałtownie się otworzyły. Wysiadł z niego oficer SS w pełnym umundurowaniu. Jego adiutant opuścił pojazd z drugiej strony - w rękach trzymał pistolet maszynowy gotowy do strzału. Obydwaj stanęli naprzeciwko Węgrów.

- Halt! Opuścić broń! - rozkazał oficer.

Węgrzy wykonali polecenie i odsunęli się. Miklos wstał powoli, z rękami w górze. Niemcy podeszli do niego szybkim krokiem. Wysoki żołnierz uśmiechnął się nerwowo, wskazując na Miklosa:

- Jest do waszej dyspozycji. Żyd.

Oficer SS wyciągnął z kabury swojego lugera i wycelował w strzałokrzyżowców. Dźwięk wystrzału odbił się głośnym echem, a kula wydrążyła dużą dziurę w ścianie tuż za nimi. Mężczyźni odskoczyli nerwowo, wystraszeni i zszokowani. Oficer SS wystrzelił jeszcze

dwa razy - tuż przy nogach każdego z nich. Niski zaczął się trząść z przerażenia. Obok jego nogi zaczęła się formować niewielka, żółta kałuża.

Miklos opuścił ręce i wytarł zakrwawione usta, patrząc wyczekująco na Niemca. Był to wysoki błądy mężczyzna o bardzo jasnych, niemal białych włosach, ostrych rysach, niebieskich oczach i inteligentnym spojrzeniu. Lewy rękaw jego płaszcza był pusty. Friedrich Vautker, najmłodszy pułkownik Waffen SS - jego promocja została przyspieszona w związku z wojną - kiwnął głową Miklosowi, a ten uczynił to samo. Jego serce wciąż biło jak oszalałe.

- Ten człowiek pracuje dla nas, czy to jasne, węgierskie dupki? - wrzasnął Vautker. - Śmierdzi od was gorzałą. Nic dziwnego, że Rosjanie są już niedaleko.

Vautker schował broń. Zerwał srebrną mezuzę z płaszcza jednego z Węgrów. Nadjechała wojskowa ciężarówka wioząca niemieckich żołnierzy na front. Kierowca zwolnił i oceniając sytuację jednym krótkim spojrzeniem, zatrzymał się.

- Jakiś problem? - zapytał. Silnik warczał nierówno na rozwodnionej benzynie.

Kilku niemieckich żołnierzy odwróciło się z ciekawością w ich stronę.

- Nie, w porządku - odparł Vautker. - A wy dokąd jedziecie?

- Do sektora wschodniego. Dostajemy łomot od czerwonych. Dowództwo stwierdziło, że za mało tam naszych.

Vautker kiwnął ręką w stronę strzałokrzyżowców.

- Weźcie ich ze sobą. Na pierwszą linię frontu.

Węgrzy próbowali protestować, jednak sześciu krzepkich żołnierzy zeskoczyło z ciężarówki i wepchnęło ich na pakę. Kiedy odjeżdżali, strzałokrzyżowcy zawodzili jak małe dzieci.

Esesman przez chwilę ważył w dłoni srebrną mezuzę, po czym podał ją Miklosowi.

- Weźcie to ze sobą, Herr Kovacs. To chyba jest coś warte. A teraz wsiadajcie do samochodu.

Ręka Miklosa ugiwała się pod ciężarem srebrnej tacy, wypełnionej kieliszkami szampana. Pękała mu głowa, serce waliło jak oszalałe, kolana pulsowały z bólu, jednak starał się koncentrować tylko na swojej pracy. Kolację serwowano w piwnicy hotelu Savoy. Na ścianach wisiały ciężkie, czarne zasłony. Wszędzie paliły się świece, a ich wosk kapał na obrusy. Pianista grał fragmenty Wesołej wdówki Ferencza Lehara, ulubionej operetki Hitlera. W chłodnej sali przebywało około dwudziestu osób. Niektórzy mieli na sobie czarne mundury SS, inni szare, wojskowe, wielu było też ubranych po cywilnemu. Kobiety drżały z zimna w cienkich koktajlowych sukienkach. Nieco z boku, z dala od towarzystwa, stało dwóch mężczyzn w garniturach. Nie pili szampana. Ich akcent wskazywał, że pochodzili z Zurychu.

Miklos przystanął obok słynnej budapesztańskiej aktorki, rudowłosej, w błękitnej jedwabnej sukni. Rzuciła Miklosowi zdziwione spojrzenie, dwoma łykami opróżniła kieliszek szampana i natychmiast wzięła następny, nerwowo rozglądając się wokół.

Kierownik sali skinął na Miklosa. Inni kelnerzy zaczęli wносить potrawy. Aladar Nagy, kamerdyner rodziny Farkasów, zajmujący się ich miejską rezydencją, piętnastopokojową willą w alei Andrássyego, był niskim, grubawym mężczyzną o okrągłej twarzy i brązowych oczach.

- Powinna cię pamiętać. Nieraz obsługiwałem ją przy kolacji w twoim domu - wymamrotał.

- Tak. Kiedy jeszcze mieliśmy dom. - Miklos uśmiechnął się ponuro.

Willa rodziny Farkasów została zarekwirowana przez Niemców w marcu, dzień po rozpoczęciu inwazji. Nagyego zwolniono, szybko jednak znalazł nową posadę w hotelu Savoy. Tam załatwił Miklosowi pracę kelnera. Dzięki temu Miklos miał dostęp do dobra, które w zimie w Budapeszcie miało największą wartość - jedzenia.

- Co z twoim ojcem? - spytał Aladar.

Baron Lajos Fakras, przyjaciel - jak mu się niegdyś zdawało - admirała Horthyego, został aresztowany po tym, jak przejęto jego dom i od tamtej pory słuch po nim zaginął. Rodzina otrzymała wprawdzie kilka tygodni później pocztówkę z Austrii, z miejsca zwanego Mauthausen, jednak nie była ona napisana jego ręką.

- Żadnych wieści. - Pokręcił głową Miklos.

- A Ruth?

Miklos uśmiechnął się.

- Żyje, chociaż czasem zastanawiam się, jakim cudem. Za każdym razem, kiedy przynoszę jej coś do jedzenia, ona zaraz to rozdaje innym. A jak u twoich?

- Wysłali mi syna na front - powiedział Aladar łamiącym się głosem. - Szesnastoletni chłopak. Dali mu karabin z pierwszej wojny światowej. A on przecież w życiu nie strzelał. Jego matka ciągle płacze.

Miklos pokręcił głową i położył dłoń na ramieniu Aladara. Po chwili znowu zaczął krążyć pomiędzy gośćmi. Powietrze było gęste od papierosowego dymu, zapachu perfum i oparów alkoholu. Pokój wypełniał głośny, lekko histeryczny śmiech. Miklos przyglądał się kobietom i mężczyznom obżerającym się przy stole. Poczł, że ślina napływa mu do ust. Podano gęsie wątróbki, chrupiące smaźone ziemniaki, pieczone kaczki z warzywami, grube befsztyki w kremowym sosie z zielonym pieprzem. Pomiędzy naczyniami z jedzeniem stały butelki znakomitego wina. A w miejscu oddalonym stąd o zaledwie minutę marszu znajdowali się ludzie będący o krok od śmierci głodowej.

Vautker przywołał go skinieniem ręki, po nie duży kieliszek czerwonego wina.

- Cóż, niebawem będą tu pewnie Rosjanie. Szepnij o mnie dobre słówko? Opowiesz im, jak cię uratowałem przed strzałokrzyżowcami? Może mi się to przydać.

- Oczywiście, proszę pana. Pomogę, jak tylko będę mógł - przytaknął, zachowując kamienny wyraz twarzy.

Vautker zwrócił się do rudowłosej aktorki siedzącej obok niego, a ona uśmiechnęła się zachęcająco, kiedy położył rękę na oparciu jej krzesła.

Miklos wycofał się do hotelowej kuchni. W pomieszczeniu było gorąco, duszno, śmierdziało tłuszczem i gotowanymi potrawami. Ściany zaczęły falować - Miklos czuł, że jeszcze chwila, a zemdleje. Nalał sobie szklankę wody i usiadł, czekając, aż goście skończą posiłek i zaczną, jak zwykł mawiać pułkownik Vautker, „prowadzić wieczorne interesy”. Drzwi sali zostały zamknięte po tym, jak wyszli z niej kelnerzy, niosąc na tacach resztki z kolacji. Miklos sięgnął po kaczę nóżkę, niemal nietkniętą. Jednak chudy, zgarbiony człowieczek sprzątnął mu ją sprzed nosa i z tryumfującym wyrazem twarzy wsadził do kieszeni.

Coś w nim pękło. Miklos poderwał się gwałtownie, zaciskając prawą pięść. Chudy chwycił kuchenny nóż. Aladar stanął pomiędzy nimi. Położył dłoń na piersi Miklosa, a drugą rękę wyciągnął w stronę chudego mężczyzny - ten posłusznie oddał mu nóż.

- Wystarczą nam te walki, które rozgrywają się na zewnątrz - powiedział Aladar. - Tu nie będziecie się bić, jeśli chcecie przyjść na kolejną zmianę. A teraz podajcie sobie dłonie na zgodę.

Zrobili tak, jak im kazał. Aladar wziął Miklosa pod ramię i odszedł z nim na bok.

- Nie martw się. Starczy i dla ciebie. Chodź.

Aladar podziękował reszcie obsługi i polecił im rozejść się do domów. Każdemu dał pakunek z resztkami. Miklos zrobił trochę miejsca na stole i usiadł do posiłku, składającego się z kurczaka i ziemniaków. Przeżuwał każdy kęs powoli i dokładnie. Jego żołądek, przywykły do jedzenia w getcie, z trudem trawił takie rarytasy. Aladar nalał sobie i jemu po kieliszku czerwonego wina.

- Jak myślisz, ile jeszcze czasu im zostało? - zapytał.

- Niewiele, dzięki Bogu. Rosjanie otoczyli miasto. Nie brakuje im amunicji, jak słyhać. Odcinają kolejne drogi zaopatrzenia Niemcom. Słyszałem, że niektórzy generałowie rozważali kapitulację, ale Hitler im na to nie pozwala. Strzałokrzyżowcy uciekają na zachód. Rosjanie zajmują miasto, dom po domu, pokój za pokojem. To kwestia tygodni, może dni.

Aladar pokiwał głową.

- Nie pałam miłością do komunistów, chciałbym jednak, żeby to wszystko już się skończyło i żeby mój syn wrócił do domu. Co zrobicie, kiedy Ruscy tu dotrą?

Miklos wzruszył ramionami.

- Spróbujemy odbudować nasze życie.

- Zostaniesz tu? Po tym wszystkim?

- Oczywiście. Przecież jesteśmy Węgry - odparł Miklos, ostrożnie nabijając na widelec kawałek kurczaka i ziemniaczany talarek. - Ale co wyprawiają ci szaleńcy? Przyjęcie, w takiej chwili?

- Tak, to dziwne. Ci dwaj Szwajcarzy w garniturach przyjechali kilka dni temu. - Aladar zrobił krótką pauzę. - Dzisiaj rano mieliśmy niezłe przedstawienie. Musieliśmy wywrócić cały hotel do góry nogami.

- A to dlaczego?

- Zginęły jakieś ważne dokumenty. Garniaki dostały ataku hysterii.

- I co, odnaleziono je? - zapytał Miklos.

Aladar uśmiechnął się i dolał mu wina.

- Pij, pij. Niedługo zostanie już tylko wódka.

## Rozdział 1

### *Budapeszt, zima, czasy współczesne*

Alex Farkas poderwał się gwałtownie na łóżku, nagle obudzony ze snu. Był mokry od potu, a serce biło mu jak oszalałe. Leżał w półmroku, próbując uspokoić oddech, wsłuchując się w odgłosy z ulicy.

- Czemu mnie obudziłeś? Miałam taki ładny sen - usłyszał pełen pretensji zaspany kobiecy głos. - Krzyczałeś, coś się stało?

Alex usiadł na łóżku i potrząsnął głową, próbując odegnąć od siebie senne wizje.

- Nie, nic, w porządku - odpowiedział, w myślach tłumacząc sobie jednocześnie, że to już nie jest sen, że to się dzieje naprawdę. Jej ciepłe ciało obok jego, jej potargani blond włosy.

Zsofi Petcsardy przeciągnęła się i oparła na łokciu, aby przyjrzeć mu się dokładniej. W jej zielonych oczach było widać niepokój.

- Nie wyglądasz za dobrze. Wyglądasz tak, jakbyś właśnie zobaczył ducha - to mówiąc, odwróciła się po butelkę wody mineralnej stojącej przy łóżku i podała mu ją. Woda była ciepła i niezbyt świeża, mimo to wypił ją duszkiem. Spojrzał na zegarek.

- Dzięki. Zsofi, przepraszam, ale o ósmej wieczorem muszę być w Kulturze, a potem spotykam się z dziadkiem, więc...

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- To tak mi się odwdzięczasz za to, że się tobą opiekuję? Wyrzucasz ranie?

- Jeśli chcesz, możesz tu na mnie poczekać - zaproponował, całując ją w czubek głowy.

Zsofi odepchnęła go i rozejrzała się po jedynym pokoju jego mieszkania, ulokowanego na rogu pięciopiętrowego budynku. Ściany, niegdyś pewnie białe, teraz były szare i łuszczyła się z nich farba. Stare meble, pamiętające jeszcze lata siedemdziesiąte, przybrały brązowe i



pomarańczowe odcienie. Przepelnione kartony książek stały w każdym kącie. Zawartość niektórych wysypywała się na zniszczony parkiet, którego klepki klekotały przy każdym kroku. Okna wychodziły na ulicę Lajosa Kossutha, ruchliwą czteropasmową ulicę otaczającą całe miasto, ciągnącą się od Wielkiego Bulwaru aż do rzeki i Mostu Elżbiety. Z małego balkonu rozpościerał się widok na Dunaj i na usytuowany na placu Ferenciek hotel Savoy. Teraz jednak przesłaniały go więdzące na balkonie rośliny.

- Nie, dziękuję, nie chcę. Przynajmniej zrób mi herbatę przed wyjściem - zażądała, owijając się narzutą.

Alex wygrzebał się z łóżka i ruszył do łazienki. Wszedł do ciasnej wanny. Rączka prysznicowa była za krótka, aby mógł się wyprostować, usiadł więc i opryskał się najgorętszą jak tylko to możliwe wodą, namydlił się, a następnie opłukał już zimną, prychając i trzęsąc się. Umyty, owinał się w pasie ręcznikiem i poszedł przygotować herbatę. Wbrew pozorom, nie było to wcale łatwe zadanie. Kuchenka pamiętała pewnie dzień zburzenia muru berlińskiego (albo i czasy, kiedy jeszcze stał). Lodówka, kiedy była na chodzie, warczała niczym motorówka. Instalacja elektryczna uznana została przez nadzór budowlany za zagrożenie dla zdrowia i życia, i tylko dzięki łapówce w wysokości dziesięciu tysięcy forintów - równowartość trzydziestu pięciu euro - udało mu się uniknąć odcięcia prądu.

Dotknął podniszczonej fotografii przyklejonej do ściany. Był na niej młodszy i szczuplejszy. Obejmował ramieniem wysoką dziewczynę o słowiańskiej urodzie. Jej ciemne długie włosy spięte były w kucyk. Oboje mieli na sobie kamizelki kuloodporne i hełmy i uśmiechali się nerwowo do obiektywu. „Witajcie w piekle” - głosił napis namalowany na murze.

Alex odwrócił wzrok, napełnił wodą czajnik elektryczny i włączył go. Przeszukał szafki kuchenne w poszukiwaniu herbaty. Jedna była pusta, w drugiej znalazł torebkę cukru i słoik dżemu śliwkowego, pamiętającego czasy prehistoryczne. Z kosza na śmieci wystawało kartonowe pudełko po pizzy. W środku znajdował się ostatni zaschnięty kawałek pizzy oraz zużyta torebka po herbacie. Opłukał torebkę i wrzucił ją do filiżanki. W tym samym momencie siadł prąd i czajnik przestał działać. Odwrócił się i zobaczył Zsofi męczącą się z suwakiem swojej czarnej skórzanej kurtki. Zsofi była baleriną, wschodzącą gwiazdą węgierskiego tańca. Poznali się latem, kiedy Alex pisał o niej dla „Budapest News”, angielskojęzycznego tygodnika, w którym pracował jako zastępca redaktora naczelnego. Wywiad przeprowadzony przy drinku przeszedł w kolację, a potem znajomość przekształciła się w coś jeszcze.

- Dzięki, jednak nie chcę herbaty. Lecę - powiedziała Zsofi, wchodząc do kuchni. - To nowe zdjęcie? - spytała, przyglądając się fotografii.

- Nie, nie jest nowe. Zostało zrobione w Sarajewie, w czasie wojny - odparł Alex, dłubiąc przy czajniku.

- Byłeś chudszy niż teraz. A to kto? - wskazała palcem.

- Wszyscy byliśmy wtedy chudsi. To jest Azra.

Przyjrzała się uważnie.

- Całkiem atrakcyjna ta Azra. Rzeczywiście było tam piekło?

- Nie zawsze. - Uśmiechnął się.

- Właśnie widzę. - W jej głosie brzmiała irytacja.

- To było dawno temu - powiedział, trochę do samego siebie. Sięgnął do pudełka i wyjął z niego smętny kawałek pizzy. - Co powiesz na kolację?

Ser zsunął się z pizzy i plasnął o podłogę. Zsofi spojrzała na niego przeciągle.

- Spytaj Azrę. Może ona jest głodna?

Przygryzł dolną wargę.

- Nie sędzę. - To mówiąc, zrobił krok w jej stronę. - Zsofi, z naszej dwójki to raczej ja powinienem być zazdrosny.

- Wiesz co, Alex, nieważne. Zadzwoń, jak znajdziesz dla mnie czas w swoim napiętym terminarzu.

I wyszła, trzaskając drzwiami.

\*\*\*

Alex mieszkał na rogu ulic Sandora Petőfiiego i Lajosa Kossutha, zaledwie kilka minut spacerem od Dunaju. Dojście do Kultury, mieszczącej się w Erzsebetvaros, historycznej, żydowskiej dzielnicy Budapesztu, zajmowało mu około piętnastu minut. Wiele jej ulic i placów przetrwało od 1945 roku. Zamieszкана przez studentów, artystów i emigrantów, była obecnie najweselszą i najbardziej ekscentryczną częścią miasta. Usytuowana w centrum, pełna wielkich, ale zniszczonych budynków, stanowiła łakomy kąsek dla zagranicznych deweloperów. Wiele kamienic groziło zawaleniem, ponieważ ich nowi właściciele czekali tylko, aż przestaną nadawać się do zamieszkania, a co za tym idzie, będą mogli je wyburzyć. Dlatego po tym, jak otrzymywali pozwolenie na budowę, przez kolejne kilka miesięcy nic tam nie robili. Pojawiały się więc squat-bary: przyjeżdżała ciężarówka pełna starych mebli, był alkohol i sprzęt grający - impreza na całego.

Alex oddalał się od rzeki ulicą Kossutha. Patrzył na autokary stojące przed hotelem Savoy. Mijały go samochody! jadące w kierunku Mostu Elżbiety. Smród spalin mieszał się z zapachem kebabów płynącym z tureckiego baru la rogu. Wiejący prosto w twarz lodowaty wiatr sprawiał, że łzawiły mu oczy. Alex opatulił się ciaśniej skórzaną kurtką. Był wysoki i szczupły. Niesforne czarne włosy okalały twarz o długim, prostym nosie i pełnych, szerokich ustach : - zdarzało mu się je przygryzać w chwilach zdenerwowania. Najbardziej interesujące były jednak jego oczy: jedno niebieskie, drugie zielone, ozdobione pięknymi długimi rzęsami.

Skręcił w lewo, w Bulwar Karola, minął po drodze Wielką Synagogę, przebiegł przez tory tramwajowe na plac Franciszka Deaka i wszedł w ulicę Kiraly, stanowiącą centrum | siódmej dzielnicy. Wielki plakat, wysoki na cztery piętra, który zakrywał front odnawianego budynku, przedstawiał dobrze zbudowanego, opalonego mężczyznę, stojącego obok atrakcyjnej blondynki. Parę otaczała trójka dzieci, ukazujących w uśmiechu idealnie białe zęby. Plakat głosił: „Sanzlermann - Rodzina, Praca, Jedność. Głosuj!”.

Ochroniarz w Kulturze przywitał Alexa i odsunął się, pozwalając mu przejść. Oczom Alexa ukazał się labirynt pełen barów i zadymionych zakamarków. Ceglany mur pokryty był ogłoszeniami: „Wynajmę pokój”, „Sprzedam rower”, „Szukam nauczyciela angielskiego”. Alex dotarł na główny dziedziniec osłonięty wielką plastikową płachtą i ogrzewany promiennikami ogrodowymi. Na scenie występował *Roma Party*, popularny cygański zespół. Muzyka rozbrzmiewała na całym dziedzińcu. Właściciel powitał Alexa donośnym *Shalom, habibi* i podał mu to co zwykle - szilwę palinkę, śliwkową brandy. Ehud był Izraelczykiem, muskularnym ekskomandosem z ogoloną głową i przekłutym nosem, wnukiem ocalałych z Holokaustu węgierskich Żydów. Po pierwszym roku wyleciał ze studiów medycznych, a teraz prowadził najpopularniejsze w mieście puby i kluby.

Alex podziękował Ehudowi za drinka, po czym usiadł przy wolnym stoliku i wziął do ręki „Magyar Tribün”, dawniej gazetę Partii Komunistycznej, obecnie lewicowy dziennik. Sześć osób, w tym wiceminister, zginęło, a czterdzieści zostało rannych w wyniku wybuchu samochodu pułapki przed niemieckim Bundestagiem. Był to trzeci zamach - po tych w Paryżu i Rzymie - na przestrzeni ostatnich tygodni. Terrorystyczna grupa Armia Wyzwolenia Imigrantów przyznała się do ataków. Alex odłożył gazetę i sięgnął po komórkę. Chciał zadzwonić do dziadka, dać mu znać, że niedługo u niego będzie. Nikt nie odbierał. Było to dziwne, bo Miklos rzadko wychodził z domu o tej porze. Może wybrał się na partyjkę szachów i herbatę ze swoim przyjacielem Peterem Feherem.

Do lokalu wszedł postawny mężczyzna około pięćdziesiątki. Istvan Kiraly z zainteresowaniem rozejrzał się wokół, niczym badacz, który natknął się właśnie na zupełnie nowy okaz rośliny tropikalnej.

- Muszę przyznać, chłopcze, że potrafisz znaleźć naprawdę fascynujące miejsca. Nie miałem pojęcia, że za tymi odrapanymi drzwiami kryje się zupełnie inny świat.

Kiraly mówił po angielsku ze starannością dziennikarza BBC z lat trzydziestych informującego o wyniku meczu krykieta. Bez większych strat przetrwał wewnątrzpartyjne konflikty w czasach komunistycznego reżimu, był też rzecznikiem ostatniego komunistycznego prezydenta Węgier. Miał wiele mówiące przezwisko „Teflon”. Po 1990 przemianował się na „strategicznego lobbystę oraz stratega ds. komunikacji”. Miał kontakty we wszystkich partiach i znał wszystkich ministrów. Doradzał zachodnim firmom w kwestii wysokości łapówek, jakie trzeba było płacić komunistycznej stronie, która wciąż miała ogromny wpływ na gospodarkę. Doradzał węgierskim przedsiębiorcom, jak wycisnąć jak najwięcej unijnych dotacji. Był jednym z najważniejszych informatorów Alexa.

Kiraly przysunął sobie chybotałowe metalowe krzesło i usiadł na nim ostrożnie, jakby się bał, że zaraz się pod nim załamie. Alex przyglądał mu się uważnie.

- Zmieniłeś się - stwierdził.

Ten sam szyty na miarę granatowy włoski garnitur, te same spinki do mankietów z monogramem, ręcznie wykonane buty. Te same niebieskie, głęboko osadzone oczy, starannie przyszyte siwe włosy. Jednak zmarszczki na twarzy kończyły się nagle tuż nad brwiami Kiralyego.

Alex dotknął jego czoła. Było nieco wypukłe i napięte.

- Nie wierzę! - roześmiał się.

Kiraly zarumienił się i odsunął.

- O co ci chodzi? - burknął.

- Wiesz, że odnotowano trzy przypadki choroby wściekłych krów u osób, które wstrzyknęły sobie botoks? Podobno to przez któryś ze składników - stwierdził Alex, kiwając z z troskaniem głową.

- Nie gadaj bzdur. I chciałbym już zamówić sobie drinka. - Kiraly skinął na kelnerkę, smukłą brunetkę. - No tak, teraz rozumiem, dlaczego tak lubisz tu przychodzić. Moja droga, poproszę kieliszek Baileysa.

Kelnerka zerknęła w stronę Alexa. Uniósł swoją szklanekę.

- Jeszcze raz to samo, poproszę.

- Dziś będziemy świętować - oznajmił Kiraly.

- A z jakiej to okazji?

- Po pierwsze, z okazji twoich urodzin.

Alex wyglądał na zaskoczonego. Nie miał ochoty na świętowanie. Nie powiedział o swoich urodzinach nawet Zsofi.

- Nie myśl, że nie wiedziałem. Wszystkiego najlepszego, drogi chłopcze. Drugi powód to fakt, że właśnie zarejestrowałem przyszłego prezydenta Europy.

Alex wyprostował się na krześle.

- Sanzlermann?

- Tak jest - potwierdził Kiraly. - Frank Sanzlermann. Kandydat na prezydenta Unii Europejskiej, austriacki minister spraw zagranicznych, siła napędowa procesu zjednoczenia Europy, oddany mąż i ojciec. Przyjeżdża tu dzisiaj rozpocząć swoją kampanię prezydencką.

Alex przyglądał mu się z powątpiewaniem.

- Czy to nie ten sam Sanzlermann, który postulował, aby od wszystkich Cyganów wziąć odciski palców?

- Alex, każde państwo musi wiedzieć, ilu ma obywateli. Pojawił się projekt ogólnoeuropejskiego spisu ludności. Odciski palców to po prostu jeden z jego elementów.

Czasy są niebezpieczne. W całej Europie co rusz wybuchają bomby. Ty, jako dziennikarz, jesteś urodzonym cynikiem. *Herr* Sanzlermann jest myślicielem, człowiekiem z wizją i pisarzem, tak jak ty. Mielibyście o czym rozmawiać. I nieraz potwierdzał swoje silne przywiązanie do idei integracji europejskiej. - Kiraly zaczął bębnić palcami w blat, w rytm dobiegającej ich uszu muzyki. - Całkiem nieźle to brzmi. Jak się nazywa ta kapela?

- *Roma Party*. Może mogliby zagrać na jakimś wiecu Sanzlermanna. Pokazałby prawdziwe oddanie idei integracji europejskiej. Czy Cyganie dalej są uprawnieni do głosowania? - spytał Alex ze śmiertelną powagą.

- Nie bądź śmieszny - odparł oburzony Kiraly.

Alex sączył powoli swojego drinka. Nie mógł puścić tego płazem.

- Widziałeś artykuł w „*Ebredjetek Magyarok!*” o tobie?

„*Ebredjetek Magyarok!*”, czyli „*Węgrzy, przebudźcie się*”, było nową konserwatywną gazetą, wydawaną przez Volkstern Corporation, niemiecki koncern medialny, posiadający liczne oddziały we wschodniej i centralnej Europie. Dziennikarze tej gazety wszędzie węszyli komunistyczne spiski. Jako byli członkowie partii wiedzieli, gdzie ich szukać, i Kiraly wyglądał na zaniepokojonego. Mało było rzeczy, które denerwowały go bardziej niż niekorzystne artykuły w prasie, nad którymi nie miał kontroli.

- Wiem, że to straszny szmatławiec. Nie zmienia to jednak faktu, że wydobyli skądś twoje stare przemówienie. Pozwól, że zacytuję: „Pod kierownictwem partii, w myśl zasad marksizmu-leninizmu budujemy nową, socjalistyczną przyszłość”. Czy coś w tym stylu.

- Drogi chłopcze, nikt z nas nie może przewidzieć przyszłości. To było lata temu. Stare dzieje. Inny świat.

- Październik 1989. Dwa tygodnie później runął mur berliński.

- Cios poniżej pasa. Czasy się zmieniają, my też musimy.

- Przepraszam, Istvan, oczywiście masz rację - przyznał Alex z udawaną skruchą.

Nagle poczuł zapach palącego się sznura, dochodzący ze stolika obok. Dwie młode kobiety paliły wspólnie kiepsko skręconego jointa, głośno chichocząc. Siedziały półprzytomne, kiedy nagle leniwa muzyka w tle gwałtownie przyspieszyła. Skrzypek machał gwałtownie smyczkiem, jakby chciał przepiłował swój instrument na pół. Dźwięki, coraz głośniejsze, wypełniały teraz całą przestrzeń. Umilkły rozmowy wszyscy goście, oczarowani, obserwowali muzyka. Zakończył długim, przeciągłym dźwiękiem, po czym się uklonił.

Publiczność, nie wyłączając Kiralyego, nagrodziła go gromkimi brawami.

Kelnerka przyniosła im drinki. Wzniesli toast, stukając się kieliszkami.

- Wypijmy za twoje zdrowie. I za nową Europę - powiedział Kiraly.

- Nową Europę - powtórzył Alex. Spojrzał w stronę wejścia. - Oto i ona.

Duża czarna ciężarówka zatrzymała się przed barem. Zaciemnione szyby, osłonięte kratami, po bokach napis „*Gendarmerie*”. Węgierska paramilitarna policja została rozwiązana po drugiej wojnie światowej. Niedawno jednak rząd ponownie ją utworzył, dając jej uprawnienia do aresztowań i zatrzymań w takich sytuacjach jak „*naruszania spokoju mieszkańców*”, czy też „*znieważenie wartości narodowych*”. Lokalne jednostki policji podlegały ministerstwu spraw wewnętrznych, za to żandarmeria odpowiadała bezpośrednio przed premierem, Tiborem Csintorim, oraz ministrem spraw wewnętrznych.

Rząd Csintoriego określał się mianem „*umiarkowanie konserwatywnego*”, jednak ulegał coraz silniejszym naciskom silnie prawicowego Węgierskiego Frontu Narodowego. Każde ustępstwo Csintoriego tylko umacniało Front. Niewielu wierzyło, że Csintori, były opozycjonista w średnim wieku, socjolog, utrzyma się na stanowisku. Wschodnia Europa przeżywała rozczarowanie Unią Europejską. Nacjonaliści objęli władzę w Rumunii, Chorwacji i na Słowacji. Wzrastał poziom biedy i bezrobocia, w miarę jak państwowy przemysł był wyprzedawany za bezcen. Ogromna inflacja pożerała pensje i emerytury.

W biedniejszej, wschodniej części Węgier coraz częściej wybuchały zamieszki. Nie ominęły one również podupadającego centrum Budapesztu. Tydzień wcześniej zginęła tu romska rodzina - ktoś wrzucił do ich mieszkania kilka koktajli Mołotowa. Policja, zajęta konfliktem z żandarmerią, chyba nigdy jeszcze nie była tak nieskuteczna. Nowa skrajnie prawicowa grupa, Brygada Panońska, której członkowie mieli nawet własne mundury, co weekend organizowała wiece i marsze na terenie całego kraju. Sama je też ochraniała. W społeczeństwie coraz bardziej narastało poczucie, że władze przestały kontrolować państwo. Rząd nie przepał w głosowaniu nad wotum nieufności dla niego tylko dlatego, że zwiększył budżet żandarmerii o pięćdziesiąt procent

Alex przyglądał się dwóm spacerującym w pobliżu żandarmom. Nosili paramilitarne mundury w kolorze khaki i czapki ozdobione na czubku piórami w narodowych barwach Węgier - czerwonym, białym i zielonym. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe i długie pałki. Przy pasach mieli przypięte granaty z gazem łzawiącym. Nie reagowali na protesty Ehuda. Niebawem dołączyło do nich jeszcze czterech żandarmów.

Kiraly wykrzywił usta, zniesmaczony. Obserwował, jak dwie studentki ze stolika obok gaszą w pośpiechu jointa, opróżniają zawartość popielniczki do plastikowej torebki i szybkim krokiem idą do łazienki.

- Mam nadzieję, że spłuczki działają bez zarzutu - stwierdził Kiraly. Zrobił krótką pauzę.  
- A co słyhać u Miklosa?

- Trochę się o niego martwię. Ostatnio jest bardzo roztargniony. Naciskał, abym przyjechał dziś do niego na urodzinowego drinka, żeby porozmawiać o „sprawach rodzinnych”. Dzwoniłem do niego niedawno, ale nie odbiera.

- Nie martw się o niego. Pewnie odwiedza jakąś swoją przyjaciółkę - uspokoił go Istvan.  
- A jak się ma twoja primabalerina?

- Kto ci o niej powiedział?

- Mój drogi, w tym mieście niewiele da się utrzymać w sekrecie. Zwłaszcza przede mną. Jeśli mogę wtrącić dwa słówka. Karoly Petsardy. Mąż pięknej Zsofi.

- Wiem, kim jest. Są w separacji. Zsofi chce rozwodu.

- Doprawdy? - W głosie Istvana pobrzmiwał sceptycyzm.

- On też ma kochanki - warknął Alex, czując nagły przypływ zazdrości.

- Owszem, ma. Nie zmienia to faktu, że pan i pani Petsardy nie są rozwiedzeni. Nie złożono żadnych papierów, nie wynajęto adwokatów. Prawda jest taka, że pojawienie się drugiego mężczyzny jak nic innego pozwala dostrzec zapomniane zalety ukochanej. Szczerze mówiąc, Alex, wydaje mi się, że zasługujesz na coś lepszego. Jest bardzo ładna, fakt, ale wasz związek nie ma przyszłości.

Alex jednym haustem dokończył drinka.

- Istvan, masz absolutną rację.

Zdawał sobie sprawę z faktu, iż Zsofi nigdy nie zostawi męża. W głębi serca chyba nawet tego nie chciał. Zastanawiał się tylko, jak długo jeszcze będzie uciekał przed każdym poważnym związkiem. Odstawił kieliszek i zaczął się przyglądać żandarmom. Szczegółowo sprawdzali dokumenty wszystkich wchodzących i wychodzących gości. Ich dowódca przyglądał się temu z zadowoleniem, paląc papierosa. Imprezowa atmosfera szybko się ulotniła. Grupka hałaśliwych studentów zmierzających do lokalu ucichła momentalnie na widok żandarmów i oddaliła się szybkim krokiem.

Kiraly przywołał kelnerkę i poprosił o rachunek.

- Przepraszam cię, ale muszę iść. Ja także mam spotkanie o dziewiątej.

Alex sięgnął do kieszeni po portfel, ale Kiraly był szybszy.

- Udanych urodzin. I pozdrów ode mnie swojego dziadka.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie. Kiraly bez trudu wy dostał się z lokalu, machając żandarmowi przed nosem swoim dokumentem. Żandarmi rozproszyli się po barze. Alex

spojrzał na zegarek. Była już za kwadrans dziewiąta. Ruszył w kierunku wyjścia, kiedy drogę zaszedł mu jeden z żandarmów. Był dobrze zbudowany. Ogoloną głowę schował pod czapkę; na jego twarzy widać było ślady trądziku.

- Dokumenty - zażądał.

Cały czas jedną rękę opierał na pałce.

Alex sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z niej swoją legitymację prasową. Żandarm przyjrzał się jej uważnie.

- Proszę wrócić na swoje miejsce - rozkazał.

Nadal trzymał w ręce legitymację Alexa.

- Dlaczego? I czy mógłbym odzyskać mój dokument - dopytywał się Alex, nie ruszając się z miejsca.

Żandarm dał znak dowódcy. Ten wyjął z ust papierosa, rzucił go na ziemię, przydeptał niedopałek, po czym zbliżył się do nich. Żandarm pokazał mu legitymację Alexa. Dowódca obejrzał ją, po czym zerknął na zegarek.

- Jestem z kimś umówiony o dziewiątej - powiedział Alex stanowczo.

- Niestety, panie Farkas, będzie pan musiał zmienić plany.

- Dlaczego?

- Nic do pana nie mamy. Po prostu rutynowa kontrola. Jestem pewien, że jest pan tym, za kogo się podaje. Przepisy mówią jednak wyraźnie, że nie możemy wypuścić nikogo, dopóki nie skończymy. Zajmie nam to nie więcej niż pół godziny. Proszę, oto pańska legitymacja. - Z tymi słowy zwrócił Alexowi dokument.

Alex przygryzł wargę i usiadł z powrotem na swoim krześle, czując, jak wzbiera w nim dość i niepokój. Wiedział, że jeśli będzie dalej protestował, wpakują go do samochodu żandarmerii. Znowy wybrał numer dziadka. I znowy nikt nie odbierał.

## Rozdział 2

Frank Sanzlermann niespiesznie sączył whisky na pokładzie swojego prywatnego odrzutowca, który właśnie wleciał w węgierską przestrzeń powietrzną. Samolot miał pełne wyposażenie biurowe, łącznie z telefonami satelitarnymi, szybkim łączem internetowym oraz bezpośrednią linią do sztabu partii w Wiedniu.

Wziął do ręki świeżutki egzemplarz swojej najnowszej książki i z uśmiechem zadowolenia przeglądał błyszczące kartki. Zanim przed dziesięciu laty został politykiem, Sanzlermann wykładał filozofię i historię na Uniwersytecie Wiedeńskim. Od Karola Wielkiego do Schengen: nieustający pęd ku europejskiej jedności było ukoronowaniem jego kariery, potwierdzającym jego znakomitą reputację zarówno jako myśliciela, jak i polityka.

Wydana w dwunastu językach, podzielona na dwadzieścia rozdziałów opatrzonych licznymi przypisami książka zawierała analizę rozwoju idei wspólnoty europejskiej od czasów Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego aż po układ z Schengen, znoszący kontrole graniczne między państwami członkowskimi. Jego podstawowa teza była prosta, klarowna i powtarzał ją bez końca: tradycyjny koncept narodowej suwerenności jest anachronizmem i główną przyczyną dramatów w Europie. Jedynym remedium miało być porzucenie tejże suwerenności i stworzenie wielkiego europejskiego supermocarstwa, ze wspólnymi władzami, gospodarką, rynkami finansowymi, prawami i instytucjami.

Okładkę publikacji zdobiło to samo zdjęcie, które widniał na wyborczych plakatach, przedstawiające Sanzlermana z rodziną. Tył książki był wypełniony licznymi wypowiedziami polityków, określającymi autora książki „współczesnym Arystotelesem” oraz jednym z najważniejszych intelektualistów XXI wieku”.

Sanzlermann pisał o konieczności wprowadzenia euro, o tym, że warto powalczyć o zniesienie autonomii finansowej (wychodząc z założenia, że między państwami posiadającymi wspólną walutę nigdy nie wybuchnie wojna). Spotkało się to z uznaniem specjalistów - otrzymał właśnie i Nagrodę Brukselską, dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro, za zasługi dla procesu jednoczenia Europy. Co prawda swoimi wypowiedziami na temat stricte chrześcijańskiej natury jedności europejskiej i jej grecko-rzymskiej spuścizny wywoływał oburzenie środowisk żydowskich, muzułmańskich i lewicowych, jednak jednocześnie umacniał swoje wpływy w innych kręgach. Coraz częściej mówiło się o jego audiencji u papieża. Według badań opinii publicznej przeprowadzonych po ostatnim zamachu bombowym w Berlinie Sanzlermann miał osiem punktów przewagi nad swoją główną przeciwniczką, francuską nauczycielką Edith Leclerc, startującą z ramienia Porozumienia Socjaldemokratycznego.

Z głośników dobiegł głos pilota informującego o rozpoczęciu podchodzenia do lądowania na lotnisku Ferihegy w Budapeszcie. Młody, przystojny członek personelu pokładowego zaproponował Sanzlermannowi kolejną whisky. Ten pokręcił przecząco głową, po czym wyjął z kieszeni pióro.

- Jesteś Klaus, prawda? - zapytał, patrząc stewardowi prosto w oczy.

Młodzieniec przytaknął. Sanzlermann podpisał egzemplarz książki i wręczył mu go. Chłopak się zarumienił, podziękował i szybkim krokiem uciekł na tył samolotu, ściskając mocno i książkę, i szklanek whisky. Sanzlermann uśmiechnął się pod nosem, odwrócił głowę i zaczął patrzeć przez okno samolotu. Lecieli teraz nad ponurymi betonowymi blokowiskami, jakich tysiące powstało w całym dawnym bloku wschodnim, od Bułgarii aż po Berlin. Dunaj niczym czarna wstążka wił się przez miasto, a jego bieg wyznaczało pomarańczowe światło stojących wzdłuż brzegu latarni. Ta sama rzeka płynęła przez rodzinne miasto Sanzlermanna, Linz, z którego po raz pierwszy wskoczył najpierw na krajową, a potem międzynarodową scenę polityczną.

Unia Europejska liczyła obecnie trzydziestu członków, w tym wszystkie środkowoeuropejskie państwa postkomunistyczne, oraz Macedonię i Chorwację. Jako austriacki minister spraw zagranicznych Sanzlermann odgrywał kluczową rolę w procesie rozszerzania Unii na wschód. Pozostałe państwa byłej Jugosławii miały dołączyć do niej w ciągu kolejnych pięciu lat. Prezydent Unii nie miał już pełnić jedynie reprezentacyjnej funkcji. Po intensywnej akcji lobbingsowej przedstawicieli Niemiec i Austrii oraz wskutek pojawienia się pogłosek, że Szwajcaria rozważa przeprowadzenie referendum w sprawie przystąpienia do Unii, ustalono, iż prezydent byłby wybierany w wyborach powszechnych, a także stałby na czele komisji do Spraw finansów, ekonomii i polityki zagranicznej w Parlamencie Europejskim. Dodatkowo miałyby prawo do wetowania ustaw. Podsumowując, stanowisko to byłoby niespotykaną wcześniej „hybrydą”, łączącą władzę ustawodawczą, wykonawczą i funkcję reprezentacyjną. Takie informacje przekazane zostały do wiadomości publicznej.

Faktycznie możliwości prezydenta w zakresie zawierania i rozwiązywania umów, rozdzielania władzy i wpływania na wszelkie posunięcia polityczne byłyby wręcz nieograniczone. Bruksela zadecydowała, iż głosowanie odbywać się będzie w każdym kraju po kolei, na przestrzeni trzech miesięcy, tak aby kandydaci mieli możliwość przeprowadzenia kampanii wyborczej na całym kontynencie. Pierwsze wybory miały się odbyć w państwach wschodnich - był to gest ze strony Brukseli, mający na celu podkreślenie jej zaangażowania w tworzenie nowej, coraz większej wspólnej Europy. Dzięki wstawiennictwu Sanzlermanna, ku zmartwieniu sąsiednich państw, to właśnie Węgry wybrano na pierwsze państwo, w którym przeprowadzone zostaną wybory. Termin ustalono na 9 listopada - rocznicę upadku muru berlińskiego. Niewielu jednak pamiętało, że był to dzień symboliczny również z innego

względu. W roku 1938 tego dnia miała miejsce *Kristallnacht* - „noc kryształowa”, nazistowski pogrom Żydów, który zapoczątkował Holokaust.

Sanzlermann przejrzał się w niewielkim lusterku zamontowanym z tyłu fotela. Nienaganna górską opalenizną, mocna linia podbródka, perfekcyjnie przystrzyżone jasnobrązowe włosy poprzetykane siwymi nitkami, zielone oczy o chłodnym, uważnym spojrzeniu. Od dziesięciu lat regularnie spędzał czas na stokach narciarskich, dzięki czemu udawało mu się skutecznie oszukiwać upływający czas. Niezwykle zadowolony ze swojego wyglądu, Sanzlermann zamknął oczy i zaczął drapać wierzch swojej dłoni, czując z zadowoleniem, jak paznokcie delikatnie wbijają się w złuszcżającą się skórę. Samolot rozpoczął lądowanie. Widząc zapalone, lampki sygnalizujące konieczność zapięcia pasów, główny doradca Sanzlermanna wrócił na swoje miejsce. Ubrany w szary garnitur Reinhard Daintner był szczupłym mężczyzną w średnim wieku - Sanzlermannowi nigdy nie udało się ustalić dokładnej daty jego urodzin. Jego włosy, brwi i rzęsy, a przede wszystkim oczy były tak jasne, że wyglądał niemal jak albinos. Dodatkowo miał irytujący nawyk oblizywania ust. Niczym jaszczurka, zapatrzona w niezwykle smakowity okaz insekta.

- I znowu do Budapesztu. Który to już raz? - zagaił Daintner, zapinając pasy.

- Straciłem rachubę. Cieszę się na ponowne spotkanie z Attilą. Wygląda na to, że ma wszystko pod kontrolą - odpowiedział Sanzlermann, niechętnie przerywając rytuał drapania.

- Kilka stacji telewizyjnych czeka na ciebie już na płycie lotniska, w tym CNN i BBC. Chcesz zorganizować tam małą konferencję prasową?

Sanzlermann pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie dziś. Będą transmitować to na żywo, nie będziemy w stanie kontrolować ani otoczenia, ani tego, jakie pytania zostaną zadane. Niech poczekają na wiec i weekendową konferencję.

- Masz rację - zgodził się Daintner. - A na lotnisku tylko szybkie „dzień dobry, państwu” i ruszamy prosto do hotelu. Zdecydowałeś już, co zrobisz z pieniędzmi z Nagrody Brukselskiej?

Sanzlermann bawił się szklanką whisky.

- Jak wygląda sytuacja z projektem ustawy o zbieraniu odcisków palców Romów? - zapytał.

Daintner sięgnął do swojej aktówki i wyjął z niej teczkę z dokumentami. Szybko przebiegł wzrokiem kilka pierwszych kartek, aż natrafił na interesujący go fragment - długą tabelę.

- Bardzo dobrze w przypadku grup socjoekonomicznych E, D oraz C2, zwłaszcza w państwach postkomunistycznych. Projekt ma dużo mniejsze poparcie w grupach C1, B oraz A, szczególnie wśród osób z wyższym wykształceniem, zamieszkałych w zachodniej Europie. Leclerc postrzegana jest jako osoba bardziej wrażliwa społecznie. Zdaje się, że bezustanne rzucanie na ciebie oszczerstw i oskarżanie cię o rasizm przynosi efekty. - Daintner przerwał i oblizwał usta.

- Przydałby się jakiś kontratak - zasugerował.

- I dlatego właśnie założymy unijną Fundację na rzecz Edukacji Romów. Za pieniądze z nagrody. Porozmawiaj z naszymi przyjaciółmi, niech przeznaczą co najmniej tyle samo od siebie. Stypendia, granty dla szkół, wiesz, jak to działa.

Daintner notował szybko w swoim zeszytcie.

- Jasne, świetnie, zrobi się.

\* \* \*

Alex spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta trzydzieści! Siedział w knajpie już pół godziny, co pięć minut próbując dodzwonić się do dziadka. W dalszym ciągu nie doczekał się



odpowiedzi. Żandarmi niespiesznie sprawdzali gości stół po stole, ignorując głosy coraz bardziej zirykowanego tłumu. Wszystkie tylne wyjścia również były zablokowane. Alex czuł, jak wzbiera w nim złość. Podeszedł do dowódcy. Zamierzał zażądać natychmiastowego wypuszczenia na zewnątrz.

Dowódca rozmawiał przez telefon komórkowy. Popatrzył na Alexa i odwrócił się.

- Tak, tak - przytaknął i rozłączył się. Alex szykował się właśnie do awantury, kiedy dowódca przemówił. - Mam dobre wieści, panie Farkas. Skończyliśmy legitymowanie. Możecie państwo wszyscy iść do domu.

Alex opanował narastającą w nim wściekłość i bez słowa pobiegł ulicą Kiraly, ślizgając się nieco na mokrym asfalcie. Mało brakowało, a wpadłby na dwóch chasydów pogrążonych w dyskusji. Zatrzymał się gwałtownie przy ulicy Dob numer 23, na rogu placu Klauzala. Duże drewniane drzwi kamienicy stały otworem. Kiedyś był to imponujący budynek, z długim hallem i wysoką marmurową klatką schodową, zdobioną gipsowymi płaskorzeźbami. Jednak lata zaniedbań zrobiły swoje. Popękane stopnie schodów, brudne ściany, nieoświetlone wejście. Alex przeszedł kilka kroków po ciemku, macając ściany w poszukiwaniu włącznika światła. Znalazłszy, przycisnął go kilka razy, bezskutecznie. Wbiegł na trzecie piętro najszybciej, jak tylko mógł. Zapukał do drzwi dużą mosiężną kołatką w kształcie głowy lwa. Cisza.

Miklos Farkas mieszkał w tym samym mieszkaniu od 1945 roku. Po wyzwoleniu getta studiował medycynę. Po przejściu władzy na Węgrzech przez komunistów w 1948 roku odmówił wstąpienia do partii. Został wtedy wydalony z uniwersytetu i zakwalifikowany jako „wróg klasowy” ze względu na swoje pochodzenie. Zarabiał na życie, pracując jako dziennikarz piszący o kulturze, a jego żona Ruth uczyła języka francuskiego. W czasie powstania w 1956 roku Miklos udzielał się w rozgłośni radiowej, za co później został skazany na dziesięć lat więzienia. Po pięciu zwolniono go na mocy amnestii. Miklos i Ruth mieli syna, Edwarda, ojca Alexa. W latach sześćdziesiątych wyjechał on na wymianę studencką do Anglii i już tam został. Była to dla niego trudna decyzja, jednak rodzice go poparli. W latach osiemdziesiątych Miklos został działaczem ruchu dysydenckiego - redagował tak zwane samizdaty i współpracował z zachodnimi działaczami na rzecz praw człowieka. Został aresztowany i uwięziony na kilka miesięcy. Uwolniono go po licznych międzynarodowych protestach. Kiedy Węgry stały się państwem demokratycznym, partia Liberalistów poprosiła Miklosa, aby z ich ramienia zasiadał w parlamencie, ten jednak odmówił. Ruth nie żyła od dziesięciu lat.

Alex ponownie zapukał do drzwi. Z mieszkania nie dochodziły najcichsze nawet dźwięki. Serce waliło mu coraz mocniej, a zwykły niepokój ustępował miejsca panicznemu lękowi. Drzwi w końcu korytarza uchyliły się. Alex dostrzegł burzę siwych włosów i parę jasnoniebieskich oczu, a po chwili ramię odziane w różowy nylonowy szlafrok. Ze swojego mieszkania wychyłała Erzsebet, sąsiadka Miklosa, posiadaczka kompletu zapasowych kluczy.

- Nie otwiera? - zapytała przez szparę w drzwiach uzbrojonych w taką liczbę zamków i łańcuchów, że jeśli Armia Czerwona powróciłaby kiedyś do Budapesztu, nie miałyby najmniejszych szans na dostanie się do środka. - Widziałam go wczoraj rano. Wydawało się, że wszystko z nim w porządku. Wspominał, że go dziś odwiedzisz. - Wyturlała się ze swojego mieszkania na korytarz, niczym baryłka na krótkich nóżkach. Była niezadowolona, że coś zakłóciło spokój jej domostwa.

Alex walił pięścią w drzwi. Cisza. Gdzie jest Berta, pies Miklosa, który nie widział świata poza swoim panem i biegał jak szalony do przedpokoju za każdym razem, kiedy słyszał dzwonek do drzwi? Może Miklos zapomniał o wizycie Alexa i wziął Bertę na spacer. Był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Nieprzyjemne uczucie ściskające Alexowi żołądek nasiliło się.

- Możesz otworzyć mieszkanie dziadka, prawda, Erzsebet? - zapytał.

- Oczywiście. Moim zadaniem jest opieka nad całym budynkiem. Przecież może przytrafić się pożar albo zalanie. Mam klucze do każdego z mieszkań, na wypadek jakiegoś nieszczęścia - powiedziała, pęczniąc z dumy na myśl o wadze powierzzonego jej obowiązku.

- Świetnie. Czy mogłabyś w takim razie przynieść klucze do mieszkania Mikłosa? Może zachorował albo się przewrócił i stracił przytomność. Czy słyszałaś może Coś dziwnego? Albo widziałaś coś podejrzanego?

- Wczoraj w nocy głośno grała muzyka. Ale to nic nadzwyczajnego. Podejrzewam, że to ci nowi piętro niżej, niedawno się wprowadzili. Zdaje się, że obcokrajowcy. Co rusz wyprawiają przyjęcia, żebyś ty widział, jaki mają tam bałagan, wszędzie butelki i niedopałki, na klatce też. Nie wiem, co oni sobie myślą, żyją jak jacyś Cyganie, ciągle zamieszanie i bałagan. Kto wie, kogo nam tu sprowadzają...

Alex głęboko odetchnął. Wiedział, że niełatwo będzie zatrzymać słowotok sąsiadki.

- Erzsebet, proszę. Klucze.

Szybkim krokiem weszła do mieszkania, krzycząc do męża, żeby przyniósł klucze. Po chwili wróciła i wręczyła je Alexowi. Chciała wejść do Mikłosa razem z Alexem, ale ten poprosił, aby zaczekała na zewnątrz.

W mieszkaniu było ciemno i tak cicho, że Alex słyszał jedynie walenie swojego serca. Kilkakrotnie zawołał dziadka - w odpowiedzi słyszał tylko ciszę. Żołądek ścisnął mu się ze zdenerwowania. Małymi kroczkami pokonywał korytarz w poszukiwaniu włącznika. Światło zalało całe mieszkanie dokładnie w momencie, gdy Alex wszedł do pokoju.

Mikłos leżał bez ruchu na antycznej zielonej sofie. Jego błękitne oczy wpatrywały się nieruchomo w jeden punkt na suficie, a ręce kurczowo ścisnęły oparcie sofy. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie, siwe włosy były w nieładzie. Nad głową Mikłosa widniały litery AVO, wymalowane czerwoną farbą. Allamvedelmi Oształy, Wydział Bezpieczeństwa Państwa, niezwykle brutalne tajne służby działające w czasach komunizmu. Berta leżała martwa przy wejściu do pokoju. Krople farby spływały po ścianie. Tuż obok bosych stóp Mikłosa, na paterze, leżał łeb świni. W pokoju panował chaos - książki porozrzucane po podłodze, powywracane meble, potłuczone wazony, przekrzywione obrazy, powyciągane szuflady, ich zawartość rozsypana na podłodze. Na gramofonie obracała się płyta. Igła podskakiwała przy każdym obrocie.

Alex podbiegł do dziadka. Dotknął jego szyi, sprawdzając puls. Ciało było jeszcze ciepłe, ale nie wyczuł tętna. Alex poczuł się tak, jakby wokół jego klatki piersiowej zacisnęły się metalowe obręcze. Z trudem łapał powietrze w płuca; jego oddech stał się krótki, urywany. W końcu eksplodował. Zaczął kopać na oślep: świński łeb przeleciał przez cały pokój, uderzył o ścianę i poturlał się z powrotem do jego stóp. Oczy martwego zwierzęcia skierowane były teraz wprost na niego. Alex kopnął łeb w kąt.

Oddychał teraz powoli przez nos. Starał się zachować spokój, kiedy ostrożnie układał ręce Mikłosa wzdłuż ciała. Zamknął mu oczy i przygładził włosy. Palce ześlizgnęły mu się na twarz staruszka. Poglądził go po policzku. Wtem natrafił na coś ostrego. Pochylił się i skierował światło małej lampki prosto na twarz dziadka. Na jego twarzy i ustach dostrzegł dziwne, błękitnawe zabarwienie.

Alex spojrzał teraz na swoją dłoń. Do jego palców przykleiły się drobinki szkła. Wiedziony przecuciem, pochylił się nad dziadkiem i powąchał jego usta. Ledwo wyczuwalny zapach gorzkich migdałów. Stuknęła rama okienna. Alex poderwał się gwałtownie, rozglądając się za czymś, czego mógłby użyć do obrony. Chwycił ciężki szklany przycisk do papieru i o mało zaraz nie wypuścił go ze spoczonej dłoni. Zaczął powoli sprawdzać pozostałe pomieszczenia. Sypialnia, łazienka, kuchnia - wszystko puste. Jednak jedno z okien kuchennych było otwarte. Alex zatrzasnął je, po czym zaczął przetrząsać szafki. Wypełnione były po brzegi konserwami i stoikami z różnymi przetworami. Taka ilość

starczyłaby na wykarmienie całej rodziny, i to co najmniej przez miesiąc. Najwyraźniej wspomnienie głodu doświadczonego w getcie nigdy nie zbladło. Na kuchennym stole leżały trzy świeże bochenki chleba i sześć kartonów papierosów.

Alex wrócił do salonu. Odgłos podskakującej igły aż dzwonił w uszach. Alex przesunął ramię gramofonu. Płyta zawierała nagranie Happy Birthday w wykonaniu węgierskiego piosenkarza z lat sześćdziesiątych. Była to ulubiona piosenka jego dzieciństwa. Usiadł obok dziadka, z twarzą ukrytą w dłoniach, a muzyka powoli wypełniała pokój. Próbował się opanować, czuł jednak, że trzęsą mu się ręce. Rozpacz i ból wypełniały jego ciało. Czuł się tak, jakby ktoś wypruł z niego wnętrze. Łzy ciekły mu po policzkach. Szlochał przez kilka minut, po czym pocałował dziadka w policzek, pogładził go po głowie. Wyszedł z pokoju.

Erzsebet ciągle czekała na klatce. Spojrzała z przerażeniem na wzburzonego Alexa i na jego zapłakaną twarz. Podeszła do drzwi. Alex pokręcił głową i powstrzymał ją gestem dłoni. W drugiej ręce trzymał telefon komórkowy - właśnie dzwonił na policję. Erzsebet przepchnęła się obok niego i weszła do pokoju. Wieczorną ciszę rozdarł jej przerażony krzyk.

### Rozdział 3

Cassandra Orczy nalała sobie pierwszą tego dnia filiżankę zielonej herbaty i ugryzła kęs ciastka z orzechowym nadzieniem. Dochodziła ósma trzydzieści rano. Pokoje i korytarze siedziby głównej Państwowej Służby Bezpieczeństwa na ulicy Miksa Falka zappełniały się powoli jej pracownikami. Budynek biurowy z komunistycznych czasów stał w samym sercu historycznej części miasta, w miejscu oddalonym o pięć minut marszu od Dunaju i od placu Parlamentarnego. Był jednym z najbrzydszych gmachów w całym Budapeszcie - sześciopiętrowy, betonowy blok górujący nad innymi przy szerokiej ulicy otoczonej drzewami. Mało kto jednak dbał o to, aby miejsce skrywające najmroczniejsze sekrety Węgier ładnie się prezentowało. Jako szef departamentu do spraw oceny i analizy zagrożenia Orczy miała własny przestronny gabinet w stylu art deco z widokiem na rzekę,

Strzepnęła ręką okruszki ze stosu dokumentów leżących na biurku. Każda z teczek opatrzona była niewielką białą naklejką w prawym górnym rogu. Dwie na samym wierzchu opisane były kolejno: Farkas, Miklos i Farkas, Alexander. Zawierały zapisy rozmów, fotografie robione z ukrycia, życiorysy, wyciągi bankowe, akta zatrudnienia, dokumentację medyczną i wszystkie inne detale, na które składało się życie codzienne. Teczka Miklosa była cztery razy grubsza od teczki Alexa. Orczy zażądała tych dokumentów z archiwum niedługo po przebudzeniu, kiedy tylko usłyszała w radiu wiadomość o śmierci Miklosa. Do jej zadań należała między innymi ocena potencjalnych zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego, Wnioski wraz z sugestiami dotyczącymi dalszych kroków przekazywała rządowi. Brutalne morderstwo jednego z najsłynniejszych węgierskich dysydentów z pewnością należało do spraw, którymi musiała się niezwłocznie zająć.

Cassandra była nieufną, skoncentrowaną na karierze czterdziestokilkuletnią kobietą. Mieszkała z kotem w przestronnym mieszkaniu w secesyjnym budynku z widokiem na parlament. Była niską kobietą o zaokrąglonych kształtach. Lekką nadwagę, będącą wynikiem jej zamiłowania do dobrego jedzenia i wina, maskowała dobrze skrojonymi, markowymi ubraniami prosto z Francji i Włoch. Miała jasnobrązowe, zawsze perfekcyjnie ułożone włosy i niebiesko-zielone oczy. Lubiała myśleć o sobie jako o młodszej wersji Catherine Deneuve. Namietnie czytała plotkarskie pisma. Jednak do swoich obowiązków podchodziła ze śmiertelną powagą. Bez względu na to, czy wybierała akurat strój do pracy, czy zajmowała się kwestiami bezpieczeństwa narodowego, decyzje podejmowała z rozwagą i ostrożnością.

Był to jeden z powodów, dla których szybko i systematycznie pięła się coraz wyżej po szczeblach kariery zawodowej, a jej herbata, dostarczana pocztą dyplomatyczną prosto z węgierskiej ambasady w Tokio, trafiała na jej stół w błękitnych filiżankach z najlepszej porcelany Zsolnay, Inni musieli zadowalać się tymi w kolorze białym. Filiżanki obramowane złotem, ciągle jeszcze były niedostępne, ale już znajdowały się w zasięgu wzroku Cassandra.

Akta Farkasów leżały na szczegółowym raporcie dotyczącym działalności dwóch ważnych niemieckich inwestorów: KZX Industries oraz Volkstern Corporation. KZX, największy przemysłowy koncern w Niemczech, już przejął przemysł spożywczy na Węgrzech, a obecnie stopniowo wykupywał sektor farmaceutyczny, stanowiący kluczowy element krajowej gospodarki. Z kolei Volkstern Corporation<sup>^</sup> i grupa medialna posiadająca setki gazet, czasopism i stacji radiowych w całej Europie Wschodniej, wykupiła sześć prywatnych telewizji regionalnych na Węgrzech i planowała je przekształcić w jedną stację o ogólnokrajowym zasięgu. Ostatnio uruchomiła również nową sieć telefonii komórkowej o nazwie Magyar Mobile. Cassandra miała zamiar zasugerować władzom, aby wszelkie nowe inwestycje KZX oraz Volkstern zostały zablokowane. Jej zdaniem przejmowanie w ten sposób kolejnych mediów oraz sektorów gospodarki zagrażało narodowemu interesowi Węgier, a nawet suwerenności kraju. Dziś jednak niemieckie korporacje musiały poczekać na swoją kolej.

Teoretycznie Cassandra miała natychmiastowy dostęp do wszelkich informacji, jakie były jej w danej chwili potrzebne - otrzymywała je albo od swojego pracodawcy, albo od służb działających za granicą, albo od policji. Jednak policja ostatnio była wyjątkowo opieszła. Policja i PSB od zawsze ze sobą rywalizowały, ale jednocześnie współpracowały. Obecnie raporty dostarczano z opóźnieniem, czasem były wybrakowane, a czasem nie było ich w ogóle. Wielu policjantów o długim stażu przechodziło do żandarmerii. Nic dziwnego, kusily ich ponaddwukrotnie wyższe pensje i bezpośredni dostęp do premiera, co czyniło ich praktycznie nietykalnymi.

Cassandra otworzyła akta Miklosa i wzdrygnęła się na widok zdjęcia jego ciała, dołączonego do raportu sporządzonego na miejscu zbrodni. Ten dokument na szczęście był kompletny i szczegółowy. Szef policji w siódmej dzielnicy to jej stary znajomy z czasów, kiedy oboje należeli do komunistycznej organizacji Młodzi Pionierzy. Treść raportu wyjaśniała, co wydarzyło się w mieszkaniu Miklosa, nie odpowiadała jednak na pytanie - dlaczego. Z jakiego powodu starszy bezbronny mężczyzna został brutalnie zamordowany, a na ścianie nad jego ciałem napisano AVO? Miklos Farkas nigdy nie był w Partii Komunistycznej, ani tym bardziej w tajnej policji. Kim był jego wnuk i co robił w Budapeszcie? Cassandra zagłębiła się w czytaniu.

\* \* \*

Zaledwie kilka ulic dalej, w redakcji „Budapest News” na Wielkim Bulwarze, Alex tępo wpatrywał się w widok za oknem. Niebo było szare i ciemne, przechodnie kulili się w strugach deszczu. Okna redakcji wychodziły na kutą w żelazie fasadę Dworca Zachodniego. Dawna poczekalnia w stylu *art nouveau* została przekształcona w McDonalda. Alex widział podróżnych ustawiających się w kolejce po kawę w papierowych kubkach. Przejeżdżający obok tramwaj obklejony był szczelnie plakatami z uśmiechniętym Sanzlermannem.

Alex wziął do ręki zatłuszczone pudełko po Big Macu i wyrzucił je do najbliższego śmietnika. Spojrzał na swoje zabałaganione biurko. Stare oświadczenia prasowe, wycinki, wydania „International Herald Tribune” oraz „The Economist”, kubki z zimną kawą, pół banana, najnowsze numery „Magyar Tribün” i „Ebredjetek Magyarok!”. Jedyne pozory porządku zostały zachowane w pobliżu trzech oprawionych w ramki fotografii w rogu biurka. Na jednym widniał Alex, trzymający za ręce Miklosa i Ruth; na drugim, oficjalnym, byli jego

rodzice; trzecie, rozmażane, zostało zrobione w barze Holiday Inn w Sarajewie i przedstawiało grupkę zagranicznych korespondentów, w hełmach i kamizelkach kuloodpornych, trzymających przy ustach butelki z piwem. Alex próbował zjeść banana, ale kęs utkwiał mu w gardle. Ronald Worthington, redaktor naczelny, dzwonił do niego wcześniej i dał mu wolne do końca tygodnia. Jednak Alex nie mógł spać, a siedzenie w domu w samotności było ostatnią rzeczą, o jakiej marzył. Czuł się strasznie samotny.

Rodzice Alexa, Edward i Caroline, zginęli w wypadku samochodowym w drodze na przyjęcie, kiedy Alex miał zaledwie osiem lat. Dorastał w szkołach z internatem, a co roku w lecie jeździł na Węgry, do Miklosa i Ruth, od których nauczył się płynnie mówić po węgiersku. Byli jedyną rodziną, jaką znał - oboje rodzice byli jedynakami, a w dodatku matka nie miała w ogóle kontaktu ze swoimi bliskimi. Alex wziął do ręki zdjęcie z Ruth i Miklosem. Wakacje nad Balatonem. Tafla wody migotała turkusowo, w oddali można było dostrzec przepływające żaglówki. Miklos trzymał go za jedną rękę, Ruth za drugą. I tak stali we trójkę na brzegu, w słońcu, mrużąc oczy. Alex pamiętał ten dzień bardzo dokładnie; lody czekoladowe i langos, węgierskie placki smażone w głębokim tłuszczu, równie pyszne, jak ciężkostrawne. Chłodna trawa pod stopami, orzeźwiający zapach wody. I wspaniały, czerwony latawiec - prezent na dziewiąte urodziny.

Wytarł oczy, odstawił zdjęcie i włączył telewizor. CNN pokazywała właśnie rosyjskie czolgi pokonujące ulice zbombardowanego miasta. Kolejna dawna republika radziecka dostawała brutalną lekcję od Moskwy - niepodległość to jedynie puste słowo. Alex nie musiał być w tym kraju, żeby wiedzieć, jak to wygląda.

*Zapach kordytu, budynki drżące w posadach. Wydaje się, że nic już nie jest trwałe. Jego drugi dzień w Sarajewie. Stara się zachowywać tak, jak inni reporterzy: nonszalancko i cynicznie. W środku jednak czuje paniczny strach, który wije się niczym żmija w jego wnętrzościach. Już trzech z jego kolegów zostało rannych: jeden dostał w twarz, drugi w nogę, a trzeci oberwał odłamkami szkła. Nie chce tu zginąć. Idzie ulicą Marszałka Tity, kiedy słyszy brzęk stłuczonej szyby w oknie sąsiedniego budynku. Tłum rzuca się w panice do wejścia najbliższego bloku mieszkalnego. On jednak przywiera do muru. Na środku ulicy, wyjąk ze strachu, siedzi stara kobieta. Kula uderza w asfalt zaledwie kilka stóp od niej. Kolejny pocisk, tym razem jeszcze bliżej.*

*Snajper jakby delektuje się tą chwilą, prowadzi swoją grę. Strzela po kolei do wszystkich pobliskich okien. Deszcz drobinek szkła spada na kobietę, która skulona wije się na ziemi, nasłuchując kolejnych wystrzałów. Dźwięk tłuczonego szkła, dźwięk szkła upadającego na chodnik. Ostry zapach spoconego tłumu. Zaskakujące, jak głośno potrafi krzyżeć tak stara kobieta.*

Wciąż jeszcze pamiętał nagłówek: „Pod ostrzałem na ulicach Sarajewa”. Artykuł zajmował większość pierwszej strony, zamieszczono również zdjęcie. Robił notatki i obserwował, jak dwóch mężczyzn wybiegło na ulicę, aby ratować kobietę, kiedy snajper otworzył ogień. Towarzyszył staruszce w karetce, w drodze do szpitala. Nie została nawet draśnięta, zmarła jednak w wyniku doznanego szoku.

Dziennikarstwo było oczywistym wyborem dla kogoś, kto zawsze czuł się outsiderem, obserwatorem. Na Węgrzech tęsknił za Anglią - tamtejszą stabilizacją, umiarem, poczuciem rozsądku. W Anglii dopadał go smutek za Węgrami, za ich żarliwymi, entuzjastycznymi mieszkańcami i ich niekończącymi się huśtawkami nastrojów. Studiując historię na uniwersytecie w Manchesterze, spędzał większość czasu w redakcji szkolnej gazety. Podawał się za nielegalnego imigranta i pracował jako sprzątac, aby potem zdobyć studencką nagrodę dziennikarską za przedstawienie problemu wyzysku imigrantów w pracy. Zapewniło mu to staż w „Daily Sentinel”, będący marzeniem niejednego absolwenta dziennikarstwa. Szybko

zaczął się specjalizować w artykułach dotyczących „historii z życia wziętych”. Instynktownie potrafił słuchać, wiedział, kiedy przyprzeć kogoś do muru, a kiedy milczeć. Często wydobywał od swoich rozmówców zaskakujące zwierzenia.

Alex miał dwadzieścia trzy lata, kiedy po raz pierwszy został wysłany do Vukovaru i Sarajewa jako korespondent „Daily Sentinel”. Pojechał tam pełen zapału, przepełniony 1 świętym oburzeniem, z mocnym postanowieniem opowiedzenia całemu światu o stratach, jakie w wyniku wojny ponosi cała ludzkość. Jego starsi koledzy po fachu narzekali że jest za młody, jednak to właśnie jego sprawozdania wyróżniały się spośród innych. Alex potrafił uchwycić niezwykle sugestywne obrazy: chorwacka chata, opuszczona przez mieszkańców w połowie posiłku, w której na stole stoją talerze parującej jeszcze zupy. Nastoletni mużulmański bojownik z przerażeniem w oczach, wstrząśnięty faktem, że jego najlepszy przyjaciel został zastrzelony tuż obok niego. Osmalone szczątki serbskiej ikony w zdemolowanym kościele prawosławnym. Po Bośni było jeszcze Kosowo, Czeczenia i Afganistan. Nauczył się wyciągać najdrobniejsze szczegóły tragicznych zdarzeń od jedynej ocalałej osoby, potrafił zakodować w głowie szczegółowy obraz sceny masakry, a także prowadzić auto pod ostrzałem. Zmieniały się kraje, ale reszta pozostawała taka sama: zazdrosne spojrzenia lokalnych dziennikarzy przed wylotem, gruby plik dolarów w saszetce przy pasku, samolot do najbliższej stolicy, briefingi dyplomatów i organizacji charytatywnych, noce w obskurnych pseudohotelach bez ciepłej wody i ogrzewania, w miejscowościach, których próżno szukać na mapie, i przelotne, szalone związki.

Zanim zrozumiał wreszcie, że świat wcale nie interesuje się tym, co ma do powiedzenia, Alex popadł w uzależnienie. Krew zaczynała w nim buzować, kiedy wchodził pomiędzy zapory przeciwczołgowe, worki z piaskiem i stanowiska ogniowe, za którymi zaczynała się ziemia niczyja. Potem zaczęły się wyprawy do strefy śmierci, gdzie w powietrzu gęstniała groza, a zastrzyk adrenaliny był tak potężny, jakby gotowały się wszystkie jego zmysły. Czuł zapach dymu, którego kłęby dostrzegał z odległości kilometra, słyszał świst każdego naboju, widział żołnierzy kulących się przy każdym wybuchu pocisku. Wpadanie w ten wir i wydostawanie się z niego z historią do opowiedzenia było euforycznym doznaniem, lepszym niż seks. Jakaś część jego osoby pokochała nawet zapach wojny - zapach spalonego drewna, zgnilizny, kordytu, potu. Najbardziej wyjątkowa była jednak panująca tam atmosfera przyjaźni i braterstwa. Tylko oni żyli tak, jak żyli. Wszędzie tam, gdzie paliły się budynki, a ludzie zabijali się nawzajem, tam byli też oni - jego przyjaciele i koledzy, banda zwariowanych pasjonatów, gotowych podzielić się z innymi wszystkim, co mieli, od notatek z wywiadów po ostatnią kroplę whisky. Czuł, że tworzyli jedną wielką rodzinę. Szczególnie na pogrzebach.

Po czwartym pogrzebie powiedział w końcu dość. Odmówił wyjazdu do Iraku i poprosił o transfer z działu zagranicznego do krajowego. Wziął półroczny urlop naukowy, którego większość spędził na niewielkiej greckiej wysepce, po czym rozpoczął pracę dziennikarza politycznego w Westminsterze. Dawniej czułby pewnie ekscytację na myśl o demaskowaniu intryg i gier w Parlamencie. Ale teraz te wewnętrzne rozgrywki pozostawiały go obojętnym, co widać było wyraźnie w jego artykułach. Pewnego popołudnia uświadomił sobie, że od trzech godzin patrzy bezmyślnie na Tamizę. Redaktor naczelny nie przyjął jego wypowiedzenia i zaprosił go na rozmowę. Zaczął opowiadać o węgierskiej gazecie, „Budapest News”, którą właśnie wykupił „Daily Sentinel”. Jej pracownicy wymagali dobrego przeszkolenia, a sama gazeta - porządną reformę. Wybór Alexa, ze względu na jego węgierskie pochodzenie, był oczywistością. Zaproponowano mu roczny kontrakt z londyńską pensją. Przyjął ofertę. Praca była łatwa i przyjemna, jednak teraz, po śmierci dziadka, nic go już w Budapeszcie nie trzymało.

Zapisał jego telefon. SMS: „Moje najszczerze kondolencje. Bądź o czwartej. M.”.

\* \* \*

Natasza Hatvani usiadła przy biurku. W jednej dłoni trzymała kubek z kawą, a w drugiej dużą brązową kopertę. Postawiła gorący napój na grubym raporcie na temat prania brudnych pieniędzy w Europie Wschodniej, odłożyła na bok kopertę i zabrała się za sprawdzanie e-maili. Od razu odruchowo skasowała sześć wiadomości wysłanych z jednego konta i dodała [nearsuicidal@webmail.com](mailto:nearsuicidal@webmail.com) do listy zablokowanych adresów - nadawca otrzyma sześć informacji o „adresacie nieznanym”. Na liście zablokowanych była tylko jedna osoba, która jednak założyła już dwadzieścia dwa konta e-mailowe. Co kilka dni Gabor Urban rejestrował się w kolejnym serwisie i pod nowym pseudonimem rozpoczynał spamowanie. Zmiana jej adresu e-mail nic by nie zmieniła - dane kontaktowe wszystkich reporterów dostępne były na internetowej stronie gazety. Kliknęła myszką na przycisk „Blokuj słowa”. Szybko wklepała „zraniony Węgier” i „błagam, wróć”. Rozparła się wygodnie na krześle i zjadła pół czekoladowego batonika, który znalazła koło swojego telefonu. Teraz każda wiadomość zawierająca te słowa będzie automatycznie odrzucana. A tylko jedna osoba zdolna była do takich e-mailowych deklaracji.

Natasza rozpoczęła pracę w „Budapest News” rok wcześniej jako recepcjonistka z silnym postanowieniem szybkiego awansu na stanowisko reporterki. Do biura przychodziła jako pierwsza, punktualnie o dziewiętej, a wychodziła ostatnia, często grubo po dziesiętnastej. Nigdy nie narzekała, pracowała szybko i dokładnie. Ale nie integrowała się z resztą kolegów na redakcyjnych imprezach, chociaż ostatnio zaprzyjaźniła się z Kitty Kovacs, specjalistką od reklamy. Natasza była wysoka i szczupła, jej ciemne półkrótkie włosy okalały twarz o błyszczących zielonych oczach i wystających kościach policzkowych. Urodę słowiańskiej

Nefretete zawdzięczała dziadkowi Rosjaninowi. Mówiła płynnie po rosyjsku i całkiem niezłe po polsku i słowacku, co pomogło jej dostać się na staż - pracowała przy dziennikarskim śledztwie dotyczącym działalności moskiewskiego mafiosa, który ulokował się w Budapeszcie. Udowodniła, że potrafi rozmawiać z ludźmi, wydobywając informacje zarówno od policji, jak i od biznesmenów. Jej atrakcyjny wygląd sprawiał, że większość osób nie brała jej poważnie i przez to chętnie dzieliła się różnymi wiadomościami, chcąc jej zaimponować. Szybko awansowała.

Natasza przejrzała portale informacyjne. „Były opozycjonista znaleziony martwy we własnym mieszkaniu - policja podejrzewa, że mogło to być morderstwo” - tekst wypełniał główną stronę „Magyar Tribün”. „Świński łeb - krwawy koszmar w mieszkaniu eksopozycjonisty” krzyczały nagłówki tabloidów. Przeczytała, jak znaleziono ciało Mikłosa i że policja wszczęła już śledztwo. Natasza była wstrząśnięta. Pamiętała jedno spotkanie z dziadkiem Alexa, ujmującym dżentelmenem starej daty.

Wzięła do ręki kopertę i ruszyła do pokoju Alexa. Niepewnie stanęła w drzwiach.

- Właśnie się dowiedziałam. Tak strasznie mi przykro, Alex. Co się tam stało?

- Dzięki. Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że sekcja zwłok to wyjaśni - odparł Alex.

Przed oczami znowu stanął mu obraz nieruchomego ciała dziadka i namalowanych nad nim liter AVO. Pod palcami znów poczuł szklane drobinki.

Przyciszył telewizor i gestem zaprosił ją do pokoju.

Niedługo po tym, jak awansowała, Alex zabrał Nataszę na kawę. Nie udało mu się dowiedzieć niczego o jej życiu prywatnym, oprócz tego, że mieszkała ze swoją mamą. Zaintrygowany jej tajemniczością, jeszcze dwukrotnie zaprosił ją potem na lunch. Po dwóch odmowach poddał się i od tej pory był wobec niej równie sztywny i formalny, jak ona wobec niego. Inni dziennikarze ubierali się nieformalnie ale ona zawsze miała na sobie spodnie w kant i marynarkę. Alex zauważył, że miała tylko dwa takie zestawy, jeden granatowy i jeden czarny. Dziś przyszła w tym drugim - dobrze skrojona marynarka i rozszerzane u dołu

spodnie. Wszelkie krawieckie poprawki nanoszone były tak umiejętnie, że niemal nie dało się ich dostrzec.

- Potrzebujesz czegoś, mogę ci jakoś pomóc? - spytała niepewnie, pozostając ciągle w sporej odległości od jego biurka.

Alex uprzątnął stertę papierów z pobliskiego krzesła i wskazał ręką, aby usiadła. Przycupnęła sztywno na brzegu krzesła, wyprostowana, z dłońmi na kolanach, jakby w oczekiwaniu na polecenia.

- Dzięki, jakoś daję sobie radę - odparł. - Co masz w tej kopercie? - spytał po kilku sekundach niezręcznej ciszy, j

W kopercie była złożona kartka papieru formatu A3. Po jej rozłożeniu ich oczom ukazał się plakat wyborczy przedstawiający Attilę Hunkalffyego, szefa partii Węgierski Front Narodowy, oraz stojącego obok Franka Sanzlermanna. Obydwaj panowie patrzyli przed siebie stanowczym wzrokiem. „Praca, Rodzina, Jedność” - głosił plakat. Natasza wręczyła go Alexowi.

- Jak to zdobyłaś? - zapytał, przyglądając się jej uważnie.

- Sam radziłeś mi, abym nawiązywała kontakty. Nawiązałam.

- Dobra robota. To jest materiał na pierwszą stronę - pochwalił ją Alex, siadając wygodniej za biurkiem.

„Skoncentruj się na pracy” - pomyślał. - „Może praca pozwoli zapomnieć o bólu”. Wygląda na to, że Sanzlermann postanowił współpracować z Attilą Hunkalffym. Co w takim razie stanie się z Csintorim? Najpewniej niebawem straci stanowisko. Istvan Kiraly nie zająknął się o tym wszystkim ani słówkiem. Hunkalffy miał pięćdziesiąt parę lat, był zagorzałym nacjonalistą, przystojnym, charyzmatycznym profesorem specjalizującym się w poezji węgierskiej. Wywodził się z rodziny o bogatej tradycji literackiej. Jego długie czarne włosy, spięte w kucyk, poprzątkowane gdzieś srebrnymi nitkami, stanowiły jedyny dowód jego artystycznej przeszłości. To Hunkalffy osobiście złożył wniosek o wotum nieufności, który niemal pogrzebał rząd. Kilku posłów z partii Csintoriego już przeszło do jego partii, w tym mający ogromne wpływy minister spraw wewnętrznych.

- Musimy natychmiast wrzucić to na naszą stronę internetową - kontynuował Alex. - Poproś, żeby to zeskanowano. Potrzebuję do tego krótkiego artykułu, na pięćset słów, plus drugie tyle komentarza, co ta sytuacja może oznaczać dla rządu Csintoriego. Chcę to mieć na biurku po południu, najpierw artykuł,

- Oznacza to tyle, że ten rząd jest skończony. Obydwa teksty dostarczę ci jeszcze przed lunchem - odpowiedziała Natasza.

Wychodząc, spojrzała na chaos buchający z ekranu telewizora. Na ziemi, w rozkroku, siedziała starsza kobieta, a na jej białych włosach widać było krew. Trzymała głowę w dłoniach i kiwała się w przód i w tył, odpychając od siebie żołnierzy, którzy chcieli pomóc jej wstać.

- Co oglądasz?

- Rosyjskie siły powietrzne ostrzeliwujące cywili gdzieś na Kaukazie.

Zjeżyła się.

- Rosyjscy piloci nie zabijają niewinnych ludzi.

- Być może nie celowo, ale nie martwią się zbyt, jak im się to przytrafi. Widziałas Groźny po tym, jak przejęli go Rosjanie? - Kiedy pokręciła przecząco głową, kontynuował: - A ja tak. Przynajmniej to, co z niego zostało.

- Mój dziadek był sowieckim pilotem w czasie drugiej wojny światowej - odparła Natasza, a w jej głosie słychać było napięcie. - Zestrzelił jedenaście niemieckich myśliwców. Rebelianci używają pewnie cywili jako żywych tarcz. Zawsze tak się dzieje.

- Być może. Ale Rosja jest państwem i jako państwo powinna przestrzegać prawa wojennego.



- Jakiego znowu prawa? - Natasza zaśmiała się nieco historycznie. - Niemcy zestrzelili samolot mojego dziadka i wysłali go do Dachau. Zostawił żonę i trójkę dzieci, w tym moją mamę. Nigdy go już nie zobaczyli. Ty przynajmniej mogłeś pobyc z swoim dziadkiem. Nie ma żadnych reguł, Alex. Już dawno powinienes o tym wiedziec. - To mówiac, zwinęła plakat i wyszła.

\* \* \*

Cafe Casablanca była malutką knajpką na ulicy Akacfa, wcisniętą pomiędzy zamkniętą na cztery spusty garaż a sklep oferujący używany sprzęt elektroniczny. Mieszcząca się niedaleko słabo oświetlona restauracja oferowała niedrogie lunche w postaci zup z makaronem. Żaden z zagranicznych deweloperów nie dotarł jeszcze do tej części siódmej dzielnicy, która sąsiadowała z ósmą, Józsefvaros, cygańską. Na budynkach nadal widniały ślady po bombardowaniach i walkach z czasów oblężenia w 1944 roku. Bezdomny mężczyzna z wychudzoną twarzą pokrytą brudem spał twardo na ławce, ciasno obejmując plastikową torbę, stanowiącą cały jego dobytek.

Alex przestąpił próg kawiarni. Jej nieliczni goście zamilkli nagle, jakby za naciśnięciem guzika. Kilku mężczyzn w skórzanych kurtkach, zgarbionych przy swoich stolikach, przyglądało mu się podejrzliwie. Barmanka spoglądała w jego stronę bez cienia uśmiechu. W powietrzu było aż gęsto od dymu papierosowego, a w tle rozbrzmiewał śpiew arabskiej piosenkarki. Duży, ogolony na лыso mężczyzna uniósł rękę w powitalnym geście. Wydawało się, że całe pomieszczenie odetchnęło, goście powrócili do przerwanych rozmów. Alex uśmiechnął się do barmanki i poprosił o kawę. Napełniła wodą niewielki mosiężny dzbanek, a potem wysypała do niego dobrą turecką kawę. Intensywny zapach wypełnił salę. Właściciel kawiarni pojawił się w momencie, kiedy gęsty napar zaczynał się już gotować.

- Alex, przyjacielu. Chodź, usiądź ze mną - to mówiac, zaprowadził Alexa w głąb lokalu.

Mubarak Fonseca był pół Palestyńczykiem, pół Kubańczykiem, pozostałością po czasach komunizmu na Węgrzech. Jego ojciec i matka byli studentami inżynierii. Poznali się i zakochali na Uniwersytecie Budapesztańskim w latach sześćdziesiątych, kiedy to Węgry wypełniały swój braterski, internacjonalistyczny obowiązek kształcenia studentów z krajów rozwijających się. Jego rodzice od dawna byli już rozwiedzeni i wyjechali z kraju, ale Mubarak postanowił zostać. Po ojcu odziedziczył śniadą karnację, po matce - ciemne kręcone włosy. I jak oboje miał brązowe oczy zdolne zahipnotyzować tego, na kogo patrzył. Kilka pokoleń wstecz w jego rodzinie trafić się musiał ktoś bardzo obrotny, po kim Mubarak odziedziczył smykałkę do interesów, i jeszcze ktoś, komu zawdzięczał koszmarny gust. Dziś miał na sobie różowe spodnie, obcisłą czarną koszulę oraz aksamitną marynarkę w kasztanowym kolorze.

Mubarak zdobył kiedyś mistrzostwo Węgier w karate, co przydało mu się wielokrotnie w niezliczonych pojedynkach o tytuł króla budapesztańskich cinkciarzy. U Mubaraka kurs walut był zawsze lepszy niż w jakimkolwiek banku. Nigdy nie kantował swoich klientów i zawsze pamiętał o łapówkach dla policjantów, dzięki czemu mógł swobodnie prowadzić interesy. Nawet Rosjanie korzystali z jego usług, kiedy już udało się zawrzeć rozejm po ich nieudanej próbie przejęcia biznesu, która zakończyła się wyjątkowo przykro dla kilku żołnierzy mafii - byli zmuszeni wrócić do Moskwy na długotrwałą rekonwalescencję. Mało było rzeczy w węgierskim przestępczym światku, o których nie wiedziałby Mubarak.

Mężczyźni usiedli przy stoliku w rogu.

- Po pierwsze, Alex, chciałbym złożyć ci wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci twojego dziadka - zaczął Mubarak. Barmanka przyniosła właśnie talerzyk orzechów pistacjowych i dwie kawy w małych filiżankach. - To straszna tragedia.

- Dziękuję - odpowiedział Alex.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wyjął z niego baterię. Widząc to, Mubarak uczynił to samo, po czym sięgnął po pistację. Rozgryzł zębami twardą skorupkę i wyrzucił do popielniczki. Był od nich uzależniony i zazwyczaj zjadał torebkę dziennie.

- Wczoraj sprawdzałem lokal, czy nie ma pluskiew - uspokoił Alexa, pokazując palcem sufit. - Ale niebawem znajdą inne sposoby na podsłuchiwanie nas i na nic się zda wyjmowanie baterii.

- Kto wie, może już mają nowe sposoby?

- A wiesz, że pewnie masz rację - przytaknął Mubarak, wdychając ciężko nad trudnymi czasami, w jakich przyszło mu prowadzić interesy. Gawędzili jeszcze przez chwilę, wymieniając uprzejmości, tak jak nakazywała etykieta.

- Powiedziałaś, że masz dla mnie jakieś informacje - zaczął w końcu Alex, popijając kawę.

Mubarak wyprostował się i wziął kolejną garść pistacji.

- Chodzą słuchy, że płyną tu pieniądze. Dużo pieniędzy. Z Zachodu: z Austrii, a w szczególności z Niemiec. Starzy znajomi, wracający do miejsca, w którym zawsze czuli się dobrze, przywożący mnóstwo pieniędzy, i to pieniędzy, o których posiadanie nawet ich nie podejrzewano. Tak, Węgry są państwem demokratycznym. Ale ta demokracja jest jeszcze młoda. Podatna na wpływy. Niczym nastolatek, którego łatwo omamić szybkimi samochodami i grubymi plikami banknotów. Podążaj pieniężnym szlakiem, mój przyjacielu - zakończył, podsuwając Alexowi talerzyk z pistacjami.

Alex wziął kilka orzeszków.

- Jeśli wiesz cokolwiek na temat śmierci mojego dziadka...

- Żadnych konkretów, to tylko moje podejrzenia. Dzieje się coś dziwnego. I zastanawiam się, czy nie jest to jakoś powiązane - powiedział Murabak, pocierając kciukiem o palec wskazujący i marszcząc nos. - Fakt, robię w czarnym rynku, ale ludzie potrzebują dolarów i euro. Nie chcą wypełniać formularzy i innych papierków. Kto wie, na czym biurku miałyby one później wylądować? Obracam walutą po rozsądnych kursach, korzystnych nawet. I wręczam pliki prawdziwych pieniędzy, a nie zwitki jugosłowiańskich dinarów albo papier toaletowy. Oczywiście, że władze o mnie wiedzą. Mamy swój *modus vivendi*. Zaspokajam zapotrzebowanie społeczne. Niczym George Soros, jestem kapitalistą budującym wolnorynkowe społeczeństwo.

- I dajesz ludziom łapówki - stwierdził Alex, rozbawiony roztaczaną przez Mubaraka wizją jego osoby jako filantropa.

- No tak, to też. Ale ostatnio ludzie, z którymi współpracuję, zrobili się strasznie chciwi. Mówię o tych, którzy pozwalają mi działać za odpowiedni procent. W ogóle nie myślą przyszłościowo, kombinują tylko, jak najwięcej zarobić tu i teraz. Moje marze to jakiś żart. Socjaliści byli pod tym względem dużo lepsi. Patrzyli długoterminowo. Wystarczy przypomnieć sobie te wszystkie plany pięcioletnie. Może przeniosę się na Kubę? Będę słuchał Buena Vista Social Club, pił rum i palił cygara z Fidelem. Komuniści ciągle potrzebują dolarów.

Mubarak oparł się wygodnie, zapalił papierosa i wypuścił w górę kłąb dymu. Położył dłoń na ramieniu Alexa.

- Uważaj na siebie, mój przyjacielu - powiedział, a jego głos brzmiał teraz śmiertelnie poważnie.

## Rozdział 4

Peter Feher zdawał sobie sprawę z faktu, że wygląda już na swoje lata. Chodził zgarbiony, skóra na nim wisiała, a bladą twarz okalały resztki włosów starannie zaczesywane na różową łysinę. Zdawało się, że jego wielki spiczasty nos zawsze wchodzi chwilę przed nim samym. Nadmierny wysiłek wywoływał u niego napady mokrego kaszlu. Ale jego błękitne oczy nadal wylapywały najdrobniejsze szczegóły, a prawniczy umysł pozostawał ostry jak brzytwa mimo upływu lat. Badawczo przyglądał się posępnym żałobnikom, zgromadzonym tłumnie wokół grobu na budapesztańskim cmentarzu żydowskim. Nie brakowało ważnych postaci: posłów wszystkich głównych partii, byłych opozycjonistów, którzy odnaleźli się jako wykładowcy na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim, przedstawiciele środowiska teatralnego. Licznie przybyli również dziennikarze - niektórzy, aby pożegnać zmarłego, inni, aby zdać raport z uroczystości. Pojawił się nawet minister kultury w rządzie Csintoriego. „Miklos, byłbyś dumny, widząc dziś ten tłum” - pomyślał Feher,

Cmentarz był usytuowany niedaleko Budapest Keleti, głównego dworca stolicy. Stukot kół wagonów zmierzających na północ, w kierunku Polski, stanowił ciche tło dla uroczystości pogrzebowej. Pociągi niosły dalej w świat słowa rabina recytującego Kadisz, modlitwę za zmarłych. Rabin był młodym, pewnym siebie mężczyzną obdarzonym donośnym barytonem. Feher przyłączył się do modlitwy, z namaszczeniem recytując aramejskie słowa, którymi od tysięcy lat Żydzi żegnali swoich bliskich.

- *Jitgadal wejtkadasz szemeh* raba, niech będzie wywyższone i uświęcone Jego wielkie Imię - recytował. Nadal i bez problemu pamiętał tekst całej liturgii. Osiemdziesiąt dwa lata na tym świecie, a on wciąż czekał na swoją kolej, i aby umrzeć. Obserwował teraz, jak rabin podaje Alexowi łopatę. Alex stanowczo ujął ją w dłoń i wbił w usypany obok pagórek ziemi. Jako pierwszy przysypał trumnę. Grudki ziemi spadały cicho. Alex otarł zapłakane oczy i przekazał łopatę kolejnej osobie, a ta następnej. W końcu przyszła też kolej na Fehera. Potem żałobnicy zaczęli stopniowo opuszczać cmentarz, po drodze dziękując rabinowi. Alex i Feher zostali. Stali razem nad grobem przez kilka minut, każdy zatopiony myślach, po czym ruszyli w kierunku miejskiego zgiełku. Alex wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Nie ma mowy, Alex, nigdzie jeszcze nie idziesz - zaprotestował Feher - Spiesz ci się gdzieś? Chodź, wypijemy razem kawę albo coś mocniejszego. Oczywiście, jeśli masz czas - zaproponował, jednocześnie łapiąc taksówkę.

Samochód zatrzymał się kilka metrów od nich. Alex ruszył za Feherem.

\* \* \*

Cukiernia Margaret Patisserie mieściła się na końcu Bulwaru Świętego Stefana, blisko Dunaju. Nazwę nadano jej od pobliskiego mostu. Swoim klientom oferowała nie tylko napoje i przekąski, ale i małą podróż w czasy socjalizmu. Rzędy kolorowych ciastek wyeksponowanych w szklanych gablotkach zdobiła sztuczna, nienaturalnie biała śmietana; Serwowana tam kawa była gęsta i letnia, za to wyjątkowo mocna. Parzono ją w dziwnym urządzeniu pamiętającym poprzednią epokę i przelewano do niskich, pękatych szklanek. Apatyczne kelnerki to stały znudzone za ladą i paliły papierosy, to znów przechadzały się zalotnie pośród prostych, drewnianych stolików ze zdekompletowanymi krzesłami. Ściany pokrywało ciemne drewno, przesiąknięte dymem tytoniowym, a podłogi - zniszczone linoleum. Był to cudowny skansen, co niechybnie oznaczało, że za pół roku powstanie w tym miejscu kolejny fast food.

Siedli przy stoliku w kącie sali. Feher uśmiechnął się do kelnerki, której misternie ułożona fryzura, przypominająca ul, zdawała się przeczyć prawom grawitacji. Szybko

przyniosła im tacę z kawą i kieliszkami węgierskiej brandy, a do tego talerz wypełniony ciastem czekoladowym i jabłkowym strudlem.

- Na koszt firmy. Był tu stałym gościem, będzie nam go bardzo brakować - powiedziała kelnerka.

Alex i Feher porozmawiali chwilę o pogrzebie, po czym Feher skupił się na słodyczach. Alex starał się nie przyglądać za bardzo, kiedy starszy pan w nabożnym skupieniu cicho i sprawnie pochłaniał kolejne kęsy. Dwa kawałki czekoladowego ciasta i jeden kawałek straciła zniknęły z talerza w kilka minut. Alex podniósł wzrok i zobaczył zmierzającego w ich kierunku starszego pana w okularach w rogowej oprawie, ubranego w przetrąty wojskowy płaszcz. W rękę trzymał plik gazet. Niektóre dopiero co się ukazały - Alex czuł jeszcze zapach farby drukarskiej. Feher odłożył widelec.

- To mój długoletni przyjaciel, Eduard Szigeti. Jak się masz? - powitał gazeciarza.

Alex wstał, przywitał się i przedstawił, podając najpierw nazwisko, zgodnie z węgierskimi zasadami.

- Farkas. Jest pan krewnym? - spytał Eduard.

- Miklos był moim dziadkiem.

- Moje kondolencje. Widziałem relację z pogrzebu w telewizji. Sporo ludzi.

- Co tu masz? - zapytał Feher, patrząc na gazety.

- Wydanie specjalne. Piątkowy dodatek „Magyar Tribün”. Osiem stron. Koniec Csintoriego. Zwołano nadzwyczajne posiedzenie parlamentu, będą ustalać, jak uformować nowy rząd. Mam też inne gazety, jeśli chcecie.

Przecucie mnie nie myliło, pomyślał Alex. Na głos spytał tylko:

- Csintori ustąpił?

Szigeti wyglądał na rozbawionego.

- W pewnym sensie. Upadł podczas przemówienia na temat europejskich wyborów prezydenckich. Nie żyje; Mówią, że to był zawał.

- Zawał? - Alex był zdumiony. - Przecież miał dopiero czterdzieści sześć lat.

- Kupujesz coś, czy może chcesz wszystkie wiadomości za darmo? - odparł Szigeti, postukując palcem w gazety.

Feher kupił dwa egzemplarze wydania specjalnego i poprosił o „Ebredjetek Magyarok!”. Szigeti uniósł znacząco brwi, ale nie powiedział ani słowa. Feher podał Alexowi „Magyar Tribün”. Gazeta pełna była rozważań o tym, co śmierć Csintoriego oznacza dla przyszłości Węgier. Kilka artykułów nawiązywało do tekstu Nataszy ze strony internetowej „Budapest News”. Przy ich stoliku przez kilka minut panowała cisza, kiedy obydwaj czytali gazety. Feher się zamyślił.

- Wiesz, że on był profesorem estetyki? - zapytał, pijąc kawę małymi łykami.

- Szczerze mówiąc, myślałem, że był socjologiem - odparł Alex, wyraźnie zaskoczony.

- Mówię o Szigetim, nie o Csintorim. Przez czterdzieści lat wykładał na Uniwersytecie Budapesztańskim. Wyrzucili go w zeszłym miesiącu, dając dwie godziny na zabranie rzeczy. Jego następcą prowadzi nowy kurs: „Życie i osiągnięcia admirała Horthyego”. Wynika z niego, że admirał nie miał innego wyboru niż zawiązanie sojuszu z Hitlerem i wydanie w jego ręce ponad pół miliona Żydów w sześć tygodni. Cóż, można i tak na to spojrzeć - stwierdził sucho. - Co się zaś tyczy Csintoriego, to nigdy wcześniej nie miał problemów z sercem, nie palił, a ostatnie wyniki EKG miał świetne...

- Skąd to wiesz? — zapytał Alex, z zaskoczeniem przyglądając się starszemu panu.

- Słyszę to i owo - odpowiedział Feher, wyjmując papierosa z paczki zrobionej z lichego papieru. Widniał na niej rysunek koła zębatego oraz napis „Munkas”, czyli „robotnik”. Pozostałość z czasów, kiedy nie było jeszcze reklam i fast foodów. Kiedy Feher zapalał papierosa, Alex zauważył na jego przedramieniu jakieś cyfry w kolorze atramentu.

Uświadomił sobie, że nie są to ślady na koszuli, ale bezpośrednio na skórze. Starał się nie

przyglądać zbyt natarczywie, ale wytatuowane cyfry przyciągały jego wzrok niczym wypadek drogowy.

Feher zorientował się, że Alex wbija wzrok w jego ramię. Zaciągnął się i dmuchnął gęstą chmurą szarego dymu. zaproponował papierosa Alexowi.

- Podróży pociągiem nie da się opisać. Jechaliśmy dwa dni. Kiedy dotarliśmy na miejsce, spytali mnie o zawód. Byłem studentem prawa, ale wiedziałem, że nie potrzebują tam prawników. Powiedziałem im, że jestem ślusarzem. W domu dorabiałem klucze do mieszkania i do biura mojego ojca, doszedłem więc do wniosku, że dam sobie radę. To wystarczyło. Ja poszedłem w prawo, a moi rodzice i siostra w lewo. - Trzęsącą się ręką podniósł filiżankę kawy do ust. - No i wciąż tu jestem - zakończył, z uśmiechem odstawiając kawę.

Alex nie wiedział zupełnie, co powiedzieć. Przyjął zaproponowanego papierosa, zapalił i głęboko się zaciągnął. Poczul, jak coś ściska go za gardło. Krztusząc się i kaszłąc, zgasił papierosa. Kelnerka, podśmiewając się, przyniosła mu szklanę wody. Przyjął ją z wdzięcznością i wypił duszkiem. Miał nadzieję, że jego głos brzmi już spokojnie.

- Jak myślisz, Peter, kto zamordował mojego dziadka?! - zapytał.

Feher wzruszył ramionami.

- Zakładam, że sekcja zwłok wyjaśni, od czego umarł. Prawdopodobnie był to atak serca, po napaści skinheadowi którzy włamali się do jego mieszkania. Tak przynajmniej spekulują dzisiejsze gazety.

- Wierzysz w to?

- Nie. A ty?

- W pokoju był łeb świni. Ktoś namalował na ścianie AVO czerwoną farbą - powiedział Alex, starając się jednocześnie pozbyć obrazu, który stanął mu przed oczami. - Ale on przecież nie należał do AVO. Nienawidził komunizmu! Sowieci zabrali mu dom, fabrykę, wszystko, co nasza rodzina posiadała. Oficerowie AVO aresztowali go po 1956 roku. Wsadzili go do więzienia.

- Ale ci sami Sowieci wyzwolili jego i tysiące innych; Żydów z getta. O tym też musisz pamiętać - odpowiedział przekornie Feher, wypuszczając dym nosem. - Ale masz rację, popełniono wiele błędów. To był inny świat. Chodzi o to, Alex, że twój dziadek był dobrym i dzielnym człowiekiem. Najwyraźniej ktoś nie chce, aby go tak zapamiętano.

Alex pokiwał głową. Feher ciągnął dalej:

- A jak szybciej i skuteczniej zniszczyć jego reputację, niż sugerując, że był tajnym współpracownikiem bezpieki? Wciąż są na świecie ludzie przekonani, że wszyscy Żydzi byli komunistami, a nawet jeśli występowali przeciwko władzy, to po prostu byli tajnymi komunistycznymi szpiegami. - Feher otworzył „Ebredjetek Magyarok!”. - O, popatrz. Już się zaczyna. - powiedział, wskazując na nagłówek „Miklos Farkas: Dysydent czy tajny agent AVO?” nad artykułem autorstwa Balazsa Noludiego, redaktora naczelnego.

Alex rzucił okiem na górnolotne frazesy, stanowiące zręczną mieszankę kłamstw, oszczerstw i wyrwanych z kontekstu fragmentów z jakichś samizdatów Mikłosa.

- Niewiarygodne - westchnął ze znużeniem. Nagle zamilkł na dłuższą chwilę. - Peter, byłeś komunistą? - zapytał ostrożnie.

- Owszem, przez pewien czas byłem. Armia Czerwona uwolniła mnie z Auschwitz. Nakarmili mnie i przyprowadzili z powrotem do domu. Wtedy wydawało nam się, że budujemy zupełnie nowy świat. W tamtym czasie ciągle klóciłem się o to z Mikłosem. To on miał rację, a ja się myliłem. Opuściłem partię po 1956. Jak myślisz, ilu członków liczyła węgierska partia komunistyczna w 1989 wówczas już zwana socjalistyczną?

- Niestety, nie wiem.

- Osiemset tysięcy. To całkiem sporo legitymacji partyjnych jak na kraj zamieszkały przez dziesięć milionów ludzi. To był czas, kiedy sowiecki reżim był najłagodniejszy, a mimo

to ciągle namawiano do wstępowania do partii. - Feher przeglądał dalsze strony „Ebredjetek Magyarok!”. - Nasz przyjaciel Balazs Noludi był na przykład sekretarzem partii w swojej wsi. Biedny Balazs, smutne miał życie.

- A to czemu?

- Jest Węgrem urodzonym na wsi w północnej Serbii. Napisał nawet niezłą powieść o wiejskim życiu, pełną wzruszających obrazków i pozytywnych bohaterów. Był samotny farmer zakochany w sklepikarce, burmistrz zmuszony do wstąpienia do partii, którego brat został zastrzelony po 1956. Był nawet ocalały z Holokaustu Żyd, ostatni w całej wiosce.

- I co się stało?

- Kiedy wybuchła wojna w Jugosławii, przeniósł się do Budapesztu. Liczył, że zostanie przyjęty do grona literackiej elity. Ale ci przemądrzali miastowi liberałowie rozdarli go na strzępy. Śmiali się z chłopca z prowincji ze śmiesznym akcentem. A on ma teraz okazję, aby się na nich zemścić.

Feher zamilkł na chwilę. Zawahał się, po czym najwyraźniej powziął jakąś decyzję. Rozejrzał się po sali i przysunął bliżej, tak blisko, że Alex poczuł zapach koniaku z jego ust.

- Ale on nie ma tak naprawdę znaczenia. A to, co ci teraz powiem, ma. W 1944 twój dziadek pracował jako kelner w hotelu Savoy. Miał lewe papiery. Mieliśmy wtedy paru przyjaciół, niezbyt wielu, ale kilku. Kelnerzy są niewidzialni dla gości, ale patrzą, obserwują, słuchają. Tak robił też twój dziadek.

- Co takiego usłyszał?

- Przez całą jesień czterdziestego czwartego przez hotel Savoy przewinęło się wielu niemieckich i szwajcarskich biznesmenów. Zostawali jedną, dwie noce, odbywali długie spotkania z nazistami. Potem, w grudniu, Sowieci przejęli miasto i nikt nie mógł z niego wyjść ani do niego wejść.

- Co to byli za Niemcy i szwajcarscy biznesmeni?

- Z firm, które w czasie wojny wykorzystywały ludzi jak niewolników. Te same firmy wciąż kontrolują niemiecką gospodarkę. Bankierzy z Zurychu wyprali ich krwawe pieniądze. Wiesz, że następnym prezesem Federalnego Urzędu Monetarnego będzie Niemiec? Ta osoba będzie mogła kontrolować politykę monetarną każdego państwa strefy euro.

- Tak, wiem o tym. Ale co Miklos mówił o tych rozmowach?

- Tylko tyle, że istotnie miały miejsce. Nie zapraszano go, aby w nich uczestniczył. W czasie wojny pracowałem dla Niemców. Warunki były straszne. Większość ludzi, z którymi pracowałem, umarła. Rząd napisał do mnie kilka lat temu i przekazał mi tak zwane odszkodowanie. Tysiąc marek niemieckich. Podarłem czek i odesłałem.

W głosie Fehera było słycać gniew. Ręce mu się trzęsły, kiedy zapalał kolejnego papierosa.

- Śmierć Miklosa nie była przypadkowa.

- Wokół jego ust widziałem drobinki szkła - powiedział Alex. - Był prawie niebieski. Czulem też zapach gorzkich migdałów. Nawet jeśli był to atak serca, to został on w jakiś sposób wywołany.

- Tak, wiem o tym. Pytanie brzmi, czy sam rozgryzł kapsułkę z cyjankiem potasu, czy też ktoś mu w tym pomógł?

Alex patrzył na niego z zaskoczeniem.

- Czy ty wiesz absolutnie wszystko?

- Nie. Nie wiem, dlaczego wydarzyło się to akurat teraz - odparł Feher. Spojrzał Alexowi w oczy. - A teraz ruszaj do pracy.

\*\*\*

Tego wieczora Alex długo stał na balkonie swojego mieszkania i patrzył na nocną panoramę miasta. Hotel Sawy poddany został niedawno gruntownej renowacji. Jego fasada w stylu art nouveau była delikatnie oświetlona. Alex obserwował podekscytowanych turystów wyrzeźbujących się z taksówek, w czasie gdy elegancko ubrani tragarze wypakowywali ich walizki, a uczynni portierzy otwierali przed nimi drzwi. Łuk Mostu Elżbiety wyginał się wdzięcznie nad Dunajem, rzucając złocisty blask na taflę wody. Rzeką sunął prom wypełniony turystami. Zachwyceni nocnym rejsem, jedli, pili i tańczyli. Alex otworzył butelkę czerwonego wina i sięgnął po tom wierszy Mikłosa Radnótiego, poety pochodzenia żydowskiego, który zginął na Węgrzech w 1944 roku, zastrzelony przez swoich węgierskich strażników. Kiedy później jego ciało ekshumowano, w płaszczu znaleziono ostatnie wiersze. Jego wczesne prace były lekkie, pełne radości, jednak Alex otworzył książkę na końcu. Te wiersze przepęłniały śmierć, ból i żal. Pięćdziesiąt lat później na Bałkanach nic się nie zmieniło. Alex widział kiedyś mużulański dom w odległej bośniackiej wiosce. Ten obraz wyrzył się w jego pamięci na zawsze.

*Protestancki krzyż nakreślony koślawo na białej ścianie kuchni. Na końcu każdego ramienia - napisane cyrylicą „S”. Te litery stanowią akronim: Tylko Jedność Może Ocalić Serbów - hasło Wielkiej Serbii. Cała rodzina nie żyje: babka, dziadek i ich córki. Starszy mężczyzna podjął przed śmiercią rozpaczliwą próbę ratowania kobiet. Mąż młodej kobiety leży przed domem, skulony w błocie, ściskając wciąż w dłoni zielony różaniec. Z jego głowy wypływa krew. W pobliżu ciała krąży kura, dziobiąc w ziemi. Mała dziewczynka ukryła się w stodole. Alex zasłania jej oczy, kiedy wyprowadzają do samochodu. Dziewczynka nie mówi ani słowa w ciągu całej podróży do Sarajewa. Nawet kiedy kula odbija się od dachu samochodu, mała jedynie kiwa się w przód i w tył.*

Alex wypił jeszcze trochę wina i włączył wiadomości. Spiker CNN informował właśnie, że niemiecki bank wysunął kilka kandydatur na stanowisko Prezesa Federalnego Urzędu Monetarnego. Rzeczniczka banku stała przed budynkiem ich siedziby głównej. „Nasz bank jest jednym z motorów europejskiej jedności. Głęboko wierzymy w to, iż członkowie naszego zespołu mogą pozytywnie wpłynąć zarówno na stabilizację finansową Europy, jak i na jej integrację ekonomiczną” - ogłosiła, zanim zniknęła za drzwiami mercedesa.

Alex przełączył na węgierski serwis informacyjny. Prezenter w średnim wieku o czerwonej twarzy na rękawie miał czarną opaskę na znak żałoby. „Węgierski parlament właśnie opowiedział się za utworzeniem nowego rządu” - zakomunikował. Alex na te słowa wyprostował się i podkreślił dźwięk. - „Attila Hunkalffy, szef Węgierskiego Frontu Narodowego, będzie premierem mniejszościowego rządu, utworzonego w koalicji z Węgierską Partią Ludową świętej pamięci premiera Tibora Csintoriego. Pomimo faktu, iż niemal połowa posłów Partii Ludowej odmówiła współpracy z Hunkalffym, on sam jest pewien, iż uda mu się utworzyć radę ministrów. Posłowie opozycyjnych partii: socjaldemokraci oraz wolni liberałowie, potępili parlamentarne wystąpienie Hunkalffyego, określając je mianem »ukradkowego zamachu stanu« i opuścili salę obrad. Jak zapowiedział już premier Hunkalffy, Csaba Zirta, minister spraw wewnętrznych za kadencji Csintoriego oraz poseł Frontu Narodowego, pozostanie na dotychczasowym stanowisku”.

W tym momencie stacja rozpoczęła relację z parlamentu. Ubrany w skórzaną kurtkę - swój znak rozpoznawczy - Attila Hunkalffy stał na schodach przed głównym wejściem do neogotyckiego gmachu pomiędzy dwoma kamiennymi lwami, otoczony ochroniarzami i grupką zwolenników, trzymających flagi Węgier oraz Unii Europejskiej z piętnastoma żółtymi gwiazdami. „Śmierć Tibora Csintoriego to wielka narodowa tragedia. Niemniej jednak czuję się zaszczycony, że to właśnie ja zostałem wybrany, aby poprowadzić mój kraj

w tych trudnych dla nas wszystkich czasach. W czasach, kiedy oczy Europy zwrócone są na nas w związku ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi” - mówił z uczuciem Hunkalffy.

Na ekranie ponownie pojawił się prezenter. „Wrócimy do tego tematu, kiedy tylko otrzymamy więcej informacji. Będziemy państwa informować na bieżąco. Dziś w wiadomościach również o tym, czy Węgry potrzebują nowych sił do obrony narodowych wartości. Tylko nam udało się przeprowadzić na ten temat wywiad z Istvanem Matonhelyem, liderem kontrowersyjnej Brygady Panońskiej.

Widzowie przed telewizorami zobaczyli niewielką wioskę, w której Matonhely i jego kilkudziesięciu zwolenników stało pod wielką flagą Węgier z transparentami „NIE dla cygańskich zbrodniarzy” oraz „Romowie do roboty”. Kordon policji po drugiej stronie ulicy blokował kilkunastu Cyganów, którzy ubliżali Matonhelyemu i jego ekipie. Członkowie Brygady Panońskiej mieli na sobie tradycyjne stroje huzarskie - czarne brokatowe kurtki i jeździeckie spodnie. Za nimi dziesiątki motocyklistów ubranych w czarne skóry i niemieckie hełmy z rykiem jeździło w tę i z powrotem główną ulicą wioski.

„Panie Matonhely, proszę nam powiedzieć, dlaczego powstała Brygada Panońska i dlaczego jest ona dziś potrzebna?” - zapytała z szacunkiem reporterka. Aniko Kovacs była gwiazdą państwowej telewizji, śliczną blondynką ze wsi położonej niedaleko granicy z Ukrainą, i nie kryła się ze swoimi nacjonalistycznymi sympatiami.

Matonhely, chudy trzydziestoparolatek, były poseł z ramienia liberałów, miał na sobie dobrze skrojony czarny garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat w czerwono-biało-zielone pasy. Jego czarne włosy były gładko zaczesane.; Wyglądał niczym odnoszący sukcesy bankier. Pochylił się w kierunku mikrofonu. Spokojnym i rzeczowym głosem powiedział: „Panonia to pradawna nazwa Węgier. Pragniemy powrócić do tych dumnych tradycji madziarskich, odrzucamy to, co dzieje się obecnie. Nie jesteśmy przeciwko Cyganom w ogóle, nie chcemy tu tylko tych, którzy popełniają zbrodnie i żyją z naszych podatków. Jesteśmy zwolennikami wartości bliskich nam wszystkim, takich jak praca, rodzina, dyscyplina, czy szacunek dla kultury i dziedzictwa narodowego. Codziennie chodzę do pracy. Romowie też powinni.

„Tak, rzeczywiście, kwestia romska jest niezwykle skomplikowana” - przytakiwała entuzjastycznie Aniko. Po chwili puszczonego materiał firmowy przedstawiający romskie dzieci bawiące się boso na wiejskiej ulicy, a następnie kobietę w kwiecistej chuście na głowie, zebrzącą na Wielkim Bulwarze. „Rzeczywiście, konieczne jest szybkie rozwiązanie największego społecznego problemu Węgier. Wielu wierzy, że powinien się tym zająć właśnie Istvan Matonhely”.

Rozdzwoniła się komórka Alexa.

- Czy ty to wszystko słyszysz? - odezwał się w słuchawce oburzony głos z silnym walijskim akcentem. - To są wiadomości czy klip zachęcający do wstąpienia w szeregi partii?

- Jedno i drugie, zdaje się - odparł Alex ze śmiechem.

David Jones, szef biura Reutersa w Budapeszcie, był jego kumplem od kieliszka. Miał kręcone rude włosy i niebieskie oczy i potrafił w każdej sytuacji tryskać humorem i zachować dystans. Poznali się jeszcze w Bośni, a później pracowali wspólnie przy różnych konfliktach wojennych na świecie, dopóki żona Jonesa nie zagroziła mu rozwodem, co skłoniło go do zmiany pracy na bardziej ustabilizowaną.

- Dziękuję za list - dodał Alex. - Dawno nie dostałem czegoś napisanego długopisem na kartce papieru. - Jones przesłał mu kondolencje po śmierci Mikłosa.

- Nie ma za co. Są rzeczy, których nie powinno się przysyłać e-mailem. Wracając do tematu, ta Aniko to niezłe ziółko. Zrobi wszystko, aby zdobyć informacje dla Balazsa Noludi. Chętnie posłuchałbym jej łózkowych rozmów.

- Łózkowych? - ze zdziwieniem zapytał Alex.



- Widzę, że nie jesteś na bieżąco. Nasza telewizyjna gwiazdka jest dziewczyną naczelnego „Ebredjetek Magyarok!”. A teraz ich znajomi są u władzy i mogą wszystko rozgrywać na szczeblu krajowym.

- Tylko jak oni mają zamiar utrzymać ten rząd, mając w parlamencie jedynie sto osiemdziesiąt z czterystu miejsc? W każdej chwili mogą zostać obaleni.

- Zastanów się... Jest przecież Csaba Zirta.

- Mały, gruby facecik z wielkimi wąsami, który szczyci się tym, że nigdy nie był za granicą. Co z nim?

- Zirta jest teraz członkiem partii Hunkalffyego. A od pół roku ministrem spraw wewnętrznych. W tym czasie miał zapewne wiele okazji, aby przetrząsnąć akta wszystkich posłów i poczytać sobie o ich przekrętach w walce o miejsca przy unijnym korytku. Albo o długonogich sekretarkach, latających pierwszą klasą na weekend do Brukseli lub Strasburga za pieniądze podatników. Że nie wspomnę o akcjach i obligacjach ukrytych w Szwajcarii i na Kajmanach.

- Będzie ich szantażował - zrozumiał Alex.

- Bingo. - David westchnął. - Nalej sobie jeszcze jednego drinka. Jeszcze ci się jakoś odwdzięczę za cynk o plakacie. Wyprzedziliśmy Bloomberga i Associated Press o pół godziny. - Alex zadzwonił do Davida, kiedy tylko Natasza dostarczyła swoje artykuły, aby poinformować go, że będą niedługo na stronie internetowej. Przesłał mu również skan plakatu.

- A kiedy idziemy biegać? - zmienił temat David.

Sam był maratończykiem, który „krótkim joggingiem” nazywał trzy okrążenia wokół Wyspy Małgorzaty, co dawało razem około szesnastu kilometrów. Alex często się do niego przyłączał, ale zazwyczaj odpuszczał po pierwszym okrążeniu.

- Kiedy tylko będziesz miał ochotę. Jakoś w przyszłym tygodniu, w porze lunchu?

- Pewnie. W takim razie będę do ciebie dzwonił.

W tym momencie telefon Alexa zapiszczał, sygnalizując połączenie oczekujące. Spojrzał na wyświetlacz: Zsofi.

- Muszę kończyć - powiedział do Davida, rozłączył się i odebrał drugie połączenie.

Usłyszał głos Zsofi:

- Kochany, czy mi wybaczysz? Tak bardzo chciałam być dzisiaj z tobą.

Alex czuł jednocześnie ulgę i irytację. Jednak jakby wbrew sobie uśmiechnął się.

- Gdzie jesteś? - spytał tylko.

- Stoję pod twoim domem. Domofon nie działa. Wpuścisz mnie do środka?

Otworzył drzwi. Weszła, niosąc wielki bukiet żółtych róż.

- Kochanie - zaczęła, zdejmując płaszcz. Potem mocno przytuliła Alexa. - Tak mi przykro z powodu Mikłosa. Wiem, że byliście sobie bardzo bliscy. Nie mogę zostać u ciebie za długo. Jutro o świcie wsiadam w pociąg do Wiednia. Będę miała przesłuchanie do roli Julii w Operze Narodowej.

- Moje gratulacje - powiedział Alex, powstrzymując się od zadania pytania, czy Karoly wybiera się tam razem z nią. Zsofi zaczęła pocierać nosem o jego ucho.

Delikatnie pocałował ją w policzek, na co ona gwałtownie wepchnęła mu język do ust. Odsunął ją od siebie delikatnie.

- Mówiłaś chyba, że nie możesz dłużej zostać.

- Nie mogę - przytaknęła, gładząc go po udzie.

Upił łyk wina i zdjął jej rękę ze swojej nogi.

- Zsofi, myślałem o tym wszystkim. I chyba taki układ nie jest dla mnie teraz najlepszy. Nie chcę dzielić się tobą z kimś innym.

- Stawiasz mi ultimatum? Wiesz, jakie są zasady. Uzgodniliśmy: żadnych pytań, żadnych żądań, żadnych wspólnych śniadań. Moja sytuacja jest bardzo skomplikowana. Przecież zawsze dobrze się razem bawimy, prawda?

- Tak jest - przytaknął, w głowie pojawiła mu się jednak myśl: „A co z takimi chwilami jak dziś, kiedy nie mam ochoty na zabawę, co łączy nas w takich momentach?”.

Wyczuła zmianę w jego nastroju. Siedzieli w ciszy przez kilka minut, trzymając się za ręce.

- Przepraszam - powiedziała w końcu. - Sądziłam, że przyda ci się dzisiaj trochę czułości.

- Jest OK, naprawdę.

Zsofi wzięła do ręki tomik wierszy Radnotiego i zaczęła czytać czystym, melodyjnym głosem.

- To mój ulubiony wiersz. *Whistle in the wind* - powiedział.

Uśmiechnęła się.

- A jak brzmi jego ostatnia linijka?

- „Och, jakże cię kocham”.

- A zatem - Zsofi pocałowała go w obydwie policzki i ruszyła ku drzwiom wyjściowym - zadzwonię do ciebie jutro z Wiednia.

Telefon stacjonarny rozdzwonił się w momencie, kiedy Alex usiadł.

- Zsofi, to ty? Zapomniałaś czegoś? - Cisza. - *Halo, Jó estet*, dobry wieczór. - Kilka razy przycisnął widelki telefonu.

Usłyszał buczenie i trzaski. Przycisnął słuchawkę do ucha. Rozległa się znajoma melodia. Rzucił słuchawkę. Ręce mu się trzęsły, a w uszach wciąż słyszał „Sto lat” śpiewane po węgiersku.

## Rozdział 5

Cassandra Orczy spojrzała na zegarek. Wskazywał drugą trzydzieści. Spotkanie miało się zacząć o drugiej, od trzydziestu pięciu minut siedziała więc na antycznym krześle na wyłożonym panelami korytarzu parlamentu. „Świetny sposób na spędzenie sobotniego popołudnia” - pomyślała z przekąsem, choć tak naprawdę nie miała żadnych planów. Obiło jej się o uszy, że tego ranka premier Hunkalffy przez czterdzieści pięć minut trzymał w niepewności amerykańskiego ambasadora, bliskiego przyjaciela prezydenta USA, była więc w dobrym towarzystwie. Podejrzewała jednak, że ambasador dostał przynajmniej filiżankę kawy.

Wzięła do ręki najnowsze wydanie „Ebredjetek Magyarok!” leżące na stoliku obok. „Zbawienie dla narodu: Hunkalffy przejmuje władzę” - głosił tytuł na pierwszej stronie. „Jak zwykle ta sama papka” - pomyślała i odłożyła gazetę. Zaczęła kartkować wyjęty z torebki najnowszy numer magazynu „Grazia”. Cały czas jednak spoglądała w stronę drzwi gabinetu Hunkalffyeego. Jeden z jego sługusów minął ją, rzucając jej pogardliwe spojrzenie. Ekipa Hunkalffyeego gardziła służbami bezpieczeństwa, uważając je za bastion komunistów. Nie zmieniało to jednak faktu, że ten bastion wciąż jeszcze działał. Hunkalffy został niezwłocznie uświadomiony, że wszelkie próby masowych czystek skończą się ujawnieniem informacji z jego akt przechowywanych w archiwum. Równowaga sił w węgierskiej polityce była więc, przynajmniej tymczasowo, zachowana.

- Pan Hunkalffy może już panią przyjąć - oznajmił! - chudy młodzian i wprowadził ją do pokoju przestronniejszego niż większość mieszkań w Budapeszcie.

Attila Hunkalffy stał przy oknie, spoglądając w kierunku Dunaju. Jego znak rozpoznawczy - kucyk z długich ciemnych włosów - leżał na jego ramieniu. Tuż obok Attili

stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Obydwaj odwrócili się, kiedy Orczy przestąpiła próg pokoju.

Hunkalffy rzucił jej zdawkowe „Dzień dóbr?”. Ubrany był w czarny garnitur i białą koszulę. Jego ciemne oczy i oliwkowa skóra emanowały hipnotyczną siłą, przywodzącą na myśl panterę uwięzioną w klatce. „Wygląda niczym włoski gwiazdor filmowy” - pomyślała. Frank Sanzlermann miał na sobie strój weekendowy: dżinsy i jasnoniebieski i koszulkę polo, podkreślającą jego opaleniznę. Rozsiadł się właśnie wygodnie na skórzanej sofie i nalał sobie brandy ze stojącej obok kryształowej karafki. Zaproponował drinka Hunkalffiemu, ten jednak pokręcił przecząco głową, po czym usiadł za swoim biurkiem.

- Będę mówił po angielsku, żeby pan Sanzlermann nas rozumiał. Pani Orczy, porozmawiajmy teraz o notatce, którą sporządziła pani na temat rzekomych zagrożeń dla naszych mediów oraz przemysłu farmaceutycznego - zaczął Hunkalffy.

Cassandra wyprostowała się na swoim krześle.

- Panie premierze, muszę zaprotestować. Obecny tutaj pan Sanzlermann nie jest upoważniony do przysłuchiwania się tej rozmowie, jest również cudzoziemcem. Sprawy, o które pan pyta, mają związek z bezpieczeństwem narodowym. Jestem pewna, że pan Sanzlermann, jako doświadczony polityk, zrozumie moje obiekcje - zakończyła pojednawczo.

Hunkalffy pokręcił głową.

- Pan Sanzlermann jest moim zaufanym przyjacielem od wielu już lat. Mamy podobne poglądy na większość spraw.

- Nie wątpię w to, niemniej jednak powtarzam, że chodzi tu o tajne materiały. Jestem zmuszona poprosić pana Sanzlermanna o opuszczenie tego pomieszczenia.

- Nie była pani taka drobiazgową w kwestii cudzoziemców, kiedy sama przebywała pani w Moskwie, ucząc się fachu od specjalistów z KGB w Instytucie Dzierżyńskiego - zadrwił Hunkalffy.

- Zostałam wysłana do Moskwy przez węgierskie służby bezpieczeństwa. Służyłam i dalej służę swojemu krajowi. Nie narzekał pan dwadzieścia lat temu, kiedy moi poprzednicy przemycali pana przez granicę z Rumunią po tym, jak Ceausescu ogłosił, że wszystkie węgierskie wioski w Transylwanii mają zostać przekształcone w państwowe zakłady rolne. Przejęliśmy pana, pomogliśmy panu uniknąć kontaktu z Securitate<sup>1</sup>, wprowadziliśmy pana w naszą sieć kontaktów na Zachodzie. Poznał pan nawet księcia Karola. Wszystko to sprawiło, że zyskał pan reputację zacieklego antykomunistycznego bojownika. Zapewne zgodzi się pan ze mną, panie premierze, że wszyscy jesteśmy patriotami na swój własny sposób.

Hunkalffy nie powiedział ani słowa, chociaż w jego oczach pojawiły się złowrogie błyski. Orczy, wciąż urażona sugestią, jakoby była zdrażczynią, nie mogła się powstrzymać. Kontynuowała, wpatrując się w perłowy guzik swojej bluzki:

- Pański wujek był długoletnim członkiem partii w pana rodzinnym mieście Győr, prawda? Wstąpił w 1957. Ubiegał się nawet o stanowisko w centralnym Komitecie partii, o ile dobrze pamiętam.

Sanzlermann słuchał tej wymiany zdań z rosnącym zainteresowaniem.

- Doprawdy, Attila, nie miałem pojęcia, że miałeś w rodzinie komunistów.

Na twarzy Hunkalffiego pojawił się wymuszony uśmiech.

- Ach, wiesz przecież, jak to jest. W każdej rodzinie znajdzie się jakaś czarna owca. Spotkajmy się później, dobrze? Jak widzisz, mam tutaj sprawy do omówienia.

Kiedy za Sanzlermannem zamknęły się drzwi, zwrócił się do Cassandry po węgiersku:

- Nie było to zbyt mądre posunięcie z pani strony. Jednak nie aż tak niemądre jak pani raport, który wylądował na moim biurku wczoraj wieczorem. Czy naprawdę sugeruje pani, iż KZX Industries oraz Volkstern Corporation stanowią zagrożenie dla interesu narodowego? - zapytał, kartkując dokument opatrzony napisem: „Tajne”.

---

<sup>1</sup> Rumuńska służba bezpieczeństwa (przyp. tłum.).

- Tak jest, panie premierze, właśnie tak. Sądzymy, iż pod pretekstem liberalizacji ekonomicznej, która rozpoczęła się wraz z naszym przystąpieniem do Unii Europejskiej, sąsiadujące z nami państwa, a w szczególności Niemcy i Austria, usiłują przejąć kontrolę nad naszymi producentami leków, jak również nad mediami. Znaleźliśmy dowody na inwigilację, przechwytywanie rozmów telefonicznych oraz e-maili.

Hunkalffy rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu. Wziął do ręki ołówek i zaczął gryźć jego końcówkę.

- Proszę spojrzeć na mapę, panno Orczy. Jesteśmy niewielkim krajem i potrzebujemy zagranicznego kapitału. Niemcy i Austria są naszymi sąsiadami, a także przyjaciółmi od setek lat. Unia Europejska wprowadziła u nas spokój i porządek, po raz pierwszy w historii naszego kraju. Otwarte granice, wolność słowa, swoboda podróżowania. Nie ma już czołgów na ulicach, nie ma tortur w piwnicach. Nikt już nie dobija się do mieszkań w środku nocy. Czyżby brakowało pani tego? Bo mi nie. A może wolałaby pani, aby pani przyjaciele z Moskwy wykupili nasz kraj?

- O jakich przyjaciółach pań mówi, jeśli mogę spytać?

Hunkalffy wyprostował się. Odłożył na bok jej notatkę służbową i otworzył szufladę biurka. Wyjął kilka zdjęć i ułożył je obrazkami do dołu na szerokim blacie. Obrócił pierwsze i podał jej. Przedstawiało ją siedzącą w czerwonym sportowym kabriolecie.

- Mazda RX-7. Sportowa, szybka, niewielka, łatwa do zaparkowania - powiedział. Kiwnęła głową. Wpatrywał się w nią uważnie.

- No i?

- To prezent, prawda? - spytał.

Zarumieniła się.

- Kobieta może chyba przyjąć prezent?

- Tak, oczywiście, że tak. Nie zapomnieliśmy jeszcze o manierach. Kobiety są u nas szanowane i traktowane z uprzejmością, dajemy im bukiety kwiatów z okazji urodzin czy imienin. Co jednak, jeśli samochód nie jest prezentem, a formą podziękowania za coś cennego. - Podał jej kolejne zdjęcie - Dajmy na to, za pewne informacje.

Zadbany mężczyzna około czterdziestki, o słowiańskiej urodzie, uśmiechał się ironicznie, patrząc prosto w obiektyw aparatu.

- Pani kolega z Uniwersytetu Moskiewskiego - powiedział Hunkalffy. - Dawniej dyrektor regionalny sowieckiego koncernu naftowego. Obecnie prezes nowej firmy z siedzibą w Moskwie, która w zeszłym roku przejęła ważny mniejszościowy pakiet akcji państwowego węgierskiego koncernu. Po tym, jak kilku innych licytantów wycofało się w ostatniej chwili. Tydzień później panna Cassandra Orczy pędziła aleją Andrassyego swoją nowiutką mazdą RX-7. Chyba zgodzi się pani ze mną, iż państwowy koncern naftowy należy do najważniejszych dóbr narodowych.

- Ta transakcja była całkowicie jawna i transparentna - odpowiedziała wzburzona. - Parlament nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń co do jej przebiegu.

- To prawda. Węgrzy są racjonalnym narodem, to po pierwsze. Większość ropy i gazu w naszym kraju pochodzi z Rosji. W dalszym ciągu jednak interesuje mnie pani samochód. Biorąc pod uwagę pani pensję, żyje pani dość wystawnie. Sportowe auto, niezadłużona hipoteka mieszkania ani innych pani własności. Zgadza się?

Cassandra odwróciła wzrok.

Hunkalffy wziął do ręki oprawioną fotografię stojącą na jego biurku. Było to stare, upozowane zdjęcie przedstawiające młodego mężczyznę w odświętnym garniturze. Wyglądał jak młodsza wersja Hunkalffego, tylko z krótszymi włosami.

- Czy wie pani, kto to jest?

Cassandra pokręciła przecząco głową.

- Wspomniała pani wcześniej o moim wuju, opowiem więc pani trochę więcej o historii mojej rodziny. To mój ojciec, Jozsef Hunkalffy. Kiedy miał siedemnaście lat, był ulicznym bojownikiem w czasie rewolucji w pięćdziesiątej szóstym. Jego pierwsza i jedyna dziewczyna, moja matka, próbowała namówić go na uciezkę na Zachód. Odmówił. Niedługo potem został aresztowany przez AVO. Skazano go na śmierć przez powieszenie, ale wykonanie wyroku odroczone - ciągnął Hunkalffy, ściskając wciąż w rękę fotografię ojca. - Powiedziano mu, że jego dziewczyna jest w ciąży, ale nie pozwolono mu się z nią zobaczyć. Pewnego dnia moja matka otrzymała list informujący, że otrzymała pozwolenie na widzenie z Jozsefem, z okazji jego osiemnastych urodzin. Nie posiadała się z radości. Kiedy dotarła do więzienia, oznajmiono jej, że mój ojciec został powieszony tego ranka. Zaledwie pół godziny przed jej przyjęciem. Pozwolił jej zobaczyć jego jeszcze ciepłe ciało. To było jej widzenie. Rzeczywiście spodziewała się dziecka, a tym dzieckiem byłem ja. - Ręce Hunkalffyego wyraźnie się trzęsły, kiedy odstawiał ramkę ze zdjęciem.

Pociągnął łyk brandy i odwrócił ostatnią z fotografii leżących na stole. Widać było na niej dużą, ochrową willę w stylu secesyjnym, stojącą pośród zadbanego ogrodu nad brzegiem Balatonu.

- Piękne miejsce, prawda? Willę wybudowano w 1885 roku. Po 1948 pełniła funkcję domu letniskowego dla pracowników huty. Dwadzieścia pokoi z widokiem na jezioro, basen, sad pełen wiśni i drzewek brzoskwiniowych. Czy wie pani, kto był pierwszym właścicielem tej posesji? - Cassandra pokręciła głową. - Bo jestem przekonany, panno Orczy, że w głębi duszy jest pani uczciwą osobą. I że nie chciałaby pani czerpać korzyści z rzeczy, które miały jakikolwiek związek z okrucieństwami czasów nazistowskich, czyż nie?

- Zgadza się, panie premierze - odpowiedziała ostrożnie Cassandra.

- Czy przyszło pani kiedyś do głowy, aby zapytać, do kogo należała kiedyś ta posiadłość?

- Nie - odparła, czując w żołądku coraz większy ciężar.

- Willa ta została zbudowana dla rodziny Farkasów. Większość jej członków zginęła w czasie Holokaustu. Jej prawowitym właścicielem jest Miklos Farkas. To znaczy był, więc obecnie klucze powinien otrzymać jego wnuk, Alex. - Hunkalffy odłożył zdjęcie i wyjął z teczki jakiś dokument.

- Niestety, jest to mało prawdopodobne. Związek zawodowy hutników w 1989 sprzedał budynek firmie z siedzibą na Bahamach, za równowartość pięciu tysięcy dolarów amerykańskich. Obecnie warta jest pewnie pięćdziesiąt razy tyle, może i sto. Regularnie podróżuje pani na Bahamy, prawda, panno Orczy?

Cassandra uparcie wpatrywała się w podłogę. Jej policzki płonęły. Hunkalffy ponownie wziął do ręki fotografię willi.

- Proszę więc nie pouczać mnie więcej, jak prawidłowo rozporządzać państwowym majątkiem. Teraz my tu rządzymy - to mówiąc, Hunkalffy zebrał wszystkie papiery ze swojego biurka.

Cassandra wstała i skierowała się ku wyjściu.

\* \* \*

Od: [hatvanin@bnews.hu](mailto:hatvanin@bnews.hu)

Do: [farkasa@bnews.hu](mailto:farkasa@bnews.hu)

Alex, czy możemy spotkać się na kawę dziś po południu w Głodnym Listonoszu? Wiem, że jest sobota, ale chciałam o czymś z tobą porozmawiać.

Od: [farkasa@bnews.hu](mailto:farkasa@bnews.hu)

Do: [hatvanin@bnews.hu](mailto:hatvanin@bnews.hu)

OK. Spotkajmy się o 15:00.

Głodny Listonosz była to niewielka kawiarnia niedaleko redakcji „Budapest News”, mieszcząca się w przejściu podziemnym wiodącym na dworzec i do Wielkiego Bulwaru. Alex już nieraz przechodził koło niej, nigdy jednak nie zdarzyło mu się do niej zawitać. Szedł teraz podziemiami czując znajomy zapach płynący z kebabowych budek, wymieszany ze smrodem brudu i moczu. Przystanął na chwilę, aby dać pięćset forintów, czyli około dwóch euro, bezdomnej kobiecie, sprzedającej wczorajsze gazety. Ta posłała mu szczęśliwy uśmiech i szybko schowała pieniądze w czeluściach trzech płaszczy, które miała na sobie.

Natasza czekała na niego przy wejściu ozdobionym podniszczoną czerwoną tabliczką z wizerunkiem listonosza zajądającego się wielkim schabowym z frytkami. Z wnętrza dobiegał zapach smażeniny.

- *Szia*. Ty pierwszy - powiedziała Natasza, wpuszczając go do lokalu.

Alex spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- *Szia*. W Anglii to kobiety idą przodem.

- Nie jesteśmy w Anglii. Tutaj mężczyzna wchodzi pierwszy. Jeśli w środku akurat trwa bójka, może ochronić swoją kobietę.

- A w Głodnym Listonoszu często zdarzają się bijatyki? - spytał Alex.

- Może po prostu wejdziemy i sprawdzimy? - spytała zadziornie Natasza.

Weszli do środka.

W Głodnym Listonoszu panował półmrok. Na wyposażenie lokalu składał się tuzin drewnianych rozklekotanych stolików przykrytych ceratą w biało-czerwoną kratę oraz szklana gablotka, w której leżały wątpliwej jakości ciasta. Niski starszy pan o siwych włosach i zgarbionych plecach, opasany brudnym fartuchem, stał za albuminową ladą i czytał wiadomości sportowe. Byli jedynymi klientami.

Alex odwrócił się do Nataszy:

- Żadnych bójek. Jesteśmy bezpieczni.

Podszedł do nich kelner. Natasza przywitała się z nim, całując go w obydwa policzki.

- Sani, to mój dobry znajomy Alex. Sani jest przyjacielem mojej rodziny - wyjaśniła.

Mężczyźni uściskali sobie ręce. Sani obrzucił Alexa podejrzliwym spojrzeniem, po czym zwrócił się do Nataszy:

- Co słyhać u Iriny?

- Moja mama ma się... - Natasza zawiesiła głos - ...jak zawsze. Będzie jej miło, że o nią pytałeś.

Sani zaprowadził ich do stolika przy oknie. Usiedli naprzeciwko siebie, a kelner zaczął ceremonialnie wycierać blat stolika, po czym przyjął od nich zamówienie na kawę. Natasza poprosiła jeszcze o meleg szenduics, zapiekana kanapkę z serem, mięsem i ketchupem. Potem pokazała Alexowi najnowszy numer „Magyar Tribün”.

**POSŁOWIE OPOZYCJI ŻĄDAJĄ ŚLEDZTWA W SPRAWIE ROLI, JAKĄ  
ODGRYWAJĄ NA WĘGRZECH KZX INDUSTRIES ORAZ VOLKSTERN  
CORPORATION** Opracowanie: redakcja Magyar Tribiin

Socjaldemokraci i liberałowie zamierzają w tym tygodniu zaproponować rozpoczęcie śledztwa w sprawie działań dwóch niemieckich gigantów przemysłowych i farmaceutycznych^ KZX Industries i powiązanego z nim koncernu medialnego Volkstern Corporation.

Po wykupieniu węgiersko-słowackiej firmy Medicompex z siedzibą na Słowacji, niedaleko miasta Koszyce, KZX Industries podjęło ostatnio kontrowersyjne decyzje w sprawie oddziału firmy na obrzeżach Miskolca na wschodzie kraju. Ogłoszono, że połowa zatrudnionych tam osób zostanie zwolniona w trybie natychmiastowym i bez prawa do odszkodowania. Przedstawiciele pozostałych firm zainteresowanych tym dawniej państwowym przedsiębiorstwem narzekają, iż nie zostali szczegółowo poinformowani: o warunkach przetargu, a ich oferty odrzucono z niejasnych przyczyn.

Z kolei Volkstern Corporation, której kilku członków zarządu zasiada również w zarządzie KZX Industries, i która również ma swoją siedzibę w Monachium, wykupiła ostatnio kilka lokalnych stacji telewizyjnych i ponadto planuje uruchomienie nowej sieci komórkowej „Magyar Mobile”, oferującej taryfy tańsze nawet o dwadzieścia procent od konkurencji. Słychać również głosy, iż Volkstern Corporation lobbuje za prywatyzacją państwowej telewizji na Węgrzech. Prowadzi również interesy w Chorwacji, Rumunii oraz na Słowacji. Przewodniczący partii liberalistów Peter Herzog, powiedział: „KZX Industries wraz z Volkstern Corporation przejmują większościowe udziały w kilku ważnych sektorach węgierskiej gospodarki. I koncerny te nie są w żaden sposób nadzorowane”.

Na temat powyższych zarzutów wypowiedział się rzecznik Volkstern Corporation: „Zależy nam na zachowaniu niezależności dziennikarzy w nowo nabytych przez nas tytułach, oczywiście z uwzględnieniem realiów rynkowych”. Rzecznik KZX Industries był nieosiągalny.

Alex przeczytał uważnie artykuł i odłożył gazetę.

- Interesujące. Ale „Budapest News” ukazuje się pod koniec tygodnia. Kiedy temat zostanie podjęty w parlamencie, zamieścimy o tym informację na naszej stronie. Po co więc ten pośpiech? Jest sobotnie popołudnie.

Sani przyniósł dwie kawy i postawił je przed nimi. Natasza mu podziękowała, po czym zwróciła się do Alexa:

- Kiedy awansowałam na stanowisko reporterki, powiedziałaś, że dziennikarstwo jest powołaniem. Że to nie jest praca od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do piętej. I że jeśli tak myślę, to mam poszukać pracy w księgowości.

Alex sęczył swoją kawę. Była gęsta i gorzka. Ta dziewczyna nie miała za grosz poczucia humoru. Poza tym, czy on sam naprawdę był wtedy takim bufonem? Spojrzał na nią.

- Dobrze, już dobrze. Jesteśmy tu dzisiaj. Co odkryłaś?

Natasza wyjęła z torby notatnik i otworzyła go na stronie w połowie jego grubości.

- Po pierwsze: w zeszłym roku KZX kupiło Medicompex. Po drugie: w lipcu tego roku, KZX kupiło kolejną fabrykę leków we wschodnich Węgrzech, blisko granicy ze Słowacją. Po trzecie: w sierpniu tego roku KZX Industries ukarano grzywną za nielegalne pozbywanie się przeterminowanych leków we wschodniej Słowacji. Przekupywali lekarzy, aby przepisywali te leki na kompletnie niepowiązane z nimi choroby. W jednym przypadku, we wsi Novy Marek, cała pięcioosobowa romska rodzina zmarła po przyjęciu leków przeciw rakowi na zwykłą infekcję gardła.

- Rzeczywiście, pamiętam - przytaknął Alex, popijając! kawę. - Wybuchł skandal, ponieważ lekarz musiał zapłacić karę dwóch tysięcy euro i został zawieszony na miesiąc. A KZX zapłaciło jedynie dziesięć tysięcy euro. - Przestrzeli wokół niego zaczęła się chybotać, a po plecach przechodzili mu ciarki. Alex położył ręce na stole, starając się uspokoić. Przez cały dzień nic nie jadł, a kofeina z wypitej właśnie kawy zaczęła uderzać mu do głowy.

Natasza przyglądała się z zaniepokojeniem jego bladej twarzy.

- Wszystko w porządku? - spytała, nalewając mu szklankę wody ze stojącego na stole dzbanka.

Alex pił ją małymi łykami, powoli oddychając.

- Tak, po prostu chyba muszę coś zjeść.

Ponownie zjawił się Sani - przyniósł talerz z długim kawałkiem opiekanego chleba z grillowanym mięsem i roztopionym serem. Postawił kanapkę wraz z butelką ketchupu przed Nataszą, lecz ona bez wahania podsunęła talerz z meleg szenduics Alexowi i, ignorując jego protesty, zamówiła sobie drugą. Po chwili wyjęła z torebki paczkę marlboro lights.

- Mogę przy tobie palić? - spytała. Kiedy kiwnął twierdząco głową, zapaliła papierosa, wypuszczając z ust kłęby dymu.

Alex wbił zęby w chrupiące pieczywo. Jedzenie było nadzwyczaj smaczne i dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo był głodny.

- Dzięki - powiedział, polewając całość ketchupem. Jedzenie przywróciło go do życia. - No, a po czwarte? i

- Czekaj. Zainteresował mnie wątek KZX i Romów, więc zadzwoniłam w parę miejsc. Dowiedziałam się, że pracownicy słowackiej służby zdrowia informowali ostatnio o podwyższonej liczbie poronień i martwych płodów wśród romskich kobiet. Dwa w 2006, pięć w 2007, dziewięć w 2008, a w tym roku już piętnaście. A wiele innych Cyganek skarży się na bezpłodność, mimo iż zazwyczaj mają one liczne potomstwo. Nie wiem jeszcze dokładnie, ile jest takich kobiet.

- Pięć, dziewięć, piętnaście. To nie są oszałamiające liczby - zauważył Alex.

Natasza pochyliła się ku Alexowi.

- Mówię teraz o kobietach z jednej wioski. Żyje tam mniej niż dwa tysiące ludzi, z czego połowa to Cyganie. Dla porównania, w podobnych wioskach liczba poronień wynosi jeden lub dwa rocznie.

Alex odłożył kanapkę na talerz. Poczul znajomy dreszcz, przebiegający przez całe ciało.

- Wioska, o której mówisz, to Novy Marek.

Natasza triumfalnie kiwnęła głową.

- Tak jest. W okolicach Koszyc, tam, gdzie mieści się jedna z fabryk Mediconpexu. I to jest właśnie punkt czwarty na mojej liście.

- Musisz sporządzić dla mnie notatkę zawierającą wszystko to, co mi przed chwilą powiedziałaś. Wtedy porozmawiam z Ronaldem. - Alex coraz dobitniej przekonywał się o tym, że Natasza jest bystrą osobą. Dlatego też jakiś czas temu rekomendował ją do awansu. Obecnie stawiała się powoli najlepszym reporterem w całej redakcji. Wciąż jednak nie był do końca pewien, czy może jej zaufać w sprawie, którą musiał się zająć tego wieczora.

Sani przyniósł drugą kanapkę. Natasza zgasiła papierosa i ugryzła porządny kęs, aż masło i ketchup ściekły jej po brodzie. Alex podał jej serwetkę. Wytarła usta i uśmiechnęła się do niego.

- Dzięki. Powiedz mi, co widzisz, patrząc przez okno tego lokalu?

Alex spojrzał na zewnątrz. Cztery tunele rozchodziły w różnych kierunkach. Ich pomarańczowe ściany pokrywało graffiti. Migały światła jarzeniowe. W kioskach sprzedawaną: kiepskiej jakości T-shirty, tłuste kebaby i pączki. W jednym kącie boliwijscy muzycy rozstawiali swój sprzęt. Przyglądało się im dwóch policjantów palących papierosy. Bezdomni kobieta sprzedająca gazety drzemała z szeroko otwartymi ustami. Kilku umięśnionych chłopaków stało przy budkach? telefonicznych.

- Normalny tłum ludzi. Młodych, kręcących się bez celu. Dobrze ubranego mężczyznę w zielonym płaszczu,; pewnie Niemca albo Austriaka, czekającego w kolejce do telefonu.

- Tak to wygląda z początku. Widzisz tam? - wskazała budki telefoniczne. Alex odwrócił się, spoglądając w tamtym kierunku. - Ci młodzi mężczyźni to rumuńskie męskie prostytutki. Są tutaj codziennie, w tym samym miejscu. Gdy pojawiają się policjanci, przekupują ich. Pan Zielony Płaszcz zastanawia się właśnie, którego z nich zabrać ze sobą do hotelu. To dlatego tak im się przygląda. Jeśli zatrzymał się w pięciogwiazdkowym hotelu, będzie musiał zapłacić odzwrotnemu sto euro, żeby wprowadzić chłopaka do swojego pokoju. Pięćdziesiąt euro, jeśli w hotelu trzygwiazdkowym. Każde wejście do podziemi kontroluje inna grupka bezdomnych,



bo to najlepsze miejsca do zebrania. Bezdomni mają również oko na policjantów i kiedy jakiś się pojawia, dają znać rumuńskim chłopcom, a ci dyskretnie się ulatniają. W zamian za to bezdomni otrzymują niewielki procent z tego, co zarobią chłopcy.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdził z uznaniem Alex, a jednocześnie podjął związaną z nią decyzję. Była inteligentna, pracowita i godna zaufania. - Natasza, czy masz jakieś plany na wieczór? - zapytał.

Zarumieniła się i gwałtownie wyprostowała.

- Alex, poprosiłam cię o spotkanie, aby porozmawiać o pracy, a nie...

- Spokojnie - przerwał jej - chodzi o pracę. W pewnym sensie. Nie zrozum mnie źle. - Obserwował teraz, jak mężczyzna w zielonym płaszczu przywołuje do siebie niskiego, ciemnowłosego chłopaka i wciska mu coś do ręki. Młodzieniec uśmiechnął się, zaplątał suwak skórzanej kurtki i ruszył za mężczyzną do wyjścia.

Natasza obserwowała Alexa, jakby rozważając to, co powiedział.

- Mogę mieć dziś dla ciebie czas - powiedziała wreszcie. - Jeśli to rzeczywiście coś ważnego.

- Tak, to bardzo ważne - przytaknął Alex, pochylając się ku niej, aby zreferować szczegóły swojego planu. Wyjął baterię ze swojego telefonu komórkowego i gestem pokazał jej, aby zrobiła to samo.

Natasza wyciągnęła baterię i uważnie wysłuchiwała tego, co miał jej do powiedzenia.

- Pomogę ci, Alex - powiedziała wreszcie. A po chwili milczenia dodała: - Ale tylko jeśli to mnie wyślesz na wiec wyborczy Sanzlermanna w niedzielę.

Alex uśmiechnął się.

- Umowa stoi.

## Rozdział 6

Peter Feher drzemał przed telewizorem, na którego ekranie państwowy kanał emitował właśnie program kulturalny. Podobnie jak Miklos, Peter był wdowcem. Mieszkał sam na pierwszym piętrze pięknej niegdyś willi stojącej na wzgórzach Budy, którą komuniści bez skrępowań podzielili na kilka mieszkań. Salon był po sufit wypełniony książkami, a duży, płaski ekran telewizora zajmował niemal w całości jedną ze ścian. Peter przebudził się akurat w momencie, kiedy na ekranie pojawiła się prezenterka Aniko Kovacs, zachwalająca najnowszą biografię admirała Miklosa Horthyego zatytułowaną Horthy - prawdziwy węgierski bohater. W tle było widać ogromne zdjęcie Horthyego podającego sobie rękę z Hitlerem. Autor książki - Laszlo Munnich, był felietonistą „Cbredjetek Magyarok!”. Munnich nie miał żadnego doświadczenia akademickiego, a mimo to został właśnie profesorem historii współczesnej Węgier na Uniwersytecie Budapesztańskim. Zajął tam pokój należący wcześniej do Eduarda Szigetiego, przyjaciela Petera.

- Gratuluję, panie profesorze. To ważna praca naukowa - ekscytowała się Aniko, tak trzymając książkę, by jej okładka była dobrze widoczna. - Można ją wręcz nazwać rehabilitacją Horthyego”.

Munnich, mizerny mężczyzna w szarym workowatym garniturze, przytaknął.

- Zdecydowanie tak. Liberalowie i neokomuniści zbyt długo oczerniali admirała Horthyego. Dlatego właśnie ministerstwo edukacji zamówiło już dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy mojej książki.

- A zatem wreszcie w naszych szkołach dzieci uczyć się będą prawdziwej historii! - zakrzyknęła radośnie Aniko.

Feher pokręcił ze znużeniem głową, kiedy rozległ się dzwonek jego telefonu komórkowego. Podniósł się, żeby go odebrać, ale zorientował się, że to dzwoni inny telefon, ten większy i cięższy. Chwycił go i wstukał kod na niebieskiej, plastikowej klawiaturze. Ekran aparatu zaświecił się.

- Jest w drodze - usłyszał po drugiej stronie odległy, metaliczny głos. - Najwyraźniej połknął wczoraj haczyk.

- To było do przewidzenia. Bardzo kochał swojego dziadka. - Feher odsunął telefon od ucha i przyjrzał mu się. - Twój głos brzmi jakoś dziwnie. To na pewno bezpieczne połączenie?

- Absolutnie bezpieczne - odpowiedział rozmówca zirytowanym, ale i czułym tonem.

- Jest sam? - zapytał Feher, kątem oka patrząc na film ukazujący triumfalny wjazd Horthyego na białym koniu do Budapesztu w 1920 roku, po tym jak rumuńska armia powróciła do domu<sup>2</sup>. Nie było ani słowa o pogromie, który później nastąpił, a w którym Peter stracił dwóch wujów.

- Nie, będzie z dziewczyną. Tą samą, co wcześniej.

- Świetnie - odpowiedział Feher i się rozłączył. Rozsiadł się wygodniej w fotelu i przełączył telewizor na Eurosport.

\* \* \*

Plac Klauzula był usytuowany w samym sercu żydowskiej dzielnicy Budapesztu i otoczony zaniedbanymi kamienicami, mi z czasów Habsburgów. Nawet o jedenastej w nocy w sobotę, przy zimowej temperaturze, pełno było na nim imprezowiczów, którzy zaczynali zazwyczaj w Kulturze, oddalonej o zaledwie pięć minut marszu, a kończyli w jednej z licznych knajp na placu. Głośna muzyka i ostre światło buchały z Groove, jazzowego klubu mieszczącego się na rogu. Alex obserwował dwóch młodych mężczyzn, którzy śmiejąc się donośnie, szli ramię w ramię do nowego sushi baru. Fronty budynków na placu były zasłonięte zielonymi płachtami, ; pod którymi kryło się rusztowanie. Nie miało jednak znaczenia, jak dokładnie deweloperzy szorowaliby i odnawiali plac Klauzala, nigdy nie byłiby w stanie zmyć pamięci o tym, co działo się tu przed laty. Po tym, jak Niemcy zaatakował miasto w marcu 1944 roku, budapesztańscy Żydzi zostali zamknięci w dwóch gettach. Niemal całą siódmą dzielnicę odgradzono murem od reszty miasta. Dziesiątki tysięcy ludzi tłoczyły się na jej wąskich uliczkach. Pozostali umieszczeni zostali w „międzynarodowym getcie” w nadrzecznej dzielnicy trzynastej. Chroniły ich tam ambasady - szwedzka, szwajcarska i hiszpańska. Zimą 1944 roku, kiedy do miasta zbliżali się Rosjanie, plac Klauzala był już masowym grobem - zamrożone ciała układano w stosy. Dziś w tym samym, miejscu rozciągał się plac zabaw.

Alex podszedł do Nataszy siedzącej z papierosem w ręku na huśtawce.

- Przychodziłam tu często jako dziecko - powiedziała, bujając się lekko.

Alex spojrzał na nią. Była niezwykle poważna jak na swój wiek. Nie miała czapki, jej głowę okalał szeroki czarny szal, podkreślający szarość jej oczu i ascetyczną urodę.

- Ja też. Teraz też zdarza mi się tu bywać, kiedy muszę coś przemyśleć - odparł z zadumą. Niemal czuł na plecach

dotyk ręki dziadka, popychającej go, kiedy ścisnął kurczowo łańcuchy huśtawki i wzbijał się coraz wyżej i wyżej. Niegdyś radosne wspomnienia dziś sprawiały mu ból.

Natasza wręczyła mu kopertę. Sprawdził jej zawartość, po czym schował ją do torby.

- Dziękuję. Chodź, idziemy.

---

<sup>2</sup> W1919 roku przez 133 dni istniała komunistyczna Węgierska Republika Rad. Upadła jednak w wyniku interwencji Rumunii aprobowanej przez państwa Ententy. Po obaleniu władz rewolucyjnych i wyjściu wojsk rumuńskich rządy na Węgrzech zaczął sprawować - jako regent - Miklós Horthy (przyp. tłum.).

Ruszyli przez plac. Natasza już wcześniej tego wieczora była w budynku, w którym mieszkał Miklos. Drzwi mieszkania zalepiały policyjne taśmy z napisem: „Policja - miejsce zbrodni - wstęp wzbroniony”. Obfotografowała je z bliska swoim aparatem cyfrowym. W biurze zrzuciła zdjęcia z karty pamięci na dysk komputera. Umiejętności Alexa w zakresie obsługi komputera ograniczały się do pisania i odbierania e-maili oraz surfowania po Internecie. Natasza była dużo bardziej zaawansowana. Za pomocą programu graficznego obrobiła cyfrowe zdjęcia. Odtworzyła dokładnie kolor, krój i rozmiar czcionki. Powstał plik graficzny o rozmiarach oryginału. Wystarczyło go teraz wydrukować i odpowiednio przyciąć. Rezultat: idealne kopie policyjnej taśmy.

Drzwi wejściowe były jak zawsze otwarte, a klatka schodowa nieoświetlona. Alex dorobił zapasowe klucze, pożyczając komplet od sąsiadki, Erzsebet, w dniu śmierci Miklosa. Jedyny problem stanowiło bezszelestne wejście i wyjście z mieszkania. Większość mieszkańców budynku stanowili starsi ludzie - nawet wścibska Erzsebet chodziła spać najpóźniej o dziesiątej, więc raczej nie musieli się obawiać, że spotkają kogoś na korytarzu. Na ich korzyść przemawiało również to, że Miklos mieszkał na ostatnim piętrze. Natasza obserwowała schody, podczas gdy Alex włożył cienkie czarne rękawiczki i przeciął taśmy. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Natasza zaczęła przylepiać nowe paski w odpowiednich miejscach. Nie minęła nawet minuta, kiedy odsunęła się od drzwi, podziwiając swoje dzieło. „Jedynie bardzo skrupulatny specjalista byłby w stanie dostrzec, że ktokolwiek przy nich majstrował” - pomyślał z zadowoleniem.

\* \* \*

Mieszkanie Miklosa było wysokie i przestronne. Składało się z dwóch sypialni, wielkiego salonu i balkonu z widokiem na plac Klauzala. Jednak w miarę upływu lat Miklos zajmował coraz mniejszą przestrzeń swojego lokum. Sypialną: rozkładanej sofie w salonie, tam też spędzał większość czasu za dnia. W pokoju nadal panował nieporządek, na podłodze leżały rozrzucone książki. Na szczęście ciało Miklosa, jak również świńska głowa i patera, na której ją położył, zostały już zabrane. Za to na ścianie wciąż widniał czerwony napis AVO.

Alex z trudem stłumił w sobie uczucia wściekłości i żalu, które zaatakowały go ze zdwojoną siłą, kiedy tylko przestąpił próg mieszkania. Systematycznie przeszukiwał pokój za pokojem. Zaczął od tego, w którym sypiał dziadek, kiedy jego żona Ruth jeszcze żyła. Było w nim duże łóżko, toaleta i dwie mahoniowe szafy. Jedną z nich nadal wypełniały damskie ubrania, sukienki i kostiumy z lat czterdziestych. Był tam też wielki, różowy kapelusz ze strusim piórem. Pachniało kulkami na mole. Dało się też wyczuć delikatny zapach perfum. I]

W szafie jego dziadka wisiały w równiutkim szeregu dwurzędowe garnitury, dobrze skrojone, do kompletu ze spodniami w stylu oksfordzkim. Alex pomyślał, że za młodu jego dziadkowie byli całkiem elegancką parą. Po wewnętrznej stronie drzwi szafy wisiało zdjęcie Ruth z lat pięćdziesiątych, na którym pozowała w kostiumie kąpielowym.

„Nic tu nie ma” - stwierdził Alex. Pudełka leżące \$ kredensie wypełniały stare rachunki i listy z różnych mini” sterstw. Pod łóżkiem było kilka par butów. Drugi pokój p<sup>^</sup> nił rolę gabinetu - przy oknie stało duże antyczne biurko-

Alex usiadł na biedermeierowskim krześle i jedna po drugiej przetrząsał wszystkie szuflady zawierające spuściznę po dwojce ludzi, którzy mieli długie i burzliwe życie. Były tam zdjęcia w sepia, przedstawiające młode uśmiechające się szeroko osoby. Na plaży nad Balatonem, na przyjęciu w zadymionym lokalu. Ciemnowłosa dziewczyna robiła głupią minę, przytulając się jednocześnie do poważnego młodzieńca siedzącego przy stoliku obok niej.

Podobnie jak kilka innych osób na fotografiach, również ta para wydała się Alexowi znajoma. Uznał, że są to jacyś dalecy krewni, którzy zginęli w czasie wojny, ponieważ nigdy nikogo z nich nie spotkał. Schował do kieszeni kilka zdjęć i plik listów. Dolna szuflada biurka

była zamknięta. Alex nie dostrzegł w pobliżu żadnego kluczyka, który mógłby pasować do zamka, więc ruszył do kuchni. Po chwili wrócił z dużym nożem. Wsunął go w szczelinę, próbując odblokować zamek. Ostrze wygięło się, a szuflada ani drgnęła. Było to w końcu solidne, ręcznie wykonane biurko z twardego drewna i mosiądzu. Stanowiło wielkie wyzwanie dla ostrza radzieckiej produkcji masowej.

Mocując się z zamkiem, Alex zdał sobie sprawę, iż zabrnął trochę za daleko. Nawet dla najmniej bystrego policjanta oczywistym teraz będzie, że ktoś niepowołany wszedł na miejsce zbrodni. „Cóż, już za późno, aby się wycofać” - pomyślał. Szuflada skrzypnęła, jęknęła w proteście, aż wreszcie ustąpiła.

W środku leżał plik pożółkłych listów przytrzymany recepturką. Może to był jakiś trop. Na starych kopertach widniały znaczki pocztowe z czasów wojny. Trzeszczały, kiedy Alex ostrożnie zdejmował gumkę. Otworzył jeden z listów. Ruth pisała w nim o swoim pobycie u ciotki w Peczu, w lecie 1943 roku. Zamartwiała się, że wszyscy jej kuzyni zostali wysłani do przymusowych obozów pracy w Transylwanii i od trzech miesięcy nie dostała od nich żadnych wiadomości.

Ruth miała piękny, staranny charakter pisma, a list pełen był czułych słów. Alex przejrzał szybko pozostałe koperty wszystkie adresowane tą samą ręką, po czym wrzucił je do swojej torby i wrócił do salonu.

Książki były porzucane po całym pokoju. Dzieła po niemiecku, francusku, węgiersku, rosyjsku, a nawet kilka powieści o Sherlocku Holmesie w języku angielskim. Alex usiadł na chromowanym krześle ze skórzanymi obiciami i przyglądał się leżącym na podłodze książkom. Stanowiły one prawdziwie inteligencki księgozbiór, a przecież pochodziły z czasów, kiedy bycie inteligentem niosło ze sobą poważne zagrożenie. Alex zaczął je porządkować, licząc, że może Miklos ukrył w nich coś istotnego i dlatego ktoś powyciągał je z półek - *Pani Bovary*, *Zbrodnia i kara*, zbiór poezji węgierskiej, dzieła Camusa i Sartre'a, historia ZSRR, biografia Janosa Kadara, ostatniego komunistycznego przywódcy na Węgrzech, egzemplarz Talmudu. Alex podniósł oprawione w skórę wydanie *Kamasutry*, nieco podniszczone od częstego czytania, kiedy nagle w mieszkaniu rozległ się dzwonek telefonu. Poderwał się na równe nogi i sięgnął po swoją komórkę, szybko jednak zdał sobie sprawę, że to dzwoni telefon stacjonarny Miklosa.

Alex spojrzał na zegarek. Było dziesięć po pierwszej. Kto mógł dzwonić do nieboszczyka w środku nocy? Przez chwilę sądził, że to Natasza. Może miała problem z dodzwonieniem się na jego komórkę, a ktoś się zbliżał. Telefon Miklosa był czarnym, niemal zabytkowym urządzeniem, wydającym przenikliwy dźwięk, niosący się po całym mieszkaniu. Serce Alexa zabiło mocniej. Nie mając pomysłu na to, jak inaczej przerwać hałas, podniósł słuchawkę.

- Halo? - Żadnej odpowiedzi, tylko cisza. - Halo, halo? Z kim chcecie rozmawiać?

Kilkakrotnie powtórzył pytanie, zarówno po angielsku jak i po węgiersku, wciąż bez reakcji po drugiej stronie

Odczekał kilka sekund, po czym odłożył słuchawkę. Był roztrzęsiony. Postanowił, że bez względu na to, czy znajdzie coś ważnego, opuści mieszkanie w przeciągu najbliższych minut. Wystarczająco dużo dziś ryzykował. Zdał sobie sprawę, że bardzo głupio zrobił, odbierając telefon. Ktokolwiek dzwonił, wiedział teraz, że jest w mieszkaniu.

Przejrzał jeszcze pobieżnie wycinki prasowe leżące na biurku Miklosa. Niektóre z pożółkłych kawałków papieru pochodziły jeszcze z lat pięćdziesiątych: nazistowscy sędziowie mianowani członkami niemieckiego Sądu Najwyższego. Nazistowscy lekarze otrzymują tytuły profesorskie. Generał Reinhard Gehlen, były szef nazistowskiego wywiadu wojskowego na froncie wschodnim, buduje służbę wywiadu RFN z pomocą CIA. Prężny rozwój KZX Industries w latach siedemdziesiątych. Fotografia upadającego muru berlińskiego, na której narysowany był wielki znak zapytania. Było też trochę bardziej

aktualnych materiałów, dotyczących ekspansji Volkstern Corporation na Europę Wschodnią, oraz wycinek z „New York Timesa” na temat prawodawstwa dotyczącego odszkodowań za utracone nieruchomości dla ocalałych z Holocaustu. Alex zebrał wszystko i wepchnął do torby.

Po raz ostatni rozejrzył się po pokoju. Tuż obok kanapy leżała gruba czerwona książka: Siedemdziesiąt lat postępu. Osiągnięcia ZSRR. Miklos pokazywał mu ten tytuł podczas ostatniego spotkania. Wspomnił nawet, że to pamiątka rodzinna, którą trzeba pielęgnować, zawiera bowiem „ważne, cenne wspomnienia”. Alex był przekonany, że jego dziadek, zaciekły antykomunista, ironizuje na temat wątpliwej wartości „dzieła”. Ale co, jeśli dziadek chciał mu w ten sposób coś przekazać? Podniósł książkę. Zawierała kolorowe fotografie ciągników orzących pola Kazachstanu, szeroko uśmiechniętych mieszkańców Moskwy ślizgających się na lodowisku w parku Gorkiego, rakiet kosmicznych, pocisków, astronautów. Świat, którego już nie ma. Okładki książki były dziwne w dotyku - nierówne i nieco zbyt wypukłe. Wyczuł pod palcami zgrubienie, ciągnące się od wewnątrz wzdłuż krawędzi sztywnych okładek, przedniej i tylnej. Pociągnął mocniej za jeden z rogów, najpierw ostrożnie, potem szarpiąc.

Pod przyklejonym do okładek papierem znajdował się plik kartek z cieniutkiego, szarego papieru, spiętych przyrdzewiałym spinaczem. Pokryte były drobnym odręcznym pismem o wyblakłym szaroniebieskim kolorze atramentu używanego do wiecznych piór. Serce Alexa waliło jak oszałałe, kiedy czytał pierwszą linijkę tekstu: Pamiętnik z getta, Miklos Farkas. W tym momencie w jego kieszeni zadzwonił telefon.

- Pospiesz się, słyszę na dole jakieś głosy. Chyba policja. Natychmiast stamtąd uciekaj - usłyszał szept Nataszy.

Chwycił papiery wraz z książką i schował je do torby. Był już przy drzwiach, kiedy nagle zawrócił i ruszył z powrotem do salonu. Wziął rękawice bokserskie Miklosa, również włożył je do torby i dopiero wtedy szybko ruszył do wyjścia. Natasza czekała na zewnątrz. Kiedy tylko delikatnie zamknął za sobą drzwi, zerwała błyskawicznie uszkodzone taśmy i zastąpiła je nowymi. Alex zgniótł podarte pasy papieru i wcisnął je do kieszeni spodni.

Pokazał jej książkę i papiery po czym bez słowa, po cichu, zaczęli schodzić w dół. Na parterze zobaczyli migające niebieskie światło policyjnego koguta.

- Cholera! - krzyknął Alex - I co teraz?

- Zamknij się i chodź tu do mnie - powiedziała szybko Natasza i obejmując Alexa za szyję, popchnęła go na ścianę, a sama przytuliła się do niego. Patrzył na nią z zaskoczeniem.

- Po prostu bądź cicho i pozwól mi działać - syknęła jeszcze, zanim znaleźli się w zasięgu światła latarki.

- Hej, gołąbki, co wy tam wyprawiacie? Nie macie gdzie się podziać? - Odsunęli się od siebie, kiedy podszedł do nich tęgawy policjant z papierosem przyklejonym w kąciu ust.

Natasza uśmiechnęła się i trzymając Alexa za rękę, zaczęła tłumaczyć:

- Bardzo przepraszam, kapitanie, byliśmy na spacerze, schowaliśmy się tutaj przed tym lodowatym wiatrem, no a potem, cóż, troszkę nas poniosło. Na pewno sam pan wie, jak to jest, wystarczy moment.

Policjant przyglądał im się z powątpiewaniem.

- Nie ruszajcie się stąd. Widzieliście tu kogoś? Dostaliśmy informację, że ktoś był w mieszkaniu, w którym zamordowano tego Żyda. Ktoś słyszał stamtąd jakieś hałasy albo tak mu się wydawało. Zauważyliście coś podejrzanego? Może powinienem zbudzić dozorczynię, spytać, czy czegoś nie wie.

- Nikogo nie widzieliśmy, proszę pana. Jesteśmy tu dopiero od paru minut - odpowiedziała grzecznie Natasza, niewinnie patrząc na policjanta szeroko otwartymi oczami.

Alex miał ogromną nadzieję, że policjant nie wprowadzi swojego planu w życie. Wizja rozmowy z Erzsebet Kovacs o tej porze nieco go przerażała. Szczególnie, że sąsiadka na pewno, choćby i przypadkowo, ujawniłaby mundurowemu, kim jest Alex.

- Dowód tożsamości - zażądał policjant. - A ten to kto? - zapytał, zwracając się do Nataszy.

- Anglik. Poznaliśmy się dziś w barze. Nie mówi słowa po węgiersku - odpowiedziała błyskawicznie Natasza, podając swój dowód.

Policjant wziął dokument i przyglądał się na zmianę Nataszy i jej zdjęciu.

- Dopiero co poznaliście się w barze, a ty już się z nim całujesz po kątach - mruknął. - Paszport - zwrócił się do Alexa.

Natasza uchwyciła spojrzenie kolegi. Ten niemal niezauważalnie potrząsnął głową. Mieli problem. Jeśli pokaże policjantowi swój dowód, ten zauważy, że ma takie same nazwisko jak Miklos, a wtedy zwróci się do centrali po instrukcje. Na pewno każe też Alexowi pokazać zawartość torby i kieszeni. Mogliby spróbować ucieczki, ale jak daleko udałoby im się zbiec?

Alex wzruszył ramionami i pokazał puste ręce. Policjant spojrzał na niego, podejrzliwie mrużąc oczy.

- No, to mamy problem. Bardzo poważny problem - powiedział. - W takim razie pójdziecie ze mną. Oboje - mówiąc to, nie zrobił jednak ani jednego kroku w stronę samochodu, w którym siedział jego kolega, czytający kolorowy magazyn.

Natasza uśmiechnęła się do policjanta.

- Może jednak udałoby się załatwić wszystko na miejscu? - powiedziała.

- W jaki sposób?

- W taki - odparła Natasza, sięgając do torebki i wyjmując z niej dziesięć tysięcy forintów. Mundurowy potrząsnął głową i schował pieniądze do kieszeni.

- Problem jest poważniejszy - oznajmił, na co ona wręczyła mu kolejne dziesięć tysięcy.

Wziął, jednak w dalszym ciągu kręcił głową z niezadowoleniem.

- Jak bardzo poważny pana zdaniem? - spytała Natasza.

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Trzydzieści.

- Czterdzieści. I to szybko - burknął policjant, chciwie wyciągając dłoń.

Natasza wsunęła rękę do kieszeni spodni Alexa i wyciągnęła jego portfel. Wyjęła z niego kolejne dwa banknoty i dała je policjantowi - schował je skwapliwie.

- Poczekajcie tutaj. I nie próbujcie żadnych sztuczek - nakazał. Wdrapał się powoli na najwyższe piętro, dudnij ciężkimi butami. Alex przyglądał się Nataszy zszokowany. Miał do niej mnóstwo pytań, ona jednak szybko położyła palec na ustach. W czasach, kiedy był korespondentem, razem ze swoimi kolegami przeprowadzał na innych dziennikarzach test SUF. Skrót SUF oznaczał Steady Under Fire, czyli kogoś, o kim się wiedziało na pewno, że nie spanikuje w sytuacji kryzysowej. Nie wszyscy go zdawali, jednak Natasza była bez wątplenia SUF. Trafnie wybrał sobie współpracowniczkę. Podrobiła policyjne taśmy, zaufała mu bez wahania, kiedy zapewniał ją, że warto popełnić przestępstwo i dostać się do mieszkania jego dziadka, a potem jeszcze bezbłędnie zajęła się kłopotliwym policjantem.

Mundurowy wrócił i ruszył w stronę radiowozu. Powiedział swojemu partnerowi, że nie zauważył nic niepokojącego, mieszkanie jest zamknięte i opieczętowane, a w okolicy nie ma nikogo poza dwójką zakochanych. Marudził, że już druga w nocy, prawie koniec ich zmiany. Przez krótkofalówkę zgłosił centrali, że wszystko jest w porządku.

- A teraz spadajcie stąd. Raz, dwa - machnął ręką na Alexa i Nataszę. - Pieprzeni cudzoziemcy.

Alexowi w dalszym ciągu waliło serce, kiedy szli placem w stronę Groove. Natasza wyglądała na spokojną i niewzruszoną.

- Spisałaś się na medal. Skąd wiedziałaś, że weźmie łapówkę?

- Gliniarze zawsze pracują parami. Jeśli zostaniesz zatrzymany, a jeden z nich znika ci z pola widzenia albo nie podchodzi bliżej, to znaczy, że są gotowi przyjąć łapówkę. Wiarygodne zaprzeczenie. Drugi glina niczego nie widział, bo przecież wcale go tu nie było. Ten, który bierze łapówkę, dostaje sześćdziesiąt procent, ten, który czeka w samochodzie - czterdzieści.

- Świetny materiał na artykuł. Poradnik, jak wręczać łapówki budapesztańskim policjantom - odpowiedział Alex z entuzjazmem.

- Pewnie masz rację. Alex, muszę cię przeprosić. - Głos Nataszy brzmiał teraz oficjalnie.

- Za co? To ja powinienem cię przeprosić - zaprotestował. - Przeze mnie o mały włos by nas aresztowano.

- Nie o to chodzi. Nie miałam racji. Wtedy, w biurze, okazałam brak szacunku zarówno twojemu dziadkowi, jak i tobie. Kiedy powiedziałam, że miałeś szczęście, że spędziłeś z nim przynajmniej trochę czasu.

- Nie musisz mnie za nic przeproszać, ale w każdym razie dziękuję. Chodźmy na drinka. Zasłużyliśmy sobie - zaproponował Alex, chwytając ją pod ramię i kierując w stronę Groove.

Natasza ruszyła gwałtownie naprzód, delikatnie wrywając rękę z dłoni Alexa.

- Nie, dzięki. Muszę już iść do domu.

- Jest sobota wieczór - zaprotestował Alex. - Byłaś dziś absolutnie rewelacyjna. Pozwól mi postawić ci drinka.

Kupka podpitych nastolatków wtoczyła się na plac zabaw, śmiejąc się i pokrzykując. Natasza potrząsnęła głową. Wyjęła paczkę papierosów i zapaliła jednego; szybko się zaciągnęła.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc, Alex. Ale teraz naprawdę muszę już iść. Chcę się wyspać przed jutrzejszym wieczem Sanzlermanna.

Alex wzruszył ramionami. Czuł, że na twarzy pojawiły mu się rumieńce zmieszania i zakłopotania.

- Masz rację. Zadzwon do mnie jutro wieczorem i opowiedz, jak ci poszło.

- Postaram się, jeśli tylko nie wrócę za późno. Albo po prostu zobaczymy się w redakcji w poniedziałek - powiedziała Natasza na odchodne.

## Rozdział 7

Alex stał na trawiastym brzegu Balatonu, walcząc z wiatrem targającym jego czerwony urodzinowy latawiec. Miklos przyglądał się mu z niewielkiej odległości, uśmiechając się i kiwając z zadowoleniem głową. Latawiec mocniej szarpnął, sznurek coraz bardziej wrzynał się Alexowi w dłoń. Nagły podmuch wiatru wyrwał mu go z ręki. Czerwona plamka wirowała w powietrzu, aż zniknęła za horyzontem. Alex poczuł, że jego oczy wypełniają się łzami. Odwrócił się w stronę Miklosa, ale ten zniknął. Alex obudził się gwałtownie, zdezorientowany. Drżały mu ręce. Na zegarku była dziewiąta trzydzieści. Włączył radio i położył się z powrotem. Pokój wypełniły subtelne dźwięki utworu Schumana. Zza okna dobiegało bicie kościelnych dzwonów i skrzywienie przejeżdżającego wzdłuż brzegu rzeki tramwaju. Otaczające go odgłosy niedzielnego Budapesztu jednocześnie uspokajały go i sprawiały mu ból. Niedziele spędzał zawsze z Miklosem, czasem zabierał go nawet na lunch. Planował, że kiedyś zaprowadzi go do Kultury. Teraz niedzielny poranek zionął przeraźliwą pustką.

Alex rzucił okiem na pamiętnik Miklosa leżący na kuchennym stole, tuż obok książki o ZSRR. W myślach odtworzył krok po kroku wydarzenia poprzedniej nocy. Teoretycznie cała akcja zakończyła się sukcesem. Udało im się niepostrzeżenie dostać do mieszkania, a potem z

niego uciec. Uniknęli aresztowania. Nikt nawet nie wiedział, że byli w środku, może oprócz osoby, która dzwoniła. Znowu zirytował się na myśl o tym, jak idiotycznie postąpił, podnosząc słuchawkę. Ale to nie dlatego czuł się dziś tak źle. Częściowo był to smutek i żal, wiedział o tym - w końcu nie minął jeszcze tydzień od dnia, w którym znalazł ciało swojego dziadka. Ale nie tylko o żalobę chodziło. Wbił wzrok w szary, popękany sufit. Miał trzydzieści dziewięć lat. Trzymał w banku trochę pieniędzy, ale nie posiadał żadnych nieruchomości. W jego życiu była kobieta, ba, mówiła mu nawet, że go kocha. Jednak była żoną innego. A on czuł, że się w niej zakochuje, co mogło skończyć się dla niego tylko źle. Jego przyjaciele i znajomi z pracy już dawno się pożenili, mieli dzieci, kredyty, zobowiązania. Jakaś część jego osoby gardziła tą mieszczańską rutyną, czasem jednak, szczególnie w takie poranki jak ten, marzył, aby zobaczyć znajome twarze przy kuchennym stole. Czyżby dopadał go właśnie osławiony kryzys wieku średniego?

Pościel pachniała jeszcze delikatnie perfumami Zsofi. Alex starał się nie myśleć o tym, że ona pewnie teraz budzi się obok swojego męża. Istvan Kiraly miał rację. Jego związek z Zsofi nie ma przyszłości. Poczuł, że się rumieni na samo wspomnienie tego, jak próbował wczoraj zaprosić Nataszę na drinka i jak szybko odtrąciła jego ramię. Przecież, wmawiał sobie, nie ma nic złego w zaproszeniu na drinka koleżanki z pracy, szczególnie w sytuacji, kiedy właśnie dokonano się z nią udanego włamania. Przecież nawet kiedy stali przyciśnięci do siebie pod ścianą Natasza dawała mu jasno do zrozumienia, że nie jest nim zainteresowana. Ich uścisk był czymś czysto zawodowym. Gdyby był młodszy, potraktowałby pewnie tę sytuację jako wyzwanie: rozmrozić serce syberyjskiej księżniczki za pomocą uwodzicielskiego uśmiechu i butelki wina lub wódki. Wciąż też pamiętał o innej dziewczynie o słowiańskiej urodzie, z dłuższymi włosami i takim samym zarysem kości policzkowych.

Alex przełknął głośno ślinę, wstał i ruszył do łazienki. Patrzył przez dłuższą chwilę na swoje odbicie w lustrze. Twarz pokryta kilkudniowym zarostem, zaczerwienione oczy. W ustach czuł gorzki posmak wczorajszej whisky, którą wypił samotnie po powrocie do domu. Sokrates pisał, że „życie bezmyślne nie jest warte życia”. Alex pomyślał sobie, że bywają jednak chwile, kiedy myślenie staje się jedynie wymówką, aby nic nie robić. Nie dopadł go żaden kryzys, po prostu zaczął się nad sobą roztkliwiać. Zdecydował, że czas na lodowatogorącą terapię wstrząsową. Usiadł w wannie i zaczął kręcić gwałtownie dźwignią regulacji temperatury wody. Oblewając się na przemian lodowatą i niemal wrzącą wodą, wydawał z siebie krótki wrzask przy każdej gwałtownej zmianie temperatury. Czuł na skórze mrowienie. Zmywał z siebie przygnębienie. Postanowił jak najszybciej zerwać znajomość z Zsofi, ale przede wszystkim - dowiedzieć się, kto i dlaczego zabił Mikłosa.

Ogolił się, włożył świeże ubranie i stanął w kuchni, rozważając, co zjeść na śniadanie. Kawalek pizzy wciąż jeszcze leżał na wierzchu. Alex wyrzucił go do śmieci, podwinął rękawy i zabrał się za szorowanie całego pomieszczenia. Wymył naczynia, przetrął blaty, wyczyścił i zamiótł podłogę. Porządki się opłaciły - w nagrodę na śniadanie miał turecką kawę, którą dostał od Mubaraka, torebkę pistacji i trochę ciastek przywiezionych z Anglii, które znalazł schowane głęboko w jednej z górnych szafek. Zagotował kawę w małym mosiężnym garnku, również podarunku od Mubaraka. Obserwował, jak gotujący się płyn prawie wylewa się z naczynia. Postanowił, że spędzi ten dzień na czytaniu wspomnień Mikłosa. Usiadł przy biurku i sięgnął po cienkie szare kartki zapisane eleganckim kaligraficznym pismem jego dziadka.



## PAMIĘTNIK Z GETTA. MIKLOS FARKAS

2 listopada 1944

Postanowiłem prowadzić pamiętnik. Będę pisał o tym, jak tu żyjemy i jak umieramy, zacznę jednak od postawienia pytania. Pytania, które nurtuje mnie już od dłuższego czasu. Cóż takiego uczyniliśmy Węgrom, że tak nas nienawidzą? Jesteśmy przecież - byliśmy - porządnymi, lojalnymi obywatelami. Płaciliśmy podatki, budowaliśmy fabryki, szkoły, szpitale. Pisaliśmy książki, sztuki teatralne, scenariusze filmowe, artykuły prasowe, wiersze. Zakładaliśmy czasopisma literackie. Walczyliśmy na ich wojnach, ginęliśmy w ich rewolucjach, pomagaliśmy rozwijać gospodarkę, dawaliśmy miejsca pracy. Produkowaliśmy nawet pociski i kule dla Niemców i mundury dla węgierskich żołnierzy.

A jak nas za to wynagrodzono? Węgrzy obserwowali z zadowoleniem, jak Niemcy osaczali nas i wysyłali do Polski. Podobno do pracy, jednak żaden z zesłanych nigdy nie powrócił. Zresztą, jaką pracę miałyby wykonywać dzieci i starsze osoby? Nie, muszę się tutaj poprawić. To nie Niemcy nas osaczyli. To byli Węgrzy. To węgierscy urzędnicy sporządzali listy Żydów do deportacji. Węgierscy żandarmi oczyszczali miasta i wioski z Żydów, zaganiając ich do gett. Węgierscy żandarmi torturowali młodych i starych, próbując wydobyć informacje o ukrywanym przez nich złocie. Żydowskim złocie oczywiście, każdy Żyd ma złoto, nawet jak go nie ma, nawet kiedy upada zakrwawiony przed żandarmem, oni nadal szukają, szukają złota. I wciąż nas zabijają, nawet teraz. Dlaczego? Wszyscy wiedzą, że Niemcy przegrali wojnę. Alianci zajęli już pół Europy, są w drodze do Berlina. Rosjanie nadciągają od wschodu i otoczyli już Budapeszt. Nawet Rumuni przeszli już na drugą stronę. Ale nie my. Nie, my mamy nowy rząd, rząd kierowany przez ludzi gorszych nawet od nazistów: strzałokrzyżowców, którzy mordują nas dla przyjemności.

5 listopada 1944

Piszę dziś w mieszkaniu na ulicy Dohdny, niedaleko Wielkiej Synagogi, przy bramie głównej budapesztańskiego getta. Jest nas tu ośmiu Żydów w jednym pokoju - czasem więcej, czasem mniej, bo ludzie umierają, a ich miejsce zajmują potem nowi. Nikt już nie grzebie zwłok, zamarznęte ciała leżą po prostu przed synagogą. Do ogrzewania i oświetlenia służy nam kilka świec. Ściany drżą, kiedy amerykańskie samoloty zrzucają na miasto bomby; w skrytości ducha cieszymy się, słysząc dźwięki wybuchów pocisków rosyjskiej artylerii. Moja żona Ruth jest tu ze mną, pracuje w tutejszej kuchni - jeśli tak można nazwać miejsce, z którego pochodzą nasze nędzne racje żywności - i próbuje nam pomagać na wszelkie sposoby.

Nocami tłoczmy się wszyscy jeden obok drugiego w poszukiwaniu ciepła. Młodzi czy starzy, kobiety czy mężczyźni - nie ma to już dla nas najmniejszego znaczenia. Kilkoro z nas ma koce, większości jednak muszą wystarczyć ubrania. Powietrze jest gęste i cuchnące od smrodu niemytych ciał. Kiedy odgłosy wybuchów stają się za głośne, dla bezpieczeństwa chowamy się w piwnicy zamieszkannej przez szczury. Tam nie ma przynajmniej zagrożenia, że oberwie się kulą albo odłamkiem. Buzuje we mnie ogień, który w jakiś sposób pozwala mi przetrwać. Mam serdecznie dość tej wojny, głupoty przywódców tego kraju, bierności jego mieszkańców. Gdzie są partyzanci? Gdzie ruch oporu? Gdzie jest policja i wojsko, gdy strzałokrzyżowcy robią tu, co chcą? Oddali nasz kraj w ręce rzeźników i nie zrobili jeszcze nic, aby ich powstrzymać.

Mam w sobie tyle gniewu, ale czy właściwie sam robię cokolwiek? Mógłbym kupić broń i zacząć strzelać. Ale tego nie robię. Chcę żyć. Czy to wyznanie czyni mnie tchórzem? Być może.

6 listopada 1944

Dziś jestem nieco spokojniejszy. Uświadomiłem sobie, że wciąż powinienem uważać się za szczęśliwca. W końcu nadal żyję, kiedy innych zginęło już tak wielu. I wciąż jest ze mną Ruth. I przynajmniej niektórzy z nas zaczęli stawiać opór. Syjonistyczne młodzieżówki dzięki neutralnym dokumentom mogą się teraz swobodnie przemieszczać z tego getta do tak zwanego międzynarodowego getta w trzynastej dzielnicy, przy Moście Małgorzaty. Pomoc nadeszła z najmniej spodziewanej strony - od ambasady Szwecji i Szwajcarii. Szwedzki dyplomata Raoul Wallenberg i jego szwajcarski kolega Carl Lutz wydają dokumenty informujące, że węgierscy Żydzi są przez nich chronieni. Młodzi wykorzystują te papiery do poruszania się po mieście, na ich podstawie drukują też swoje fałszywki. Mnie samemu zdarza się czasem pójść do pracy, dzięki naszemu dawnemu lokajowi. Aladar Nagy jest teraz kierownikiem sali w hotelu Savoy, ulubionym lokalu esesmanów, jednym z ostatnich miejsc w mieście, gdzie wciąż jeszcze można dostać jedzenie, alkohol i tytoń. Aladar jest członkiem ruchu oporu. Zatrudnił mnie jako kelnera i załatwił nawet coś jeszcze lepszego niż papiery Wallenberga - laissez-passer wydawany przez samo SS. Cóż za ironia losu, że moim obowiązkiem jest teraz usługiwać nazistom, podawać im kawę i serwować lunch. Zaledwie kilka miesięcy temu to moje zachcianki spełniane były przez służbę. Teraz żyję dzięki resztkom, które wyrzucają naziści. Świat nie kręci się dalej. Świat stanął na głowie.

7 listopada 1944

Znowu serwowałem dziś kawę Adolfowi Eichmannowi w hotelowej kawiarni. Dziwna z niego postać, mówiąc delikatnie. Mówi trochę po hebrajsku, nauczył się kiedy przed wojną przebywał w Palestynie, zna też wszystkie żydowskie święta i zwyczaje. Wygląda jak urzędnik, a nie jak przepelniony nienawiścią fanatyk. Ponieważ jestem zręczny i mam już wprawę w obsłudze go, Eichmann zawsze zwraca się bezpośrednio do mnie: Miklos Kovacs - tak, jak zapisane mam w swoich fałszywych papierach. „Kovacs! Kawa! Czarna i mocna!” - zarządza, kiedy wpada do kawiarni o jedenastej w nocy. Spodziewa się, rzecz jasna, że od razu skoncentruję na nim całą swoją uwagę. Najchętniej wylałbym mu tę kawę na głowę, ale oczywiście nie robię tego. Staram się za to podsłuchiwać jak najwięcej z jego rozmów, choć jest to bardzo delikatne zadanie. Jeśli choćby podejrzewałby mnie o to, z miejsca kazałby mnie rozstrzelać. Dzisiaj siedział z pułkownikiem SS Friedrichem Vautkerem, który, jestem o tym przekonany, wie o moich fałszywych dokumentach, ponieważ czerpie jakąś okrutną przyjemność z tego, że jest dla mnie miły. Raz uratował mi nawet życie, broniąc mnie przed strzałokrzyżowcami. Eichmann i Vautker spędzają mnóstwo czasu na spotkaniach z biznesmenami. Mimo że Rosjanie z każdym dniem są coraz bliżej Budapesztu, nie wydają się tym faktem specjalnie zatroskani.

9 listopada 1944

Bombardowania przybierają na sile. Zwłoki leżą na ulicach getta nawet kilka dni, zanim zostaną zabrane. Strzałokrzyżowcy urządzają sobie pijackie zabawy - biorą ludzi z łapanek i prowadzą ich ulicą Rakocznego aż nad Dunaj. Kiedy kończą im się naboje, wiążą Żydów trójkami, potem strzelają do jednego - kiedy się przewraca, wpada do wody i ciągnie za sobą dwóch pozostałych. Mówi się, że podobno ludzie Wallenberga czatują wtedy na brzegu i próbują wylawiać tych, którzy są jeszcze żywi. Teraz już nie tylko Żydzi, ale wszyscy mieszkańcy Budapesztu przez większość czasu żyją w ukryciu. Dziś zostałem przydzielony do obsługi specjalnej uroczystej kolacji w Savoyu.

10 listopada 1944

Uroczysta kolacja była rzeczywiście wyjątkowa. Od miesiący nie widziałem takiego jedzenia. Zgodnie z obietnicą Aladar Nagy zaopatrzył mnie w pokaźną paczkę z resztkami. Podzieliłem się nimi z Ruth i pozostałymi mieszkańcami naszego pokoju. Dałem też kilka kartofli dziecku, które płakało z głodu. Na kolacji obecni byli nie tylko wojskowi, ale i paru cywilów. Zajrzałem do hotelowej księgi gości - nawet w tym piekle, jakim jest wojna, nadal jest miejsce na biurokrację. Okazało się, że w hotelu zameldowani są biznesmeni z Zurychu, a także wielu niemieckich przemysłowców, baronów przemysłu stalowego, chemicznego i samochodowego. W połowie kolacji nastąpiła awaria prądu i od tego momentu jedynym źródłem światła były świece. Eichmann był nieobecny, pojawił się za to mój „przyjaciel”, pułkownik Vautker. Jego chuda, ukryta w mroku twarz, oświetlona jedynie migoczącym płomieniem stojącej w pobliżu świecy, wyglądała jak marska, za którą kryła się jakaś straszna tajemnica, przepowiednia mrocznej i straszliwej przyszłości ludzkości.

25 grudnia 1944

Boże Narodzenie. Zaniedbałem nieco pisanie pamiętnika, od ostatniego wpisu nie wydarzyło się jednak zbyt wiele. Hotel Savoy zamknięto, a większość esesmanów uciekła z miasta. Rosyjski pochód stopniowo się posuwa naprzód. Strzałokrzyżowcy są wściekli. W żydowskim szpitalu wymordowano wszystkich, począwszy od lekarzy i pielęgniarek, na pacjentach kończąc. Wczoraj spotkałem chłopca, miał nie więcej niż czternaście lat, który w jakiś sposób zdołał uciec wraz ze swoją siostrą z żydowskiego domu dziecka na ulicy Maros w Budzie. Ukryli się w piwnicy, kiedy strzałokrzyżowcy napadli placówkę i zagonili wszystkich nad rzekę, gdzie oddali do nich serię z karabinu maszynowego. Chłopiec oderwał żółtą gwiazdę z ubrania swojego i swojej siostry, i ruszyli o świcie przez miasto w poszukiwaniu swoich rodziców. Brzmi niewiarygodnie, ale im się to udało.

Wszyscy tu są chorzy, gorączkują, a lekarze nie mogą na to nic poradzić. Wciąż funkcjonuje nasza kantyna, z której rozdzielane są skąpe posiłki: chleb zrobiony z mąki i trocin, czasem jakiś wywar z grochu albo fasoli. Kaszlemy i plujemy krwią, a nasze zęby są coraz słabsze. Nazywają to „chorobą ukraińską”, nazwa nie ma jednak znaczenia, bo nie ma na nią lekarstwa. Jedyłą szansą jest dziś dla nas Armia Czerwona.

1 stycznia 1945

Początek nowego roku. Dowiedziałem się, że za złoty zegarek można dziś kupić kawałek zepsutej koniny. Człowiek będący w posiadaniu paczki papierosów jest uważany za milionera. Szczury są coraz grubsze, ale my już przestajemy ich się bać. Kilku odważniejszych spośród nas wciąż jeszcze przedziera się kanałami z getta do miasta, przynosząc wieści o konającym powoli Budapeszcie. Też zdarzało mi się czasem wydostać na trochę z getta - przekupywałem pilnujących nas strzałokrzyżowców, ale wysłano ich na front. W ich zastępstwie pojawili się jeszcze gorsi - polityczni komisarze, wierzący głęboko w każde słowo swojego przywódcy, tego szaleńca Ferenca Szalasio. Nie majak się z nimi dogadać. Pozostaje mi więc tylko siedzieć i czekać. Nie wiemy, co zgotuje nam los, kiedy Rosjanie wkroczą do miasta. Krążą plotki, że strzałokrzyżowcy podpalią całe getto, z nami w środku. Mamy trochę ukradzionej broni. Przysięgliśmy, że zginiemy, walcząc, tak jak nasi bracia w Warszawie. Teraz przynajmniej głodujemy i walczymy o przetrwanie wszyscy, Żydzi i goje razem.

3 stycznia 1945

Otrzymałem dziś prezent - kawałek chleba. Dostałem go <Męki uprzejmości SS, tylko nieco okrężną drogą. Około jedenastej rano ktoś zapukał, całkiem delikatnie, do drzwi piwnicy. W progu stał mężczyzna w mundurze SS - elegancki czarny płaszcz i także spodnie, jego głowę zdobiła czapka z symbolem dwóch błyskawic. W ręku trzymał trzy bochenki

*chleba. Potem stało się coś dziwnego. Esesman uśmiechnął się. Kobieta obok mnie podskoczyła nagle, na przemian śmiejąc się i szlochając z radości. JSfie martwicie się, nie martwicie się, to mój mąż, mój mąż!". Padli sobie w objęcia, a ona powtarzała wciąż jego imię „Laszlo, Laszlo”. Ostatnie wieści o nim, jakie do niej dotarły, były sprzed pół roku, wówczas wraz z wojskiem węgierskim wysłano go do Rumunii.*

*Nasi wspaniali generałowie potracili całe armie, ale jemu udało się przetrwać. Ruszył z frontu z powrotem do domu, podróżując nocami, a śpiąc za dnia, przez sześć tygodni, aż wreszcie udało mu się jakimś cudem przekroczyć rosyjską linię frontu. Pewien przyjazny oficer SS - o ile można tak powiedzieć o jakimkolwiek esesmanie - zrobił z niego swojego kierowcę. Dał mu nawet, Żydowi, nazistowski mundur. Dzięki temu, że go nosił, nie musiał już obawiać się strzałokrzyżowców. Ale wiem już, że na wojnie dzieją się rzeczy jeszcze dziwniejsze. Staralem się, aby mojego chleba starczyło mi na jak najdłużej, bo smakował on jak coś nie z tego świata. Przywoływał wspomnienia śniadań jadanych z miśnieńskiej porcelany, świeżych ciast i mocnej, gorącej kawy w jadalni naszego domu w alei Andrassyego. Słyszałem, że zajęli go esesmani. Zakwaterowany jest tam również Antal Noludi, dawny zarządca huty stali Farkasów na wyspie Csepel, któremu mój ojciec powierzył pieczę nad interesem. Nasze zakłady przemysłowe przepadły, tyle wiem. Oddałbym je i dobrowolnie za jakąkolwiek informację o losie moich rodziców.*

Alex siedział chwilę bez ruchu, próbując przetrawić to, co właśnie przeczytał. Z podziwem kartkował wspomnienia swojego dziadka. Wyblakły atrament i cienki papier z czasów wojny jedynie wzmacniał siłę słów Miklosa. Alex wyszedł na balkon. Dzień był zimny i wietrzny. Przechodnie w czapkach, owinięci szalikami walczyli z porywistymi podmuchami od strony Dunaju. Wiatr uderzył go w twarz w momencie, kiedy obserwował właśnie wysiadającą z forda kombi czteroosobową rodzinę. Rodzice ubrani byli w odświętne stroje, każde z nich trzymało za rękę dziecko. Mama niosła bukiet kwiatów i paczkę z ciastkami, owiniętą starannie w ciemnozielony papier i ozdobioną wstążką. Pora niedzielnego lunchu w Budapeszcie, kadr z życia środkowoeuropejskiego miasta. Po lunchu nastąpi seria rodzinnych rytuałów, kształtujących się tu przez dziesięciolecia. Gdyby tak zabrać nowoczesne samochody i sklepowe neony, ulica wyglądałaby tak samo jak przed wiekiem. Przez chwilę poczuł, jakby cofnął się w czasie.

Któż by przypuszczał, że takie straszne rzeczy działy się niemal przed jego domem albo zaledwie parę metrów dalej, nad rzeką? Niewymowna tęsknota ścisnęła mu gardło. Dziadek Alexa rzadko wspominał o wojnie, najczęściej pokrótce, ogólnikowo. Gdyby tylko przyszedł do niego kiedyś z dyktafonem... Ale teraz było już za późno. Jednak Alex miał przeczucie, że Miklos powiedział mu za pośrednictwem tego pamiętnika więcej, niż sam kiedykolwiek byłby w stanie wyjawić osobiście. Zaczął bezładnie walić w klawisze starej maszyny do pisania stojącej na biurku. Maszyna była prezentem od Zsofi, pochodziła podobno z lat trzydziestych i wciąż jeszcze działała. Za oknem szare niebo pociemniało. Po chwili rozpuściła się burza. Okno trzasnęło przy nagłym podmuchu wiatru, a ciężkie krople deszczu zaczęły uderzać o chodnik. Alex podkręcił ogrzewanie i wrócił do lektury wspomnień dziadka.

\* \* \*

Natasza rozejrzała się uważnie po budapesztańskiej arenie sportowej, na której zebrali się zwolennicy Franka Sanzlermanna. Była zaskoczona tym, że na wiec tak licznie przybyli młodzi ludzie, w większości modnie ubrani i najwyraźniej zamożni. W powietrzu dawało się wyczuć napięcie. Sanzlermann był znakomitym mówcą: świetnie przygotowanym, operującym pytaniami retorycznymi, nikogo nie traktował protekcyjnie. Często wtrącał węgierski zwroty i nawiązywał do ważnych wydarzeń w węgierskiej historii i kulturze.

Przemawiał po angielsku - na dwóch dużych ekranach po bokach jego mównicy pojawiały się napisy w języku niemieckim i węgierskim. Za nim wisiał olbrzymi transparent, głoszący hasło przewodnie Sanzlermanna: „Rodzina, Praca, Jedność: Razem ku Chrześcijańskiej Europie”.

Był już w połowie swojego przemówienia.

- Jestem przekonany, że wielu z was dostrzeże tu pewien paradoks. Zastanawiacie się pewnie, jak możemy ochronić narodowe interesy Węgier w federalnej Europie, posiadającej wspólną walutę, wspólne instytucje prawne i polityczne. Wiem, co chcielibyście powiedzieć: że po raz pierwszy od tysiąca lat Węgry są nareszcie wolnym, suwerennym, niepodległym państwem. My, Madziarzy, możemy wreszcie sami decydować o naszej przyszłości. Dlaczego mielibyśmy teraz z tego zrezygnować?

Publiczność zamarła w bezruchu, chłonąc każde słowo.

- To słuszne pytanie, a ja mam na nie odpowiedź. Nie musicie z czegokolwiek zrezygnować. Możecie tylko zyskać, a nie stracić. Nowa Europa ma wam dziś do zaoferowania jeszcze lepszą ochronę narodowych interesów. Dziś interes Węgier jest interesem całej Europy. Nie będziecie dłużej madziarską wyspą na słowiańskim morzu, nie będziecie odizolowani, niedoceniani, nierozumiani. Będziecie otoczeni przez przyjaciół i sojuszników, w samym sercu silnej, zjednoczonej Europy - zamilkł na chwilę, podczas gdy tłum wokół wiwatował. - Ale dość już o polityce. Pozwolę sobie teraz poruszyć jeszcze ważniejszy temat. Tym tematem jest rodzina. Ja sam nie poznałem nigdy swoich rodziców. Dorastałem w domu dziecka w górach Karyntii. Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym na oblodzonej górskiej drodze, kiedy miałem zaledwie cztery lata. Matka umarła niedługo później. Po prostu zgasła. Ich przyjaciele opłacili mój pobyt w domu dziecka - wspominał, wpatrując się w dal niewidzącym wzrokiem.

Po sali przebiegła fala współczucia.

Oczywiście, przewidziano specjalne miejsce dla dziennikarzy, z dobrym widokiem na scenę i zapasami jedzenia oraz napojów. Natasza wolała jednak wmieszać się w tłum, lepiej poznać nastroje panujące wśród ludzi. Czuć było ogromny entuzjazm zgromadzonych. Młoda kobieta po jej prawej, brunetka z mocnym makijażem, z której czarnego plecaczka wystawał egzemplarz „Ebredjetek Magyarok!”, co chwilę odwracała się w stronę Nataszy, entuzjastycznie kiwając głową. Po drugiej stronie stał blady młodzieniec o długich blond włosach spiętych w kucyk. Patrzył uważnie na Sanzlermanna i okrzykami sygnalizował swoje poparcie dla jego twierdzeń. Oboje mieli na nadgarstkach plastikowe zegarki z podobizną Sanzlermanna.

Sanzlermann odczekał chwilę, jakby próbował zebrać siły po przywołaniu bolesnych wspomnień.

- To właśnie rodzina daje nam poczucie własnego „ja”, wpaja nam wartości, które towarzyszą nam przez całe życie. Ja sam również jestem dziś obdarzony tym wyjątkowym darem, jakim jest własna rodzina - powiedział, wskazując na ekran wiszący nad sceną. Pojawiło się na nim zdjęcie Sanzlermanna przytulonego do żony, Niemki imieniem Dagmar. Obok stała trójka ich dzieci. - Wierzę w rodzinę, pracę i jedność, dla wszystkich Europejczyków, bez względu na ich etniczne pochodzenie. Mówię o tym teraz, ponieważ niektórzy z naszych współobywateli rozpaczliwie potrzebują naszej pomocy.

W miejscu rodzinnego zdjęcia Sanzlermanna pojawiła się teraz fotografia przedstawiająca romską osadę. Zaniedbana kobieta karmiła piersią małe dziecko, stojąc w progu rozpadającej się chaty. Przed domem bosa dzieci bawiły się w błocie. Na sali rozległy się szepty i pomrukiwania.

- Przyjaciele - ciągnął Sanzlermann - widzę, że niektórzy z was czują się niezręcznie, patrząc na to zdjęcie. Pamiętajcie jednak, że możemy, a nawet musimy, pomóc społeczności romskiej. Musimy wyzbyć się uprzedzeń i stereotypowego myślenia na ich temat, zwalczyć

szerzące się wśród nich bezrobocie, pomóc im nadrobić braki w edukacji Inaczej zapłacimy wysoką cenę za nasze zaniedbania. Wzrost przestępczości i bezprawie. - Na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie, tym razem grupy młodych przestępców, ewidentnie Cyganów, zrobione w poprawczaku. - Zbyt długo z pobłażliwością podchodziliśmy do kwestii Romów. Obecnie nie wiemy nawet, ilu ich jest. Nie prowadzi się rejestru urodzeń ani zgonów. To dlatego wzywam do ogólnoeuropejskiego spisu ludności, którego jednym z elementów byłoby pobranie od Romów odcisków palców. Dzięki temu wiedzielibyśmy, gdzie żyją i moglibyśmy pomóc im wieść satysfakcjonujące życie. - Gdy wypowiadał te słowa nieletni przestępcy zniknęli z ekranu, a na ich miejscu pojawiło się zdjęcie dwóch mężczyzn o śniadym kolorze skóry, bijących się na środku głównej ulicy w jakiejś wsi. - Smutne jest to, że przemoc stała się w dzisiejszych czasach powszechnym zjawiskiem. A przemoc nie rozwiąże społecznych problemów. Ale edukacja tak. Dlatego właśnie osobiście chciałbym przekazać dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro, które otrzymałem wraz z Nagrodą Brukselską, na otwarcie Fundacji na rzecz Edukacji Romów! - ogłosił uroczyście.

Natasza notowała szybko w swoim zeszycie, podczas gdy zgromadzony tłum entuzjastycznie oklaskiwał Sanzlermanna. Mówca zrobił sobie krótką przerwę i wypił łyk wody.

- Z dumą chcę też powiedzieć, że wierzę w chrześcijańskie dziedzictwo Europy. Oskarżano mnie nieraz o rasizm. Rasa nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne są wartości, wspólne dla całej Europy. Niektórzy twierdzą, iż powinniśmy włączyć Turcję do Unii. Turcja jest krajem o bogatej kulturze, islam jest tam umiarkowany, mogłaby więc przetrzeć szlak dla innych krajów islamskich. Spójrzmy jednak na mapę. Turcja graniczy z Irakiem i Iranem. Ich wartości różnią się od naszych: zabójstwa honorowe, kamienowanie cudzołożników, egzekucje na nieletnich. Cokolwiek powiedzą zwolennicy wielokulturowości, chrześcijańskie wartości stanowią podstawę naszej cywilizacji, od renesansu aż po epokę Internetu. Bazę, na której budujemy nową Europę. A wy, Madziarowie, najlepiej wiecie, co znaczy życie pod muzulmańskim pręgierzem. - Pośród zgromadzonych rozeszły się ciche, ale pełne aprobaty pomruki. - Przez sto pięćdziesiąt lat żyliście pod panowaniem sułtanów. - Szmery stawały się coraz głośniejsze. Na ekranie ukazały się zdjęcia przedstawiające krwawe sceny z miejsc w Berlinie, gdzie doszło do zamachów bombowych. - Raz jeszcze widmo obcego terroru krąży nad Europą. Zamachowcy z Armii Wyzwolenia Imigrantów mordują niewinnych ludzi w Berlinie, Rzymie i Paryżu. Pokojowo nastawieni imigranci są oczywiście zawsze mile widziani. Jednak co z ekstremistami poszukującymi azylu w krajach, które pragną zniszczyć od wewnątrz? Gardzą nami, naszą wolnością, naszą tolerancją. Już nieraz zadawałem to pytanie: dlaczego dajemy schronienie tym, którzy dążą do destrukcji naszego stylu życia i do wprowadzenia obcego systemu wartości religijnych? Nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Nikt. A oni nie tylko nami gardzą, oni nas mordują. Dlatego też musimy powiedzieć stanowcze „nie”. „Nie” dla Armii Wyzwolenia Imigrantów. „Nie” dla jej przywódcy, Hasana Al-Ajnabiego. „Nie” dla terroryzmu i ekstremizmu. *Nem, nem, soha*. Nie, nie, nigdy. Powtarzajcie za mną! - nieliczne głosy mruknęły cicho „nem, nem”. - Nie słyszę! - powtórzył Sanzlermann, tym razem głośniej.

Natasza rozglądała się po sali, obserwując jak tłum coraz głośniej i głośniej skanduje. „*Nem, nem, soha! Nem, nem, soha!*” Słysząc już było setki głosów, echo niesło się po całej hali. Publiczność wstała: *Nem, nem, soha! Nem, nem, soha!*

Natasza siedziała, nie wypowiadając słowa, patrząc wprost przed siebie, podczas gdy ludzie wokół niej krzyczeli, tupali nogami, machali węgierskimi i unijnymi flagami oraz ulotkami. Sanzlermann zszedł z mównicy i zniknął za kulisami.

## Rozdział 8

Alex odłożył pamiętnik dziadka i powoli wypuścił powietrze z płuc. Przeczytał już trzy czwarte dziennika, jednak lektura całości bez chwili przerwy była ponad jego siły. Dźwięki fortepianu Schumanna zastąpiła teraz Szeherazada Rimskiego-Korsakowa. Jej dźwięki niosły się echem po całym mieszkaniu. Najwyraźniej był to poranek stworzony do opowieści. Szeherazada, skazana na śmierć przez sultana, aby przeżyć, opowiadała baśnie - trzymające w napięciu opowieści o przygodach Sindbada Żeglarza walczącego z magicznymi stworami. Przeciwnicy Mikłosa byli prawdziwi i o wiele bardziej niebezpieczni. Fakt, że kreśląc te słowa, dziadek Alexa nie miał pewności, czy dożyje przybycia Rosjan, jeszcze potęgował wrażenie, jakie dziennik wywierał na czytelniku. Alex potrzebował przerwy. Dołał sobie jeszcze trochę kawy i sprawdził skrzynkę e-mailową. Dwie wiadomości.

Od: zpetcsardy@webmail.com

Najdroższy, czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Jest już pora niedzielnego lunchu, a ja utknęłam w Wiedniu. Z tyloma ludźmi trzeba się spotkać... ale DOSTAŁAM TĘ ROLĘ! Powitaj nową Julię. Nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy (mam nadzieję, że już jutro) i pójdziemy w miasto świętować. Albo będziemy świętować w łóżku... :-)) na zawsze Twoja, Zsofi.

Uśmiechnął się mimo woli. Będzie mu jej brakowało, wiedział o tym. Otworzył drugą wiadomość.

Od: hatvanin@bnews.hu

Jak mawiają Anglicy, „great minds think alike” - wielkie umysły myślą podobnie. W załączeniu przesyłam artykuł z wczorajszego „Magyar Tribün”, który może cię zainteresować. Nie zawiera on wprawdzie informacji o opłatach za takie incydenty jak nasz, sędzę jednak, że wytargowaliśmy dobrą cenę. Natasza.

Alex otworzył załączony plik. Było to sprawozdanie z niedawnej konferencji na temat korupcji w budapesztańskiej policji. A więc syberyjska królowa śniegu miewała czasem poczucie humoru. Alex śmiał się głośno, czytając artykuł. Jedna z występujących na konferencji osób, z policyjnego departamentu spraw wewnętrznych, wywołała skandal, przedstawiając listę wykroczeń i odpowiadających im wysokości łapówek. Były to ściśle określone kwoty. Na samym szczycie listy znajdowało się „umorzenie śledztwa przez oficera z powodu »braku dowodów«,„ wycenione na milion forintów, czyli kilka tysięcy euro. A na ostatnim miejscu - złamanie przepisów drogowych, które odchodziło w niepamięć za jedyne dziesięć tysięcy, czyli jakieś trzydzieści pięć euro. Zdecydowanie była to historia dla „Budapest News”. Alex napisał zwięzłe podziękowanie za przesłany artykuł.

Dobry humor opuścił go, kiedy usiadł z powrotem do lektury pamiętnika. Wiedział, że dziadek nigdy już nie spotkał swoich rodziców. Zarządca huty stali, Antal Noludi, wynegocjował dla barona Laszlo dobrą transakcję - miał on przekazać swoją hutę SS, w zamian za bezpieczne przetransportowanie do Szwajcarii. Mikłos nigdy jednak nie ufał Noludiemu, a co dopiero esesmanom. Postanowił pozostać w getcie pod fałszywym nazwiskiem. Kiedy tylko umowa o przekazaniu majątku została podpisana, pozostałych członków rodziny Farkasów natychmiast wysłano do Auschwitz i tam zamordowano. Noludi mianował siebie dyrektorem generalnym i przejął zarówno hutę, jak i rodzinną willę.

15 stycznia 1945

*Armia Czerwona jest coraz bliżej. Odliczamy dni, godziny, minuty. Każda sekunda, którą udaje nam się przeżyć, jest dla nas kolejnym krokiem do wolności. I zemsty. Słodkiej, zimnej zemsty. Jakiś rosyjski żołnierz z pewnością sprzeda mi broń. Rewolwer, czarny i ciężki. Albo strzelbę. Marzę o tym, że strzałokrzyżowcy, bezbronni, wystraszeni, stoją przede mną w szeregu, błagając o litość. Albo żandarmi. Czy mam być wobec nich łaskawy i szybko skończyć ich cierpienia, czy może mam ich zwodzić, sztydzić z nich, być wobec nich tak okrutnym, jak oni byli wobec nas? Moja złość przepoczwarzyła się w nienawiść. Peszt spowija dym i ogień, a ja się raduję. Coraz częstsze bombardowania niosą śmierć i zniszczenie. Rosjanie ostrzeliwiają nas nieprzerwanie z katusz - „organów Stalina”, jak mawiają Niemcy. Świst i huk, świst i huk, słycać refren Armii Czerwonej. Bis, panie Stalin, bis! Graj dalej swoją pieśń!*

18 stycznia 1945

*Dzisiejszego ranka bombardowania ustały i nastąpiła dziwna, upiorna cisza. W oddali wciąż słycać jeszcze pojedyncze wystrzały. Po kilku godzinach kilkoro z nas odważyło się wyjść na zewnątrz. Teren był opustoszały, a samo getto zdawało się odmienione - wszechobecny strach ustąpił miejsca nastrojowi oczekiwania. Ruth wyszła tego dnia razem ze mną. Ścisnęłam mocno jej dłoń. Kilka przecznic dalej dostrzegliśmy żołnierzy przemieszczających się ostrożnie, sprawdzających po kolei każde wejście. Mieli szare mundury i pistolety maszynowe. Brama getta była zdemolowana, posterunki strażników opuszczone. Nieopodal leżał stos ciał - zarówno Niemców jak i strzałokrzyżowców. Ubrania Rosjan były postrzępione, ich twarze poszarzałe od wojennego brudu. Na głowach mieli czapki ozdobione czerwoną gwiazdą. Zbliżali się do nas, krzycząc coś po rosyjsku. Byłam tak podenerwowana, że cały się trząsałam, stałam jednak bez ruchu, z rękami w górze.*

*Wiadomość rozchodziła się błyskawicznie. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z budynków zaczęło wychodzić coraz więcej Żydów. Wyczołgiwali się z piwnic, część z nich, za słaba nawet, by wstać, po prostu leżała na ulicy. Niektórzy śmiali się, inni zanosili płaczem z radości, większość jednak stała bez ruchu i patrzyła, nie dowierzając, że ten upragniony przez nich dzień wreszcie nadszedł. Rosjanie przyglądali się nam z przerażeniem - dla nich byliśmy niczym parada żywych trupów. Kilku żołnierzy zaczęło rozdawać chleb - rzuciliśmy się łapczywie. Potem wypchnęli naprzód dwóch strzałokrzyżowców i rozkazali im ustawić się pod ścianą. Jeden z Rosjan zaoferował mi swój pistolet, machając lufą w ich stronę. Ci dwaj byli jeszcze nastolatkami. Rzucali przerażone spojrzenia to na mnie, to na rosyjskiego żołnierza. Jeden z nich zaczął płakać, że chce do mamy. Oto miałem okazję, aby się zemścić, to była moja szansa, o której marzyłem. Jednak w tym momencie nie czułem już złości, jedynie zmęczenie i odrętwienie. Potrząsnąłem głową. Żołnierz wzruszył ramionami. Serie z pistoletów maszynowych przeszyły chłopców, niemal przecinając ich na pół. Rosjanie kopnęli ciała i zaczęli przeszukiwać ich ubrania, z zadowoleniem znajdując w nich zegarki i biżuterię. Wreszcie pojawił się sowiecki oficer. Spytałem go, co mamy teraz robić, dokąd iść. „Możecie iść gdzie tylko wam się żywnie podoba. Jesteście wolnymi ludźmi” — odparł. Potem chwycił mnie za wyciągnięte w górę ramiona i opuścił je. Wyciągnął zza pasa nóż i przeciął nici, którymi przyszyta była do mojego ubrania gwiazda Dawida. Żółty kawałek materiału leżał teraz na ziemi, a ja patrzyłem na niego bez słowa. Oficer wręczył mi jeszcze kawałek chleba, który zaraz oddałem Ruth. Przytulilem ją do siebie mocno i lkałem tak strasznie, jakbym nigdy nie miał przestać.*

Dopiero po przeczytaniu ostatniego zdania Alex uświadomił sobie, jak ogromną wartość ma trzymany w ręku cienki zeszyt. Miał wrażenie, jakby dziadek znajdował się w pokoju razem z nim, niemal słyszał jego ciepły, lekko drwiący głos. Alex czuł dojmujący ból na myśl



o tym, jak bardzo brakuje mu Miklosa. Musiał wyjść z mieszkania, zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Chwytał kurtkę i ruszył nad rzekę. Szedł szybkim krokiem wzdłuż brzegu w stronę Parlamentu, mijając po drodze pięciogwiazdkowe hotele i Most Łańcuchowy. Drobny zimowy deszcz moczył ubranie, jednak Alex nie odczuwał chłodu. W pobliżu Parlamentu stał pomnik - dziesiątki butów - upamiętniający Żydów, których strzałokrzyżowcy utopili w Dunaju. Buty damskie, męskie, dziecięce, eleganckie, robocze... wszystkie czarne i wykonane z metalu. Alex przystanął, przykłęknął i dotknął czubkiem palców kobiecego buta, pokrytego cienką warstwą lodu.

Tramwaj numer dwa, na którego boku widniała podobizna szczerzącego się Sanzlermanna, zatrzymał się przy Parlamencie. Alex wsiadł i przejechał dwa przystanki, do końca trasy przy Moście Małgorzaty. Powolnym krokiem oddalał się od brzegu rzeki, idąc ulicą Pozsnoyi, stanowiącą niegdyś główną ulicę „międzynarodowego getta”, chronionego przez Raoula Wallenberga. Wszedł na dziedziniec, który nawet w najbardziej słoneczne letnie dni był mroczny i przygnębiający. Z jakiegoś powodu zawsze wyobrażał sobie, że to tutaj wszystko się rozgrywało. Żydzi ustawieni po czterech lub pięciu w szeregach, z żółtymi gwiazdami przyszytymi do płaszczy, wystraszeni, ściskający kurczowo walizki. Strzałokrzyżowcy i esesmani wykrzykujący rozkazy. Czym były wypełnione walizki? Ubraniem, jedzeniem, a nawet przyrządzonymi kanapkami („nie zapomnijcie zapakować jedzenia, przed wami długa droga”), rodzinnymi klejnotami poupychanymi pod podszewkami. Ojcowie plotący banały, aby uspokoić swoje żony i dzieci. Płaczące niemowlęta. Trzęsący się starszuszowie, w pełni świadomi tego, że nigdy już nie wrócą do domu. Dzieci trzymające kurczowo swoje ulubione pluszowe zabawki. Sąsiedzi, przyglądający się temu wszystkiemu bez słowa.

W Jerozolimie, w muzeum Instytutu Yad Vashem, natrafił kiedyś na fotografię przedstawiającą węgierskich Żydów szykowanych do transportu do Auschwitz. Jedna twarz wyróżniała się spośród pozostałych. Należała do mężczyzny pod trzydziestkę, o semickich rysach i dużych inteligentnych oczach, ubranego w pognieciony garnitur. Wyglądał na intelektualistę, może pisarza, takiego, który spędzał całe dni na debatowaniu o polityce, o przebiegu wojny, o tym, kto pierwszy dotrze tui przegoni Niemców - Amerykanie czy Rosjanie. Jego twarz była pełna rezygnacji, spoglądał w obiektyw kątem oka. Wiedział, że nigdy już nie będzie mu dane zobaczyć Dunaju. „A więc tak to wszystko się kończy. Proszę, powiedzcie mi tylko, za co wysyłają mnie na śmierć?”. To samo pytanie zadawały ofiary Stalina, kiedy prowadzono je korytarzami Łubianki. „Za szto?” Za co? To było najważniejsze pytanie dwudziestego wieku. Nikt jednak nie znał na nie odpowiedzi.

Alex wrócił na nadbrzeże przy Moście Małgorzaty i wpatrywał się w rwący nurt rzeki, w jej fale i wiry. Niemal słyszał huk wystrzałów, czuł gryzący zapach kordytu, widział unoszące się na wodzie ciała powiązane ze sobą drutem kolczastym, widział kredowo białe twarze trupów. Dunaj w 1944, Drina w 1994. Nawet teraz, gdzieś na Ziemi, echa wystrzałów niosły się po wodzie, upadały martwe ciała. Ten świat, pomyślał Alex, to miasto, jest wielkim cmentarzyskiem, w którego sercu przyszło mi żyć.

\* \* \*

W sali prasowej stały dwa suto zastawione stoły. Były tam sałatki, rostbef, a nawet kawior. Atrakcyjne młode hostessy krążyły wśród gości. Niektóre z nich trzymały w rękach tace z kieliszkami szampana lub kanapczkami, inne rozdawały teczki prasowe. Natasza wzięła taką teczkę. Znajdowały się w niej: egzemplarz przemówienia Sanzlermanna, przypinki, ulotki, plastikowe zegarki - takie same, jakie mieli na rękach stojący koło niej na wiecu ludzie, cyfrowy dyktafon oraz pendrive. Gigantyczne plakaty przedstawiające Sanzlermanna

pokrywały całą ścianę nad bufetem. Na kilku z nich widniał również Attila Hunkalffy - panowie przyjacielsko się obejmowali. Natasza wyrzuciła zegarek do kosza na śmieci, wzięła kieliszek szampana i pijąc małymi łykami, rozglądała się po sali.

Od razu zauważyła, że zebrani dziennikarze podzielili się na trzy grupy. Węgrzy piszący dla gazet nacjonalistycznych zaczęli klaskać z uznaniem, kiedy tylko pojawił się Sanzlermann. Ci lewicujący mamrotali coś między sobą i uśmiechali się szyderczo w drugim końcu sali. Pomiedzy tymi dwoma grupami kilku zagranicznych korespondentów prowadziło ożywioną dyskusję w kilku językach. David Jones pogrążony był w rozmowie z francuskim reporterem telewizyjnym. Wymachiwał przy tym ręką, w której trzymał papierosa. Widząc Nataszę, uśmiechnął się do niej i podniósł rękę w powitalnym geście. Odmachała mu, jednocześnie obserwując kątem oka, jak Istvan Kiraly podchodzi do Sanzlermanna i jak obaj ściskają sobie dłonie na powitanie.

- Gratulacje, Herr Sanzlermann. Doskonale przemówienie. Ważne, złożone problemy przedstawione zostały prosto i klarownie - komplementował Kiraly.

- Dziękuję za miłe słowa, dziękuję. I proszę mi mówić Frank. Bez pana pomocy nic by z tego nie wyszło. *Nem, nem soha!* Cóż za fantastyczny pomysł. Z pewnością budzi słynnego madziarskiego ducha walki. Proszę mi przypomnieć, jaka jest historia tego zawołania?

- Pochodzi z lat dwudziestych zeszłego wieku. Po podpisaniu traktatu w Trianon, kiedy to utraciliśmy jedną trzecią naszego terytorium. „Nie, nie, nigdy” stało się wtedy naszym narodowym okrzykiem: nie, nie, nigdy nie zaakceptujemy Trianonu - wyjaśnił Kiraly. - Jest pan nową postacią na naszej scenie politycznej, ale wysłała pan do nich wiadomość, że rozumie pan Węgry, czuje pan ich ból.

- Może być też tak, Istvanie, że z pomocą wspomnień o jednej z największych traum naszego kraju, potwornej niesprawiedliwości, o której pamiętamy do dziś, manipuluje się narodowym sentymentem, aby nabijać punkty w politycznej grze - odezwał się niespodziewanie kobiecy głos. - Poza tym, mam do panów kilka pytań.

Sanzlermann i Kiraly obrócili się w prawo.

- Herr Sanzlermann, pan pozwoli, to Natasza Hatvani z „Budapest News” - przedstawił Kiraly Nataszę, która już przygotowana stała z notesem i długopisem w ręku. - Zawsze pisze i mówi dokładnie to, co myśli.

Sanzlermann rzucił mu pytające spojrzenie. Owszem, dziennikarka była całkiem atrakcyjna, ale czy jej gazeta zasługiwała na jego uwagę?

Kiraly zareagował momentalnie:

- To gazeta wydawana w języku angielskim, ma spore grono czytelników wśród opiniotwórczych Węgrów, polityków, dyplomatów oraz, rzecz jasna, w społeczności ekspatriantów. - Kiraly wiedział, że Sanzlermann chciał mieć na swoim przyjęciu jedynie najważniejszych dziennikarzy.

Sanzlermann uklonił się lekko.

- Pani Hatvani, bardzo mi miło. - Reinhard Daintner pojawił się nagle obok nich. - Proszę śmiało zadawać pytania.

- Grecja.

- Grecja? To chyba kraj, a nie pytanie. Chociaż niektórzy mogą twierdzić inaczej - wybuchnął śmiechem Sanzlermann i zaczął drapać swoją lewą dłoń.

- Moje pytanie brzmi, czy miał pan ostatnio okazję rzucić okiem na mapę? - spytała Natasza. - Turcja graniczy również z Grecją. Część Turcji leży w Europie. Część ta nazywa się Tracja. Dlaczego więc uważa pan, że Turcja nie powinna przystępować do Unii Europejskiej?

- Jak sama pani powiedziała, moja droga, tylko jej część leży w Europie. Może ta część powinna zostać przyjęta do Unii - zaśmiał się Sanzlermann.

Jego PR-owiec uśmiechnął się grzecznie. Daintner kiwał powoli głową, jakby taka opcja rzeczywiście mogła być rozważana.

Natasza naciskała:

- Pańscy przeciwnicy twierdzą, że z premedytacją podsycy pan niechęć do Romów. Jaka jest pana odpowiedź na te oskarżenia?

- Jestem tym zszokowany. Jak sama pani słyszała, założyłem właśnie nową fundację, której zadaniem będzie wspieranie edukacji Romów - przypomniał Sanzlermann.

W tej chwili poczuł, że ktoś dyskretnie szarpie go za łokieć. Po chwili Daintner zaczął szeptać mu coś na ucho.

- Było mi bardzo miło poznać panią, pani Hatvani - powiedział na odchodnym Sanzlermann. - Powinniśmy szczegółowo omówić tę kwestię, kiedy tylko będę miał trochę więcej czasu. Oto moja wizytówka. Gdyby chciała pani się umówić na wywiad, proszę zadzwonić do mojego biura. - To mówiąc, Sanzlermann oddalił się wraz z Daintnerem prowadzącym go w kierunku tłumu reporterów.

\* \* \*

Alex leżał na swoim łóżku. Zastanawiał się, czy miejsce, które wybrał, było rzeczywiście dobrą kryjówką na pamiętnik Miklosa. Najpierw zrobił kopię całości i przesłał ją listem poleconym do Londynu, do przyjaciela z dawnych lat. Potem zapakował oryginał w opakowanie z grubego plastiku i przytaszczył z balkonu roślinę w największej doniczce. Wbił nóż w ziemię tuż przy jej krawędzi i delikatnie wyjął roślinę wraz ze zbitą ziemią. Położył pamiętnik na dnie doniczki, po czym z powrotem włożył do niej roślinę, ususzoną i niepozorną, i umieścił ją tam, gdzie wcześniej stała na balkonie. Następnie włączył telewizję i zaczął skakać po kanałach. Na CNN emitowano właśnie materiał dotyczący zamachu pod Bundestagiem. „Z taśmy, którą otrzymała na wyłączność CNN, wynika, iż Hasan Al-Ajnabi, lider Armii Wyzwolenia Imigrantów, zagroził dalszymi aktami przemocy na terenie całej Europy” - poinformowała czarnoskóra prezenterka.

Na ekranie pojawił się szczupły mężczyzna o orlim nosie, ubrany w mundur moro. Przemawiał powoli i wyraźnie, patrząc prosto w obiektyw kamery: „Jesteśmy Armią Wyzwolenia Imigrantów. Żyjemy pośród was, ale jesteśmy niewidzialni. Sprzątamy wasze biura. Gotujemy wam jedzenie. Opiekujemy się waszymi dziećmi. Za pieniądze oferujemy wam seks i wszelkie inne przyjemności. Ale w zamian nie dostajemy od was nic. Bijecie nas, poniżacie, aresztujecie i deportujecie. My nie daliśmy wam pozwolenia na zajęcie naszych ziem w Afryce, Azji ani w Amerykach. Dziś odzyskamy to, co nam odebrano. Wszelkimi możliwymi sposobami”.

Tu nagranie się kończyło. Ponownie pokazano studio telewizyjne. „Złowieszcze ostrzeżenie”, skomentowała prezenterka.

Alex wyłączył telewizor i podszedł do drzwi balkonowych. Roślina drżała lekko na wietrze po drugiej stronie szyby. Spojrzał dalej, na rzekę. Policyjna motorówka zawarczała, przepływając pod Mostem Elżbiety. Pamiętniki Miklosa uwolniły ogromne emocje i wypełniły lukę w historii jego rodziny. Jednak w żaden sposób nie przybliżyły go do rozwiązania zagadki śmierci dziadka. Wspomnienia z getta sprawiły, że pojawiło się jeszcze więcej pytań.

\* \* \*

Natasza weszła do pokoju Kitty Kovacs, postawiła na ziemi swoją torbę i przysunęła sobie krzesło. Chociaż była niedziela, z powodu kampanii wyborczej wielu dziennikarzy siedziało w redakcji, przygotowując dodatkowe materiały. Natasza naląła dwa kieliszki

czerwonego wina i podała jeden koleżance. Kitty, szefowa działu reklamy, pochodziła z Peczu na południu Węgier, blisko granicy z Chorwacją. Była osobą ambitną i energiczną. Bez większych skrupułów wykorzystywała swoje atuty - piękne kruczoczarne włosy do ramion, ciemne hipnotyzujące oczy i rubensowskie kształty - aby przyciągać reklamodawców. Flirtowała z nimi na potęgę, jednak nigdy nie dopuszczała ich bliżej niż na długość restauracyjnego stolika.

- Chcesz nowy telefon? - spytała. Odstawiła kieliszek i sięgnęła do kartonu z napisem „Magyar Mobile”, stojącego koło jej biurka. Wyjęła z niego dwa telefony i jeden podała Nataszy. - Właśnie dostarczyli ponad dwadzieścia, prepaidy, każdy z doładowaniem za 100 euro. Sieć już działa. Współpracujemy z nimi na zasadzie barteru. Magyar Mobile ląduje na naszej piątej stronie. My rozdajemy połowę telefonów jako nagrody w konkursach, resztę zatrzymujemy. Mają swój własny model telefonu, nawet niezły. Ma nawet GPS.

- Dzięki - odpowiedziała Natasza i nawet nie patrząc na telefon, schowała go do torebki - Dam go mamie.

- Mam nadzieję, że jej się spodoba. Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą, coś się stało? Jak było na wiecu?

- Sanzlermann jest fantastycznym mówcą. Był naprawdę dobrze przygotowany, uderzał w najczulsze struny. To było naprawdę niezwykle doświadczenie, patrzeć, jak urabia całą publiczność jak miękką glinę. Jeśli w każdym kraju odniesie taki sukces jak u nas, niewątpliwie wygra wybory. Poprosiłam go o wywiad. Myślisz, że się zgodzi?

- Flirtowałaś z nim?

- Oczywiście, że nie - odparła oburzona Natasza. - Jestem profesjonalistką.

- Profesjonalistka miałyby już umówiony wywiad. Żyjemy w świecie rządzonym przez mężczyzn. Musisz wykorzystywać wszystkie swoje atuty. A masz ich całkiem sporo. Jestem pewna, że Alex też tak myśli. Zadzwońmy do niego i zapytajmy - zaproponowała i uśmiechając się figlarnie, zaczęła udawać, że wystukuje jego numer w swoim nowym telefonie.

- Przestań. Jesteśmy tylko znajomymi z pracy, to wszystko - mówiąc to, Natasza wyjęła z torby zestaw, który dostała na wiecu i położyła go na biurku Kitty. Potem siadła przy jej komputerze, żeby sprawdzić pocztę. Był tylko jeden e-mail, od Alexa, z podziękowaniem za artykuł z „Magyar Tribün”. Poniżej znajdowała się również treść jej e-maila do niego. W skrzynce nie było za to żadnej wiadomości od Gabora. Może w końcu dotarło do niego, że czas odpuścić.

- Tylko znajomymi? To dlaczego się zaczerwieniłaś? - spytała Kitty, zaglądając jej przez ramię.

- Wcale się nie zaczerwieniłam. A to są moje prywatne sprawy.

- Ale komputer jest mój, więc pokazuj! Hm, ton bardzo formalny, ale odpisał ci od razu po odebraniu maila. To dobry znak. - Kitty czytała dalej. - „Incydent”? O co chodzi? Kiedy to było? Opowiadaj! - spojrzała na Nataszę, uśmiechając się Szeroko. - Incydenty są o wiele bardziej interesujące niż przesyłanie sobie artykułów z „Magyar Tribün”.

- Chodziło o pracę. A ten artykuł jest właśnie bardzo interesujący.

- E tam, kogo to obchodzi? Nie wiem, po co tak sobie utrudniasz życie. Jest całkiem przystojny, inteligentny, potrafi być czarujący. I ewidentnie ma do ciebie słabość, nie mów, że nie zauważyłaś, że poświęca twoim artykułom więcej uwagi - zaśmiała się Kitty.

Natasza zebrała swoje rzeczy i z kamienną miną ruszyła w stronę drzwi.

- Natasza, poczekaj. - Tym razem w głosie Kitty pobrzmiwała irytacja. - Nie możesz z powodu Gabora zamykać się na innych mężczyzn do końca swojego życia. Minęło już pół roku. Po co zamęczasz się w ten sposób?

Natasza przystanąła w drzwiach, zawróciła i usiadła z powrotem na krześle. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła pod sufit kłąb dymu.

- Ciągle pamiętam moment, kiedy otworzyłam drzwi mieszkania i usłyszałam hałasy z sypialni.

- Wszedł tam? - zapytała Kitty, dolewając jej wina.

- Tak. I żałuję. On tam był z moją najlepszą przyjaciółką. Znałam ją od dziesiątego roku życia. Gabor i ja byliśmy wtedy ze sobą od pięciu lat. Byliśmy zaręczeni. Gdyby nie tamten dzień, dziś byłabym już mężatką. Wtedy od razu wyprowadziłam się do mamy.

- Dobrze się stało, uniknęłaś o włos największego błędu w życiu. Teraz robiłby pewnie to samo i byłoby to jeszcze bardziej bolesne. - Kitty stuknęła lekko kieliszkiem o kieliszek Nataszy. - Wypijmy za nowe „incydenty”.

Natasza uśmiechnęła się nieznacznie i wypila wino. Pomyślała, że może Kitty ma rację. Nie była żadną zakonnicą. Jej kariera świetnie się rozwijała, ale życie osobiste było katastrofą. Na uniwersytecie jej znajomi z wydziału, nowobogacka złota młodzież, czyli „Ujgazdagok”, spędzała całe dnie i noce na imprezowaniu i sypianiu z kim popadnie. Na koniec każdego roku akademickiego zamiast wypełniać karty egzaminacyjne, wkładali między nie pięćdziesiąt tysięcy forintów. Natasza zarabiała na szkołę, pracując jako kelnerka w okolicznych pubach, nierzadko obsługiwała swoich kolegów z uniwersytetu - uwielbiali zostawiać jej napiwki w wysokości dziesięciu forintów. W wolnym czasie czytała na głos książki po angielsku, tak by wsłuchać się w rytm języka. Kserowała artykuły z brytyjskich gazet i analizowała, w jaki sposób konstruowana jest każda z przedstawianych tam historii. Nagrywała na wideo programy BBC, aby doskonalić wymowę.

W przeciwieństwie do większości swoich kolegów z roku Natasza nigdy nie była w Wielkiej Brytanii. Jednak na zakończenie nauki dostała nagrodę za osiągnięcia w angielskim - otrzymała najwyższe oceny w historii uczelni. Inne osoby z jej roku pracowały teraz w bankach i firmach public relations, zarabiając trzy, cztery razy więcej niż ona. Od zeszłego roku, kiedy Gabor zabrał ją na kolację z okazji urodzin, Natasza ani razu nie odwiedziła porządnej restauracji. Niemal całą pensję oddawała swojej mamie, Irinie. Jej ojciec, profesor Pal Hatvani, światowej sławy ekspert od twórczości Puszkina, przez dwadzieścia lat uczył na Uniwersytecie Budapesztańskim, został jednak zwolniony po upadku komunizmu. Nie interesowała go polityka i czuł się skrzywdzony i urażony, kiedy się okazało, że jego wiedza została nagle uznana za bezwartościową tylko dlatego, że powstał nowy rząd. Irina i Natasza znalazły go któregoś dnia siedzącego w swoim ulubionym fotelu; w popielniczce dogasał jego ostatni papieros.

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie. Stała w nich smukła kobieta o czujnym błękitnym spojrzeniu i dzikiej fryzurze. Na szyi miała zawieszony dwa aparaty fotograficzne. W jednej ręce trzymała plik zdjęć, drugą przyciskała do ucha telefon komórkowy.

- Tak, będziemy tam. Spróbuj tym razem dopilnować, żeby modelki były na czas i miały odpowiednie stroje, dobrze? - Edina Draskovitz skończyła rozmowę i wręczyła Kitty trzymane w ręku zdjęcia.

Natasza zaproponowała jej wino, ale kobieta odmówiła.

- Fotosy do twojego dodatku reklamowego o naszym przemyśle modowym - oznajmiła zachrypniętym od papierosów głosem. - Jeszcze tylko jeden projektant i będę miała to z głowy. I będę mogła zająć się czymś ambitniejszym, mam nadzieję.

Natasza przyjrzała się uważnie Edinie. Miała na sobie workowate zielone bojówki, rybacką kamizelkę i szary T-shirt. Może i ubierała się jak żołnierz, była jednak pełną życia, energiczną dziewczyną. Kilka wizyt u fryzjera, porządny makijaż, uwypuklający jej kości policzkowe i wyglądałaby całkiem atrakcyjnie. Fotografie jej autorstwa były rzeczywiście bardzo dobre - Edina miała wycucie światła i umiejętność uwypuklenia szczegółów.

Rozdzwonił się telefon Kitty.

- Istvan. Cudownie, że dzwonisz. Właśnie słucham o waszym wiecu. Oczywiście, koniecznie musimy zjeść razem lunch - ćwierkała do słuchawki, jednocześnie wywracając

oczami. - Istvan Kiraly - powiedziała bezgłośnie do Nataszy. - Tak, jest tu u mnie - przytaknęła Kitty i oddała słuchawkę Nataszy, która natychmiast się ożywiła.

- Naprawdę? Kiedy? Jutro? Jutro pasuje jak najbardziej, dziesiąta rano, hotel Savoy. - Rozłączyła się i zwróciła w stronę Kitty. - Mam jutro wywiad z Sanzlermannem.

- To będzie ważny materiał - wtrąciła Edina. - Będziesz potrzebowała fotografa. Oddzwon do nich i powiedz że zabierasz mnie ze sobą - zażądała, zapalając papierosa i wydmuchując dym przez nos.

- Przykro mi, Edino, ale oni korzystają jedynie z usług swoich fotografów - odpowiedziała szybko Natasza. - Ale zapytam ich jutro, już na miejscu i zadzwonię do ciebie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Edina spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- OK. Masz mój numer, jakby co - powiedziała i wyszła.

Kitty odczekała, aż zamkną się za nią drzwi.

- Ty obrzydliwa kłamczucho, przecież nic by go nie obchodziło, czy przyprowadzisz swojego fotografa czy nie. - Kitty była wyraźnie rozbawiona. - Podejrzewam nawet, że byłby zachwycony uwagą, jaką mu poświęcacie. Biedna Edina. Czemu psujesz jej karierę?

- Nic nie psuję. Po prostu nie chcę, żeby ktoś mnie rozpraszał podczas wywiadu, i tyle. Ona marnowałaby mój czas, każąc mu pozować - broniła się, oglądając uważnie wiszący na ścianie kalendarz. Przedstawiał dwie kobiety w bikini w panterkę, pokładające się na czerwonym sportowym samochodzie.

- A to co? Prezent od wielbiciela? Jak na nowoczesną kobietę sukcesu trochę to seksistowskie.

- Nie wiem, wydaje mi się całkiem zabawne - odparła Kitty. - Może powinniśmy sprawić Edinie takie bikini. Jest wystarczająco szczupła, wyglądałaby w nim całkiem nieźle.

- Jak myślisz, dlaczego ona zawsze nosi te militarne ciuchy?

- Jest kobietą, która robi w trudnej branży. Musi pokazać, że jest równie dobrym fotografem jak każdy mężczyzna. Tworzyłybyście niezły zespół.

Natasza wyglądała, jakby miała nieco odmienne zdanie na ten temat.

- Być może. Ona i Alex zawsze mają o czym rozmawiać.

- Edina mieszkała w Londynie przez cztery lata. Zna to miasto i kraj. Mogą wspólnie obgadywać królową i debatować o herbacie w filiżankach. Dlaczego nie zadzwonisz do Alexa ze swojego nowego telefonu i nie pochwalisz się tym wywiadem? Może zorganizujesz kolejny „incydent” - zaproponowała Kitty, uśmiechając się szelmowsko.

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała Natasza, zbierając swoje rzeczy. - Teraz już naprawdę muszę iść. Dziękuję za wino i za telefon. Do zobaczenia jutro. Muszę przygotować bardzo ważny wywiad.

- Poczekaj - zawołała za nią Kitty. - Pendrive ci wypadł. - Ale Natasza już jej nie słyszała.

Kitty podłączyła urządzenie do swojego komputera i otworzyła plik wideo. Na ekranie pojawił się Frank Sanzlermann, przedstawiający swoją wizję nowej Europy. Ziewnęła i już miała zamknąć plik, kiedy jej telefon znowu zadzwonił.

## Rozdział 9

### ROMSKIE KOBIETY NA WSCHODZIE SŁOWACJI CIERPIĄ NA BEZPŁODNOŚĆ

#### Relacja naszego korespondenta

Koszyce (SNSA) - to właśnie w niewielkiej wiosce w okolicach tego miasta wielokrotnie już zgłaszane były przypadki romskich kobiet, które skarżyły się, że nie mogą mieć dzieci. Najgorzej sytuacja wygląda we wsi Novy Marek i okolicznych domach. W przeciągu ostatnich dwóch miesięcy aż sześć romskich kobiet zgłaszało się do swoich lekarzy, dopytując się, dlaczego nie zachodzą już w ciążę. Tradycyjne rodziny romskie mają po sześcioro lub więcej dzieci.

- Początkowo sądziliśmy, że to jedynie zbieg okoliczności - komentuje dr Weronika Husakova, przedstawiciel lokalnej służby zdrowia - jednak u kobiet pochodzenia innego niż romskie nie odnotowano spadku płodności. To bardzo tajemnicza sprawa. Poddajemy te kobiety badaniom ginekologicznym, jednak nie wykrywamy żadnych odchyleń od normy.

Alex przetrząsał swoje biurko w poszukiwaniu wydruku ze słowackiej agencji prasowej, który zniknął pod stosem poniedziałkowych gazet. Historia zaczęła wydostawać się powoli na światło dzienne, musieli więc działać szybko. Natasza przesłała mu już swój raport o sytuacji we wsi Novy Marek (kopię wrzuciła też na skrzynkę e-mailową naczelnego - Ronalda Worthingtona) oraz informację o umówionym wywiadzie z Sanzlermannem. Mógłby być z tego niezły materiał, jednak piętnaście minut wywiadu oznaczało maksymalnie cztery, pięć pytań. Alex przystał na propozycję Nataszy, aby w rozmowie skoncentrowała się na kwestii Romów i ksenofobii. Spojrzał na zegarek. Było pięć po dziesiątej. Wywiad pewnie już się zaczął. W dalszym ciągu nie miał żadnych wieści od Zsofi - najwyraźniej wciąż jeszcze przebywała w Wiedniu. Wysłał jej SMS-a, nie doczekał się jednak odpowiedzi ani nawet potwierdzenia, że wiadomość dotarła. Wiedział, że nadszedł już czas, aby zrealizować to, co zamierzał.

Kitty Kovacs pojawiła się przy jego biurku dokładnie w momencie, gdy wygrzebał wreszcie upragniony raport spod stosu papierów.

- Nie martw się, ona będzie dziś później, ale się pojawi - szepnęła mu do ucha i mrugnęła do niego, odchodząc.

- Kto? - spytał Alex najbardziej niewinnym tonem, na jaki było go stać.

Ruszył korytarzem do gabinetu redaktora naczelnego. W porównaniu z tym pokojem, jego własne pomieszczenie wydało się Alexowi zaskakująco czyste i uporządkowane. Polskie, czeskie, słowackie, węgierskie i rumuńskie gazety piętrzyły się na podłodze. Na szafce na dokumenty leżał stos faktur, funkcję przycisku do papieru pełniła puszka piwa. Torba psiej karmy stała tuż obok skrzynki z winami i kija do krykieta. W całym pokoju unosiła się charakterystyczna woń - ostre, ale przyjemne połączenie zapachu psa, kawy i alkoholu. Ronald Worthington siedział za biurkiem, z nogami na blacie, i oddawał się lekturze książki *High Living in Hungary*. Ze spokojem podchodził do swojej pracy. Był beztróskim, ale i wnikliwym weteranem z Fleet Street<sup>3</sup>, zbliżającym się do emerytury. Został wysłany do „Budapest News” przez kierownictwo „Sentinela” aby przywrócić gazetce dawną świetność. Sprawiał wrażenie uwspółcześnionej wersji aktora Sydneya Greenstreeta - lśniącą łysiną, pokaźny brzusek, tubalny głos, workowate ubranie. Poza prasą, krykietem i dobrymi restauracjami, w centrum zainteresowania Ronalda znajdował się również jego pies, rudy seter o imieniu Ferrari.

---

<sup>3</sup> *Ulica w Londynie, przy której przez lata mieściły się redakcje brytyjskich gazet (przyp. tłum.).*

- Alex, stary druhu. Wejdz, nalej sobie kawy. Świeżo parzona. Blue Mountain, jamajska - zaproponował, gestem pokazując stolik w rogu, na którym syczał dzbanek z kawą. Ferrari podniósł na chwilę łeb, ale za chwilę znów pogрузzył się w drzemce.

Alex nalał sobie kawy i wziął do ręki egzemplarz czeskiego dziennika „Mlada Fronta Dnes” sprzed dziesięciu dni. Z pierwszej strony spoglądała na niego nowa Miss Czech.

- Przecież ty nie znasz czeskiego - zakpił.

- To zdjęcie warte jest tysiąc słów. A ty popatrz na to - odparował jego szef, podnosząc do góry grubą książkę w błyszczącej oprawie.

Na jej okładce widniało zdjęcie ubranego na biało grubego uśmiechniętego kucharza stojącego w zaparowanej kuchni i z zadowoleniem siorbiącego zupę z dużej chochli. Z pyzatej twarzy spoglądała para życzliwych, niebieskich oczu.

- Nie miałem pojęcia, że dorabiasz jako model - powiedział Alex.

- No to teraz już wiesz. A teraz, do roboty. Przed nami pracowity tydzień. Mamy wywiad Nataszy z Sanzlermannem, dodatkowo jeszcze ta afera we wschodniej Słowacji, na którą też ona trafiła. To wszystko robi wrażenie. Mamy szczęście, że w porę dostrzegłem jej dziennikarski potencjał.

- Doprawdy? A wydawało mi się, że to ja nalegałem na jej awans. Ty twierdziłeś, że powinna zostać w recepcji, bo tak ładnie się tam prezentuje - przypomniał Alex, wręczając mu jednocześnie artykuł SNSA.

Ronald błyskawicznie rzucił okiem na tekst. Jowialny kucharz zmienił się nagle w zamyśloną profesjonalistkę. Jego pulchne palce biegały szybko po klawiaturze. Po chwili Ronald obrócił swój monitor w stronę Alexa.

## NIEMIECKA FIRMA FARMACEUTYCZNA UKARANA GRZYWNĄ ZA POZBYWANIE SIĘ PRZETERMINOWANYCH LEKÓW UNIKA ZARZUTÓW O NIEUMYŚLNE SPOWODOWANIE ŚMIERCI PO SERII ZGONÓW WŚRÓD ROMÓW

David Jones

Budapeszt (Reuter) - KZX Industries, największa firma farmaceutyczna w Niemczech, zostało ukarane grzywną w wysokości 10 tys. euro za dystrybucję przeterminowanych leków we wschodniej Słowacji.

Skandal wybuchł, kiedy pięć osób z jednej romskiej rodziny ze wsi Novy Marek na wschodzie Słowacji zmarło po tym, jak podano im leki, których termin przydatności do spożycia minął trzy lata wcześniej, a które dodatkowo nie miały żadnych właściwości leczniczych w przypadku chorób, które nękały tę grupę osób.

Liberałowie i socjaliści zasiadający w Parlamencie Europejskim nie kryją oburzenia, uważając karę za zbyt niską.

- To artykuł sprzed roku. Nikt nigdy nie słyszał o tym miejscu, a dziś po raz kolejny mówi się o nim w wiadomościach - powiedział Ronald. Podszedł do wiszącej na ścianie mapy Europy Wschodniej. - W samym sercu absolutnie niczego - powiedział w zamyśleniu, wskazując palcem mały punkcik na terenie Słowacji, niedaleko granicy z Polską i Ukrainą. Ronald wrócił do swojego komputera i wklepał w wyszukiwarce adres [www.slovakiatriumph.com](http://www.slovakiatriumph.com). Na stronie można było obejrzeć filmiki z czeskimi, polskimi, węgierskimi lub angielskimi napisami. Wybrał te ostatnie. Na ekranie pojawiła się mizerna twarz słowackiego premiera, Duszana Hrkny. Hrkna, zwalisty bokser olimpijski, zdobył olbrzymią popularność, działając w szeregach Słowackiej Ligi Patriotycznej. Odniósł miażdżące zwycięstwo nad rywalami, pomimo wybuchających co chwila skandali związanych z członkami partii, którzy rozdawali wyborcom butelki piwa ozdobione znakiem



SLP. Na filmiku Hrkna przemawiał na jakimś zgromadzeniu, waląc pięścią w blat mównicy, podczas gdy tłum wokół niego głośno wyrażał swoje poparcie. Na dole ekranu płynęły angielskie napisy: „Romowie rozumieją tylko dosadne przesłanie”. Hrkna powoli zacisnął dłoń w pięść i wymierzył gwałtowny cios w powietrze. Tłum wył z zadowolenia.

Ronald zatrzymał filmik i w skupieniu gryzł ołówek.

- Słowacja. Sam widzisz, jaki jest premier. Niemieckie koncerty pozbywają się tam leków. Romowie nie mogą mieć tam dzieci. Pakuj się, chłopcze. Zabierz ze sobą Nataszę, ona mówi po słowacku. Będziemy też potrzebowali zdjęć rodzin z tej miejscowości Novy Marek. Dowiedz się, czy Edina ma czas.

Alex spojrzął na niego z powątpiewaniem.

- Z Ediną to będzie już tłok. Będziemy przecież potrzebowali kogoś, kto wprowadzi nas do Romów - nie będą z nami rozmawiać, jeśli pojawimy się tam ot tak. Wtedy będzie nas już czwórka.

- Dobra, jedź tylko z Nataszą, ale weź aparat cyfrowy i koniecznie zrób tam jakieś zdjęcia. - Ronald przyglądał mu się podejrzliwie - Mam nadzieję, Alex, że w tym przypadku chodzi jedynie o sprawy zawodowe?

- Oczywiście - odparł Alex, starając się zachować kamienny wyraz twarzy.

\* \* \*

Apartament prezydencki w hotelu Savoy mieścił się na najwyższym piętrze. Natasza pomyślała, że spokojnie zmieściłoby się w nim całe mieszkanie jej mamy. Były tam trzy duże pokoje, wszystkie pomalowane na jasnozielono: sypialnia, salon i gabinet. W całym apartamencie stały biedermeierowskie meble, a na ścianach wisiały obrazy olejne: jeleń na rykowisku oraz wytworna dama w sukni balowej. Lśniący parkiet pokrywały jedwabne dywany. Wchodząc tu, każdy czuł się tak, jakby odbył podróż w czasie, do Berlina lub Wiednia sprzed stu lat, do czasów szacunku dla władz i precyzyjnie określonych granic pomiędzy klasami społecznymi. Za oknem rozciągał się imponujący widok: luk Mostu Elżbiety rozpostarty nad Dunajem, w tle malownicze wzgórza Budy. W ten słoneczny zimowy dzień, niebo było błękitne, upstrzone jedynie małymi białymi chmurami. W pokoju panował wręcz upał. W powietrzu unosił się zapach cygar i wody kolońskiej. Natasza z trudem powstrzymała się przed otwarciem okna.

Sanzlermann siedział na kanapie na środku salonu. Stojący obok fotel zajmował Reinhard Daintner. Na stoliku w srebrnym wiaderku chłodziła się butelka węgierskiego wina musującego, obok stały dwa kryształowe kieliszki. Natasza miała zamiar usiąść w fotelu, jednak Sanzlermann poderwał się i zaprosił ją na sofę obok siebie. Po chwili wahania przycupnęła w najdalszym jej rogu i wyjęła z torebki swój dyktafon. Kiedy tylko postawiła go na stoliku, Reinhard Daintner umieścił obok identyczny model.

- To po to, abyśmy oboje mieli dokładny zapis słów pana Sanzlermanna - wyjaśnił sucho.  
- Panno Hatvani, czy mogę zaproponować pani kawę bądź herbatę? A może coś mocniejszego?

Natasza odmówiła i otworzyła swój zeszyt. Starła się, aby jej głos brzmiał spokojnie i w pełni profesjonalnie. Nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo się denerwuje. Był to najważniejszy wywiad w jej dotychczasowej karierze, a ona wciąż do końca nie wiedziała, dlaczego Sanzlermann w ogóle jej go zaproponował. Jednego z powodów mogła się domyślać, widząc, w jaki sposób się do niej uśmiechał i jak dyskretnie przysunął się nieco bliżej.

- Nagranie wywiadu z Frankiem Sanzlermannem, do opublikowania w „Budapest News”  
- zaczęła. - Herr Sanzlermann, pańscy oponenti oskarżają pana o podżeganie do nienawiści wobec Romów. Na przykład, przy okazji wczorajszego przemówienia pokazał pan trzy

zdjęcia osób pochodzenia romskiego: brud i nędza, młodzi przestępcy i dwóch bijących się mężczyzn. Wzywa pan także do pobierania od Romów odcisków palców. Dlaczego tylko od Romów? Czy to przypadkiem nie rasizm?

Sanzlermann pochylił się w jej stronę.

- Poinformowałem również o założeniu fundacji mającej na celu edukację Romów, na którą osobiście przeznaczyłem dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro. Wszystkie te oskarżenia o rasizm są bezpodstawne, mogą być jednak wynikiem błędnej interpretacji. A zatem, panno Hatvani, cieszę się, że mogę pani przekazać najnowsze wieści: z przyjemnością oznajmiam, po raz pierwszy publicznie, że według naszych założeń wszyscy mieszkańcy Europy będą poddawani procedurze zdejmowania odcisków palców, co więcej, pobierane będą też próbki DNA. Wszystkie uzyskane w ten sposób informacje będziemy przechowywać w zabezpieczonej bazie danych.

Daintner wyprostował się gwałtownie, po czym szybko zaczął szeptać coś do ucha Sanzlermanna. Ten jednak machnął ręką.

- A cóż to za różnica — zamruczał pod nosem, drapiąc wierzch dłoni. - I tak mieliśmy ogłaszać to w tym tygodniu.

Serce Nataszy podskoczyło. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. To naprawdę był news. Spoglądała nerwowo to na swój zeszyt, to na Sanzlermanna. Musiała pociągnąć temat.

- Wszyscy? Wszyscy mieszkańcy Unii Europejskiej? - upewniła się.

- Tak jest - potwierdził zdecydowanym głosem Sanzlermann.

- A co w przypadku, kiedy ktoś odmówi?

- Obywatele przestrzegający prawa nie powinni mieć nic do ukrycia. Odpowiadając jednak na pani pytanie, każda odmowa spotka się z odpowiednimi sankcjami. Początkowo cywilnymi, a w ostateczności karnymi - wyjaśnił Sanzlermann.

- Co to dokładnie oznacza? - dopytywała Natasza, bazgrołąc notatki na wypadek, gdyby sprzęt zawiódł.

Czerwona lampka dyktafonu świeciła jednak uspokajająco.

- Najpierw kary pieniężne, potem pozbawienie wolności, aż wreszcie pozbawienie obywatelstwa, co oznaczać będzie deportację - odparł Sanzlermann. Jego głos brzmiał spokojnie i rozsądnie. Jego paznokcie wbijały się w skórę lewej dłoni.

Natasza poczuła, że ma w głowie mętlik.

- Ale gdzie mielibyście ich deportować? I w jaki sposób uzyskacie próbki DNA od ludzi, którzy tego nie chcą?

W tym momencie Reinhard Daintner uznał za stosowne włączyć się do rozmowy:

- Panno Hatvani, mam nadzieję, że rozumie pani, że wszystkie te projekty są jeszcze w sferze przygotowań, a co za tym idzie, ich szczegóły są ściśle tajne - powiedział, kładąc akcent na ostatnie słowo, a jednocześnie twardo patrząc Sanzlermannowi w oczy. -

Kontynuujemy.

Natasza zerknęła na zegarek, unikalny antyk, który należał niegdyś do jej babci. Zostało jej jeszcze dziewięć minut.

- Co zatem sądzi pan o nowej żandarmerii?

- Nowa państwowa policja, zajmująca się działalnością wywiadowczą i egzekwowaniem prawa? Sądzę, że to doskonały pomysł.

- Ale przecież mamy już policję, zarówno na poziomie ogólnokrajowym, jak i regionalnym. Po co nam właściwie kolejne tego typu służby?

- Szczerze mówiąc, to są akurat wewnętrzne sprawy waszego rządu. Mówiąc jednak bardziej ogólnie, Węgry, podobnie jak większość państw europejskich, borykają się z coraz większą przestępczością. Ewidentnie potrzebne jest nowe podejście do tematu, konieczne jest skoordynowanie wielu różnych służb pod jednym przywództwem. O ile mi wiadomo,

żandarmeria odpowiada przed premierem, który jest wybierany w demokratycznych, wolnych wyborach.

- Ale dlaczego właśnie „żandarmeria”? W kontekście historycznym słowo to kojarzy się bardzo negatywnie. Żandarmi wsadzali Żydów do pociągów w 1944.

- To było lata temu. Moim zdaniem, a także zdaniem Europejskiej Unii Ludowej, musimy iść naprzód. Premier Attila Hunkalffy podziela moją opinię. Nie możemy pozwolić, aby Europa zawsze już była nękana upiorami przeszłości, wydarzeniami, które miały miejsce ponad sześćdziesiąt lat temu. Bez względu na to, jak straszne były one dla niektórych.

- Niektórych? - powtórzyła jak echo Natasza.

- Dla nas. Oczywiście chciałem powiedzieć „nas”. - Sanzlermann znowu drapał się po rękę, tym razem tak mocno, że zostawił na skórze czerwone ślady. - Ale żyjemy obecnie w innych czasach, a trudne sytuacje wymagają skutecznych środków i silnego przywództwa. - Zauważył, że Natasza przygląda się jego dłoniom i momentalnie przestał się drapać. Uśmiechnął się, wyprostował i spojrzał jej w oczy. - Może trochę sekt? - zaproponował, biorąc do ręki butelkę.

Jego błękitne oczy zdawały się świecić, kiedy pochylał się w jej stronę, aby napęlić kieliszek.

Natasza musiała przyznać, że jest przystojnym mężczyzną. Od dawna już żaden przystojny mężczyzna nie proponował jej drinka. Przywołała się do porządku.

- Nie, dla mnie nie, dziękuję - powiedziała, przykrywając dłonią kieliszek dokładnie w momencie, gdy Sanzlermann zaczął nalewać wino.

Alkohol wylał się na jej dłoń i spodnie. Natasza podskoczyła, przewracając stolik. Wino, kubek z lodem i obydwa dyktafony wylądowały na podłodze. Natasza cofnęła się i zaczęła przeproszać, czerwona ze wstydu. Sanzlermann chwycił kilka serwetek i podał jedną Nataszy.

- To głupstwo, naprawdę, proszę się nie martwić. Drobnostka. Czy chce pani, abym wezwał obsługę hotelową? Pomogą pani z mokrym ubraniem.

Natasza pokręciła przecząco głową, próbując wysuszyć spodnie za pomocą serwetki.

- Nie ma takiej potrzeby, dziękuję.

Daintner podał jej cyfrowy dyktafon. Sprawdziła diodę. Na szczęście wciąż świeciła na czerwono.

- Jeszcze raz bardzo przepraszam. Wróćmy jednak do rozmowy - zaproponowała Natasza, zerkając do swoich notatek. - Czy pańska partia nie zachęca do ksenofobicznych zachowań wobec muzułmanów?

Sanzlermann wyglądał na zszokowanego.

- Ksenofobicznych? Jak to? Jestem w pełni zaangażowany w walkę o prawa wszystkich mniejszości, bez względu na wyznanie czy kolor skóry, o ile tylko akceptują one nasze europejskie wartości. To nie my jesteśmy źródłem uprzedzeń wobec imigrantów, a raczej takie organizacje, jak Armia Wyzwolenia Imigrantów. - Sanzlermann przerwał, bo w pokoju rozdzwonił się telefon.

Daintner odebrał, po czym przekazał słuchawkę swojemu szefowi.

- Attila, jak miło cię słyszeć. Za dziesięć minut? Dobrze. Przepraszam - zwrócił się teraz do Nataszy - ale musimy niestety przerwać wywiad. Wzywa mnie sam premier. Mam nadzieję, że ten materiał, który pani ma, będzie przydatny.

- Z pewnością tak. Dziękuję za poświęcony czas - odpowiedziała Natasza i szybko opuściła apartament.

\* \* \*

Z zewnątrz egipska restauracja Sphinx nie wyglądała zbyt zachęcająco, wręcz odpychała klientów, ale właścicielom chyba odpowiadał taki stan rzeczy. Brudne okna, arabskie menu

wypisane ręcznie i przyklejone do okna taśmą klejącą, podniszczony plakat ze zdjęciem riwiery Morza Czerwonego. W środku - laminowane stoliki i metalowe krzesła. Lokal był usytuowany w siódmej dzielnicy, niedaleko Keleti, wschodniego dworca kolejowego, a jego okna wychodziły na plac Garay. W ciągu dnia Chińczycy sprzedawali na nim podrabiane tenisówki Nike i pakowane próżniowo ciasta czekoladowe. Krzepkie gospodynie przyjeżdżały tu z pobliskich wiosek i oferowały słoiki z przetworami oraz żywe, gdaczące donośnie kurczaki. Na placu można też było kupić innego rodzaju dobra: amerykański bądź europejski paszport z kompletem wiz, nowe BMW, skrzynkę kałasznikowów prosto z linii produkcyjnej. O dziesiątej rano w poniedziałek plac był jednak zupełnie pusty.

Alex i Mubarak usiedli w kącie w głębi restauracji. Na stoliku stała butelka libańskiego araku, karafka z wodą, miseczka, z której prawie wysypywały się pistacje, hummus oraz kilka sałatek. Ochroniarz Mubaraka, Hamid, siedział kilka metrów od nich i czytał arabską gazetę. Pomimo odpychającego wyglądu, Sphinx oferował swoim gościom najlepsze w całym Budapeszcie potrawy kuchni bliskowschodniej. Alex zanurzył kawałek pity w gęstym, aromatycznym hummusie. Zapach grillowanych kebabów rozchodził się po całej restauracji.

- Chciałbym cię o coś zapytać - zaczął Alex. Siedzący nieopodal samotny turysta jadł powoli zupę z soczewicy, jednocześnie czytając przewodnik.

Mubarak nalał araku sobie i swojemu towarzyszowi.

- Jak mogę ci pomóc, Alex? Chcesz znać moje przewidywania dotyczące kursu dolara względem euro? Doradzić ci, jak inwestować na londyńskiej albo nowojorskiej giełdzie? Mogę ci powiedzieć, że na rumuńskim rynku nieruchomości jest boom.

Alex poznał Mubaraka niedługo po tym, jak zaczął pracę w „Budapest News”. Gazeta przechodziła wtedy właśnie jeden ze swoich kryzysów związanych z płynnością finansową. Obiecany zastrzyk gotówki z „Sentinela” jeszcze się nie pojawił, a wszystkie pieniądze, nawet zaskórniaki Ronalda Worthingtona, zostały już wydane. Drukarnia domagała się pieniędzy w przeciągu dwudziestu czterech godzin pod groźbą przemielenia całego najnowszego nakładu, zawierającego najwyższą do tej pory liczbę reklam. Dla gazety oznaczałoby to koniec. Wtedy to właśnie Ronald Worthington wszedł na swoje biurko i wygłosił z niego płomienną przemowę do wszystkich pracowników. Zapadła decyzja o zorganizowaniu zrzutki. Opróżnione zostały konta bankowe, wykorzystane debety na kartach kredytowych, zaciągnięto pożyczki u bliższych i dalszych krewnych. Alex został wydany do Cafe Casablanca z walizką pełną dolarów i euro. Kiedy wszedł, na sali zapadła grobowa cisza, niczym w kiepskim westernie. Alex zapytał mężczyznę w fioletowej aksamitnej marynarce i pomarańczowych spodniach o kurs forinta - Mubarak odpowiedział. Jako wierny czytelnik „Budapest News” dorzucił od siebie dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy forintów. Gazeta została uratowana, a między mężczyznami zawiązała się przyjaźń.

- Co wiesz o AWI, Armii Wyzwolenia Imigrantów? - spytał Alex.

- Niewiele - odparł Mubarak, dolewając wody do araku i tworząc w ten sposób płyn o mlecznym kolorze.

Przerwał, kiedy kelner, łysy olbrzym, który idealnie nadawałby się na strażnika haremu, podszedł i postawił przed nimi talerz z kebabem. Mubarak nałożył najpierw Alexowi, a następnie sobie porządną porcję. - Ciekawe jest to, że nikt właściwie nie zna nikogo, kto byłby z nimi powiązany. Zorganizowanie grupy terrorystycznej jest kosztowne i czasochłonne. Potrzebne są fundusze, dobra organizacja, ochotnicy, kryjówki i bezpieczne kanały łączności. Grupa taka ma zazwyczaj wsparcie z zewnątrz, tak jak IRA miała Sinn Fein. Ma stronę internetową, cokolwiek. Nikomu nie udaje się uniknąć przecieków. Ludzie mówią, inni ludzie to słyszą. Tak jest ze wszystkimi, oprócz AWI. Wybucho bomba, a potem cisza. Dopóki Hasan al-Ajnaby, którego imię oznacza swoją drogą mniej więcej tyle co „dobry obcokrajowiec”, nie pojawił się w CNN, grożąc nam kolejnym rozlewem krwi. - Mubarak przerwał i dołożył sobie kebabu. - A ty?

- To samo - wrzucił ramionami Alex. - Wiedzę o nich czerpię głównie z telewizji. Mubarak wziął łyk araku. Położył dłoń na ramieniu Alexa.

- A co z twoim dziadkiem? - spytał - Coś nowego?

- Jeszcze nie zostałem poinformowany o wynikach sekcji zwłok. Ale sam też badam tę sprawę.

- Jeśli będę mógł ci jakoś pomóc, daj znać. Wiesz, Alex, musimy trzymać się razem przeciwko tym wszystkim *mumzerom* - oświadczył, używając słowa, które w jidysz oznacza „sukinkot”.

Alex zaśmiał się.

- Gdzie się nauczyłeś tego słowa?

- Niedaleko stąd, swoją drogą. W szkole, od Estery Weiss. Mieliśmy po szesnaście lat. Nie tylko tego mnie nauczyła - westchnął znacząco, a jego twarzy przybrała stęskniony wyraz. - Teraz mieszka w Londynie, w Golders Green. Ma męża księgowego. Zauważyłem, że w Londynie pełno jest obecnie Rosjan. Co mi przypomina, że u nas z kolei nie brakuje Ukraińców. Trochę znanych twarzy, ale i wiele nowych. Ci nowi są bardzo brutalni.

Kelner podszedł i zabrał ich talerze, po czym szepnął coś na ucho Mubarakowi.

- *Aiwa, minfadlik*, tak, poprosimy - odpowiedział Mubarak.

Na stole pojawiły się po chwili dwie filiżanki kawy, gęstej i gorącej, a z nimi lepkie ciasta pokryte syropem. Obydwaj mężczyźni pochylili się nad deserem. Kelner przyniósł jeszcze dwie fajki wodne, misterne konstrukcje ze szkła i mosiądzu. Przygotował tytoń i węgielki. Mubarak wyjął z kieszeni małą kostkę owiniętą w folię aluminiową. Pokazał ją Alexowi, na co ten uśmiechnął się porozumiewawczo. Mubarak odłamał trochę z brązowej grudki i rozkruszył ją na węgielkach sziszy. W pomieszczeniu rozniósł się zapach spalonej liny. Turysta, jedyny klient poza nimi, przyglądał im się mile zaskoczony. Zaraz jednak sprawy przybrały dla niego mniej miły obrót - wręczono mu rachunek, po czym poproszono o uregulowanie płatności przy kasie i jak najszybsze opuszczenie lokalu. Kelner zamknął za nim drzwi i zasunął żaluzje. Salę wypełnił głos Um Kulthoum, najsłynniejszej egipskiej pieśniarki. Wydawało się, że jej wibrujący głos, pełen żalu i tęsknoty, zdołałby ukruszyć ściany piramid. Alex zaciągnął się fajką wodną, obserwując kłęby dymu sunące przez wodę. Dym smakował słodko i bez porównania lepiej od hodowanej na wyspie Csepel marihuany, którą zdarzało mu się palić na imprezach redakcji „Budapest News”. Muzyka zdawała się wypełniać jego ciało. Płynął w przestrzeni. Twarz Zsofi zlewała mu się z twarzą Nataszy. Alex uśmiechnął się i spojrzał na siedzącego naprzeciwko Mubaraka, który pogrążony we własnych myślach, gapił się w przestrzeń, wydmuchując dym nosem.

Alex siedział jak zahipnotyzowany. Czuł, jak muzyka krąży w jego żyłach. Z otępienia wyrwało go głośnie łomotanie w drzwi. Zamrugnął gwałtownie i się wyprostował. Mubarak podszedł do Hamida i szeptem wydał mu polecenie. Ochroniarz sięgnął po telefon komórkowy, a Mubarak podszedł do wejścia do knajpy. Alex ruszył za nim, ale został zatrzymany przez przyjaciela gestem dłoni. Na sali pojawił się kelner z kluczami i otworzył drzwi wejściowe. W kilku mieszkaniach z widokiem na plac zapaliły się światła.

- Cholerne dupki! - wrzasnął ktoś. Przed restauracją stało dwoje oficerów żandarmerii. Jednym z nich był mężczyzna o wąskiej twarzy, jasnych włosach i nerwowym spojrzeniu. Na pierwszy rzut oka było widać, że szefem jest druga osoba - krępa blondynka w średnim wieku, wyglądająca na nieco zmęczoną. Ciszę rozdarł głośny huk - coś uderzyło w dach radiowozu. Młody żandarm podskoczył nerwowo i sięgnął po broń.

Kobieta westchnęła, pochylila się i podniosła z ziemi dużego ziemniaka. Wręczyła go swojemu koledze.

- Masz, Geza, zanieś to mamusi - powiedziała ze znużeniem.

Mubarak roześmiał się i zwrócił do niej:

- Pani sierżant Kovacs, miło panią widzieć, jak zawsze zresztą. Widzę, że postanowiła pani zasilić szeregi żandarmerii. Czym mogę dziś pani służyć? A raczej kapitanowi Tothowi? Wzruszyła ramionami w przepaszającym geście.

- Wszyscy przeszliśmy do żandarmerii, kapitan Toth również. Płacą dwa razy więcej niż tamci. Przykro mi, skarbie. Kapitan powiedział, że muszę zabrać cię ze sobą. Może znowu chce jechać na wakacje. Gdzież to on był ostatnio? W Grecji?

Mubarak prychnął.

- Chciałbym. Dwa tygodnie na Seszelach.

- Chodź zatem, bierz kurtkę i idziemy - zarządziła sierżant Kovacs. - Im szybciej tam dojedziemy, tym szybciej cię stamtąd wypuszczą i będziesz mógł spokojnie wrócić do domu.

## Rozdział 10

Alex wcisnął się do zatłoczonego porannego pociągu metra, zmierzającego w kierunku dworca Keleti. Pośepni współpasażerowie czytali rozdawane na ulicach gazety. Grupka dzieciaków w drodze do szkoły chichotała w kącie. Alex znalazł miejsce z tyłu wagonu, torbę podróżną ustawił między nogami. Jakiś metr od niego siedział brodaty bezdomny mężczyzna, od którego dolatywał silny smród potu i moczu. Budapesztańskie metro zbudowane przez Sowieców było szybkim, tanim i niezawodnym środkiem komunikacji miejskiej. Z zewnątrz wagony pokrywało graffiti, a wiele z plastikowych krzesełek było wyrwanych bądź zepsutych. Nad jednym z wejść widniał napis „Gypsy Free Zone” - nazwa nowego, skrajnie prawicowego zespołu rockowego. Z tablic reklamowych szczyrzył się Frank Sanzlermann. Alexowi nie udało się jeszcze dostrzec ani jednego plakatu, na którym widniałaby jego główna przeciwniczka Edith Leclerc. Wyglądało na to, że ekipa Sanzlermanna wykupiła całą powierzchnię reklamową w mieście.

Alex starał się nie oddychać zbyt głęboko zatęchłym, zepsutym powietrzem. Pociąg ruszył ze stacji Błaha Luiza i powoli nabierał prędkości w drodze na kolejny przystanek - dworzec Keleti. Spojrzał na zegarek - była 7.42 rano. Pociąg do Koszyc odjeżdżał o 8.06. Wyglądało na to, że zdąży. Wciąż nie miał żadnych wieści od Mubaraka - kiedy odjeżdżał wczoraj radiowozem z dwójką żandarmów, wydawał się spokojny, wręcz nonszalancki. Hamid zapewnił Alexa, że nie ma się o co martwić. Łapówki były nawet odpisywane przez księgowego Mubaraka jako „wydatki służbowe”, poprzedniej nocy, kiedy Alex już zasypiał, zadzwoniła Zsofi - wróciła z Wiednia i chciała się z nim jak najszybciej zobaczyć. Kiedy odmówił, niemal z oburzeniem dopytywała się o powód. „Jadę jutro z samego rana na Słowację. Służbowo. Z koleżanką z pracy”. Wiedział, że to trochę dziecinne, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności poinformowania jej o towarzysze płci żeńskiej. Zsofi milczała przez dłuższą chwilę. „Cóż, w takim razie baw się dobrze” - mruknęła niezadowolona. „Dziękuję, taki mam zamiar. Dobranoc!” - odpowiedział i się rozłączył. Był z siebie dumny i po raz pierwszy od wielu dni spał spokojnie, utulony do snu zawartością fajki wodnej Mubaraka.

Teraz uważnie obserwował stojące nieopodal dwie młode, energiczne kobiety - pulchną rudowłosą i wysoką brunetkę o donośnym śmiechu. Obie miały starannie ułożone fryzury i perfekcyjny makijaż. Pomimo mrozu były ubrane w krótkie, obcisłe spódnice i płaszcze. Alex pomyślał z podziwem, że węgierskie kobiety doskonale wiedzą, jak wykorzystywać wszystkie swoje atuty. Obydwie panie pracowały w fabryce samochodów i plotkowały właśnie o swoim szefie, Niemcu imieniem Helmut, który bezustannie próbował zaprosić jedną z nich, tę rudowłosą, na kolację. Do tej pory odmawiała, ponieważ obawiała się o swoją pracę, gdyby coś w ich relacjach poszło nie tak.

- Ildiko, masz absolutną rację. Trzymaj pracę i życie prywatne z dala od siebie. A co jeśli on po prostu chce się trochę zabawić? - powiedziała jej ciemnowłosa koleżanka
- Na dodatek nie jest zbyt przystojny. I ma wąsy! Pewnie strasznie by cię łaskotał.
- Zależy gdzie - odparła ruda, zanosząc się śmiechem.

Pociąg metra szarpnął nagle, po czym zatrzymał się w tunelu. Światła zaczęły mrugać, po chwili skład powoli ruszył, ale po kilku metrach, znowu stanął. Serce Alexa zaczęło bić szybciej. Próbował się przekonać, że na pewno zaraz ruszą. Światło zamrugało jeszcze raz, po czym zgasło na dobre. Wokół panowała kompletna ciemność. W wagonie co rusz dało się słyszeć nerwowy śmiech. Grupka uczniów rzuciła kilka żartów, jednak szybko zamilkła. Kilku pasażerów wyciągnęło swoje telefony komórkowe. Wyświetlacze rozbłyskiwały co chwila w różnych częściach wagonu. W oddali słychać było łoskot pociągów. Bezdomny mężczyzna zaczął marudzić, a płynący od niego zapach jakby stał się silniejszy. Alex czuł się tak, jakby ściany tunelu zwężyły się i zacieśniały wokół niego. Ktoś zapalił zapalniczkę, światło wydobyło z mroku zaniepokojone twarze pasażerów. Nie dało się uciec. Nie było stąd wyjścia. Słowa uporczywie brzęczały mu w głowie. Starał się kontrolować narastającą panikę, ręce miał mokre od potu.

*Jest zamknięty w małej ciemnej celi bez okien w więzieniu w Mostarze. Słyszy szcęk przekreścanego w zamku klucza. Ciężkie drzwi uchylają się, wchodzi bośniacki Chorwat. Jest pijany, niemal się zatacza, czuć od niego intensywny zapach brandy. W jednej ręce trzyma latarkę, a w drugiej karabin AK-47. Świeci Alexowi prosto w twarz, śmieje się i szturcha go kolbą karabinu. Alex mruga i wzdryga się, próbując osłonić oczy przed snopem światła.*

*- Te, dziennikarz. Muzułmański kochaś. Rozprawimy się z tobą, tak jak rozprawiliśmy się z nimi. Jeden strzał, może dwa. W głowę, jeśli będziesz miał szczęście. Albo tu, jeśli będziesz miał pecha - to mówiąc, wymierza mu silny cios w brzuch. Alex stęka z bólu. Żołnierz podnosi broń i kilka razy strzela w sufit. Dźwięk jest oghuszający. Niewielkie kawałki muru spadają na ziemię. Jeden z nich trafia Alexa w ramię. Przerażony, ucieka pod ścianę. Żołnierz oddaje jeszcze jeden strzał i wychodzi. Drzwi celi zatrząskują się za nim. Alex dotyka swojego ramienia. Widzi rozerwaną koszulę i krew. Czuje, jak ciepła strużka spływa po jego nodze na podłogę.*

Alex poczuł nieznośny ból w okolicy klatki piersiowej, zupełnie jakby jakaś żywa istota chciała wyrwać się z jego ciała, z tego wagonu, z tego tunelu, aż do wind, prowadzących na powierzchnię, do słońca i otwartej przestrzeni. Poczul krople potu na czole. Coraz trudniej było mu oddychać. Ostatkiem sił powstrzymywał się, aby nie rzucić się do drzwi i spróbować je otworzyć. Nagle ktoś zaświecił mu prosto w oczy. Przestraszony odwrócił głowę.

- Wszystko w porządku, skarbie? Nie bój się - powiedziała rudowłosa, używając telefonu jak latarki - to tylko telefon. Nie wyglądasz za dobrze - zauważyła, kładąc rękę na jego ramieniu.

Alex zamrugał i głośno przełknął ślinę.

- Proszę, nie świeć mi prosto w twarz - poprosił, starając się uśmiechnąć.

- Wybacz, skarbie, już. Te pociągi zawsze zatrzymują się w połowie trasy, nie wiedzieć czemu. Nie ma się czym martwić. Gdzie się dziś wybierasz? - zapytała pogodnym tonem, opuszczając telefon nieco niżej.

- Na Słowację - odpowiedział. Wiedział, że stara się być miła, odciągnąć jego uwagę, powstrzymać atak paniki. Jednak lęk tak łatwo nie ustępował. - Do Koszyc. Jadę tam ze znajomą.

- No, to masz szczęście, przynajmniej nie spędzisz całego dnia w fabryce w towarzystwie Helmuta - zaśmiała się,

Alex wziął głęboki wdech i powoli wypuszczał powietrze nosem. Nie był już w więzieniu w Mostarze. Pociąg niedługo ruszy. Wytarł o spodnie spocone ręce. Pociąg niedługo ruszy. Prawda? Lampy się włączyły, a z głośników popłynął przeproszący głos. Pociąg ruszył i po chwili był już na przydworcowej stacji.

- I już po wszystkim - powiedziała uspokajająco ruda, - Mówiłam, że nie ma się czym martwić.

- Dziękuję. Bardzo mi pomogłaś - powiedział Alex z wdzięcznością.

Podniósł swoją torbę i ruszył na stację kolejową. Obskurna żółta hala dworca jeszcze nigdy nie wydawała się Alexowi tak przyjemna. Wzdłuż peronów ciągnęły się budki z jedzeniem, oferujące smażone mięso wątpliwej jakości oraz wino, nalewane chochlami z metalowych baniek do plastikowych kubków. Nielegalni taksówkarze, noszący podrabiane legitymacje „Official Taxi”, rozglądali się bacznie w poszukiwaniu klientów. Smagli mężczyźni w dresach kręcili się wokół, popalając papierosy i pilnując toreb i worków z tanimi ubraniami i trampkami. Alex minął jeszcze staruszkę, obwieszoną kwiecistymi sukienkami i objuczoną dodatkowo torbami pełnymi papryki i pomidorów i omal nie wpadł na grubego żandarma.

Na kioskowych stojakach pełno było egzemplarzy „Febredjetek Magyarok!” oraz węgierskich edycji „Playboya”, „Hustlera” i „Penthouse’a”. Zerknął pobieżnie na okładki pism kobiecych: „Madziarskie matki wybierają dom zamiast kariery”, „Jak co dzień uszczęśliwiać swojego węgierskiego męża”. Nigdzie nie mógł dostrzec „Budapest News”. Ostatnio bez powodzenia próbował kupić egzemplarz w różnych budapesztańskich kioskach. I nie chodziło wcale o to, że wszystkie egzemplarze zostały wyprzedane - informowano go tylko, że gazeta „nie jest dostępna”. Wśród zgromadzonego pod tablicą informacyjną tłumy rozbrzmiewały różne języki. Alexowi udało się wyłapać rumuński, serbski, rosyjski, a nawet turecki. Z dworca Keleti na południe ruszały pociągi do Sztambułu, przez Belgrad i Sofię, i na wschód - do Lwowa i Kijowa, które następnie odbijały na północ, do Moskwy i Sankt Petersburga. Skład do Koszyc odjeżdżał z peronu piątego.

Nagle drogę zastąpił mu mijany wcześniej żandarm. Jego mundur opinał się ciasno na wielkim brzuchu, a zza kołnierzyka koszuli wystawały fałdki tłuszczu. Z czubka czapki zwisała mu smętnie kokarda.

- Dokąd się pan wybiera? - spytał Alexa.

- Na Słowację. To mój pociąg, o tutaj - odpowiedział, jednocześnie spoglądając na zegarek. Była 7.55.

- Pana pociąg? Nie wydaje mi się. Dokumenty proszę - burknął.

Alex wręczył mu swoją legitymację prasową. Czuł jego nieświeży, papierosowy oddech.

- Halo, mówię do ciebie - żandarm dźgnął do palcem.

- Przecież właśnie dałem panu moją legitymację.

- Nie bądź taki cwaniak. Paszport. Albo idziemy na posterunek. A tego byś chyba nie chciał.

Alex spojrział w kierunku małego posterunku, obecnie przejętego przez żandarmerię. Dwóch mundurowych prowadziło tam właśnie młodego romskiego chłopaka w błyszczącym dresie. Jego okrzyki protestu ukróciło kilka siarczastych policzków. Żandarmi wepchnęli go do pomieszczenia i zatrzasnęli za sobą drzwi. Alex wyciągnął swój paszport. Gruby żandarm przeglądał go uważnie strona po stronie i notował coś w swoim podniszczonym notatniku, kiedy podszedł do nich policjant, szczupły blondyn pod trzydziestkę. Zza modnych okularów bez ramek spoglądały inteligentnie niebieskie oczy.

- Czy ten osobnik utrudnia panu życie? - spytał.

- Nie, nie, wszystko pod kontrolą - odpowiedział żandarm, nie podnosząc nawet głowy.

- Nie pana pytałem - wyjaśnił policjant, po czym zwrócił się do Alexa. - A zatem?

- Owszem, niezmiernie mi utrudnia.



Żandarm zjeżył się na te słowa.

- A tobie, kurwa, co do tego? - spytał, obracając się w stronę policjanta. - Ten człowiek zakłóca porządek.

Na te słowa policjant zaśmiał się drwiąco.

- Gówno prawda. Próbuje po prostu zdążyć na pociąg. To ty i twoi żandarmi zakłóćacie spokój pasażerów.

Alex z niekłamaną przyjemnością obserwował, jak żandarm rozgląda się niepewnie wokół w poszukiwaniu wsparcia. Tymczasem podeszło do nich jeszcze sześciu policjantów. Dwóch z nich wyciągnęło pałki i zaczęło stukać nimi ostrzegawczo. Blondyn wyciągnął rękę. Żandarm z niezadowoleniem wręczył mu paszport. Policjant przekartkował go, po czym oddał Alexowi.

- *Bon voyage*, panie Farkas.

Alex podziękował mu i ruszył pędem na peron. Natasza machała do niego z okna przedziału. Gwizdek rozległ się dokładnie w momencie, gdy Alex wskoczył do pociągu. Nataszy udało się znaleźć pusty przedział. Niestety, wyglądał tak, jakby ostatni raz sprzątno w nim przed upadkiem komunizmu. Okna lepiły się od brudu, gumowe uszczelki były sparciałe, a tapicerka poplamiona i poszarpana. Pomieszczenie zalatywało brudem i dymem papierosowym. Natasza usiadła przy oknie. Wcześniej położyła obok siebie najnowsze numery „Magyar Tribün” i „Ebredjetek Magyarok!”. Alex zajął miejsce po drugiej stronie przedziału, bliżej drzwi.

- Dzień dobry. Mało brakowało - powiedziała sucho Natasza.

- Nawet nie wiesz, jak mało - odpowiedział.

Z paszportu, który trzymał w ręku wypadła wizytówka: „Kapitan Jozsef Hermann - Wywiad Kryminalny”. Zaskoczony, schował kartonik do portfela. Co tak wysokiej rangi oficer robił na dworcu o ósmej rano?

Tymczasem Natasza grzebała w swojej torbie.

- Mam dla ciebie spisany wywiad z Sanzlermannem i mój artykuł. Obydwa przesłałam też Ronaldowi e-mailem - to mówiąc, wręczyła Alexowi zadrukowane kartki.

W tym momencie pociąg ruszył niespiesznie na wschód, mijając po drodze szare betonowe bloki z epoki komunizmu. Alex przeczytał szybko materiały Nataszy. Podniósł wzrok znad papierów i spojrzał na nią z uznaniem. Artykuł był świetnie skonstruowany i zawierał informacje o tym, że Sanzlermann planuje pobierać próbki DNA od wszystkich obywateli Unii Europejskiej, nawet w przypadku sprzeciwu poszczególnych ludzi. Natasza postarała się nawet o cytaty organizacji zajmujących się obroną praw człowieka dotyczące swobód obywatelskich. Ten materiał to była sensacja na międzynarodową skalę. David Jones zzielenieje z zazdrości - pomyślał Alex.

- Świetne - powiedział z entuzjazmem - Naprawdę dobra robota.

Na twarzy Nataszy pojawił się cień uśmiechu, nie powiedziała jednak ani słowa i zagłębiła się w lekturze gazety. Nagle zadzwonił telefon Alexa. Wygrzebał go z kieszeni spodni i odebrał. Usłyszał głos Ronalda:

- Alex, stary druhu. Duszan Hrkna właśnie ogłosił, że miasteczko Novy Marek będzie na jakiś czas odizolowane od reszty świata, dopóki trwa tam śledztwo. Strefa zamknięta z powodów medycznych. Myślisz, że mimo to uda wam się tam dostać?

- Jesteśmy już w drodze, więc będziemy musieli spróbować. Będę się odzywał. - Alex zakończył rozmowę i rozsiadł się wygodnie na swoim miejscu.

Zanim zapadł w sen, rozmyślał jeszcze chwilę o swoim aniele stróżu, który niespodziewanie pojawił się na dworcu.

\* \* \*

Vince Szatmari był przygnębiony, nie mógł się skoncentrować. Rozróżniał poszczególne słowa, jednak całość była dla niego jedynie płataniną zawijasów i kresek. Zazwyczaj cenił sobie chwile przerwy w pracy, które poświęcał na spotkania biblijne w śródmiejskim kościele parafialnym, nieopodal siedziby Narodowego Banku Węgier, w którego dziale prywatyzacji pracował. Niełatwo było łączyć sprawy zawodowe z duchowymi, sukces z chrześcijańską pokorą. Przyznawał sam przed sobą, że chce wieść komfortowe życie, bo czemu nie? Był jednak, ciężko pracował, aby zdobyć wykształcenie ekonomiczne, samodzielnie utrzymywał się przez cały okres studiów i jeszcze wysyłał pieniądze owdowiałej matce, mieszkającej w rodzinnej wiosce. Był bardzo dumny ze swojej pracy i kariery, a Biblia stanowiła dla niego przypomnienie, że sukces materialny to nie wszystko.

Wysokie sklepienie gotyckiego kościoła zazwyczaj przynosiło mu spokój i ukojenie. Uwielbiał wpatrywać się w delikatne witraże, przedstawiające sceny z życia apostołów, dziś jednak nie był w stanie się uspokoić. Na miejscu, w którym obecnie stał kościół, niegdyś wznosiła się rzymska świątynia - w tych czasach Węgry znane były jako Panonia. Później stanął tu jeden z pierwszych kościołów, pod panowaniem otomańskim przekształcono go w meczet - ocalał z niego mihrab, nisza wskazująca kierunek na Mekkę. Nadal można w nim znaleźć arabskie inskrypcje. Obecnie znów modlili się tu katolicy.

Kilkoro wiernych było właśnie w środku. Otaczali ciasnym półkolem księdza - trójka studentów, młoda dziewczyna na pracująca w sklepie spożywczym i mieszkająca niedaleko starsza pani. Ksiądz, ojciec Gabor Fischer, olbrzym o zaskakująco łagodnym głosie, ciepłym, życzliwym spojrzeniu i starannie przystrzyżonej brodzie, był niegdyś mistrzem olimpijskim w rzucie dyskiem. Pędził własną szilwę palinkę, mocną śliwkową brandy.

Ksiądz spojrzał na Vince'a, który zazwyczaj był skupiony, ale dziś wydawał się nieobecny duchem.

- Może Vince nam pomoże? Vince?

- W czym pomoże? - Vince gwałtownie podniósł głowę, skubiąc nerwowo krawat, jakby oczekiwał, że kawałek materiału udzieli za niego odpowiedzi.

- Mój synu, miałem nadzieję, że jako ważna osoba w świecie biznesu i finansów, będziesz w stanie pomóc nam znaleźć odpowiedź na pytanie, które od wieków trapi chrześcijańskich myślicieli - wyjaśnił ksiądz Fischer nieco łagodniej, widząc zmieszanie na twarzy mężczyzny. - Czy naprawdę „łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do Królestwa Niebieskiego”? W dzisiejszych czasach nie brakuje bogatych ludzi. Mówi się, że taka jest cena wolności. Mnie zastanawia, ile ze swojego bogactwa trzeba oddać innym, aby stać się człowiekiem godnym przekroczenia bram Nieba?

- To trudne pytanie, ojczu. Myślę, że tyle, by po oddaniu została wystarczająca ilość na wygodne życie i utrzymanie najbliższych. To po prostu kwestia sumienia - odpowiedział Vince.

- Jak wiele innych rzeczy w naszym życiu - przytaknął ksiądz. - Codziennie mijam staruszkę grzebiącą w śmietnikach. I codziennie daję jej pieniądze. Ale ile tak właściwie powinienem jej dać? Tyle, żeby starczyło jej na chleb? Na mięso? Na kolację w dobrej restauracji? Ja sam uwielbiam posiłki w restauracjach. Czy powinienem oddać jej pieniądze, które przeznaczyłbym najedzenie tam?

Dyskusja toczyła się jeszcze przez parę minut, dopóki ojciec Fischer nie zakończył spotkania krótką modlitwą. Vince był już przy drzwiach, kiedy ksiądz przywołał go z powrotem do siebie.

- Vince, możesz poświęcić mi chwilę?

Ojciec Fischer miał wiele szacunku dla tego młodego mężczyzny. Był dobrym dzieciakiem, zawsze skorym do pomocy, kiedy trzeba było załatwić sprawunki starszym osobom. Wysoki i chudy, o potarganych blond włosach opadających na czoło i na grube okulary w ciemnych oprawkach, czasami sprawiał wrażenie rozkojarzonego, dziś w

szczegółności. Ksiądz wiedział, że jest on osobą o wnikliwym umyśle i mocnym kręgosłupie moralnym.

- Chodź, usiądź na chwilę - poprosił, wskazując Vince'owi długą drewnianą ławę - Czy coś cię trapi, mój synu?

Vince przyglądał się witrażowi, na którym Jezus karmił ludzi cudownie rozmnożonym chlebem i rybami. Przez chwilę milczał. Ksiądz czekał cierpliwie.

- Ojciec, gdyby wiedział ojciec, że w jego pracy dzieją się złe rzeczy, rzeczy, które najprawdopodobniej spowodują cierpienia wielu niewinnych ludzi, czy czułby się ojciec w obowiązku coś z tym zrobić? Szczególnie w sytuacji, kiedy miałby ojciec inne osoby na utrzymaniu, a wyjawienie tej sprawy wiązałoby się z utratą pracy. Czy lepiej skoncentrować się na własnych zadaniach i obowiązkach i zapomnieć o tym wszystkim, co się wie, a czego nie powinno się wiedzieć?

Ojciec Fischer popatrzył na niego ze współczuciem.

- Myślę, że lepiej będzie, jak porozmawiamy w moim gabinecie.

\* \* \*

Alex podskoczył, wyrwany ze snu, kiedy pociąg zatrzymał się gwałtownie na granicy. Zarówno Węgry, jak i Słowacja należały do strefy Schengen, teoretycznie więc nie powinno być żadnych kontroli granicznych. Minęła ich rzeźąca stara łąka, wypuszczając ciemne kłęby dymu. Młoda chuda Cyganka, na której twarzy widać już było zmarszczki, chodziła wzdłuż wagonów, oferując napoje i przekąski. Alex wychylił się przez okno i kupił od niej dwie puszkę coli i kanapki z serem, dla siebie i dla Nataszy. Odwinęli folie i zaczęli jeść.

Drzwi przedziału otworzyły się z hukiem.

- Pasporty! - zażądał gruby strażnik, wchodząc do pomieszczenia.

Prowadził na smyczy owczarka alzackiego. U jego pasa wisały kajdanki, pistolet w skórzanej kaburze, policyjna pałka i gaz pieprzowy. Alex odłożył kanapkę i wręczył mu swój paszport. Strażnik kartkował dokument powoli i uważnie, sprawdzając każdą stronę. Kilkakrotnie spoglądał to na Alexa, to na jego zdjęcie. Wstukał numer paszportu do palmtopa, który trzymał w ręku. Po kilku sekundach coś pojawiło się na ekranie.

- Alex, Alex - powtórzył strażnik do krótkofalówki - A-l-e-x-a-n-d-e-r - literował powoli - F-a-r-k-a-s. *Ano, ano*, tak, tak.

Owczarek warknął. Strażnik zwrócił się do Alexa.

- Proszę otworzyć torbę.

Strażnik przetrząsnął torbę, rozkładał każdą koszulkę, otworzył kosmetyczkę.

- Jaki jest cel państwa wizyty? - spytał.

- Turystyczny - odpowiedział Alex.

Zasada numer jeden każdego dobrego kłamcy: nigdy za dużo nie wyjaśniaj.

Strażnik pokręcił głową z powątpiewaniem. Trzymając wciąż paszport Alexa, podszedł do Nataszy, która jadła kanapkę i czytała „Magyar Tribün”. Podniosła wzrok, podała swój węgierski paszport i wróciła do lektury. Mundurowy otworzył dokument na stronie z danymi i przeliterował jej nazwisko do krótkofalówki. Spośród trzasków dało się po chwili słyszeć niezbyt wyraźnie kilka słów po słowacku. Natasza odłożyła gazetę. Strażnik przyglądał jej się natarczywie, jakby była niewolnicą wystawioną na sprzedaż na targu. Zaczął teraz wypakowywać jej rzeczy, uważnie oglądając z każdej strony jej różowe jedwabne figi. Wziął jej biustonosz, podniósł do góry i kręcił nim na palcu.

- Idealny kolor dla ciebie. Może sprawdzisz, czy ci pasują? - spytała Natasza kąpiącym tonem.

- Zobaczymy, czy za parę minut nadal będzie ci do śmiechu. - Wycedził strażnik przez zaciśnięte zęby.

Owczarek zaczął szczekać i szarpać się na smyczy.  
Alex wstał i zrobił krok naprzód. Serce waliło mu jak oszalałe.

\* \* \*

*Siedzi w samochodzie ze swoim tłumaczem, czekając na punkcie kontrolnym tuż za chorwacką granicą, niedaleko Banja Luki, epicentrum serbskich czystek etnicznych. Jest upalny letni dzień. Widzi grupę muzułmańskich uchodźców opuszczających miasto. Wędrują powoli w stronę barykad. Czuje w powietrzu zapach kordy tu, słyszy serie z karabinów maszynowych gdzieś niedaleko. Uchodźcy to w ogromnej większości kobiety - niektóre tak stare, że ledwo mogą się ruszać - oraz dzieci. Kobiety mają na głowach kolorowe chusty. Niektóre niosą jakieś resztki swojego dobytku w plastikowych torbach. Inne trzymają na rękach małe dzieci. Te starsze poplakują ze zmęczenia, próbując dotrzymać kroku młodszym kobietom. Gdzie się podzieli wszyscy mężczyźni? Opowieści kobiet są chaotyczne i niespójne. Po przekroczeniu granicy cały dotychczasowy horror zmienia się w jedną wielką płataninę nazwisk, miejsc i wydarzeń. Jednak każda z kobiet opowiada o egzekucjach, o mężach, których zabierano w środku nocy. O błagalnych krzykach. O sąsiadach, którzy wskazywali ich domy serbskim żołnierzom. Byli to ci sami sąsiedzi, których zapraszali na wesela i uroczystości rodzinne.*

*Kątem oka dostrzega żołnierza, bośniackiego Serba. Jest pijany, chwiejnym krokiem podchodzi do przerażonych ludzi. Młoda kobieta jest zaledwie kilka kroków od ziemi niczyjej, od azylu. Alex zaklina ją w myślach, aby przyspieszyła kroku. Żołnierz chwytając za ramię, zrywa chustę z jej głowy. Kobieta okryła się właśnie po to, aby uczynić swoją urodę niewidoczną. Żołnierz gapi się na piękne rysy jej twarzy i ciemne włosy. Wybucho obrzydliwym śmiechem i chwytając ją za włosy. Jej matka zawodzi i szlocha. Alex patrzy, jak młoda kobieta modli się. Jej wargi poruszają się szybko, kiedy żołnierz ciągnie ją za sobą w kierunku lasu.*

\* \* \*

- Wystarczy - powiedział Alex. Podszedł do strażnika i zabrał dyndającą na jego palcu bieliznę. Strażnik był zbyt zaskoczony, aby zareagować w jakikolwiek sposób. Alex zaczął zbierać ubrania Nataszy i pakować je z powrotem do jej torby. Natasza przyglądała się wszystkiemu w milczeniu. Strażnik sięgał już po kajdanki i miotacz pieprzu, kiedy Alex przemówił po raz kolejny:

- Jesteśmy na granicy dwóch państw członkowskich Unii Europejskiej. Swoboda podróży jest zagwarantowana w umowach, które podpisała Słowacja. Albo więc aresztuje nas pan w tej chwili - w takim wypadku musi pan poinformować o tym nasze ambasady - albo pozwoli nam pan podróżować dalej. Zaznaczam od razu, że wiele osób wie o tym, że mieliśmy dziś przekraczać tutaj granicę, więc jeśli nie dojedziemy o czasie, rozpoczną się poszukiwania. Decyzja należy do pana. Jeśli zamierza pan nadal nas upokarzać, chciałbym od razu poinformować, że złożę na pana skargę. Powiadomię zarówno brytyjską, jak i węgierską ambasadę, a także międzynarodowe media. Nie omieszkać wymienić pana nazwiska - mówiąc to, zerknął na plaketkę przyczepioną do munduru strażnika - panie Pucak.

Mężczyzna gapił się na Alexa przez kilka sekund. Jego dłoń wciąż lawirowała niebezpiecznie blisko pojemnika z gazem pieprzowym. W końcu chrząknął i oddał im paszporty.

- Udanego urlopu. - Uśmiechnął się ironicznie i opuścił przedział.  
Alex oddał Nataszy jej biustonosz.

- Dzięki - odpowiedziała, przyglądając mu się przez chwilę z zainteresowaniem, a potem odwróciła wzrok i spakowała swoją torbę.

Alex usiadł. Zamknął oczy, mocno zaciskając powieki, Dłonie schował pod nogami, tak, żeby nie widziała, jak bardzo się trzęsą.

## Rozdział 11

Vince Szatmari pojawił się przed budynkiem „Budapest News” w poniedziałek w porze lunchu. Poprzedniego dnia, po mszy, długo jeszcze rozmawiał z ojcem Fischerem o raporcie, opatrzonym napisem „Tajne”, który znalazł przypadkowo w jednej z kabin toalety Narodowego Banku Węgier. Pewnie zwróciłby dokument do recepcji, ale na pierwszej stronie zobaczył nazwisko „Ignac Akardy”, więc zaczął czytać. Im dłużej czytał, tym większe odczuwał zaniepokojenie. Akardy był szefem Vince’a. Nadęty grubas, przejawiający zamiłowanie do drogich złotych zegarków, dwukrotnie rzucał Vince’owi niezbyt zawołowane uwagi dotyczące zakupu akcji. W innych krajach działalność taka zostałaby uznana za „insider trading”. Vince nie reagował na nie, ale obserwował potem skoki cenowe po licznych inwestycjach dokonywanych przez konsorcjum szwajcarskich banków.

Nie dlatego jednak chciał rozmawiać z dziennikarzami „Budapest News”. Nie miał zaufania do węgierskiej prasy, ale zagraniczni dziennikarze wydawali się rzetelni i obiektywni. Akardy zakazał czytania „Budapest News” w biurze po serii artykułów na temat korupcji w węgierskich bankach.

Vince podszedł do drzwi wejściowych wielkiego budynku naprzeciwko stacji Nyugati. Redakcja gazety mieściła się na piątym piętrze. Jak mówiło się po angielsku na to, co miał właśnie zamiar zrobić? Coś z gwizdaniem? Whistleblowing<sup>4</sup>. Właśnie. Nacisnął guzik domofonu.

- Dzień dobry, nazywam się Vince Szatmari i chciałbym dmuchnąć w gwizdek - ledwie usłyszał siebie wypowiadającego te słowa, niemal jęknął z niezadowolenia. Węgrzy zawsze przedstawiają się z imienia i nazwiska, jednak tym razem był to z jego strony błąd. Na dodatek nie czuł się zbyt pewnie, mówiąc po angielsku. Wszystko zabrzmiało zupełnie nie tak, jak chciał.

Z głośnika domofonu dobiegł kobiecy głos:

- Czy szuka pan sklepu sportowego? Jest tuż za rogiem.

- Nie, nie, źle mnie pani zrozumiała. Nie chcę kupować gwizdka, chcę dmuchnąć w gwizdek.

- Zadzwoił pan do redakcji gazety. Nie sprzedajemy gwizdków - odpowiedziała kobieta i się rozłączyła. Zniechęcony Vince odwrócił się na pięcie i odszedł.

\* \* \*

Pociąg Alexa i Nataszy powoli wtaczał się na stację w Koszycach. Na jednym z murów stacji widniało hasło „Duszan Hrkna: Król Słowacji” wypisane wielkimi literami. Trzech potężnych mężczyzn stało na peronie. W rękach mieli krótkofalówki. Komórka Alexa zapiszczała dwukrotnie. Spojrzał na ekran - pusty SMS z nieznanego numeru. Po chwili przyszła kolejna pusta wiadomość. Alex błyskawicznie zasunął zasłonki i chwycił swoją

---

<sup>4</sup> Whistleblowing (dosł. „dmuchanie w gwizdek”) to ujawnienie przez członka organizacji (byłego lub obecnego) nielegalnych, niemoralnych lub bezprawnych praktyk stosowanych za wiedzą przełożonych. Chodzi o poinformowanie osób lub organizacji, które mają władzę umożliwiającą wpłynięcie na postępowanie krytykowanych osób lub organizacji. Pojęcie zdefiniowane przez Miceli i Near (przyp. tłum.)

torbę, nakazując gestem Nataszy, aby ruszyła za nim. Wyszli z przedziału i ruszyli biegiem na koniec wagonu i dalej, aż na koniec pociągu. Kiedy tylko skład się zatrzymał, wyskoczyli z niego i ruszyli pędem przez tory, aż dobiegli do betonowego muru. Wąskie strome schody ciągnące się wzdłuż ściany dwadzieścia metrów w górę prowadziły do ruchliwej autostrady. U szczytu schodów stał zardzewiały pięćdziesięciolitrowy pojemnik wypełniony olejem silnikowym. Alex obrócił się i dostrzegł, że trzech mężczyzn z peronu biegną teraz w ich kierunku, krzycząc coś do krótkofalówek.

- Chodź, szybko. Tędy! - krzyknął Alex do Nataszy i ruszył tuż za nią po stromych schodach.

Natasza potknęła się na uszkodzonym stopniu, szybko jednak odzyskała równowagę. Po chwili stali już na górze, ciężko dysząc. Samochody pędziły autostradą, wymijając się i trąbiąc. Alex spojrzał w dół. Trzech mężczyzn było zaledwie sto metrów od ogrodzenia. Rozejrzał się uważnie, jednak w pobliżu nie dostrzegł szarego volkswagena golfa.

- Pomóż mi z tym - powiedział, wskazując na pojemnik z olejem.

Przetoczyli go do szczytu schodów. Alex podważył wieko za pomocą monety. Jeden ze ścigających wbiegał już po schodach. Natasza przytrzymała pojemnik, podczas gdy Alex powoli go przechylał. Gęsta, obrzydliwa maź spłynęła w dół schodów, oblewając mężczyznę w skórzanej kurtce, moczając jego buty oraz spodnie. Zaklął głośno, po czym wywinął orla na śliskiej powierzchni. Krótkofalówka wyśliznęła mu się z ręki. Alex jeszcze bardziej przechylił pojemnik, pozwalając olejowi wylać się do końca, po czym rozejrzał się niespokojnie - gdzie ona, do cholery, jest?

Natasza zaśmiewała się do rozpuku. Pozostałych dwóch agentów dotarło wreszcie do schodów. Gapili się teraz, wściekli, na Nataszę i Alexa. Jeden z nich próbował jeszcze wdrapać się po murze, w bezpiecznej odległości od kałuży oleju, jednak niemal od razu spadł na dół i zrezygnował z dalszych prób. Wyciągnął telefon komórkowy, wystukał numer i po chwili warczał coś do słuchawki.

- Jak myślisz, kiedy pojawi się twoja znajoma? - spytała Natasza spokojnym tonem, zupełnie jakby chciała się dowiedzieć, kiedy odjeżdża następny autobus.

Rozklekotany volkswagen zatrzymał się przy nich z piskiem opon. Alex otworzył drzwi samochodu i wepchnął Nataszę na tylne siedzenie. Sam zajął fotel obok kierowcy. Swietłana Todorowa wrzuciła pierwszy bieg i wbiła się między pędzące samochody, wywołując kakofonię klaksonów.

- A zatem dostałeś moje wiadomości. Postawiliśmy pojemnik z olejem dziś rano. To jedyne poza zwykłym Wyjście ze stacji. Proszę, wytrzyjcie ręce - to mówiąc, podała Alexowi paczkę chusteczek. - Okazało się, że służba bezpieczeństwa dowiedziała się o waszym przyjeździe. Każdy, kto pyta o Novy Marek, automatycznie trafia na listę obserwowanych.

Swietłana była gadatliwą, energiczną trzydziestoparolatką o dużych brązowych oczach. Długie kręcone włosy w kolorze ciemnorudym okalały okrągłą, inteligentną twarz. Miała na sobie luźną niebieską spódnicę, brązową workowatą bluzę i czarną kurtkę z materiału imitującego skórę. Paradoksalnie ten niedopasowany strój świadczył o tym, że wiceprzewodnicząca Ruchu na rzecz Praw Romów jest kobietą, która dokładnie wie, czego chce.

- Witamy w Koszycach - powiedziała Swietłana, przyglądając się Nataszy we wstecznym lusterku.

- *Dakujem*, dziękuję - odpowiedziała Natasza po słowacku, ku wyraźnej uciechu Swietłany. Obie natychmiast przeszły na słowacki i już po chwili gawędziły jak stare znajome. Swietłana zwolniła trochę, kiedy wjechali na teren przyjemnego, koszyckiego Starego Miasta. Duch dynastii Habsburgów i dawnego imperium wciąż unosił się w powietrzu - imponująca katedra, budynek opery, ogrody publiczne. Secesyjna główna ulica pełna była kawiarnianych ogródków.

- Ładnie to wszystko wygląda, prawda? - zagadnęła Swietłana. Po chwili ciągnęła dalej, nie czekając na odpowiedź. - To tylko złudzenie. Romowie mają zakaz mieszkania tutaj. Nie mają nawet prawa wybrać się do jednej z tych kawiarni, pod groźbą aresztu, pobicia albo jednego i drugiego naraz. Wszyscy Romowie zostali przeniesieni do Lunik IX, getta na obrzeżach miasta. Bloki te zbudowano za czasów komunistycznych i były przeznaczone dla pracowników ówczesnej milicji i wojska. Teraz jednak władze miasta zrobiły z tego osiedla miejsce zsyłki. Według naszych szacunków około dziesięciu tysięcy ludzi tłoczy się w pomieszczeniach przeznaczonych dla czterokrotnie mniejszej liczby osób. Bezrobocie w tym rejonie sięga stu procent. W dodatku władze odcięły prąd i gaz, wszyscy więc podkradają energię.

Swietłana nacisnęła pedał gazu, wjeżdżając na wiadukt prowadzący poza granice miasta. Znaki drogowe informowały, że kierują się na wschód, w stronę granicy z Ukrainą. Minęli opuszczone fabryki i opustoszałe, częściowo zdemolowane budynki przemysłowe, aż wreszcie zatrzymali się na początku osiedla betonowych kilkunastopiętrowych bloków.

- Teraz sami możecie obejrzeć to, o czym mówiłam. Witajcie w Lunik IX.

Na ulicy stały grupki mężczyzn. Palili papierosy i przyglądali się podejrzliwie nowo przybyłym wysiadającym z samochodu. Pozbawione różnych części samochody stopniowo pokrywały się rdzą. Części silników były porzucane na chodnikach między blokami. Dzieci ganiały się wokół stosów palących się śmieci. Wiele okien nie miało szyb. „Lunik IX wygląda prawie jak Sarajewo, tylko bez śladów po bombardowaniach” - pomyślał Alex.

- Policja nas nie odwiedza, więc jesteście tu bezpieczni. A nawet gdyby się tutaj pojawili, wiele nie zdziałają. Przynajmniej dopóki jest tu Maria - wyjaśniła Swietłana, wysiadając. Kilkoro dzieci niemal natychmiast rzuciło się w jej stronę, wykrzykując jej imię. Wzięła na ręce dwie małe dziewczynki i ruszyła do drzwi wejściowych najbliższego bloku.

Rozentuzjasmowane dzieci ruszyły za nią, rozmawiając między sobą. Przed budynek wyszła pulchna matrona o ciemnej karnacji, ubrana w kwiecistą sukienkę i akrylową bluzę dresową. Wyściskała Swietlanę i zaprosiła do środka całą trójkę. Krzesła i kanapa wyglądały na przyniesione z wysypiska śmieci, a w kącie stał zepsuty telewizor. Jednak mimo rzucającej się w oczy nędzy, w mieszkaniu było przytulnie i czysto. Dzieciaki weszły do środka razem z nimi, wydając okrzyki zachwytu na widok słodczy, które przywiozła im Swietłana.

Chłopiec, na oko siedmioletni, podszedł do Nataszy i pociągnął ją za włosy, po czym wdrapał się jej na kolana. Maria podeszła, aby go przegonić, jednak Natasza zaprotestowała. Zadowolony z takiego obrotu sprawy chłopczyk szepnął jej coś na ucho, na co ona odpowiedziała mu w języku, którego Alex nie był w stanie rozpoznać. Chłopiec zachichotał radośnie.

- W jakim języku rozmawialiście? - zapytał Alex Nataszę, podczas gdy Maria stawiała przed nimi tacę z filiżankami napełnionymi kawą.

- To dialekt Lowarów, romskiej grupy etnicznej - wyjaśniła za nią Swietłana. Na jej twarzy widać było zaskoczenie. Spojrzała na Alexa. - Wybrałeś sobie odpowiednią towarzyszkę.

\* \* \*

Vince Szatmari stał przed budynkiem redakcji „Budapest News”, obserwując tłumy przechodniów znikających w podziemiach Nyugati. Była szósta po południu, a on postanowił raz jeszcze spróbować dostać się do redakcji. Już miał nacisnąć guzik domofonu, kiedy drzwi się otworzyły i z budynku wyszły dwie sekretarki, pogrążone w rozmowie. Vince przytrzymał im drzwi i życzył miłego dnia, po czym wśliznął się do hallu i wjechał windą na piąte piętro. W recepcji siedziała wyraźnie znudzona młoda kobieta o czarnych farbowanych włosach i jak najęta trajkotała przez swój telefon komórkowy. Obrzuciła krótkim spojrzeniem nowo

przybyłego, odwróciła się i gadała dalej. Czekał kilka minut, a w jego głowie pojawiało się coraz więcej wątpliwości.

- Przepraszam bardzo. - Pochylił się ku recepcjonistce i nagle na widok jej imponującego dekoltu stracił rezon.

- Chwileczkę, jestem zajęta - odpowiedziała.

- Proszę pani, mój czas również jest cenny. Mam pewne ważne informacje, które mogą zainteresować redaktora naczelnego. Myślę, że bardzo go zaciekawi to, co mam do powiedzenia.

Dziewczyna westchnęła i odłożyła komórkę.

- Kogo mam zapowiedzieć?

- Na tym etapie nie chciałbym jeszcze zdradzać swojego nazwiska.

- To jak mam mu powiedzieć, kto chce się z nim spotkać, skoro nie powie mi pan, jak się nazywa?

- Proszę pani, czy nie mógłbym po prostu z nim porozmawiać? - spytał zirytowany.

- Redakcja jest już zamknięta - stwierdziła. - Nikogo już nie ma. Proszę przyjść jutro.

„Cóż, przynajmniej próbowałem” - pomyślał Vince. Skąd ci dziennikarze czerpali informacje, skoro recepcjonistka nie dopuszczała do nich nikogo? Ruszał już w stronę wyjścia, kiedy usłyszał głęboki, donośny głos:

- Chciałeś się ze mną widzieć, młody człowieku?

Szatmari odwrócił się i zobaczył potężnego Anglika idącego powoli w jego kierunku.

- Jestem Ronald Worthington. Zapraszam do mojego biura.

\* \* \*

Mike Jakub, zgarbiony, niemal zupełnie łysy mężczyzna o dużych brązowych oczach i haczykowatym nosie, prowadził samochód równie szybko, jak mówił. Był Romem, szefem Ruchu na rzecz Praw Romów i należał do tej niewielkiej grupy szczęśliwców, która zdobyła wykształcenie uniwersyteckie, co dla niego oznaczało również międzynarodowe stypendia i granty. Obecnie Mike był częstym gościem w najróżniejszych programach radiowych i telewizyjnych i zyskał wręcz status koszyckiego celebryty, niepopularnego jednak wśród policji i słowackich nacjonalistów. On sam twierdził, że jego sława jest najlepszą ochroną przed policją i nagabywaczami - starał się, aby jego nazwisko często pojawiało się w mediach. Miał żonę i rocznego synka. Niedawno zaproponowano mu kandydowanie do Parlamentu Europejskiego z ramienia Socjaldemokratów - ciągle rozważał tę ofertę;

Mex patrzył przez okno w ciemną noc. Była dziesiąta wieczorem. Ich czwórka pędziła wreszcie autostradą w kierunku wsi Novy Marek. Alex siedział teraz z tyłu, koło Nataszy. Całe popołudnie spędzili w Lunik IX, czekając na Mike'a, bawiąc się z tamtejszymi dziećmi i dzieląc z nimi skromnym posiłkiem, składającym się z chleba i dżemu. Jak się dowiedzieli, mąż Marii, Jozi, siedział w więzieniu, ona jednak odrzucała wszelką pomoc finansową. Mimo to przed wyjściem Alex zostawił jej ukradkiem na stole sto euro.

Droga, którą jechali, była niemal zupełnie pusta. W oddali majaczyły pojedyncze światła domów stojących na okolicznych wzgórzach.

- Jak zamierzacie się dostać do wsi, skoro odcięto ją od świata? - spytał Alex.

- O nic się nie martw - uspokoił go Mike. - Byłeś już kiedyś w cygańskiej osadzie? Coś niesamowitego, że takie rzeczy dzieją się w Europie, w dwudziestym pierwszym wieku. Przypomina to raczej Indie. Nie mam tu na myśli, że Indie są złe, w końcu w pewnym sensie są naszą ojczyzną. Neonaziści od dawna powtarzają nam, że powinniśmy tam wrócić. Niedawno próbowano nas nawet podpalić - opowiadał, wyprzedzając starego wartburga. - Idioci, nie wiedzieli tylko, że mamy metalowe drzwi. Jeden z nich rzucił w nie koktajlem Mołotowa - butelka odbiła się w jego stronę, wybuchła i podpaliła mu spodnie. Chłopak miał



dopiero dwanaście lat, więc sędzia uznał, że jest zbyt młody, aby go ukarać. Nie poniósł żadnych konsekwencji. Wszedł już ze szpitala, wraca do zdrowia w domu. Widziałem go nawet wczoraj. Uniósł rękę w nazistowskim pozdrowieniu, więc zakładam, że już lepiej się czuje.

W ciemności mignęło światło latarki. Na poboczu stał policjant i machał do nich, aby się zatrzymali. Mike posłusznie zjechał z drogi. Alex poczuł, że żołądek ściska mu się z nerwów. Po incydencie w Koszycach na pewno rozesłano o nich informację. Do wszystkich jednostek.

- To nic wielkiego - uspokoił ich Mike. - Po prostu sprawdzają, czy mam wykupioną winietę na jazdę autostradą.

- A masz?

- Tak, na 2006 rok.

Policjant okazał się policjantką, pulchną brunetką w puchowej kurtce, wysokich butach i w rękawiczkach. Funkcjonariuszka sprawdziła winietę przyklejoną do przedniej szyby samochodu, po czym zaświeciła latarką do wnętrza samochodu, pilnie przypatrując się twarzom całej czwórki. W zimowym powietrzu jej oddech materializował się w postaci kłębow pary. Jakies auto minęło ich na przeciwległym pasie i zniknęło w ciemności.

- Wie pan zapewne, że ta nalepka już dawno jest nieważna - powiedziała, pukając w szybę. - Jazda autostradą bez odpowiedniej winiety jest wykroczeniem. Poproszę o kartę wozu i państwa dokumenty potwierdzające tożsamość.

Wszyscy podali swoje paszporty Mike'owi, a on wręczył je policjantce. Policyjne radio zaskrzypiało nagle i po chwili dało się słyszeć dochodzący z niego przytłumiony głos. Alex odniósł przez chwilę wrażenie, że w potoku słowackich słów słyszy nazwiska: swoje i Nataszy. Spojrzał na Nataszę, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Swietłana obgryzała paznokcie. Mike wyglądał na zupełnie spokojnego.

Policjantka obejrzała uważnie ich dokumenty, porównując ich twarze z tymi na paszportowych zdjęciach. Serce Alexa waliło jak oszalałe.

- Alexander Farkas, Natasza Hatvani, Swietłana Todorowa i Michaił Jakub. Dwoje Słowaków, Anglik z węgierskim nazwiskiem i Węgierka z rosyjskim nazwiskiem. Może jednak powinnam sprawdzić was w centrali. Polecono nam, aby w tym rejonie zwracać szczególną uwagę na podejrzanych obcokrajowców. Dokąd się wybieracie o tej porze?

- Na przejażdżkę - wyjaśnił Mike. - Pokazuję moim przyjaciołom uroki Słowacji.

- Doprawdy? - zdziwiła się policjantka. - To szalenie miłe z pana strony. Słowacja jest rzeczywiście przepięknym krajem, wydaje mi się jednak, że trudno w pełni doceniać jej uroki po ciemku. Widziałam pana w telewizji, panie Jakub. Nie jest pan zbyt lubiany wśród moich kolegów z pracy.

- Przykro mi to słyszeć, szanowna pani - odpowiedział Mike. - Ale może słyszała pani to stare tureckie przysłowie?

- Nie, ale pewnie zaraz je usłyszę - odpowiedziała policjantka.

- Tego, który mówił prawdę, wygnano z dziewięciu wiosek.

Policjantka wybuchła głośnym śmiechem.

- Nawet ze wsi Novy Marek. Na autostradzie jest dziś mnóstwo patroli policji, szczególnie w okolicach głównych rozgałęzień. Nie mamy jednak wystarczającej liczby ludzi, aby obserwować te mniejsze, boczne drogi.

- Dziękujemy za pomoc, szanowna pani - odpowiedział szarmancko Mike.

- Nie ze wszystkimi pana poglądami się zgadzam, panie Jakub - oznajmiła policjantka, kręcąc głową. - Ale ktoś musi mówić głośno o pewnych sprawach. - Zwróciła im paszporty i kazała jechać dalej.

Poszli za jej radą i zjechali z autostrady na wąską asfaltową drogę, która niebawem zmieniła się w błotnistą dróżkę, ciągnącą się przez kilka kilometrów. Z trudem udało im się wyprzedzić na niej dwójkę wieśniaków, którzy jechali wozem ciągniętym przez konia.

Jedynie światła majaczące w odległości kilometra od nich świadczyły o tym, że ten rejon jest przez kogokolwiek zamieszkały.

- Romowie w wiosce Novy Marek żyją na wyspie. Osada jest podzielona na dwie części - wyjaśniła Swietłana, pokazując niedbale narysowaną mapę. - Słowacy mieszkają na wzgórzu. Ta część wygląda normalnie. Duże ładne domy, ogródki. Rzeka, a właściwie strumień, płynie wokół wzniesienia i rozgałęzia się, okalając tym samym ten fragment ziemi, na którym znajduje się romska osada. Apartheid działa tu na bardzo prostej zasadzie. Lokalne władze odmawiają Romom meldunku, co oznacza, że nie mogą oni kupić ziemi, aby wybudować na niej porządny dom. Co za tym idzie, nie mogą składać podań o zainstalowanie prądu, bieżącej wody czy kanalizacji, bo przecież w świetle prawa nie może ich tutaj być. Mieszkają więc na tej wyspie, pozostawieni sami sobie, budują domy i kopia latryny. Sami zresztą zobaczycie. Dalej nie możemy jechać, ten kawałek będziemy musieli przejść pieszo, przez las, aż do tej wyspy.

- A co z tutejszą policją? - zapytał Alex.

Mike spojrzął na zegarek.

- Już prawie północ. Romowie wiedzą, że przyjeżdżacie. Policjanci na nocnej zmianie to lokalne chłopaki. Moi ludzie przez ostatnie dwie godziny wlewali w nich domowej roboty brandy.

\* \* \*

„Oto cygańska Madonna, namalowana pędzlem Tycjana i oświetlona blaskiem świec” - pomyślał Alex, kiedy ujrzał przed sobą piękną dziewczynę. Miała ciemne, długie włosy do pasa, piękny owal twarzy, a jej czarne oczy lśniły w blasku świec. W jej ramionach zapadał właśnie w sen Mario, jej maty synek. Obskurne otoczenie tylko podkreślało jej niezwykłą urodę. Nazywała się Teresa Sandori i miała siedemnaście lat.

Alex i reszta dotarli do nich po dwudziestominutowym marszu przez las. Tak jak przewidział Mike, dwaj policjanci pogrążeni byli w głębokim śnie. Bez problemu minęli ich radiowóz. Dom Teresy był właściwie budą, jednym pomieszczeniem, niewiele większym od więziennej celi. Kiedy Alex stał wyprostowany, jego głowa dotykała sufitu. Teresa i jej mąż Virgil zbudowali swój dom z błota, wikliny i gliny, spojonych gdzieś tam plamami cementu. Wiatr świszczwał w dziurawych ścianach. Brakowało bieżącej wody i ogrzewania. Za całe umeblowanie służyło im jedno krzesło i dwa własnoręcznie przez nich zrobione łóżka - materace ułożone na drewnianych paletach. Toaletę stanowił dół, wykopany kilka metrów dalej, osłonięty ściankami z połamanych desek. Wodę brali ze strumienia okalającego wyspę.

Alex przypomniał sobie raport Unii Europejskiej poświęcony kwestii Romów na Słowacji. „Słowacja zrobiła olbrzymie postępy na polu integracji z mniejszością romską, choć wciąż jeszcze czeka ten kraj sporo pracy”. Ktokolwiek napisał ten raport, na pewno nigdy nie był w osadzie Novy Marek. W słabym świetle pochwyił spojrzenie Mike'a, siedzącego na łóżku obok Teresy i Virgila. Na ścianie nad nimi wisiał obrazek Jezusa oraz fotografia Nicole Kidman, wycięta z jakiegoś kolorowego magazynu. Jakub wyglądał na znużonego i przygnębionego. Jego wcześniejsza pewność siebie znikła bez śladu.

Teresa zaczęła opowiadać o tym, co działo się z nią w szpitalu po narodzinach dziecka.

- Niezbyt dobrze czytam po słowacku. Dlatego nie rozumiałam do końca, o co chodzi. Dopiero co urodziłam, kiedy pielęgniarka wcisnęła mi do ręki jakiś papier i krzyczała, abym go podpisała. Nie potrafię pisać, więc po prostu postawiłam tam krzyżyk.

- Jak myślisz, co było w tym dokumencie? - zapytała Natasza.

- Nie wiem. Wiem tylko, że teraz nie mogę już mieć więcej dzieci.

Teresa była trzecią kobietą, z którą rozmawiali. Wszystkie ich historie brzmiały podobnie. Wymuszenie podpisu niedługo po porodzie, seria zastrzyków i pigułek. Lekarze,

jak wyjaśniła Teresa, szczególnie pilnowali, aby tykała te pigułki. Kiedy skończyła opowiadać, zamrugła gwałtownie i otarła łzę, która wymknęła jej się spod powieki.

Virgil wyciągnął butelkę czerwonego Johnny'ego Walkera i postawił ją na stole wraz z kilkoma wyszczerbionymi filiżankami. Opiekuńczo objął Teresę ramieniem. Virgil był niski i umięśniony. Jego twarz o wystających kościach policzkowych okalała burza czarnych kręconych włosów. W jego oczach widać był dumę, gniew i żal.

- Biali ludzie powtarzają, że nie chcemy pracować. Ze jesteśmy leniwi i wolimy kraść. Tak, zdarzało mi się coś ukraść, to prawda. Ale kradłem jedzenie, dla mojej żony i dziecka. Chleb i mleko. Czuję wstyd, że jestem mężczyzną, który nie potrafi zapewnić godziwego życia swojej rodzinie, który musi brać jałmużnę, który nie może zapłacić za potrzebne do życia rzeczy.

Virgil snuł swoją opowieść i bez przerwy splatał nerwowo ręce. Spojrzał na swoją żonę, a ona zachęcająco pokiwała głową.

- Czy sądzicie, że my naprawdę chcemy tak żyć? I co mam zrobić z moją ukochaną, moją oblubienicą? Kto zaopiekuje się nami, kiedy będziemy już starzy? Mamy jednego syna, naszego Maria. A dla nas ogromnie ważne jest, aby mieć dużo dzieci. Ja sam mam czterech braci i trzy siostry. Me w naszej rodzinie nie będzie już więcej synów ani córek. Ponieważ zostanę z moją kochaną gołąbką - powiedział, czule gładząc włosy żony. Ona uśmiechnęła się, czując na sobie jego dotyk. - Zostanę, ponieważ kocham ją bardziej niż wszystkie dzieci, które moglibyśmy mieć, bardziej niż wszystkich synów i córki, których nie możemy mieć. Ci ludzie zrobili mojej żonie jakąś krzywdę - głos mu się załamał. W milczeniu rozlał whisky do filiżanek i rozdał je gościom, po czym pochylił się w stronę Mike'a i szepnął mu coś do ucha.

- Oczywiście, że możesz - powiedział Mike. - Przecież to twój dom.

Virgil sięgnął po swoje skrzypce leżące na półce.

- Chciałbym zagrać dla was pieśń miłosną. Cygańską.

Pojedynczy akord wypełnił całe pomieszczenie, na przemian wznosząc się i opadając. Oczy Virgila były zamknięte. Smyczek w jego dłoni na zmianę czule gładził i atakował struny instrumentu. Melodia, którą grał, była melodią tęsknoty i przejmującej, przekłetej miłości. Alex czuł, że jest to najbardziej poruszająca muzyka, jaką kiedykolwiek słyszał. Czuł dreszcze biegnące w dół karku, gęsia skórka pokryła jego ręce.

Teresa śpiewała delikatnym głosem, wtórując muzyce męża. Mario kręcił się w jej objęciach, wtulając się coraz bardziej w jej szyję. Ogień świecy migotał i drżał. Natasza przyłączyła się do śpiewu przy drugiej zwrotce. Dwie kobiety śpiewały jedną zwrotkę za drugą, a po skończeniu piosenki uściskały się serdecznie. Alex patrzył na Nataszę jak zahipnotyzowany. Jej oczy błyszczały w półmroku. Ona też patrzyła mu prosto w oczy, kiedy śpiewała, i w ogóle nie mrugała powiekami. Virgil pochylił się i chwycił rękę Alexa żelaznym uściskiem. Jego dłonie były szorstkie i zniszczone. Przemówił niskim, napiętym głosem:

- Musicie napisać o tym, co tu się dzieje, o tym, co robią nam, Romom. Niech cały świat się dowie. Oni nie chcą, żebyśmy się rozmnażali. Próbują skończyć to, co zaczął Hitler. Tyle tylko, że za pomocą pigułek, a nie komór gazowych.

To mówiąc Virgil schylił się i wyciągnął spod łóżka dwa pudełka po lekarstwach. W każdym były dwa puste opakowania z nadrukowaną nazwą leku: „Czigex”. Alex obejrzał je uważnie. Wewnątrz każdego z nich znajdował się ledwie widoczny napis: „Birkauchen Pharma”. Odłożył pudełko na stół i wyjął aparat cyfrowy.

- Czy mogę zrobić wam kilka zdjęć? - zapytał Virgila. Ten uśmiechnął się tylko i ciałniej przytulił do siebie Teresę i syna. Alex odsunął się o kilka kroków i zaczął pstrykać, starannie dobierając ujęcia.

Nagle drzwi chatki otworzyły się gwałtownie, a do pomieszczenia wtoczył się gruby mężczyzna. Nocne, zimne powietrze momentalnie wypełniło cały pokój. Virgil i Teresa

wyglądali na wystraszonych i szybko podnieśli się ze swoich miejsc. Grubas jedną ręką poklepał Maria po małej buzi, a drugą zwinnie chwycił leżące na stole opakowania po Czigeksie. Mimo swojej tuszy, poruszał się z zaskakującą zwinnością.

- A co z resztą leków? - spytał.

- W rzece - odparł Virgil, wruszając ramionami.

Thusty mężczyzna usiadł ciężko na łóżku i zaczął podejrzliwie przyglądać się zebranych gościom. Miał na sobie fioletowo-biały dres, a jego szyję zdobiły dwa grube złote łańcuchy. W jego spoconej twarzy o ziemistym odcieniu tkwiły oczy z niemal różowymi białkami. Mały Mario obudził się i zaczął płakać.

- Nazywam się Mihaly Lataki - przedstawił się grubas - i jestem głową tego klanu.

Doszły mu słuchy, że mamy dzisiaj gości - to mówiąc, wziął do ręki butelkę z whisky, nalał sobie hojnie i wypił całą zawartość filiżanki jednym haustem, po czym rozsiadł się wygodnie i beknął z zadowoleniem. Zerknął na Todorową, od stóp do głów zmierzył wzrokiem Nataszę, zignorował Mike'a, długo gapił się na Alexa.

- Czego tu chcecie, *gadje*? - spytał, używając romskie-go słowa, oznaczającego nie-Cygana. Kiedy mówił, słychać było cichy świst, zupełnie jakby powietrze uciekało z niego przez jakiś mały otwór.

- Jesteśmy dziennikarzami - wyjaśnił Alex, wręczając mu swoją wizytówkę.

Lataki obejrzał kartonik (Alex zauważył, że trzyma go do góry nogami), schował do kieszeni, po czym zapalił papierosa.

- Znowu dziennikarze. Nachodzą nas w naszych domach, zadają pytania, w dzień i w nocy. Nie jesteśmy jakimiś zwierzętami w zoo. Może teraz ja pozadaję wam różne pytania? - Zwrócił się do Nataszy, wydmuchując w jej stronę kłęby dymu: - Czy jesteś mężatką? Ile masz dzieci?

- Nie twoja sprawa - odcięła się Natasza, machając dłonią, aby rozproszyć papierosowy dym. Mario zaczął kaszleć.

- Ależ jak najbardziej moja. Jesteś teraz w mojej wiosce, na moim terenie. Mój syn potrzebuje żony. Jesteś trochę za chuda, ale można coś na to zaradzić. A tradycją romską jest, że żona syna musi również dogadzać jego ojcu.

- Ach tak? A co to za tradycja? - zapytał Mike.

Lataki spojrzał na niego z pogardą.

- Nikt nie pytał cię o zdanie. Jesteś sprzymierzeńcem *gadje*. Chyba zawołam zaraz mojego syna - zdecydował, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej supernowoczesny telefon komórkowy.

- Zaraz, poczekaj chwilę - odezwał się Alex. - Prowadzimy dziennikarskie śledztwo. Chcemy ustalić, dlaczego kobiety w tym rejonie nie mogą mieć dzieci. Chcemy pomóc twoim ludziom.

Lataki zarechotał.

- Ale my nie potrzebujemy waszej pomocy. Dość już mamy reporterów. Mamy dość już tych wszystkich dobroczyńców, niszczących nasze tradycje i ogłupiających nasze kobiety - wskazał palcem na Virgila. - Spójrz tylko na niego, a będziesz wiedział, dlaczego jego żona nie może ponownie zajść w ciążę. Spłodził dopiero jednego syna, a całymi dniami jęczy i marudzi, jak mu ciężko. Może właśnie jest mu nie dość ciężko. Za dużo chłania, a za mało bara-bara - powiedział, ilustrując ostatnie słowa obscenicznym gestem. Po chwili ciągnął dalej: - Biedna Teresa. Będę musiał cię kiedyś odwiedzić - powiedział, klepiąc ją po plecach.

Jej twarz zastygła w przerażeniu, kiedy zjechał dłonią nieco niżej. Lataki machnął ręką na znak, że chce jeszcze whisky.

- I dajcie tu trochę więcej świec - dodał. - Nic tu nie widać.

Virgil przyniósł nowe opakowanie świec i ustawił kilka na stole, a następnie zapalił je drżącą ręką. Lataki wyjął znów telefon komórkowy i przez kilka chwil trzymał w ręku, po

czym odłożył go i sięgnął do swojej torby. Wyjął z niej rzeźbioną w drewnie figurkę Madonny i postawił na stole.

- Ręczna robota - wyjaśnił, siorbiąc whisky. - Dzieło naszych lokalnych artystów.

Alex wziął figurkę do ręki. Mimo prostoty miała w sobie pewien wdzięk, a nawet siłę.

- To nasi rzemieślnicy powinni być rozślawiani. To o nich moglibyście coś napisać - powiedział Lataki.

- Bardzo ładne - odpowiedział Alex spokojnym, neutralnym tonem, uważnie oglądając Madonnę.

- Dwieście euro. Okazja - rzucił Lataki.

Reszta obserwowała w milczeniu tę scenę. Alex westchnął.

- Niestety, zdaje mi się, że nie mamy przy sobie wystarczającej ilości gotówki, aby już dziś kupić tę figurkę. Może następnym razem - powiedział, odkładając statuetkę na stół.

Oczy Latakiego niebezpiecznie zabłyśły.

- To rzeczywiście straszny pech. W takim razie zaśpiewam dla was piosenkę, prawdziwą cygańską pieśń żałobną. Za darmo. Mówi się, że ta piosenka i umarłego by obudziła. A już ja śpiewam ją tak, że słyhać będzie mnie w całej okolicy.

Alex stłumił narastający w nim gniew. Nie mógł jednak nic zrobić. Mieli już nagrane wywiady, najważniejsze było teraz to, aby wydostać się stąd możliwie szybko i niepostrzeżenie. Sięgnął po portfel i wyjął z niego sto euro. Lataki obejrzał banknot pod światło. Zaciągnął się cygarem, a z jego nosa uleciały dwie małe smużki dymu.

- Dobry początek - powiedział, spoglądając wyczekująco na Alexa. Dopił swoją whisky, a opakowania po lekach zgniół w małą kulkę i wrzucił do pustej szklanki.

Alex podał mu kolejny banknot, po czym pokazał swój, pusty już, portfel. Lataki zapalił zapalkę. Wrzucił ją do szklanki. Podpalony plastik topił się i syczał, a po pokoju rozchodził się nieprzyjemny zapach.

Lataki otworzył drzwi i wrzucił szklankę do strumienia, który płynął obok domu.

- Żegnam, *gadje* - rzucił na odchodnym.

## Rozdział 12

Alex wypił duży łyk jamajskiej kawy Blue Mountain, licząc, że postawi go ona na nogi. Była środa, godzina piętnasta. Od pół godziny trwało nadzwyczajne zebranie redakcyjne. Alex, Ronald Worthington, Edina Draskowitz oraz George Smith, który ku zaskoczeniu wszystkich okazał się nowym zastępcą redaktora naczelnego, dopiero co oddelegowanym do nich z „Daily Sentinel”, omawiali właśnie informacje dostarczone przez Vince’a Szatmariego. Wydanie na najbliższy tydzień zostało już oddane do druku. Ronald postanowił, że tym razem wyślą materiał do drukarni dzień wcześniej, w związku z wywiadem Nataszy z Sanzlermannem. Alex przesłał już Davidowi Jonesowi jej tekst wraz z pełną transkrypcją wywiadu oraz z zastrzeżeniem, że dopóki całość nie ukaże się na stronie internetowej „Budapest News” w czwartkowy poranek, ani słowo z tego materiału nie może się nigdzie ukazać.

Alex z trudem stłumił ziewnięcie i próbował się skoncentrować. Podróż z wioski Novy Marek do domu minęła bez problemów. Mike przetransportował ich do rzadko uczęszczanego przejścia granicznego, które było praktycznie zamknięte po ósmej wieczorem. Wystarczyło, że podnieśli czerwony szlaban, przeszli pod nim i już byli na Węgrzech. Mike zawiózł ich do Miskolca, niewielkiego miasta na wschodzie kraju. Stamtąd złapali poranny pociąg do Budapesztu. Natasza przespała większość drogi, Alex jednak tylko drzemał, budząc się co chwilę. Ciągle miał przed oczami to, co zobaczył: nędzę w Lunik IX i w wiosce Novy Marek;

rodzinę Marii i gromadkę roześmianych dzieci; chatę Teresy i Virgila, w której nigdy już nie miało być więcej dzieci; spojrzenia Nataszy, kiedy śpiewała w duecie z Teresą. Dlaczego Lataki, wódz klanu, tak się dopytywał, czy aby na pewno wszystkie opakowania po Czigeksie zostały zniszczone?

Teraz obserwował z niesmakiem tęgiego Smitha. Został narzucony odgórnie - niespodziewany, niechciany prezent od londyńskiego kierownictwa „Sentinela”. Przyleciał tego ranka i zameldował się w apartamencie w Bristolu, najbardziej luksusowym hotelu w mieście. Smith był pulchnym, różowym mężczyzną około pięćdziesiątki. Nieustannie oblizywał usta i lekko sepleniał. Kręcone blond włosy, przyprószone gdzieś siwizną, i para małych niebieskich oczu o czujnym spojrzeniu. Wydawało się, że jest przyjacielsko nastawiony, jednak Alex znał go jeszcze z dawnych czasów i wiedział doskonale, że to tylko fasada skrywająca iście makiaweliczny charakter. Smith przez krótki czas pracował w dziale zagranicznym, kiedy Alex był w Bośni. Wysyłał go w najbardziej niebezpieczne miejsca, aby chwalić się potem na zebraniach redaktorskich, że wszystkie strategiczne miejsca ma obsadzone swoimi ludźmi. Największym ryzykiem, jakie podjął, było zawyżenie służbowych wydatków.

- Ten Szatmari nie wygląda mi wiarygodnie - stwierdził Smith. - Kiedy pracowałem w dziale gospodarczym w „Sentinelu”, nie do pomyslenia było, aby ktoś taki jak on przestąpił choćby próg redakcji. Że nie wspomnę już o półgodzinnej pogawędce z redaktorem naczelnym.

- Wydawało mi się, że byłeś redaktorem działu gospodarczego na nocnej zmianie - powiedział Alex.

- Decydowałem o tym, co ukaże się w dziale gospodarczym, kiedy wysyłano gazetę do druku, tak samo jak zwykły redaktor.

- Aha, no dobrze, rozumiem, o co ci chodzi. Ale jednak redagowałeś strony o gospodarce tylko w nocy - odparował Alex, starając się zachować poważny wyraz twarzy.

- Uwierz mi, to ja decydowałem... - zaczął Smith, pochylając się w stronę Alexa tak, że ten poczuł jego nieświeży, cuchnący wczorajszym winem oddech.

Ronald Worthington dwukrotnie zastukał w blat stołu.

- Alex, nie wydaje mi się, aby twoje podejście było produktywne. Wróćmy do Szatmariego. Chłopak pracuje w dziale prywatyzacji w Banku Centralnym. Twierdzi, że widział firmowe dokumenty, zawierające tajne wytyczne dotyczące przetargów. Według niego, każda oferta ma zostać odrzucona, rzekomo z przyczyn prawnych bądź formalnych, o ile nie zostanie zgłoszona przez jedną z firm widniejących na krótkiej tajnej liście. Pamiętacie, jak opozycja protestowała przeciwko wykupieniu przez KZX Industries firmy farmaceutycznej z Miskolca. Twierdzono, że prawidłowo przedstawione i zgłoszone oferty były odrzucane z bardzo niejasnych przyczyn. Jeśli to, co mówi Szatmari, jest prawdą, to mamy wielką aferę.

- Jeśli jest prawdą i jeśli potrafi to udowodnić - dodał Smith. - Gdzie niby jest ta cała „tajna lista”? Nie możemy opierać się jedynie na opowieści jednego niezadowolonego pracownika.

- Powiedział, że dostarczy ją tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. I wtedy zajmiemy się tym tematem.

Smith bazgrolił coś w swoim notatniku. Alex zauważył, że narysował kilka pierścieni wokół nazwiska Szatmariego.

- Szatmari powiedział również, że Bank Narodowy planuje wprowadzić nowy, trzydziestodniowy papier wartościowy. Będzie się to nazywać Narodowe Obligacje Skarbowe i ma przynosić piętnaście procent zysku w skali roku.

- Piętnaście procent to dość dużo - odezwała się Edina, zajęta do tej pory czyszczeniem długiego teleobiektywu. - Pewnie mnóstwo ludzi zapragnie wykupić taką lokatę, będą dzikie tłumy. Moglibyśmy zrobić sporo niezłych zdjęć pierwszego dnia, kiedy wejdą do obiegu.

- Mogę to sprawdzić - powiedział Alex. - Nie powinno być z tym chyba większych problemów.

- A zatem ustalone. Poczekamy na więcej informacji od Szatmariego, a w międzyczasie dowiemy się czegoś więcej o Narodowych Obligacjach Skarbowych - podsumował Ronald, patrząc na zgromadzonych. Alex i Draskovitz przytaknęli, a po dłuższej chwili to samo zrobił Smith. - Świetnie. A teraz, Alex, bardzo cię proszę, przedstaw nam aktualne informacje na temat wyborów prezydenckich.

Alex przekartkował swój notatnik, po czym podsumował wszystko, co się wydarzyło do tej pory. Władze Unii Europejskiej, pragnąc, aby mieszkańcy wspólnoty bardziej się zaangażowali w procesy polityczne, postanowili; że każdy kraj członkowski przeprowadzi ogólnokrajowe wybory na prezydenta. Głosy miały być zebrane i podliczone w przeciągu następnych trzech miesięcy. Zwycięzca zostałby wyłoniony w oparciu o wysoce skomplikowane wyliczenia, uwzględniające populację każdego kraju członkowskiego. Ponad dziesięciu kandydatów uzbierało wymagany do startu w wyborach milion głosów, jednak de facto liczyła się tylko dwójka: Sanzlermann i Edith Leclerc z Porozumienia Socjaldemokratycznego. Sanzlermann prowadził w Niemczech, Austrii, Belgii oraz w północnej i wschodniej Europie, a Leclerc - we Francji, Hiszpanii, Włoszech i pozostałych krajach na obszarze śródziemnomorskim. W Budapeszcie miała się zjawić w ciągu kilku dni - jej podróż opóźniła się nieco z powodu poważnego zatrucia pokarmowego. Większość analityków była zgodna - poparcie wschodnich państw członkowskich stanowiło klucz do zwycięstwa. Według wstępnych sondaży Sanzlermann miał na Węgrzech trzydzieści dziewięć procent głosów, a Leclerc - trzydzieści sześć. Jednak ponad czterdzieści procent społeczeństwa w ogóle jeszcze nie wiedziało, za kim się opowiedzieć, i właśnie o ich głosy mieli walczyć kandydaci.

Ronald siedział rozparty na krześle, które niebezpiecznie trzeszczało.

- Dziękujemy, Alex. A teraz ja. Mam kilka wiadomości, wszystkie złe. Po pierwsze, wiem ze swojego źródła, że minister informacji ma niebawem ogłosić, że wszelkie reklamy rządowe będą się pojawiały jedynie w wybranych gazetach, mówiąc dokładniej - w tych prorządowych. Nas trudno do takowych zaliczyć. W związku z powyższym koniec z dziesiątkami ogłoszeń o pracę i całostronicowymi reklamami rządowymi, zachęcającymi zagraniczne firmy do inwestowania na Węgrzech. Dotychczas stanowiły one trzydzieści procent naszych zysków z reklam. Musimy się zastanowić, jak wypełnić lukę po utraconym źródle dochodów.

- Może zainwestujemy w Narodowe Obligacje Skarbowe - zażartował Alex.

Smith spojrział na niego z niechęcią.

- A może po prostu spróbujemy publikować nieco bardziej stonowane wypowiedzi? - rzucił. - Osobiście uważam, że rząd Hunkalffy'ego jest dokładnie tym, czego potrzebuje ten kraj, aby podnieść się i prawidłowo funkcjonować. I wtedy odzyskamy nasze reklamy.

Na twarzy Ronalda malowała się irytacja.

- Cóż, George, w tej kwestii zawsze będziemy się różnić. Druga zła wiadomość to ta, że otrzymałem dziś rano list polecony - powiedział, rozkładając powiadomienie z nowo utworzonej Policji Finansowo-Ekonomicznej, jednego z oddziałów żandarmerii. - W przyszłym tygodniu, w bliżej nieokreślonym terminie, pojawi się u nas inspekcja. Mają przeprowadzić audyt papierów księgowych z zeszłego roku. Chcą zobaczyć wszystkie faktury, dokumenty celne wszystkich urzędów, które sprowadziliśmy z zagranicy, oraz licencje na wszystkie programy, z których korzystamy w pracy. Zaczynam podejrzewać, że ktoś nas tam bardzo nie lubi.

- Ale to przecież śmieszne - powiedziała Edina. - Nie ma możliwości, aby ktokolwiek przygotował taką dokumentację.

- A skąd masz Photoshopa? - zapytał Smith.

Edina wymamrotała coś niezrozumiale i wróciła do czyszczenia obiektywu.

Zaniepokojony Smith zwrócił się teraz do RONALDA:

- Czy to możliwe, że ta gazeta powstaje przy użyciu pirackiego oprogramowania?

Ronald westchnął z rezygnacją.

- Nie, nie wszystko jest pirackie. Mamy kilka legalnych programów.

- Ile to jest „kilka”?

- Yyy, jeden, Microsoft Word, bodajże z dziewięćdziesiątego szóstego.

\* \* \*

Cassandra Orczy wjechała zgrabnie swoją mazdą RX-7 między dwa samochody, nacisnęła pedał gazu, po czym skręciła w bramę prowadzącą na piękny osiemnastowieczny dziedziniec. Muzeum Sztuki Użytkowej, ulokowane na samym końcu zamkowego kompleksu, było mało popularne, dzięki czemu stanowiło dogodny miejsce do tajnych spotkań. On już na nią czekał, opierając się o parapet okienny w pierwszej sali, tak jak uzgodnili. Czytał najnowszego „Financial Timesa”, w którym budapesztański korespondent opisywał szczegółowo problem stałego spadku wartości węgierskiej waluty. Na kolejnych stronach wydrukowane były podobne artykuły autorstwa korespondentów z Zagrzebia, Bratysławy oraz Bukaresztu. Wartość forinta znacznie spadła - za jedno euro płacono już nie 240, a 400 forintów. Chorwacka kuna, słowacka korona oraz rumuński lej również notowały spadek, a wszystko wskazywało na to, że ich los podzielią niebawem polski złoty oraz czeska korona. Z działu ekonomicznego służby bezpieczeństwa napływały alarmujące wieści. Obca waluta zalewała rynek, płacąc nią, wykupywano nieruchomości. W obecnej sytuacji cały region stawał się rajem dla tych, którzy płacili w euro.

Przywitali się, całując się w policzki.

- Dlaczego założyłeś okulary przeciwsłoneczne? - spytała - Mamy listopad, że nie wspomnę o tym, że jesteśmy w pomieszczeniu.

- Niedługo ci wyjaśnię - odpowiedział.

Podeszli do szklanej gabloty, wewnątrz której znajdowały się szczypczyki o dziwnym kształcie. Pochylił się, aby przeczytać opis.

- Przedmiot ów służy do podkręcania wąsów.

- Ja go nie potrzebuję. W każdym razie taką mam nadzieję.

Udawał, że przygląda się jej twarzy. Odepchnęła go ze śmiechem.

- Nie przypomina ci to naszych czasów studenckich? - zapytał - Wszystkie te garnki, patelnie, przepisy.

- Jakoś nie pamiętam, żeby któreś z nas umiało gotować. Nasze główne pożywienie stanowiły ser i salami. O ile pamiętaliśmy w ogóle, żeby kupić coś do jedzenia.

- Bochen chleba, dzbanek wina i ty. Omar Chajjam<sup>5</sup> nie mógł lepiej tego opisać. A ty wyglądasz wciąż tak samo pięknie i młodo - powiedział, wyciągając do niej dłoń.

Zarumieniła się i przez chwilę mocno ścisnęła jego dłoń. Potem rozejrzała się ostrożnie i przeszła do sedna:

- Mów, co wiesz od swoich informatorów. Gospodarka nam fiksuje, co się dzieje?

Dopiero teraz zdjął okulary. Cassandra wydała stłumiony okrzyk. Pochyliła się, aby dotknąć twarzy Mubaraka, jednak on się odsunął. Jego prawe oko było ledwo widoczne spod opuchlizny i sińców.

- Lekarz powiedział, że jeśli będę mieć szczęście, to z czasem odzyskam w nim wzrok.

---

<sup>5</sup> Omar Chajjam (1048-1131) - perski poeta (przy. tłum.).



- Kto ci to zrobił?

- Żandarmi urządzili wczoraj kolejny nalot na Sphinx. Myślałem, że będzie jak zwykle, szybka wycieczka na komisariat, łapówka dla kapitana i po sprawie, wracam do Sphinx a sam raz na deser. Ale tym razem było inaczej. Przyłożyli mi do boku głowę książkę telefoniczną i walili w nią policyjną pałką. A potem odłożyli książkę.

\* \* \*

Było rześkie zimowe popołudnie, jedno z tych, kiedy Budapeszt prezentuje się czarująco. Habsburskie kamienice wyglądały statecznie i dostojnie, Dunaj wił się majestatycznie. Słońce świeciło jasno, a białe chmury mknęły po lazurowym niebie. Wiał ostry, orzeźwiający wiatr. Alex czuł, jak od wiatru i mrozu szczypią go policzki. Szedł Wielkim Bulwarem do kawiarni Margaret. Minął siedzącego na wózku mężczyznę bez nóg, który w wyciągniętej ręce trzymał czapkę i w proszącym geście podsuwał ją przechodniom. Co pewien czas ktoś wrzucił mu kilka monet. Alex dał mu dwieście forintów. Ruszył potem w kierunku tłumu, jaki zebrał się wokół ustawionego niedaleko stoiska oblepionego plakatami przedstawiającymi Sanzlermanna i Hunkalffyego podających sobie dłonie. Do wyborów prezydenckich pozostały niecałe dwa tygodnie. Alex podszedł to stoiska. Elegancko ubrani młodzi ludzie rozdawali właśnie przedwyborcze gadżety: metalowe znaczki, płócienne torby, kubki. Większości zainteresowanych odchodziła od stoiska, z dumą wpatrując się w swoje nadgarstki, ozdobione plastikowymi zegarkami od Sanzlermanna.

Zachęcający aromat palonej kawy, ciastek i tytoniu powitał Alexa już przy wejściu. Peter Feher siedział przy stoiku i czytał gazetę. Jego papieros, „Munkas”, tlił się w popielniczce stojącej obok filiżanki z kawą. Ekspres do kawy syczał i świszczał w rogu łokalu. Kelnerka Eva pomachała Alexowi na powitanie. Usiadł przy stoliku Petera i zerknął na jego gazetę. Był to egzemplarz „Daily Telegraph” sprzed dwóch dni, otwarty na stronach „Court and Social”. Informowano na nich czytelników, że kilka dni temu Jej Królewska Mość podejmowała herbatą premiera Tongi.

Feher rozpogodził się na widok Alexa, po czym skinął na Evę. Po chwili niosła już do ich stolika dwie kawy oraz kieliszki brandy.

Feher uśmiechnął się smutno, stukając brzegiem swojego kieliszka o kieliszek Alexa.

- Za twojego dziadka. Brakuje mi go każdego dnia - westchnął.

Alex wypił brandy, rozkoszując się jej smakiem i kolorem.

- Ja też za nim tęsknię - powiedział ze smutnym uśmiechem.

Feher złożył gazetę.

- Zazwyczaj czytam najpierw wiadomości sportowe - wyjaśnił - ale dziś akurat nie ma krykieta. Kiedyś, podczas delegacji w Wielkiej Brytanii byłem na stadionie Lord's. Cóż to był za mecz! - powiedział, kręcąc z podziwem głową na samo wspomnienie. - Cóż, u twoich krykiet i wydarzenia z królewskiego dworu, a u nas to! - z tymi słowami wręczył Alexowi najnowsze wydanie „Ebredjetek Magyarok!”.

Dwustronicowy artykuł pióra Balazsa Naludiego był zatytułowany: „Wróg wewnętrzny: Imigranci pośród nas”. Autor wzywał w nim do natychmiastowego osadzenia w strzeżonych obozach wszystkich uchodźców i niedoszłych imigrantów, bez względu na to, czy przekroczyli granicę legalnie czy nie. Obozy takie miałyby zostać jak najszybciej wybudowane w odosobnionych miejscach. Dzieci byłyby tam osadzane razem z rodzicami albo umieszczane w ośrodkach opiekuńczo-wychowawczych. W tekście cytowano wypowiedź Attily Hunkalffyego: „Nie możemy dalej pozwolić, aby nasz kraj traktowany był przez potencjalnych przestępców i terrorystów, takich jak tak zwana Armia Wyzwolenia Imigrantów, jak lylne drzwi prowadzące do Europy”. W artykule pojawiały się też cytaty z wypowiedzi innych oficjeli, między innymi Franka Sanzlermanna, chorwackiego prezydenta

Dragomira Zorvajka, Duszana Hrkny ze Słowacji oraz niedawno wybranego prezydenta Rumunii, Corneliusa Malinanescu.

- Byłem na Słowacji, dopiero co wróciłem - powiedział Alex, wskazując na fotografię Duszana Hrkny. - Spotkałem się tam z Cyganami. W wiosce Novy Marek. Dzieje się tam coś dziwnego.

- Jakim cudem udało ci się tam dostać? Słyszałem, że ta osada została odizolowana.

- Zgadza się.

Feher popatrzył twardo na Alexa.

- No i?

- Romskie kobiety, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że są sterylizowane przez przedstawicieli słowackiej służby zdrowia. Dają im jakieś zastrzyki zaraz po porodzie. A potem każą jeszcze przyjmować jakieś tabletki.

- Jestem w stanie w to uwierzyć. W jaki sposób nakłaniają je do brania tych leków?

- W biurze opieki społecznej jest specjalny pokój, w którym kobietom wypłaca się zasiłki. Dostają pieniądze do ręki dopiero wtedy, gdy połkną pigułkę w obecności jednego z pracowników. Nawet sprawdzają im usta, żeby mieć pewność, że nie ukryły lekarstwa pod językiem.

Feher pił swoją kawę małymi łykami.

- Zupełnie jak z podawaniem lekarstw małym dzieciom. Tyle że w tym przypadku jest to raczej makabryczne. Jeśli uda wam się tego dowieść, będziesz miał materiał na mocny artykuł.

- Mam taką nadzieję. O ile nie zamkną nam redakcji Policja finansowa ma nam urządzać nalot w przyszłym tygodniu.

- Wam też? - zdziwił się Feher. - Kilku moich znajomych również spodziewa się wizyty, i to jeszcze dziś.

Alex kiwał głową, jednak myślami był w wiosce Novy Marek.

- Firma, która produkuje te pigułki, nazywa się Birkauchen Pharma. Co dziwne, nie mogłem znaleźć o niej żadnych informacji w Internecie ani w redakcyjnej bazie danych. Zadzwoiłem nawet do dziennikarza działu medycznego i do sekcji gospodarczej „Sentmela”, ale nikt o niej nie słyszał.

Feher upuścił zapalonego papierosa.

- Jak mówisz nazywa się ta firma?

- Birkauchen. Birkauchen Pharma.

- Josip Birkauchen był szefem działu badań w AF Weizen. Niemiec z urodzenia, ale żył w Chorwacji - powiedział Feher, podnosząc tłącego się papierosa i zaciągając się nim głęboko. - AF Weizen było przed wojną największym koncernem branży chemicznej. Specjalizowali się w farmaceutykach, farbach do włosów oraz środkach dezynfekujących. Po tym jak Hitler doszedł do władzy, zajęli się wytwarzaniem produktów do zwalczania szkodników. W tej kategorii znajdowali się przede wszystkim Żydzi, Cyganie, ludzie niepełnosprawni, przeciwnicy nazizmu. Birkauchen prowadził wraz z AF Weizen „instytut badań medycznych” w Auschwitz. Cała jego dokumentacja zniknęła w tajemniczych okolicznościach w 1945. Podobnie jak sam Birkauchen i wszyscy, którzy dla niego pracowali. Alianci chcieli ich zapewne aresztować za zbrodnie wojenne, jednak ich „badania” ogromnie zainteresowały Waszyngton i Moskwę. Kilku dziennikarzy próbowało przeprowadzić śledztwa na własną rękę, jednak bez jakichkolwiek dowodów nie na długo starczało im zapasu.

- Czy KZX nie ma przypadkiem jakichś historycznych powiązań z AF Weizen? - spytał Alex. - Ta sama siedziba w Monachium, to samo zainteresowanie branżą chemiczną i farmaceutyczną, oczywiście zanim KZX rozszerzyło działalność na inne gałęzie przemysłu.

Feher roześmiał się.

- W tych powiązaniach nie ma nic historycznego. KZX to jest AF Weizen. Alianci prawdopodobnie wstrzymali działalność AF Weizen w 1945. Ale to jedynie zmyłka. AF Weizen zostało zrekonstruowane i funkcjonowało nadal, tyle że pod nazwą KZX. Niemiecki przemysł był ważnym bastionem w czasach zimnej wojny, nie wiedziałeś? Większość ludzi, którzy zarządzali obozami, po prostu wróciła do pracy, mając błogosławieństwo aliantów. KZX robiło interesy w Iraku, kiedy Saddam był jeszcze u władzy. Wiesz chyba, co stało się z Kurdami w Halabdy? To były metody opracowane przez AF Weizen. Attache gospodarczy w ambasadzie Niemiec pracował kiedyś dla KZX.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytał Alex.

- Większość informacji, które ci przekazuję, jest powszechnie dostępna. Musisz tylko wiedzieć, gdzie i jak szukać. Ja sam miałem zostać przeniesiony do „instytutu” Birkauchena. Na szczęście dwa dni później przybyli Rosjanie - powiedział Feher, próbując drżącą ręką zapalić kolejnego papierosa. - Nikt nie wychodził z tego instytutu żywy.

Alex pochylił się ku niemu.

- Cieszę się bardzo, że udało ci się wtedy wrócić do domu. Mój dziadek też się cieszył. Byłeś jego najbliższym przyjacielem, wiesz o tym. - Alex ścisnął mocno dłoń Fehera, po czym wręczył mu kopertę. - Wyniki sekcji zwłok Miklosa. Otrzymałem je dopiero dziś rano, strasznie późno.

Feher wyjął z koperty dokument i przeczytał go uważnie.

- Rozcinają cię na pół, a potem udają, że wciąż nie wiedzą, co cię zabiło. - Westchnął cicho, odkładając kartki. - Umorzenie postępowania z powodu niewykrycia sprawcy.

- Rzeczywiście, nie daje nam to zbyt wiele - powiedział Alex. Bezwiednie pocierał czubki palców obu dłoni, jakby przypominając sobie tarcie drobinek szkła tamtej nocy.

- Mówi nam to tyle, że ktoś chce, aby o tym morderstwie szybko zapomniano. Myślę, że nie zdawano sobie sprawy z tego, jak wielki rozgłos towarzyszyć będzie śmierci Miklosa, szczególnie w prasie zagranicznej. Wyniki sekcji świadczące o morderstwie spowodowałyby powstanie kolejnych artykułów - stwierdził Feher, popijając kawę. - Albo o samobójstwie. A umorzenie postępowania z powodu niewykrycia sprawcy, kto wie? Był starszym człowiekiem, może po prostu jego serce nie wytrzymało?

- Nie wytrzymało, bo rozgryzł ampułkę z cyjankiem potasu - wtrącił Alex.

- Tak, wiem. Pytanie brzmi, dlaczego to zrobił? Podejrzewam, że masz jego rzeczy osobiste?

Alex spojrzał pytająco na Fehera. Czy mówił o pamiętniku Miklosa?

- Były sprawy, o których twój dziadek nigdy nie wspominał. Tyle wiem. Wiem również, że jest wiele sposobów na ukrycie informacji, pamiętaj o tym. Alex, będę musiał cię przeprosić, muszę iść na kolejne spotkanie - oznajmił nagle, jednocześnie dając znak kelnerce. - Evo, chcielibyśmy poprosić o rachunek.

\* \* \*

Alex siedział za biurkiem i przeglądał najnowszy numer „Budapest News”. Dochodziła ósma wieczorem. Redakcja była pusta. Rześki zimowy dzień zakończył się gwałtownie wraz z nadejściem burzy. Szyby aż drżały od uderzeń wiatru i zacinającego deszczu. Niebo co chwila przesywały błyskawice oświetlające na krótki moment całe miasto, zupełnie jakby ktoś włączał i wyłączał olbrzymią lampę. Z drukarni przyszły właśnie świeże egzemplarze, prosto z maszyn. „Sanzlermann planuje wprowadzenie ogólnoeuropejskich testów DNA” - krzyczał nagłówek na pierwszej stronie. Tekst był świetnie napisany, ale Alex zupełnie nie mógł się skoncentrować. Jego myśli wirowały jak w kalejdoskopie, głowę miał pełną wspomnień i obrazów: dziennik dziadka, Novy Marek, rozmowy z Peterem Feherem, KZX.

Pytanie brzmiało, jak połączyć ze sobą wszystkie te elementy? Zaczynając od uporządkowania tego, co już wiesz, odpowiedział sam sobie Alex. Nazwisk, miejsc, dat. Dat. Miklos zginął tego samego dnia, w którym do Budapesztu przyjechał Sanzlermann. W głowie mignęła mu myśl, która sprawiła, że wyprostował się na krześle. Kapitan żandarmerii w Kulturze. Co jeśli żandarmi sprawdzali goście przebywających w Kulturze właśnie ze względu na niego? Tak żeby nie dotarł na czas do dziadka? Alex wstał i podszedł do okna. Wpatrywał się w budynek dworca Nyugati, fasadę ze szkła i żelaza, spływającą wodą. Ciszę przeszył straszliwy grzmot. Alex aż podskoczył, a jego serce zaczęło bić jak oszalałe. „Uspokój się” - powiedział do siebie - „to tylko burza”. Ale co z żandarmami z Kultury? Czy ich nalot był nieprzypadkowy, czy może popada już w paranoję. Czy paranoicznym byłoby przypuszczenie, że wszyscy goście baru zostali wylegitymowani tylko po to, żeby on nie mógł opuścić lokalu? Przypomniał sobie, jak kapitan, rozmawiając przez komórkę, spoglądał na niego, a jednocześnie powtarzał „tak, tak”. Czy oznaczało to: „Tak, tak, Alex nadal tu jest”?

Wyjął swój notes i narysował pionową linię na środku kartki. Po lewej stronie napisał „Miejsca”, po prawej „Osoby”. Głównymi graczami byli, rzecz jasna, Sanzlermann i Hunkalffy. Ale kto sterował ich kampanią od zaplecza? Zanotował „KZX”, „Volkstern” i podkreślił obie nazwy. Skąd pochodziły pieniądze na kampanię? To była kwestia, której musiał się przyjrzeć: rola tych dwóch koncernów, a w szczególności KZX, jeśli rzeczywiście to nowe wcielenie AF Weizen. W kolumnie „Miejsca” zapisał: „Monachium”, „Novy Marek”, „Koszyce”, „Budapeszt”. Przerwał na chwilę, po czym dopisał niepewnie „Auschwitz?”. W tym momencie zadzwonił jego telefon.

- Skoro masz już na biurku nowy numer „Budapest News”, to znaczy, że się już ukazał i mogę śłać depezę. - To był David Jones.

- Skąd wiesz, że mam? - chciał wiedzieć Alex, śmiejąc się.

- Reuter wie wszystko. Szczególnie, jeśli wasz dostawca jest szwagrem naszej recepcjonistki.

- OK, umówmy się tak: redaktorzy on-line przychodzą o czwartej rano. Poprosiłem ich, aby zadzwonili do mnie, kiedy tylko wrzucą na stronę internetową artykuł Nataszy. Będzie to około piątej rano i mam zamiar wtedy smacznie spać, dlatego pozwolę sobie przekierować wszystkie rozmowy do ciebie. Dostaniesz od nich cynk - możesz śłać depezę. A co dostanę za niepodzielenie się tą informacją z AP z Bloombergiem?

- Będziesz mógł znów odegrać rolę panamskiego ambasadora - obiecał David. Co pewien czas zabierał Alexa do wytwornej restauracji na wściekle drogą kolację z kilkoma butelkami wina, wpisując ją sobie potem w koszty jako spotkanie z dyplomatą. - Hej, chcesz jutro pobiegać?

- Jasne - uśmiechnął się Alex i rozłączył.

W telewizji emitowano właśnie węgierskie wiadomości. „Dwunastu sędziów Sądu Najwyższego zostało pozbawionych stanowisk po tym, jak wyszło na jaw, że wszyscy zajmowali niegdyś wysokie stanowiska w Partii Komunistycznej” - oznajmiała pogodnie Aniko Kovacs. Obecnie przeprowadzano śledztwa mające na celu ustalenie, czy dochodziło wtedy do łamania przez nich praw człowieka. Jeśli tak, mieli być postawieni w stan oskarżenia.

Ponadto Policja Finansowa rozpoczęła serię kontroli. Na ekranie pojawił się materiał przedstawiający żandarmów wyważających drzwi redakcji „World Writer’s Review”, niewielkiego liberalnego pisma literackiego. Potem wyprowadzono z niej dwóch starszych panów w pogniecionych marynarkach. Na ich twarzach malował się strach i niedowierzanie. Jeden z nich miał na nosie przekrzywione okulary, a drugi trzymał w ręku plik papierów.

„A teraz przenosimy się do Novakpuszty, skąd nasz reporter donosi o bardzo niepokojących zajściach” - oznajmia Kovacs. Wysoki dziennikarz przeprowadzał wywiad z

wystraszoną starszą panią, mieszkającą w małej wiosce na wschodzie Węgier. Kobieta, skubiąc nerwowo koniec swojego szalika, zaczęła opowiadać: „Było ich strasznie dużo, Izraelczycy, krzyczeli coś po hebrajsku, robili zdjęcia. Walili i dzwoniли do moich drzwi, krzycząc, że niedługo tu wrócą i wtedy zabiorą mi wszystko i że mogę się już zacząć pakować. Nie wiem, co mam robić”. Reporter uśmiechnął się pokrzepiająco. „Czy jest pani pewna, że to byli Izraelczycy?” - spytał. „Absolutnie. Powiedzieli, że przyjechali z Tel Awiwu. To było przerażające. Byli bardzo agresywni. Ale nic im nie oddam, to jest teraz mój dom i za nic go nie opuszczę”.

Alex pomyślał, że nawet jak na standardy węgierskiej telewizji państwowej była to dziwna wiadomość. Dlaczego Izraelczycy mieliby interesować się taką wsią jak Novakpuszta? Alex dopisał tę nazwę do tabeli w swoim notesie, kiedy usłyszał nieśmiałe pukanie. W drzwiach stała Natasza. W rękach trzymała butelkę wina i dwa kieliszki.

- Co ty tu robisz? - Alex uśmiechnął się na jej widok.

- Powinnaś być dziś na mieście, świętować.

- Niedługo spotykam się z Kitty. Ale pomyślałam, że my również powinniśmy uczcić nasz sukces - wyjaśniła, rozlewając wino do kieliszków. Przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko Alexa.

Podziękował jej. Starał się nie patrzeć na nią zbyt natarczywie, kiedy stuknęli się kieliszkami. Wyglądała dziś jeszcze ładniej niż zwykle i skonstatował, że po raz pierwszy widzi ją w lekkim makijażu - rzęsy miała podkreślone tuszem, na ustach lśnił błyszczący.

- Już jutro ludzie na całym świecie przeczytają twój wywiad - powiedział Alex, sącząc wino. - Zaraz dostaniesz jakąś fantastyczną ofertę pracy i porzucisz nas - zażartował.

- Nie porzucę. Nigdzie się nie wybieram. Dziennikarstwo to moje powołanie - odpowiedziała ze śmiechem.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - przytaknął Alex, po czym spoważniał i wyłączył telewizor.

- Czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

- Kiedy zrobiłeś to ostatnim razem, o mało nas nie aresztowano, ale słucham.

- Co cię napędza, Natasza? Co jest motorem twoich działań? Wielu Węgrów nienawidzi Romów. Bardzo by im odpowiadało, gdyby nie mogli mieć więcej dzieci. Dlaczego tobie tak bardzo na nich zależy? I kiedy nauczyłaś się mówić językiem Lowarów?

Natasza głośno przełknęła ślinę.

- To rzeczywiście bardzo osobiste - powiedziała, patrząc Alexowi w oczy. - Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

Alex wiedział, że musi dać jej chwilę. Milczał więc.

- Moi rodzice nie mogli mieć więcej własnych dzieci, dlatego postanowili adoptować małego cygańskiego chłopca. - Uśmiechnęła się na jego wspomnienie, jednak na jej twarzy malował się smutek. - Miał na imię Anton. Miał pięć lat, kiedy zamieszkał z nami, kochany, radosny, bystry chłopczyk. Jego historia była banalna, rodzice się rozstali, jego matka doszła do wniosku, że lepiej mu będzie w sierocińcu, więc oddała go tam. Później nawet nas czasem odwiedzała. Anton świetnie radził sobie w szkole. Marzył o tym, żeby zostać nauczycielem.

Przerwała, spojrzała w górę i wzięła głęboki wdech, aby powstrzymać łzy. Po chwili ciągnęła dalej.

- Pewnego dnia wybraliśmy się całą rodziną na niedzielny obiad. I wtedy Antona potracił samochód. Kierowca nie zatrzymał się, a on umarł na naszych oczach, na chodniku. Miał wtedy szesnaście lat. Przepraszam, Alex, wiem, że mieliśmy świętować - szepnęła, oczy miała pełne łez. - Złapali tego kierowcę, ale okazało się, że jest on ważną osobą, dużo ważniejszą niż Anton. Nic mu nie zrobili. Nie stracił nawet prawa jazdy.

- Co to był za człowiek? - zapytał Alex.

Natasza wpatrywała się w swój kieliszek.

- Attila Hunkalffy.

## Rozdział 13

Alex analizował długość Wyspy Małgorzaty i po raz kolejny się zastanawiał, czy rzeczywiście jogging w środku dnia to dobry pomysł. Ścieżka okalająca wyspę miała około pięciu kilometrów. Z jednej strony wznosił się Most Małgorzaty, a z drugiej - Most Arpada, nazwany tak na cześć dawnego madziarskiego króla. Wyspa Małgorzaty była najpiękniejszym parkiem w całym Budapeszcie z mnóstwem ogrodów krajobrazowych, średniowiecznych ruin i kawiarenek na świeżym powietrzu. Wraz z Zsofi zdarzyło mu się spędzić tutaj niejedną ciepłą letnią wieczór, na polance nieopodal wieży ciśnień, na kocu i z butelką wina. Jednak w zimie wyspa była o wiele mniej przyjazna. Rowery i riksze, latem chętnie wypożyczane przez mieszkańców Budapesztu, schowane czekały na sezon. Ścieżki, które w cieplejsze miesiące pełne były randkujących nastolatków, teraz świeciły pustkami, a kioski i sklepiki były zamknięte na cztery spusty. Od rzeki wiał lodowaty wiatr, przesywając na wskroś cienki dres Alexa. Rzeka, dziś w kolorze metalicznej szarości, płynęła wartko.

David już na niego czekał, robiąc przysiady. Opinający ciało strój z lycry podkreślał jego atletyczną sylwetkę.

- Raz, raz, biegniemy! - krzyknął, biegnąc w miejscu i klaszcząc zachęcająco.

- Może jednak pójdziemy na lunch, co? - spytał Alex Davida. - W końcu to przerwa obiadowa - dodał z nadzieją w głosie.

David wbiegł na ścieżkę i ruszył naprzód. Alex podążył więc za nim - powiew wiatru niemal zepchnął go na bok. Biegnąc, odfajkowywał kolejne punkty na trasie: klub kajakarski, zoo dla dzieci, ruiny klasztoru sióstr Dominikanek, uzdrowisko, Most Arpada. To oznaczało, że połowa okrążenia była już za nimi. Niedługo potem jego oczom ukazało się zoo. Zwierzęta zostały wprawdzie przeniesione na czas zimy w inne miejsce, ale ich charakterystyczny zapach pozostał. Alex wciągnął do płuc porządną porcję powietrza i zmusił się do dalszego biegu. Chodziło o to, aby nie myśleć o tym, jak bardzo bolą nogi i zająć umysł czymś innym. Na przykład zaskakującymi informacjami od Nataszy, dotyczącymi śmierci jej przybranego brata Antona. Po tym wyznaniu szybko wróciła do siebie, ale równie szybko wyszła z jego pokoju. Podejrzewał, że wstydziła się swojego zachowania, a jednocześnie czuła ulgę, że zwierzyła mu się z czegoś tak osobistego. Alex przyspieszył i po chwili dogonił Davida.

- Wywiad Nataszy z Sanzlermannem jest fantastyczny - powiedział David. -

Obowiązkowe testy DNA. Ci ludzie są naprawdę stuknięci. Ten materiał poszedł o świat. Londyn zakwalifikował go jako „pilny”. Kiedy ostatni raz sprawdzałem, pobrano go sześćdziesiąt siedem razy, wszędzie, od Auckland po Alaskę. Rozsławiamy „Budapest News” na całym świecie.

- To chyba my rozsławiamy ciebie - stwierdził Alex, dokładniej zakrywając uszy czapką.

- Nie widziałem żadnych dziennikarzy Reutera w hotelu Savoy w poniedziałkowy poranek. - Postanowił, że informację o Attili Hunkalffym zachowa dla siebie.

David wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyrwał do przodu.

- Proszę się nie martwić, ekscelencjo. Panamski ambasador może się spodziewać najdłuższego lunchu w swoim życiu.

Alex z trudem unosił nogi. Czy ktoś przyczepił mu ciężarki do butów?

- Wkrótce będziemy mieli kontrolę policji finansowej - wysapał.

- Wy też? Nam też obiecali, że nas odwiedzą. Ale to nie dotyczy tylko waszej gazety i Reutera. Praktycznie wszystkie zagraniczne media będą przez nich wizytowane. Poza tymi, których właścicielem jest...

- Niech zgadnę. Volkstern Corporation - przerwał mu Alex, czując, że zlał się potem. Dobiegali właśnie do Grand Hotelu.

- Zgadza się. A słyszałeś już o nowej ustawie? Dyrektorzy i managerowie firm, którzy dopuścili do zaniedbań w kwestii podatków, VAT-u lub opłat celnych, są teraz osobiście odpowiedzialni za powstałe długi. I może im grozić kara więzienia do pięciu lat. Jaka jest dokładna definicja stanowiska managera? Wygląda na to, że chcą nas zastraszyć.

Alex poczuł, że mięśnie łydek zaczynają mu odmawiać posłuszeństwa. Coraz trudniej było mu biec i jednocześnie rozmawiać. Przez kilka minut biegli w milczeniu, mijając kolejne hotele, aż ich oczom ukazał się most Arpada. Było to płaskie betonowe sześciopasmowe monstrum. Nie miało takiego uroku jak Most Łańcuchowy czy Most Elżbiety. Na jego filarze widniało nowe graffiti: „Emigranci won! Powstańcie Madziarowie!”. Skręcili w lewo, między drzewa, i ruszyli na drugą stronę wyspy i dalej, w kierunku wieży ciśnień.

Byli w połowie drogi powrotnej, kiedy Alex złapał drugi oddech. Biegł teraz przed Davidem i wyminął dwie starsze panie w futrach, które spacerowały ze swoimi małymi, ale bardzo głośno ujadającymi pieskami. Nad jego głową krzyczały mewy. W takich momentach - bardzo rzadkich - czuł, że może absolutnie wszystko. W miarę jak zbliżał się do wieży ciśnień, coraz uważniej przyglądał się małej postaci na ławce, obejmującej rękami podkurczone kolana. Wyglądała znajomo. Bardzo znajomo.

Alex usiadł obok niej, oddychając ciężko.

- Wróciłeś już ze swojej podróży służbowej? - spytała Zsofi, wpatrując się w wodę.

Wyglądała na wychudzoną, opatulona w męską parkę. Uświadomił sobie nagle, że była to jego własna parka, którą „pożyczyła” kilka tygodni wcześniej, kiedy wychodziła od niego wczesnym rankiem.

- I ani razu nie zadzwoniłeś do mnie, nie napisałeś maila albo choćby durnego SMS-a. Otarł pot z czoła.

- Masz rację, nie zrobiłem tego. Gratulacje, Julio. Kiedy zaczynasz?

- W przyszłym tygodniu - odpowiedziała, po czym zamilkła na chwilę. - Alex, ja... my... Czasami chciałabym żyć jednocześnie w dwóch różnych światach - szepnęła.

Jej głos był smutny i niepewny. Odwróciła się ku niemu. Wyciągnął do niej dłoń. Chwyciła ją, ich palce się splotły.

- Wiem, Zsofi. Nie będziemy mieli teraz za dużo okazji, aby się spotykać. Większość czasu spędzać będziesz w Wiedniu - powiedział.

Patrzył na rzekę, na której z prądem w kierunku Mostu Małgorzaty dryfowało puste pudełko. W oddali zamajaczyła sylwetka biegacza w niebieskich spodniach i turkusowej bluzie z kapturem.

- Tak łatwo ci się ze mną rozstać - chlipnęła Zsofi, siąkając głośno i ocierając zapłakane oczy.

Alex przyciągnął ją do siebie. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, objęci. Alex obserwował, jak pływające pudełko uderza o jeden z filarów i po chwili znika w oddali.

- Alex, zawsze będziemy przyjaciółmi, prawda? - spytała proszącym tonem.

- Oczywiście.

- Przyjedziesz kiedyś do Wiednia zobaczyć, jak tańczę?

Uśmiechnął się. Zsofi była naprawdę niepoprawna.

- Może kiedyś. Ale tylko po to, żeby zobaczyć, jak tańczysz - odpowiedział, przyciągając ją do siebie i całując w policzek.

Biegacz był już bardzo blisko; widząc ich, zwolnił. Alex podniósł wzrok i zobaczył Nataszę - wpatrywała się w niego. W biegu minęła ławkę, na której siedzieli. Pomachała mu, szybko odwróciła wzrok i popędziła dalej, aż zupełnie znikła mu z oczu.

Cassandra Orczy kolejny już dzień pracowała w biurze do późnej nocy. Kiedy tylko udawało jej się uporać z jedną stertą dokumentów, na jej miejscu natychmiast wyrastała kolejna. Planowane budżety dawno już przekroczone, agentów wysyłano na akcje, jeszcze zanim ukończyli szkolenia, a mimo to z góry napływały kolejne pytania: jakie implikacje dla bezpieczeństwa narodowego Węgier będzie miało ewentualne zwycięstwo Sanzlermanna w wyborach prezydenckich? Pomimo jej usilnych starań, poślaczana porcelana Zsolnay była wciąż poza jej zasięgiem. Tylko że ona sama czuła, że nie jest to już dla niej tak ważne. W tej chwili nawet cytaty z Sun Tzu, wiszące w ramce nad jej biurkiem, nie były w stanie jej pocieszyć.

Doskwierała jej samotność. Ona i Mubarak rozstali się dwadzieścia lat temu. On się oświadczył, ona mu odmówiła. Chciała robić karierę, a oczywiście było, że cinkciarz nie może być mężem pani oficer służby bezpieczeństwa. Tak jej się przynajmniej zdawało do czasu, aż odkryła, jak wielu z jej znajomych z pracy wykorzystuje swoje kontakty za granicą do prowadzenia pokątnych interesów i jak szybko się na tym bogaci. I w końcu ona też zaczęła tak robić: kupiła dawną letnią rezydencję rodziny Farkasów za jedyne pięć tysięcy dolarów. Nie było to zbyt etyczne.

Oczywiście nie miała pojęcia, że willa ta należała niegdyś do rodziny najlepszego przyjaciela jej ojca. Nie o to jednak chodziło. Jej ojciec odradzał jej małżeństwo z Mubarakiem, choć oczywiście nigdy nie przyznałby się, że nie chce po prostu, aby jego córka wyszła za Araba. Zamiast niego poślubiła więc Laszla Orczyego, wschodzącą gwiazdę węgierskiego teatru. Jak szybko odkryła, jej mąż wykorzystywał każdą okazję do sypiania z fankami, które tłumnie wyczekiwały pod jego garderobą po każdym spektaklu. Może gdyby przyjęła wtedy Mubaraka, dziś nie zarabiałaby już na życie jako cinkciarz. Ależ z niej hipokrytka. Co z tego, że jest szefem działu analiz, skoro codziennie rano budzi się w pustym łóżku?

Wzięła do ręki najnowszy raport na temat Franki Sanzlermanna - surowy materiał wywiadowczy od agenta o pseudonimie „Wyborca”. Był on ich jedyną wtyczką w bliskim otoczeniu Sanzlermanna. Podśluchy, mikrofony czy przekaźniki radiowe nie sprawdziły się. Okablowali oczywiście pokój kandydata na prezydenta i umieścili niewielkie nadajniki w gniazdkach elektrycznych, obwodach oświetlenia, a nawet w karniszach. Jednak jego ochrona przeczesła calutki apartament i znalazła wszystkie co do jednego, nawet najnowsze modele, które według brytyjskiego MI6 miały być niewykrywalne. Sanzlermann i jego ludzie używali telefonów stacjonarnych tylko i wyłącznie do rozmów z obsługą hotelową. Zabezpieczenia ich telefonów komórkowych były z kolei tak skomplikowane, że tajne służby nie potrafiły ich złamać. E-maile zawierały jedynie suche informacje dotyczące dat i terminów spotkań. Z powodu dużego natężenia hałasu ulicznego wokół hotelu podśluchy laserowe - wiązka lasera skierowana na szybę okienną wyłapuje jej drgania powstałe w wyniku wibracji powietrza w czasie rozmowy - również nie zdawały egzaminu: urywki zdań, które udawało się nagrać, były zbyt zniekształcone.

Ciekawe materiały na temat Istvana Matonhelyego, głównodowodzącego Brygady Panońskiej i jego międzynarodowych powiązań, przekazali im Izraelczycy. Znaleźli w nich ślad przepływu pieniędzy z Zurychu do Ameryki Południowej. Amerykanie z kolei przesłali satelitarne zdjęcia ze spotkań Sanzlermanna z kierownikami wyższego szczebla, zarówno KZX, jak i Volkstern Corporation w domu w austriackich Alpach. Analityk ekonomiczny z MI6 obiecał sporządzić raport na temat sposobów finansowania kampanii Sanzlermanna. Cassandra potrzebowała kogoś wewnątrz hotelu. Jej obserwatorzy z pobliskich budynków zgłaszali regularnie, że do siedziby głównej Sanzlermanna co rusz przybywają austriacy i niemieccy biznesmeni, a także ważne postaci ze świata szwajcarskiej bankowości. Jeden ze Szwajcarów prowadził w Budapeszcie liczne interesy. Całkiem niedawno zainwestował w zespół budynków usytuowanych nad rzeką - odkupił je od państwa za śmieszne pieniądze.



Niestety, możliwości dalszej inwestycji w te nieruchomości stanęły pod znakiem zapytania. Okazało się, że syn prawowitego, przedwojennego właściciela żyje i na stałe mieszka w Hampstead w Londynie. W dodatku domaga się zwrotu rodzinnej nieruchomości bądź też odpowiedniego odszkodowania. Kiedy bankierowi o tym przypominano i równocześnie obiecano pomoc w załatwieniu sprawy, Szwajcar natychmiast zgodził się współpracować. Wyjawił, że 9 listopada odbędzie się tajne przyjęcie, na którym pojawią się dygnitarze z Niemiec, Austrii, Szwajcarii i Ameryki Południowej. Przypomniała sobie, że musi przekazać Londynowi, że operacja „Hampstead” zakończyła się sukcesem. Raport „Wyborcy” zaklasyfikowany został jako „ściśle tajny”, co oznaczało, że dostępny był tylko w jednej papierowej kopii, oraz że nigdy nie trafi w ręce byłego partnera biznesowego Attili Hunkalffyego, który został ostatnio mianowany dyrektorem państwowych tajnych służb. Węgierskie tajne służby szpiegowały teraz premiera kraju i jego współpracowników. Wewnętrzna klika trzymała szefa poza swoim kręgiem. „Cóż, to właściwie nic nowego” - uśmiechnęła się w myślach Cassandra.

Od: Wyborca

Do: Kierownik Działu Analiz Dw: Kierownik Kontrwywiadu

1. Należy zwrócić uwagę na fakt, iż agent będący autorem niniejszego dokumentu zmienił jego kwalifikację z „tajne” na „ściśle tajne”. Zawarte w dokumencie informacje są niezwykle delikatnej natury i mogą mieć związek z osobami na najwyższym szczeblu służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo narodowe. Treść niniejszego raportu nie powinna trafić w niewłaściwe ręce, w szczególności w związku z licznymi powiązaniem między ATTILĄ HUNKALFFYEM a osobami biorącymi czynny udział w kampanii prezydenckiej FRANKA SANZLERMANNNA.

2. Niniejszy raport bazuje na rozmowach przeprowadzonych przez agenta oraz informacjach przez niego zdobytych. Zawarte w nim fakty nie zostały pozyskane jedynie podczas bezpośrednich spotkań z wymienionymi dalej osobami, ale również poprzez lekturę dokumentów, e-maili, listów oraz paszportów. W załączniku A przedstawiono listę nazwisk wraz z powiązanymi organizacjami biznesowymi. Informacje uzyskane nie bezpośrednio oznaczone zostały gwiazdką.

3. Przed przejściem do głównej części raportu, konieczne jest nakreślenie, jak kształtuje się obecnie sytuacja polityczna i dyplomatyczna w postkomunistycznej Europie. Pomimo zapewnień o zadowoleniu z przyjęcia państw byłego bloku wschodniego pod „wspólny dach”, rzeczywistość jest nieco odmienna. Przez Europę Zachodnią przetacza się właśnie fala niechęci i rozczarowania. Ma to związek z dotacjami, jakie państwa zachodnie przeznaczają na piętnastu nowych członków. Obywateli ogarnia złość, kiedy obserwują, jak zorganizowane syndykaty przestępcze współpracują z rządami różnych krajów i rosną w siłę. Ministrowie oraz wysocy rangą funkcjonariusze policji w nowych krajach wspólnoty często są zamieszani w międzynarodowy handel żywym towarem, przemyt narkotyków i broni - głównie z Bałkanów do Europy Zachodniej. Korupcja szerzy się na ogromną skalę i nic nie zapowiada, aby w najbliższym czasie miało się to zmienić. Początkowy entuzjazm związany z planami reform i modernizacji nowych państw członkowskich obecnie znikł bez śladu. W państwach zachodnich coraz częściej dochodzi do ataków terrorystycznych ugrupowań takich jak Armia Wyzwolenia Imigrantów. Ma to wpływ na sytuację polityczną w tych państwach. Coraz donośniej rozbrzmiewają głosy wzywające do zdecydowanego działania wobec nielegalnych imigrantów i uciekinierów politycznych, co oznacza z kolei, że w Brukseli i Strasburgu niewiele poświęca się uwagi politycznemu rozwojowi nowo przyjętych członków. Wobec powyższego agent uznaje, że nie będzie przesadą stwierdzenie, iż zwycięstwo FRANKA SANZLERMANNNA w nadchodzących

wyborach prezydenckich oraz jednocześnie rządy ATTILI HUNKALFFYEGO stwarzają poważne zagrożenie dla narodowego bezpieczeństwa Węgier oraz ich niezależności ekonomicznej.

Cassandra przetarła oczy i czytała dalej, ale już znacznie wolniej.

4. ATTILA HUNKALFFY jest wtyczką SANZLERMANNA w węgierskim rządzie. Niejasne jest, jak dużą autonomię posiada, o ile w ogóle. Równoległe z kampanią wyborczą FRANKA SANZLERMANNA podejmowane są działania strategiczne na czterech lub więcej frontach na terenie Węgier. Przypomina to schemat wydarzeń w Chorwacji, Rumunii oraz na Słowacji, czyli w krajach, które w czasie wojny opowiedziały się po stronie nazistowskich Niemiec i w których do władzy doszły skrajnie prawicowe rządy. Wspomniane działania polegają na: manipulacji opinią publiczną poprzez media, a w szczególności telewizję oraz w coraz większym stopniu Internet; systematycznym osłabianiu instytucji, takich jak parlament, policja czy też sądy; stosowaniu przemocy wobec mniejszości narodowych, mające na celu pogłębienie poczucia niepewności i zagrożenia; korumpowaniu urzędników i obniżeniu wartości krajowej waluty (ma to też związek z wcześniej wymienionymi działaniami), co ułatwia zagranicznym inwestorom wykup państwowego majątku po zaniżonych cenach.

Powyższą strategię podsumować można następująco: działania psychologiczne/media; akcje przeciw mniejszościom; policja/sądy oraz działania na płaszczyźnie ekonomicznej. Wszystkie te elementy są ze sobą ściśle powiązane. (Trzeba oczywiście zwrócić uwagę na fakt, iż wielu agentów na podstawie własnych obserwacji dochodzi do nieobiektywnych wniosków i podsuwa czytającemu raporty konkretne wnioski. Mam jednak nadzieję, że jasne jest, iż ten agent chce przede wszystkim przekazać informacje, a nie wyciągać wnioski).

- „Wyborco”, jest pan jedną z najbardziej nadętych osób, z jakimi kiedykolwiek miałam okazję się zetknąć - powiedziała Cassandra na głos - Po prostu chciał pan przez to powiedzieć, że nie wie pan jeszcze, co to wszystko oznacza. Proszę się nie martwić, ja też nie. Wróciła do lektury.

5. Oto zestawienie efektów wymienionych działań. Powstała niedawno Brygada Panońska stanowi obiekt szczególnego zainteresowania. W związku z pogorszeniem sytuacji zarówno ekonomicznej, jak i politycznej, społeczeństwo węgierskie zaczyna rozglądać się za winnymi. Dawniej rolę kozła ofiarnego pełnili Żydzi. Jednak odkąd Węgry przystąpiły do Unii Europejskiej, a co za tym idzie, powstała klasa średnia składająca się z ludzi młodych, bardziej nowoczesnych i tolerancyjnych, jawny antysemityzm nie mógł być już elementem gry politycznej. Mało jest jednak ludzi, którzy mają podobne zahamowania w stosunku do Romów. Brygada Panońska, która jak się okazuje, jest finansowana przez emigranckie grupy z Ameryki Południowej, Niemiec i Austrii, koncentruje się na tak zwanej „przestępczości cygańskiej”. Stroje członków Brygady są świetnym elementem gry psychologicznej: tradycyjny czarny ubiór huzarski kojarzy się z wojskiem, ale jednocześnie nawiązuje do węgierskiej tradycji. Dzięki temu Brygada Panońska jest umiejscawiana w nurcie „wspólnoty narodowej”. Swoim ubiorem jej członkowie sygnalizują, że wszyscy „prawdziwi Węgrzy” powinni protestować przeciwko „przestępczości cygańskiej” i że przemoc jest uzasadnioną formą narodowej samoobrony. Poprzez przemoc wobec Romów chcą osiągnąć dwie rzeczy: po pierwsze, zaszczerpić w ludziach poczucie zagrożenia, aby nabrali oni przeświadczenia, że instytucje państwowe nie są w stanie chronić społeczeństwa. Po drugie, pragną, aby

„prawdziwi Węgrzy” czuli się bezpieczni, ponieważ jako nieromscy obywatele nie są obiektem ataków.

Powiązania pomiędzy wymienionymi wcześniej czterema płaszczyznami a kampanią FRANKA SANZLERMANNNA są na razie niezbyt jasne, aczkolwiek pewnym jest, że takowe istnieją, czego dowodzi zaangażowanie w nie tych samych osób.

Zajrzała do aneksu. Kampania Sanzlermanna była finansowana przez gigantów niemieckiego przemysłu, wśród których nie brakło, rzecz jasna, KZX Industries oraz Volkstern Corporation. Hunkalffy zignorował jej ostrzeżenie przed KZX i fakt, że firma ta wykupuje większościowe udziały w węgierskich firmach farmaceutycznych. Co więcej, zezwalał na dalsze transakcje. Czy jednak „Wyborca” mówi prawdę? Czy jest wiarygodny? Oderwała się na chwilę od lektury, podeszła do okna i popatrzyła na Dunaj. Dostrzegła na nim barkę wypełnioną węglem, płynąca powoli z prądem rzeki. Zobaczyła swoje odbicie w szybie. Po starannie ułożonej fryzurze nie było śladu, pod oczami pojawiły się cienie. Nalała sobie jeszcze trochę kawy, po czym siadła z powrotem do biurka. Zdecydowała, że ten raport trzeba będzie oznaczyć jako „pilny”. Przewróciła kilka stron, aż natrafiła na fragment poświęcony mediom.

Rola mediów w całej akcji jest kluczowa. Ultranacjonalistyczne strony internetowe, takie jak pannoniabriga-de.hu, publikują nazwiska, numery telefonów, a nawet adresy swoich politycznych przeciwników. Organizują również tak zwane *flash-moby*, spontaniczne demonstracje, które często przekształcają się w zamieszki. Państwowe media przyjmują nieco subtelniejszą taktykę, ograniczając się do zwiększenia liczby wiadomości na temat przejmowania przez Izraelitów utraconych przed laty nieruchomości. Pod płaszczykiem antyizraelskiej propagandy przemycą się w ten sposób treści antysemityczne, na przykład poprzez użycie takich sformułowań jak: „Oś Nowy Jork-Tel Awiw”, „kosmopolici bez korzeni”, oraz relacje, w których zbulwersowani ludzie mówią o krwi przelewanej przez armię izraelską w operacjach militarnych. Mnożą się porównania Węgrów i Palestyńczyków, sugerujące, że Izrealici/Żydzi pragną wygonić Madziarów z ich rodzinnej ziemi.

Tego typu przekaz trafia do ludzi dzielących „podziemną wspólnotę poglądów”, to znaczy tych, którzy wyznają wartości nieakceptowane już we współczesnym świecie, ale jednak wciąż wyraźnie w nim obecne. Specyficzna terminologia stanowi element kampanii nazywany „psy-ops” (czyli „operacje psychologiczne”). Używany język wywołuje niepokój wśród przeciwników ATTILI HUNKALFFYEGO. Kolejnym elementem taktyki jest bagatelizowanie tragedii Holokaustu i zrzucanie winy za nazistowskie ludobójstwo na reżim, który upadł wiele lat temu, w związku z czym współczesne wydarzenia nie mają z nim nic wspólnego. Jednocześnie ekstremistyczni przywódcy, tacy jak ISTVAN MATONHELY, są regularnie zapraszani do różnych talk show i programów informacyjnych. Prowadzący audycje nigdy nie polemizują z poglądami takich osób, tylko akceptują je jako część dominującego politycznego nurtu, „destygmatyzując” i usprawiedliwiając tym samym politykę nienawiści.

Autor tego raportu odkrył również, że LASZLO KENGODON, węgierski psycholog żydowskiego pochodzenia, obarczony został odpowiedzialnością za „psy-ops”. KENGODON był przez krótki czas mężem młodej studentki medycyny z Izraela - porzuciła go i wróciła do swojego kraju. Wywołało to w nim gwałtowną reakcję psychologiczną i doprowadziło do granicy nienawiści wobec samego siebie. Przyjmowany jest z otwartymi ramionami jako Hofiude - zasłaniają się nim wszyscy oskarżani o antysemityzm. KENGODON jest bliskim współpracownikiem BALAZSA NOLUDIEGO, doradcy ds. mediów ATTILI HUNKALFFYEGO, jednocześnie

redaktora naczelnego „Ebredjetek Magyarok!”. KENGODON wykorzystuje swoją rozległą wiedzę na temat historii i kultury żydowskiej, tak aby wywołać jak największe zamieszanie. Na przykład: KENGODON prowadzi kursy, na których uczy młodych aktywistów języka hebrajskiego. Grupy te są potem wysyłane do różnych miejsc w całym kraju - małych miasteczek i wiosek, w których żyła niegdyś liczna społeczność żydowska. Podają się za Izraelitów i maszerują głównymi ulicami, dzwonią do domów i zgłaszają głośno i agresywnie swoje roszczenia do różnych nieruchomości. Lokalni dziennikarze są z góry informowani o ich przybyciu - inicjatorzy akcji mają dzięki temu pewność, że relacje z tych wydarzeń pojawią się w mediach. Pseudo-Izraelici wzbudzają niepokój wśród mieszkańców, ponieważ dziesiątki domów, fabryk i innych budynków zostały zawłaszczane po tym, jak ich prawowici właściciele trafili do obozów.

Zanim zrobiła sobie kolejną przerwę, Cassandra sprawdziła ostatnie strony raportu - składał się on jeszcze z czterdziestu punktów, rozpisanych na siedemnastu stronach. Zapaliła kolejnego papierosa. Wiedziała już, że to będzie bardzo długa noc.

## Rozdział 14

Alex niemal tanecznym krokiem przekroczył próg redakcji „Budapest News”. Miał świetny humor. Było piątkowe przedpołudnie, za parę minut rozpoczynało się cotygodniowe kolegium redakcyjne. Na piętrze zajmowanym przez gazetę zazwyczaj było pełno reporterów, grafików, speców od reklamy - przekomarzali się, żartowali i niezmiennie cieszyli się, kiedy udało im się znaleźć drobne błędy w poprzednim wydaniu periodyku. Alex cieszył się na myśl o popołudniowym wyjściu na redakcyjnego drinka - zaplanował je, aby uczcić sukces Nataszy i dobrze rozpocząć weekend. Jednak kiedy wszedł, zaskoczyła go napięta, nerwowa atmosfera panująca w biurze. Radosne „dzień dobry” uwięzło mu w gardle.

Zamiast radosnego tłumy jego oczom ukazały się głowy pochylone nad komputerami. Zamiast donośnych głosów słychać było jedynie bębnienie w klawiatury. Euan Braithwaite, potężny eks-rugbysta z Hebden Bridge, redaktor sportowy, który dołączył niedawno do zespołu, napotkawszy wzrok Alexa, pokręcił tylko z rezygnacją głową. Z działu projektowego nie dochodziła muzyka. Biuro Ronalda Worthingtona było ciemne i zamknięte. Alex niepewnym krokiem wszedł do sali konferencyjnej. Jediną osobą w pomieszczeniu był George Smith - siedział na miejscu Ronalda. Na stole leżało najnowsze wydanie „Budapest News”. Kilka akapitów wywiadu Nataszy z Sanzlermannem podkreślono na czerwono.

- Spóźniłeś się - warknął Smith.

Jego niebieską prążkowaną koszulę pokrywała warstwa okruszków, pozostałość po zjedzonych wcześniej croissantach.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Alex, siadając naprzeciwko niego.

- Pracują pilnie, a gdzie mają być - odpowiedział Smith, przymierzając się do kawałka czekoladowego ciasta i głośno siorbiąc kawę ze znajomo wyglądającego kubka. Kubek był niebieski, a zdobiący go rysunek przedstawiał psa podskakującego do piłki.

- Czy to przypadkiem nie kubek Ronalda? Gdzie on jest?

Smith przyjrzał się kubkowi.

- W swoim pokoju. Londyn wprowadził pewne zmiany.

- Jakie zmiany? - chciał wiedzieć Alex.

Smith wytarł usta wierzchem (Koni, po czym podsunął Alexowi dokument. Było to wspólne oświadczenie prasowe zarządów dwóch firm - Volkstern Corporation w Monachium i „Sentinela” w Londynie. Volkstern Corporation ogłaszała w nim z dumą, iż po wielu

miesiącach żmudnych negocjacji osiągnięto wreszcie porozumienie w sprawie strategicznego partnerstwa z „Sentinel Newspapers”. Nowe możliwości, poszerzenie rynku zbytu, itepe, itede. A potem sedno sprawy: należy oczywiście dołożyć wszelkich starań, aby zachowana została pełna niezależność wszystkich mediów należących do grupy. Jednakowoż konieczne jest wprowadzenie pewnych zmian w zakresie organizacji pracy, zmian strukturalnych, jak również zmiana linii politycznej - zarówno ze względu na nową sytuację gospodarczą, jak i interes ekonomiczny grupy.

W miarę jak czytał tekst oświadczenia, Alex czuł się coraz gorzej. Jak to możliwe, że planowano to od tak dawna? Nie było na ten temat żadnych plotek ani przecieków. Przypomniał sobie teraz, że nie otrzymał odpowiedzi na kilka ostatnich e-maili, które wysłał do Londynu. Wyszedł wtedy z założenia, że jego znajomi byli zbyt zajęci albo nieobecni i dlatego nie odpowiadali. Teraz uświadomił sobie, że mogli po prostu zostać zwolnieni. „To jakaś katastrofa” - pomyślał. Nowa sytuacja ekonomiczna w języku PR oznaczała po prostu uprzywilejowanych reklamodawców.

- Nic dziwnego, że wszyscy są dziś tacy smutni. Nie miałem o tym wszystkim pojęcia.

- Cóż, w takim razie kiepski z ciebie reporter. Może zbyt długo pracujesz dla tej gazety? Poinformowałem już cały zespół. Też byłbyś na bieżąco, gdybyś się nie spóźnił - powiedział Smith, strzepując okruszki. - A teraz chciałbym porozmawiać z tobą o tym - to mówiąc, postukał palcem w leżącą na stole gazetę.

- Cóż, to świetny materiał. Głośno o nim na całym świecie. Grupy walczące o prawa obywatelskie szykują się do ataku.

- Nie jesteśmy firmą PR-ową dla awanturników. Ten artykuł jest szalenie stronniczy, przedstawia kompletnie jednostronny obraz tego, co tak naprawdę jest najlepszą przyszłością dla Europy.

- Nie, nie jest. Jest artykułem w pełni oddającym to, co powiedział Sanzlermann. Zresztą jego transkrypcja jest dostępna na naszej stronie, możesz to sprawdzić. Przykro mi, że masz na temat tego tekstu takie zdanie, ale to Ronald jest naczelnym i to on ma ostatnie słowo - stwierdził Alex.

Smith uśmiechnął się złośliwie.

- Zarówno artykuł, jak i zapis wywiadu zostały już usunięte ze strony. A Worthington nie jest już naczelnym - to mówiąc, podał Alexowi kolejny papier, z którego wynikało, że to Smith jest nowym redaktorem naczelnym. I to nie tylko „Budapest News”, ale i całej lokalnej grupy wydawniczej Sentinel-Volkstern - krajowe wydania miały niedługo wychodzić także w Zagrzebiu, Bratysławie i Bukareszcie. Ronald Worthington, według dokumentu, gratulował Smithowi nowego stanowiska. Jego samego przeniesiono obecnie na stanowisko „redaktora projektów specjalnych”, który miał nadzorować serię dodatków o stylu życia różnych ludzi czyli na przykład o siłowniach.

- Jakie jest w takim razie moje nowe stanowisko? - spytał Alex.

- Nie masz stanowiska. Byłeś źródłem przecieków materiałów do agencji prasowej. Masz pół godziny na zebranie swoich rzeczy. I już tu nie przychodź.

\* \* \*

Alex wszedł do gabinetu Ronalda. Jego były szef siedział w ciemności i tępo patrzył w przestrzeń. Jego splecione dłonie opierały się na pokaźnym brzuchu, na biurku leżała zmięta chusteczka. Ferrari, jego wierny pies, leżał na podłodze i spoglądał wyczekująco na swojego pana. Alex włączył światło i ruszył prosto do biurka Ronalda. Uniósł butelkę czarnego Johnny Walkera, która stała na stosie starych egzemplarzy „Magyar Gasztronómia”.

- Oj, nie po oczach, stary druhu, nie po oczach - jęknął Ronald, odruchowo zasłaniając oczy. Były przekrwione i zażawione. Chwytał leżącą na biurku chusteczkę i głośno wytarł nos. - Miałem ciężką noc - wyjaśnił szybko.

Alex wlał porządne porcje whisky do dwóch kubków po kawie. Jeden wręczył Ronaldowi.

- Wypijmy za siłownie - wznosił toast Alex. Stuknęli się kubkami.

- Jak sądzisz, czym właściwie są te całe siłownie?

- Obawiam się, że dokładnym przeciwieństwem czterodaniowych uczt w Gundelu, do których przywykłeś.

- Liście sałaty, plasterki marchewki i szklanka wody mineralnej? - spytał posepnie.

- Gorzej.

- Dużo gorzej?

- Dużo, dużo gorzej. Najpierw musisz na to wszystko zasłużyć. Ćwiczyć na różnych maszynach, biegać, wiosłować. Ronald, nie zamierzasz chyba...

- Oczywiście, że nie - odparł Ronald cicho, sącząc whisky. - Zaoferowali mi półroczną odprawę za to, żebym odszedł po cichu.

- A jeśli nie będziesz chciał odejść po cichu?

- Smith z radością poinformował mnie o powstaniu nowego wydziału bezpieczeństwa grupy Sentinel-Volkstern. Jego lokalne biuro ma zostać otwarte w Budapeszcie w przyszłym tygodniu. Jednostka pozostawać będzie w ciągłym pogotowiu, na wypadek jakichkolwiek „trudności”. Jej pierwsze zadanie to zapewnić ochronę dodatkowym członkom ekipy zajmującej się kampanią... cóż, chyba nie muszę wyjaśniać czyją.

- To niezły materiał na artykuł.

- Co oznacza, że nie masz co szukać go w naszej gazecie - odparł Ronald, dolewając whisky Alexowi i sobie. Westchnął ciężko. - Rzecz jasna, to już wcale nie jest nasza gazeta. Co z tobą?

- Wylali mnie - wyjaśnił krótko Alex. Jednocześnie robił w głowie szybkie obliczenia. Ponieważ przeniesiono go tutaj z Londynu, dostawał zachodnią pensję. Pieniądzy na koncie starczy mu na jakieś pół roku.

— Strasznie mi przykro, Alex - powiedział Ronald smętnie. - Odkąd Smith się tu pojawił, wszystko wskazywało na to, że tak to się skończy. Gdybyśmy tylko wiedzieli wcześniej o negocjacjach z Volkstern Corporation, moglibyśmy się jakoś lepiej do tego wszystkiego przygotować. Problem z tym gnojkiem polega na tym, że to cholernie żaloszny kawał drania. Jediną radość w życiu dają mu chwile, w których uda mu się dopiec innym. A zatem, Ferrari, wracamy do Blighty, co? - zwrócił się do swojego psa, głaszcząc go po szyi - Swoją drogą, wydaje mi się, że drań ma mój kubek.

Alex czuł się zagubiony. Ten nowy wydział bezpieczeństwa z pewnością przeszuka dokładnie jego redakcyjny komputer. Jego notatki z wyprawy do wioski Novy Marek i informacje, które udało mu się zdobyć na temat KZX były na szczęście na jego prywatnym laptopie, w domu. Jednak tutaj wciąż miał jeszcze mnóstwo plików, e-maili i danych kontaktowych, które chciał zabrać ze sobą.

- Czy mogę skorzystać z twojego komputera? - poprosił Ronalda.

- Jasne - odpowiedział były naczelny i zrobił Alexowi miejsce przy klawiaturze.

Alex siadł do biurka. Zalogował się na swój komputer i wpisał hasło. „Hasło nieprawidłowe” - pojawiło się na ekranie. Spróbował wpisać je jeszcze dwukrotnie, po czym wyskoczyła informacja, że konto zostało zablokowane i w przypadku kolejnych prób logowania system automatycznie informuje wydział bezpieczeństwa.

- A to gnoje - wściekł się Alex. - Odcięli mi dostęp do mojego komputera.

Zadzwoił telefon. Ronald gestem poprosił Alexa, żeby odebrał.

- Dzień dobry. Witam pana bardzo serdecznie. - Osoba po drugiej stronie linii miała głęboki głos i posługiwała się formalnym językiem węgierskim - Nazywam się Gabor Fischer i jestem księdzem. Chciałbym rozmawiać z panem Ronaldem Worthingtonem. - Ostatnie słowa wymawiał powoli i wyraźnie, jakby czytał z kartki węgierski zapis fonetyczny.

- Został go pan, ale on nie mówi po węgiersku. Może ja mógłbym panu pomóc? Nazywam się Alex Farkas i jestem jego kolegą z redakcji. *Melyik ügyrol szeretne beszélni*, w jakiej sprawie pan dzwoni? - zapytał Alex, przechodząc na węgierski.

- Ach, tak. Vince wspominał również o panu. Bardzo lubił czytać pana teksty.

- Lubiał?

- Jest mi bardzo przykro, że to ja muszę przekazać panu i panu Worthingtonowi tę tragiczną wiadomość, panie Farkas. Vince nie żyje. Zginął wczoraj w wypadku samochodowym.

\* \* \*

Alex wpadł na Nataszę na klatce schodowej, kiedy biegł na spotkanie z ojcem Fischerem. Ronald zajęty był w tym czasie pakowaniem swoich rzeczy. Zszokowała go i zasmuciła informacja o śmierci Vince'a. Ustalili, że Alex pójdzie do kościoła spotkać się z księdzem. Natasza również wychodziła. Była blada. Czyżby płakała?

- Cóż, Alex, wygląda na to, że musimy się pożegnać. Więcej się nie zobaczymy. Zrezygnowałam z pracy.

Alex poczuł ucisk w żołądku.

- Jak to? Wiem, że jest duże zamieszanie. Ale przecież właśnie ukazał się twój artykuł, sensacja na skalę światową.

- Tak, wiem. I w nagrodę dostałam od Smitha nową pracę. Wklepywanie do komputera repertuarów kin. Tyle wyszło z mojej kariery reporterki.

Wyszli razem na ulicę. Natasza rozejrzała się, po czym ruszyła szybkim krokiem w kierunku przejścia podziemnego przy Nyugati, nie oglądając się za siebie. Alex dogonił ją, kiedy przechodziła obok Głodnego Listonosza. Jak zwykle, było w nim prawie zupełnie pusto.

- Natasza, czy możesz zatrzymać się na chwilę, proszę? Chciałbym z tobą porozmawiać, a nie uda mi się to, jeśli będę musiał cię ścigać przez pół miasta.

Stała bez ruchu i przyglądała mu się uważnie. „No dalej, zapytaj, wtedy będziesz wiedział, tak albo nie” - pomyślał.

- Zjedźmy dziś razem kolację - usłyszał swój własny głos. Zupełnie jakby te zdania wypowiadał kto inny. - Omówimy wszystko dokładnie. Moglibyśmy pójść do...

- Nie, Alex - przerwała mu i odwróciła wzrok. - Nie mogę iść z tobą na kolację.

Nie. Cóż, czego się właściwie spodziewał? Widział przecież to zaskoczenie (a może i coś więcej?) w jej spojrzeniu, kiedy zobaczyła go w parku dokładnie w momencie, gdy całował Zsofi w policzek.

Natasza bawiła się nerwowo pasmem włosów.

- Muszę teraz pobyć trochę sama. Nie mam ochoty na żadne kolacje, z nikim. Jeszcze dziś rano miałam pracę, robiłam karierę. Pracowałam ciężko i dawałam z siebie wszystko. A teraz jestem bezrobotna.

- Natasza, posłuchaj. - Alex nie dawał za wygraną. - Pozwól mi wyjaśnić. Tego dnia, kiedy widziałas mnie na Wyspie Małgorzaty... to nie tak, jak myślisz. To stara znajoma. Nie jesteśmy razem.

Natasza skrzyżowała ręce na piersi.

- Ależ ja nic nie myślę. Co robisz, kiedy i z kim to przecież nie moja sprawa.

- Natasza, nie odchodź. Nie w ten sposób. Chodź, napijemy się kawy w Głodnym Listonoszu - poprosił niemal błagalnym tonem.

Natasza zrobiła jednak krok do tyłu.

- Rób, co chcesz, Alex. Mnie to nie obchodzi. Muszę już iść. - Jej głos był opanowany, ale wyraźnie spięty.

Alex poczuł uderzenie gorąca na twarzy. Ku jego zaskoczeniu niewiele brakowało, aby się rozplakał.

- Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować. To nieporozumienie. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Życzę ci wszystkiego najlepszego - to mówiąc, wyciągnął do niej rękę na pożegnanie. Uścisnęła ją. Jej usta lekko wygięły się w podkówkę, kiedy szybko wypuścił jej rękę.

- *Dziękuję, Alex* - powiedziała.

Alex stał jeszcze przez chwilę, patrząc, jak idzie w stronę przejścia podziemnego. W uszach dźwięczał mu uliczny hałas. Widział, jak Natasza wyjmuje z torebki chusteczkę i wyciera nos. Rozejrzał się wokół, szukając taksówki. Kiedy miał wsiadać, zobaczył, że Natasza biegnie w jego kierunku i macha, żeby poczekał.

- Alex - wyszeptła, próbując złapać oddech.

Uśmiechnął się. A więc jednak zmieniła zdanie.

- Przepraszam, zapomniałam oddać ci dyktafon, ten na którym nagrywałam wywiad z Sanzlermannem.

Przestał się uśmiechać, ale nic nie powiedział.

- Chyba coś jest z nim nie tak, nie działa jak powinien. Nie mogę odtworzyć nagrań. Musiałam korzystać ze swoich notatek przy spisywaniu wywiadu - ciągnęła. W jej spojrzeniu było coś dziwnego. Ale kogo właściwie obchodzi, że dyktafon nie działa.

- Cóż, wydaje mi się, że raz się już żegnaliśmy - odparł sucho.

Natasza odwróciła się na pięcie i po chwili zniknęła w podziemiach. Wsiadł do samochodu, nie oglądając się za nią. Kierowca jechał jak szalony, wymijając wlokące się pojazdy ze zręcznością godną Ayrtona Senny. Mimo że Alex miał ostatnie słowo, nie czuł ani odrobiny satysfakcji.

\* \* \*

W kościele było ciemno i chłodno. Alex przysiadł na chwilę na jednej z drewnianych ław, wygładzonych przez pokolenia wiernych. Dyskretnie otarł łzy z oczu i wytarł nos. Bardzo brakowało mu dziadka. Miklos i Ruth przez pięćdziesiąt lat tworzyli wspaniały, pełen miłości związek Alex ogromnie zazdrościł im tak trwałego uczucia. Wątpił, czy kiedykolwiek uda mu się znaleźć taką miłość w Budapeszcie. Może lepiej byłoby, gdyby wrócił do Londynu? Co poradziłby mu Miklos? Alex wiedział doskonale, że dziadek chciałby, żeby został w Budapeszcie, dopóki wszystkiego nie wyjaśni. Zresztą, jego dziennikarski instynkt podpowiadał mu, że śmierć Vince'a Szatmariego nie była przypadkowa.

Zadarł głowę, aby popodziwiać gotyckie sklepienie kościoła. Patrzył, jak subtelne zimowe światło przenika kolorowe szkiełka witraży. Wdychał przyjemny zapach skóry i starej cegły. Pyłki kurzu unosiły się w świetle zimowego słońca. Alex myślał o tym, jak wiele widziały te kościelne mury. Śluby i bierzmowania, pogrzeby i nabożeństwa żałobne. Myśl o upływie czasu napelniała go spokojem. Siedząca na końcu ławy starsza pani uśmiechnęła się do niego. Widać było, że pochodzi ze wsi - miała na sobie tradycyjną transylwańską haftowaną spódnicę, a jej siwe włosy przykrywała chustka. Miała najbardziej przejrzyste oczy, jakie kiedykolwiek widział, a mimo zmarszczek jej skóra promieniała witalnością. Zaproponowała mu dorodne jabłko - przyjął je i grzecznie podziękował. Witraże zapierały dech w piersiach, każde z nich stanowiło odrębne dzieło sztuki, kunsztowny zapis żyda



apostołów i biblijnych proroków. Alex spostrzegł idącego ku niemu olbrzymiego mężczyznę. Miał szpakowate włosy i starannie przystrzyżoną brodę.

- Pan Farkas? Jestem Gabor Fischer. Dziękuję za przybycie. Chodźmy do mojego gabinetu.

Gabinet okazał się niewielkim pokojem. Wzdłuż wszystkich jego ścian ciągnęły się przeszklone regały z książkami. Alex zauważył, że kilka półek wypełniały dzieła na temat teologii wyzwolenia - doktryny zakładającej, że zadaniem Kościoła jest nie tylko zbawianie dusz, ale i walka z przemocą fizyczną. Na niewielkiej sofie leżało kilka kolorowych poduszek i koców. W całym pomieszczeniu unosił się przyjemny zapach parzonej kawy, któremu towarzyszył jeszcze inny, mocno owocowy. Duża fotografia wisząca na ścianie przedstawiała młodszą wersję księdza, w trykotowym stroju sportowym podczas olimpiady w Moskwie. Stał na podium, a na jego szerokiej twarzy malował się triumfalny uśmiech.

Ksiądz skinieniem ręki zaprosił Alexa w głąb pokoju.

- Proszę siadać, proszę. Czego się pan napije? Kawy? A może czegoś mocniejszego? Robię swoją własną palinkę, ze śliwek. Wie pan, co to palinka? - zapytał, uśmiechając się życzliwie.

- Z ogromną przyjemnością napiję się czarnej kawy i spróbuję księdza nalewki - odparł Alex, odwracając głowę, aby przyrzeć się zdjęciu z olimpiady.

- Zdobyłem złoto w rzucie oszczepem - wyjaśnił ksiądz, przygotowując napoje.

Nostalgiczny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Stuknęły kieliszki. Alkohol działał szybko. Nalewka była przejrzysta i miała orzeźwiający owocowy posmak. Alex z uznaniem oblizał wargi.

- Jak panu smakuje w porównaniu z tą z Serbii i Bośni? - zapytał ojciec Fisher.

- Wyśmienita - odparł Alex, po czym upił łyk swojej kawy. - Dziękuję. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnim razem jadłem prawdziwe bałkańskie śniadanie.

- Wiem. Nieraz czytałem pańskie artykuły - powiedział ojciec Fischer. Potrząsnął głową ze smutkiem. - Śmierć Vince'a to ogromna tragedia. Jego matka jest zdruzgotana. Policja powiedziała, że sprawca uciekł z miejsca wypadku. Vince pracował do późna. Szedł do domu Mostem Elżbiety, zaledwie parę metrów stąd. Jakiś samochód za szybko wszedł w zakręt, kierowca stracił panowanie nad pojazdem, wjechał na chodnik i uderzył w Vince'a z olbrzymią siłą. Zginął na miejscu, sprawca odjechał. Jeszcze go nie złapano.

- Czy mogę księdza spytać wprost?

Ksiądz skinął głową.

- Czy uważa ksiądz, że Vince został zamordowany?

Ojciec Fisher odchylił się do tyłu i wyciągnął rękę po jedną z poduszek leżących na sofie, niebiesko-zielono-czerwoną.

- Byłem w Salwadorze. Dwadzieścia lat temu. W czasach komunistycznych. Znałem twojego dziadka. Przykro mi z powodu jego śmierci. Spotkaliśmy się kilka razy. Mieliśmy podobne poglądy na wiele spraw. Długo przed Marksem i Leninem Jezus walczył o społeczną sprawiedliwość.: Nie możemy zajmować się jedynie duszami, kiedy ludzie żyją w tak straszliwej nędzy. Tak jak Jezus wychodził naprzeciw ubogim, tak i ja czyniłem. Zostałem wysłany do niewielkiej wioski w sercu dżungli, kawałek drogi od San Salvador. Stworzyliśmy tam spółdzielnię tkacką, program zdrowotny, nauczyliśmy mieszkańców pisać i czytać. To są wyroby, które tam powstały. To było dwadzieścia lat temu, a kolory są nadal piękne i intensywne — powiedział, uklepując poduszkę. - Życie w wiosce stało się uporządkowaną zorganizowane. Wybrano nawet burmistrza, Joaquina, urodzonego organizatora i przywódcę. Zaczęliśmy rozmawiać o utworzeniu związków zawodowych, szkół. A potem zdarzył się wypadek. Joaquin został potrącony przez samochód, kiedy wracał nocą do domu. Zginął na miejscu. Kilka dni później w wiosce pojawiło się wojsko i

zastrelilo kilku przypadkowych ludzi za „wspieranie partyzantów”. Ja zostałem po kryjomu przetransportowany do Nikaragui, a stamtąd ruszyłem w podróż powrotną do Budapesztu.

Alex próbował wyobrazić sobie krzepkiego węgierskiego księdza, przedzierającego się przez dżunglę z lewicowymi partyzantami. Nie sprawiło mu to najmniejszej trudności.

- Modłę się za duszę Vince’a Szatmariego - odezwał się znowu ksiądz. - Ja sam namawiałem go, aby do was poszedł. A teraz nie żyje. Namawiałem mieszkańców Salwadoru, aby uczyli się czytać i pisać. Teraz większość z nich nie żyje, a ich wioska została zniszczona. Być może muzułmanie mają rację. Może rzeczywiście wszystko jest już gdzieś zapisane i zależy tylko od Boga.

Alex dopił swoją kawę i odstawił filiżankę.

- Kto chciał się pozbyć Vince’a Szatmariego?

Ksiądz spojrział na niego twardo, jakby go oceniając.

- Vince powiedział mi, że odkrył w banku jakiś dokument. Zawierał on szczegółowe instrukcje dotyczące procedur przetargowych w nadchodzącej serii prywatyzacji. Pewne firmy mają być faworyzowane, inne zaś ignorowane. Wszystko zostało wcześniej zaplanowane. W grę wchodzi miliardy euro. Potem znalazł jeszcze listę firm. Każda z nich była częścią albo była w jakiś inny sposób powiązana z dwoma niemieckimi gigantami wykupującymi wschodnią Europę.

- O jakich dwóch gigantach mówimy? - spytał Alex, starając się ukryć ekscytację.

- Myślę, że doskonale pan wie. Proszę nie podejmować żadnych pochopnych decyzji w związku z informacją, którą panu przekazałam. Jedna osoba już straciła przez nią życie.

## Rozdział 15

Kopułowy dach łaźni Rudas był wyłożony kwadratowymi kawałkami barwionego szkła, przez które wpadały do pomieszczenia kolorowe, wąskie strużki światła i przebijały się przez parę i taflę wody, aż na dno basenu. Wybudowany przez Turków otomańskich w szesnastym wieku Rudas przetrwał burzliwe czasy w historii Węgier. Cesarstwa rozkwiwały, upadały, raz wchłaniając Węgry, to znowu je wypluwając, a Rudas trwał na posterunku, bez względu na to czy rządził sułtan czy Sowiet. Woda w dużym sześciokątnym basenie stała miała trzydzieści stopni Celsjusza. W każdym z czterech okalających go mniejszych basenach temperatura woda była inna - od przeraźliwie zimnej, do niemal wrzącej. Na gości czekały też dwie sauny i łaźnie parowe. Krótka mówiąc, wizyta w łaźni Rudas była nie lada przeżyciem, zwłaszcza o poranku.

Obecnie bezrobotny Alex miał mnóstwo czasu na przyjemności, które oferowało mu miasto, postanowił więc dołączyć do często okupujących łaźnie poetów, polityków i gangsterów. Leżał teraz w głównym basenie, wpatrując się w sufit. Był otumaniony i to nie tylko od wszechobecnej pary, ale też od mineralnych składników wody. Stracił dziadka, pracę, ukochaną i ostatecznie zaprzepaścił swoje szanse na związek z Nataszą. Dodatkowo dowiedział się, że ponieważ w „Budapest News” pracował na jednorocznym kontrakcie, nie otrzyma żadnej odprawy. Szesnaście lat lojalnej pracy w dziennikarstwie nie znaczyło absolutnie nic dla Volkstern Corporation. Czuł się zdradzony i wściekły. Ale chociaż nie miał już pracy, nie utracił poczucia dziennikarskiej misji. Miklos został zamordowany. Vince Szatmari zginął w niejasnych okolicznościach. Koncerny KZX i Volkstern Corporation wykupywały kolejne fragmenty państwa za bezcen. Teraz miał więcej czasu, żeby zająć się tym wszystkim na poważnie, pokopać głębiej. Ronald Worthington postanowił wrócić do Dorset i otworzyć tam pub. Wcześniej jednak, jak oznajmił, zamierzał wyprawić pożegnalną kolację, jakiej jeszcze Budapeszt nie widział.

- Zawsze możesz pracować dla mnie - zaoferował Mubarak Fonseca, który moczył się obok niego.

- Jako kto? Kelner w Casablance? - zaśmiał się Alex.

- Ale faktycznie, pracowałem kiedyś w czasie wakacji jako kelner w czterogwiazdkowym hotelu. Jestem doskonale przeszkolony do pracy w restauracjach o najwyższym standardzie. Wiem, jak nalewać zupę z wazy, tak aby jej nie rozlać, i jak elegancko dożyć wykrochmaloną serwetkę - powiedział, szturchając jednocześnie Mubaraka, kiedy dostrzegł najlepszego boksera Węgier gawędzącego właśnie z jednym z byłych ministrów w mniejszym basenie.

Mubarak wyprostował się, nabrał wody w dłoń i oblał sobie głowę.

- A widzisz, czyli możesz zaczynać od jutra. Nie jestem tylko pewien, czy mamy w Casablance wykrochmalone serwetki. Może więc mógłbym nauczyć cię co nieco o wymianie walut. Chociaż wygląda na to, że jest to obecnie coraz bardziej ryzykowny interes - powiedział ponuro, dotykając delikatnie znikającego powoli sińca.

- Złożyłeś na nich skargę? - zapytał Alex.

Mubarak prychnął szyderczo.

- A niby do kogo? Moje interesy nie są do końca legalne i transparentne. Ale rozmawiałem z moją przyjaciółką, która pracuje dla jednej z państwowych agencji. Może zainteresować cię fakt, że w ministerstwie spraw wewnętrznych obecnie narasta konflikt między żandarmerią i tajnymi służbami. Nie tylko mnie spotkała taka przykra sytuacja. Żandarmi co rusz biją informatorów tajnych służb z, nazwijmy to, eklektycznej części społeczeństwa. Przystępność wzrasta, nacjonalistyczna prasa domaga się podjęcia zdecydowanych działań, a forint słabnie. Wszystko sprzedawane jest po okazyjnych cenach.

Alex się uśmiechnął.

- Łącznie z gazetami w języku angielskim. Chyba pójde skorzystać z dobrodziejstw łaźni parowej. Wracam za chwilę.

Mubarak uśmiechnął się i przeciągnął z zadowoleniem.

Łaźnia parowa była niewielkim, wyłożonym kafelkami pomieszczeniem o powierzchni około dwóch metrów na cztery. Na metalowej rurze, którą płynęły wrzące opary, wisiało ostrzeżenie, że klienci korzystają z łaźni na własne ryzyko. Wiekowy termometr wskazywał temperaturę: czterdzieści pięć stopni. Dwóch starszych dżentelmenów, pulchnych i zaróżowionych, siedziało na drewnianej ławie i dyskutowało o węgierskiej literaturze. Przesunęli się kawalek, aby zrobić miejsce Alexowi. Usiadł ciężko i oparł głowę o ścianę, zamykając oczy. Jednym uchem przysłuchiwał się ożywionej dyskusji. Czuł, jak wraz ze spływającym potem uchodzi się z niego powoli całe napięcie, towarzyszące mu przez ostatnie dni.

Nie zauważył, że drzwi się otworzyły, a do środka weszło dwóch mężczyzn - na ich na widok dyskutanci błyskawicznie się ulotnili. Pierwszy z mężczyzn był wysoki, umięśniony i zupełnie łysy. Jego ciało pokrywały liczne tatuaże, a przez twarz, od czoła aż po prawe ucho, ciągnęła się blizna po kiepsko zszytej ranie. Jego towarzysz był o głowę niższy, ale za to dużo szerszy. Jego głowa wyglądała tak, jakby została przymocowana bezpośrednio do tułowia, zupełnie jakby był przedstawicielem jakiegoś nowego gatunku, któremu szyja okazała się niepotrzebna. Wytatuowany mężczyzna siadł koło Alexa, a jego kolega stanął przy drzwiach, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Alex wyczuł jakiś ruch w pomieszczeniu. Wzdrygnął się i otworzył oczy. Przeszył go ból w dole kręgosłupa. Na swoim prawym ramieniu poczuł żelazny uścisk tak silny, że zdawało mu się, jakby ktoś ścisnął je w imadle. Próbował się wyswobodzić, bezskutecznie. Mężczyzna uśmiechał się, stopniowo zwiększając ucisk. Alex wił się z bólu, wpatrując się w tatuaże swojego oprawcy - pajęczą sieć na szyi i łeb ryczącego lwa na klatce piersiowej. Chciał

krzyknąć, ale kiedy tylko otworzył usta, mięsista dłoń zacisnęła się na jego szczęce, zamykając mu usta.

- Spokojnie, Sasza. Mogę tak do ciebie mówić, Sasza? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. - Bo ja jestem Jurij. Mamy do ciebie tylko kilka prostych pytań. I nawet nie myśl o ugryzieniu mnie. Jeśli to zrobisz, uwierz mi, wybije ci wszystkie zęby, co do jednego. Pokiwaj głową, jeśli mi wierzysz. - Jego głos był spokojny i stanowczy.

Alex, dysząc, zrobił, co mu kazano. Jego ciało przeszywał ból i strach. Rozejrzał się. Gdzie zniknęli pozostali? Drugi mężczyzna stał nieruchomo, pilnując drzwi. Jurij odezwał się ponownie:

- To samo zrobię ci, jeśli zaczniesz wrzeszczeć, kiedy zabiorę rękę z twojej twarzy.

Przytaknij, jeśli rozumiesz.

Alex jeszcze raz kiwnął głową. Uścisk na jego ramieniu nieco zelżał.

- Świetnie. Bardzo się cieszę. Mów teraz, gdzie to jest?

- Gdzie co jest?

Jurij spochmurniał. Szarpnął Alexa i wymierzył mu prawą ręką kilka siarczystych policzków. Każdy z nich brzmiał jak trzaśnięcie z bicia.

- Tylko ostrożnie. Nie chcemy przecież, żeby coś ci się stało w główkę - powiedział Jurij, chwytając Alexa za głowę i delikatnie opierając ją o wyłożoną kafelkami ścianę. Na podłodze leżał gumowy wąż podłączony do kranu. Jmij odkręcił kurek i zaczął biczować Alexa lodowatą wodą. Alex zaczął się trząść - nie wiedział już, czy z zimna czy z gorąca.

- Tak lepiej. Sprawdźmy, czy ta terapia uleczyła twoje kłopoty z pamięcią. Spytam jeszcze raz: gdzie to jest? Ty to masz, czy może jest u dziewczyny? Bardzo ładna ta twoja koleżanka. Byłaby wielka szkoda, gdyby coś jej się stało.

- Nie-wiem-o-czym-mówisz - powtórzył Alex z trudem, przez zaciśnięte zęby.

Ukrop był nie do wytrzymania. Miał wrażenie, jakby trzymał czubki palców w garnku z wrzątkiem. Pot lał się z niego strumieniami, całe pomieszczenie wirowało. Otrzymał kolejny cios - aż się zatoczył. Czuł się tak, jakby jego głowa miała zaraz eksplodować. Z dolnej wargi trysnęła krew. Alex osunął się bezwładnie na podłogę. Ostatkiem sił obrócił się i z całej siły dwukrotnie uderzył napastnika w krocze. Jurij zasyczał z bólu. Alex rzucił się w stronę drzwi, ale drugi bandzior już tam na niego czekał. Z łatwością odepchnął go od drzwi, rzucając o ławę. Alex znowu leżał na podłodze.

- To był błąd - warknął Jurij. - Bardzo duży błąd.

Chwytał Alexa, podniósł go i wymierzył mu cios w żołądek. Alex przewrócił się i zwymiotował. Pomieszczenie wypełnił kwaśny zapach.

- Nie ma spania na służbie, Sasza - powiedział Jurij, ponownie polewając Alexa zimną wodą, a przy okazji splukując wymiociny w kąt łazienki.

Na palce wsunął kastet, do którego przymocowane było niewielkie ostrze. Alexa próbował się podnieść, ale obolałe kończyny obmówiły mu posłuszeństwa. Ręce Jurija przycisnęły go w z powrotem do podłogi.

Jurij przesuwiał ostrzem po ramieniu Alexa, szybko i precyzyjnie, zupełnie jakby kroił kawałek kiełbasy. Alex wił się z bólu i syczał, kiedy ostrze przecinało moką skórę. Krew, mieszając się z parą wodną, kapła na podłogę różowymi kroplami.

Jurij odsunął się, podziwiając swoje dzieło, a potem znów zaczął kaleczyć swą ofiarę. Alex krzyknął.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Mubarak. W mgnieniu oka znokautował pomocnika Jurija - mocny cios w klatkę piersiową spowodował, że poleciał on na ścianę, a potem kopniakiem złamał mu szczękę. Mężczyzna jęknął głucho i osunął się nieprzytomny na ziemię.

Jurij ruszył na agresora z nożem w ręku. Kiedy jednak spostrzegł, że ma do czynienia z Mubarakiem, zatrzymał się zaskoczony.

Mubarak popatrzył na niego z pogardą i wyrwał mu nóż z ręki.

- Jurij. Pomagier Ukraińców. Taki jesteś skory do bitki dwóch na jednego, to co powiesz na solówkę? - Mubarak chwycił Jurija za szczękę, popchnął go, a kiedy mężczyzna ciężko klapnął na drewnianą ławę, cisnął w jego kierunku nożem. Ostrze wbiło się w drewno między nogami Jurija. - Czy twój szef wie, że dorabiasz sobie na boku? Spotykam się z nim dziś wieczorem, myślę, że bardzo zainteresuje go fakt, że odwalasz fuchy.

Jurij spojrział na niego ze strachem w oczach.

- Mubarak... proszę, nie rób tego. Skąd miałem wiedzieć, że ten facet jest twoim przyjacielem?

- Zostań tutaj. Chcę z tobą porozmawiać - rzucił krótko Mubarak, po czym zwrócił się do drugiego bandziora, który w międzyczasie odzyskał przytomność. - Idź do obsługi i poproś o czysty kawałek materiału, apteczkę, kilka ręczników i dużo wody mineralnej.

Mubarak zakręcił zawór instalacji wodnej. Coś skrzypnęło, zasyczało, a potem zapadła cisza. Mubarak pomógł Alexowi podnieść się z podłogi. Kłęby pary zaczęły opadać.

\* \* \*

Peter Feher opatulił się ciasniej połami swojego płaszcza. Czekał przy ślizgawce obok Zamku Vajdahunyad, nieopodal Parku Miejskiego. Każdej zimy ten niewielki staw zamarzał, tworząc lodowisko, na którym dzieci uczyły się jazdy na łyżwach. Uśmiechał się na widok ich pierwszych niepewnych prób. Rodzice dopingowali je okrzykami, a dzieciaki upadały raz po raz, obijając sobie pupy. Feher zatrzymał wzrok na kilkunastoletniej dziewczynie poruszającej się zwinnie i z gracją. Ze zgrzytem łyżew zatrzymała się tuż przed swoim ojcem, a ten ucałował ją z dumą.

Poczuł w sercu ukłucie żalu. Żalu, że sam nie był lepszym ojcem. Dziś miał zamiar spotkać się ze swoją dorosłą już córką, pójść na spacer po parku, pojawić się na chwilę na wiecu Sanzlermanna na pobliskim Placu Bohaterów, a potem usiąść gdzieś i zjeść obiad. Wybranie Placu Bohaterów na miejsce wiecu było doskonałym posunięciem Sanzlermanna. To właśnie tam król Stefan, pierwszy monarcha Węgier, został upamiętniony wraz z innymi wielkimi postaciami z węgierskiej historii w imponującej kolumnadzie. Przy placu zaczynała się aleja Andrassyego. To przy niej rozciągała się posiadłość Farkasów, bodajże pod numerem 106. Miniony bezpowrotnie świat, w którym nawet służba podzielona była według rangi, świat wytwornej porcelany i sreber, czyszczonych co tydzień na wysoki połysk. Nic dziwnego, że Antal Noludi, zarządca fabryki, błyskawicznie sobie ją przywłaszczył. Mieszkał tam teraz jego syn Balazs, naczelny „Ebredjetek Magyarok!”. Czy Alex wiedział, że w świetle prawa willa należy do niego? Oczywiście, Feher nie wierzył w dziedziczenie przywilejów. Jednak...

\* \* \*

- Cześć, tatusiu - usłyszał znajomy głos - Przepraszam za spóźnienie - powiedziała jego córka, nadstawiając policzek do ucałowania.

Peter odwrócił się, aby na nią spojrzeć. Była tak bardzo podobna do swojej matki, że czasem aż zaskakiwał go jej wygląd. Turkusowe oczy, gęste, modnie przycięte blond włosy, bystry uśmiech. Zauważył, że dziś ma cienie pod oczami. Podsunął jej swoje ramię i ruszyli ku Placowi Bohaterów. Już z daleka widać było olbrzymie, czerwono-białe transparenty, rozwieszane między kolumnami dwóch usytuowanych przy placu muzeów. „Rodzina, Praca, Jedność” - głosił jeden z nich. Na drugim widniał napis: „Razem ku chrześcijańskiej Europie”. Obydwa ozdobione były wielką podobizną Sanzlermanna. Król Stefan, stojący nieruchomo na swoim cokole, przyglądał się panującemu na placu zamieszaniu. Technicy

poprawiali jeszcze coś na scenie ustawionej przodem w stronę alei Andrassyego. Żandarmi odgradzali pobliskie ulice za pomocą żółtych taśm i kierowali samochody na objazdy, kompletnie ignorując narzekania kierowców.

Niewielka kontrmanifestacja zbierała się na drugim końcu placu, nieopodal budynku, w którym mieściła się dawniej ambasada Jugosławii. W grupie protestujących byli przede wszystkim młodzi ludzie, prawdopodobnie studenci, ale także przedstawiciele klasy średniej. Feherowi wydawało się, że dostrzegł w tłumie Krisztinę Vargę, przewodniczącą Chrześcijańskich Demokratów, atrakcyjną kobietę koło pięćdziesiątki, która zrezygnowała ze stanowiska ministra sprawiedliwości po tym, jak Hunkalffy został premierem. Było tam też kilku innych posłów, byłych i obecnych, w tym dwóch usuniętych niedawno przez samego Hunkalffyego z jego Węgierskiej Partii Ludowej. Stojący obok siebie dziewczyna i chłopak trzymali transparenty z napisami w języku angielskim: „Hunkalffy to nie Węgry” i „Węgry to nie Hunkalffy”.

- Spójrz - powiedział Feher do córki, wskazując na te dwójkę. - Może da się jeszcze coś zrobić.

- Miejmy nadzieję - westchnęła Cassandra Orczy.

\* \* \*

Alex wykrzywił się z bólu, kiedy lekarz zakładał mu szwy i opatrywał ramię. Szczęśliwie rany były płytkie i niezbyt zanieczyszczone. Po incydencie w łaźni Mubarak ściągnął taksówkę i chciał zawieźć Alexa do szpitala, ten jednak odmówił - wolał jechać prosto do domu. Wezwany lekarz był roslym, nieco flegmatycznym mężczyzną o dobrotliwym spojrzeniu.

- Wygląda na to, że nie ma pan żadnych uszkodzeń ani wstrząsu mózgu - oznajmił, kiedy skończył badać Alexa.

- Jednak proszę niezwłocznie zadzwonić do mnie, jeśli pojawią się nudności, zawroty głowy albo światłowstręt. Proszę brać leki przeciwbólowe, odpoczywać i przyjmować dużo płynów.

Alex leżał na plecach w swoim łóżku. Mubarak odprowadził lekarza do wyjścia, przy okazji wsuwając mu do ręki dziesięć tysięcy forintów w dwóch banknotach. Potem dokładnie zamknął drzwi.

- Wygląda na to, że ktoś grzebał przy zamkach. Przyślę jutro Zorana, mojego specja od zabezpieczeń, żeby na to zerknął.

- Dzięki. Za to i za uratowanie mnie - odparł Alex. - Powinieneś już iść. Spóźnisz się na swoje spotkanie z szefem Szewczenki.

- Spotkanie mam dopiero w następną środę. - Mubarak wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale z pewnością opowiem mu, jak jego główny zabijaka dorabia sobie na boku u tajemniczego zleceniodawcy. Tak dyskretnego, że nawet nie mieli jeszcze okazji się spotkać. Ale podobno płaci mu bardzo dobrze. Cóż, postaraj się odpocząć.

Po wyjściu Mubaraka, Alexowi udało się przespać kilka godzin. Kiedy się obudził, pokój już nie wirował, ale lewe ramię bolało tak, że ledwie mógł nim ruszyć. Zadrapania na twarzy szczypały, a brzuch - tam, gdzie napastnik zadał mu najwięcej ciosów - bolał. Alex zrobił sobie herbatę i odgrzał trochę zupy. Dodało mu to siłę, przynajmniej na tyle, że mógł teraz wziąć do ręki najnowszy numer „Magyar Tribün”. Według nowej ustawy żandarmeria miała teraz prawo do zatrzymania na trzy miesiące każdego, kogo chciała. Okres ten mógł zostać przedłużony po uzyskaniu zgody ministra spraw wewnętrznych, bez konieczności postawienia zatrzymanemu jakichkolwiek zarzutów. Demonstracja zorganizowana w proteście przeciwko nowej ustawie została szybko rozpedzona.

Włączył wiadomości telewizyjne. CNN pokazywało zwęglony wrak samochodu gdzieś w Wiedniu. W tle widać było odjeżdżające na sygnale karetki pogotowia. Młoda kobieta, której z twarzy spływała krew, szła chodnikiem, ledwo trzymając się na nogach. Reporter mówił: „Dziewięć osób zginęło, a siedemnaście zostało rannych w dzisiejszym wybuchu samochodu pułapki niedaleko austriackiego parlamentu. To kolejny atak z serii zamachów na europejskie stolice. Hasan Al-Ajnabi, lider Armii Wyzwolenia Imigrantów, przyznał się do zamachu. Z kolei na obrzeżach Wiednia wybuchły zamieszki, wywołane przez grupę skinheadów, którzy próbowali podpalić turecki meczet. W Strasburgu członkowie frakcji nacjonalistycznej w Parlamencie Europejskim domagają się natychmiastowego zniesienia instytucji azylu i ustanowienia prawa, na mocy którego każdy przekraczający granicę strefy Schengen bez odpowiedniej wizy byłby osadzany w specjalnym zamkniętym obozie”.

Alex zmienił kanał. W węgierskiej telewizji państwowej niezmiennie królowała Aniko Kovacs: „Koniecznie obejrzyjcie państwo relację na żywo z wiecu na Placu Bohaterów, gdzie przemawiać będzie Frank Sanzlermann, przybyły do Budapesztu na specjalne zaproszenie premiera Attili Hunkalffyego. A teraz pora na wiadomości gospodarcze. Dobre wieści: Volkstern Corporation ogłosiła dziś plany rozwoju w środkowej i wschodniej Europie. Volkstern oferuje darmowy szerokopasmowy Internet wszystkim tym, którzy przystąpią do programu lojalnościowego, obejmującego dobra konsumenckie, telefonię komórkową oraz ubezpieczenia zdrowotne”.

Alex wziął do ręki cyfrowy dyktafon, który dała mu Natasza. Wyglądał jak typowy sprzęt nagrywający, o wymiarach piętnaście na pięć centymetrów. Pokryty był plastikiem w kolorze srebrnym, a nad siatką głośnika znajdował się rząd przycisków. Na małym ekranie LCD wyświetlała się data, godzina i aktualny status urządzenia. Dane nagrywane były na wewnętrznej karcie pamięci. Można było przenieść je bezpośrednio na komputer i zapisać na płycie CD. Wcisnął jeden z przycisków, aby sprawdzić zawartość karty. Wyświetliła się informacja, że znajdują się na niej dwa pliki dźwiękowe, zajmujące łącznie trzydzieści pięć minut. Nacisnął przycisk „Play”, aby odtworzyć pierwszy z nich. Ekran zaświecił się, ale z dyktafonu nie wydobył się żaden dźwięk. To samo powtórzyło się przy drugim nagraniu. Zdziwiony postanowił podpiąć dyktafon do swojego laptopa. Na ekranie pojawił się pasek postępu instalacji, który zniknął automatycznie kiedy komputer rozpoznał urządzenie i je podłączył. Alex otworzył program umożliwiający przeniesienie plików na komputer i ich odtworzenie. Jednak po najechaniu kursorem myszki na przycisk „Otwórz plik” i kliknięciu, na ekranie pojawił się napis: „Treść zaszyfrowana. Odmowa dostępu. Podaj hasło”. Spróbował z drugim plikiem, z tym samym skutkiem.

Szyfrowanie stosowane było zazwyczaj w przypadku poufnych danych. Oznaczało to, że informacje na dyktafonie zostały zakodowane, a przez to dostępne jedynie dla tych, którzy znali hasło. Dyktafony zakupione przez „Budapest News” nie posiadały tej funkcji. Sprawdził połączenie

- wydawało się, że wszystko jest w porządku. Czy była to sprawka Nataszy? To prawdopodobne, ale po co miałyby to robić. Alex wyłączył laptop i odłączył dyktafon. Jeśli dane są zaszyfrowane, mogą też zawierać opcję samozniszczenia w przypadku kilkukrotnych nieudanych prób ich odczytania. Alex przyjrzał się uważniej samemu urządzeniu. Zauważył maleńkie logo - trójząb, pod którym widniał napis: KZX Industries.

Wpatrywał się w dyktafon. W jego głowie zabrzmiał nieprzyjemny głos. Gdzie to jest? Ty to masz, czy może jest u dziewczyny? Chwytał komórkę i wyszukał numer Nataszy. Odezwała się poczta głosowa. Zostawił wiadomość, prosząc, aby natychmiast się z nim skontaktowała. Potem spróbował zadzwonić na numer domowy. Nikt nie odbierał. Zostawił kolejną wiadomość o podobnej treści na automatycznej sekretarce. Gdzież ona jest? Postanowił zadzwonić jeszcze do Kitty Kovacs.

- Alex, jak miło, że dzwonicz! To, co się teraz dzieje w redakcji to absolutny koszmar. Nie wiem, ile tu jeszcze wytrzymam. Przysłali do nas mnóstwo nowych osób z Londynu i Monachium. I oni wszyscy wyglądają tak samo! Smith biega po całym biurze i rozstawia wszystkich po kątach. W przyszłym tygodniu ukażą się u nas dwa artykuły biograficzne: jeden o Hunkalffym i jeden o Sanzlermannie. A dział gospodarczy gazety wygląda teraz jak jedna wielka reklama Narodowych Obligacji Skarbowych.

- Kitty, nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Natasza? - przerwał jej Alex - Muszę się z nią pilnie skontaktować.

- Nie wiem, jak wy wytrzymujecie to ciągle dramatyczne napięcie między wami. A już miałam nadzieję, że chcesz rozmawiać ze mną! - zaśmiała się Kitty.

- Kitty, oczywiście, że za tobą tęsknię. Ale sprawa jest naprawdę pilna. Natasza może być w niebezpieczeństwie.

- Jak to? Mówisz serio? - spytała, natychmiast poważniejąc.

- Jak najbardziej. Jeśli się z nią skontaktujesz, powiedz jej, żeby zadzwoniła do mnie jak najszybciej.

\* \* \*

- Sądzymy, że zaczęli już nawet zabijać ludzi - oznajmiła Cassandra.

Spacerowali teraz po Parku Miejskim na tyłach Placu Bohaterów. Szara wiewiórka przebiegła im drogę, chwyciła coś i uciekła prędko na drzewo.

- Obawiałem się, że prędzej czy później tak się stanie

- odparł Peter.

- Młody mężczyzna, Vince Szatmari, zginął potrącony przez samochód w środę w nocy. Na Moście Elżbiety. Obserwowaliśmy go od pewnego czasu.

- Nie dość uważnie, jak widać.

- Wiem, tato - westchnęła Cassandra. - Ale połowa naszych ludzi została „przeniesiona” do innych zadań przez nowe kierownictwo. Nie wiem nawet, co teraz robią.

- A dlaczego obserwowaliście Vince’a? - zapytał Peter, spoglądając w niebo.

Pogoda się psuła: niebo poszarzało, wiatr dął coraz silniej, podrywając leżące na ziemi jesienne liście. Peter zacisnął mocniej pasek trenczowego płaszcza.

- Ponieważ pracował dla banku centralnego, a dokładniej dla Ignaca Akardyego, który został tam oddelegowany z Federalnego Urzędu Monetarnego w Monachium. Akardy pracował kiedyś w KZX Industries, a teraz w banku jest odpowiedzialny za prywatyzację.

- Akardy pracował w KZX. To ma sens - powiedział Feher, kiwając głową w zamyśleniu.

- Ale teraz nie chodzi już tylko o KZX - wtrąciła Orczy. - Szwajcarskie banki oraz niemieckie i austriackie firmy podpisują umowy, na mocy których albo przejmują całe firmy, albo wykupują udziały większościowe. Dotyczy to każdego bez wyjątku sektora państwowego przemysłu, a także mediów. A Hunkalffy przepycha kolejne ustawy. I spójrz na to - Cassandra wskazała na gigantyczny billboard, który pojawił się niedawno tuż przy parku. Głosił: „Madziarowie: Nie wspierajcie międzynarodowego kapitału! Inwestujcie w Narodowe Obligacje Skarbowe!”. - Piętnaście procent w skali roku... Jak niby mieliby to osiągnąć? - ciągnęła Cassandra. - A teraz jeszcze Heinrich Vautker został nowym prezesem Federalnego Urzędu Monetarnego.

- Heinrich Vautker. Dobry Niemiec. Chodź, siądźmy na chwilę, odpocznijmy - poprosił Feher, sięgając do wewnętrznej kieszeni po paczkę papierosów. Usiedli na parkowej ławce.

- Chciałabym, żebyś rzucił to świństwo. O co chodzi z Vautkerem? - zapytała Cassandra.

- Wiem, kochana, przepraszam. Postaram się niedługo rzucić. Vautker jest jednym z tych z nowego pokolenia „zielonych kapitalistów” - powiedział, a w jego głosie pojawiła się ironia. - Był wiceministrem finansów w latach dziewięćdziesiątych, a także odpowiadał za



sprawy związane z pomocą humanitarną. Pracował w Afryce i Ameryce Południowej przy różnych projektach rozwojowych finansowanych przez banki. Walka na rzecz ochrony lasów tropikalnych, rozdawanie prezerwatyw. Robi wokół siebie dużo szumu, opowiadając wciąż o „odpowiedzialności społecznej” i wykorzystywaniu kapitału na „usamodzielnianie” i pomoc w „budowaniu naszego wspólnego domu w Europie”. Teraz ty powiedz mi coś więcej na temat Vince’a Szatmariego. Czy był w to zamieszany, cokolwiek to jest?

- Nie wydaje nam się. Ma czystą kartotekę. Żadnych wyroków, żadnej politycznej agitacji. Regularnie chodził do kościoła. Nawet w porze lunchu zdarzało mu się uczestniczyć w spotkaniach biblijnych - zamilkła na chwilę, jakby zbierając się w sobie. - Tatku, jest coś jeszcze, o czym muszę ci powiedzieć.

Feher wziął córkę pod ramię.

- Tak, kochana, wiem. Ale na razie chodźmy obejrzyć show, jaki przygotowali dla nas Frank i Attila - zarządził Peter, kierując się w stronę sceny ustawionej na Placu Bohaterów.

## Rozdział 16

Kamera sunęła wolno po Placu Bohaterów. Alex siedział na łóżku i oglądał w państwowej telewizji relację z wiecu wyborczego Sanzlermanna. Za chwilę, jako pierwszy, miał przemawiać Hunkalffy. Scenę otoczyli żandarmi w pełnym rynsztunku, hełmach z ciemnymi przysłonami i w wysokich butach. W rękach trzymali długie gumowe pałki, cięższe niż te używane na co dzień. Obiektyw kamery uchwycił teraz twarz Hunkalffy’ego, który stał już na mównicy. Przez kilka sekund nic nie mówił, stał tylko z opuszczoną głową, podczas gdy z głośników płynęły dźwięki europejskiego hymnu, finałowej kantaty z IX symfonii Beethovena. Kiedy muzyka ucichła, podniósł głowę i spojrzał na zgromadzony na placu tłum. Operator zrobił kolejne zbliżenie - Hunkalffy miał w ręce wyblakłe, czarno-białe zdjęcie młodego chłopaka w odświętnym garniturze.

- Zdjęcie, które trzymam w ręku, przedstawia mojego ojca, Jozsefa Hunkalffyego. To jedyne, co mi po nim pozostało. - W jego głosie była siła i determinacja - Nigdy go nie poznałem. Zginął, zanim przyszedłem na świat. W 1956 roku walczył przeciwko sowieckim najeźdźcom. Został aresztowany przez komunistów. Torturowali go, aby wydał im swoich współników. Ale mój ojciec nie złamał się. I został za to powieszony. Powiesili go ci sami oprawcy z AVO, których synowie i córki zasiadają dziś w parlamencie w ławach socjaldemokratów. Ci sami oprawcy, których przyjaciele i współnicy w Nowym Jorku i innych miastach, wykupują naszą ziemię i nasz kraj.

Wśród zgromadzonego tłumu przeszedł pomruk aprobaty. Starszy pan w podniszczonym prochowcu krzyknął nawet: „Do diabła z komunistami!”.

- Moja matka zmarła, nie zobaczywszy nawet jego grobu - ciągnął dalej Hunkalffy. - Jego ciało zabrano i pochowano w nieznanym miejscu. Kiedyś miałem okazję zapytać byłego oficera AVO, obecnie miliardera, który zarządza jednym z największych banków w kraju, gdzie złożono szczątki mojego ojca. Odpowiedział, że pod fundamentami siedziby głównej Partii Komunistycznej, tam, gdzie obecnie znajduje się siedziba socjaldemokratów.

Hunkalffy przerwał na chwilę i rozejrzał się po twarzach w tłumie, od lewej do prawej.

- Kiedy mi to mówił, uśmiechał się. Ten były komunista jest teraz wielkim kapitalistą... - publiczność zaczęła buczeć. Kilgoro demonstrantów zaczęło skandować „Śmierć AVO!”. Hunkalffy uniósł dłoń. Tłum momentalnie ucichł. - ...a potem powiedział mi, że „to dla niego najodpowiedniejsze miejsce”.

Tłum zamruczał gniewnie.

- Dziękuję wam, moi krajanie. Dziękuję. Mówią nam, że AVO już nie ma - podjął Hunkalffy. - Że nie ma już komunistów. A jednak ich wpływy przetrwały. Wciąż istnieją sieci powiązań. Wciąż próbują uzależnić nas od międzynarodowego kapitału, tak jak niegdyś od Moskwy. Ale nie poddaliśmy się w 1848. Nie poddaliśmy się w 1956. Nie poddamy się i dziś. Nadchodzą dla nas wspaniałe dni - jeden z naszych najbliższych przyjaciół zostanie prezydentem Europy. Frank Sanzlermann jest najlepszym gwarantem naszej suwerenności.

Aplauz publiczności sięgał zenitu, ale rozległy się też szydercze okrzyki. Kamera zwrócona była teraz w kierunku kontrmanifestacji: kilkaset osób, pokojowo nastawionych demonstrantów, trzymających tablice z hasłami. Na ich czele stała Krisztina Varga, była minister sprawiedliwości.

- Ciebie też powinni byli powiesić - wrzasnął mocno zbudowany, nieogolony mężczyzna w skórzanej kurtce, stojący w samym środku tłumu zgromadzonego na placu. Spojrzenia ludzi skierowane były teraz w jego stronę. Mężczyzna popchnął stojącą obok niego kobietę w średnim wieku. Zrobił to tak mocno, że kobieta potknęła się i upadła. Kamera pokazywała teraz panoramiczny obraz tłoczących się na placu osób, między którymi przepychało się kilka niewielkich grup mężczyzn o zaciętych twarzach, wykrzykujących obelgi. W stronę sceny poleciała puszka - jak się okazało, pełna. Zaalarmowani ochroniarze Hunkalffyego rozglądali się nerwowo, szepcząc coś do mikrofonów umieszczonych w klapach marynarek. Alex aż się podniósł, bacznie obserwując zamieszanie na wiecu. Kto rzucił puszkę w stronę sceny? Nie wyobrażał sobie, żeby stała za tym Krisztina Varga, do niedawna przecież koleżanka premiera. Zamieszanie podsycali mężczyźni w skórach, szalejący pośród tłumu.

Hunkalffy to rozglądał się nerwowo wokoło, próbując ocenić sytuację, to znów wpatrywał się w swoje notatki. Próbował wrócić do przerwane przemówienia:

- Dla Europy zaczyna się nowy, przełomowy dzień. Kiedy mój przyjaciel, a nasz sprzymierzeniec, Frank Sanzlermann, zostanie wybrany prezydentem, Węgry ugruntują swoją pozycję... - nie dokończył, bo nadlatująca puszka boleśnie uderzyła go w głowę. Hunkalffy cofnął się chwiejnym krokiem, zaskoczony i przerażony. Ramka ze zdjęciem wypadła mu z rąk.

- Moja fotografia! - krzyknął, a operator kamery natychmiast zrobił zbliżenie na jego zakrwawioną twarz, kiedy próbował podnieść z ziemi potłuczoną ramkę. Jego ochroniarze pośpiesznie zabrali go ze sceny.

Teraz do akcji wkroczyli żandarmi. Wymachiwali gumowymi pałkami, rozpylali gaz pieprzowy. Spanikowani ludzie zaczęli krzyczeć, chaos wzrastał. Mężczyźni w skórzanych kurtkach zniknęli równie szybko i bezszelestnie, jak się pojawili. Tłum rozbiegł się na wszystkie Strony, krzycząc i kaszląc w oparach unoszącego się gazu pieprzowego. Żandarmi rozpoczęli natarcie na niewielką kontrmanifestację przy budynku dawnej ambasady Jugosławii, mimo że żaden z jej uczestników nie brał udziału w przepychankach. Starszy mężczyzna w beżowym trenczu próbował osłonić się przed żandarmem, który wymachiwał nad nim pałką. Kobieta stojąca obok niego wrzeszczała na mundurowego, podtykając mu pod nos swoją legitymację, ten jednak zignorował ją i uderzył starszka w ramię. Mężczyzna osunął się na ziemię, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Alex wyprostował się gwałtownie, przyglądając się całemu zajściu. Nic było ono pokazywane z bliska, jednak Alexowi twarz starszego pana wydała się znajoma. Wpatrywał się zaintrygowany w ekran, dopóki transmisja na żywo się nie skończyła.

Sanzlermann uśmiechnął się do kelnerki, która sprzątała właśnie po kolacji. Siedział przy stole w swoim apartamencie. Towarzyszyli mu Reinhard Daintner i Attila Hunkalffy. Po posiłku składającym się z podsmażanych gęsich wątróbek, pieczonej kaczkę, makowego ciasta i prawie całej butelki czerwonego wina czuł się przyjemnie syty. Sanzlermann spojrzął na plaketkę kelnerki, przypiętą tuż nad imponującym biustem. Obserwował, jak dziewczyna zbiera talerze, kieliszki i sztućce na ruchomy barek. Gęste brązowe włosy, piegi, zielone oczy

- cała postać Ewy składała się na obrazek, na który miło było popatrzeć, pomyślał Sanzlermann, dotykając delikatnie popękanej skóry na wierzchu lewej dłoni.

i Czy życzą sobie panowie czegoś jeszcze? - zapytała z namaszczaniem Eva, trzymając w ręku dzbanek z kawą. Daintner i Hunkalffy pokręcili przecząco głowami.

- Nie teraz, dziękujemy, Evo. Ale może zajrzałybyś do nas za kilka godzin? - poprosił. - Lubię wypić sobie kieliszek przed snem - dodał, dyskretnie klepiąc ją po pupie. Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

- Oczywiście, proszę pana - odparła grzecznie, napelniając filiżanki kawą. Uśmiechnęła się do Sanzlermanna, po czym ruszyła do wyjścia, kręcąc zalotnie biodrami i popychając przed sobą barek.

- Frank, musimy dokończyć pewne sprawy - zaczął Daintner. - Nie wiem, jakie masz plany, aleja nie mam najmniejszej ochoty być tutaj za parę godzin.

Sanzlermann wyprostował się w swoim fotelu i zapalił cygaro.

- Cóż, ja też bym nie chciał, Reinhard. Ale masz rację. Musimy dokończyć naszą dyskusję. Attila? - wypuszczając kłęby dymu, zwrócił się do Hunkalffego.

Węgierski premier sączył w zamyśleniu kawę.

- Pierwszy etap idzie zgodnie z planem. Csaba Zirta, nasz minister spraw wewnętrznych, spisuje się naprawdę świetnie. Żandarmeria stopniowo wypiera lokalną policję. Odpowiednie ustawy i przepisy gładko przechodzą przez parlamentarne głosowania, mimo że nie jesteśmy rządem większościowym. Forint stopniowo traci na wartości. Przeprowadzone na nasze zamówienie badania wykazują, że nastroje antyromskie są silne i jeszcze się nasilają. Brygada Panońska skutecznie odwraca uwagę. Ale to wszystko dzieje się za wolno. Istnieje ryzyko, że w kwestii Romów pojawi się jeszcze jakiś zdecydowany odruch współczucia. Mamy też drobne kłopoty w służbie bezpieczeństwa narodowego, ale pracujemy już nad ich zlikwidowaniem. Martwię się jednak, że stracimy rozpęd. Wydaje mi się, że powinniśmy wykorzystać ten moment i przejść jak najszybciej do etapu drugiego naszego planu.

- Moim zdaniem błędem byłoby teraz przyspieszać. Ale co dokładnie masz na myśli? - zapytał Sanzlermann.

- Pożar Reichstagu - wyjaśnił krótko Hunkalffy, przycinając cygaro.

- Chcesz podpalić węgierski parlament?

Rozentuzjasmowany Hunkalffy pochylił się w jego stronę, wymachując niezapalonym cygarem.

- Nie do końca. Ale pożar Reichstagu dał Hitlerowi pretekst do ogłoszenia stanu wyjątkowego, zawieszenia praw obywatelskich i aresztowania politycznych przeciwników. Słodką ironią tego całego zdarzenia polega oczywiście na tym, że prawdopodobnie to sami naziści podłożyli ogień. Marinus van der Lubbe został stracony za coś, czego nie zrobił. Podobny wstrząs pomógłby nam przejść szybko i sprawnie do etapu drugiego. Co o tym sądzisz, Reinhard?

- Brzmi całkiem nieźle. *Carpe diem*, koledzy. Tylko gdzie jest nasz van der Lubbe? Hunkalffy zerknął na zegarek.

- Prawdopodobnie właśnie przekracza próg tego hotelu.

Zadzwoił telefon. Odebrał Hunkalffy.

- Tak, proszę skierować go do nas na górę. Dziękuję.

\* \* \*

Alex stał na balkonie, rozkoszując się delikatną bryzą znad rzeki. Nocne powietrze było ostre, rześkie i wilgotne. Dokuczało mu ciągle opatrzone ramię, bolała szczęka i żołądek, ale już czuł się coraz lepiej, również dzięki silnym środkom przeciwbólowym, które przepisał mu lekarz. Ale jak by się to wszystko skończyło, gdyby w porę nie pojawił się Mubarak? Skoro

„oni”, kimkolwiek byli ludzie opłacający Jurija, zaatakowali go raz, z pewnością próbując zrobić to ponownie. Alex spojrział w dół, na ulicę. Starszy mężczyzna sprzedający kwiaty na rogu zaczął wreszcie związać swoje stoisko, złożone ze składanego krzeselka i plastikowego stolika. Dwóch romskich chłopaków szło chodnikiem, popychając przed sobą duży wózek z supermarketu, w którym stał trzeci chłopak. Wszyscy trzej zaśmiewali się do rozpuku. Zazdrościł tym młodym ludziom wolności i niewinności. Zazdrościł im rodziców. Wezbrało w nim znajome uczucie tęsknoty. Od pewnego już czasu próbował przygotować się na śmierć dziadka - Miklos miał już w końcu ponad osiemdziesiąt lat. W najgorszych snach nie przypuszczał jednak, że straci ukochaną osobę w taki sposób. Bardzo za nim tęsknił.

Wszedł do mieszkania i włączył telewizor. Prezenter informował właśnie, że zakazano wszelkich demonstracji, dopóki nie skończy się kampania prezydencka, i że ma to związek, z jak to ujął, „żenującymi zajściami dnia dzisiejszego, kiedy to chuligani, sabotażyści i inne jednostki antypaństwowe próbowali dokonać zamachu na premiera Węgier i tym samym zmusili do przerwania wyborczego wiecu pana Franka Sanzlermanna”. Pokazano nagranie bijatyki, a następnie ujęcie Hunkalffyego z zakrwawioną twarzą. „Wciąż nie wiadomo, czy odbędą się zaplanowane wcześniej przedwyborcze spotkania” - zakończył prezenter.

Alex wybuchnął śmiechem. Rzucenie puszką w premiera trudno zaklasyfikować jako próbę zamachu. Ciągłe jednak męczyła go wcześniejsza transmisja, a dokładniej moment, w którym żandarmi zaatakowali kontrmanifestantów. Wydawało mu się, że widział wtedy Petera Fehera. Dlaczego jednak miałby tam być? A jeśli to był on, kim była towarzysząca mu blondynka? Spróbował dodzwonić się do Fehera, niestety bezskutecznie. Na ekranie pojawiła się Aniko Kovacs, rozparta w wygodnym fotelu, w towarzystwie trójki gości. Była teraz prowadzącą programu publicystycznego.

Tempo jej kariery wręcz oszałamiało. Kovacs przedstawiła swoich rozmówców. Byli to: Csaba Zirta, minister spraw wewnętrznych, Balazs Noludi, grubawy, ponury redaktor naczelny „Magyarok Ebredjetek!”, oraz Knsztina Varga, eks-minister sprawiedliwości.

Varga odezwała się pierwsza:

- Sądzę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, co się tam dziś wydarzyło - powiedziała opanowanym, stanowczym głosem. - Ten rząd systematycznie pozbawia nas naszych podstawowych praw i przywilejów. Przemoc, którą obserwowaliśmy dziś na wiecu, była starannie zaplanowaną prowokacją.

Csaba Zirta próbował protestować, ale przerwał mu Noludi:

- Gówno prawda! - krzyknął. Nachylił się w stronę Vargi. - To pani jest prowokacją. Pani i podobni pani zdrajcy, którzy z chęcią wyprzedaliby nasz kraj. Liberałowie, kosmopolici, obrzydliwi agenci Nowego Jorku, Tel-Awiwu i międzynarodowego kapitału... - pieklił się Noludi. Jego głos był piskliwy z emocji, a w kącikach ust zebrały mu się ślina. - Ale my nie mamy zamiaru przyglądać się biernie; jak nasza ojczyzna jest wyprzedawana za bezcen.

Varga ze stoickim spokojem podała mu papierową chusteczkę.

- Uspokój się, Balazs. Przecież to już się dzieje. Dzięki Volkstern Corporation i KZX Industries.

Noludi z wściekłością zgniótł chusteczkę w niewielką kulkę i rzucił nią w twarz Vardze. Alex obserwował całe zajście z rosnącym zdumieniem. Krisztina Varga była jednym z najpopularniejszych, najbardziej szanowanych polityków w tym kraju. To ona zmodernizowała system prawny i wprowadziła nowe przepisy, gwarantujące przestrzeganie praw człowieka. Teraz przepisy były wycofywane - wiedziała więc, o czym mówi. Twierdziła, że to rząd był odpowiedzialny za ten atak. Dlaczego? Odpowiedź stanowiło kolejne pytanie - kto miałby na tym zyskać? Nagle wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Rząd sam wznieca zamieszki, aby mieć pretekst do podjęcia drastycznych akcji i zawieszenia praw obywatelskich.

Alex sprawdził swój telefon. Wciąż żadnych wiadomości. Po raz kolejny spróbował zadzwonić do Nataszy. Znow bez skutku. Spojrzał na wyświetlacz aparatu. Zazwyczaj cztery, czasem nawet pięć kresk sygnalizowało siłę sygnału. Teraz nie zobaczył ani jednej. Było to nie tylko dziwne, ale i niepokojące, szczególnie w sytuacji, kiedy naprawdę musiał się skontaktować z Nataszą.

Wrócił do oglądania telewizji. Na ekranie widniała teraz twarz Vargi. W jej oczach widać było wściekłość.

- Zawsze byłeś głupcem, Balazsu Noludi. Pożytecznym idiotą. Byłeś pożyteczny dla komunistów i jesteś pożyteczny dla Sanzlermanna. A oni bez skrupułów pozbędą się ciebie, kiedy tylko przestaniesz być im potrzebny - powiedziała, a w jej głosie brzmiała pogarda.

Kovacs rozglądała się z paniką w oczach po studiu. Z ekranu znikł na chwilę obraz, jednak już po chwili pojawił się blok reklamowy. Śpiewające chórem dziewczynki, ustawione w szeregu, ubrane w białe, czerwone i zielone stroje, zachęcały odbiorców do „patriotyzmu i do zakupu Narodowych Obligacji Skarbowych”. Za podkład muzyczny służyła im kabaretowa piosenka z lat trzydziestych. Pojawiły się ujęcia Zagrzebia, Bukaresztu i Bratysławy. „Już niebawem także w Chorwacji, Rumunii i na Słowacji” - reklamował głęboki męski głos. - „To twoja życiowa inwestycja”.

Rozległ się dzwonek. Alex poszedł do przedpokoju i otworzył drzwi.

- Podobno mnie szukałeś - powiedziała Natasza.

\* \* \*

Sanzlermann stał przy umywalce w hotelowej łazience i z zaciętością szorował mocno swoje dłonie. Kran był odkręcony do maksimum, a parząca woda pryskała na wszystkie strony, chlapiąc na obudowę umywalki z czarnego marmuru, na włoskie kafelki na podłodze i wypełniając całe pomieszczenie parą. Systematycznie szorował twardą szczotką najpierw każdy palec z osobna, potem paznokcie i na końcu wierzch i wnętrze obydwu dłoni. Wreszcie opłukał je i przyjrzał im się z zadowoleniem. Były poobcierane i czerwone. Sanzlermann westchnął. Spojrzał tęsknie w stronę mydła, powstrzymał się jednak i odszedł od umywalki.

Susząc ręce grubym białym ręcznikiem, przypominał sobie po kolei wydarzenia dzisiejszego dnia. Hunkalffy był typowym Węgrem, porywczym, niecierpliwym, skupiającym się na doraźnych celach, niedostrzegającym szerszej perspektywy. A jednak jego pomysł na przyspieszenie całej akcji był całkiem interesujący. Trzeba będzie jeszcze pomyśleć nad planem, ale z pewnością da się go przeprowadzić, a jeśli wypali, przyniesie im sporo korzyści. Dziwak Daintner był za to jeszcze bardziej enigmatyczny niż zwykle. Gdyby tylko miał taką możliwość, już dawno by go wywalił, choćby ze względu na jego dziwną karnację. Ale już wcześniej uświadomiono Sanzlermannowi, że prezydentura jest częścią większego pakietu, którego nieodłączny element stanowi Daintner. Poza tym trzeba było przyznać, że głowę ma nie od parady.

Sanzlermann spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta, miał za sobą długi dzień. Hunkalffy i Daintner poszli sobie wreszcie, zabierając też ze sobą tego obrzydliwego Cygana. Pomyśleć tylko, że uściśnął mu dłoń na przywitaniu! Ledwo powstrzymał się przed ucieczką do łazienki i wyszorowaniem się, kiedy goście byli jeszcze w pokoju. Wzdrygał się na samo wspomnienie ciemnej, szorstkiej dłoni. Może należałoby jeszcze raz umyć ręce, tak dla pewności.

Przypomniała mu się pewna scena z dzieciństwa: ma osiem lat, jest w sierocińcu w Karyntii. Jest słoneczne niedzielne popołudnie, a on siedzi w poczekalni, ubrany w swoją najlepszą koszulę i wyprasowane w kancik spodnie. Siostry zakonne wprowadzają jedyną osobę, która odwiedza go od czasu do czasu, mężczyznę, którego nazywa „wujkiem Klausem”. Siostra Evangelina wywołuje go. Podchodzi do niej, licząc na to, że dostanie od

wujka nową zabawkę albo książkę, ale zakonnica zaczyna na niego krzyżeć, wskazując na niewielką płamę na koszuli. Pokornie wyciąga dłonie, starając się, żeby tak bardzo się nie trzęsły. Czuje mocne uderzenie drewnianej linijki. Pręgi na jego rękach widać jeszcze przez długi czas. Po tym incydencie nie widział wujka Klausa przez trzy tygodnie.

Sanzlermann wmasował w dłonie maść antyseptyczną i ruszył do salonu, ubrany tylko w szlafrok. Nalał sobie brandy, usiadł na sofie i podniósł słuchawkę hotelowego telefonu.

- Proszę o przysłanie obsługi - zaordynował i uśmiechnął na myśl o tym, co go czeka.

## Rozdział 17

Natasza stała w drzwiach mieszkania Alexa, w osłupieniu przyglądając się jego posiniaczonej, odrapanej twarzy i obandażowanemu ramieniu.

- Co ci się stało?

- Zaatakowano mnie w łaźni Rudas.

- Dlaczego? Kto to zrobił? Nic ci nie jest?

- Nie, już w porządku. To było dwóch bandziorów, sądzili, że mam coś, czego oni szukają. Będziemy tak rozmawiać w drzwiach? Może jednak wejdiesz? - spytał. Natasza zawahała się. - Spokojnie, przecież nie gryzę.

Weszła do środka, rozglądając się po nieco niechlujnym wnętrzu, wypełnionym kartonami książek i koślawymi meblami. Alex gratulował sobie w duchu, że niedawno posprzątał w kuchni.

- Najprzyjemniejszą częścią mieszkania jest balkon - rzucił półzartem.

- Nie przysłałam tu po to, żeby podziwiać widoki, Alex. Co się dzieje? Jest jedenasta w noty. Zostałeś pobity. Kitty powiedziała mi, że twoim zdaniem coś mi grozi. Próbowałam się do ciebie dzwonić, ale masz wyłączony telefon,

- Nie jest wyłączony. Nie działa.

Podał jej cyfrowy dyktafon. Spojrzała zdezorientowana.

- Ktoś zaatakował cię z powodu mojego dyktafonu?

- To nie jest twój dyktafon - wyjaśnił, pokazując jej małe logo KZX na spodzie urządzenia.

Wzięła dyktafon do ręki i trzymała przez chwilę, jakby próbując ocenić jego wagę.

- No tak, w czasie wywiadu upuściłam swój. Musiałam wziąć przez przypadek dyktafon Daintnera, miał taki sam model i też nagrywał wywiad.

- Czyli ten sprzęt jest Daintnera. To wszystko wyjaśnia. Materiał jest zaszyfrowany. Są dwa pliki dźwiękowe, ale nie jestem w stanie odtworzyć żadnego z nich. Ci, którzy chcą odzyskać dyktafon, wiedzą o tobie. Ci faceci, którzy zaatakowali mnie w Rudas, pytali o ciebie. To dlatego chciałem cię odnaleźć. Może grozić ci niebezpieczeństwo.

Natasza wzruszyła ramionami.

- Umiem się o siebie zatroszczyć. Poza tym, mamy jeszcze jeden problem - powiedziała, otwierając swoją torbę i wyjmując z niej pendrive'a, który dołączony był do materiałów prasowych na wiecu Sanzlermanna. - Ależ ze mnie idiotka, że zawczasu nie uprzedziłam Kitty. To podstawowa zasada: nigdy, przenigdy nie podłączać do komputera pamięci USB pochodzącej z niepewnego źródła. Byłam w biurze, żeby zabrać swoje rzeczy, i to ciągle jeszcze leżało na biurku Kitty. Jest na nim jakiś trojan. To wirus, który uruchomił się po tym, jak Kitty odtworzyła nagrany filmik z przemówieniem Sanzlermanna. Najprawdopodobniej przed kompletnym skasowaniem wszystkich danych przesłał zawartość komputerów w naszym biurze na jakiś serwer, ulokowany w Niemczech, prawdopodobnie w Monachium.

Alex aż przysiadł.

- Wszystko? - zapytał z niedowierzaniem.
- Każdy plik tekstowy, każdy e-mail, każde hasło.
- Możemy je jakoś odzyskać?

Natasza pokręciła przecząco głową.

- Wszystko przepadło. A nawet gdyby udało nam się odzyskać te dane, oni na pewno już zrobili ich kopie.

Alex przyniósł z sypialni swój laptop i położył go na kuchennym stole. Natasza przyglądała mu się uważnie.

- Marnie wyglądasz. Usiądź, zaparzę herbatę.

Zrobił posłusznie to, co kazała. Obserwował, jak się krząta po kuchni. Minęło sporo czasu, odkąd kobieta przygotowywała dla niego cokolwiek. Zsofi była pod tym względem jeszcze gorsza niż on. Zauważył, że Natasza przygląda się jego fotografii z Azrą, wiszącej na ścianie, i widział, jak bardzo stara się, aby o nią nie zapytać. Postawiła na stole dwa kubki z herbatą. Alex podłączył dyktafon do swojego laptopa. Podobnie jak poprzednim razem, program do odtwarzania plików otworzył się automatycznie. Natasza najechała kursorem na ikonę i kliknęła polecenie „Otwórz plik”. Cisza. „Odmowa dostępu” - wyświetliło się na ekranie. - „Podaj hasło”.

- Możemy jakoś otworzyć ten plik, nie posiadając hasła? - zapytał Alex.

- Atak słownikowy - odpowiedziała krótko.

- Jaki atak?

- To program, który jako hasło podaje po kolei wszystkie wyrazy ze słownika, dodaje też do nich różne kombinacje cyfr. Ale ten dyktafon może być tak zaprogramowany, żeby w przypadku kilku nieudanych prób wpisania hasła automatycznie wykasował zapisane dane. - Zamyśliła się, popijając herbatę. - Jest jeszcze jedna możliwość. Może się uda...

To mówiąc, chwyciła laptop i obróciła go w swoją stronę. Wcisnęła szybko kilka klawiszy. Po kilku sekundach dyktafon zamrugał, po czym ekranik zaczął się świecić.

- Spróbuj teraz - powiedziała, wskazując ruchem głowy na monitor laptopa. Pojawiły się dwie nowe ikony. Alex kliknął na jedną i oto pojawił się znajomy program, tym razem z możliwością odtwarzania, zatrzymywania i przewijania ścieżek dźwiękowych. Alex kliknął na drugi z plików i odtworzył go od połowy: „...z przyjemnością oznajmiam, po raz pierwszy publicznie, że według naszych założeń wszyscy mieszkańcy Europy będą poddawani procedurze zdejmowania odcisków palców, co więcej, pobierane będą też próbki DNA”.

Natasza spauzowała nagranie.

- Widzisz, on naprawdę to powiedział.

- Wiem. Dlatego opublikowaliśmy twój artykuł. A jakie było hasło?

Natasha uśmiechnęła się przebiegle.

- Hasło.

- Nie rozumiem.

- To było hasło domyślne, ustawienia fabryczne. Po zakupie nie zostało zmienione.

Niesamowite, jak często się to zdarza.

Przysunęła swoje krzesło bliżej blatu.

- Moglibyśmy odpowiedzieć kontratakiem.

- Jak to?

Natasza wyjęła ze swojej torby laptopa i pendrive'a.

- Tutaj jest trojan. Taki sam, jaki był na pendrivie Sanzlermanna. Dorzuciłam tam jeszcze keyloggera, czyli program, który zapisuje każde wciśnięcie klawisza w zainfekowanym komputerze. Dyrektorem generalnym KZX jest Dieter Klindern. Potrzebny nam jest ktoś, kogo komputer ma połączenie z jego komputerem w ramach jednej sieci, i kto utworzyłby e-maila z załącznikiem, w którym ukrylibyśmy trojana i keyloggera. Wtedy to my zaczniemy zbierać ich dane i ściąganiemy je na swoje komputery - miejmy nadzieję, że między innymi

również hasła systemowe Klinderna. Jestem pewna, że większość jego e-maili przechodzi przez skrzynkę jego sekretarki. Myślisz, że mógłbyś zdobyć jej nazwisko i adres e-mailowy?

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał z podziwem Alex.

- Mój były chłopak był inżynierem bezpieczeństwa systemów informatycznych - rzuciła lekko Natasza. - Nauczył mnie paru rzeczy.

Alex był zaskoczony siłą fali zazdrości, jaką poczuł po tych słowach. Sięgnął po swojego laptopa i sprawdził na stronie KZX numer telefonu ich centrali, po czym przekopiował go na swój komunikator głosowy i kliknął „Połącz”.

Natasza pokiwała głową z uznaniem.

- Bardzo dobrze. Internetowe połączenia telefoniczne o wiele trudniej namierzyć. Twój numer nie zostanie zapisany.

Alex mówił po niemiecku szorstko i bardzo formalnie.

- Dobry wieczór. Z tej strony doktor Braun, dział badań KZX Pharmaceuticals. Musimy pilnie przesłać pewne informacje panu Dieterowi Klindernowi. Tak, zdaję sobie sprawę z faktu, iż nie może pan podać mi jego bezpośredniego numeru telefonu. Może pan za to podać mi nazwisko jego sekretarki oraz jej adres e-mailowy - zamilkł na chwilę, słuchając, jak ochroniarz po drugiej stronie tłumaczy, że to również nie będzie możliwe. Po czym zapytał podenerwowanym głosem: - Pana nazwisko? Skontaktuję się z pańskimi przełożonymi z samego rana. Sądzę, że jutro o tej porze będzie pan już bez pracy.

Zaraz zaczął notować

- Tak, tak. Dziękuję - rozłączył się i podał Nataszy adres: - „muller.gabriella@kzx.de”.

Ale czy ona nie sprawdzi najpierw, od kogo został wysłany e-mail?

- Oczywiście. Ale ustawię to tak, żeby wyglądało na wiadomość od dieter.klindern@kzx.de o temacie: „Pensja i warunki zatrudnienia”. Taką wiadomość na pewno otworzy. Po otwarciu e-mail automatycznie się wykasuje z jej skrzynki odbiorczej.

- Ile potrwa, zanim zaczniesz ściągać te informacje?

- Cały proces rozpocznie się w momencie, gdy otworzy załącznik. Miejmy nadzieję, że będzie to jutro rano - odpowiedziała, pisząc szybko na klawiaturze, otwierając i zamykając po kolei mnóstwo okien i programów.

Nagle wyprostowała się i odchyliła na oparcie krzesła.

- OK, zrobione.

- Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. A mogłabyś dostać się do komputerów „Budapest News”? Odcięto mnie od redakcyjnej sieci, a miałem tam mnóstwo notatek i danych kontaktowych.

- Nie robiłeś back-upu danych w domu? - spytała Natasza.

Pokręcił przecząco głową. Sięgnęła po jego laptop, opierając się na blacie stołu. Alex poczuł delikatny, piżmowy zapach jej szamponu.

- Mogę odzyskać twoje pliki. Ale od teraz musisz regularnie robić kopie zapasowe swoich dokumentów. Stworzymy dla ciebie konto e-mailowe, gdzie będziesz mógł też przechowywać różne pliki. Jak chciałbyś się nazywać?

- Tak, jak się nazywam.

- Błąd. - Pokręciła głową - Chodzi właśnie o to, żeby nazwa nie była zbyt oczywista. Na przykład, mój adres to Pushkin2000.

Alex rozejrzał się po kuchni. Natrafił wzrokiem na stojącą na kuchennym parapecie fotografię znad Balatonu, przedstawiającą jego i dziadków.

- Langosi98o - rzucił.

- To urocze. Zmienię ustawienia tak, żebyś zawsze łączył się poprzez protokół https. To „s” na końcu oznacza, że połączenie jest bezpieczne, a twoje wiadomości są zaszyfrowane. Jeśli będziesz logował się w kafejce internetowej albo z jakiegokolwiek innego komputera, upewnij się zawsze, że wpisałeś adres https://webmail.com. Wtedy nikt inny nie będzie mógł



zobaczyć twoich e-maili, nawet ja - to mówiąc, odwróciła się w jego stronę, uśmiechając się niepewnie. - Chyba że wyślesz je do mnie. A teraz potrzebne ci będzie hasło. Najlepiej, żeby składało się zarówno z liter, jak i cyfr oraz symboli.

Odwróciła głowę, podczas gdy Alex wstukiwał „Miklos-F\*1922”.

- Musisz je zawsze wpisywać, pod żadnym pozorem nie korzystaj z opcji automatycznego zapamiętywania haseł. W skali od jeden do dziesięciu, na ile oceniłbyś stopień swojej paranoi? - zapytała, zaciskając dłonie na kubku z herbatą.

- Po dzisiejszym dniu? Na dziesięć - odparł, delektując się tym stopniowym ocieplaniem się ich wzajemnych relacji.

- A zatem najlepszym sposobem na wysłanie anonimowej wiadomości jest udanie się do kafejki internetowej i skorzystanie z elektronicznych wydań gazet, z których można przesłać dany artykuł do wybranego adresata. Zazwyczaj można załączyć do artykułu krótką notatkę i podpisać się pod nią fałszywym imieniem i nazwiskiem. Nie musisz podawać adresu nadawcy, wystarczy e-mail odbiorcy. Tyle tylko, że wiadomość musi być krótka.

Alex uśmiechnął się chytrze.

- No a co w przypadku, gdy gazeta wymaga rejestracji? Wtedy nie będę już anonimowy.

- Zaczynasz dobrze kombinować. Zarejestruj się, używając fałszywych danych, albo wejdź na stronę, która oferuje darmowe konta internetowe. Jeśli portal danej gazety ma wysłać ci e-maila z potwierdzeniem rejestracji, użyj jednorazowego adresu - przerwała na chwilę i w milczeniu przyglądała się Alexowi. - Dlaczego nie powiedziałeś mi, że cię zwolnili?

- Nie dałaś mi takiej możliwości.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Przepraszam. Byłam wtedy bardzo zdenerwowana. - Zerknęła do swojego kubka. - Nie masz może czegoś mocniejszego?

Alex wstał po butelkę wina. Sprawy zaczynają przybierać interesujący obrót, pomyślał, kiedy zabręczał dzwonek u drzwi. Jęknął bezgłośnie. Dochodziła północ. To mogła być tylko jedna osoba. Alex nawet nie drgnął. Dzwonek zabręczał drugi raz. I kolejny. I kolejny.

Natasza chwyciła swój płaszcz i torbę.

- Wygląda na to, że masz kolejnego gościa. Bardzo upartego. Nie martw się, ja wychodzę. - Ton jej głosu momentalnie się zmienił: stał się oschły i oficjalny.

Alex wstał i poszedł otworzyć drzwi. Stała w nich Zsofi z naręczem kwiatów. Na jego widok westchnęła i zarzuciła mu ręce na szyję. Natasza pojawiła się akurat w momencie, gdy próbował wyswobodzić się z uścisku. Zsofi przytuliła się mocniej do Alexa, patrząc wyzywająco w stronę Nataszy. Alex otworzył usta, chciał coś wyjaśnić, ale wiedział, że nic, co powie, nie poprawi już jego sytuacji.

- Miłego wieczoru, Alex - powiedziała zimno Natasza i wyszła.

Przez kolejne dwadzieścia minut Alex próbował pozbyć się Zsofi. Zdawało mu się, że obecność innej kobiety w jego mieszkaniu sprawiła, że stała się jeszcze bardziej zdeterminowana i skora do czułości. Tym razem postanowił zebrać wszystkie jej rzeczy - szczoteczkę, kosmetyki, trochę ubrań. Spakował je do torby i odprowadził Zsofi do drzwi.

Po jej wyjściu poczuł się potwornie zmęczony, przypomniał sobie jednak, że nie odsłuchiwał jeszcze pierwszego nagrania z dyktafonu. Jego jakość była dużo gorsza, sporo było zakłóceń, tak jakby ktoś nagrywał tę rozmowę potajemnie.

Z głośników popłynął znajomy głos Attili Hunkalffyego: „Sądzę, że możesz już spać spokojnie. Minister Zirta obiecał, że policyjne śledztwo zostanie szybko umorzona. Miklos Farkas nie żyje, a sprawa niebawem zostanie zamknięta”.

Alex nacisnął przycisk pauzy. Przez chwilę siedział w bezruchu. Czyżby się przesłyszał? Poczł mdłości, drżały mu ręce. Z kim rozmawiał Hunkalffy?

Ponownie włączył nagranie. Brzęk filiżanek, odgłosy przesuwania różnych rzeczy na stole. Samą rozmowę słychać było teraz gorzej. Alex podkreślił dźwięk.

„...zdaje się, że wiedział o planie. Direktorat jest bardzo zaniepokojony. Jeśli powiedział o wszystkim swojemu wnukowi, temu dziennikarzowi...” - Alex słuchał teraz głosu Franka Sanzlermanna. Potem było znowu trochę trzasków, sztucze stukwały o porcelanę. A potem znowu Sanzlermann: „Może nim też powinniśmy się zająć?”

Alex znowu wcisnął pauzę. Nim?! Czyli mną, pomyślał. W jednej chwili złość zmieniła się w strach. A co jeśli mieszkanie jest na podsłuchu? To oznaczałoby, że wiedzą już, że odsłuchiwał nagranie. Więc może rzeczywiście spróbują „się nim zająć”? Alex biegł teraz po mieszkaniu, sprawdzając, czy wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Zoran, doradzający Mubarakowi w kwestiach zabezpieczeń, zainstalował po południu nową potężną zasuwę - mechanizm, który po przekręceniu zamka wbijał metalowe bolce w czterech kierunkach, prosto w ścianę. Zapewnił też Alexa, że drzwi przetrzymają nawet wybuch ręcznego granatu. Zaraz potem zaproponował mu kupno jednego, za dwanaście euro. Alex odmówił, wziął za to gaz pieprzowy.

Podłączył słuchawki i puścił nagranie. Teraz mówił Hunkalffy: „Ależ Frank, nie możemy przecież biegać po mieście i »zajmować się« każdym niewygodnym dla nas osobnikiem. Alex Farkas jest cudzoziemcem, a na dodatek reporterem. Byłoby nieco podejrzanym, gdyby »miał wypadek« tak szybko po śmierci dziadka. Ludzie zaczęliby zadawać pytania, powstałoby niewygodne dla nas zamieszanie, mogłaby się włączyć ambasada...”

Sanzlermann przerwał mu: „*Ja ja*, masz rację”.

Zaczęli dyskutować na temat taktyki kampanii wyborczej i spadku notowań w najnowszych sondażach opinii, po czym Sanzlermann poprosił: „Powiedz mi teraz, co nowego w kwestii romskiej?”. „Wstępne testy leku Czigex wykazują jego wysoką skuteczność” - odezwał się głos nieznanej Alexowi osoby. Mówiła z silnym środkowoeuropejskim akcentem. „Skład Czigeksu opracowano na podstawie badań niemieckich naukowców, przeprowadzonych w 1943 i 1944 roku. To pierwszy na świecie tego typu lek - zmodyfikowany, opracowany pod kątem rasy. Jesteśmy pionierami. Słowackie władze okazały się nad wyraz skore do współpracy, do tego stopnia, że chcieli rozszerzyć zakres programu na cały kraj. Przekonaliśmy ich jednak, że powolne, stopniowe działanie będzie dużo bardziej korzystne. Oczywiście, czasami tak zwane organizacje praw człowieka, inni awanturnicy, no i sami Romowie protestują. Nie ukrywam, że ułatwia nam sprawę dezorganizacja i wewnętrzne animozje romskich organizacji”.

Alex wyłączył nagranie. Był wstrząśnięty. W głowie dźwięczały mu słowa Virgila: „...za pomocą pigulek, a nie komór gazowych”. Alex przesunął nagranie do słów Sanzlermanna „...zdaje się, że wiedział o planie. Direktorat jest bardzo zaniepokojony. Jeśli powiedział o wszystkim swojemu wnukowi, temu dziennikarzowi”. Czym był Direktorat i o jakim planie mówił Sanzlermann? Czy chodziło o coś więcej niż tylko Czigex? O inne plany? Może to dlatego zaatakowano go w łaźni.

To nie miało nic wspólnego z dyktafonem KZX. Oni chcieli odzyskać „plan” i cokolwiek to było, byli przekonani, że ma to właśnie Alex. Czy Miklos wiedział o Direktoracie? A jeśli tak - dlaczego nie powiedział o tym Alexowi? Może dlatego, że fakt posiadania tych informacji naraziłby go na niebezpieczeństwo. Albo dlatego, że Miklos wiedział, iż wnuk zacznie prowadzić dziennikarskie śledztwo i ściągnie kłopoty na nich obydwu. Alex uśmiechnął się na wspomnienie ulubionego aforyzmu Miklosa, autorstwa Henr/ego Kissingera: „Nawet paranoik ma prawdziwych wrogów”. Nagle przestał się uśmiechać. A co jeśli Miklos zamierzał powiedzieć o wszystkim Alexowi? I właśnie dlatego zginął?

Kitty poradziła mu kiedyś, żeby „był trochę bardziej węgierski” i „uruchomił myślenie poboczne”. Dysponował jedynie pamiętnikiem Miklosa znalezionym w książce *Siedemdziesiąt lat postępu. Osiągnięcia ZSRR*. Leżała na niskim stoliku. Alex wziął ją do ręki

i otworzył na stronie tytułowej. Słowo „siedemdziesiąt” było podkreślone. Rok 2009. Siedemdziesiąt lat temu - 1939. Co wydarzyło się w 1939? Wybuchła druga wojna światowa. Serce Alexa zabiło mocniej, poczuł na rękę gęsią skórę. Czy Miklos chciał mu w ten sposób pokazać, że istnieje jakiś związek między rokiem 1939 a 2009? Czy to raczej ta siedemdziesiątka była ważna? Alex otworzył pamiętnik Miklosa, aby sprawdzić, co jego dziadek napisał w siedemdziesiątej linii: „Jego chuda, ukryta w mroku twarz, oświetlona jedynie migoczącym Płomieniem stojącej w pobliżu świecy, wyglądała jak maska, za którą kryła się jakaś straszna tajemnica...”. Słowo „Płomień” napisane zostało z dużej litery - czy był to błąd, czy ukryte przesłanie? Ale jakie? Że tylko świeca pozwoli zobaczyć prawdę? Alex chwycił plik kartek. Delikatnie dotknął czubkami palców taniego szarego papieru. Obejrzał go pod światło, ale nic nie dostrzegł, „...migoczącym Płomieniem stojącej w pobliżu świecy...” A co jeśli papier poddano jakiejś obróbce, jeśli coś na nim jest, co da się zobaczyć tylko po podświetleniu płomieniem świecy? Rozejrzał się po mieszkaniu, coraz bardziej podekscytowany. Nie miał co prawda świec, ale może lampa wystarczy. Żarówka wydziela ciepło. Zdjął abażur ze swojej lampki do czytania. Przez chwilę trzymał kartki nad żarówką. W miarę jak papier się rozgrzewał, formowały się na nim cienie. A potem - litery.

\* \* \*

Natasza mieszkała z matką na ulicy Rottenbiller, w niezbyt modnej części siódmej dzielnicy. Do domu dotarła tuż przed północą. Już z daleka dostrzegła stojącą przed jej blokiem karetkę. Pędem wbiegła po schodach na drugie piętro. Drzwi wejściowe do mieszkania stały otworem - ktoś rozwalił zamek. Rzuciła w kąt torbę i w panice wbiegła do salonu. Dwóch sanitariuszy pochylało się nad jej mamą, siedzącą w wózku inwalidzkim. Na widok córki kobieta uśmiechnęła się dzielnie. Książki były porozrzucane po całej podłodze i krzesłach. Natasza zobaczyła też przewrócony stół i ziemię z doniczek rozsypaną na perskich dywanach. Po mieszkaniu krążył wysoki jasnowłosy mężczyzna w sztruksowym garniturze i płaszczu, który wyglądał na dość drogi. Robił zdjęcia i coś notował. Natasza podbiegła do mamy i przytuliła ją.

Sanitariusz schował aparat do mierzenia ciśnienia, po czym zwrócił się do Nataszy:

- Chcieliśmy zabrać pani mamę do nas na obserwację, ale odmówiła. Podano jej chloroform. Przez pewien czas może się czuć nieco zamroczone, ale do jutra wszystko powinno wrócić do normy. Serce bije równo, ciśnienie też jest w porządku. Proszę nie pozwolić jej zmarznąć.

Irina trzymała Nataszę za rękę.

- Nie martw się, jestem tylko trochę roztrzęsiona. Wpadło tutaj dwóch mężczyzn. Na twarzach mieli kominiarki. Przyłożyli mi coś do ust i straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, zadzwoniłam na policję. Wydaje mi się jednak, że nic nie zginęło.

Wysoki mężczyzna wszedł teraz do salonu i uściśnił dłoń Nataszy. Jego oczy zakrywały modne okulary.

- Czy mogłabym zobaczyć pańskie dokumenty? - poprosiła Natasza.

Wręczył jej swoją legitymację: Kapitan Jozsef Hermann, Wywiad Kryminalny.

- Czy to normalne, że Wywiad Kryminalny bada sprawę włamania?

- W tym wypadku, pani Hatvani, jak najbardziej.

\* \* \*

Alex dolał sobie kawy. Za oknem powoli świtało, on jednak nie był w stanie zasnąć. Po raz kolejny wziął do ręki spowiedź swojego dziadka i ponownie przeczytał ukryty tekst, pokrywający drugą stronę cienkiego papieru.

*Mój najdroższy wnuku,  
jestem niemal pewien, że jeśli czytasz ten list, oznacza to, że ja sam jestem już martwy. Jakże dziwnie pisze się takie zdanie! Cieszę się, że zapamiętałeś moją prośbę i zachowałeś książkę Siedemdziesiąt lat postępu. Osiągnięcia ZSRR. Zawsze był z Ciebie bystry chłopak. (Mam też nadzieję, że nie masz mi za złe, że użyłem do napisania tej wiadomości najprostszego „sympatycznego atramentu”!)*

*Jestem martwy, ponieważ mimo że naziści przegrali wojnę, to sama Trzecia Rzesza nigdy tak naprawdę nie upadła. Przekształciła się tylko w Czwartą.*

*Nie chcę przez to powiedzieć, że Żydzi ponownie będą wpychani do pociągów i wywożeni Bóg wie gdzie. Wręcz przeciwnie, niemieccy i austriaccy politycy ze wszystkich sił starają się odbudować synagogi, które przed laty spalili ich ojcowie. Chodź raczej o to, że naziści zrozumieli w pewnym momencie, że militarna dominacja w Europie jest niemożliwa. Co więcej, nie jest potrzebna, ponieważ mogą święcić tryumfy w innej sferze: gospodarczej. „Kapital über alles”. Giganci niemieckiego przemysłu, potentaci stalowi, producenci samochodów i urzędów elektronicznych, wszyscy błyskawicznie dostosowali się do nowych, powojennych realiów. Zarządcy, którzy za czasów Rzeszy służyli wiernie Albertowi Speerowi, nazistowskiemu ministrowi do spraw planowania, oraz Walterowi Funkowi, ministrowi gospodarki; przedsiębiorstwa, które wykorzystywały do niewolniczej pracy więźniów z Auschwitz; lekarze, którzy dokonywali odrażających eksperymentów w obozach, a potem znaleźli sobie ciepłe posadki na uniwersytetach - oni wszyscy z łatwością przystosowali się do życia w nowym świecie demokracji.*

*To tylko poszlaki, porozrzucone elementy układanki. A gdzie dowody, zapytasz pewnie. Chcę Ci zatem opowiedzieć o tym, co usłyszałem i widziałem tamtego wieczoru w hotelu Savoy, dziewiątego listopada 1944 roku. Ty sam zadecydujesz, czy moja opowieść stanowi wystarczający dowód. Plan był prosty. W końcu bankierzy i przemysłowcy to ludzie twardo stąpający po ziemi. Nie było mowy o żadnej „cudownej broni”, która zmieniałaby bieg wojny. Najstarszy rangą mężczyzna ogłosił: „Od tej pory nasze pola bitwy stanowiąc będą sale konferencyjne, a zamiast pistoletów i żołnierzy, naszą bronią uczynimy zestawienia bilansowe oraz rynki walutowe”.*

*W jaki sposób planowali to osiągnąć? Partia nazistowska zeszła do podziemia. Finansowana była przez niemieckie banki i niemieckich przemysłowców. Ogromne ilości kapitału, zagrabione złoto, dzieła sztuki, obligacje i papiery wartościowe ukradzione ofiarom - wszystko to lokowano w szwajcarskich bankach lub stawało się zastawem pod pożyczki. Wszystkie te fundusze, skutecznie „wyprane”, wydano na zakup ogromnych obszarów ziemi, obiektów rolniczych i przemysłowych oraz przedsiębiorstw w całej Europie, a także Ameryce Północnej i Południowej. Pieniądze zarobione dzięki tym interesom wykorzystane zostały z kolei na stworzenie firm-przykrywek na całym świecie. A te rozpoczęły współpracę z niczego nie podejrzewającymi zagranicznymi partnerami biznesowymi.*

*Od kiedy Niemcy zostały zrehabilitowane, przykrywki zaczęły zakładać swoje filie również na terenie tego kraju. Te nowe niemieckie przedsiębiorstwa wykupywały coraz więcej i więcej innych firm, stopniowo zwiększając swoje znaczenie gospodarcze. I w ten sposób narodziło się nowe-stare imperium. A raczej odrodziło. Szczególną uwagę w całym tym przedsięwzięciu poświęcono mediom - chciano, aby narzuciły odpowiedni kierunek polityczny i wpływały na politykę gospodarczą. Polityków i środowiska opiniotwórcze z całej Europy wezwano do promowania i propagowania idei „europejskiej jedności” wolnego rynku, bez żadnych ograniczeń. Sceptycy i przeciwnicy zostali odrzuceni, określani mianem „dinozaurów” i, o gorzka ironio, „nacjonalistów”. Tak jak przewidział Walter Funk już w 1942 roku, „wspólny wysiłek” i „wolność ekonomiczna” staną się nowymi sloganami Europy - jednej wielkiej strefy wolnorynkowej. Jednostkę zarządzającą, koordynującą cały ten plan, nazwano *Direktoratem*.*

Po stworzeniu głównych fundamentów w Niemczech i Austrii przyszedł czas na kolejny etap planu: stopniowe przejmowanie gospodarek kolejnych europejskich krajów. Potęga finansowa Dyrektora dawała mu ogromne możliwości, również ze względu na postępującą globalizację gospodarki. Aby przelać miliony marek, dolarów i euro z jednego konta na drugie, wystarczyło jedno kliknięcie. Pozostawała jeszcze jedna poważna przeszkoda: każde państwo europejskie wciąż zachowywało jeszcze gospodarczą autonomię poprzez kontrolowanie waluty i ustalanie stóp procentowych. Rozwiązanie: zniszczyć tę autonomię i wprowadzić jednolitą, wspólną walutę, która podlegałaby kontroli jednej tylko instytucji. Kluczem do sukcesu miał być Federalny Urząd Monetarny, FUM. Jego siła ekonomiczna i polityczna stanowi chyba największe dotychczas osiągnięcie Dyrektora.

FUM w momencie przystąpienia do strefy euro państw środkowej i wschodniej Europy przejmie kontrolę nad gospodarkami dwudziestu ośmiu państw. Będąc w strefie euro, każdy kraj rezygnuje z ustalania własnych stóp procentowych. Decyzje o ich podwyższeniu lub obniżeniu będą podejmowane przez prezesa urzędu i jego najbliższych współpracowników. Suwerenne państwa utracą prawo do decydowania o swojej polityce gospodarczej i w szybkim tempie staną się zależne od FUM. Zaledwie kilku polityków, brytyjskich oraz skandynawskich, opowiedziało się przeciwko rosnącemu w siłę urzędowi. Jednak wpływ Dyrektora na media był na tym etapie już tak silny, że zostali oni ośmieszani i zepchnięci na margines.

Wszystko odbywa się zgodnie z planem Waltera Funka, według którego narodowe gospodarki krajów europejskich miały być najpierw „poddane kontroli”, potem ich wewnętrzna wartość miała zostać „ustabilizowana”, a ich zewnętrzna wartość - wyliczona według kursu dolara i innych walut - ujednoczona. Czymże jest ten plan, jak nie zapowiedzią utworzenia wspólnej waluty, znanej w dzisiejszych czasach jako euro? Przez lata obserwowałem poczynania Dyrektora, zwiększanie się jego wpływów i potęgi. Powstały w 1944 roku plan został spisany. Widziałem kopię tego dokumentu, przeczytałem ją kilka razy pewnej nocy, kiedy jeszcze pracowałem w Savoyu. Aladar Nagy zdobył wtedy ten papier. Spisuję tu dla Ciebie wszystko, co pamiętam, nie wiem jednak, gdzie ukryty jest prawdziwy dokument. Nie wiem nawet, czy w ogóle ocalał. Najpotężniejszymi członkami Dyrektora są Volkstern Corporation oraz KZX Industries. Kampania wyborcza Franka Sanzlermanna, o czym niewątpliwie wiesz, jest niemal w całości sponsorowana przez KZX i Volkstern Corporation.

Niemal słyszę, mój kochany wnuku, jak rzucasz teraz pełne pretensji pytanie: „Dlaczego po prostu mi o tym wszystkim nie powiedziałeś?”. Cóż, na swój sposób, właśnie to robię. Planowałem porozmawiać z Tobą, nie mogłem jednak znaleźć odpowiedniego momentu. Poza tym po latach czytania tajemnych symboli wciąż jeszcze lubię uciekać się czasem do podstępów (i może chciałem też zmusić Cię trochę do myślenia!). Być może mógłbym zostawić Ci tę wiadomość u prawnika albo zaufanego przyjaciela, ostatecznie jednak postanowiłem nie powierzać tych informacji pośrednikom. Przez długi czas zastanawiałem się, czy moje obawy są po prostu paranoicznymi wymysłami starszego pana, który za dużo w życiu przeszedł. Byłem przekonany, że mógłbym przedstawić Ci jedynie zamysł koncepcji Dyrektora, i to wszystko. Łudziłem się, że może po tylu latach Dyrektorat rozleniwił się, a jego członkowie martwili się tylko o własne wygody i najnowsze modele BMW w garażu.

Pewnego dnia jednak przypomniałem sobie nazwisko mężczyzny, który przemawiał dziewiątego listopada podczas kolacji przed tyloma laty, w 1944: był to Friedrich Vautker. Jego syn, Heinrich, został właśnie prezesem Federalnego Urzędu Monetarnego. I to jest właśnie ta najważniejsza kwestia, o której chciałem Ci powiedzieć. Objęcie tego stanowiska przez Heinricha Vautkera stanowi dla Dyrektora sygnał do działania, do rozpoczęcia realizacji ostatniego etapu planu. Boję się, że w jakiś sposób odkryli, że byłem wśród nich tamtej pamiętnej listopadowej nocy. Mój telefon trzeszczy i brzęczy. Mój wrodzony szósty

*zmysł ostrzega mnie, że grozi mi niebezpieczeństwo. Bądź więc ostrożny, mój najdroższy wnuku. Jeśli rzeczywiście przyjdą kiedyś po mnie, odbiorę sobie życie, zanim spróbują wydusić ze mnie cokolwiek. Wciąż mam przy sobie te pigułki, które kupiłem lata temu, jeszcze w getcie. Wierzę, że wreszcie połączę się na zawsze z Twoją babcią. Od pewnego czasu miałem przeczucie, że nadchodzi już mój czas. Nic nie było w stanie wypełnić tej pustki, która pojawiła się w moim sercu po śmierci Twojej babci. Przebacz mi, jeśli potrafisz.*

*Mam nadzieję, mój chłopcze, że życie okaże się dla Ciebie łaskawe i odnajdziesz w nim szczęście. Wiesz, że kocham Cię, i zawsze będę kochał jak własnego syna, szczególnie po tragicznej śmierci Twoich rodziców. Gdziekolwiek będę, będę spoglądał na ciebie i bacznie Cię obserwował. I jeszcze jedno - pamiętam, że kiedy odwiedzałem Cię w Twoim biurze, zobaczyłem tam pewną śliczną dziewczynę. O ile dobrze pamiętam, miała rosyjsko brzmiące imię. Uwierz staruszkowi na słowo - ona patrzyła na Ciebie w bardzo szczególny sposób... Twój kochający dziadek Miklos.*

Alex siedział bez ruchu aż do świtu, a po policzkach płynęły mu łzy.

## Rozdział 18

Lekarka oglądała właśnie zdjęcie rentgenowskie, kiedy Alex wkroczył do szpitalnej sali, w której leżał Peter Feher.

- Opuszczam już pana, panie Feher. Będzie pan żył, nie ma żadnych złamań, chociaż rzeczywiście jest pan mocno poobijany. Pana serce jest w całkiem niezłym stanie, ale ciśnienie ma pan nieco za wysokie, sugeruję więc, żeby jak najszybciej przestał pan palić te świństwa - to mówiąc, wskazała oskarżycielsko na paczkę papierosów Munkas leżących na szpitalnym stoliku wraz z innymi rzeczami Fehera. - Ponadto musi się pan porządnie odżywiać i dużo odpoczywać. Najlepiej byłoby, gdyby pańska córka przynosiła panu jedzenie, takie, które będzie bardziej pożywne od szpitalnych posiłków.

Kiedy Alex dodzwonił się wreszcie do Fehera, dowiedział się, że przyjaciel dziadka przebywa w szpitalu. Przyniósł pacjentowi bukiet kwiatów i pojemnik z zupą z pobliskiego bistro. Wzrok go wcześniej nie mylił, widział tę dwójkę w telewizji. Jasnowłosa kobieta siedziała przy łóżku Petera, mocno trzymając go za rękę. Alex wiedział, że Peter ma słabość do kobiet, ale bez przesady - ta wybranka serca mogłaby być jego córką.

- Alex, poznaj moją córkę, Cassandrę - odezwał się Peter.

Cassandra wstała i podała mu rękę na powitanie.

- Pan Farkas. Bardzo dużo o panu słyszałam. Bardzo mi miło pana poznać. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

Alex patrzył na zmianę to na nią, to na niego. To naprawdę była jego córka!

Feher odgadł, co mu chodzi po głowie.

- A cóż w tym takiego dziwnego, że mam córkę? A ty, biedaku, chyba powinienesz leżeć tu zamiast mnie. Co ci się stało?

- Wdałem się w bójkę. Wszystko ze mną w porządku, naprawdę. Dlaczego nie powiedziałeś mi nigdy, że masz córkę?

Feher udał, że nie słyszy tego pytania i w milczeniu zajadał zupę. Potem zapadł w drzemkę, a Alex i Cassandra wyszli na korytarz, aby porozmawiać. Siedli w kącie na dwóch plastikowych krzesłach, tuż obok automatu z kawą. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekujących wymieszany z dymem papierosowym. Metalowa popielniczka, umocowana na stojaku, wypełniona była po brzegi niedopałkami. Karetka przywiozła Fehera do szpitala usytuowanego najbliżej placu, w samym sercu ósmej dzielnicy. Był to zaniedbany budynek z

nieoświetlonym wejściem. Podłogi pokrywało popękane linoleum, a ściany miały brzydki odcień zieleni. Zarówno pacjenci, jak i odwiedzający placówkę nosili tanie dresy lub sprane dżinsy.

Alex wrzucił kilka monet do automatu z kawą. Maszyna najpierw zabulgotała, potem prychnęła, a na końcu wypuła dwa plastikowe kubeczki wypełnione kawopodobną cieczą. Podał jeden z nich Cassandrze.

- Dziękuję. Przykro mi, że straciłeś pracę. Lubiłam waszą gazetę - powiedziała i z zaskoczeniem poczuła, że rumieni się ha wspomnienie domu letniskowego Farkasów nad jeziorem Balaton.

- Skąd wiesz, że straciłem pracę? - spytał Alex z zaskoczeniem.

Przecież jeszcze nie powiedział o tym Peterowi.

Cassandra zapisała numer telefonu komórkowego na swojej wizytówce, a następnie mu ją wręczyła. Alex spojrzał na nazwę jej stanowiska, a potem z powrotem na nią.

- Jesteś szpiegiem.

Uśmiechnęła się enigmatycznie.

- Działania Volkstern Corporation i KZX Industries są istotne dla bezpieczeństwa narodowego. Podobnie jak śmierć twojego dziadka.

- Jak to? - zapytał Alex, chowając wizytówkę do portfela.

- Trudno nam uwierzyć, że najbardziej znany węgierski dysydent padł ofiarą zwykłego włamywacza.

- Mnie również. Kto zatem zamordował mojego dziadka?

- Jeszcze nie wiemy. Ale wciąż próbujemy się tego dowiedzieć.

- Mój telefon komórkowy ciągle się psuje. To wasza sprawka?

Pokręciła głową i przysunęła się nieco bliżej.

- Alex, śmierć zabrała już jednego członka rodziny Farkasów. Nie chcemy, aby coś złego przytrafiło się kolejnemu. Interesuje się tobą kilka organizacji. Dlatego musisz kupić sobie telefon na kartę, taki, który nie będzie zarejestrowany na twoje nazwisko. Najlepiej będzie, jeśli ktoś kupi dla ciebie kilka takich telefonów, za gotówkę. Zmieniaj je co kilka dni, używane wyrzucaj, a karty SIM pal.

- Dzięki za radę. Cassandro, naprawdę cieszę się, że cię poznałem, ale...

- Czego ja właściwie od ciebie chcę? - odgadła, kończąc za niego zdanie. - Nasze interesy są zbieżne. Może wymienimy się informacjami. Wiemy o waszej podróży na Słowację. W jeden dzień dowiedzieliście się więcej niż my przez kilka tygodni.

- Dzięki. A co w zamian? - zapytał, krzywiąc się po upiciu kilku łyków gorzkiej kawy. Zamilkła na chwilę.

- Ci mężczyźni w skórzanych kurtkach, którzy zaczęli bójkę na wiecu, widziałeś ich?

- W telewizji pokazywani byli na zmianę z Krisztiną Vargą i towarzyszącymi jej demonstrantami. Mało subtelny sposób na sprawienie, żeby ludzie kojarzyli ją z agresją i przemocą, do jakiej doszło na wiecu.

- Właśnie. Hunkalffy nienawidzi Vargi. Uważa ją za zdrajczynię. A tamci mężczyźni nie mieli z nią nic wspólnego - powiedziała, zaciągając się papierosem.

- A kim są?

- Pracują dla służby bezpieczeństwa. Działania w terenie, departament piąty. To łajdacka operacja.

\* \* \*

Od: pushkin2000@webmail.com

Do: langos1980@webmail.com

Musimy porozmawiać. Możemy spotkać się o trzeciej tam gdzie zwykle?

Od: langos1980@webmail.com  
Do: pushkin2000@webmail.com  
OK.

Natasza siedziała przy stoliku w rogu lokalu, wpatrując się w widok za oknem. Usiadł naprzeciwko niej. Miała wymizerowaną twarz i zaczerwienione oczy. Nie wstała, żeby się z nim przywitać.

Podszedł do nich Sani, właściciel lokalu.

- Kawy? - zapytał.

Alex pokiwał głową.

- *Meleg szenduics?*

Oboje odmówili. Sani oddalił się w stronę kontuaru. Ekspres do kawy głośno bulgotał. Natasza zapaliła papierosa. Zaciągała się raz za razem, krótko i płytko.

- Wczoraj w nocy, kiedy mówiłeś o grożącym mi niebezpieczeństwie, miałeś rację. Powinnam była cię posłuchać i od razu wrócić do domu - powiedziała, po czym opowiedziała mu o włamaniu, karetce i policjantach.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam.

- Dlaczego wy, Brytyjczycy, tak bardzo lubicie przepraszać? Przecież to nie twoja wina.

- To ja cię w to wciągnąłem - odpowiedział. Rzeczywiście czuł się winny.

- Nie, Alex. Ja sama się w to wciągnęłam. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy z tego, że w to wszystko zostanie wmieszana również moja mama.

- Dlaczego jeździ na wózku?

- Była z Antonem tego dnia, kiedy Hunkalffy go potrafił. Doznała urazu kręgosłupa. Nie chodzi. I proszę, nie mów, że ci przykro. Ona przynajmniej ciągle jeszcze żyje.

- A gdzie jest teraz?

- Pojechała na wieś, do swojej siostry. Tam będzie bezpieczna.

- A ty?

- Ja mieszkuję u Kitty - powiedziała.

W tym momencie Sani przyniósł im filiżanki z kawą.

Była błada i taka bezbronna. Alex z trudem powstrzymał się, aby nie chwycić jej za rękę. Sam też czuł się samotny i bezbronny. Po głowie wciąż krążyły mu słowa z testamentu Mikłosa: „miałem przecucie, że nadchodzi już mój czas”. Pamiętał swojego dziadka jako energicznego, radosnego i pełnego życia człowieka o ogromnym uroku osobistym - plotkującego z Peterem Feherem, naśmiewającego się z głupoty polityków, nalewającego sobie do kieliszka czerwonego wina, flirtującego ze swoimi koleżankami. Alex zupełnie nie zdawał sobie sprawy z wewnętrznego smutku, jaki trawił jego dziadka. „Przebacz mi, jeśli potrafisz”. Alex przygryzł dolną wargę.

Do lokalu wszedł ponury łysiejący mężczyzna o ziemistej twarzy. Miał na sobie tandetną kurtkę ze sztucznej skóry. Rozejrzał się uważnie po pustym lokalu, przyglądając jednocześnie swoje rzadkie włosy. Usiadł przy stoliku z dala od nich. Alex spojrzał pytająco na Nataszę - czy zna tego człowieka? Pokręciła przecząco głową i pochwyciła spojrzenie Saniego. Delikatnie strzepnęła z obrusu nieistniejący paproszek. Sani momentalnie podszedł do nowego gościa.

- Ten stolik jest zarezerwowany.

- Trudno, usiądę gdzie indziej - odparł przybysz, podnosząc się z krzesła.

- Niestety, to niemożliwe. Wszystkie są zarezerwowane.

- O czym pan mówisz? Ta buda jest zupełnie pusta! - zdenerwował się mężczyzna.

- Tak, ale niebawem odbywać się tu będzie prywatna impreza - wyjaśnił Sani i poszedł w odległy koniec sali.



Otworzył drzwi, za którymi, jak się okazało, znajdował się maty pokój, wypełniony papierosowym dymem. Wokół stolika siedziało tam kilku potężnie zbudowanych mężczyzn. Wrzeszczeli coś do siebie po węgiersku, grając w karty i pijąc palinkę. Na dźwięk otwieranych drzwi przerwali rozmowy.

- Co jest, Sani, jakieś problemy?

- Właśnie nie wiem - odparł i odwrócił się w stronę łysiejącego gościa. - Jakiś problem?

Mężczyzna spojrział przeciągle na Saniego, po czym bez słowa wyszedł. Alex popatrzył na Nataszę z uznaniem.

- Imponujące.

- Mówiłam ci. Sani jest moim opiekunem. *Kószónóm* - powiedziała cicho do Saniego.

281

Przez jego kamienną twarz przemknął cień półśmiechu, nie przestał jednak wycierać blatu.

- Odsłuchałem drugie nagranie z dyktafonu - oznajmił Alex.

- I czego się dowiedziałeś? - zapytała Natasza.

Powoli pił kawę, analizując sytuację. Ostatecznie, miała prawo znać całą prawdę. Siedziała w tym teraz równie głęboko jak on.

- Hunkalffy i Sanzlermann dyskutują o śmierci mojego dziadka. Sądzę, że to właśnie oni zaplanowali jego morderstwo. Czy naprawdę chcesz tego wszystkiego słuchać? - zapytał cicho.

- Tak - odpowiedziała bez wahania.

Była roztrzęsiona.

- Rozmawiali również o ewentualnym pozbyciu się mnie. Ale też o rozwiązaniu problemu romskiego, programie opartym na zmodyfikowanym leku o nazwie Czigex, który obecnie jest testowany w wiosce Novy Marek, a potem będzie rozprowadzony na całą Słowację i kto wie gdzie jeszcze. Miałaś rację.

Pochyliła się ku niemu.

- Czigex. Plastikowe opakowanie, które znaleźliśmy w domu Teresy. To, które zabrał nam tamten grubas. Ale dlaczego Sanzlermann i Hunkalffy chcieliby śmierci twojego dziadka?

Alex wahał się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi.

- Jeśli wyjawię ci wszystko, uznasz mnie za wariata.

- Przekonajmy się.

Opowiedział jej więc ze szczegółami o wszystkim, co odkrył, o testamencie swojego dziadka, o spotkaniu w hotelu Savoy w 1944 roku, o powojennych planach nazistów i o dokonaniach Direktoratu, wprowadzeniu euro i wielkim finale, jakim będzie wybór pierwszego prezydenta Europy.

Przez dłuższą chwilę w zamyśleniu mieszała łyżeczką kawę.

- Ty w to wierzysz? - spytała w końcu.

Alex przygryzł wargę.

- Sam nie wiem. Z jednej strony, wszystko to brzmi zbyt nieprawdopodobnie, żeby było prawdziwe. Ale kiedy przypominam sobie to, co widzieliśmy w osadzie Novy Marek... Po prostu wiem, że muszę szukać dalej - zamilkł na chwilę - Pomożesz mi?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Tak.

- To świetnie. Proszę, masz tutaj nowy telefon - powiedział, podając jej tanią komórkę na kartę. Mubarak dostarczył mu dziś sześć aparatów. - Nie używaj więcej swojego starego. W nowym zapisany jest już mój numer. Pierwszy wiec wyborczy Edith Leclerc odbędzie się jutro po południu. W parku miejskim, niedaleko Placu Bohaterów. Bądź o trzeciej przed dawną ambasadą Jugosławii.

Natasza dopiła kawę.  
- Będę.

\* \* \*

Alex po raz kolejny sprawdził adres klubu Sotto Voce, który podała mu Kitty. Ulica Gabor, numer szósty. Kitty zadzwoniła do niego wczesnym wieczorem i namówiła, aby spotkał się z nią i jej przyjaciółmi. Nie omieszkała zaznaczyć, że Natasza wcześniej położyła się spać. Alex i Kitty mieli spotkać się w Sotto Voce o dziesiątej wieczorem. Rozejrzał się po wąskiej uliczce. Był na ulicy Gabor, jednak w zasięgu jego wzroku nie było żadnego klubu. Mimo że biegła niedaleko Opery, ulica Gabor była ciemna i zrujnowana. Balkony, niegdyś imponujące, zwisały teraz smętnie z secesyjnego budynku, podtrzymywane jedynie przez rdzewiejące żelazne pręty. Na końcu ulicy niszczał porzucony przez właściciela trabant. Za jego wycieraczkami pełno było wyblakłych ulotek, reklamujących salony masażu i kursy angielskiego.

Alex stanął na wprost czarnych matowych drzwi, ozdobionych niewielką tęczową flagą namalowaną nad wąskim otworem. Nie było na nich wprawdzie żadnej szóstki, Alex doszedł jednak do wniosku, że to musi być to miejsce. Po jednej stronie, pod numerem cztery, mieściło się otwarte całą dobę turbosolarium. Młoda kobieta o intrygującym, marchewkowym kolorze skóry siedziała w jaskrawoniebieskim hallu i w skupieniu regulowała sobie brwi. Pod numerem ósmym był sklep spożywczy, zamknięty teraz na cztery spusty.

Zastukał do czarnych drzwi. Metalowa zasuwka odsunęła się, ukazując parę błękitnych oczu.

- Witaj, skarbie. Czym mogę służyć? - zapytał zalotny męski głos.

- Mam spotkać się tutaj ze znajomymi.

- Farciarze z nich. Proszę, wejdź.

Drzwi się uchyliły i Alex wszedł do środka. Umieśniony bramkarz z pofarbowanymi blond włosami miał na sobie obcisłą nylonową koszulkę i czarne skórzane spodnie. Uśmiechnął się szeroko, taksując Alexa wzrokiem.

- Witamy na pokładzie. Tysiąc forintów, w cenie jest jeden drink.

Alex wręczył mężczyźnie pieniądze i wkroczył do lokalu będącego idealną kopią paryskiego domu publicznego z lat dwudziestych. Na ciemnoczerwonych ścianach wisiały dopasowane kolorystycznie grube zasłony. Nawet żarówki były czerwone. Niskie krzesła stały wokół równie niskich stolików. W tle rozbrzmiewał głos Edith Piaf. Dwaj przytuleni mężczyźni w średnim wieku, ubrani w garnitury, siedzieli na kanapie w kącie sali. Trzymali się za ręce i chichotali, pojąc się nawzajem czerwonym winem. Krótka ostrzyżona kobieta w wojskowej kamizelce i bojówkach siedziała samotnie przy barze, zajadając wisienki koktajlowe i popijając je szampanem. Alex dostrzegł kilkoro drzwi do prywatnych pokoi oraz schody prowadzące do piwnicy. Już chciał nacisnąć klamkę, kiedy bramkarz odsunął jego dłoń.

- Nie sędzę, żebyś był na to gotowy. Nie w czasie pierwszej wizyty tutaj. Szukasz kogoś? Tutaj przesiadują zazwyczaj stali goście, więc może powinieneś poszukać swoich znajomych w sali na dole. Albo po prostu postawić mi drinka - zaproponował, mrugając zalotnie.

Alex zerknął na zegarek - było kwadrans po dziesiątej.

- Dzięki, ale spotykam się tutaj z kimś - z tymi słowami zszedł po niebezpiecznie wąskich schodach do zatłoczonej sali. Uderzyła go gorąca mieszanka potu, dymu papierosowego i oparów alkoholu. Liczne pary tłoczyły się na malutkim parkiecie w rogu sali, nad którym unosiła się migocząca dyskotekowa kula z lat siedemdziesiątych. Tutaj rozbrzmiewały piosenki Barry'ego White'a.

Alex przeciskał się powoli przez tłum, dopóki nie dostrzegł Kitty siedzącej przy stoliku w rogu, niedaleko niewielkiej sceny. Pomachała do niego, żeby podszedł, po czym wstawiła do kubałka z lodem butelkę szampana. Miała na sobie czarną lateksową mini. Trzymała kogoś za rękę. Stojąca na stole świeca oświetliła niezwyklej mody twarz jej towarzyszki: skośne, niemal kocie oczy, pięknie zarysowane kości policzkowe i pełne usta. Całości dopełniała burza kasztanowych włosów.

Kitty cmoknęła Alexa w policzek, po czym nałała mu kieliszek szampana.

- Alex, pozwól, że ci przedstawię, to moja przyjaciółka Esmeralda - Kitty przedstawiła dziewczynę, kiedy Alex podał jej rękę na powitanie. - Jest z Barcelony. Uczy mnie hiszpańskiego.

Alex starał się nie przyglądać im zbyt natarczywie, z marnym niestety skutkiem.

- Bardzo miło mi cię poznać, Esmeraldo - uściśnął jej chłodną dłoń.

Esmeralda uśmiechnęła się czarująco i przechyliła lekko głowę, patrząc mu przeciągle w oczy. Poczuł, że pod stolikiem coś musnęło delikatnie jego kolano.

Nieco speszony, zwrócił się do Kitty:

- Nie wiedziałem, że, że ty... eee...

- Że uczę się hiszpańskiego? - ze śmiechem wpadła mu w słowo Kitty. - Dopiero zaczynam. Hola! Alex, jesteś naprawdę uroczy. Znamy się tyle czasu i jeszcze się nie domyśliłeś? Mam niezły ubaw, obserwując zalecających się do mnie, szefów agencji reklamowych. Wolę jednak dziewczyny - to powiedziaławszy, pochyliła się i wyszeptała Alexowi do ucha: - Za to ona lubi i dziewczyny, i chłopców - kiwnęła głową w stronę Esmeraldy.

Teraz poczuł uścisk na kolanie. Esmeralda patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym objęła Kitty ramieniem i zaczęła szeptać jej coś na ucho.

- Nie, coś ty, nie ma mowy. On jest moim przyjacielem! - zachichotała Kitty, szturchając ją z rozbawieniem.

- O czym nie ma mowy? - zapytał z zaciekawieniem Alex.

- Esmeralda składa różne niemoralne propozycje - wyjaśniła Kitty.

- Jakie na przykład? - dopytywał z uśmiechem.

- Wydaje mi się, że nie powinno cię to zbyt interesować - stwierdziła Kitty surowo.

- Nie rozumiem. Co masz na myśli? - zapytał, po czym upił duży łyk szampana.

- Jeśli chcesz zaprosić dziewczynę na kolację, dopilnuj, żeby nie zobaczyła cię całującego się z inną - odpowiedziała kąśliwie.

Alex się zarumienił.

- To był pożegnalny pocałunek. W policzek. Właśnie się rozstawaliśmy. To już przeszłość, wszystko skończone. Ona wyjechała na stałe do Wiednia. - Ledwo się opanował, aby nie dodać „ze swoim mężem”.

- Jak bardzo skończone? - chciała wiedzieć Kitty, unosząc brwi.

- Koniec, *finito, game over* - odpowiedział stanowczo.

- Tak bardzo, że dziewczucha pojawia się u ciebie w domu o północy, na dodatek z kwiatami? Wyglądało to raczej na początek. Może powinieneś zainstalować sobie drzwi obrotowe? Musisz popracować nad zarządzaniem czasem. Zawsze lepiej, żeby pierwsza opuściła budynek, zanim pojawi się ta druga.

- Czy po to mnie tu dziś zaprosiłaś, Kitty? Żeby trochę się nade mną pozmęczyć?

- Zasłużyłeś sobie na to - odparła, ale wyraz jej twarzy nieco złagodniał. - Przynajmniej częściowo. Wiesz, że kocham was oboje. I wierzę w to, co mówisz. Ale muszę brać pod uwagę dobro wszystkich.

Barry White zamilkł, ustępując miejsca Weather Girls, oznajmiającym wszem i wobec, że oto „it's raining men”. Na parkiecie zaroilo się natychmiast od rozbujanych ciał, a

dyskotekowa kula zaczęła kręcić się jeszcze szybciej. Alex dolał sobie szampana i rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu.

- To znaczy?

- Zaufaj mi i bądź cierpliwy. Wszystko ułoży się tak, jak powinno. A teraz oglądajmy show.

Z głośników buchnęły pierwsze dźwięki *Like a Virgin* Madonny. Na scenie w świetle reflektorów i przy wtórze pisków publiczki pojawił się prawie dwumetrowy transseksualista w krzykliwym satynowym gorscie i platynowej peruce.

- Mam nadzieję, że ta piosenka nie jest dedykowana mnie - zachichotał, wzbudzając śmiech publiczności. Rozpoczął swój show: śpiewał, naśladując głos Madonny, podczas gdy wokół wirowali młodzi, wspaniale umięśnieni tancerze - Dziękuję wam, kochani. Jak dobrze wiedzieć, że jest jeszcze na tym okropnym świecie miejsce, w którym możemy być sobą! - wykrzyczał, przeganiając ze sceny tancerzy i kłaniając się w pas rozentuzjasmowanej publiczności. - Czy jesteśmy niegrzeczni? - rzucił pytanie do zebranego tłumu, przechadzając się wzdłuż sceny.

Publiczność zamruczała twierdząco.

- Czy jesteśmy niegrzeczni? - krzyknął nieco głośniej, domagając się odpowiedzi.

- Tak!

- Czy jesteśmy strasznymi grzesznikami, zdeprawowanymi i rozpustnymi?

- Taaak! Taaak! - zawył tłum.

- Nie tak głośno, kochani, bo inaczej - zniżył głos do szeptu - w odwiedzin przyjdą do nas żandarmi.

Gwizdy, buczenie i głosy pełne dezaprobaty. Artysta poprawił strój i cofnął się nieco w głąb sceny.

- A teraz czas na koncert życzeń - oznajmił, wyjmując pognieciony kawałek papieru - Ildiko, dziś są twoje urodziny. Z tej okazji mamy dla ciebie prezent!

Po drugiej stronie sceny rozległy się piski i słabe okrzyki protestu. Zaczarwiona ze wstydu młoda dziewczyna, elegancko ubrana, została wypchnięta na scenę przez swoich znajomych. Artysta zaśpiewał dla niej *Happy Birthday* a la Marylin Monroe. Nie zdążył dośpiewać do końca, a jubilatka płażała już na scenie w towarzystwie jednego z młodych tancerzy. Wróciła na swoje miejsce przy aplauzie publiczności.

Przy stoliku pojawił się nagle bramkarz i zręcznym ruchem zabrał przepelnioną popielniczkę.

- I jak się podobał występ? - zapytał Alexa.

- Laci, siadaj, wypij z nami drinka - zaproponowała Kitty.

- Fantastyczny - odparł Alex, przesuwając się, aby zrobić mu miejsce. - Nie znałem wcześniej tego lokalu.

- Zależy nam na tym, aby nie było o nim za głośno. Spokój i dyskrecja. Szczególnie teraz. Osobiście przepadam za tancerzami - wyjął Laci. - Dają też prywatne występy.

- Dzięki, ale to raczej nie w moim guście.

- Nie to miałem na myśli - przerwał mu Laci. - Jesteś dziennikarzem, prawda? Tak powiedziała mi Kitty.

- Tak, zgadza się.

- Byłbyś zaskoczony, wiedząc, kto zamawia naszych chłopców na prywatne pokazy.

- Kto na przykład?

- Na przykład ci, którzy najgłośniej krzyczą o moralności i wartościach rodzinnych.

Alex wyprostował się na te słowa. Uważnie słuchał tego, co szeptał mu do ucha Laci.

## Rozdział 19

Obudzony z głębokiego snu Alex zamrugał gwałtownie i rozejrzał się zdezorientowany po pokoju. Spojrzał na swój zegarek - była trzynasta. Poprzedniej nocy zasnął w ubraniu na kanapie. Głośnie burczenie w żołądku sygnalizowało, że od dobrych kilku dni nie zjadł porządnego posiłku. Jego ramię pulsowało z bólu. Usiadł, ciągle jeszcze zaszpany, przecierając oczy. Telewizor był wciąż włączony, więc podkręcił dźwięk. Za dwie godziny miał się spotkać z Nataszą przed dawną ambasadą Jugosławii w alei Andrassy'ego. Wiec Edith Leclerc rozpoczynał się o trzeciej trzydzieści w pobliskim parku miejskim, tuż za Placem Bohaterów. Miał więc jeszcze trochę czasu, aby coś zjeść, wziąć prysznic i się ubrać.

Prezenter BBG oznajmił właśnie, że zwołano nadzwyczajne posiedzenie Parlamentu Europejskiego po tym, jak sześć bomb eksplodowało w godzinach szczytu na stacji metra Chatelet, jednym z głównych węzłów komunikacyjnych Paryża. Bomby zostały tak zsynchronizowane, aby wybuchały kolejno, jedna po drugiej. Spanikowani ludzie biegali przerażeni i zrozpaczeni od tunelu do tunelu. Zginęło ponad dwieście osób, a kilkaset odniosło rany. Fale uderzeniowe eksplozji, zwielokrotnione w wąskich tunelach metra, powodowały straszliwe obrażenia u ludzi uwięzionych w środku. Korytarze prowadzące na stacje zapadły się, więżąc pod gruzami setki osób. Władze próbowały ewakuować całą okolicę, nie były jednak w stanie opanować przerażonego tłumu, przez co kilkadziesiąt osób zostało stratowanych. Prawicowe partie domagały się natychmiastowego internowania wszystkich imigrantów ubiegających się o azyl i odesłania ich tam, skąd przybyli, oraz przywrócenia kary śmierci. W całym Paryżu wybuchły zamieszki, wściekły tłum atakował meczety i muzułmańskie ośrodki kultury. Na terenie całego kraju wprowadzono stan wyjątkowy, a we wszystkich większych miastach także godzinę policyjną.

Telewizja pokazywała teraz sanitariuszy w białych uniformach, biegających ze Sprzętem medycznym, wdrapujących się na sterty gruzu - jedyne, co pozostało po zejściach do metra. Wśród gęstego dymu, na wietrze unosiły się skrawki gazet i ubrań. Ze wszystkich stron dobiegało wycie syren karet pogotowia. Oszołomieni i zakrwawieni ludzie, którym udało się przeżyć, stali z boku, płacząc i zawodząc rozpaczliwie. Wszystkie drogi wylotowe z Paryża były zablokowane. Na ekranie pojawiło się ujęcie z powietrza, ukazujące sznury samochodów, stojących jeden za drugim na Peripherique, wypełniających szczelnie każdy metr ulicy i pobocza. Do zamachu przyznała się Armia Wyzwolenia Imigrantów. Oczom widzów przed telewizorami ukazał się jej przywódca, Hasari Al.-Ajnabi, stojący na tle wielkiej mapy Europy. Każde z miast będących do tej pory celem ataku jego ugrupowania zostało oznaczone symbolem dwóch skrzyżowanych mieczy: Rzym, Berlin, Wiedeń i Paryż. „Jedna stolica za drugą, krok po kroku. Wiele ich jeszcze zostało. Nigdzie nie możecie czuć się bezpiecznie. Nasza misja dopiero się rozpoczęła” - oznajmił Ajnabi. Później pojawiła się informacja, że prezydent Francji zwołał nadzwyczajne posiedzenie rządu w Avignonie. Potem przyszedł czas na relację ze Strasburga. „Czy po tych dramatycznych wydarzeniach w Paryżu kampania prezydencka zostanie zawieszona?” - zwrócił się reporter do swojej rozmówczyni, poważnej Dunki, rzeczniczki Parlamentu Europejskiego. „Ależ skąd!” - zaprzeczyła od razu. - „Integracja europejska jest tak silna, że nie zagrozi jej niewielka grupa ekstremistów”.

Alex szybko wziął prysznic, ubrał się i zaczął przyrządzać sobie omlet na śniadanie. Wieści z Paryża były przerażające, to fakt. Ale AWI to coś więcej niż tylko „niewielka grupa ekstremistów”. Ich ataki były doskonale zaplanowane i skoordynowane z imponującą precyzją. Akcje odwetowe błyskawicznie wymykały się spod kontroli, zupełnie jakby ktoś chciał, aby w Europie rozpętała się wojna na tle rasowym. Przygotowując sobie śniadanie, Alex postanowił posłuchać publicznego radia. Tam pierwsze wiadomości dotyczyły oczywiście zamachów w Paryżu, potem jednak omawiano sytuację w kraju. W imię wolności słowa, jak oznajmił spiker, premier Hunkalffy wprowadził nowy dekret, znoszący zakaz używania

symboli kojarzonych z totalitaryzmem - komunistycznej czerwonej gwiazdy i emblematu strzałokrzyżowców.

Alex przysłuchiwał się uważnie, zajądając się omletem. Skrzyżowane miecze Al-Anjabiego, flaga strzałokrzyżowców Hunkalffyego. Transparenty, plakaty, znaczki, symbole. Łączyło je to, że wzbudzają strach i kojarzą się z terrorem. Hunkalffy wysyłał w świat wiadomość, ale skrzętnie ją ukrył, równocześnie depenalizując symbol czerwonej gwiazdy. Jako ostatnią spiker podał wiadomość o tym, że Brygada Panońska zachęca do wstępowania w swoje szeregi w związku z nowymi obowiązkami: miała wspierać policję. Brygada będzie ściśle współpracować z żandarmerią.

Narzucił kurtkę, dokładnie zamknął mieszkanie i ruszył rażno Bulwarem Karola w kierunku Placu Deaka. Żandarmi odizolowali Wielką Synagogę od strony ulicy Dohany - wszystkich chcących do niej dotrzeć zawracali. Synagoga ta, największa w Europie, została ostatnio odnowiona. Teraz ustawiono znak z odręcznie napisaną informacją, że świątynia jest „zamknięta z przyczyn technicznych”. Alex podjechał na Plac Bohaterów żółtą linią metra - starymi, rozklekotanymi wagonikami - rozmyślając wciąż o tym wszystkim, co widział i słyszał dziś rano. Ściany pociągu pokryte były reklamami Narodowych Obligacji Skarbowych i plakatami Sanzlermanna. Większość pasażerów stanowili młodzi ludzie, tak jak on spieszący się na wiec Leclerc. Uśmiechnięta nastolatka wręczyła mu ulotkę i znaczek z wizerunkiem kandydatki. Radosna atmosfera znikła bez śladu, kiedy skrzypiące wagony wjechały na stację Plac Bohaterów. Wzdłuż krawędzi peronu stali żandarmi i członkowie Brygady Panońskiej. Kilku z nich wymachiwało flagami z symbolem strzałokrzyżowców. Inni filmowali kamerami wideo pasażerów wychodzących z pociągu.

Kamerzyści koncentrowali się na tych pasażerach, którzy mieli znaczki albo ulotki wyborcze Edith Leclerc. Mężczyzna w średnim wieku, z burzą niesfornych siwych włosów i w okularach o sztykretowych oprawkach, zasłonił ręką obiektyw, przechodząc obok jednej z kamer. „Cholerni faszyści!” - krzyknął. Dwóch żandarmów momentalnie chwyciło go pod rękę i odciągnęło od kamery. Głośno protestował i próbował się wyrwać. Alex patrzył, jak jeden z żandarmów uderza go w głowę. Mężczyzna upadł, a ze skroni popłynęła mu cienka strużka krwi. Żandarmi ruszyli naprzód, rytmicznie uderzając pałkami o swoje tarcze. Pasażerowie spoglądali po sobie nerwowo i w milczeniu opuszczali teren stacji. Alex poczuł, że zaczynają pocić mu się ręce, a na żołądku czuje znajomy ciężar.

*Muzułmańscy więźniowie ustawieni są w szeregu pod ścianą. Zupełnie nie wyglądają na żołnierzy, ot, po prostu, kilku mężczyzn, zarówno młodych, jak i w średnim wieku, ubranych w dzinsy albo dresy. Niektórzy z nich nie mają nawet jeszcze osiemnastu lat. Wszyscy wpatrują się w Alexa błagalnym wzrokiem, z desperacką nadzieją, że jego obecność jakimś cudem ocali im życie. Serbski dowódca przechadza się po celi w tę i z powrotem. Czarny mundur opina się ciasno na jego wielkim brzuchu. Ściąga kominiarkę. Niemal wyczuwalny, paraliżujący lęk pada na więźniów. Wiedzą, kim jest ten mężczyzna. To morderca, który był kiedyś poetą, wierny sługa Tity, a obecnie ultranacjonalista.*

*Podchodzi do starszego mężczyzny i przyciska lufę pistoletu do jego głowy. - Gdzie jest teraz twój Allah, Turasie? - pyta. Muzułmanin zaczyna się modlić. „Laillah illa Allah, wa Muhammad rasul Allah, nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”. Morderca-poeta naciska spust. Głowa muzulmanina eksploduje, siła wystrzału rzuca go na ścianę. Ciało osuwa się na ziemię, pozostawiając na murze krwawą smugę. „Ups, palec mi się omsknął” - mówi serbski dowódca, po czym wybucha śmiechem. Więźniowie stojący po dwóch stronach martwego mężczyzny nie przestają się trząść.*

*Strażnicy przekazują sobie po kolei butelkę śliwkowej brandy, śmiejąc się i żartując. Gorące letnie powietrze przenika zapach ludzkich odchodów. Butelka dociera do Alexa. Pociąga duży łyk. Alkohol pali go w gardło i wywołuje kaszel. Strażnik ze śmiechem klepie go*

*po plecach. Nadjeżdża ciężarówka, do której zapędzeni zostają więźniowie. „Widzisz, panie reporterze, jak Serbowie traktują swoich więźniów?” - zagaduje Alexa przywódca. Jego głęboko osadzone oczy są zupełnie bez wyrazu. Zapewniamy im nawet transport. Niech ci nawet do głowy nie przyjdzie, żeby nas śledzić”.*

*Alex czekał, schowawszy się w zgliszczach spalonego domu. Pół godziny później rozległy się dźwięki strzałów, niosące się po całej dolinie, przerywane odgłosami jęków i płaczu. Najpierw długa seria z karabinu maszynowego, krzyki i prośby, a potem już tylko pojedyncze wystrzały z pistoletu. Przeczekał w zniszczonym domu do zmroku, po czym ruszył przez las, aż dotarł na polanę. Ciała mężczyzn i chłopców leżały porozrzucone niczym zniszczone szmaciane lalki.*

Właśnie tak się to wszystko zaczyna, pomyślał Alex, przyglądając się żandarmom i Brygadzie. Nastawiają przeciwko sobie sąsiadów, najpierw przy użyciu słów i mundurów, potem - noży i pistoletów. Albo za pomocą jeszcze nowszych, naukowych metod. Przez głowę przebiegał mu szereg obrazów: spalone opakowanie Czigeksu w wiosce Novy Marek, wyborcze plakaty Sanzlermanna, zwłoki zamordowanych na bośniackim polu mężczyzn, ciało jego dziadka, jego pamiętnik. Alex miał już pewność, że Miklos był pierwszą, a Vince Szatmari drugą ofiarą. Kiedy był w Bośni, stał bezczynnie z boku. Tym razem musiał działać.

Natasza czekała już na niego przed dawną ambasadą Jugosławii. Nad ich głowami przeleciał z hukiem policyjny helikopter. Alex musiał przyznać ze smutkiem, że nawet w zwykłych dzinsach i długim niemodnym kożuchu, Natasza wygląda niczym modelka. Miał naprawdę fatalne wyczucie czasu. Najpierw pożegnalny pocałunek Zsofi w parku, którego przypadkowym świadkiem była Natasza. Potem, kiedy już pojawiła się nadzieja, że Natasza przekonuje się do niego, Zsofi znowu popsuka mu szyki, pukając o północy do jego drzwi. Alex potrząsnął głową i szybko odsunął od siebie te myśli. Miał teraz na głowie o wiele ważniejsze sprawy.

- Widziałeś tych nazistów na stacji metra? - spytała na wstępie Natasza.

Kiwnął twierdząco głową.

- Jak na razie bez problemu udaje im się osiągnąć to, czego chcą.

Minęli ulicę György Dózsa i po chwili szli już Placem Bohaterów. Nie zatrzymując się, Natasza podała Alexowi pendrive.

- Masz na tym pliki ze swojego służbowego komputera. Proszę, rób regularnie kopie zapasowe. A trojan, którego wysłaliśmy, już zbiera dane. Gabriella otworzyła naszego maila dziś o ósmej dwadzieścia rano. Jej komputer jest połączony z komputerem Klinderna. Trojan wyłapuje ich hasła i przesyła je do mnie. Mam już wszystkie.

- To fantastycznie. Gdzie one są? - zapytał Alex, wkładając pamięć USB do kieszeni.

- O, tutaj - powiedziała Natasza i popukała się palcem w skroń. - Ale jeśli chcemy dostać się do komputerów KZX, musimy działać szybko. Najlepiej jeszcze dziś w nocy. Prędzej czy później ktoś odkryje naszego trojana, a to obudzi ich czujność, zaalarmują wszystkich i pozmieniają hasła dostępu. Potrzebujemy jakiegoś bezpiecznego miejsca, żeby przeprowadzić całą operację. Nie może to być ani twoje mieszkanie, ani Kitty. Chyba że masz na ten wieczór inne plany.

- Nie mam - odpowiedział krótko.

Weszli na teren parku. Teren, na którym odbywał się wiec, był otoczony metalowymi barierkami. Przy każdym wejściu znajdował się posterunek. Policjanci kontrolowali wszystkich wchodzących i wychodzących. Kolejka do wejścia ciągnęła się na długość kilkuset metrów. „Pokój, tolerancja, różnorodność” - głosił transparent wiszący nad niewielką drewnianą sceną. Z tyłu sceny, na środku, widniała olbrzymia fotografia Edith Leclerc. Na scenie odbywało się miniprzstawienie na temat wielokulturowości Europy: roześmiane

dzieci o różnych kolorach skóry bawiły się wspólnie i podrygiwały radośnie. Przygrywała im wielonarodowościowa orkiestra. Scenę otaczali żandarmi.

- Chodź, nie będziemy przecież stać w tej kolejce - oznajmił Alex i ruszył w kierunku głównego posterunku.

Policjanci i żandarmi uważnie sprawdzali dokumenty, spisywali dane każdego z uczestników. Jakiegokolwiek pytania o tak natarczywe kontrole zbywane były krótkim: „takie są procedury” albo „w związku z zagrożeniem terroryzmem”. Każdy, kto się temu sprzeciwił, był natychmiast aresztowany. Wielu ludzi odsyłano z kwitkiem. Inni z kolei opuszczali kolejkę, kiedy tylko orientowali się, że będą szczegółowo sprawdzani. Kamerzysta Brygady Panońskiej niespiesznie, uważnie filmował stojących w kolejce ludzi. Alex i Natasza przepchnęli się na początek kolejki.

- Jesteśmy z prasy - oznajmił Alex stojącemu w wejściu policjantowi i pokazał legitymację.

Policjant, mężczyzna o szerokiej twarzy i azjatyckich rysach, taksował Alexa wzrokiem. Mrugał gwałtownie, uważnie sprawdzając ich legitymacje.

- Pisti, możesz mnie zastąpić na chwilę? - poprosił stojącego w pobliżu żandarma. - Mam tutaj dwójkę, z którą mogą być kłopoty. Wy dwoje, proszę za mną - warknął.

Alex chciał zaprotestować, ale policjant go uprzedził:

- Po prostu chodźcie ze mną. Nie macie się o co martwić - uspokoił ich przyciszonym głosem, kiedy szli we trójkę w głąb parku.

Przystanęli przy kępie drzew. Alex spostrzegł, że ktoś rozdarł róg zdjęcia Leclerc wiszącego nad sceną.

- Wiem, kim jesteście. Czytałem wasz wywiad z Sanzlermannem. Udam teraz, że kontaktuję się przez krótkofalówkę z centralą i sprawdzam wasze dane.

Alex spojrzał na niego wyczekująco.

- Czy chce pan nam coś powiedzieć?

- Tak. Nie podoba nam się to. W ogóle nam się nie podoba. Ludzie mają prawo do manifestowania swoich opinii, do głosowania na kogo chcą. Po to właśnie obaliliśmy komunizm. Ci chuligani z Brygady Panońskiej mają teraz pomagać policji. Co za kpina. Żandarmi przejmują coraz więcej naszych obowiązków, a połowa z nich nie była nawet szkolona. Csaba Zirta umieszcza na każdym posterunku policji oficera łącznikowego, specjalnie na czas wyborów. Teoretycznie mają oni zapewne omówić z nami kwestie zapewnienia ludziom bezpieczeństwa w czasie kampanii wyborczej. Tylko że wszyscy ci oficerowie są zwolennikami Sanzlermanna. Nie ma nikogo ze strony Leclerc. To nie ma nic wspólnego z policją. Jesteśmy przez nich wykorzystywani. Rozumiecie?

Policjant podniósł wzrok i zauważył zmierzającego w ich kierunku żandarma.

- Są w porządku. Możecie iść - oznajmił, patrząc wymownie na Alexa.

Weszli więc na ogrodzony teren i podeszli jak najbliższej sceny. Wielokulturowa dziecięca grupa taneczna opuszczała właśnie scenę, a publiczność nagradzała jej występ entuzjastycznymi brawami. W powietrzu unosił się zapach prażonych orzechów i palonych liści. Na wiecu było nie więcej niż dwieście osób, za to kolejki do wejścia ciągnęły się niemal aż do Placu Bohaterów. Edith Leclerc pojawiła się na scenie z piętnastominutowym opóźnieniem. Była to korpulentna kobieta o starannie ułożonych siwych włosach, ubrana w stonowaną granatową spódnicę. Na nosie miała okulary o złotych oprawkach. Jej ochroniarze rozstawili się po obu stronach sceny.

- Drodzy Europejczycy, drodzy przyjaciele, cieszę się ogromnie, że mogę być dziś z wami tu, w Budapeszcie! *Jo estet kiwanok mindenkinék*, życzę wam wszystkim udanego popołudnia! - zaczęła wyraźnym, donośnym głosem, wywołując entuzjastyczne okrzyki. - Wybaczcie mi, proszę, moją nie najlepszą wymowę - teraz we wspólnej Europie jest tyle języków do poznania! Przed nami jednak trudne dni próby. Marzenia o spokojnej,



bezpiecznej Europie na naszych oczach zmieniają się w koszmar. Nasze dzisiejsze zgromadzenie, które miało być tak radosnym wydarzeniem, przesłoniła paryska tragedia. Módlmy się za dusze tych, którzy zginęli, i za zdrowie tych, którzy walczą o życie.

Alex obserwował, jak rozdarcie w rogu wielkiego plakatu powiększa się - naddarte części powiewały na wietrze. Leclerc odwróciła się i gestem dłoni nakazała jednemu ze swoich pracowników, aby zajął się uszkodzonym plakatem, po czym kontynuowała przemówienie:

- Są tacy, którzy chcieliby postawić wysoki mur między Europą a resztą świata. Według nich Europa powinna być zamieszkaana jedynie przez ludzi białej rasy, jedynie przez chrześcijan. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, kogo mam na myśli. Ale oni się mylą. Ich serca pełne są nienawiści i uprzedzeń - oznajmiła z mocą, a publiczność zafalowała z aprobatą. - Czy naprawdę powinniśmy wyrzucać wszystkich emigrantów z powodu kilku ekstremistów? Oczywiście, że nie. Ich czyny, choć potworne, nie mogą być usprawiedliwieniem dla takich działań jak te. - Wskazała na żandarmów stojących wokół sceny oraz policjantów, którzy wciąż legitymowali ostatnich niezłomnych, którzy jeszcze mieli nadzieję, że będą mogli uczestniczyć w wiecu. - Bo czasem dzieje się tak, że ci, którzy mieli nas chronić, zastraszają. A nasze z trudem odzyskane prawa są nam stopniowo odbierane, aż w końcu nie zostanie z nich już nic. A złowrogie, potężne grupy interesów o niejasnych celach chcą przejąć kontrolę nad naszą przyszłością.

Alex pociągnął nosem. Spod platformy, na której stała Leclerc, zaczęły wypełzać strużki szarego dymu. Plakat przedarł się ostatecznie na pół. Jedna z płacht opadła prosto na Leclerc - ta zaskoczona, próbowała ją zrzucić z siebie. Dymu było coraz więcej. Wśród publiczności dało się wyczuć niepokój, ludzie odsuwali się od sceny, wskazując na wydobywający się dym. Płomienie zaczęły powoli trawić brzegi drewnianej sceny. Ochroniarze Leclerc ruszyli na ratunek swojej szefowej, wyswobodzili ją spod resztek banneru i pospiesznie wyprowadzili ze sceny. Natasza z niepokojem spojrzała na Alexa, a on chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą, kierując się w stronę wyjścia. Tłum rozpiezchł się na wszystkie strony. Z każdą sekundą syreny wyły coraz głośniejsze.

\* \* \*

Ksiądz Fischer przyglądał się uważnie poczynaniom Nataszy, która podłączała do swojego laptopa otrzymany od Alexa telefon komórkowy. Była dziesiąta wieczór. Cała trójka ukrywała się w gabinecie księdza na tyłach kościoła. Alex wziął do ręki dysk DVD leżący przy komputerze. Wściekle pomarańczowa okładka przedstawiała samochód wyścigowy wchodzący w ostry zakręt na torze grand prix.

- „Ultimate Speed” - przeczytał na głos. - „Zostań kierowcą w najbardziej ekscytującej, najszybszej i szalonej grze wyścigowej”.

- Niezbadane są ścieżki Pana - uśmiechnął się ksiądz, nieco zawstydzony.

Nalał kawy do filiżanek i podał je swoim gościom.

- Z pewnością jednak pędzi ku nam z prędkością dwustu mil na godzinę - zażartował Alex, odkładając pudełko z grą i biorąc od księdza filiżankę.

Natasza podniosła wzrok znad komputera.

- Możemy zaczynać - oznajmiła, ignorując dowcip Alexa. - Ojcie, zdaje sobie ojciec sprawę z faktu, że włamywanie się do komputera KZX jest przestępstwem, tak?

- Wedle prawa ludzkiego, jest. Nie jest to jednak przestępstwo wobec Boga. Czy pytasz mnie o to dlatego, że możemy zostać w jakiś sposób namierzeni?

- To bardzo dobre pytanie - przyznała, biorąc do ręki komórkę. - Każdy telefon ma dwa unikalne numery identyfikacyjne. Operatorzy telekomunikacyjni mogą za ich pomocą namierzyć dowolny aparat telefoniczny, w dowolnym miejscu na Ziemi - to znaczy, o ile jest

tam zasięg - z dokładnością do pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Trwa to dwie, trzy sekundy. Telefon może być też wykorzystany jako podsłuch, a nawet jako aparat fotograficzny, robiący zdjęcia bez wiedzy jego użytkownika.

- To wszystko nie brzmi zbyt uspokajająco - stwierdził ksiądz.

- Bo nie jest. Ale ktoś, kto chciałby nas obserwować, musi wiedzieć, z którego aparatu korzystamy. Jeżeli ktoś, kogo nie można z nami powiązać, kupi nam telefon za gotówkę, najlepiej w miejscu, w którym nie ma kamer przemysłowych, jesteśmy nie do namierzenia. Nasza komórka jest po prostu jednym z milionów telefonów. Zgadza się, Alex?

- Tak słyszałem - kiwnął twierdząco głową.

Ojciec Fischer wyglądał na zaniepokojonego.

- A co w przypadku, jeśli już ktoś was śledzi, wie gdzie się obecnie znajdujecie? Czy może poprosić operatora o namierzenie aparatów telefonicznych w najbliższej okolicy? Nie zorientują się, co robimy?

Natasza, która otwierała właśnie przeglądarkę internetową, pokręciła przecząco głową.

- Mogą, co prawda, ustalić, że jesteśmy właśnie tutaj i że używamy właśnie tych aparatów telefonicznych, ale nie będą w stanie prześledzić, co robimy w Internecie, a przynajmniej nie od razu, ponieważ użyjemy serwerów proxy.

Ksiądz Fischer potrząsnął głową.

- Nie rozumiem. Czego użyjemy?

Natasza spojrzała na niego znad ekranu laptopa.

- Już tłumaczę. Zawsze, kiedy łączymy się z Internetem, robimy to za pośrednictwem dostawcy Internetu. Ten przydziela wtedy naszemu komputerowi numer identyfikacyjny z własnej puli adresów. Ktoś, kto zna się na rzeczy, łatwo zauważy, że nasz adres pochodzi od węgierskiego dostawcy i może się w związku z tym zorientować, skąd nawiązujemy połączenie.

Ksiądz Fischer i Alex zafascynowani słuchali wyjaśnień Nataszy.

- Serwery proxy - ciągnęła dalej - czynią nas anonimowymi. Nasze dane są szyfrowane, a połączenie jest kierowane poprzez sieć serwerów rozsianych po całym świecie. To swoisty łańcuch, w którym wciąż przybysza ogień. Każdy serwer zna jedynie adres serwera, z którego otrzymał dane i serwera, na który te dane będzie przysyłał. Nikt nie zna całej trasy, więc teoretycznie jesteśmy nie do namierzenia. Teoretycznie. Bo nic nie jest stuprocentowo pewne.

- To wszystko jest naprawdę niesamowite. A w jaki sposób można zdobyć taki program? Ktoś pisze takie programy i je potem udostępnia? - zapytał ksiądz, pijąc powoli swoją kawę.

- Ludzie, którzy wciąż jeszcze wierzą w wolny przepływ informacji. Pisane przez nich programy można ściągnąć z Internetu - odparła Natasha, wklepując jednocześnie do przeglądarki Firefox adres: [www.kzxindustrie.de](http://www.kzxindustrie.de). Na stronie głównej koncernu widniało zdjęcie bawiącej się radośnie dwójki dzieci, z Europy i z Azji. „Źródło zdrowia, źródło szczęścia” - głosił napis nad obrazkiem. Migający banner zachęcał do obejrzenia nowych, regionalnych stron firmy: chorwackiej, węgierskiej, słowackiej i rumuńskiej. Dalej na stronie zamieszczone było panoramiczne zdjęcie kwatery głównej w Monachium - kilka białych niskich budynków, otoczonych ogrodem japońskim. Z boku strony pojawił się pasek „Opcje”, gdzie internauta mógł wybrać jeden z trzech tematów: „Społeczna Odpowiedzialność”, „Nasza Planeta w Erze Globalizacji”, „Historia Firmy”.

Natasza odwróciła się w stronę Alexa i księdza.

- Na razie nie włamał się jeszcze do KZX, po prostu oglądamy ich stronę przy użyciu komputera. To, co widzimy na stronie, to ogólnodostępne informacje. Włamanie nastąpi w chwili, gdy nielegalnie połączymy się z ich wewnętrznym systemem komputerowym. Kiedy niezidentyfikowane urządzenie próbuje dostać się do systemu, uruchamia się alarm i podejmowane są próby zlokalizowania intruza.

- Powiedziałaś, że teoretycznie nikt nie może nas namierzyć - powiedział ksiądz Fisher. - Ale co jeśli zbyt długo będziemy podłączeni...

- Nic nie jest stuprocentowo bezpieczne. Także korzystanie z serwerów proxy. W dodatku takie giganty jak KZX mają na pewno wysokiej klasy zabezpieczenia i bezpośredni kontakt z organami ścigania. Na szczęście mamy hasła, to zaoszczędzi nam sporo czasu. Jednak kiedy już dostaniemy się do supertajnych materiałów, zabezpieczeń będzie coraz więcej. System komputerowy KZX może wykryć, że ktoś używa serwerów proxy i wtedy niemal na pewno uruchomi się alarm. Potem nie będziemy mieli zbyt dużo czasu na pobranie informacji. Gotowi? Zaraz zaczynamy łamać prawo.

- Możesz zaczynać - stwierdził ojciec Fischer.

Najechała kursorem na okno logowania. „Nazwa użytkownika i hasło” - zażądał system, Natasza wpisała „KlindernD2009” oraz ciąg różnych liter i cyfr. „Witaj, Dieter Klindern” - wyświetliło się na ekranie. Pojawił się szereg folderów - „Katalog dokumentów wewnętrznych”.

Alex przebiegał wzrokiem nazwy folderów.

- Kliknij na to: „Przejęcia i portfele akcji”.

Natasza posłusznie najechała myszką. „Podaj hasło drugiego poziomu” - wyskoczyło momentalnie. Wklepała „walterfunk”. „Hasło poprawne. Podaj hasło trzeciego poziomu. Poinformowano dział bezpieczeństwa”.

- Dostaliśmy się do środka, ale zaczynają się już zastanawiać, kim jesteśmy - wyjaśniła Natasza, wprowadzając kolejne hasło: „Savoyi944”. - Dlatego musimy się spieszyć.

Ekran zaczął migać. Po chwili pojawił się kolejny komunikat: „Zgodnie z wymogami działu bezpieczeństwa, prosimy o potwierdzenie tożsamości przy użyciu hasła czwartego poziomu w przeciągu 15 sekund”.

Natasza rozejrzała się nerwowo, unosząc rękę w lekkiej panice.

- Ale ja nie mam hasła czwartego poziomu!

- Wpisz „heinrichvautker” - powiedział Alex.

- Co?

Alex odsunął spoczywające na klawiaturze dłonie Nataszy. Dziewięć sekund. Wpisał hasło. Dwie sekundy. Enter. „Witamy w zastrzeżonym archiwum Direktorat. Twoje połączenie będzie monitorowane przez dział bezpieczeństwa”.

Ekran zappełnił się nazwami firm, banków, koncernów, gazet i stacji telewizyjnych z całej środkowoschodniej Europy. Pojawiło się też specjalne menu zatytułowane „Rządy”.

- Wejść w „Rządy”. Węgry, Chorwacja, Słowacja, Rumunia - poprosił Alex.

Natasza zaznaczyła cztery kraje i nacisnęła przycisk myszy, rozpoczynając tym samym proces ściągania danych na komputer. Niestety, pasek postępu przesunął się dramatycznie wolno.

- To przez serwer proxy. Spowalnia połączenia - wyjaśniła.

Z oddali dobiegło wycie policyjnych syren. Pasek ledwo pełzał.

- Musimy ściągnąć jeszcze jedną rzecz, Natasza, błagam. Wejść z powrotem w „Przejęcia i portfele akcji”, a potem kliknij w KZX Pharmaceuticals.

Pojawiło się nowe okno: „Wpisz hasło do wybranej lokalizacji”. Natasza wpisała: „novymarek”. Ich oczom ukazało się zdjęcie przedstawiające umorusane romskie dzieci, bawiące się na piaszczystej drodze, opatrzone podpisem „Projekt Porajmus”. Chwilę później pojawiła się lista plików, posegregowanych według dat, dekadami.

- Projekt jaki? - spytała ze zdziwieniem Natasza.

- Porajmus. To romskie słowo oznaczające „straszliwe zniszczenie”. Cygański holokaust. Ile z tego uda nam się ściągnąć? - zapytał Alex.

Natasza spojrzała na niego z powątpiewaniem. Policyjne syreny były coraz głośniejsze.

- Nie wiem, może trzy, cztery pliki, nie więcej. Nie mamy chyba zbyt wiele czasu. Dziwne, że tak szybko nas namierz yli.

- W takim razie pospieszmy się. Weź tylko część: 1940, 1980 i 2000-2008.

Palce Nataszy zwinnie biegały po klawiaturze. Pasek postępu znów zaczął się powoli przesuwać. Dźwięk policyjnych syren ustał, za to przez okno widzieli migające niebieskie światło. Ktoś stanowczo zastukał do drzwi kościoła. Dudnienia rozniosło się po całej świątyni.

Ksiądz Fischer wstał ze swojego miejsca.

- Macie najwyżej minutę, dwie. Tylko tak długo uda mi się ich zatrzymać. Schowajcie się gdzieś, prędko.

Pukanie stało się donośniejsze i bardziej nachalne. Pasek na ekranie wypełniony był dopiero do połowy. Alex wpatrywał się w niego nerwowo, wbijając paznokcie w dłonie, zaklinając go, żeby przyspieszył. Pasek powolutku dobił do siedemdziesięciu pięciu procent.

Natasza, również zdenerwowana, siedziała przed laptopem.

- No, dalej, daleeej - mamrotał Alex, co rusz spoglądając w stronę drzwi.

Słyszał już, jak ojciec Fischer wita się z policjantami.

- Przepraszamy za najście, proszę księdza. To niezręczna sytuacja. Ale poszukujemy Nataszy Hatvani i Alexa Farkasa i jesteśmy niemal pewni, że przebywają oni właśnie tutaj.

Ksiądz Fischer usiłował protestować, ale oficer przerwał mu bezceremonialnie.

- Z całym szacunkiem, zanim ksiądz powie cokolwiek, proszę zrozumieć: ja wiem, że oni tutaj są - mówiąc to, policjant ruszył szybkim krokiem przez kościół.

Natasza podniosła głowę i spojrzała na Alexa.

- Może uda nam się jeszcze stąd zwać... - powiedział z powątpiewaniem.

Wiedział, że sytuacja jest beznadziejna. W tym momencie pasek postępu dobił do stu procent.

- Ale jak chcesz stąd zwać? - chciała wiedzieć Natasza, gorączkowo kopiując dane na pendrive'a.

- Obawiam się, że daleko byście nie zaszli - głos człowieka, który wypowiedział te słowa, wydał się Nataszy dziwnie znajomy.

Odwrociła się. Elegancka sylwetka, krótkie blond włosy, modne oprawki.

- Dobry wieczór, kapitanie Hermann. Jak pan nas tu znalazł? - zapytała Natasza, uśmiechając się szeroko.

Jednocześnie, udając, że drapie się w szyję, małym ruchem wrzuciła pendrive'a za koszulkę.

Policjant wskazał jej torebkę.

- Dobry wieczór. Prawdę mówiąc, nie było to zbyt skomplikowane. Proszę pokazać zawartość.

Natasza posłusznie odwróciła nad stołem otwartą torebkę. Pierwszą rzeczą, która z niej wypadła, była komórka Magyar Mobile. Zawstydzona Natasza zasłoniła twarz rękami.

- Nie mogę w to uwierzyć. Przez cały ten czas telefon był w mojej torebce. Kompletnie o nim zapomniałam. A on ma nawet GPS. Strasznie przepraszam, Alex. Równie dobrze mogliśmy założyć sobie na głowy nadajniki.

Kapitan Hermann podniósł ze stołu telefon.

- Pozwolę sobie zatrzymać ten aparat. Pendrive'a również - dodał, wyciągając dłoń.

Natasha zarumieniła się, zaczęła macać się po plecach w okolicach tali i po chwili wręczyła policjantowi małe urządzenie.

- Dziękuję. A teraz pakujcie swoje manatki i uciekajcie stąd, zanim pojawią się żandarmi. - Mówiąc to, kapitan Hermann usiadł wygodnie i sięgnął po joystick stojący obok komputera księdza. - Ojciec Fischer i ja jesteśmy bardzo zajęci wyścigami samochodowymi.

## Rozdział 20

Od: pushkin2000@webmail.c0m Do: langos1980@webmail.com

Dzień dobry. Przepraszam za wczoraj. Tym razem dla odmiany to ja o mało nie doprowadziłam do naszego aresztowania... Ciekawe, że po raz kolejny pojawił się nasz znajomy. W ramach przeprosin przesyłam ci link do śmiesznego filmiku. Miłego oglądania!

Te inne materiały wydrukuję.

Alex siedział w łóżku z laptopem na kolanach. Kliknął na link przysłany przez Nataszę - otworzyła się strona użytkownika serwisu YouTube posługującego się nickiem Cosmopolitan. Umieścił on w sieci trzy filmiki. Pierwszy był zmontowanym klipem, na którym maszerujący żandarmi i brygadziści podskakiwali raźnie w przód i w tył, w rytm *Walk like an Egyptian* The Bangles. W drugim ujęcia Franka Sanzlermanna przemawiającego na wiecu w Budapeszcie przechodziły płynnie w sceny z filmu *Dyktator* Charliego Chaplina, tak że Sanzlermann-Chaplin przechadzał się w tę i z powrotem, plując, wymachując rękami i żywo gestykulując. Najśmieszniejszy był jednak trzeci filmik: twarz Hunkalffyego została przeklejona na twarz śpiewającego bohatera *Producentów* Mela Brooksa. Cosmopolitan stworzył nawet nową wersję piosenki, ze zmienionym refrenem. Zamiast „Nadeszła wreszcie wiosna dla Hitlera i dla Niemiec”, Hunkalffy podśpiewywał „Nadeszła wreszcie wiosna dla Hunkalffyego i dla Węgier, Madziarzy są szczęśliwi i radośni”, podskakując radośnie na scenie. Mimo wczesnej godziny - była dopiero ósma trzydzieści rano - filmik miał już ponad cztery tysiące wyświetleń. Alexa tak rozbawił występ Hunkalffyego, że jeszcze chichotał, kiedy odbierał telefon.

- Z czego się tak cieszysz? - zapytał David Jones.

- Zaraz ci prześlę. Genialne filmiki!

- Dobra, to czekam. A czy ty wiesz, że jesteś sławny? A właściwie niesławny będzie w twoim przypadku lepszym słowem.

- Jak to? O czym ty mówisz? - zapytał Alex, popijając kawę.

- Pozwól, że przeczytam ci artykuł z pierwszej strony dzisiejszego wydania „Ebredjetek Magyarok!” autorstwa naszego przyjaciela Balazsa Noludiego. „Kim jest Alex Farkas?”, zapytuje szanowny dziennikarz, chociaż zdawałoby się, że zna już odpowiedź na to frapujące pytanie. W każdym razie, cytuję: „ten dziennikarzyna wypisuje odrażające kłamstwa na temat Węgier, głosząc, że w naszym kraju szerzy się rasizm wobec Romów i Żydów i przedstawia nas jako marionetki w rękach Franka Sanzlermanna. Dlatego my, prawdziwi Węgrzy, pytamy teraz: dlaczego pozwalamy, aby ten kosmopolita bez korzeni żył pośród nas, nadużywając naszej gościnności i dobroczynności? Wzywamy wszystkich prawdziwych patriotów do bacznego obserwowania tego intruza i informowania nas o jego działaniach. Być może dzięki temu doczekamy się wyciągnięcia wobec niego konsekwencji”, i tak dalej, i tak dalej.

Alex wybuchnął śmiechem.

- No, to pięknie. Dzięki za informację. Wygląda w takim razie na to, że coś w życiu robie jak trzeba. Zaraz zerknę na ich stronę - powiedział, po czym się rozłączył.

Zalogował się na stronie z internetowym wydaniem „Ebredjetek Magyarok!”. Było tak, jak opowiadał David. Na stronie głównej widniała jego fotografia, opatrzona podpisem: „Alex Wolf/Farkas: wróg naszego kraju?”. Sugerowanie, że posługuje się dwoma nazwiskami było klasyczną zagrywką, dyskretnym zasugerowaniem, że tak naprawdę ma pochodzenie żydowskie. Równie dobrze mogliby napisać „Alex Farkas; Żyd” - przynajmniej wszystko byłoby jasne. W oddzielnym długim artykule Balazs rzucał fałszywe oskarżenia pod adresem Mikłosa, wymyślone zresztą przez samego Noludiego, sugerujące, że był on agentem AVO. „Jakie to wszystko żalodne” - pomyślał Alex. Posądzanie o antywęgierskość, oczernianie

zmarłego i słabo zakamuflowany antysemityzm - Noludi i jego ekipa przeszli samych siebie. Dowiedli, że wzorują się na propagandowych manipulacjach z komunistycznej epoki.

Na stronie gazety znalazł się również artykuł dumnie obwieszczający o nowych obowiązkach Brygady Panońskiej. Jej członkowie byli teraz szkoleni pod kątem „monitorowania zdradzieckich, antymadziarskich elementów i narodowych wrogów”. Ruszała właśnie strona internetowa Brygady, za pośrednictwem której każdy mógł przekazywać informacje na temat izraelskich inwestorów i ich biznesów na terenie Węgier. Alex pokręcił z niedowierzaniem głową, otwierając jednocześnie kolejnego e-maila.

Od: kittykitty@webmail.com

Do: Iang0s1980@webmail.c0m

Ha! Przede mną nie uciekniesz! Mam twój nowy adres e-mailowy. Chciałam się tylko upewnić, czy będziesz dziś na pożegnalnej kolacji Ronalda. WSZYSCY tam będą! Buziaki, K.

Ronald Worthington wynajął prywatną salkę w Crusoe's, ekskluzywnej restauracji, żeby zorganizować, jak się wyraził „królową wszystkich pożegnalnych kolacji” i wydać cały fundusz rozrywkowy gazety. Alex odpisał krótko, że będzie i że cieszy się na spotkanie ze WSZYSTKIMI.

Potem oparł się wygodniej na poduszkach, przewijając w głowie scena po scenie wydarzenia ostatniej nocy. Jaki związek z całą tą sprawą ma kapitan Hermann? Był na dworcu tego dnia, kiedy jechali z Nataszą na Słowację, a Natasza wspominała też, że był u niej w domu po tym, jak napadnięto jej matkę, nie chciał jednak powiedzieć, dlaczego się tam znalazł ani czego szuka. Nie ulegało wątpliwości, że był bardzo inteligentny, a na dodatek perfekcyjnie mówił po angielsku. Miał też wczoraj powody, aby ich aresztować, a jednak puścił ich wolno.

Telefon komórkowy znowu zadzwonił. Isabelle Balassy, rzecznik prasowy ambasady brytyjskiej. Ostatni raz widział ją na pogrzebie dziadka. Skąd miała jego nowy numer?

- Witaj, Alex, ja się masz? Zakładam, że zrobiłeś już dziś przegląd prasy? - zapytała.

- Witaj, Isabelle. Miło, że dzwonicz. Tak, widziałem dzisiejsze gazety.

- Czy moglibyśmy spotkać się dziś po południu? W Muvesz Cafe, powiedzmy o czwartej?

- Nie ma problemu - odparł Alex.

- Zaraz, gdzie mieliśmy się spotkać?

Alex zmarszczył brwi, zdziwiony.

- Muvesz Cafe o czwartej. Zgadza się, tak?

- Świetnie. Do zobaczenia zatem.

\* \* \*

Cassandra Orczy czytała uważnie najnowszy raport „Wyborcy”. Był krótszy od wcześniejszych, ale zgodny z poprzednimi relacjami. Plan Sanzlermanna i Hunkalffyego przebiegał bez zakłóceń. Liczni posłowie opozycji zostali aresztowani pod fałszywymi zarzutami oszustw podatkowych po tym, jak w trybie awaryjnym uchwalono ustawę znoszącą ich immunitety. Siedziba liberałów została przejęta na zasadzie wywłaszczenia. Nieznana nikomu kancelaria prawnicza znalazła nagle dokumenty, z których wynikało, że cały blok należał przed wojną do spółki zależnej od KZX. Budynek, zlokalizowany tuż koło hotelu Bristol, miał teraz zostać przekształcony w regionalną siedzibę główną KZX Industries.

Brygada Panońska planowała marsz demonstracyjny ulicami romskiej ósmej dzielnicy, aby zaprotestować przeciwko „cygańskim zbrodniom” i wezwać do apartheidu.

Narodowe Obligacje Skarbowe, które miały swoją premierę tydzień wcześniej, odniosły olbrzymi sukces. Gorący pieniądź napływał z Niemiec, Austrii i Szwajcarii, wykupywane były obligacje rządowe, nieruchomości prywatne i komercyjne. Dalsze plany przewidywały wypuszczenie Narodowych Obligacji Skarbowych jednocześnie w trzech kolejnych krajach: Chorwacji, Rumunii i na Słowacji, już w następnym miesiącu. Według informacji „Wyborcy”, kolejny etap realizacji planu skoncentrowany będzie na mediach, szczególnie podczas przygotowań do wyborów prezydenckich. Rząd ponownie zatrudnił specjalistów, którzy w czasach komunizmu szkoleni byli w zakresie zakłócania fal radiowych stacji BBC i Głosu Ameryki. Zagraniczne media miałyby być blokowane nieoficjalnie - po prostu, dostawcy satelitarnej telewizji kablowej i Internetu borykaliby się z „usterkami technicznymi”. Hunkalffy usilnie starał się doprowadzić do realizacji swoich pomysłów: chciał podpalić kilka drukarni gazet - o te podpalenia, rzecz jasna, oskarżono by potem kogoś innego - oraz postawić przed sądem kłopotliwych dziennikarzy za takie przewinienia, jak „zniesławienie głowy państwa” i „wysuwanie fałszywych oskarżeń”. Pomysły Hunkalffego napotkały jednak wewnętrzny opór, donosił „Wyborca”. Pojawiły się głosy, że Hunkalffy podchodzi do całej sprawy zbyt osobiście i emocjonalnie, przez co nie jest w stanie spojrzeć na nią z dystansu. Jego decyzja o ponownym zalegalizowaniu flagi strzałokrzyżowców, określana mianem „podarunku propagandowego”, wywołała szczególne oburzenie.

Orczy upiła kilka łyków kawy, po czym zapaliła papierosa. Informacje, które posiadała, były przerażające i przygnębiające, ale też niezwykle cenne. Co jednak miała z nimi zrobić? Wzięła do ręki kartkę z krótką notatką, która tego ranka została rozesłana do wszystkich:

Od: Dyrektor Państwowych Węgierskich Służb Bezpieczeństwa

Do: Szefów wszystkich departamentów Wszystkie cztery oddziały PWSB: Wywiad, Operacje, Kontrwywiad oraz Dział Analiz, zostają połączone w jeden organ: Narodowy Departament Bezpieczeństwa Żandarmerii. Postanowienie to wchodzi w życie z końcem przyszłego tygodnia. Niestety, nie jestem w stanie nikomu zagwarantować, że pozostanie na swoim dotychczasowym stanowisku. Jednocześnie informuję, że każdy pracownik może ubiegać się o posadę w NDB.

Już sama decyzja była dla Cassandry ogromnym zaskoczeniem, jeszcze bardziej wstrząsnęło ją jednak to, w jakim tempie dokonywano tych zmian. Miała nadzieję, że zostały jej tu chociaż dwa dni. Podniosła słuchawkę telefonu.

\* \* \*

Alex rozglądał się po kawiarni w poszukiwaniu Isabelle, stojąc obok wysokiej, przeszklonej wystawy z ciastami w stylu art deco. Muvesz Cafe, mieszcząca się przy alei Andrassyego, stanowiła nieodłączny element budapesztańskiego krajobrazu. Wymalowane starsze panie, chętnie zapadające w wygodne biedermeierowskie fotele, przychodziły tu, aby poplotkować pod połączanym sufitem, w czasie gdy kelnerki w białych bucikach biegały w tę i z powrotem, lawirując zręcznie między stolikami z tacami wypełnionymi ciastami i napojami. Zapach palonej kawy, czekolady i tytoniu sprawiał, że panowała tu przyjemna atmosfera.

Alex dostrzegł Isabelle przy wejściu i ruszył w jej stronę, o mały włos zderzając się z postawną kelnerką. Zręcznie podniosła swoją tacę i minęła go dokładnie w chwili, w której podeszła do niego Isabella.

- Witaj, Alex - powiedziała Isabelle, całując go na powitanie.

- Gdzie siądziemy? Może tutaj? - spytał, wskazując na mały stolik, stojący dyskretnie w kącie kawiarni.

- Nie, nie tutaj, chodź za mną - odparła, ciągnąc go w stronę stolika na środku lokalu.

Alex skrzywił się z bólu, kiedy chwyciła go za lewe ramię. Wprawdzie się goiło, ale ciągle był jeszcze bardzo obolały. Na ich sporadyczne spotkania Isabelle wybierała zazwyczaj dyskretniejsze miejsca, z dala od tłumów. Teraz jednak prowadziła go na środek sali, gdzie wszyscy mogli ich widzieć. Takie niespodziewane zachowanie było jednak całkiem w jej stylu. Isabelle miała trzydzieści parę lat i była pół Angielką (od strony matki), pół Węgierką (po ojcu), posiadającą wszelkie cechy charakterystyczne obydwu nacji. Rodzina Balassych opuściła Węgry w 1956 roku i pojechała do Londynu - tam poznali się rodzice Isabelle i ona sama się urodziła. Potem cała trójka przeniosła się do Nowego Jorku. Kiedy Isabelle miała szesnaście lat, jej rodzice się rozwiedli, a ona zdecydowała się zostać z ojcem na Manhattanie. Jej długie falujące kasztanowe włosy, związane w koński ogon, podkreślały kolor jej brązowych oczu i szerokie, pełne usta. Miała na sobie czarny golf i obcisłą bordową marynarkę oraz spódnicę podkreślającą jej szczupłą, ale kobiecą sylwetkę.

Kilka miesięcy wcześniej, po suto zakrapianej winem kolacji u ambasadora, Alex i Isabelle spędzili kilka upojnych chwil w garderobie. Przez dobrych kilka minut całowali się namiętnie, aż wreszcie wyrwała mu się, oznajmiając, że nie ma w zwyczaju mieszać interesów z przyjemnością. Obecnie zdarzało im się spotkać na kolację lub drinka mniej więcej raz w miesiącu. Podtrzymywali iskrzące między nimi napięcie seksualne, wykorzystując je do innych celów - w trakcie spotkań próbowali wyciągnąć od siebie nawzajem jak najwięcej informacji, dając jednocześnie jak najmniej w zamian. Sondujące pytania, które zadawała mu czasem Isabelle, były podobne do tych, którymi zasypywali go przeróżni brytyjscy oficerowie łącznikowi na Bałkanach. Był niemal pewien, że Isabelle pracuje dla MI6.

Błady poważnie wyglądający młodzieniec siedział przy stoliku tuż za nimi i czytał „Ebredjetek Magyarok!”. Kiedy tylko usiedli, odłożył gazetę i wyciągnął notatnik i długopis.

Isabelle przywołała kelnerkę i zamówiła dwie kawy, po czym spojrzała Alexowi w oczy:

- Gzy mógłbyś proszę zapytać mnie, głośno i wyraźnie, co się stanie, jeśli zostaniesz wydany z Węgier? - powiedziała ze swoim charakterystycznym akcentem. Alex popatrzył na nią ze zdziwieniem. Uśmiechnęła się zachęcająco. - No, dalej, tak jak powiedziałam. Tylko głośno i wyraźnie.

- Pani Balassy - zaczął Alex w sposób godny spikera BBC. - Proszę mi powiedzieć, co się stanie, jeśli zostanę wydany z Węgier?

Młody mężczyzna zaczął notować. Kelnerka przyniosła mu kawę, ale on to kompletnie zignorował.

- Oczywiście, panie Farkas. Przez rząd Jej Królewskiej Mości zostanie to poczytane jako poważne naruszenie praktyki dyplomatycznej. Londyńscy korespondenci „Ebredjetek Magyarok!”, węgierskich stacji telewizyjnych oraz agencji prasowych, zostaną natychmiast ogłoszeni *personae non gratae*. Nie będą mieli nawet czasu, aby się spakować.

Podsłuchiwaniec ledwo nadszedł z pisaniem. Isabelle kontynuowała:

- Mówiąc bez ogródek: zostaną oni wydani, a ich legitymacje prasowe na mocy specjalnego nakazu rządowego stracą ważność. Będziemy też zachęcać naszych sojuszników, zarówno w Europie, jak i poza nią, aby uczynili to samo. Oczywiście, dotyczy to również Stanów Zjednoczonych. - Przerwała i po chwili ciszej dodała: - A teraz zapytaj mnie, co się stanie, jeśli, dajmy na to, przytrafi ci się nieszczęśliwy wypadek.

Alex odchylił się nieco na swoim krześle, tak żeby ich znajomy lepiej słyszał:

- A co w sytuacji, jeśli przytrafi mi się jakiś nieszczęśliwy wypadek?

Podsłuchiwaniec zastygł w oczekiwaniu, gotowy w każdej chwili z powrotem chwycić za długopis.



- Rząd Jej Królewskiej Mości przywiązuje ogromną wagę do tego, aby przedstawiciele brytyjskiej prasy mogli działać bez jakichkolwiek utrudnień. W szczególności obywatele brytyjscy. Wiemy doskonale, że z gazetą „Ebredjetek Magyarok!” powiązane są osoby z bardzo bliskiego otoczenia Attili Hunkalffyego. Posiadamy również pewne informacje na temat osobistego życia zarówno premiera Hunkalffyego, jak i pana Franka Sanzlermanna, których do tej pory nie ujawnialiśmy.

Isabelle przerwała na chwilę, tak żeby dać mężczyźnie czas na dokładne zapisanie wszystkiego, co powiedziała. Po chwili mówiła dalej:

- Jednak jeśli przytrafiłoby się cokolwiek nieprzyjemnego panu albo innemu zagranicznemu korespondentowi, niezwłocznie udostępnimy posiadane informacje światowej, podkreślam, światowej prasie.

Nagle pochyliła się w stronę podsłuchiacza i rzuciła:

- No i jak, udało ci się wszystko zanotować?

Na twarzy mężczyzny odmalowało się najpierw zaskoczenie, a potem przerażenie. Pospiesznie spakował swoje rzeczy. Rzucił na stolik kilka banknotów i wybiegł z kawiarni.

Alex odwrócił się i patrzył, jak za uciekinierem zamykają się drzwi. Uśmiechnął się szeroko.

- O jakich informacjach mówiłaś? - spytał, pamiętając o opowieści Laciego, kelnera z Sotto Voce.

- Tego nie mogę zdradzić. Chyba że zobowiążesz się do przestrzegania ustawy o tajemnicy państwowej, ale to raczej zakończyłoby twoją karierę dziennikarską. Ale już oni wiedzą, o czym mówiłam. No i jest coś jeszcze.

- Co takiego?

- Istvan Matonhely.

- Przywódca Brygady Panońskiej. Co z nim?

- Matonhely otworzył właśnie konto bankowe i wpłacił na nie milion euro. Gotówką.

\* \* \*

Prywatna sala w restauracji Crusoe's była przeszklonym pomieszczeniem. Niczym półwysep wcinająca się w sztuczne jezioro otaczające zamek Vajdahunyad w parku miejskim. Tafla wody migotała w mroku, odbijając światła świec i księżyca. Rozstawione wokół zamku lampy rzucały ciepłe światło na bogato zdobione zamkowe wieże i balustrady. Dochodziła północ, ale pożegnalna impreza Ronalda dopiero się rozkręcała. Było ich przy stole ośmioro: Alex, Kitty, Natasza, Edina, Euan Braithwaite i kilka osób z działu reklamy.

Alex siedział obok Ediny Draskovitz i Euana Braithwaite'a. Edina miała na sobie ciemnoniebieską jedwabną bluzkę a la kimono i spodnie do kompletu. Ku zaskoczeniu Alexa, wyglądała tego wieczoru niezwykle kobieco. Z kolei upojony sukcesem Euan, który dostał właśnie posadę dziennikarza sportowego w Reuterze, wspominał, jak jako jeszcze nieopierzony reporter pojechał do Albanii tuż po atakach lotniczych NATO. Niedługo po przyjeździe został porwany przez Armię Wyzwolenia Kosowa. Musiał się przedzierać z kosowskimi bojownikami do ich kryjówek w górach - tam powiedzieli mu, że go zastrzelą, bo jest serbskim szpiegiem.

- Jak udało ci się uciec? - zapytała zafascynowana Edina, wpatrując się w niego jak zahipnotyzowana.

- Zaczęliśmy rozmawiać o piłce nożnej. Dawno temu przeprowadzałem wywiad z Maradoną. Kiedy się o tym dowiedzieli, koniecznie chcieli uścisnąć rękę człowieka, który witał się z Maradoną. Potem mnie wypuścili - powiedział Braithwaite, rumieniąc się pod jej intensywnym spojrzeniem. Pociągnął duży łyk piwa i dokończył: - Ich dowódca odwiózł mnie nawet do najbliższego posterunku NATO.

Ich śmiech niósł się jeszcze po sali, kiedy nagle światła przygasły, a rozbrzmiewająca w tle muzyka jazzowa ucichła. Do sali weszło czterech szczupłych Romów niosących obitą fioletowym brokatem lektykę, w której siedziała potężnych rozmiarów kobieta. Lektyka sunęła niczym okręt wypływający na morze. Wszystkie rozmowy ucichły, kiedy zaczęła rozglądać się po sali. Ręce unoszące kieliszki i zapalone papierosy zamarły w połowie drogi do ust. Kobieta była ubrana w luźną suknię z purpurowego aksamitu, a jej szyję ozdabiała złota biżuteria. Za ucho miała wetkniętą bordową różę, której kolor idealnie pasował do koloru szminki na jej ustach. Jej głęboko osadzone czarne oczy miały orientalny kształt, a kości policzkowe były wyjątkowo wydatne. Całości dopełniał nieco zakrzywiony nos i pełne usta, pod którymi dało się dostrzec kilka wałeczków tłuszczu w miejscu, gdzie powinna być szyja. Rozejrzała się władczo po twarzach biesiadników i kelnerów, zupełnie jakby wszystko było tak, jak ona sobie życzyła.

Kitty Kovacs przysiadła się do Alexa.

- Kochanego ciała nigdy za wiele? Chyba nie w tym przypadku - stwierdził, sięgając po kolejną butelkę wina.

- Dla ciebie za wiele. Za wiele chyba nawet dla mnie - odparła Kitty, chichocząc.

Alex uśmiechnął się.

- A gdzie Esmeralda?

- Wróciła do Barcelony - rzuciła z roztargnieniem Kitty, obserwując Nataszę, pogrążoną w rozmowie z Ronaldem Worthingtonem: właśnie jej solennie obiecywał, że mianuje ją swoją „główną naczelną barmanką”, kiedy tylko otworzy pub. - Może podejdziesz i porozmawiasz z Nataszą?

Alex pociągnął łyk wina.

- Raczej nie. Przecież ona też doskonale wie, gdzie siedzę - odpowiedział.

Przypomniała mu się ostatnia rada dziadka: Uwierz starszuskowi na słowo - ona patrzyła na ciebie w bardzo szczególny sposób...

Kitty uśmiechnęła się.

- Widzę, że postanowiłeś być bardziej węgierski.

Na sali rozległy się uciszające syki i krzyki, kiedy Ronald wstał ze swojego miejsca, aby rozpocząć doniosłym głosem:

- Panie i panowie, proszę o uwagę!

Na ten specjalny wieczór włożył kremowy lniany garnitur, a głowę przyozdobił brązowym fezem, który co rusz zsuwał mu się z łysiny. Czterech romskich tragarzy ustawiło się za nim i zaczęło stroić instrumenty: akordeon, skrzypce i trąbkę. Gospodarz poprawił nakrycie głowy, po czym wziął do ręki mikrofon:

- Oto Dżamila, cygańska królowa nocy oraz jej miniorkiestra.

Rozległy się oklaski i wiwaty. Muzycy rozejrzeli się i uklonili grzecznie. Ronald chciał przekazać mikrofon Dżamili, ta jednak w odpowiedzi rzuciła mu tylko pogardliwe spojrzenie.

Rozejrzała się po sali i zaczęła śpiewać - najpierw długi, pojedynczy dźwięk. Jej głos wypełnił całą salę. Nawet zabiegani kelnerzy przystanęli na chwilę, aby posłuchać.

- Świeć, moja gwiazdo - śpiewała. - Świeć moja gwiazdo, bo jesteś światłem dla mojej duszy.

Jeden z muzyków delikatnie, powoli zaczął akompaniować jej na skrzypcach. Po chwili dołączył do niego drugi. Alex poczuł, że z wrażenia dostał gęsiej skórki. Ogarnęło go silne, przejmujące uczucie. Czuł się niemal tak, jakby znowu był w chatce w osadzie Novy Marek. Przypomniał sobie, jak patrzyła Natasza, kiedy słuchała śpiewu Teresy.

Odwrócił się w stronę Ronalda.

- Słyszałem, że lubisz tę piosenkę - powiedział jego były szef, ocierając chusteczką pot z czoła - poprosiłem więc Dżamilę, żeby zaśpiewała ją specjalnie dla ciebie.

Alex podniósł wzrok. Natasza spojrzała na niego przelotnie, ale zaraz odwróciła wzrok, śpiewając bezgłośnie razem z artystką. Po chwili rozległy się dźwięki trąbki i akordeonu. Dżamila sięgnęła za ucho i rzuciła różę w stronę Alexa - ten pochwycił kwiat.

- Może pójdziesz na chwilę na balkon? - zasugerowała Kitty.

- Ale po co? Przecież jest zimno - zdziwił się Alex.

Chciał jej wręczyć różę, pokręciła jednak przecząco głową.

- Dzięki, ale tę różę powinien dostać ktoś inny. Idź. Na zewnątrz. Już, już - rozkazała.

Odłożył różę na stolik i wyszedł na taras. Oparł się o balustradę i wpatrywał się w lustro wody, drżące pod wpływem wiatru. Nocne powietrze było chłodne i rześkie. Usłyszał, jak otwierają się drzwi balkonowe.

Stała obok niego. Paliła papierosa.

- Nie odpisałeś na mojego e-maila.

- Bo wiedziałem, że spotkamy się tutaj.

Uśmiechnęła się.

- Lubię RONALDA. Nieraz mi pomagał - powiedziała, patrząc przed siebie.

- To prawda. A z kolei ty bardzo pomogłaś mi - odparł Alex, przysuwając się bliżej. Ich ramiona lekko się dotknęły. - Na szczęście dziś nie ma w okolicy żadnych policjantów. Nie grozi nam aresztowanie.

- Och, to załży - uśmiechnęła się lekko Natasza.

- Od czego?

- Od tego, co będziemy dziś robić - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Alex patrzył z zachwytem, jak delikatny wiatr owiewa jej wieczorową sukienkę, uwydatniając piękną linię bioder i kształt piersi. Wyjął jej z ręki papierosa i cisnął do jeziora. Niedopałek zaiskrzył w locie, syknął, stykając się z wodą i odpłynął w dal. W półmroku oczy Nataszy były jeszcze większe niż zwykle. Alex patrzył, jak delikatnie, tylko raz, oblizała wargi.

- Nie powinnaś palić. To niezdrowe - powiedział, przysuwając się bliżej niej.

Natasza stała niemal bez ruchu, zdawało mu się jednak, że nieznacznie pochyła się ku niemu.

- Sport jest dużo lepszy. A najlepsze jest bieganie. Na świeżym powietrzu na Wyspie Małgorzaty.

Dostrzegł na jej twarzy delikatny półuśmiech.

- No i dziewczyny - dodała.

Dotknął delikatnie jej twarzy, a ona odwróciła się do niego. Jej oczy błyszczały, kiedy przyciągnął ją do siebie, blisko, jeszcze bliżej, aż wreszcie ich usta stopiły się w namiętym pocałunku.

## Rozdział 21

Siedzieli razem na łóżku, obserwując wschodzące nad miastem słońce. Alex odnosił wrażenie, że wyostrzyły mu się wszystkie zmysły. Ubrania, porzucane od samych drzwi wejściowych, znaczyły drogę do jego łóżka - jego płaszcz, jej płaszcz, jego koszula i spodnie, jej sukienka, jego bokserki zaplątane w jej bieliznę. Rzucili się na siebie jak zwierzęta; jakby chcąc nadrobić czas, który stracili na podróż taksówką. Dopełniali się idealnie, każdym ruchem, każdym gestem. Czuł, jak jej paznokcie wpijają się w jego plecy. Z każdym jego ruchem jej nogi oplatały go ciaśniej i ciaśniej, aż krzyknęła jego imię, wijąc się z rozkoszy. Jego podniecenie sięgnęło zenitu, wypełniając całe ciało, eksplodując. Wśród jęków rozkoszy, wyszeptał jej imię. Potem odpoczywali chwilę, kreśląc palcami wzory na swoich spoconych ciałach i szepcząc sobie czule wyznania. A potem kochali się jeszcze raz, tym razem powoli, chłonąc każdy dotyk, zapach i smak.

Niebo rozjaśniało się powoli - czerń przeszła w ciemny pomarańcz, a potem błękit. W oddali słychać już było poranny ruch uliczny.

- A co jeśli to wszystko to tylko wytwór mojej wyobraźni? - spytał Alex, przygryzając dolną wargę. - Może wcale nie ma żadnego spisku, może po prostu tak się uprawia politykę w dzisiejszych czasach, twardo i bezwzględnie. Dlaczego właściwie Hunkalffy nie miały zostać premierem? Został przecież wybrany posłem. A Sanzlermann? Dlaczego nie miały zostać prezydentem Europy? Jeśli ludzie na niego zagłosują? Przecież na tym polega demokracja, społeczeństwo ma prawo wybrać swojego przywódcę. A ja po prostu wpadłem w obsesję. Jak Hillary Clinton, opowiadająca o spisku skrajnych prawicowców, którzy chcieli dopaść Billa.

Natasza przytuliła się do niego i położyła mu palec na ustach.

- Przestań. To kto w takim razie zamordował twojego dziadka?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Po prostu jacyś włamywacze.

- Włamywacze? I przynieśli ze sobą farbę i świński łeb?

- Złodzieje, którzy z jakiegoś powodu chcieli, żeby to włamanie nie wyglądało jak napad rabunkowy. A dlaczego nie? Kto to wie?

- A Vince Szatmari? - zapytała, przykrywając siebie i Alexa kocem.

- Zwykły wypadek. Sprawca uciekł z miejsca zbrodni. Zdarza się. Każdego dnia ludzie giną na drogach.

- Jak Anton - powiedziała Natasza, z trudem przelękając ślinę.

Alex przyciągnął ją do siebie.

- To nie była twoja wina - powiedział stanowczo.

- Ale ja odskoczyłam. Myślałam tylko o tym, żeby ratować siebie - odparła załamującym się głosem. Jej oczy wypełniły się łzami. - Gdybym spróbowała, może udałoby mi się odciągnąć go na bezpieczną odległość. A moja mama... - w tym momencie nie wytrzymała. Ukryła twarz w jego ramionach.

- Każdy na twoim miejscu zrobiłby to samo. Uciekamy w obliczu niebezpieczeństwa. To naturalny, ludzki odruch.

Dał jej chwilę, aby się wypłakała. Szlochała bezgłośnie przez kilka minut, aż wreszcie podniosła głowę. Bez słowa podał jej chusteczkę. Głośno wydmuchała nos, po czym uśmiechnęła się dziwnie.

- Przepraszam. Już wszystko w porządku. Naprawdę. Po prostu zamęczam się rozmyślaniami o tym. Nic na to nie poradzę. Byłam tam, widziałam, co się stało. - Wpatrywała się w Alexa mokrymi oczami. - A ty burzysz wszystkie mury, które tak długo wokół siebie wznosiłam. Nie przywykłam do tego.

Alex uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń.

- Cieszę się.

- Naprawdę? - zapytała pełnym napięcia głosem, patrząc mu prosto w oczy.

- Tak. Bardzo.

- Ja też - odparła, po czym pocałowała go w policzek. - Zaraz, o czym wcześniej rozmawialiśmy? Ach tak, o twojej nazbyt bujnej wyobraźni. No, a co w takim razie z włamywaczami w domu mojej mamy? Którzy, notabene, nic nie ukradli? A kapitan Hermann? Ewidentnie jest przekonany, że coś jest na rzeczy. Podobnie jak twoja przyjaciółka Isabelle - przypomniała, dźgając go palcem w udo.

- Auć! Ona nie jest moją przyjaciółką. Jest szpiegiem. Poza tym, tak naprawdę, nie mamy żadnych dowodów. Wszystko opiera się na domysłach. Nazistowski spisek, mający na celu przejęcie władzy w Europie. Ale skąd o tym wiemy? Gdzie są na to dowody?

- Wszędzie, gdziekolwiek spojrzysz. Hunkalffy niszczący demokrację. Podobnie jak rządy Rumunii, Chorwacji i Słowacji. Wzniesienie nienawiści do Romów. Czigex. Brygada Panońska. Kontrola żandarmów w Kulturze na kilka minut przed tym, jak miałeś się spotkać z Miklosem. Zabójstwo Miklosa i Vince'a Szatmariego. Dokumenty, które zdobyliśmy, włamując się do komputera KZX.

- Ale to nie wystarczy - przerwał jej Alex. - Potrzebujemy czegoś więcej.

- Więcej. Tak, to bardzo dobry pomysł - powiedziała, siadając na nim okrakiem i całując go namiętnie.

Po kilku godzinach Alexa obudził dzwonek telefonu. Spojrzał na zegarek: była dziesiąta.

- Odklej się od niej i włącz telewizor - usłyszał w słuchawce głos Davida Jonesa.

- Od kogo? - zapytał Alex niewinnie.

Natasza drgnęła i przytuliła się do niego mocno, otwierając jedno zaspane oko.

Uśmiechnął się do niej i położył palec na ustach.

- Reuter wie wszystko. A ty powinieneś być na Placu Bohaterów. Oboje powinniście być. Właśnie wysłałem tam dwójkę reporterów, fotografa i jedną ekipę z kamerą. Brygada Panońska inauguruje działalność swojego pierwszego batalionu.

- Dzięki. Zaraz tam będę.

- To nie wszystko. Po inauguracji odbędzie się przemarsz Brygady do ósmej dzielnicy w ramach protestu przeciwko „cygańskim zbrodniom”. Szykuje się niezłe zamieszanie. Jadę tam z waszym byłym fotografem, Ediną Draskovitz. Zastanawiam się, czy jej u nas nie zatrudnić.

- Zrób to. Dzięki za informacje. Co ja bym począł bez Reutera?

- Leżałbyś cały dzień w łóżku, ty leniwa cholero.

- Właściwie to taki właśnie miałem plan. Pozdrów ode mnie Edinę. Do zobaczenia!

Wziął do ręki pilota i włączył telewizor. Aniko Kovaes czytała poranne wiadomości: kończyła właśnie mówić o Brygadzie Panońskiej: „Zachęcamy więc wszystkich prawdziwych patriotów do okazania dziś swojego poparcia dla Brygady Panońskiej poprzez przyjsie na Plac Bohaterów i przemarsz stamtąd razem z całą Brygadą do największego siedliska zbrodni w całym Budapeszcie. Ponadto w wiadomościach: premier Hunkalffy i jego przyjaciel Frank Sanzlermann, który niebawem zostanie pierwszym prezydentem Europy, powitali dziś rano przywódców Chorwacji, Słowacji i Rumunii. Prezydenci Zorvajk, Hrkna i Malinanescu przyjechali do Budapesztu, aby wesprzeć pana Sanzlermanna w walce o fotel prezydencki oraz aby wziąć udział w uroczystości otwarcia wystawy w budapesztańskim parlamencie”.

Na ekranie pojawili się Hunkalffy z Sanzlermannem stojący na płycie lotniska w Budapeszcie i witający się uściskiem dłoni z każdym z trzech prezydentów, którzy po kolei wysiadali z czerwono-biało-czarnego samolotu Sanzlermanna. Kovacs mówiła jeszcze o wystawie zatytułowanej „Życie i czasy czterech anty bolszewickich bohaterów” prezentującej postacie: węgierskiego admirała Miklosa Horthyego, Ante Pavelicia z Chorwacji, marszałka Iona Antonescu z Rumunii i ojca Josefa Tisy ze Słowacji. Byli oni przywódcami w czasie wojny i sprzymierzeńcami nazistów. Wystawę przygotowała spółka zależna Volkstern Corporation. Jej główną atrakcją stanowił pokój, w którym za pomocą specjalnego stroju i

podłączonych do komputera okularów odwiedzający przenosili się do wirtualnej rzeczywistości, na pole bitwy, gdzie toczyli walkę z Armią Czerwoną.

Stary telefon komórkowy Alexa zapiszczał, sygnalizując nadejście wiadomości. Podniósł aparat. Był to filmik wideo z zastrzeżonego numeru. Natasza usiadła obok niego, kiedy otwierał plik. Nie było dźwięku. Przez pierwsze kilka sekund widać było ciemne, niezbyt wyraźne ujęcie Alexa, Nataszy, Mike'a Jakuba i Świetlany Todorowej, siedzących razem w domu Teresy w wiosce Novy Marek. Na kolejnym ujęciu Alex wchodził na klatkę schodową swojego budynku. Następna sekwencja pokazywała świnię, którą ciągnięto gdzieś na pole. Zwierzę kwiczało i wrywało się, ale nie miało szans - nóż wbił się w jego szyję. Chlusnęła krew, ochlapując też obiektyw kamery. Ostatnie już ujęcie ukazywało sam świński łeb, a w tle - męskie nogi w niebieskiej piżamie.

Alex upuścił telefon. Oddychał głęboko, starając się z całych sił, aby nie zwymiotować. Natasza podniosła komórkę i obejrzała filmik jeszcze raz.

- Alex, nic ci się nie przywidziało - powiedziała, chwytając go mocno za rękę. Nie rozluźniła uścisku, dopóki Alex nie przestał się trząść.

\* \* \*

Cassandra Orczy siedziała za swoim biurkiem, po raz drugi próbując wpisać hasło dostępu do służbowego komputera. Był to skomplikowany ciąg liter i cyfr, wybierany losowo i zmieniany co tydzień. „Odmowa dostępu” - pojawiło się na ekranie po raz kolejny. Spróbowała jeszcze raz, uważnie wpisując znak po znaku. Wiedziała, że po trzeciej nieudanej próbie komputer zostanie automatycznie zablokowany. Tak też się stało - monitor zgasł na chwilę, po czym pojawił się niewielki napis w ramce: „Nieuprawniona próba zalogowania: Alarm”. Cassandra opadła ciężko na oparcie fotela i zaczęła pić powoli kawę. Uśmiechnęła się na widok swojej białej porcelanowej filiżanki. Pomyślała, że teraz nie ma już wyboru - jeśli chce mieć połączoną zastawę, będzie musiała sama ją sobie kupić. Rozejrzała się po pokoju z rozrzewnieniem: na wiszące na ścianach oprawione cytaty Sun Tzu, na półki z aktami, odrapane biurko, teraz dokładnie opróżnione, stojący na nim ekspres do kawy. Jeszcze raz przejrzała wszystkie szuflady. Pusto. Zupełnie, jakby nikt tu nigdy nie pracował. Rozmyślając nad tym wszystkim, doszła do wniosku, że najbardziej będzie jej brakować widoku Dunaju za oknem.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadło dwóch potężnych mężczyzn w czarnych uniformach. Obydwaj mieli na głowach czapki z logo: „H” wewnątrz litery „C”.

- Mamusia nie nauczyła was, że trzeba pukać przed wejściem do pokoju kobiety? - spytała, wstając zza biurka.

- Nie wiedzieliśmy, że to właśnie robimy - burknął jeden z mężczyzn. - Ładny widoczek. Szkoda, że marnuje się na komunistyczne ścierwa. Na szczęście już niedługo.

- Przepraszam, skąd panów tutaj przywiało?

- Jesteśmy z Działu Bezpieczeństwa Volkstern Corporation.

- Mamy tu już swój dział bezpieczeństwa. I nie potrzebujemy ochrony, szczególnie od bysiorów z Volkstern Corporation. Zatem wynoście się z mojego biura - zażądała, jednocześnie wciskając guzik pod blatem biurka.

Jeden z ochroniarzy usiadł na biurku i chwycił Cassandrę za pierś, ściskając mocno. Grymas bólu wykrzywił jej twarz.

- Nie zadzieraj z nami - wycedził. - Masz dwie minuty na zebranie swojego szajsu. Potem wyprowadzimy cię z budynku - to mówiąc, rzucił jej czarny worek na śmieci.

- Nie potrzebuję tego. Tutaj nic już nie ma. Wygraliście, już idę, nie będę robić problemów - oznajmiła pojednawczo, próbując wyrwać się z żelaznego uścisku. - Proszę mnie puścić. To bardzo boli, a chyba dowiódł pan już swojej przewagi.

Mężczyzna opuścił rękę.

- Życzą sobie panowie kawy? - spytała słodko, podnosząc z biurka pełen dzbanek.

Ochroniarz odburknął, że nie. Cassandra wylała mu gorącą kawę na krocze. Z bólu nie był w stanie złapać oddechu. Chwytał się za krocze i upadł na podłogę. Drugi mężczyzna rzucił się w jej kierunku. Cassandra chlusnęła mu resztką kawy w twarz. Wrzasnął przeraźliwie, odwrócił się i wpadł na ścianę, próbując zetrzeć płyn z twarzy. Drzwi się otworzyły. Weszło czterech rośliwych, groźnie wyglądających mężczyzn.

- Są do waszej dyspozycji - zwróciła się do nich Cassandra. Mężczyźni chwycili dwóch ochroniarzy Volkstern i rzucili na ziemię, wykręcając im przy tym ręce. Cassandra przyklękła na chwilę i szepnęła tuż nad ich głowami:

- To teraz wy przekazacie swojemu szefowi krótką wiadomość: Nie zadzierajcie z nami.

\* \* \*

Dwadzieścia grup, w każdej po pięćdziesięciu członków Brygady Panońskiej, maszerowało w wojskowym szyku aleją Andrassyego w kierunku Placu Bohaterów. Dowodzący każdej z grup trzymał wysoko flagę strzałokrzyżowców. Plac otoczony był przez żandarmów. Kiedy grupy dotarły na plac, zatoczyły koło i ustawiły się w szeregu, niczym na paradzie. Csaba Zirta, minister spraw wewnętrznych, stał na platformie, na północnym krańcu placu, otoczony przez księży z Kościołów luterzańskich, kalwińskich i katolickiego. Wielki transparent, rozwieszony wysoko na całej szerokości platformy, głosił: „NIE dla zbrodni cygańskiej! NIE grabieżcom, wrogom narodu!”. Napis ozdobiony był dwoma rysunkami obwiedzionymi czerwonym kółkiem i przekreślonymi: jeden przedstawiał karykaturalną sylwetkę romskiego mężczyzny, drugi - izraelską flagę. Członkowie Brygady po kolei wchodzili na podwyższenie, ściskali rękę Csaby Zirty, a potem byli kolejno błogosławieni przez księży.

\* \* \*

Jozseftown, najliczniej zamieszкана przez Romów część Budapesztu, rozciągała się od Wielkiego Bulwaru na północ aż do samego serca ósmej dzielnicy. Jej ciemne wąskie uliczki stanowiły świat zupełnie odmienny od wypełnionej modnymi lokalami pobliskiej alei Andrassyego. Zniszczone budynki mieszkalne ostatnie remonty przeszły w latach trzydziestych. Wielodzietne romskie rodziny tłoczyły się najczęściej w jedno- i dwupokojowych mieszkaniach. Wiele z nich dzieliło łazienkę bądź kuchnię z innymi mieszkańcami budynku. Energia elektryczna i gaz doprowadzane były nielegalnie, jednak nigdy nie pojawiali się tutaj żadni inspektorzy. Okoliczni mieszkańcy nazywali ten rejon „Nyolcker” - skrótem powstałym z węgierskiego słowa oznaczającego „ósmą dzielnicę”. A jednak, mimo panującej tam nędzy i ubóstwa, ulice Nyolcker tętniły życiem. Dzieciaki grały w piłkę, kobiety plotkowały, bezrobotni mężczyźni ćmili papierosy i przeglądali gazety. Nie brakowało też nastoletnich hip-hopowców. Tego dnia jednak Nyolcker była opustoszała. Panowała w niej przejmująca cisza.

Droga do tej części miasta prowadziła przez plac Rakoczego, otwarty park rozciągający się od Bulwaru, ograniczony z jednej strony ulicą Jozsefa, a z drugiej - Berkocsis. W ramach prób polepszania warunków życia miejscowej społeczności, rada miasta postanowiła zamontować w parku szereg telebimów. Obecnie cały czas wyświetlano na nich spoty wyborcze Franka Sanzlermanna. Jak ogłosił dowódca Brygady, przemarsz rozpocznie się w alei Andrassyego, a następnie jego uczestnicy przejdą wzdłuż Wielkiego Bulwaru, przez plac Rakoczego i ciągnące się wzdłuż niego dwie ulice. Według członków Brygady miała to być próba „odzyskania Jozseftown dla prawdziwych Węgrów” i „pozbycia się z miasta

cygańskich kryminalistów”. Cała okolica została odcięta od reszty miasta. Zirytowane ekipy telewizyjne na próżno wykłócały się z żandarmami, uniemożliwiającymi dziennikarzom obserwowanie marszu Brygady.

Alex i Natasza biegli na skróty bocznymi uliczkami, aby zdążyć na spotkanie z Mikiem Jakubem, Davidem Jonesem i Ediną. Stali oni na końcu ulicy Jozsefa, pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym przecinała się ona z bulwarem.

Czwórka dziennikarzy i Mike stanęli na środku ulicy. Mike i Alex wdrapali się nawet na dach zniszczonej łady, aby mieć lepszy widok. Mike wskazał na furgonetki żandarmów, zaparkowane po drugiej stronie bulwaru. Wokół nich kręcili się mundurowi, z hełmami na głowach i w kamizelkach kuloodpornych. Zazwyczaj o tej porze tej części Budapesztu nie dało się przejechać z powodu korków, dziś jednak drogi świeciły pustkami. Oddział żandarmów, stojący na rogu, przyglądał się podejrzliwie grupce dziennikarzy. W oddali słychać już było odgłosy marszu - Brygada zbliżała się do Oktagonu - miejsca, w którym aleja Andrassyego stykała się z bulwarem. Oznaczało to, że na placu Rakoczego pojawi się w przeciągu dziesięciu minut. Na telebimach można było teraz oglądać Sanzlermanna w przyjacielskim uścisku z Hunkalffym, pijących piwo i śpiewających razem, jak starzy przyjaciele.

- Gotów? - zapytał Alex.

- Jasne - odparł Mike, uśmiechając się szeroko.

\* \* \*

Cassandra Orczy siedziała w najdalszym kącie kafejki internetowej usytuowanej w pobliżu budynków parlamentu. Logowała się właśnie na konto pocztowe Webmail, na którym użytkownicy mogli w specjalnym folderze przechowywać kopie robocze wiadomości e-mailowych. Ten folder stanowił internetową piętę Achillesową: umożliwiał bezpieczną komunikację szpiegom i terrorystom. W czasach zimnej wojny szpiedzy porozumiewali się za pomocą skrzynek kontaktowych: narysowany kredą znak sygnalizował, że przesyłka ukryta jest w umówionym wcześniej miejscu, chociażby w puszcze po piwie pod drzewem.

W dobie Internetu e-maile były o wiele szybszym i skuteczniejszym sposobem komunikacji, jednak pozostawiał on wiele do życzenia, jeśli chodzi o prywatność - każda wysłana wiadomość zostawiała za sobą nieusuwalny ślad. Kontakt za pomocą komunikatorów, mimo że bezpieczniejszy, również nie gwarantował pełnej dyskrecji. E-maile mogły być oczywiście szyfrowane, ale sam fakt szyfrowania wzbudzał podejrzliwość służb bezpieczeństwa i innych agencji. Telefonii internetowej, dzięki połączeniu „komputer-komputer” była niemal nie do podsłuchania za pomocą pluskiew, ale za to rozmowę mogła usłyszeć każda siedząca w pobliżu osoba, nie sprawdzała się więc zupełnie w kafejkach internetowych. I dlatego tak przydatny okazał się folder „Kopie robocze”. Umieszczony tam e-mail trwał jakby „w zawieszeniu” - był dostępny po zalogowaniu na konto, ale ponieważ nie był wysłany, nie dało się go namierzyć. Wystarczyło, aby współpracujące ze sobą osoby miały hasło do konta internetowego. Nikt jeszcze nie wpadł na to, jak monitorować takie foldery, chociaż Cassandra słyszała plotki, że izraelscy specjaliści są bliscy znalezienia rozwiązania tego problemu. Na razie jednak system działał, a do jej konta miała dostęp tylko jedna osoba: „Wyborca”. Otworzyła jeden z e-mailowych brudnopisów:

*Kochana Mamusiu,  
mam już dość tych wszystkich rodzinnych kłótni. Babcia wciąż kłóci się z ciocią i powtarza, że nie powinna była wcale przyjeżdżać. Ciocia mówi jej z kolei, że to babcia powinna była zostać w domu. Babcia miała nadzieję, że ciocia ma wszystko pod kontrolą. Mowa jest nawet o tym, że ma się niebawem pojawić jakiś kuzyn, o którym nigdy*



*wcześniej nie słyszałam, który ma uporządkować cały bałagan. W międzyczasie nasza francuska kuzynka ma coraz więcej nowych przyjaciół i wszyscy są zazdrośni. A dzisiejszego popołudnia ma być wielkie rodzinne przyjęcie, dla wszystkich krewnych, którzy dopiero co przyjechali. Oni też już zdążyli się pokłócić. Ach, ta rodzina!*  
*Ściskam, Maria*

Przeczytała list ponownie, tym razem powoli. „Babcia” to Sanzlermann. Attila Hunkalffy był „ciocią”. Mianem francuskiej kuzynki określił „Wyborca” Edith Leclerc. Wielkie przyjęcie to nic innego, jak otwarcie wystawy w parlamencie, a „pozostali krewni” to zapewne prezydenci Słowacji, Chorwacji i Rumunii. Informacje o nieporozumieniach ucieszyły Cassandrę - nareszcie miała nad czym pracować. Tylko kim był ów tajemniczy kuzyn, który ma zaprowadzić porządek?

\* \* \*

Brygada Panońska była w odległości około dwustu metrów od celu. Jej członkowie maszerowali zwartym szykiem wzdłuż Wielkiego Bulwaru, kiedy parkowe telebimy niespodziewanie zgasły, by po chwili włączyć się znowu. Tym razem jednak, zamiast Sanzlermanna i Hunkalffego, widzowie mogli podziwiać Dżamilę, cygańską królową nocy, w pełnej okazałości. Jej potężny głos niósł się po całej okolicy. Słyszając jej śpiew, cygańskie kobiety tłumnie wyległy na ulice. Ich kolorowe chusty i kwieciste spódnice stanowiły wspaniałą kontrast dla lodowatej szarości zimowego dnia. Były tam siwiuteńkie babcie, pulchne gospodynie domowe w średnim wieku, nastoletnie dziewczyny - niektóre nawet z małymi dziećmi na rękach. Wszystkie ruszyły tam, gdzie stykały się ulice Jozsefa i Berkocsi. Łapały się pod ręce, tworząc zwarty szereg - żywą blokadę, uniemożliwiającą Brygadzie wkroczenie na teren Nyolcker. Wiele z nich trzymało w rękach rondle i patelnie. W miarę, jak zbliżali się ku nim mundurowi, kobiety zaczęły walić w naczynia. Początkowo bezładne stukanie przeszło niebawem w mocne, jednostajne uderzenia. Stojący na drugim końcu bulwaru żandarmi zaczęli szykować się do działania - zakładali hełmy, wyjmowali zza pasów pałki i miotacze gazu pieprzowego.

Alex, Natasza i David Jones obserwowali teraz, jak Mike Jakub wdrapuje się z powrotem na ładę; w rękę trzymał megafon. Edina krążyła wokół z aparatem, starannie dobierając ujęcia.

- Witajcie w Nyolcker TV! - zawołał Mike, wskazując zamaszystym gestem na telebimy.  
- Jak widzicie, przygotowaliśmy wam iście cygańskie powitanie - ciągnął, wzbudzając przy tym salwy śmiechu. - Wszystko, Co się tutaj dzieje, jest pokazywane na żywo w Internecie. Mamy dziesiątki kamer monitorujących okolicę.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, zamiast Dżamili na ekranie pojawiły się różne ujęcia policyjnego kordonu. Zgromadzeni mundurowi mogli podziwiać na ekranach samych siebie.

- Możecie śledzić naszą transmisję na stronie nyolcker.com. Relacje z marszu zostaną również umieszczone w serwisie YouTube oraz Google Video. Miejcie zatem świadomość, cokolwiek teraz zrobicie, że patrzy na was cały świat.

Brygada dotarła wreszcie na miejsce. Mundurowi rozproszyli się po bulwarze, ulicy Jozsefa, placu Rakoczego, aż do ulicy Berkocsi, formując potrójny szereg w odległości zaledwie kilku stóp od romskich kobiet. Dowódca Brygady naradzał się gorączkowo z kapitanem żandarmerii. Żandarm wrzeszczał i machał gwałtownie rękami, nakazując, aby Brygada przerwała romską blokadę. W odpowiedzi dowódca Brygady wskazywał nerwowo na telebimy, na których dwaj klócający się mężczyźni pojawiali się na zmianę. Dowódca pokręcił głową z obrzydzeniem, odwrócił się na pięcie i odszedł. Brygada wycofała się i

pomaszerowała z powrotem Wielkim Bulwarem. Cygańskie kobiety śmiały się i gwizdały, z całych sił tłukąc równocześnie w swoje garnki i rondle.

## Rozdział 22

Zardzewiały mechanizm leżał na drewnianym cokole, umieszczonym w szklanej gablocie. Alex przeczytał objaśnienie: „Koło zębate i przewody rurowe - części pompy używanej w pierwszej budapesztańskiej miejskiej oczyszczalni ścieków. Ok. 1887 r.” Ulokowane w przyrzecznych magazynach Miejskie Muzeum Uzdatniania Wody i Oczyszczania Ścieków było usytuowane z dala od turystycznych atrakcji, na samych obrzeżach dziewiętej, szaroburej dzielnicy robotniczej, ciągnącej się wzdłuż pesztańskiego brzegu Dunaju. Alex był jedynym zwiedzającym. Spojrzał na zegarek. Cassandra Orczy poprosiła go, aby spotkali się w tym muzeum o trzynastej. Do spotkania pozostało zatem dziesięć minut.

W tym samym czasie Natasza pobiegła na lunch z Kitty Kovacs. Alex uśmiechnął się na myśl o ich rozmowie, w trakcie której Natasza opowie o wszystkich najnowszych wydarzeniach: nie tylko o sprawach sercowych, ale też o tym, jak Mike wraz z kobietami z Nyolcker odesłali z kwitkiem Brygadę Panońską. David Jones już napisał o tym dla Reutera. Zatyłował tekst: „Romskie kobiety powstrzymują węgierskich faszystów” i opatrzył go zdjęciami Ediny. Blogosfera aż kipiała od relacji innych świadków i najróżniejszych komentarzy. Po południu Alex miał się spotkać z Nataszą w Parlamencie na otwarciu wystawy Volkstern Corporation. Czuł przyjemne ciepło w środku - przepełniało go szczęście i spokój. Raz za razem odtwarzał w głowie sceny z minionej nocy. Widział Nataszę, ocierającą się o niego, poruszającą się rytmicznie, jej ciało wygięte w łuk, jej rozchylone usta, jej spojrzenie, utkwione w jego oczach. Przyłożył rękę do twarzy i zrobił głęboki wdech. Ciągle jeszcze czuł jej zapach: delikatną woń kobiecego potu i ciężkich perfum.

Słyszając stukot obcasów, niosący się echem po pustej sali, Alex odwrócił się na pięcie.

- Wyglądasz dziś jakoś inaczej - stwierdziła Cassandra, taksując go spojrzeniem od góry do dołu. - Jak kot, który wreszcie dostał trochę śmietanki.

Ucisnęli sobie ręce na powitanie, po czym Cassandra rozpięła guziki płaszcza.

- Spędzam przyjemnie czas - stwierdził Alex beznamyślnie. - To fascynujące miejsce. Jak się ma twój ojciec?

- Dlatego właśnie lubię te muzea. Mało znane, nie po drodze, a jednak zawsze znajdzie się w nich coś fascynującego. A mój ojciec ma się dużo lepiej, miło, że pytasz. Jest już w domu. Rozstawia po kątach swoją żonę i ogólnie terroryzuje wszystkich jak leci.

- Swoją żonę? - powtórzył Alex, spoglądając na nią zdziwiony.

- Moja mama nie była jego żoną. Była żoną kogoś innego. Stare dzieje.

- Nie takie znowu stare - zauważył uprzejmie Alex.

Uśmiechnęła się.

- To urocze z twojej strony. Chodź, przejdziemy się i porozmawiamy. Przyniosłam ci coś. Dowód zaufania. Spodziewam się jednak czegoś w zamian.

Zatrzymali się przed misternym graverunkiem z czasów średniowiecznych, przedstawiającym bieg Dunaju ze wszystkimi jego dopływami - żaden z nich nie zachował się do współczesności.

Cassandra wręczyła Alexowi notatkę informującą o połączeniu Państwowych Węgierskich Służb Bezpieczeństwa z żandarmerią. Przeczytał uważnie otrzymany dokument. Uznał, że to prawie jak zamach stanu.

- Czy mogę to zachować? - spytał.

- Ten świstek papieru oznacza de facto, że jestem obecnie bezrobotna. Nie ma najmniejszego sensu, abym aplikowała na stanowisko w strukturach żandarmerii. Nie, żebym to chociaż przez chwilę rozważała.

- Co masz zatem zamiar zrobić?

- Cóż, ja i kilku moich kolegów, jakby to powiedzieć, zostaliśmy wolnymi strzelcami. Chodźmy stąd, na spacer. Co możesz zaferować mi w zamian za tę informację?

Poziom wody był dziś dość wysoki, a na jej szarej powierzchni pływały oleiste plamy. Pusta, plastikowa butelka wirowała i podskakiwała wraz z nurtem rzeki.

- Wiemy, co knuje KZX. Nadali temu nazwę Projekt Porajmus od romskiego słowa oznaczającego cygański holokaust. Najważniejszym jego elementem jest Czigex, pierwszy na świecie lek przeznaczony dla konkretnej grupy rasowej. Podaje się go tylko pacjentom pochodzenia romskiego - jedną tabletkę po każdym posiłku, a po pewnym czasie...

- Nie mogą mieć już więcej dzieci? - dokończyła Cassandra.

- Tak jest. Poza tym, popatrz na to - to mówiąc, podał jej komórkę i odtworzył otrzymany rano filmik,

- Jezus-Maria. To odrażające - wyszeptała Cassandra; krew odpłynęła jej z twarzy.

Usiadła na pobliskiej ławce i wyciągnęła ze swojej torebki dwie fotografie. - Alex, czy to są Romowie, których poznałeś w wiosce Novy Marek? - spytała.

- Tak - odpowiedział, siadając obok niej. - Czemu pytasz?

- Alex, mam smutne wieści. Teresa Sandori i jej mąż Virgil dwa dni temu zginęli w pożarze. Ich dom spłonął doszczętnie w zaledwie kilka minut. Według słowackich władz przyczyną było wadliwe okablowanie i nielegalny pobór prądu.

Alex poczuł, że robi mu się niedobrze. Twarde, zimne oparcie ławki uwierało go w plecy. Przypomniał sobie malutkiego Maria, opartego ufnie na ramieniu Teresy, i dumę w oczach Virgila, kiedy obiecywał, że zostanie „ze swoją gołąbką”, nawet jeśli nie będą mogli mieć już więcej dzieci. Czy to on, Alex, doprowadził do ich śmierci? Może gdyby nie wprosił się tak bezceremonialnie do ich domu, nie wdarł w ich życie, Teresa i Virgil wciąż by żyli?

- Jesteś pewna? Skąd wiesz, że to właśnie oni? - zapytał.

- Otrzymaliśmy raport o pożarze w tamtej okolicy. Dokumentacja zawierała zdjęcia z dowodów osobistych Teresy i Virgila.

- Oni mieli malutkie dziecko... - powiedział cicho Alex.

Cassandra w milczeniu pokręciła głową.

- Tak mi przykro, Alex.

- Czy zostali zamordowani? To było podpalenie?

Cassandra powoli kiwnęła głową.

- Uważamy, że tak.

- Teresa i Virgil nie żyją, ponieważ rozmawiali ze mną - powiedział Alex pustym, bezbarwnym głosem.

Cassandra milczała dłuższą chwilę.

- Nie, Alex. Teresa i Virgil nie żyją, ponieważ ktoś ich zamordował. Nie ty. Nie możesz się tym teraz zadrećcać.

Alex wpatrywał się w nurt rzeki.

- Opowiedz mi o Dyrektoracie.

Orczy spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Skąd o tym wiesz?!

- A więc Dyrektorat naprawdę istnieje.

- Niestety. Jest jak najbardziej rzeczywisty.

Policyjna motorówka, warcząc donośnie i migocząc niebieskimi światłami, śmignęła koło nich i popłynęła w kierunku Mostu Łańcuchowego. Po dłuższej chwili Cassandra mówiła dalej:

- Sądzymy, że Direktorat powstał pod koniec wojny w Budapeszcie. To tutaj odbyło się spotkanie z udziałem najważniejszych niemieckich przemysłowców, bankierów i wysokich rangą urzędników. W jakiś sposób jest to powiązane z Unią Europejską i kwestią wprowadzenia euro.

- Spotkanie miało miejsce dziewiątego listopada 1944 roku, wieczorem, w hotelu Savoy - powiedział Alex, wyciągając kopię listu Miklosa. - „Od tej pory, nasze pola bitwy stanowiąc będą sale konferencyjne, a zamiast pistoletów i żołnierzy, naszą bronią uczynimy zestawienia bilansowe oraz rynki walutowe (...) Ogromne ilości kapitału, zagrabione złoto, dzieła sztuki, obligacje i papiery wartościowe ukradzione ofiarom - wszystko to lokowano w szwajcarskich bankach lub stawało się zastawem pod pożyczki”, i tak dalej, i tak dalej. Tu jest wszystko. Sądzę, że wiem na temat Direktatu więcej niż ty.

Cassandra obróciła się ku niemu kompletnie zaskoczona.

- Skąd masz te dokumenty?

- To tajne zeznania mojego dziadka - wyjaśnił, wręczając jej plik kartek. - Miklos był tego wieczoru w Savoyu jako kelner. To była elegancka kolacja zakrapiana alkoholem. Myślę, że chciał mi o tym wszystkim opowiedzieć. W 1944 powstał cały dokument, szczegółowo opisujący cały plan i funkcjonowanie Direktatu, ale Miklos go zniszczył. Znając jednak niemieckie zamiłowanie do porządku, myślę, że zachowało się jeszcze kilka egzemplarzy. To dlatego go zamordowano. Dlatego zginął Vince Szatmari. Bo odkrył ich plan: stworzyć marionetkowy rząd i przejąć kontrolę nad gospodarką. Potem doprowadzić do dewaluacji forinta, tak aby firmy przykrywki Direktatu mogły wykupić niemal za bezcen cały majątek Węgier. Zarobić na tym, a potem włączyć te firmy do KZX i Volkstern Corporation. Węgry są ich królikiem doświadczalnym. Jeśli tutaj wszystko się powiedzie, zrobią to samo w Chorwacji, Rumunii i na Słowacji. Sanzlermann jest ich twarzą. A Hunkalffy, Dragomir Zorvajk, Duszán Hrkna i Cornelius Malinanescu to tylko pionki w grze. Potem przyjdzie kolej na Czechy i Polskę, a jeszcze później na Bałkany.

Orczy wyteżyła wzrok, usiłując odczytać koślawe pismo. Przestudiowała uważnie cały dokument, strona po stronie, co chwila kiwając głową.

- Sądzymy, że niebawem Direktorat spotka się ponownie. W następną niedzielę, 9 listopada, w dniu wyborów. Zarezerwowano prywatną salę w hotelu Savoy. Ochroniarze z Volkstern Corporation już tam są, rozbierają wszystkie ściany, podłogi i elementy oświetlenia w poszukiwaniu czegokolwiek podejrzanego.

- Ale wy moglibyście wprowadzić kogoś do środka - zareagował natychmiast Alex.

- Niby kogo? - zapytała. Zobaczyła wyraz jego twarzy i uśmiechnęła się ze znużeniem. - Przestań się wygłupiać.

*Alex obserwuje modlącą się Azrę. Jej usta poruszają się szybko i bezdźwięcznie, podczas gdy pijany bośniacki Serb, śmiejąc się obrzydliwie, ciągnie ją w stronę lasu. Dostrzega go, siedzącego w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie przejścia granicznego, po bezpieczniejszej, chorwackiej stronie. Azra odwraca się w stronę Alexa i bezgłośnie szepcze jego imię. On sięga do klamki, chce wysiadać. Czuje żelazny uścisk oplatający mu ramię. Nic nie możesz zrobić” - syczy jego tłumacz. - Nic. Zabiją cię bez zastanowienia, dla zabawy, a potem powiedzą, że to był zamach terrorystyczny”. Żołnierz znika z Azrą w leśnej gestwinie. A potem Alex słyszy krzyk. Krzyk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał, niemal zwierzęcy skowyt. A potem odgłos strzału. Powinien był pójść tam do niej. Powinien był. Wysiada z samochodu. Wymiotuje na poboczu.*

Azra, Miklos, Vince, Teresa, Virgil, Mario - ich imiona dzwoniły mu w uszach. „Ta straszna lista robi się coraz dłuższa” - pomyślał.

- Mógłbym być kelnerem - powiedział. - Moglibyście mnie tam przemycić.

Cassandra pokręciła głową.

- Zabijają cię.

- Tylko jeśli dowiedzą się, kim jestem - powiedział podekscytowany, przysuwając się bliżej. - Oboje chcemy tego samego: zdemaskowania Direktoratu. Ty potrzebujesz swojego szpiega w hotelu. Ja muszę dostać się do środka, żeby posłuchać, o czym będą mówić w czasie kolacji. Dowiem się, jak funkcjonuje Zarząd, kim są jego członkowie i jakie są ich plany. Muszę tam być, zobaczyć to na własne oczy. To ostatnia część historii.

- Ani na chwilę nie przestajesz być reporterem, co? - powiedziała z przekąsem, po raz kolejny przeglądając dokument Mikłosa.

Alex wpatrywał się w nurt rzeki, ale przed oczami ciągle miał udręczoną twarz Azry.

- Tak, tak właśnie jest. Tym się zajmuję.

- Jeśli, podkreślam: jeśli, mielibyśmy tam kogoś umieścić, dlaczego miałbyś to być właśnie ty?

- Wszystko zaczęło się od Mikłosa i hotelu Savoy w 1944. Niech zakończy się teraz, z moim udziałem.

- I podzielisz się z nami wszystkimi informacjami, jakie uda ci się tam uzyskać? Z nami i z innymi? Możesz pisać o tym artykuły, nie ma problemu, ale musisz również ściśle współpracować z nami. Nie przeszkadza ci to?

Alex wysunął szczękę, przygryzając lekko górną wargę.

- Owszem, przeszkadza. Ale chyba nie mam innego wyboru, czyż nie?

Cassandra schowała kopię listu Mikłosa do torebki i spojrzała na niego twardo:

- Nie. Nie masz. I nie ma żadnej gwarancji, że uda nam się ciebie stamtąd wyciągnąć.

Uśmiechnęła się smutno do siebie i jeszcze raz sięgnęła do torebki. Z oddali dobiegały odgłosy burzy. Niebo pociemniało.

- Mam dla ciebie coś, co od dawna powinno należeć do ciebie.

- Co takiego?

- To - odparła, podając mu fotografię. Przedstawiała willę nad brzegiem Balatonu.

## Rozdział 23

Zimny deszcz uderzał miarowo o szyby tramwaju numer dwa, toczącego się leniwie wzdłuż rzeki w kierunku Parlamentu. Alex zerknął na zegarek. Parę minut po wpół do trzeciej. Za niecałe pół godziny znowu będzie z nią. Wagon tramwaju wypełniony był ludźmi wracającymi z zakupów na targu przy Moście Wolności. Niski łysy mężczyzna o zaciętym wyrazie twarzy grzebał w swojej siatce wypełnionej ziemniakami. Miał na sobie cienką dżinsową kurtkę, bluzę dresową i brązowe poliestrowe spodnie. Brał do ręki każdego ziemniaka z osobna i trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, podawał jego cenę.

Jego głos stawał się coraz donioślejszy, aż w końcu przerodził się w krzyk, skierowany do współpasażerów:

- Jak, powiedzcie mi, jak mam wykarmić swoją rodzinę? Jak można tak żyć?

Zwrócił się do starszej pani, otulonej szczelnie czarnym kosztownym płaszczem i piękną futrzaną etolą. Pochłonięta była lekturą „Ebredetek Magyarok!”. Jej siwą głowę przyozdabiał kapelusz.

- Szanowna pani, czy wie pani, że byłem wzorowym pracownikiem przez trzydzieści lat? Mam na utrzymaniu żonę i troje dzieci. Od dwóch tygodni nie jedliśmy mięsa, nawet małego kawałka kiełbasy. Wie pani, pracuję w fabryce - ciągnął dalej, pokazując swoje zniszczone dłonie i brudne paznokcie. - Każdego dnia, dziewięć godzin. Ale ja i moja

rodzina musimy jeść ziemniaki. Premier lata sobie helikopterami, a my jemy ziemniaki. Jest pani w stanie wyjaśnić mi, dlaczego tak się dzieje?

Kobieta potrząsnęła głową z wyraźną niechęcią, prychnęła z dezaprobatą i zasłoniła się gazetą. Mężczyzna zamilkł, bezradnie pochylił się nad swoimi skromnymi zakupami i zakrył twarz dłońmi. Pulchna Cyganka z dzieckiem na ręku, ubrana w kwiecistą pomarańczową spódnicę, poklepała go po plecach, szepcząc słowa pocieszenia. Tramwaj zatrzymał się na przystanku przed hotelem Bristol. Do wagonu wsiadł skinhead w czarnej skórzanej kurtce. Stał tuż obok Romki i zaczął ostentacyjnie wycierać swoje okrycie, sapiąc pogardliwie.

- Brudne Cygany. Brudne, plugawe Cygany - prychnął. Dźgnął cygańskie dziecko grubym, krótkim palcem. Zaczęło płakać. - Mnoży się to jak króliki. Gdziekolwiek człowiek spojrzy, wszędzie Cyganie, emigranci i Żydy.

Wystraszona kobieta skuliła się w odruchu obronnym i mocniej przytuliła do siebie maleństwo, które wciąż jednak zanosilo się od płaczu.

- Ucisz tego bachora, bo sam to zrobię i to na dobre - wycedził skinhead, po czym jeszcze raz szturchnął niemowlę palcem.

W pojeździe panowała cisza, zakłócał ją jedynie coraz głośniejszy płacz dziecka. Kiedy tramwaj przejeżdżał obok wejścia do Węgierskiej Akademii Nauk, nad którym olbrzymi transparent oznajmiał, że placówka nosi teraz nazwę Narodowa Akademia Węgrów, słychać było tylko turkot kół po szynach. Alex popatrzył na współpasażerów. Czuł, że narasta w nim złość. Skinhead nie przestawał lżyć Romki. Siwowłosa mężczyzna w okularach, którego spojrzenie pochwycił na chwilę Alex, wzruszył ramionami, odwrócił się i zaczął z uwagą oglądać widoki za oknem. Alex przeniósł spojrzenie na łysego mężczyznę, tego samego, który żalił się wcześniej na swój los - mężczyzna schował pod siedzenie swoją torbę z zakupami i wstał. Uniósł znacząco brwi i spojrzał na skinheada. W odpowiedzi Alex kiwnął głową, po czym błyskawicznie, z całej siły, przywalił agresorowi pięścią w brzuch.

- Dlaczego się wreszcie nie zamkniesz? Taki z ciebie kozak, że bijesz kobiety i dzieci?

Twarz skinheada wykrzywił grymas wściekłości. Z trudem złapał równowagę, po czym rzucił się na Alexa, wyciągając ku niemu zaciśniętą pięść. Alex próbował uchylić się przed ciosem, jednak oberwał prosto w zranione ramię. Poczul przeszywający ból. Sapnął i z całej siły kopnął skina w krocze. Zaskoczony mężczyzna krzyknął z bólu. W tym samym momencie tramwaj przechylił się gwałtownie, wchodząc w zakręt. Skinhead stracił równowagę i zatoczył się w kierunku drzwi.

Wtedy do akcji wkroczył łysy. Skoczył na napastnika i kopnął go w krzyż, powalając na ziemię. Skinhead wylądował twarzą na schodach - próbował się podnieść, klnąc siarczyście i miotając się z wściekłości. Łysy uśmiechnął się i łapiąc go za kołnierz kurtki, uderzył jego głową o szybę. Tramwaj zatrzymał się na przystanku. Kiedy tylko otworzyły się drzwi, łysy wypchnął skinheada, oszołomionego i z krwawiącym nosem, na chodnik. Na koniec wysypał na niego całą torbę ziemniaków, po czym ze stoickim spokojem wsiadł z powrotem do tramwaju.

- Dziękuję za pomoc - zwrócił się do niego Alex, pocierając obolałe ramię. - To za zmarnowane ziemniaki - dodał, wyciągając z kieszeni banknot.

- Nie trzeba, naprawdę. Nie mógłbym przyjąć tych pieniędzy. To było warte każdego forinta - odparł mężczyzna, prostując się.

Uściskali sobie ręce. Starsza pani popatrzyła na nich znad „Ebredjetek Magyarok!” i pokręciła głową, mamrocząc coś do siebie. Cyganka klaskała z radości.

- Proszę poczekać - zagadnął łysy. - Chciałbym to panu dać - to mówiąc, wcisnął Alexowi do ręki zmięty kawałek papieru, który wyciągnął z kieszeni kurtki.

„KONIEC STRACHU - DOŁĄCZ DO MARSZU O WOLNOŚĆ” - głosiła ulotka dużymi czarnymi literami. Alex czytał dalej:

„Nie będziemy się już bać

Nie będziemy dłużej milczeć  
Nie damy się więcej terroryzować  
Weź z nami udział w marszu w niedzielę, 9 listopada, w dniu wyborów prezydenckich.  
Spotkajmy się wszyscy przed Muzeum Narodowym o 18:00”.

Poniżej, mniejszą czcionką, było napisane: „Wspierajcie Węgierski Ruch Wolności”, a pod spodem widniały adresy: [www.szabadmagyarorszag.hu](http://www.szabadmagyarorszag.hu), [www.freehungary.hu](http://www.freehungary.hu), [www.freiungarn.hu](http://www.freiungarn.hu).

Alex podziękował za ulotkę. Wszystkie najważniejsze rewolucje na Węgrzech rozpoczynały się w Muzeum Narodowym albo w jego okolicach. W1848 poeta i bohater narodowy Sandor Petófi właśnie w tym miejscu odczytywał swój manifest wzywający do walki o wyzwolenie spod austriackiej tyranii. W1956 powstanie przeciwko Rosjanom wybuchło pod siedzibą główną państwowego radia, mieszczącą się przy pobliskiej ulicy Sandora Bródy. Na ścianach tego budynku wciąż zresztą widać było ślady po kulach. W obydwu przypadkach rewolucja zakończyła się porażką. Czym był Węgierski Ruch Wolności?

Alex wcisnął ulotkę do kieszeni. Tramwaj zbliżał się właśnie do budynku Parlamentu, gdzie Attila Hunkalffy przyjmował dziś Franka Sanzlermanna, Duszana Hrknę, Corneliusa Malinanesu oraz Dragomira Zorvajka, z okazji otwarcia wystawy upamiętniającej przywódców państw regionu z czasów drugiej wojny światowej. Olbrzymia zielono-czerwono-biała flaga węgierska zwisała dumnie z gotyckich zdobień na dachu Parlamentu. Obok powiewały flagi Słowacji, Rumunii i Chorwacji. Długi bordowy dywan ciągnął się od początku schodów prowadzących do Parlamentu pomiędzy dwoma marmurowymi lwami, które pilnowały bogato zdobionych drzwi. Lajos Kossuth, przywódca węgierskiej rewolucji przeciwko Habsburgom w 1848 roku, spoglądał w milczeniu z marmurowego cokołu. Metalowe barierki oraz żandarmi uniemożliwiali tłumowi przedarcie się na plac. Wielu z zebranych trzymało w rękach miniatarki flag rozwieszonych na fasadzie Parlamentu.

Nagle potężna siła uderzyła w bok tramwaju.

Szyby wagonów rozprysły się w drobny mak, a latające odłamki raniły pasażerów. Pojazd zachybotał się i runął na bok. Echo wybuchu niesło się po całym placu. Na sekundę, może dwie, zapadła śmiertelna cisza. Potem rozległy się rozpaczliwe krzyki i jęki.

Alex był pochylony, kiedy wagon przewracał się na bok. Stracił równowagę i upadł na podłogę; obsypały go drobiny szkła. Na wagon posypał się gruz: kawałki metalu oraz betonowe i ceglane bryłki. Ześlizgnął się po podłodze w dół i uderzył głową w poręcz. Na chwilę stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, zobaczył leżącą na ziemi Cyganekę, osłaniającą swoje dziecko i rozglądającą się wokół z przerażeniem. Starsza pani wciąż jeszcze siedziała na swoim fotelu, ale nie miała już na sobie ani kapelusza, ani etoli. Z wyraźnym zaskoczeniem przyglądała się jezdni, która teraz znajdowała się tuż koło jej głowy. Ludzka ręka wpadła przez wybitą szybę i wylądowała na jej egzemplarzu „Ebredjetek Magyarok!”, ochlapując krwią wszystko wokół. Kobieta wrzasnęła i odrzuciła jedno i drugie jak najdalej od siebie.

Deszcz przybierał na sile, wlewał się do środka przez wybite okna. Strużki krwi wymieszanej z wodą spływały po wnętrzu wagonu. W oddali słychać było wycie karetek i warkot policyjnych helikopterów. Mnóstwo żandarmów pojawiło się na placu - przybiegli z nieodległej siedziby Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Proszę pozostać na swoich miejscach. Przemieszczanie się lub opuszczanie terenu jest zabronione - ogłosił dowódca przez megafon. - Znajdujecie się państwo w zamkniętej strefie. Pomoc medyczna jest już w drodze.

Alex podniósł się z trudem. W powietrzu czuć było silny odór spalonej gumy i osmalonych ciał. Dostrzegł łysego mężczyznę - leżał płasko na ziemi, twarzą do dołu. Z ran

głowy płynęła mu krew. Alex chciał ruszyć mu na pomoc, poczuł jednak nagły, gwałtowny zawrót głowy. Zaczął widzieć podwójnie. Jego rana na czole krwawiła dość mocno, a we włosach miał pełno odłamków szkła. Zamrugał kilkakrotnie i na chwilę zacisnął powieki, chwytając za poręcz. Świat wokół stopniowo nabierał ostrości. Czuł narastającą panikę, kiedy wydostawał się z wagonu przez jedno z roztrzaskanych okien. Co z nią? Wyciągnął telefon komórkowy i wystukał jej numer. Nic. Popatrzył na ekranik - brak zasięgu. Ześliznął się w dół po ścianie wagonu i ruszył w kierunku placu.

Gęsty dym wydobywał się z budynku Parlamentu. Wybuch poszarpał flagi wywieszane nad wejściem. Ich nędzne, tłące się jeszcze resztki powiewały smutno. Płonęły stojące w pobliżu samochody. Raz po raz któryś z nich wybuchał, kiedy płomienie dosięgały baków z benzyną. Z marmurowych lwów pilnujących wejścia pozostały jedynie łapy. Pozostałości po metalowych barierkach porozrzucone były po całym placu. Czyjeś pudełko śniadaniowe leżało otwarte na ziemi, ukazując zawartość: jabłko i starannie zapakowaną kanapkę. Siła wybuchu zatrzymała nawet zegar na Muzeum Etnograficznym naprzeciwko Parlamentu - cały czas wskazywał 14.52. Alex widział ciała leżące przed wejściem do budynku. Ludzkie szczątki były porozrzucone po parkingu. Tęgi mężczyzna rozpaczliwie wzywał pomocy, patrząc z przerażeniem na zakrwawiony kikut swojej nogi.

Autobusy turystyczne z Rumunii i Słowacji zostały odrzucone na drugi kraniec placu i uderzyły w uliczne latarnie. Wybuch przewrócił policyjny samochód do góry kołami. W środku, przypięty pasami, głową w dół, siedział martwy policjant. Z policyjnego radia słychać było gorączkowe głosy wydające instrukcje. Alex ruszył chwiejnym krokiem przez zwęglony trawnik, bezskutecznie próbując złapać zasięg w telefonie.

Karetki pogotowia nadjeżdżały teraz ze wszystkich stron. Słuch Alexa na zmianę słabł i wyostrzał się. Rozmokłe skrawki papierowych flag sływały rynsztokiem. Idąc trawnikiem, prawie wpadł na młodą ciemnowłosą kobietę, leżącą twarzą do ziemi.

- Natasza! - krzyknął, obracając ją na plecy.

Z ulgą, ale i z jakimś wstydem odetchnął głęboko, kiedy zobaczył okrągłą, bladą i nieznaną mu twarz. Odchylił głowę do tyłu, tak żeby krople deszczu padały mu na twarz i zataczając się, ruszył w kierunku wejścia do Parlamentu. Zachwiał się i poczuł, że traci władzę w nogach. Świat zawirował. A potem zapanowała ciemność.

\* \* \*

Dieter Klindern odchylił się w swoim fotelu w apartamencie Sanzlermanna i wygładził delikatnie rękaw swojej czarnej jedwabnej marynarki Nehru. Prezes KZX Industries był zadbanym przystojnym mężczyzną tuż po sześćdziesiątce. Miał krótko przystrzyżone ciemnosiwie włosy i jasnoniebieskie oczy. Na jego długim nosie spoczywały okulary, a cienkie blade usta ukazywały w uśmiechu małe, idealnie białe zęby. W pokoju było ciemno, grube zasłony oddzielały pokój od smutnego zimowego zmierzchu. Na stoliku stał nietknięty dzbanek kawy i taca z ciastami. Hunkalfy i Sanzlermann siedzieli naprzeciwko Klinderna na twardych krzesłach, niczym niesforni uczniowie w gabinecie dyrektora. Mężczyźni co chwilę spoglądali na siebie. Reinhard Daintner siedział kilka metrów dalej, obserwując całą scenę w milczeniu. Klindern z trudem powstrzymywał wybuch wściekłości.

- Bomba. Jakże oryginalnie - prychnął. Hunkalfy już, już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Klindern powstrzymał go. - Proszę mi nie przerywać, panie premierze. Lubie kończyć zdania, które zacząłem. - Hunkalfy zwiesił głowę z rezygnacją, a Klindern kontynuował, coraz bardziej podnosząc głos: - Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jest mi absolutnie obojętne, ile osób zginęło kilka godzin temu. Jeśli ma pan ochotę na zabijanie obywateli pana kraju, proszę bardzo. Za to niezmiernie niepokoi mnie, że pańska mała samowolka, którą, jak pan zapewne doskonale wie, powinien pan być skonsultować z



Direktoratem, może zagrozić teraz wszystkiemu, nad czym pracowaliśmy przez siedemdziesiąt lat.

Przerwał i przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, nalewając sobie kawy do jednej z filiżanek stojącego przed nim kompletu, pozwalając oswoić się z ciszą swoim współtowarzyszom. Kiedy skończył nalewać kawę, niespodziewanie, z całej siły uderzył dzbankiem o stolik. Hunkalffy i Sanzlermann aż podskoczyli. Zagrzechotały filiżanki i spodki.

- I nie był pan nawet w stanie przeprowadzić tego w odpowiednim momencie! Dragomir Zoryjak jest w szpitalu, a w jamie brzusznej ma pełno odłamków. Jak duże dziecko, zbyt pochłonięty oglądaniem waszej idiotycznej wystawy, żeby opuścić budynek na czas. Lekarze mówią, że niebawem nie będzie go już wśród nas.

Podszedł powoli do Hunkalffego i Sanzlermanna.

- Przez wasze partactwo zagrożona jest teraz ściana południowa.

Hunkalffy siedział w milczeniu. Klindern krążył teraz wokół niego.

- Czy ma pan pojęcie, co pan dziś zrobił? Zniszczenie Jugosławii było jednym z największych osiągnięć Direktoratu. Był to szczegółowo zaplanowany proces, który zajął nam kilkadziesiąt lat. Wydaliśmy miliony, setki milionów, wykorzystywaliśmy dyplomatyczne wsparcie i kapitał polityczny, od Waszyngtonu po Watykan. Wszystko po to, aby spełnić odwieczne marzenie: stworzyć niepodległą Chorwację, chrześcijańską, katolicką, oczyszczoną z Serbów. Kraj, który na zawsze będzie nam wdzięczny i nam uległy. Którego linia brzegowa wypełniona jest portami. To nasza baza wypadowa na Bałkany, nasz drang nach süd do regionu śródziemnomorskiego, nawet do Afryki. Kraj, który miał swojego przywódcę, Dragomira Zoryjaka, młodego, przystojnego bohatera, sportowca, weterana wojny domowej. Nietykalny, uwielbiany przez wszystkich, niekwestionowany przywódca. Dzięki panu ten człowiek leży teraz w węgierskim szpitalu z rozprutym brzuchem, z małymi szansami na przetrwanie choćby najbliższej noty.

Klindern przerwał na chwilę i powoli mieszał swoją kawę.

- Ze wszystkich ludzi to właśnie pan - celował teraz palcem w Hunkalffego - powinien wiedzieć, że jest wiele innych sposobów na manipulowanie opinią społeczną w czasie kampanii wyborczej. Albo ta dywersja podczas przemówienia Edith Leclerc - uznano to przecież za umyślne podpalenie. A ta cała Brygada Panońska, przecież to kpina. Cały świat śmieje się z waszych dzielnych żołnierzy, których pogoniła banda cygańskich kur domowych. I jeszcze ta absurdalna kampania przeciwko zagranicznej prasie, prowadzona przez wasze służalcze media. Przecież w ten sposób robicie z tych dyletantów niemal bohaterów! Co pan sobie w ogóle myślał, Hunkalffy? Przecież to my pana stworzyliśmy, to dzięki nam jest pan tym, kim jest... - Klindern zamilkł na chwilę. - Pojawiają się już w naszej organizacji głosy, aby wyciągnąć wobec pana surowe konsekwencje.

- Ale przecież ta bomba to był również jego pomysł! - próbował się bronić Hunkalffy, wskazując palcem Sanzlermanna. - Wielki wybuch przed Parlamentem, na kilka dni przed wyborami, miał nam zapewnić zgodny z naszymi oczekiwaniami wynik wyborów. Mielśmy aresztować domniemanego dowódcę budapesztańskiego oddziału AWI i przygotować grunt dla wprowadzenia najostrzejszych restrykcji od upadku komunizmu. To twoje słowa, Frank - powiedział Hunkalffy, zwracając się do Sanzlermanna.

- Ty mały gnoju... - syknął oburzony Sanzlermann.

Klindern uderzył pięścią w stół.

- Idioci! Nie macie najmniejszego pojęcia o AWI!

Dwa mężczyźni momentalnie zamilkli. Daintner podszedł do odtwarzacza DVD umieszczonego pod szeroko-ekranowym telewizorem.

- Filmik numer jeden, proszę - polecił Klindern.

Daintner wcisnął przycisk na pilocie. Płyta wirowała przez chwilę w odtwarzaczu, po czym na ekranie pojawił się wyraźny obraz. Cały pokój wypełniły odgłosy jęków i westchnień. Sanzlermann stał oparty o umywalkę w toalecie swojego prywatnego samolotu, jedną ręką mocno opierając się o drzwi. Jego oczy były półprzymknięte w rozkoszy. Przed nim klęczał młody steward. Jego głowa poruszała się miarowo. Klindern obserwował postaci na ekranie z wyrazem dyskretnego obrzydzenia, zupełnie jakby znalazł włos w zupie;

Sanzlermann pobladał gwałtownie i siedział w milczeniu. Hunkalffy uśmiechnął się złośliwie.

- To już jest fatalne - powiedział Klindern. - A proszę sobie wyobrazić, że jest jeszcze gorzej. Teraz film numer dwa!

Daintner wcisnął kolejny przycisk. Tym razem Sanzlermann był w swojej hotelowej sypialni, a towarzyszyła mu kobieta o pełnych kształtach i niezwyklej gimnastycznych umiejętnościach. Pochłonięci byli energicznymi seksualnymi zabawami - miotali się na łóżku, co chwilę zmieniając pozycje. O ile jednak ciało kobiety było niewątpliwie w pełni zaangażowane w igraszki, jej umysł pozostał czujny. Uważnie rozglądała się po pokoju, nawet kiedy jęczała i wiła się pod Sanzlermannem. Klindern gestem nakazał Daintnerowi, aby wcisnął pauzę. Obraz się zatrzymał.

- To przynajmniej jest kobieta - skomentował Hunkalffy, szczerząc się z satysfakcją.

- Zamknąć się! - wrzasnął Klindern. - Frank, czy znasz pojęcie „honey-trap”? Wiesz, co znaczy?

- Kiedy ktoś wykorzystuje atrakcyjną kobietę w celu schwytania kogoś w pułapkę, a potem szantażując go, zmusza do wyjawiania tajemnic i przekazywania informacji - odpowiedział Sanzlermann ponuro.

- Cóż - stwierdził Klindern - wygląda na to, że wpadłeś po uszy.

## Rozdział 24

Alex otworzył oczy i kilkatronie zamrugał. Otaczający go świat powoli nabierał kształtów. Leżał na plecach otulony wykrochmaloną białą pościelą w wąskim metalowym łóżku szpitalnym. Słyszał pomruk klimatyzacji. Pokój był ciemny i chłodny, pachniał środkami odkażającymi. Jego lewe ramię zostało umyte, założono mu też nowy opatrunek. Ostrożnie pokręcił głową na boki. Poczul przeszywający ból twarzy, zupełnie jakby ktoś wszczepił mu metalowy pręt do nosa. Jego skóra była zaskakująco gładka w dotyku, jakby wyszorowana papierem ściernym. Bolała go cała lewa część ciała, od ramienia aż po palce u stóp. Przez niewielkie pojedyncze okno widział chodnik. Co jakiś czas pojawiały się koła samochodów, czyjeś buty, czyjeś łydki.

Cassandra Orczy siedziała na krześle obok jego łóżka i oglądała wiadomości w telewizorze - maksymalnie ściszyła dźwięk. Alex spróbował wstać, jednak ona delikatnie przytrzymała go i oparła o poduszki.

- Przez kilka dni musisz odpoczywać, tak powiedział lekarz. Masz lekki wstrząs mózgu, liczne siniaki, otarcia, no i wydlubali ci ze skóry sporo szkła. Ale będziesz żył.

- Gdzie ona jest? - spytał krótko.

- Możesz być z siebie dumny. Ty i pozostali dziennikarze obcokrajowcy zostaliście ogłoszeni personae non gratae na Węgrzech. Wydano nakazy aresztowania i wydalenia was z kraju w ramach kary za „niszczenie reputacji rządu”. Ale nie martw się, w najbliższym czasie nigdzie się nie wybierasz.

Alex chwycił kurczowo ramę łóżka. Czuł zimno metalu na rękach.

- Gdzie ona jest?! - powtórzył, teraz już prawie krzycząc - Nie żyje?

- Żyje. Nic jej się nie stało - odparła zirytowana Cassandra. - Spóźniła się, zanim w ogóle wyszła z domu, bomba na placu już wybuchła.

- Dzięki Bogu - wyszeptał, czując ogromną ulgę. - Kiedy będę mógł się z nią zobaczyć?

- Nie będziesz mógł.

- Jak to?

- Ponieważ, mój drogi Alexie, jesteś obecnie martwy - odparła, uśmiechając się do niego słodko.

Pochyliła się nad nim, żeby poprawić mu pościel.

- Nie czuję się martwy - zaprotestował.

- Cóż, tak piszą w gazetach, więc musi to być prawda. Zginąłeś dziś w wybuchu bomby - to mówiąc, wręczyła mu ośmiostronicowe wydanie specjalne „Magyar Tribün”, które ukazało się tego wieczora. Na stronie trzeciej krótka notatka informowała, że zidentyfikowano jego szczątki.

- Cztery akapity i to wszystko? I bez żadnej fotografii?

- zapytał z udawanym oburzeniem Alex.

Cassandra przysunęła swoje krzesło bliżej łóżka.

- To nie są żarty, Alex - oznajmiła, świdrując go spojrzeniem. - Chciałeś infiltrować Direktorat. Twoim najlepszym alibi będzie więc śmierć. A tu mamy na nią dowód - dodała, stukając palcem w gazetę. - Wszystko zależy od ciebie. Jesteś teraz w bezpiecznej kryjówce, ale nie jesteś więźniem. Możesz wyjść w każdej chwili. Ale pamiętaj, że wtedy nie otrzymasz od nas żadnej pomocy. Sam będziesz musiał dostać się do hotelu Sayoy. Co więcej, być może im powiemy, że planujesz dożyć im wizytę.

Wyglądała teraz starzej, pomyślał Alex. Jej cera była bledsza, włosy straciły połysk, a na twarzy pojawiły się zmarszczki.

- Nie zrobiłabyś mi tego.

- Chcesz się założyć? Ta operacja już się zaczęła, Alex. Zaangażowało się w nią wielu ważnych ludzi, nie tylko tu, w Budapeszcie. Ludzi, których czas jest zbyt cenny, abyś mógł go zmarnować. Musiałam przekonywać ich, że dasz sobie radę. Więc decyduj się. Wchodzisz w to?

Alex wpatrywał się w liczne pęknięcia na suficie. Natasza myślała, że on nie żyje. Oplakiwała go, podczas gdy on był tutaj, żywy i cały. Poczul wzbierające w nim poczucie winy. Uniósł dłoń, przyłożył ją do twarzy i głęboko odetchnął. Poczul zapach szpitalnego mydła. Niespodziewanie dla niego samego, dopiero ten antyseptyczny zapach naprawdę nim wstrząsnął. Znów zobaczył martwe ciała wokół Parlamentu, na polanie w Bośni, połamane kończyny, zakrwawione ubrania, oczy wpatrujące się niewidząco w przestrzeń. Tak, był ranny. Ale miał przecież szczęście, przeżył. Serce zaczęło walić mu jak oszalałe. Łapczywie łykał powietrze.

Cassandra spojrzała na niego, zaniepokojona.

- Strasznie zbladłeś. Idę po lekarza. Jesteś w szoku.

Pokręcił przecząco głową i zmusił się do spowolnienia oddechu.

- W porządku, nic mi nie będzie. Naprawdę. To tylko chwilowa reakcja. Daj mi chwilę.

Podala mu pudełko chusteczek i wyszła z pokoju. Płakał cicho przez kilka minut. Czuł, jakby łzy wypłykiwały rozpacz i żal z jego organizmu. Oparł się na poduszkach, wycieńczony. Cassandra wróciła z herbatą i tacą z kanapkami.

Alex chętnie się napił herbaty. Była gorąca, słodka i bardzo orzeźwiająca.

- Dziękuję. I tak, wchodzę w to. Ale powiedz mi przynajmniej, gdzie ona teraz jest.

- Bezpieczna, na wsi, ze swoją matką. Wysłaliśmy kogoś, żeby ich pilnował.

Kręcił się przez chwilę na łóżku, próbując ułożyć się wygodnie.

- Jak się tu w ogóle znalazłem?

- Isabelle Balassy cię przywiozła. Znalazła cię nieprzytomnego na trawie, wsadziła do swojego samochodu i jakimś cudem udało jej się wydostać z zamkniętej strefy. Awanturowała się, że jej samochód jest przecież suwerennym terytorium Wielkiej Brytanii. No i miała w schowku pistolet, sądzą, że to również się przydało. Powiedziałam przecież, żebyś się nie ruszał - przerwała, poprawiając mu poduszki tak, żeby było mu wygodniej. Wzięła pilota i podkręciła dźwięk w telewizorze. - Kanały satelitarne w tej chwili nie działają. Podobno jakieś „usterki techniczne”. Internet też padł. Za to węgierska telewizja państwowa nadaje wiadomości bez przerwy. AWI przyznała się do zamachu. Ale jak na razie nie ma jeszcze tradycyjnego filmu autorstwa Hasana Al-Ajnabiego.

\* \* \*

Aniko Kovacs miała na sobie czarną marynarkę, czarną bluzkę oraz czerwono-biało-zieloną apaszkę. Na jej biurku stały cztery narodowe flagi - węgierska, chorwacka, rumuńska i słowacka. Niskim, posępnym głosem odczytywała najnowsze wiadomości. „Liczba zabitych w dzisiejszym ataku terrorystycznym wzrosła do czterdziestu ośmiu. Dziewięćdziesiąt siedem osób odniosło rany, wiele z nich jest w stanie krytycznym, między innymi prezydent Chorwacji Dragomir Zoryjak. Do zamachu przyznała się AWI”. Na ekranie pojawił się Hunkalffy przed wejściem do parlamentu. Minę miał posępną, ale i zaciętą. Obok niego stał Frank Sanzlermann, a kawałek dalej, z rękami założonymi z tyłu - Duszan Hrkna i Cornelius Malinanesu. Nad parlamentem wciąż unosił się dym.

Kovacs mówiła dalej: „Premier Hunkalffy wprowadził tymczasowo stan wyjątkowy, aby mieć pewność, że wybory prezydenckie przebiegną bezpiecznie i w spokoju. W trybie natychmiastowym wprowadzone zostają następujące obostrzenia: zakaz zgromadzeń publicznych liczących więcej niż cztery osoby oraz godzina policyjna od północy do szóstej rano. W celu zapobiegnięcia niepokojom społecznym ogłoszono także ciszę przedwyborczą”. Ktoś wsunął jej na biurko kartkę papieru z nową informacją. „Dowiedzieliśmy się właśnie, że wszyscy obywatele zobowiązani są do wzięcia udziału w niedzielnych wyborach. Ze względów bezpieczeństwa wyborcy proszeni są o okazywanie wypełnionych kart do głosowania oficerom żandarmerii, którzy opatrzą dokumenty stosownym stemplem przed ich wrzuceniem do urn”.

Na kolejnym ujęciu sprzed parlamentu Sanzlermann przemawiał uroczystym tonem: „W tych trudnych chwilach narodowej tragedii stoimy murem za naszym przyjacielem i sojusznikiem Attilą Hunkalffym. Przesyłamy wyrazy współczucia wszystkim Węgrom pogrążonym w żałobie. Obiecujemy, że ten akt terroryzmu nie pozostanie bez odpowiedzi”. Malinanesu wystąpił naprzód i już otwierał usta, żeby przemówić, kiedy transmisja spod parlamentu została zastąpiona ujęciem Edith Leclerc, stojącej przed hotelem Bristol.

Otaczał ją tłum przekrzykujących się reporterów, próbujących zadawać jej pytania. „Z całą mocą potępiam ten tchórzliwy atak, jednak nie jestem w stanie kontynuować mojej kampanii w takich warunkach. W żadnym wypadku nie wycofuję swojej kandydatury, jednak nie mam innego wyjścia - muszę wrócić do Paryża. Moja obecność tutaj oznaczałaby przyzwolenie na wszystkie te obostrzenia, które stanowią de facto zamach na wolność obywateli. Nie wydaje mi się, aby obecnie trzeba było wprowadzać stan wyjątkowy, godzinę policyjną czy ogłaszać ciszę przedwyborczą. Demokracja powinna być wystarczająco silna...” - w tym momencie połączenia zostało zerwane. Przez kilka chwil nie było żadnego obrazu, po czym pojawiła się Aniko Kovacs, rozglądająca się niepewnie na boki. Dotknęła palcami słuchawki w uchu. „Szanowni państwo, przepraszamy za chwilowe problemy techniczne. Proszę państwa, otrzymaliśmy właśnie informację o aresztowaniu budapesztańskiego przywódcy AWI. Oto transmisja na żywo”.

Kamera pokazała przerażonego Mihalyego Latakiego wciąganego do furgonetki przez dwóch żandarmów.

\* \* \*

Klindern patrzył z obrzydzeniem na Hunkalffyego i Sanzlermanna.

- Reinhard, poprosimy o filmik numer trzy - powiedział, wskazując ręką na odtwarzacz DVD.

Daintner nacisnął przycisk pilota. Nagranie przedstawiało młodą kobietę o falowanych brązowych włosach, która wchodziła właśnie do budynku służby bezpieczeństwa przy ulicy Miksa Falka.

- A oto właśnie twoja Eva. O ile oczywiście tak brzmi jej prawdziwe imię, w co wątpię. Nie wiemy, gdzie obecnie przebywa.

Sanzlermann siedział zgarbiony, z głową ukrytą w dłoniach.

- Najpierw steward, teraz to - wycedził zimno Klindern. - Z naszych nagrań wynika, że powiedziałaś tej kobiecie coś o niedzielnym spotkaniu. Niestety, muzyka w tle jest zbyt głośna, abyśmy mogli w pełni zrozumieć waszą rozmowę. Może więc sam mi o tym opowiesz?

- Nic nie powiedziałem, przysięgam, nic ważnego - wymamrotał Sanzlermann.

- Powiedz mi, co jej powiedziałaś, w przeciwnym razie gorzko pożałujesz.

- Tylko tyle, że odbędzie się tu w niedzielę wieczorem ważne przyjęcie z udziałem VIP-ów z całego świata, na którym oglądać będziemy relacje z ogłoszenia wyników wyborów. Nie jest to żaden wielki sekret, połowa obsługi hotelowej wie o tym spotkaniu.

- Mówiłem mu, że będą kłopoty przez tę dziewczynę, ale nie chciał mnie słuchać. On po prostu myśli nie tą częścią ciała co trzeba. I tak oto zaczynają interesować się nami służby specjalne - powiedział Hunkalffy.

Sanzlermann rzucił mu pełne nienawiści spojrzenie.

Klindern obrócił się w stronę Hunkalffyego z błyskiem wściekłości w oku. Jego elegancka opalenizna przybrała czerwonawy odcień.

- A którą część ciała pan myśli, panie premierze?! - wrzasnął.

Hunkalffy spojrział na niego ze strachem i zaskoczeniem. Sanzlermann wyprostował się na swoim krześle i uśmiechnął się ostrożnie.

- Z tym incydentem hotelowym damy sobie radę. Nawet gdyby ten filmik przedostał się do mediów, zawsze możemy to zrzucić na stres związany z kampanią, zwołać wzruszającą konferencję prasową, Dagmar zapewniłaby o nieustającej miłości do męża. Koniec końców może to nam nawet przysporzyć poparcia. *Mea culpa*, ludzka słabość, ogromna presja, i tak dalej - mówił dalej Klindern. - Ale to, to już za wiele... Reinhard, czwarte wideo, proszę.

Filmik przedstawiał nagiego Hunkalffyego siedzącego na skórzanym fotelu przy stoliku w gabinecie premiera. Po podłodze wałały się puste butelki po szampanie, rozlany alkohol skapywał ze stołu na podłogę. Hunkalffy pochylił się i głośno wciągnął kreskę kokainy usypanej na zabytkowym lustrze - podał je następnie wraz z banknotem o nominale 500 euro dwóm nagim kobietom siedzącym naprzeciwko, blondynce i brunetce. Blondynka zwinęła banknot w cienki rulonik i również wciągnęła narkotyk, podczas gdy brunetka przyglądała się jej wygłodniałym wzrokiem, czekając na swoją kolej. Z szeroko otwartymi oczami blondynka podeszła do Hunkalffyego i usiadła mu na kolanach. Otworzył kolejną butelkę szampana i oblał nim jej biust. Zaczęła więc się z rozkoszy. Brunetka szybko wciągnęła ostatnią kreskę kokainy i też podeszła do Hunkalffyego - on delikatnie złapał ją za kark i skierował jej głowę ku piersiom blondynki.

Klindern energicznie machnął ręką, jakby przecinając nią powietrze.

- Dziękuję, Reinhard. Wystarczy.

Daintner wyjął płytę DVD z odtwarzacza i podał ją Klindernowi. Hunkalffy siedział zeszytniały. Jego twarz poczerwieniała, a palce mocno wbijały się w oparcie krzesła. Zadzwoił telefon Daintnera. Odwrócił się i oddalił na chwilę, aby go odebrać.

- Naprawdę nie domyślał się pan, że pana obserwujemy? - spytał z niedowierzaniem Klindern. - Sądził pan, że nie wiemy, co pan wyprawia w swoim gabinecie? Cóż z pana za dureń. Dziwki i koks.

Daintner skończył rozmowę, podszedł do Klinderna i szepnął mu coś do ucha.

- Psiakrew! - wrzasnął Klindern, waląc pięścią w stół tak mocno, że aż kawa z filiżanek chlapnęła na stół. - Zorvajk właśnie zmarł. Banda idiotów.

Sanzlermann z zapamiętaniem drapał wierzch swojej dłoni. Hunkalffy wpatrywał się ponuro w Klinderna.

- Niestety, wciąż jeszcze potrzebujemy was obydwu. Ale jeśli zaliczycie jeszcze choćby najmniejszą wpadkę - zagroził Klindern, trzymając w ręku DVD - to ta płyta pograży was na zawsze. Zniszczy wasze małżeństwa, karierę, wszystko. Pomyślcie tylko, ilu oglądających miałyby te filmiki, gdybyśmy opublikowali je w Internecie.

Hunkalffy wstał gwałtownie, czerwony z wściekłości.

- Zatem zróbcie to! - zawołał.

- Co takiego? - Klindern patrzył na niego zdumiony. - Co pan powiedział?

Hunkalffy podszedł bliżej.

- Powiedziałem: „zróbcie to”. Wrzucicie to wszystko do Internetu. A potem co? Po pierwsze, wszystkiemu zaprzeczę, powiem, że to próba oczernienia mnie, a filmik został sfabrykowany przez zwolenników Leclerc. A wy będziecie jeszcze musieli mnie w tym wesprzeć - wrzeszczał, gotując się ze złości. - Po drugie, opublikowanie tych materiałów z pewnością zrujnuje wizerunek Sanzlermanna jako kandydata na prezydenta. Oznaczać to będzie osłabienie, duże osłabienie dla pana i pańskich przyjaciół. Do głosowania pozostało zaledwie kilka dni. Nie zdążycie znaleźć nowego kandydata, ani przenieść wyborów do innego kraju. Jesteśmy waszą jedyną opcją. Moje życie osobiste to moja prywatna sprawa. Moje kochanki to mój interes. Jeśli podejmiecie decyzję o upublicznieniu nagrań, bądźcie też gotowi ponieść konsekwencje swojej decyzji.

Klindern się roześmiał.

- Attila, Attila, ten twój madziarski temperament z pewnością wpędzi cię kiedyś w kłopoty. Byli tacy, co twierdzili, że byłbyś lepszym kandydatem na prezydenta niż nasz biedny Frank. Zaczynam się z nimi zgadzać. Proszę siadać, panie premierze, i napić się kawy - zakończył pojednawczo Klindern.

Hunkalffy pokręcił głową i wrócił na swoje miejsce. Klindern przestał się śmiać i na nowo podjął temat:

- Nie zapominajmy, że mamy obecnie wielki problem z wiarygodnością. Leclerc wróciła do Paryża. Wprowadziliście stan wyjątkowy. Odcieśliście telewizje satelitarne i dostęp do Internetu. Już teraz w Brukseli przebąkuje się na temat przesunięcia terminu wyborów. Byłaby to dla nas katastrofa. Dyrektorat specjalnie wybrał właśnie Węgry, ponieważ zapewniliście nas, że wszystko jest pod kontrolą. Co jak widać, nie do końca jest zgodne z prawdą.

- Czego ode mnie oczekujecie? — spytał Hunkalffy spokojnym głosem.

- Najważniejsze jest teraz, aby Sanzlermann zdobył władzę. Musi wygrać wybory i nie może zarzucić, że pomogła mu w tym kampania strachu fundowana wyborcom przez państwo - powiedział Klindern, a jego głos był coraz bardziej stanowczy. - Znieście stan wyjątkowy i nowe rozporządzenia. Postępujcie dalej zgodnie z planem. Załatwcie wszystko tak, żeby to wyglądało na prawdziwe wybory, a nie ćwiczenia w przybijaniu stempli.

\* \* \*

Alex siedział w łóżku i czytał uważnie akt własności dużej willi przy jeziorze na przedmieściach Balatonfured, niegdyś ulubionej miejscowości wypoczynkowej austro-węgierskiej arystokracji. Był to jego pierwszy poranek w kryjówce. Cassandra przed chwilą wręczyła mu dokumenty, świeżo wydane, w których figurował jako właściciel nieruchomości. Jak wyjaśniła Cassandra, willa została zbudowana przez Alajosa, dziadka Miklosa, pod koniec dziewiętnastego wieku. Alex wiedział o istnieniu rodzinnych fabryk na wyspie Csepel i o posesji w alei Andrassyego. Coś też kiedyś słyszał o willi nad Balatonem. Uznał, że to musi być właśnie ta rezydencja. Zarówno Alex, jak i Miklos, kiedy jeszcze żył, dawno stracili już nadzieję na uzyskanie sensownego odszkodowania za utracone imperium gospodarcze rodziny Farkasów, nie mówiąc już o odzyskaniu jakichkolwiek pozostałości po nim.

Po upadku komunizmu Węgry nie przywróciły dawnym właścicielom ich własności - zamiast tego władze wyemitowały tak zwane bony kompensacyjne. Inaczej nie dało się tego rozwiązać - zbyt wiele było przypadków zasiedzenia. Setki tysięcy żydowskich domów, sklepów, fabryk i innych zakładów produkcyjnych zostało przejętych, bardzo często przez dawnych przyjaciół lub sąsiadów, bądź też przywłaszczonych przez państwo. Była to jedna z niewielu kwestii, wobec której wszyscy politycy byli jednogłośni. Dzięki temu przywódca socjaldemokratów mieszkał na wzgórzach Budy w rezydencji, której właściciel został zamordowany w Oświęcimiu. Podobnie jak właściciele willi, w których obecnie swoje siedziby mieli liberałowie, konserwatyści, partia Hunkalffyego, a także liczne rządowe instytucje oraz firmy.

To co utracili, przypadło już. na zawsze. Za wyjątkiem, jak się dziś okazało, tej willi. Dlaczego? Alexa zastanawiało również to, że Cassandra była uprawniona do przekazania mu tej posiadłości. Niemniej jednak dokumenty to potwierdzały. Było w nich wszystko, czarno na białym, opatrzone stosownymi podpisami i pieczęciami. Wziął do ręki fotografię, którą dostał od niej wcześniej. Wpatrywał się we wspaniałą gościniec, wijący się pośród pięknego ogrodu. Dom ten był pewnie wart setki tysięcy funtów. Co on miałby z nim zrobić?

Oczami wyobraźni zobaczył siebie jako pana na włościach. Uprawiałby ziemię, podczas gdy Natasza spędzałaby czas na przymierzaniu sukienek i układaniu fryzur. Wizja była równie przyjemna, co mało prawdopodobna. Czy będzie go chciała w ogóle znać, kiedy odkryje, że wcale nie zginął? Marna była na to szansa. Przygryzł wargę prawie do krwi, starając się z całych sił, aby o niej nie myśleć. Na szczęście wtedy właśnie ktoś zapukał do drzwi jego pokoju. Uchyliły się lekko. Ujrzał w nich Isabelle Balassy. Trzymając w ręku ogromny bukiet tulipanów, rozglądała się ostrożnie.

- Czy możemy cię już odwiedzić? - spytała.

- Oczywiście. A ile was tam jest? - zapytał Alex z uśmiechem, czując jak poprawia mu się nastrój.

Weszła do pokoju. Tuż za nią kroczył żylasty mężczyzna o oliwkowej skórze, trzymający w ręku butelkę szilwy palinki. Miał ogoloną głowę, kolczyk w nosie i uśmiech, który rozjaśniał cały pokój.

- Tylko nas dwoje. Wpadliśmy na Chwilę, żeby sprawdzić, czy ciągle jesteś w jednym kawałku. I cieszę się, że tak właśnie jest. Znajdę ci zaraz wazon na te kwiaty - powiedziała, pochylając się nad nim i całując go delikatnie w policzek.

- Szalom, *habibi* - Ehud przywitał Alexa i uściśnął mu dłoń. - Jak się czujesz? Bardzo się wszyscy martwiliśmy.

Alex spoglądał na Izraelczyka.

- O wiele lepiej, dzięki. A co ty tu robisz, Ehud? - spytał, chociaż miał już pewne podejrzenia co do odpowiedzi.

- Kultura została zamknięta przez policję podatkową; mam więc sporo wolnego czasu. Wrócę tu za kilka dni - obiecał, stawiając na stoliku butelkę szilvy palinki. - Zdrowiej!

\* \* \*

Był uwięziony w brudnym wagonie pociągu na stacji Keleti. Ona była na peronie. Pociąg ruszył. Zaczęła biec za ruszającym pojazdem, machając do niego gorączkowo. Próbował otworzyć drzwi, były jednak zamknięte. Płakała i krzyczała jego imię, wałąc ręką w szybę okna, a on coraz mocniej szarpał za klamkę. Drzwi ani drgnęły, pociąg przyspieszył, a ona zniknęła w oddali.

Alex obudził się nagle, przepełniony silną tęsknotą. Przed oczami wciąż miał swój uciążliwy sen, widział swoje ręce zaciśnięte w pięści. Tym razem nie był w stanie pozbyć się uczucia straszliwej tęsknoty. Rozpaczliwie pragnął zobaczyć się z Nataszą, a myśl, że była ona gdzieś niedaleko, sprawiała, iż czuł się jeszcze gorzej. Wzbierało w nim poczucie winy. Wyobrażał ją sobie, rozpaczającą po jego śmierci, marzył o tym, aby wytrzeć jej łzy, powiedzieć jej, że żyje. Próbował przypomnieć sobie jej zapach, smak, dotyk skóry.

Po trzech dniach spędzonych w kryjówce organizm Alexa regenerował się, jego umysł był jednak w dużo gorszym stanie. Sypiał nie najlepiej, zamartwiając się, czy na pewno postępuje słusznie. Skoro jest zakochany w Nataszy, dlaczego tak łatwo zrezygnował z niej na rzecz większej sprawy? Tysiące razy wyobrażał sobie ich spotkanie. Zapukałby do jej drzwi, otworzyłaby, zobaczyła go. Byłaby zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć. Albo on wpatrywałby się w nią bez słowa, podziwiając jej urodę. Każda wersja spotkania kończyła się w ten sam sposób, namiętnością i kłębowskiem zrywanych z siebie ubrań. Wiedział, że może wyjść stąd w każdej chwili. Dlaczego więc tego nie robi? Jak sam sobie tłumaczył, częściowo wynikało to z czystego pragnienia zemsty: za śmierć Miklosa, Vince'a Szatmariego, Teresy, Virgila i Maria. Częściowo robił to również po to, aby rozbić Direktorat, przerwać Projekt Porajmus, a nawet jeśli by mu się to udało, zniszczyć KZX i Volkstern Corporation. Było jednak coś jeszcze, coś, do czego przyznawał się sam przed sobą jedynie w nocy, najsilniejsze ze wszystkiego, to samo pragnienie, dla którego ryzykował życie w Bośni i Czeczenii: pragnienie, aby spisać tę historię, aby zobaczyć ją wydrukowaną, podpisaną jego nazwiskiem. Tym razem jednak, zamiast tylko opisywać historię, sam miał stać się jej częścią.

Włączył telewizor, aby zająć myśli czymś innym. W porannym programie CNN, prowadzonym przez żywiołowego geja, emitowano właśnie wywiad z amerykańskim sekretarzem stanu na temat europejskich wyborów prezydenckich. Nagle Alex usłyszał pukanie do drzwi. Ściszył telewizor.

Do pokoju wszedł Ehud - niósł tacę z humusem, kebabem, sałatkami i chlebkami pita. Jedzenie pachniało obłędnie.

- Śniadanie, *habibi* - oznajmił.

Mówił z silnym izraelskim akcentem. Postawił tacę na stoliku przy łóżku.

Alex podziękował, uśmiechając się na samą myśl o smakołykach. Jedzenie w jego kryjówce było tak samo niesmaczne jak w każdym węgierskim szpitalu.

- Przyniosłem ci je z twojej ulubionej restauracji. Widziałem się z twoim przyjacielem Mubarakiem - powiedział Ehud.

- To wy się znacie? - zapytał Alex zaskoczony, napełniając pić humusem.

- Oczywiście, od wielu lat. Jest bardzo zły i smutny, że cię zabili - odparł Ehud, z trudem powstrzymując śmiech. - Bardzo dobrze się dogadujemy. Jesteśmy jednymi z jego najlepszych klientów.

- „My”, to znaczy? - chciał wiedzieć Alex, ale Ehud zignorował jego pytanie.



Podkreślił za to dźwięk w telewizorze. Sekretarz stanu, a jednocześnie były ambasador USA przy Unii Europejskiej, mówił właśnie, jak bardzo Stany Zjednoczone są zaniepokojone, jak to ujął „ciągłym łamaniem praw mniejszości romskiej” w krajach Europy Wschodniej.

- Skoro tak strasznie się martwią, dlaczego nic z tym nie zrobią? - spytał Alex.

- Może robią - Ehud przeżuwał, wpatrywał się w Alexa przez dłuższą chwilę. Najpierw obejrzał prawy, a potem lewy profil. Potrząsnął głową i westchnął. - Sam nie wiem. Jesteś amatorem. Nie mamy wystarczająco dużo czasu, aby cię odpowiednio przeszkolić. Ochrona będzie na najwyższym poziomie. Najgorsze jest to, że jesteś w tę całą sprawę zaangażowany emocjonalnie. Nie wiem, jak ma się to wszystko udać.

- Zrób tak, żeby się udało - odparł Alex.

- Wiesz, dlaczego oni ci w ogóle na to pozwalają? - spytał nagle Ehud, biorąc kawałek pity i owijając ją wokół dużego kawałka kebabu.

- Ponieważ wiedzą, że jestem dzielny i mądry? - zapytał Alex z przekąsem.

- Niestety nie, *habibi*. Dlatego, że jesteś dla nich, brzydko mówiąc, jednostką jednorazowego użytku - odpowiedział, pochłaniając jednym kęsem całą porcję. Nalał szilwy palinki do dwóch filiżanek. - *L'chaim* - powiedział, po czym stuknęli się filiżankami. - Musimy się postarać, abyś stał się dla nich absolutnie niezbędny.

Alex przełączył kanał na wiadomości telewizji państwowej. Pokazywano właśnie materiał z jakiejś zaniedbanej wsi na wschodzie Węgier. Po dziurawej głównej ulicy raz po raz przejeżdżały motocykle, do których przymocowane były flagi strzałokrzyżowców. Zaniepokojeni mieszkańcy rozglądali się niepewnie. Alex i Ehud w milczeniu słuchali reportera, który wyjaśniał, że cygańska dzielnica wsi została odizolowana przez żandarmów, którzy poszukują na jej terenie „niebezpiecznego gangu przestępców”.

Kamera pokazywała teraz wystraszone romskie rodziny, które obserwowały z boku, jak żandarmi przetrząsają ich domy od piwnicy aż po dach, wyrzucając ich skromny dobytek wprost na ulicę. Do żandarmów podjechał z rykiem silnika jeden z motocyklistów i chwilę się z nimi naradzał. Wskazali mu niewielką budę z żużlobetonowych pustaków, przykrytą blaszanym dachem. Motocyklista podjechał do bramy i ostrożnie wykręcił motorem tak, aby rura wydechowa skierowana była w stronę wejścia do budki. Stopniowo zwiększał obroty silnika, a z rury wydechowej buchały kłęby spalin. Wreszcie z budy wybiegł nastoletni Rom, trzymający w ramionach swoją młodszą siostrę. Oboje kaszleli i zanosili się płaczem. Żandarmi chwycili dziewczynkę, powalili chłopaka na ziemię i wepchnęli go do furgonetki.

Alex poczuł, że wzbiera w nim zimna furia. Zaciśnął dłoń na swojej filiżance tak mocno, że oderwał jej uszko, filiżanka upadła na ziemię, roztrzaskując się na drobne kawałki. Ehud chwycił Alexa za ramię:

- Jeszcze przyjdzie na nich czas. Już niebawem, zobaczysz.

Kolejne godziny spędzili na szlifowaniu postaci Alexa, jego historii i wymyślonej biografii, której szczegóły przekazała im Cassandra. Ehud zadawał Alexowi raz po raz te same pytania, dopóki nie zaczął on odpowiadać na nie automatycznie. Nazywa się Jozsef Zenta, ma czterdzieści osiem lat, urodził się w Szeged na południu Węgier. Ma dowód tożsamości i numer identyfikacji podatkowej. Rozwiedziony, z zawodu kelner. Lubi gotować, jeść i pić oraz chodzić na ryby nad rzekę Tisza. Ma siwe włosy oraz nadwagę, nosi okulary i chodzi zgarbiony. Specjalista ufarbował Alexowi włosy i dopasował sztuczne wąsy. Wybrano dla niego również duży gumowy brzuch. Przycięto mu nawet długie rzęsy. Musiał założyć również brązowe soczewki kontaktowe i tymczasowe implanty policzkowe, które nadawały jego twarzy okrągłęjszy kształt. Wkładki w butach modyfikowały mu posturę, powodując, że chodził pochyłony lekko do przodu. Optyk przyniósł mu do wyboru kilka par okularów, takich, które nie wpłynęłyby negatywnie na jego wzrok.

- A tak swoją drogą, co sądzisz o rządzie Hunkalffy'ego? - zapytał nagle Ehud.

- Jest to po prostu element spisku mającego na celu ustanowienie gospodarczej hegemonii przy wykorzystaniu marionetkowych rządów.

Ehud bębnił palcami w blat stołu.

- Ach tak. Gospodarcza hegemonia i rządy marionetkowe. O tym właśnie rozmawia się u was w Szeged?

Alex się zaczerwienił i zaczął jeszcze raz:

- Cóż, między nami mówiąc, ta cała banda jest tak samo kiepska jak poprzednia. Chodzi im tylko o to, żeby napchać swoje kieszenie i nakraść, ile się da. O to przecież chodzi w polityce, co nie? Trzeba martwić się o swoje interesy i swoją rodzinę, to jest najważniejsze. A kto wygra, nie ma w sumie większego znaczenia - wybełkotał.

- W porządku. A teraz przejdź się po pokoju - polecił Ehud.

Alex zrobił kilka kroków, pewny siebie, skupiony, rozglądając się wokół.

- Nie tak. Musisz się trochę zgarbić. Wczuj się w rolę.

Skulił ramiona i zaczął lekko powłóczyć nogami.

- O, tak od razu lepiej - powiedział z uznaniem Ehud.

Pod koniec dnia Alex przyjrzał się sobie w łazienkowym lustrze. Widział siwowłosego otyłego mężczyznę w średnim wieku, w niemodnych rogowych oprawkach i o wadliwej posturze.

- *Tov*. Musimy zadbać o jeszcze jedną rzecz.

- To znaczy?

- Psychologia. Ludzie widzą to, co chcą widzieć. Zobaczysz jutro. Idziemy na pogrzeb.

- Czyj pogrzeb? - spytał Alex.

- Twój, *habibi* - odparł Ehud z szerokim uśmiechem, klepiąc Alexa po plecach.

## Rozdział 25

Bandi Polar stał na dachu apartamentowca u zbiegu ulicy Lajosa Kossutha i placu Ferencieka i rozglądał się po okolicy. Usytuowany naprzeciwko na rogu hotel Savoy ciągnął się niemal do następnej przecznicy. Okna słynnej narożnej kawiarni, mieszczącej się na parterze, wychodziły zarówno na ulicę Kossutha, jak i plac Ferenciek. Żandarmi ustawili wokół tego obszaru trzy bariery ochronne - pierwsza, tuż przy chodniku, biegła po dwóch stronach hotelu. Kolejne ogrodzenie stało czterdzieści metrów dalej, równoległe do pierwszej blokady. Pomędzy nimi poruszali się żandarmi, pracownicy ochrony, a także jedna ekipa telewizyjna z państwowego kanału.

Trzecia blokada odcinała od północy ulicę Kossutha, od południa ulicę Szobad Sajtó, prowadzącą do Mostu Elżbiety, oraz wszystkie boczne uliczki. Żandarmi ustawili posterunki kontrolne przy każdym przejściu. Skrzyżowanie, stanowiące zazwyczaj jedną z najruchliwszych części miasta, było dziś zupełnie opustoszałe. Ogrodzenie składało się z segmentów szerokich na dziesięć stóp i wysokich na dwanaście, zbudowanych z szarych metalowych prętów przyspawanych do stalowych obramowań, które szczepiało się ze sobą za pomocą długich bolców. Przedstawiciele zagranicznej prasy tłoczyli się na terenie pomiędzy drugą a trzecią barierą. Bandi dostrzegł między innymi ekipy CNN oraz BBC. Wszyscy dziennikarze mieli na sobie zielone kamizelki z napisem „PRESS” na plecach, a wielu z nich także hełmy na głowach i maski przeciwgazowe. Jeden z Amerykanów przywdział nawet kamizelkę kuloodporną. „Sprytny gość” - pomyślał Polar. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ten pan dostanie dziś materiał na najlepszy artykuł w karierze. A w każdym razie z pewnością tę noc wszyscy zapamiętają na długo.

Była siódma wieczorem. W ten chłodny zimowy wieczór znad Dunaju wiał nieprzyjemny wiatr. Na szczęście było sucho. Z dachu rozpościerał się idealny widok na cały teren. Ogromne tłumy zmierzały w dół ulicy Kossutha i w górę ulicy Szobad Sajtó, a także bocznymi uliczkami - aż napotykały blokady i żandarmów. Most Elżbiety był tak zapchany protestującymi, że nie mógł się tam przecisnąć żaden samochód. Tłum żywo reagował, ludzie byli zdeterminowani. Machali entuzjastycznie w kierunku latających nad nimi helikopterów. Ogrodzenia ozdobione były węgierskimi flagami, wstążkami i kwiatami. Bandi oparł swój telefon komórkowy na balustradzie balkonu. Zrobił kilka zdjęć, które przesłał natychmiast na bezpieczną stronę internetową.

Zapalił papierosa, czekając na potwierdzenie, że zdjęcia dotarły. Pomyślał sobie, że teraz jedyne, czego oczekiwał od życia to święty spokój. I żeby mógł prowadzić swoją sieć kwaciarni. Wyglądało na to, że cały świat sprzyścił się przeciwko niemu. Bandi był potężnie zbudowanym mężczyzną, z pochodzenia Węgrem, ale urodził się w Vukovarze, w Chorwacji. Miał rude kręcone włosy, ostre rysy i nadspodziewanie duże dłonie. W 1991 roku walczył w chorwackiej armii, próbując obronić swoje rodzinne miasto przed Serbami. Opuścił je dosłownie parę minut przed tym, jak zostało przez nich zdobyte. Przez pewien czas służył jeszcze w Chorwacji i Bośni, po czym zdezerterował, przekroczył granicę z Węgrami wraz ze swoją żoną, Serbką o imieniu Vesna, oraz trójką dzieci, i poprosił o status uchodźcy. Wojskowe doświadczenie Bandiego sprawiło, że szybko wzbudził zainteresowanie służb. Po dwóch tygodniach składania zeznań, wszyscy pięcioro dostali węgierskie obywatelstwo. Otrzymał też sporą pożyczkę na preferencyjnych warunkach, umożliwiającą mu założenie własnego interesu i zakup domu. To wszystko miało jednak swoją cenę, jak poinformowała go urzędniczka o blond włosach w budynku przy ulicy Miksa Falka: od czasu do czasu będzie musiał stawiać się u nich do „zadań specjalnych”. Gdyby odmówił, niezwłocznie wróciłby na front. Bandi bez wahania przystał na te warunki.

Jego ostatnia misja miała miejsce w Belgradzie w 2000 roku. Jeśli Slobodan Milošević miał zostać obalony przez CIA, MI6 i ich nowych serbskich „przyjaciół”, Budapeszt musiał wiedzieć o tym jak najwięcej. Kiedy po kilku nieudanych próbach tłum w Belgradzie zdobył szturmem parlament, Bandi był jednym z tych, którzy wdarli się tam jako pierwsi. Na pamiątkę tamtych dni został mu zresztą zakrzywiony nos i blizna nad prawą brwią. Tamtego dnia niewątpliwie dowiedział się wielu ważnych rzeczy na temat miejskich bójek ulicznych. Zaciągnął się mocno papierosem i obserwował, jak brzuchaty mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jasnobrązowy płaszcz idzie w kierunku jednego z posterunków żandarmerii. Jeśli temu człowiekowi uda się przedostać do hotelu Sawy, przetrwa tam około dwóch godzin, może nieco dłużej, jeśli będzie miał szczęście. Tak przynajmniej zakładali. Bandi życzył mu dobrze, kimkolwiek był, bo według niego była to misja samobójcza. Ale może nie, jeśli plan się powiedzie. Miał nadzieję, że się powiedzie. Żandarmi wyglądali na zdecydowanych na wszystko i świetnie przygotowanych. Na szczęście mógł powiedzieć to samo o swojej ekipie.

\* \* \*

Alex spodziewał się potępienia i wzburzonych okrzyków, kiedy szedł w stronę posterunku. Serce waliło mu jak oszałałe, co chwilę wycierał spocone dłonie o cienki płaszcz, który dał mu Ehad. Był pewien, że za chwilę ktoś krzyknie: „To on, panie oficerze, ten facet tam!”, albo „On jest przebrany! To szpieg! Wtyczka!”. Czekał tylko, aż żandarmi podbiegną do niego i uderzeniami pałek powalą go na ziemię, zerwą jego sztuczne wąsy, rozerwą koszulę i zobaczą sztuczny brzuch. Poczuł, że ktoś klepie go delikatnie w ramię. O nie, pomyślał, jeszcze nie teraz, przecież nawet nie udało mi się jeszcze dostać do hotelu. Odwrócił się.

- Jozsef? - spytała niepewnie Natasza - Poznaliśmy się na pogrzebie. Na pogrzebie Alexa. Jestem... byłem... jego dziewczyną, jeśli mogę tak powiedzieć.

Uśmiechnął się, ale starał się nie patrzeć na nią zbyt natargiwie. Wyglądała jeszcze bardziej pociągająco niż zwykle. Włożyła dziś swój kożuszek, dzinsy i kozaki, a głowę obwiązała szerokim szalem. Rozpacz odcisnęła wyraźne piętno na jej pięknej twarzy. Przepęliła go tęsknota i poczucie winy. Zapragnął krzyknąć: „Jesteś moją dziewczyną!”, chwycić ją za rękę, powiedzieć jej o wszystkim, uciec z Budapesztu, tak daleko, jak to tylko możliwe. Jego pogrzeb, który odbył się na żydowskim cmentarzu, był na szczęście bardzo krótki. Pojawił się na nim Peter Feher, David Jones, Mubarak, Isabelle Balassy, Natasza, Kitty, Edina, Ronald Worthington, a także kilku innych byłych kolegów z „Budapest News”. Ronald i David wygłosili wzruszające przemowy. Alex przyszedł na pogrzeb z Ehudem, który ostrzegł go wcześniej, że będzie to dla niego trudne i wytrącające z równowagi doświadczenie, ale absolutnie konieczne dla powodzenia akcji Alex musiał uwierzyć, że jest Jozsefem Zentą - inaczej nikt inny by w to nie uwierzył. Wyłącz emocje, radził Ehud, kiedy wchodził do synagogi. Starał się usilnie, nigdy nie przypuszczał jednak, jak trudno będzie mu obserwować swoich przyjaciół pogrążonych w żałobie po jego śmierci, kiedy w rzeczywistości on sam był cały i zdrowy i stał zaledwie kilka metrów od nich. Nie przypuszczał, że będzie się czuł tak marnie.

Ehud nalegał, aby Alex przedstawił się im wszystkim jako dawny przyjaciel Alexa. Pierwsza wymiana zdań jest najtrudniejsza, powiedział mu Ehud, potem będzie już łatwiej. Nie martw się, wszyscy sądzą, że nie żyjesz, przypominał mu z kamienną twarzą. Alex mówił ochryplym szeptem i lekko seplenił, aby nikt nie rozpoznał jego głosu. Używał też wielu żargonowych zwrotów. Przywitał się najpierw z Kitty, tłumacząc swój nieprzyjemny głos bólem gardła. Ehud miał rację. Zarówno ona, jak i pozostali żałobnicy byli uprzejmi i mdli, nie przejawiali jednak większego zainteresowania grubawym, nijakim facecikiem z Szeged. Plan zadziałał, chociaż nie był w stanie powstrzymać wypływającego na twarz rumieńca, kiedy ścisnął rękę Nataszy. Zaczął znowu paplać o swoim bólu gardła. Natasza uśmiechnęła się grzecznie, co sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej. Po uroczystości Peter Feher zaprosił go na stypę w Margaret Patisserie, gdzie zarezerwował dla wszystkich osobną salę. Alex odmówił. Peter wtedy mrugnął do niego.

- Ależ tak, Natasza. Oczywiście, że cię pamiętam. Jesteś również reporterką.

- Zgadza się. Będzie dziś o czym pisać - powiedziała, zapalając papierosa. - A co ty tu robisz?

- Jestem kelnerem. Pracuję dziś w hotelu - odpowiedział chrapliwym głosem, wskazując ręką Savoy.

Natasza odwróciła lekko głowę, wydmuchując dym papierosowy.

- Nie powinieneś pracować, jeśli jesteś jeszcze chory.

- Wiem, ale potrzebuję pieniędzy - odparł.

Czuł, że serce bije mu szybciej. Zagryzł wargę. Nawet najlepsze przebranie, najlepiej wymyślona historia jest nędzną bronią przeciwko kobiecej intuicji.

- Jozsef, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić, kiedy skończysz dziś pracę? - spytała Natasza.

Uśmiechnął się niepewnie. - Zadzwoń do mnie, proszę. Bardzo chciałabym wiedzieć, co działo się w środku. W końcu będzie tam tylu ważnych gości.

- Chętnie. Miło było cię znowu zobaczyć - powiedział, odchodząc.

- Jozsef! - zawołała za nim.

Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

Wręczyła mu swoją wizytówkę.

- Jak miałbyś do mnie zadzwonić, skoro nie znasz mojego numeru telefonu? Proszę, oto moja wizytówka.

\* \* \*

Bandi obserwował, jak mężczyzna w jasnobrązowym płaszczu pokazuje swoje dokumenty, przechodzi przez kolejne etapy kontroli, aż w końcu rusza do hotelowego wejścia. Wyglądało więc na to, że udało mu się dostać do środka. Dla Bandiego oznaczało to jedno: czas do pracy. Najwięksi twardziele z jego ekipy czekali ukryci na sygnał, a kilkudziesięciu innych rozproszonych było wśród tłumu protestujących, napierających na hotel ze wszystkich stron. Oczywiście, obecnie żandarmi przeważali liczebnie, wszystko wskazywało jednak na to, że niebawem jego ekipa dowodzić będzie znacznie silniejszą grupą: całym tłumem. Każdy z rozmieszczonych tam chłopaków miał przy sobie telefon komórkowy z mapami, GPS-em, aparatem fotograficznym i kamerą. Taki telefon automatycznie synchronizował robione nim zdjęcia i filmiki z mapami ulic. Punkt na mapie oznaczał miejsce, gdzie wgrywano materiał, który można było obejrzyć po kliknięciu na dany punkt. W pojedynku o kontrolę nad ulicami najważniejsza była informacja, a członkowie jego ekipy mogli w czasie rzeczywistym przekazywać sobie nawzajem najistotniejsze dane dotyczące bieżących wydarzeń.

Z telefonów komórkowych można było również oglądać transmisję na żywo miejskiej stacji telewizyjnej CCTV. Wszystkie dane przekazywane były przez bezpieczne łącze satelitarne - centrala była gdzieś w centrum. Bandi nie wiedział, kto dokładnie kontrolował ten przepływ informacji. Szczupły Amerykanin w niebieskiej koszuli dał mu do zrozumienia, że ta informacja dostępna jest jedynie dla osób stojących nieco wyżej w organizacyjnej hierarchii. Bandi przejrzał szybko obrazy z rozmieszczonych w okolicy kamer. Ulica Lajosa Kossutha, Szabad Sajtó, Most Elżbiety, plac Ferenciek - wszędzie przybywało protestujących. Wszyscy kierowali się w stronę skrzyżowania, przy którym mieścił się hotel Savoy. Jego komórka zabręczała dwukrotnie. Pierwszy SMS był potwierdzeniem, że jego zdjęcia zostały wgrane na stronę, drugi - informacją, że pojawił się nowy „blogbeep”. „Blogbeep” była to usługa mikroblogowa, pozwalająca na przesłanie krótkiej wiadomości, do 150 znaków, do większej grupy użytkowników jednocześnie. Wiadomość brzmiała: „Żandarmi zwierają szyki na ulicy Petófięgo”. Była to uliczka prowadząca na plac Ferenciek. Bandi wklepał: „Zaczynamy” i wcisnął przycisk „Wyślij”.

Telefon zabręczał ponownie. Otworzył stronę internetową ze zdjęciami i kliknął na ujęcie dwóch furgonetek stojących na ulicy Petófięgo. Żandarmi kręcili się wokół nich, w pełnym rynsztunku. W rękach trzymali ciężkie plastikowe tarcze. Na stronie widniały już zdjęcia wykonane przez Bandiego, przedstawiające zgromadzony tłum, ogrodzenia oraz posterunki żandarmów, największy problem dla jego ekipy. Pojawiła się kolejna fotografia, około trzydziestu motocyklistów, siedzących na swoich pojazdach na placu niedaleko ulicy Lajosa Kossutha. Pili alkohol i krzyczeli do przechodniów. „Świetnie” - pomyślał Bandi - „właśnie na was czekaliśmy”.

\* \* \*

Alex wszedł do hotelu. „Na razie wszystko w porządku, Jozsef” - powiedział sam do siebie. Niespodziewane spotkanie z Nataszą wytrąciło go nieco z równowagi, nie mógł jednak teraz pozwolić sobie na rozmyślanie o tym. Najważniejsze było to, że udało mu się dostać do środka. Żandarmi kilkakrotnie sprawdzali jego dokumenty, ale nie doszukali się w nich niczego podejrzanego. Hall hotelu, wyłożony szarym i czarnym marmurem, z secesyjnymi lampami i wygodnymi skórzanymi fotelami, był pełen zwykłych gości i personelu. Dziś jednak coś wisiało w powietrzu; wyczuwało się napięcie. Obsługa recepcji została na ten wieczór zastąpiona ochroniarzami Volkstern Corporation.

Strażnik trzymający w ręku podkładkę z listą nazwisk zastąpił mu drogę.

- Kim pan jest?

- Jozsef Zenta - odpowiedział Alex, po raz kolejny pokazując swoje dokumenty. - Mam być kelnerem podczas dzisiejszej kolacji. Jestem tu w zastępstwie kogoś, kto się rozchorował w ostatniej chwili. Wszystko załatwiane było z Istvanem Nagym, szefem cateringu.

- Proszę opróżnić kieszenie i powoli przejść przez bramkę, a potem stanąć tam - poinstruował Alexa strażnik, kierując go w stronę wykrywacza metalu, podczas gdy sam oglądał jego dokumenty.

Maszyna zawyła. Alex sięgnął do kieszeni płaszcza.

- Nie! Ręce do góry! - wrzasnął strażnik.

Natychmiast pojawiło się jeszcze kilku członków ochrony. Alex poczuł, że oblewa go zimny pot.

- Spokojnie, panowie. To tylko kilka monet - powiedział, oddychając ciężko.

Strażnik sięgnął do jego kieszeni i rzeczywiście wyjął z niej drobne.

Inny ochroniarz z ręcznym wykrywaczem metalu podszedł do Alexa. Przesuwał detektorem w górę i w dół, wzdłuż tułowia, rąk i nóg Alexa. Żadnego dźwięku. Wyciągnął z kieszeni kolejne urządzenie wielkości podręcznego radia i pomachał powoli nad Alexem. Żadnego dźwięku. Kiwając głową, przeszukał Alexa, sprawdzając każdą kończynę, a także pachy i krocz. Jego ręce prześlizgnęły się szybko po wydatnym brzuchu Alexa. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Zaczął uciskać i dźgać brzuch palcem. Alex zwinął się w odruchu obronnym, jakby palce strażnika były co najmniej lufą pistoletu.

- Zdejmuj koszulę - burknął.

- Co proszę? - zapytał Alex.

- Głuchy jesteś? Zdejmuj koszulę!

Strażnik przyglądał się uważnie ciasno zapiętemu gorsetowi, opinającemu sztuczny brzuch Alexa.

- Wie pan, chodzi o to, że mam przepuklinę. Na pewno chce pan, żebym zdejmował z siebie to wszystko? - zapytał Alex oburzony, wskazując na gorset. Spojrzał na zegarek. - Powinienem zacząć obsługę gości za kilka minut. Czy mam im powiedzieć, że trochę się spóźnię?

Strażnik oddał mu papiery i odprawił go ruchem ręki.

- Dobra, grubasie. Śmigaj do roboty.

Alex, Istvan Nagy i jeszcze pięciu innych kelnerów ustawili się w równym rzędzie przy wejściu do apartamentu prezydenckiego. Ponownie przeszukało ich dwóch uzbrojonych ochroniarzy, potem musieli jeszcze przejść przez kolejny wykrywacz metali i dopiero wtedy wpuszczono ich do jadalni. Biedermeierowskie umeblowanie było dokładnie wywoskowane i wypolerowane. Z kryształowych żyrandoli sączyło się przyćmione światło. Na stole Alex zobaczył nakrycia dla szesnastu osób - srebrne sztućce, kryształowe kieliszki na wino i wodę, zabytkowa porcelanowa zastawa. W tle rozbrzmiewała muzyka z berlińskich kabaretów z lat trzydziestych. Salę zaczął już powoli wypełniać cygarowy dym. Alex pomógł innym kelnerom w rozstawieniu stolika barowego w rogu, po czym zaczął rozlewać do kieliszków wino, schnappsa i szampana. Postawił część kieliszków na tacy i zaczął z nią krążyć po jadalni.

Nadeszli goście: czternastu mężczyzn i dwie kobiety. Najmłodszy z nich miał nie więcej niż pięćdziesiąt lat, najstarszy z trudem poruszał się na wózku inwalidzkim. Był Hrkna, Malinancescu, Daintner, Hunkalffy i Sanzlermann. Wszyscy wymuskani, eleganccy, przyziani, zamożni i zadowoleni z życia, przekonani, że cały świat należy do nich. Rozmawiali przyciszonymi głosami, z lekką arogancją, właściwą ludziom, którzy zawsze - i błyskawicznie - dostają to, czego zapragną. Dieter Klindern prowadził ożywioną dyskusję z prezes Volkstern Corporation, Sylvie Kriegbaufner. Krieghaufner miała niebieskie oczy i jasnobłond włosy, a ubrana była w czarną, migoczącą suknię z jedwabiu. Mimo że miała już

swoje lata, wciąż trzymała się świetnie. Paliła długie cienkie cygaro. Alex zauważył, że jej skóra nad kośćmi policzkowymi jest nienaturalnie napięta, a na czole nie widać ani jednej zmarszczki. Również usta zdawały się zbyt duże w stosunku do reszty wąskiej, kościstej twarzy. Wszystko to nadawało jej twarzy nieco koński wygląd.

Malinanescu podszedł do Krieghaufher, aby się przedstawić. Ukłonił się nisko i ucałował jej dłoń. Klindern przyglądał się tej scenie z pobłażliwym rozbawieniem. Drobna, starsza kobieta, trzymająca się nieco na uboczu, obserwowała wszystkich uważnie, popijając wodę mineralną. Miała na sobie staromodną zieloną tweedową garsonkę i spódnicę, włosy spięła w kok.

Krieghaufher zauważyła, że Alex ją obserwuje. Szturchnęła łokciem Klinderna i szepnęła mu coś na ucho, na co on roześmiał się głośno. Oboje spojrzeli na Alexa. Zaczerwienił się i odwrócił. Krążąc po sali, próbował dyskretnie podsłuchiwać, o czym dyskutują goście, z marnym jednak skutkiem. Kiedy już podał kieliszki, nie mógł stać, ot tak, i przysłuchiwać się rozmowom. Udało mu się wychwycić kilka słów, takich jak „Czigex” czy „problem cygański”, jednak ci dwaj głośno rozmawiający mężczyźni stali zbyt daleko, na drugim końcu sali. Ktoś inny powiedział: „Kto by pomyślał, że Żydzi okażą się tacy waleczni”. Ale poza tym docierały do niego tylko jakieś przypadkowe frazy: nazwy szwajcarskich banków, gazet i stacji telewizyjnych, które udało się przejąć i nazwiska polityków, którzy byli obecnie „oddanymi przyjaciółmi”, czego Krieghaufher nie omieszkała skomentować: „Lepiej, żeby byli, sporo im za to zapłaciliśmy”.

Jak na człowieka, który niebawem ma zostać prezydentem Europy, Sanzlermann nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. I gdzie podziała się ta szeroko reklamowana nić sympatii i głębokiego porozumienia, łącząca go z węgierskim premierem? Obydwaj panowie robili wszystko, aby tylko na siebie nie wpaść i z trudem ukrywali wzajemną niechęć. Nawet siedzieli z daleka od siebie, na dwóch krańcach stołu. Teraz rozmowy dotyczyły zimowych kurortów, europejskiej polityki i wyborów prezydenckich. Czas mijał szybko. Na kolację podano gęsie wątróbki, polędwicę wołową z pieczonymi ziemniakami, a na deser - naleśniki z płonącą brandy. Alex został wyznaczony do podpalania gorącego alkoholu, którym Nagy polewał każdą porcję przed podaniem jej na stół. Pierwszy deser buchnął zaskakująco wysokim płomieniem. Alex odskoczył. Niewiele brakowało, aby jego sztuczne wąsy zajęły się ogniem. Siwowłosa pani spróbowała zaledwie odrobiny deseru, po czym poleciała zabrać swój talerz ze stołu.

Kiedy Alex podniósł wzrok, zauważył, że przygląda mu się Reinhard Daintner. Wzbudziło to jego niepokój. Alex poznał Daintnera dwa lata wcześniej, kiedy przeprowadzał wywiad z Sanzlermannem, wtedy wschodzącą gwiazdą austriackiej polityki. Wiedział, że Daintner jest piekielnie inteligentnym człowiekiem. Jego bladoniebieskie oczy były w stanie wychwycić dosłownie wszystko. Czy go pamiętał? Oczywiście, że nie, przekonywał sam siebie Alex. Jakim cudem? Samo podejrzenie było zupełnie nedorzeczne. Alex postanowił skupić się na swoich obowiązkach.

Kiedy sprzątnięto talerze, kelnerzy zostali wyproszeni z sali. Drzwi dokładnie zamknięto. Obsługa udała się do kuchni na małą ucztę z tego, co nie zostało podane gościom. Wszyscy siedzieli razem, hałasowali i zajadali się wołowiną, gęsimi wątróbkami i warzywami, hojnie nalewali sobie alkohol z na wpeł opróżnionych butelek.

Na twarzy Istvana Nagya, pulchnego, łysego mężczyzny, malowała się ulga: kolacja przebiegła bez zakłóceń. Serwetką otarł pot z lśniącego czoła.

- Masz, napij się - powiedział, podając Alexowi kieliszek dwunastoletniego cabernet sauvignon.

Przygnębiony Alex powoli sączył alkohol. Było to pełne, bogate wino, jednak dla Alexa miało smak octu. Oto znajdował się w tym samym budynku, co cały Direktorat, nawet podawał jedzenie jego członkom, a dowiedział się jedynie, że premier, dwóch obecnych

prezydentów i jeden przyszły zjedli posiłek w towarzystwie niemieckich przemysłowców i damy ze Szwajcarii. Niemrawo grzebał w swojej porcji wołowiny,  
Zadzwoił telefon. Istvan Nagy odebrał i pokiwał głową.  
- Tak, panie Daintner. Oczywiście - powiedział. Spojrzał na Alexa. - Idziesz na górę. Ktoś musi podawać drinki. Daintner poprosił o ciebie.

## Rozdział 26

Wszystkie rozmowy ucichły, kiedy tylko Alex wszedł do pokoju. Niemal połowę jednej ze ścian zajmowała ogromny ekran plazmowy, na którym widniała podświetlona mapa Europy. Sylvie Krieghaufer stała obok ekranu z długim wskaźnikiem w ręku.

- Czy to aby dobry pomysł, Daintner? - spytał Hunkalffy, wskazując Alexa.

- Z całym szacunkiem, panie premierze, czy wołałby pan osobiście serwować napoje sobie i całemu Direktoratowi przez całą noc? Mamy bardzo dużo spraw do omówienia i spędzimy tu najbliższe kilka godzin. O ile dalej będziemy mówić po niemiecku, nie zrozumie ani słowa. Będziemy mówić do niego jedynie „podaj mi jeszcze jeden” albo „przynies mi”, i już. - Daintner odwrócił się w stronę Alexa. - *Nicht wahr?*

- *Bitte? Ich verstehe nicht* - odpowiedział Alex, patrząc z niepokojem na Daintnera.

Daintner odprawił go ruchem ręki. Alex podszedł do baru i zaczął napełniać kieliszki. Prawie trząśł się z ekscytacji. Był tutaj, był w środku. Za chwilę pozna plany Direktorat. Pozostawało pytanie, jak się potem stąd wydostanie? Nie wyobrażał sobie, że pozwolą mu wyjść stąd ot tak, głównymi drzwiami. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Ehud, Cassandra i inni „poważni ludzie” uwzględnią taki rozwój wypadków w swoich planach. Tymczasem nie pozostawało mu nic innego, jak być kelnerem. Przywołał się do porządku. Zebrał brudne kieliszki, uzupełnił napoje w tych częściowo opróżnionych i zastąpił pełne popielniczki pustymi.

Sylvie Krieghaufer wróciła do przerwanej prezentacji.

- Rozwój telewizji satelitarnej i Internetu pozwolił nam wpływać na opinię publiczną szybciej i skuteczniej, niż zakładaliśmy. Przyzwolenie na integrację europejską oraz idące za tym osłabienie suwerenności poszczególnych państw stworzyły nam gospodarcze warunki, o którym nie śniło się nawet naszym poprzednikom. Wyborcy chcą wierzyć, że podejmują indywidualne, niezależne decyzje. A nam zależy na tym, żeby wierzyli, że tak właśnie jest. Szczególnie teraz, kiedy mamy już pod kontrolą eurosceptyków. Mówię na przykład o tych kosztownych džentelmenach - powiedziała, stukając w ekran wskaźnikiem.

Na monitorze widoczne były twarze kilku bardzo znanych eurosceptyków, posłów z Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii.

Krieghaufer przerwała na chwilę, aby napić się wody.

Na nowej mapie kolorem zaznaczono kraje Europy wschodniej.

- Pozwólcie państwo, że powrócę na chwilę do regionu, na którym skoncentrowaliśmy nasze wysiłki w ostatnim czasie: kraje postkomunistyczne. Możemy tutaj mówić o ogromnym sukcesie. Zarówno rządzący, jak i prywatni właściciele ustawiali się w kolejce, aby za bezcen sprzedać gazety i wydawnictwa o wieloletnich tradycjach. Tam, gdzie pracownicy buntowali się przeciwko nowej proeuropejskiej rzeczywistości, zastosowano zdecydowane środki: redakcje zostały zamknięte. Żaden z rządów nie ograniczał nas w żaden sposób przy zakładaniu naszych prywatnych stacji telewizyjnych. Możemy śmiało powiedzieć, że znaleźliśmy idealne środowisko, w którym dokonać możemy synergii naszych gospodarczych i politycznych planów.



Stojący przy barze Alex przyglądał się dyskretnie zgromadzonym, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Krieghaufher jeszcze raz dotknęła ekranu.

- I wreszcie, przechodzimy do omówienia naszego obecnego stanu posiadania - oznajmiła, a w tle ponownie pojawiła się mapa Europy Wschodniej. - Kolor biały oznacza gazety, niebieski stacje radiowe, a czerwony stacje telewizyjne.

Mapa rozbłysła światełkami we wszystkich kolorach. Trudno było dostrzec choćby centymetr pustego miejsca.

- W tych krajach Volkstern Corporation jest obecnie właścicielem ponad osiemdziesięciu procent gazet oraz lokalnych i ogólnokrajowych stacji telewizyjnych - zakończyła, a kolorowe światełka migały w tle.

Zarumieniona ze zmęczenia i podekscytowania Krieghaufher usiadła na swoim miejscu, przyjmując gratulacje i ściskając dłonie swoich sąsiadów.

Ciszę, która zapadła po przemówieniu, przerwało miarowe stukanie długopisu o krawędź kieliszka. Starsza pani w tweedowej garsonce zerknęła na swoje notatki.

- Frau Krieghaufher, wykupienie paru podupadłych gazet i stacji telewizyjnych nie wymaga zbyt wielkiej pomysłowości. My w Zurychu spodziewaliśmy się po waszych inwestycjach znacznie więcej.

Klindern przerwał jej szybko uspokajającym głosem:

- I dostaną to państwo, Frau Schmidt. Direktorat obejmie niedługo władzę, o jakiej wam się nie śniło.

- Proszę o wyjaśnienie - powiedziała Schmidt.

- Planujemy całkowicie przejąć Internet - oznajmił Klindern, tak swobodnym tonem, jakby zamawiał właśnie kolejną filiżankę kawy.

\* \* \*

Bandi uważnie obserwował z dachu tłumy zalewające główne i boczne ulice biegnące w stronę hotelu Savoy. Eleganckie gospodynie domowe zamieszkujące rezydencje na wzgórzach Budy i ich małżonkowie, bogaci prawnicy, szli teraz ramię w ramię z robotnikami i pracownikami fabryk z najgorszych przemysłowych dzielnic na końcu linii metra. Pokryci tatuażami i koleczykami młodzi ludzie z modnych barów w siódmej dzielnicy kroczyli w jednym szeregu z wrzeszczącymi kibicami. Postawni rolnicy rozdawali jabłka i gruszki wszystkim maszerującym. Starsza pani w znoszonym futrze trzymała w ręku czarno-białe zdjęcie, przedstawiające młodego chłopaka, podpisane: „David: 1930-1944”. Dwie odświętne ubrane niewidome siostry torowały sobie drogę za pomocą białych lasek, dumnie odrzucając oferowaną co chwila pomoc. Trio cygańskich muzyków wygrywało na swoich trąbkach rytmiczne dźwięki mobilizujące do marszu. Straganiarze sprzedawali gorącą kawę, kanapki, piwo i węgierskie flagi. Bandi pomyślał, że wygląda to nieźle. Jeśli sytuacja dalej rozwijać się będzie w takim tempie, w ciągu pół godziny musi do czegoś dojść.

Artyści z nocnego klubu Sotto Voce wywoływali powszechny aplauz. Trójka transwestytów, wysokich na metr osiemdziesiąt, ubranych w skórzane gorsety i spodnie, wymachiwała tęczowymi flagami i prowokacyjnie wydymała wargi. „Wyłaż z szafy, Frank!” krzyknął jeden z nich, a inni wtórowali mu gwizdami i wyciem. „Wyłaż i zabaw się razem z nami!” Bandi roześmiał się głośno. Jego komórka zabrzęczała: „Motory kierują się w stronę Savoya”. Domyślał się, że motocykliści planują przedostać się przez ogrodzenia wokół ulicy Magyar i jeździć w tę i z powrotem pomiędzy barierami. Zamierzali prowokować protestujących, podczas gdy sami byli bezpiecznie pod ochroną żandarmów.

- O nie - mruknął do siebie, błyskawicznie wklepując instrukcje na klawiaturze telefonu.

- Nigdzie chłopcy nie pojedziecie.

\* \* \*

Schmidt aż uniosła brwi.

- Cały Internet? Ale w jaki sposób?

Klindern uśmiechnął się.

- Stopniowo, na początku jedynie w obszarach najistotniejszych dla naszej działalności.

Ale najpierw, jeśli państwo pozwolą, krótkie wprowadzenie. Wyszukiwarki internetowe oferują obecnie błyskawiczny dostęp do ogromnej ilości danych stanowiących niewyczerpane źródło wiedzy. Co więcej, z dnia na dzień stają się coraz szybsze i bardziej wydajne.

Kategoryzują ludzkie potrzeby i pragnienia, nadzieje i obawy. W zeszłym roku, w przeciągu zaledwie jednego miesiąca, pięć wiodących wyszukiwarek odnotowało niemal dziesięć miliardów wejść. A najlepsze jest w tym wszystkim to, że dostarczają one informacje o tym, czego ludzie naprawdę chcą. Gdyby przeanalizować i zestawić ze sobą wszystkie wyszukiwania, można by otrzymać ogromne źródło informacji gospodarczych, medycznych, społecznych i finansowych.

Schmidt pokiwała głową.

- No dobrze, zatem w jaki sposób zdobędziemy te informacje?

Klindern wstał i dwukrotnie stuknął w plazmowy ekran. Pojawiła się na nim przeglądarka internetowa w narodowych barwach Węgier: czerwonym, białym i zielonym. Na samej górze, po lewej stronie, widniał napis: „kzxsearch. hu”.

- Etap pierwszy - zaczął Klindern - to przeglądarka kzxsearch z wbudowaną wyszukiwarką. Tutaj widzicie państwo kzxsearch.hu. Każde państwo będzie miało przeglądarkę w swoim ojczystym języku, kzxsearch.ro w przypadku Rumunii, kzxsearch.de w przypadku Niemiec, i tak dalej. Każdy użytkownik przeglądarki ma swój numer identyfikacyjny i miniprogram, tak zwane „ciasteczko”, wbudowane w przeglądarkę. Przeglądarka rejestruje i kategoryzuje wszystkie wyszukiwania, każdą odwiedzoną stronę.

Na ekranie pojawiło się teraz zdjęcie przystojnego, dobrze ubranego młodego mężczyzny.

- Oto Janos Horvath. Sprzedawca, dwadzieścia parę lat, o typowych zainteresowaniach: dziewczyny, podróże, imprezy, ubrania i samochody. „Ciasteczko” zapamiętuje jego nawyki internetowe. Skorelowanie tych informacji z danymi, które są w posiadaniu naszych dostawców Internetu oraz firmami z koncernu KZX, umożliwi nam stworzenie idealnie spersonalizowanych kampanii reklamowych. Kzxsearch umożliwi również monitorowanie preferencji politycznych, na przykład pozwala uzyskać informację, czy dana osoba odwiedza często strony organizacji walczących o prawa człowieka lub swobody obywatelskie.

Klindern stuknął delikatnie w ekran. Reklamy wakacyjnych wyjazdów dla singli, samochodów, czasopism lifestyle'owych i modnych ubrań, wszystkie w języku węgierskim i adresowane bezpośrednio do Janosa Horvatha, pojawiły się w kolumnie po prawej stronie.

- Nasze wstępne testy dowodzą, że spersonalizowane reklamy są nadzwyczaj skuteczne. Już samo użycie imienia odbiorcy działa na niego pozytywnie: użytkownik czuje się pożądanym, choćby i przez reklamodawców. A to takie rzadkie uczucie w dzisiejszych czasach, przepełnionych lękiem i samotnością.

- A zatem zajmujemy się teraz pracą społeczną, doprawdy wzruszające - zakpiła Schmidt. - Tylko proszę mi wyjaśnić, dlaczego ktokolwiek miałby korzystać z kzxsearch zamiast, jak do tej pory, z Yahoo czy Google?

Klindern uśmiechnął się z wyższością.

- Ponieważ zaoferujemy darmowy szybki Internet od naszych dostawców Internetu każdemu, kto założy u nas konto internetowe i każdego miesiąca określoną liczbę razy skorzysta z wyszukiwarki kzxsearch. Nasi dostawcy Internetu będą nie tylko zbierać informacje o odwiedzanych stronach, ale i przechowywać wszystkie e-maile, jakie zostaną

wysłane przez ich użytkowników. Koszty tej oferty pokryjemy bez najmniejszego problemu: wykorzystamy pieniądze zarobione przez podległe Direktoratowi firmy oraz te uzyskane ze sprzedaży spersonalizowanych reklam. Szacujemy, że w ciągu dwóch lat sześćdziesiąt pięć procent wszystkich użytkowników Internetu będzie miało swoje konto internetowe na kzxsearch. I to jest etap drugi.

Na twarzy Schmidt pojawił się cień uśmiechu.

- Imponujące, Herr Klindern. Myśli pan przyszłościowo. To się chwali. A zatem: jaki jest etap trzeci?

- Dziękuję pani - skinął głową Klindern. - Być może są państwo świadomi faktu, że komputery osobiste stopniowo tracą znaczenie na rzecz tak zwanego „cloud computing”, czyli „przetwarzania w chmurze”. Oznacza to, że banki danych i programy mogą być obsługiwane zdalnie. Działa to na tej samej zasadzie, jak skrzynka e-mailowa, do której logujemy się poprzez przeglądarkę, ale dotyczy również plików tekstowych, arkuszy kalkulacyjnych, i tak dalej. Niedługo każdy będzie mógł wykonywać swoją pracę z praktycznie każdego komputera. Sprzęt jako taki łatwo zgubić lub zepsuć. Nawet wylanie kawy na laptopa może mieć katastrofalne skutki. Jeśli dane na naszym komputerze nie zostały wcześniej zapisane gdzieś indziej, możemy utracić je na zawsze. W przypadku chmury nie ma tego typu zagrożeń, a dodatkowo użytkownik ma do niej dostęp niemal wszędzie, nie tylko przez komputery osobiste, ale również telefony komórkowe, palmtopy, a nawet zegarki z dostępem do Internetu. Komputer osobisty, to znaczy urządzenie jako takie, wkrótce będzie zbędny.

Schmidt zapisywała wszystko w swoim notesie, po czym podniosła wzrok.

- A w jaki sposób chcecie przejąć kontrolę nad tą całą „chmurą”?

Klindern upił łyk koniaku.

- Stworzymy własną chmurę - wyjaśnił. - Jest to niejako naturalne następstwo etapu drugiego i powstania kzxsearch: wszystkie dane i informacje użytkowników Internetu zapisywane będą bezpośrednio na naszych serwerach. Jesteśmy właśnie w trakcie pisania nowych programów: poczta e-mail, edytory tekstu, arkusze kalkulacyjne i tak dalej. Nasi użytkownicy będą musieli korzystać z naszych programów, co da nam całkowity dostęp do ich danych. Techniki magazynowania danych rozwijają się w zaskakująco szybkim tempie, dlatego też nasi specjaliści pracują również nad programami do ich eksploracji. Kontrolując chmurę, będziemy kontrolować również społeczne, polityczne, medyczne i finansowe profile wszystkich obywateli Unii Europejskiej. Będziemy wiedzieli, co piszą do swoich szefów, ukochanych, w jaki sposób zarabiają, co jedzą, co piją, co myślą - ciągnął Klindern podekscytowanym głosem. - Nie tylko będziemy wiedzieć, czego chcą, ale też będziemy w stanie decydować o tym za nich. I tak właśnie przedstawia się wizja świata według Direktoratu: cyberprzestrzeń jako nowy *lebensraum*.

Klindern już otwierał usta, aby kontynuować, kiedy zza okna do zgromadzonych doleciał pisk opon i chrzęst metalu.

\* \* \*

Natasza przeprowadzała właśnie wywiad z biorącym udział w proteście starszym panem w podniszczonym garniturze, kiedy usłyszała narastający warkot silników motocyklowych. Szybko podziękowała za rozmowę i popędziła ulicą Kossutha, a następnie jedną z bocznych uliczek, kurczowo trzymając w rękach swój notatnik. Nie myliła się. Motocykliści byli jakiegoś kilkaset metrów od miejsca, w którym stała, pędzili z rykiem silników wąską uliczką. Na ich czele jechał długobrody gruby mężczyzna w skórzanej kurtce, dosiadający klasycznego harleya-davidsona, na którym zatknięta była flaga strzałokrzyżowców.

Żandarmi przesunęli barierki, tak aby motory mogły przejechać, kiedy jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi spadła foliowa torba, jak się okazało, wypełniona olejem silnikowym. Lepka substancja rozbryzgała się po jezdni, ochlapując również chodnik i nogawki dżinsów Nataszy. Kobieta spojrzała w górę. Romski chłopaczek szczyrzył się do niej z okna na ostatnim piętrze. Gestem polecił jej, aby podeszła bliżej ściany domu i drzwi na klatkę schodową. Zrobiła kilka kroków do tyłu. Na ulicę poleciały następne olejne bomby - pokryły jezdnię i chodniki grubą, tłustą warstwą.

Olej silnikowy. Znowu. Jego zapach przypominał jej, jak razem z Alexem zrzucali beczkę ze schodów, podczas ucieczki ze stacji w Koszycach. Poczwała w piersi szarpnięcie. Tęskniła za nim tak bardzo, że aż ją to bolało. Z przygnębienia wyrwał ją ryk motocykla, którego kierowca ze wszystkich sił starał się zahamować, jednak jego przednie koło już wjechało na śliską powierzchnię. Zarzuciło nim na lewo i prawo. Klnąc straszliwie, próbował odzyskać równowagę, ale bezskutecznie. Maszyna przewróciła się na bok z ogłuszającym łoskotem i sunęła jeszcze kilka metrów, szorując o asfalt. Uwięziony pod motorem kierowca wrzeszczał i bluzgał jak opętany, a flaga strzałokrzyżowców wplątała się w tylne koło pojazdu.

Motocyklista tuż za nim jechał sportowym BMW. Też próbował wyhamować, ale nie dał rady. Jego koła zetknęły się z oleistą kałużą. Upadł, bezradnie wymachując rękami. Motor wysunął się spod niego i z hukiem wpadł w dziurę w ogrodzeniu. Na ulicę spadła kolejna porcja olejnych bomb - spadały w kilkumetrowych odstępach. Jeden po drugim motocykliści wpadali na siebie, tracąc kontrolę nad pojazdami, kiedy tylko ich koła dotknęły oleju. W niecałą minutę kolumna motocykli została rozbita. Co najmniej dwunastu mężczyzn albo straciło przytomność, albo nie za bardzo wiedziało, co się dzieje. Ci, którzy jechali na końcu, widząc co spotkało ich towarzyszy, zawracali i odjeżdżali z rykiem silników. Postawny mężczyzna stojący do tej pory po drugiej stronie ulicy, podszedł do BMW, podniósł je, po czym wsiał na nie, i z ostentacją podarł przymocowane do niego flagi. Tłum wiwatował.

Natasza przyglądała się tej scenie z boku, notując wszystko w swoim zeszycie: poprzewracane motocykle, których silniki wciąż warczą i wyją; podarta flaga strzałokrzyżowców; lśniąca od rozlanego oleju jezdnia; oszołomieni motocykliści i ich brudne i podarte kurtki; wyśmiewające ich romskie dzieci, wyglądające na ulicę przez okna. Pomyślała, że to jedna z najlepszych scen, jakie było jej dane zobaczyć. Wyciągnęła telefon komórkowy i zaczęła robić zdjęcia otaczającego ją chaosu. Nie zauważyła, że od tyłu podchodzi do niej jakiś mężczyzna. Szarpała się tylko przez chwilę - napastnik przyłożył jej do ust nasączony czymś kawałek materiału.

\* \* \*

Klindern podszedł do okna wychodzącego na wąską uliczkę, tę samą, na której rozbijali się właśnie motocykliści. Przez chwilę obserwował to pandemonium z bezpiecznej odległości pięciu pięter, po czym zwrócił się do Hunkalffyego:

- Panie premierze, co to ma być? - spytał, a w jego głosie słychać było napięcie i rosnący gniew. - Może pan wyjaśnić, co się właśnie wyprawia w stolicy pańskiego kraju?

- Grupa prowokatorów, tak zwany Węgierski Ruch Wolności, zorganizowała demonstrację - wyjaśnił Hunkalffy, rozglądając się wokół w poszukiwaniu wsparcia.

Hrkna wpatrywał się w swój kieliszek, podziwiając kolor wina, Malinanescu analizował uważnie stan swoich paznokci, a Sanzlermann jak zahipnotyzowany wpatrywał się w prezentację na plazmowym ekranie.

Klindern skinieniem ręki przywołał Hunkalffyego, a kiedy ten zbliżył się do okna, wskazał palcem na porozbijane motory pod nimi.

- Co to właściwie jest?

Hunkalffy zbladł.

- Poleciał mi pan, abym złagodził restrykcyjne przepisy, które wprowadziliśmy po wybuchu bomby. Zrobiłem tak, jak pan kazał.

- Ale nie spodziewałem się wybuchu anarchii! - wrzasnął Klindern. - Proszę natychmiast zaprowadzić tam porządek!

Hunkalffy pospiesznie wyszedł. Na sali panowała absolutna cisza. Klindern powrócił na swoje miejsce, wypił łyk koniaku.

- Najmocniej państwa przepraszam. A zatem - podjął przerwany wątek - rozmawialiśmy wcześniej o przyszłości. Najpierw jednak pozwólcie państwo, że cofniemy się w czasie. Do pierwszego spotkania doszło tutaj, w hotelu Savoy - to mówiąc, uśmiechnął się porozumiewawczo do mężczyzny na wózku, a ten odwzajemnił uśmiech. - Założyciele Direktoratu przyjęli czterotorową strategię: przejęcie partii politycznych i rządów; manipulacja mediami; przejęcie kontroli nad gospodarką poszczególnych państw; oraz, kluczowa kwestia, przejęcie kontroli nad policją i służbami bezpieczeństwa.

Klindern dotknął ekranu. Ponownie pojawiła się na nim mapa Europy. Obszary Chorwacji, Węgier, Słowacji i Rumunii lekko się świeciły.

- Postanowiliśmy skoncentrować się na tych czterech krajach, jako że w przeszłości również były one naszymi sprzymierzeńcami. Niestety, w wyniku tragicznych wydarzeń Dragomira Zorvajka nie ma już dzisiaj z nami - powiedział smutno, rzucając Sanzlermannowi znaczące spojrzenie. - Do tej pory Czechy i Polska okazały się mniej chętne do współpracy z naszymi inwestorami niż ich sąsiedzi. Mamy jednak w planach systematyczną ekspansję, kiedy tylko umocnimy naszą pozycję tutaj. Nie wymienię teraz wszystkich naszych zasobów, ponieważ trwałoby to do jutra albo i dłużej. Powiem tylko, że w każdym z czterech krajów osiągnęliśmy podobny postęp w kwestii kontroli nad sferą gospodarczą, partiami politycznymi i służbami bezpieczeństwa.

W tym momencie na salę wszedł Reinhard Daintner z plikiem płyt DVD w rękę. Jedną z nich podał Klindernowi. Do każdego pudełka z płytą przyklejona była niewielka kamera.

- Daintner zebrał informacje o wszystkich zasobach Direktoratu i umieścił je na tych płytach - wyjaśnił Klindern, otwierając pudełko i wyjmując z niego DVD. - Każda z tych płyt może być odtworzona tylko i wyłącznie na komputerze, do którego podpięta jest załączona kamera. Kiedy włożycie płytę, uruchomi się program do identyfikacji poprzez skanowanie siatek. Każdy dysk oznaczono indywidualnym numerem i zaprogramowano tak, że nikt poza wami nie będzie w stanie odczytać zawartych na nim informacji. Jakby to powiedział James Bond: „tylko dla waszych oczu” - zażartował, a zgromadzeni przy stole goście zaśmiali się uprzejmie.

- A teraz, przed państwem człowiek, który bardziej niż ktokolwiek inny czuwa nad tym, aby nasze ideały pozostawały wiecznie żywe. Pułkownik SS Friedrich Vautker.

Klindern skinął dłonią na Alexa, żeby ten pomógł mężczyźnie na wózku inwalidzkim do niego podjechać. Pchając wózek w kierunku Klinderna, oczekującego u szczytu stołu, Alex patrzył na różową łysą głowę starca, na plamy na jego rękach. Rozważał przez chwilę, czy nie przewrócić wózka i nie wbić noża do steków prosto w serce Vautkera. Może by mu się udało. I może przeżyłby potem jeszcze jakieś pięć do dziesięciu sekund.

Vautker odesłał Alexa z powrotem na miejsce przy barze.

- Zimą 1944 roku - zaczął Vautker - jadłem w tym hotelu kolację. Hordy Rosjan stopniowo zalewały Europę. My wiedzieliśmy jednak, że nawet po najdłuższej i najczarniejszej nocy musi nastać nowy lepszy dzień. Razem z naszymi przyjaciółmi ze Szwajcarii - tu skinął głową w kierunku pani Schmidt - nakreśliśmy pewne plany. Plan, których realizację możemy obserwować dzisiaj, tu i teraz. Naszym największym sukcesem było wprowadzenie euro. Wierzyliśmy kiedyś, że wojna zapewnia finansową hegemonię. Teraz wiemy już, że to w czasach pokoju dużo łatwiej o finansową dominację. Najpierw

pokój, potem stopniowe niszczenie i likwidacja suwerenności gospodarczej poszczególnych państw i podporządkowanie ich Federalnemu Urzędowi Monetarnemu, bezpiecznemu w rękach mojego syna Heinricha Vautkera. - Zamilkł na chwilę, czekając, aż ucichnie burza oklasków. - W ten weekend, kiedy Frank Sanzlermann wygra wybory prezydenckie w pierwszej turze, rozpocznie się proces umacniania naszej władzy nad Unią Europejską. Metodami, które tu zaprezentowaliśmy, będziemy kontrolować mieszkańców całego kontynentu. Na Narodowych Obligacjach Skarbowych zarobimy miliony euro. Kiedy okaże się, że obligacje nie przyniosą żadnych zysków tym, którzy je kupili, winą za ten stan rzeczy obarczymy „międzynarodowych spekulantów” i „obcy kapitał”. W tym okresie dobrze radzę trzymać się z dala od synagog. - W tym momencie zgromadzeni wybuchnęli śmiechem. - Mało kto będzie protestował, ponieważ uwaga Europy skoncentrowana jest w dalszym ciągu na Armii Wyzwolenia Imigrantów. A jeśli już o niej mowa, pozwólcie państwo, że przedstawię naszego gościa specjalnego. Daintner! - pstryknął palcami i ręką wskazał wejście. Daintner wstał i otworzył drzwi. Na salę wkroczył wysoki ciemnoskóry mężczyzna o orlim profilu. Miał na sobie włoski jedwabny garnitur. Stał na baczność, popatrzył na wszystkich zgromadzonych przy stole i uklonił się im grzecznie. Zanim uczestnicy spotkania zdali sobie sprawę, kim jest ich nowy gość, na sali panowała cisza. Sanzlermann siedział bez ruchu, a jego czy otwierały się coraz szerzej i szerzej. Cornelius Malinanescu mrugał nerwowo. Duszan Hrkna zerwał się z krzesła, klnąc i wymachując pięścią.

- Proszę usiąść, panie Hrkna - odezwał się kojącym głosem Vautker. - Rozumiem pana złość. Czasem jednak nie powinno się mówić o pewnych elementach układanki, dopóki nie przyjdzie na to odpowiedni czas. Proszę państwa, oto człowiek znany jako Hasan Al-Ajnabi, przywódca Armii Wyzwolenia Imigrantów. Pan Al-Ajnabi jest jednym z kluczowych członków Direktorat. Na Bliskim Wschodzie mamy wielu sprzymierzeńców, którzy pragną chronić swoje państwa przed mackami obcego kapitału i jego waszyngtońskimi sługusami.

Yautker skinął ręką na Alexa.

- Duża whisky dla pana Al-Ajnabiego - rozkazał.

Alex starał się nie przyglądać za bardzo gościowi. Direktorat kontrolował AWI. Direktorat chciał rozpętać wojnę na tle rasowym. Na swój sposób było to genialne.

Kiedy Alex podawał drinka Al-Ajnabiemu, wrócił Hunkalffy.

- Panie premierze, czy udało się opanować anarchię? - spytał Klindern.

Hunkalffy spojrzał na niego ostro.

- Na razie tak. Ta stłuczka motocyklistów to był jednorazowy incydent. Oczywiście, jeśli zależy panu na całkowitym rozproszeniu tłumu, możemy powtórzyć wariant z placu Tiananmen. Ale to nie wyglądałoby potem zbyt dobrze na YouTube, prawda? - spytał z sarkazmem w głosie.

Klindern uśmiechnął się sztucznie.

- Ach, te żarty Attili - powiedział lekko.

Rozległo się głucho stukanie - to Vautker uderzał swoją sztuczną dłoń w stół.

- Panowie, bardzo proszę. Nie pozwólm, aby bezsensowne sprzeczki zepsuły tę wiekopomną noc. Pozwólcie, że pokrótce nakreślę, jak wygląda nasza obecna sytuacja. Ciągle jeszcze pozostało kilka niedokończonych spraw. Żydzi przetrwali, co więcej, dobrze im się powodzi. Nasz projekt w Iraku upadł przez tych nieudaczników z Ameryki, będących wciąż pod silnym wpływem żydowskiego lobby. Ale nasze dofinansowanie izraelskich uniwersytetów, centrów społeczności żydowskiej, a nawet miejsc pamięci Holokaustu - prychnął pogardliwie - okazały się dla nas najlepszym kamuflażem i źródłem wielu cennych informacji. Ale to, że Żydzi, przynajmniej na razie, pozostają poza naszym zasięgiem, nie oznacza, że inni mieszkańcy mogą czuć się bezpieczni.

Chwycił wskaźnik i stuknął nim w plazmowy ekran. Pojawiła się na nim cygańska osada. Bose dzieciaki ganiały się w błocie, a ich matki rozwieszały pranie na sznurach rozciągniętych między rozpadającymi się drewnianymi domami.

- Proszę, popatrzcie, drodzy państwo, na tę nędzę i ten brud. Ale już niedługo Europa zostanie oczyszczona. A to dzięki inicjatywie zapoczątkowanej przeze mnie osobiście. Mówię oczywiście o Projekcie Porajmus. O pierwszym na świecie modyfikowanym leku przeznaczonym dla konkretnej grupy rasowej. Cygańska pigułka niepłodności. Nasz projekt pilotażowy na Słowacji przyniósł nadspodziewanie dobre efekty. Kiedy już rozprowadzimy lek w całej Europie, szacujemy, że w przeciągu pięciu lat liczba ludności cygańskiej znacznie dramatycznie maleć, aż w końcu spadnie do zera - oznajmił, a słuchacze nagrodzili go brawami. - Szczegóły operacji znajdziecie państwo na płytach DVD przygotowanych przez Daintnera.

Hunkalffy zerwał się ze swojego miejsca.

- Nie. Tego już za wiele! - zawołał.

Był roztrzęsiony, jego palce mocno ścisnęły blat stołu. Myślał o tym cygańskim chłopcu każdego dnia. A to był tylko wypadek, okropny, nieszczęśliwy wypadek.

Oklaski ucichły.

- Jakiś problem, Attila? - spytał Klindern.

*Chłopiec i dziewczyna stali razem ze swoją mamą na rogu ulicy. Dziewczyna była przepiękna. Zgrabna i elegancka, wyglądała niczym modelka.*

Hunkalffy przełknął głośno ślinę.

- Rządzenie twardą ręką, surowe prawa, tak. Cyganie mają skłonność do popadania w konflikt z prawem, to fakt. Są nieokiełznani i antyspołeczni.

*Podjechał bliżej krawężnika. Chciał bliżej przyjrzeć się dziewczynie, ale zadzwonił jego telefon.*

- Owszem, musimy bardziej ich kontrolować. Ale zgładzić? Nie, na to nie mogę się zgodzić.

*Telefon nie przestawał dzwonić. Schylił się, żeby go znaleźć.*

- On nie może się na to zgodzić. - W głosie Klinderna pobrzmiwał sarkazm. - Attila, a myślałeś, że co robimy na Słowacji? Testujemy nowe leki na płodność? - spytał, prowokując wybuchy śmiechu.

- Nic nie wiedziałem - Hunkalffy przerwał i rozejrzał się po sali. - Jestem Węgrem. Jestem premierem mojego kraju.

*Przednie koło samochodu uderzyło w krawężnik. Cały pojazd podskoczył gwałtownie.*

Hunkalffy wyprostował się.

- I jestem też częściowo Cyganem. Moja babcia była Romką.

*Dziewczynie udało się uskoczyć, ale samochód wjechał prosto w chłopca i matkę. Oboje przelecieli nad maską samochodu i upadli na przednią szybę.*

Klindern wyglądał na zaniepokojonego.

- Attila, siądź, proszę - powiedział pojednawczo. - To był długi dzień. Ale niebawem się skończy. Uspokój się. Wypij jeszcze jednego drinka.

Ale Hunkalffy pokręcił przecząco głową, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

*Odgłos tłuczonego szkła. Samochód wpadł w poślizg i uderzył w latarnię.*

Klindern sięgnął pod blat stołu. Po chwili wyjął spod niego pistolet z długim wąskim tłumikiem. Hunkalffy stał bez ruchu jak sparaliżowany.

*Wycofał samochód z powrotem na jezdnię. Chłopiec i jego matka leżeli na chodniku.*

Hunkalffy popatrzył na tłumik. Broń Klinderna wycelowana była prosto w niego.

*Spanikował i odjechał z piskiem opon.*

Klindern strzelił trzy razy. Ciche wystrzały przypominały odgłosy z kapiszonowego pistoleciku dla dzieci.

Hunkalffy poleciał w tył, prosto na ścianę. Jego biała koszula momentalnie nasiąkała krwią.

*Chciał odwiedzić ich w szpitalu, powiedzieć, jak bardzo mu przykro, spróbować jakoś pomóc.*

Z ust Hunkalffycznego pociekła strużka krwi. Resztkami sił spróbował otrzeć twarz.

*Leżeli tak nieruchomo na chodniku. Było mu tak strasznie przykro.*

Jego ciało przeszył ostatni dreszcz. Po chwili już nie żył.

## Rozdział 27

Bandi nerwowo zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się mocno, po czym zaraz go zgasił. Potrafił odczytywać nastroje tłumu z taką łatwością, z jaką inni czytają gazety. I wiedział, że to jeszcze nie ten moment. Pogoda była coraz gorsza. Od rzeki wiał przenikliwie zimny wiatr, niosący ze sobą lodowaty zacinający deszcz. Przejrzał w telefonie najnowsze filmiki. Patrzył na demonstrantów. Ich zapał wyraźnie malał. Część z nich rozchodziła się już do domów. Sklepikarze, sprzedający wcześniej jedzenie i napoje, zwijali powoli swoje stoiska. Kilkoro dziennikarzy wycofało się do swoich samochodów.

Wydawało mu się przez chwilę, że dostrzegł w dole znajome twarze. Przyjrzał się bliżej grupce idącej ulicą Kossutha. Zrobił zbliżenie. Tak, to była ona, kobieta, która zwerbowała go wtedy w biurze przy ulicy Miksa Falka. Atrakcyjna, dobrze ubrana blondynka - dziś miała na sobie futro. Szła z dwoma mężczyznami, jeden był starszym już panem, a drugi... czy to możliwe? Jeszcze większe zbliżenie. Tak, kobieta trzymała za rękę Araba, który udzielił mu pożyczki w wysokości pięćdziesięciu tysięcy forintów w gotówce. Arab rozmawiał z koleją ze śliczną rudowłosą Brytyjką, którą Bandi poznał kiedyś w siedzibie Służb Bezpieczeństwa. Niemniej jednak dwóch szpiegów, staruszek i cinkciarz to wciąż za mało.

Zadzwoił telefon. W słuchawce rozbrzmiał amerykański głos:

- Decyduj, kolego.



- Dziesięć minut - odpowiedział Bandi.
- Dwie - powiedział Amerykanin. - Albo kończymy tę zabawę.
- Pięć - rzucił Bandi, po czym wbiegł do budynku i popędził w dół po schodach.

\* \* \*

Klindern wycelował w Alexa.

- Koniec gry. Podejdź tutaj.

Serce Alexa waliło jak oszalałe, kiedy szedł przez pokój, próbując przypomnieć sobie ruchy, których nauczył go Ehad. Szybko rozejrzał się po pokoju. Nie mógł liczyć na niczyją pomoc, to pewne, ale czy będą próbowali jakoś zareagować? Sanzlermann drżącą ręką dolewał sobie koniakowi. Hrkna pozostał niewzruszony, spokojnie zapalał cygaro. Krieghaufer i Schmidt obserwowały całą scenę z rozbawieniem i zainteresowaniem, zupełnie jakby siedziały właśnie na premierze nowej sztuki teatralnej. Al-Ajnabi spoglądał na Alexa z nienawiścią.

Klindern jednym szarpnięciem odkleił sztuczne wąsy Alexa.

- Alex Farkas. Nie taki martwy, jakby się wszystkim zdawało, co? - Przyjrzał się wąsom pod światło. - Czy naprawdę sądziłeś, że to coś - prychnął - nas zmyli?

Alex wzruszył ramionami, stopniowo, niemal niepostrzeżenie przesuując się ku Klindernowi.

- Biedny Attila. Cóż, przynajmniej o jednego Cygana mniej na tym świecie - westchnął Klindern, w dalszym ciągu celując w Alexa.

- Zginął mężnie - powiedział Alex, podchodząc jeszcze bliżej.

Klindern zaśmiał się cynicznie.

- Rzeczywiście, mężna śmierć. Narodowy sport Węgrów - zakpił, wypuszczając sztuczne wąsy z ręki i patrząc jak opadają na zakrwawione ciało Hunkalffyego.

Alex chwycił pistolet. Szarpnął nim w bok, mocno i szybko, kierując lufę do góry, potem wykręcił Klindernowi rękę, starając się wycelować bronią jak najwyżej.

Pierwsza kula trafiła w żyrandol. Z góry posypały się odłamki szkła. Goście w panice rzucili się na podłogę, Malinanescu odepchnął Schmidt, torując sobie drogę pod stół. Kolejne pociski trafiały w sufit i żyrandol. Drobinki szkła i tynku spadały na ziemię. Klindern zaciekle walczył z Alexem, uderzał go raz za razem w brzuch i klatkę piersiową. Cios zadany w bok głowy i towarzyszący mu ból jeszcze bardziej rozsierdziły Alexa. Ze ślepą furią szarpnął z całej siły pistolet.

Usłyszał trzask palców Klinderna.

Klindern wypuścił pistolet i zrobił kilka chwiejnych kroków w tył. Alex ruszył do przodu i z całej siły uderzył go kilka razy w krocze. Klindern zwymiotował i upadł na ziemię prosto w kałużę swojej na wpół strawionej kolacji. Pokój wypełnił odór wymiocin. Alex chwycił Klinderna za prawe ramię, obrócił je łokciem do ziemi i z całej siły uderzył w nie swoim kolanem. Kość trzasnęła niczym sucha gałązka. Klindern zbladł jak ściana i zemdłał.

Alex zerwał się na nogi, rozglądając się po pokoju z pistoletem w ręce. Tylko Al-Ajnabi siedział spokojnie przy stole, sącząc swoją whisky.

Vautker podjechał na swoim wózku do Alexa.

- Nareszcie walczysz.

Alex mierzył do niego z pistoletu.

- Bitte, strzelaj. W magazynku jest osiem naboji. Trzy dostał pan Hunkalffy, a kolejne pięć sufit i żyrandol. Oczywiście, mogłem się pomylić w obliczeniach.

Alex wycelował i pociągnął za spust. Usłyszał glucho kliknięcie. Magazynek był pusty.

\* \* \*

Bandi wszedł do ciasnego mieszkania. Na jego widok tłoczący się w nim mężczyźni podnieśli głowy i popatrzyli na niego z wyczekiwaniem. W żartach często nazywali siebie „parszywą dwunastką”, chociaż sam Bandi myślał o nich raczej jako o dwunastu koniach trojańskich. Po szesnastu godzinach, które w nim spędzili, pokój śmierdzał potem i dymem papierosowym. Na podłodze wały się opakowania po jedzeniu i zgniecione puszki po napojach. W kącie stał migający niemrawo telewizor. Mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze budynku mieszkalnego przy ulicy Kossutha, dokładnie naprzeciwko hotelu Savoy. Wejście do budynku było zablokowane przez pierwszą linię blokad. Zgodnie z planem zadaniem ekipy było przerwanie i przewrócenie dwóch linii ogrodzeń - w tym czasie protestujący, podjudzani przez ludzi Bandiego, powinni przedostać się przez kordony żandarmów. Wszyscy mieli się spotkać dokładnie pośrodku.

Bandi podszedł do telewizora i wyszarpnął wtyczkę. Ekran zgasł.

- Przedstawienie czas zacząć, panowie.

\* \* \*

Dwóch ochroniarzy, mocno trzymając Alexa pod ręce, wyprowadziło go z sali jadalnej. Stopy Alexa szurały o podłogę. Na rękach miał kajdanki. Zwinął się z bólu, kiedy jeden ze strażników mocno przycisnął lufę pistoletu do jego kręgosłupa. Zjechali windą na dół, do hotelowych magazynów. Przez otwarte drzwi wyraźnie było słychać pozostałych kelnerów, balujących zaledwie dziesięć metrów dalej. Ochroniarz mocniej przycisnął lufę pistoletu do pleców Alexa.

- Nawet o tym nie myśl - syknął.

Wepchnęli go do dużego pomieszczenia bez okien - zostali z nim i cały czas trzymali go pod ręce. Drzwi się otworzyły i wszedł Daintner, popychając przed sobą Vautkera na wózku.

Vautker celował w Alexa z dużego lugera.

- A ten pistolet, owszem, jest naładowany - zarechotał ochryple. - Zastanawialiśmy się, jak długo pozwalać ci na tę żalostną maskaradę. Jakże to wzruszające. Właśnie w momencie, w którym udaje mu się odkryć przerażający spis, dzielny reporter ginie w tragicznych okolicznościach.

Dał znak ochroniarzom. Jeden przytrzymał Alexa, mocno zaciskając palce na jego ranie. Drugi rozdarł jego koszulę.

- Zdjąć to - warknął Vautker, wskazując na lekarski gorset Alexa.

Ochroniarz jednym gwałtownym ruchem wykonał polecenie. Sztuczny brzuch zwisał smętnie. Vautker odjechał do Alexa i powoli dociskał lufę lugera do rany na jego ramieniu.

- Dla kogo pracujesz? - spytał.

- Dla siebie. Pracuję sam - odpowiedział Alex, krzywiąc się z bólu.

Vautker odjechał kawałek i jednym stanowczym ruchem zdarł bandaż z ramienia Alexa. Chwycił pistolet za lufę i z całej siły uderzył jego ręką w ranę. Bryznęła krew. Ból był rozdzierający.

Starzec uśmiechnął się.

- Zacziesz mówić. Każdy kiedyś w końcu zaczyna mówić.

- Pierdol się - rzucił Alex.

Oddychał z trudem, osłabiony zwisał bezwładnie na rękach ochroniarzy.

Vautker pstryknął palcami, na co Daintner otworzył drzwi. Pojawiło się jeszcze dwóch strażników - ciągnęli Istvana Nagya. Miał związane z tyłu ręce, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Ja nic nie rozumiem. Ja nie chcę umierać - błagał Nagy. Ja przecież nie mam z tym nic wspólnego.

- Wierzę ci. Jesteś niewinnym człowiekiem, który znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

- Tak, właśnie tak - przytaknął Nagy, nagle pełen nadziei.

- Puścić go! - krzyknął Vautker.

Nagy stanął przed nim; cały się trząsał. Vautker strzelił mu prosto w głowę. Raz. Huk wystrzału wypełnił pomieszczenie. Kula rozsadziła czaszkę Nagya. Krew, odłamki kości i skrawki mózgu rozbryzgnęły się po pokoju. Nagy upadł twarzą do ziemi.

Alex poczuł zalewającą go falę nienawiści.

- Dlaczego go zabiłeś? Przecież był tylko kelnerem.

- Ależ to nie ja go zabiłem. Tylko ty - odparł Vautker, uśmiechając się przebiegle.

\* \* \*

Bandi i jego ludzie wybiegli z budynku i rozstawili się wzdłuż chodnika pomiędzy budynkami i pierwszą blokadą. Wszyscy założyli maski przeciwgazowe, hełmy i kamizelki kuloodporne. Każdy z nich niósł kilka metalowych butli, przypominających kształtem i rozmiarem puszki coca-coli. Kilku z nich dźwigało też grube żelazne łomy, długie na ponad metr. Podzielili się na trzy grupy, dwie trzyosobowe i jedną sześciuosobową.

Żandarmi błyskawicznie dostrzegli, co się dzieje. Poprosili przez radio o wsparcie, a potem ruszyli w kierunku ekipy Bandiego. Dwie mniejsze grupy pobiegły naprzód, jedna po lewej, druga po prawej stronie żandarmów. Sześciu ludzi z większej grupy podważyło łomami ustawione ogrodzenia.

- Teraz! - wrzasnął Bandi.

Mężczyźni z mniejszych grup cisnęli granatami hukowymi w kierunku żandarmów i przykucnęli, zatykając uszy. Segment ogrodzenia uniósł się do góry, skrzypiąc przeraźliwie. Granaty eksplodowały z ogromnym hukiem i oślepiającym błyskiem. Dziennikarze i kamerzyści rzucili się przez puste skrzyżowanie w kierunku, z którego dobiegał hałas.

Vautker zwrócił się do ochroniarzy:

- Zostawcie nas teraz samych. Rozkujcie go. I znajdźcie coś na jego ramię, nie chcę, żeby wykrwawił się na śmierć już teraz. - Vautker trzymał Alexa na muszce, kiedy ochroniarz podawał mu serwetkę z materiału. - Muszę przyznać, że jesteś odważny i pomysłowy. Zupełnie jak twój dziadek.

Alex owijał sobie ramię podaną tkaniną.

- Mój dziadek? A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

- Wszystko. Gdyby nie on, nie byłoby cię tutaj. Znałem twojego dziadka. Nawet lepiej, niż sądził. Często serwował mi kawę w tym właśnie hotelu. - Vautker popukał w swoje lewe, sztuczne ramię - Oryginał został pod Charkowem. Twój dziadek był zawsze niezwykle opiekuńczy. I bardzo zaradny - w głosie Vautkera zabrzmiała nutka melancholii. - Nie wiem, kogo on chciał oszukać z tymi papierami. Chyba tych darmożjadów, strzałokrzyżowców.

Alex wpatrywał się w Vautkera.

- Wiedziałeś przecież, kim był. Dlaczego nie wysłałeś go do obozu?

Wzruszył ramionami.

- A po co? W tamtym czasie jeden trup więcej czy mniej nie robił różnicy. Zawsze podejrzewałem, że tej nocy na kolacji, twój dziadek coś odkrył. Zaginęły wtedy jakieś papiery, nigdy ich potem nie odnaleziono. Ale komu biedny Miklos miałby o nich powiedzieć? AVO? KGB? I co by powiedział? Że Czwarta Rzesza może osiągnąć wszystko to, czego nie udało się osiągnąć Trzeciej? Zamknęliby go na cztery spusty, a klucz wyrzucili

do rzeki. Zawsze mnie bawiło, że żył sobie, bezpieczny za żelazną kurtyną, obciążony sekretem, którym z nikim nie mógł się podzielić. Byliśmy bezpieczni aż do 1989 roku, a do tego czasu wszystko było już przygotowane. - Vautker zamyślił się na chwilę, patrząc w przestrzeń. - Byłem przeciwny zabijaniu twojego dziadka. Był świadkiem, jednym z nielicznych, którzy jeszcze żyli. Łącznik z przeszłością. Widział na własne oczy, jak narodziły się nasze marzenia i obserwował, jak stawały się rzeczywistością. Żałuję, że kiedykolwiek wypowiedziałem na głos jego nazwisko. Ale ci wszyscy narwańcy wokół Hunkalffyego i Sanzlermanna nie chcieli mnie słuchać.

Alex mocniej przycisnął materiał do swojej rany.

- Wojna skończyła się w 1945. Wy przegraliście. My zwyciężyliśmy.

Vautker wybuchnął śmiechem i machnął niedbale ręką, w której trzymał pistolet.

- Mój naiwny chłopcze. Nie zwyciężyliście. Zwyciężyły pieniądze. Zawsze zwyciężają pieniądze. Nasi żołnierze wjechali do Polski w ciężarówkach Forda. Amerykańskie karty perforowane ułatwiły nam wdrożenie ostatecznego rozwiązania. Wojna była kwestią absolutnie drugoplanową. Nawet gdy nasi żołnierzy wybijali się nawzajem, my współpracowaliśmy z brytyjskimi bankierami w Szwajcarii, wywiązywaliśmy się z naszych międzynarodowych zobowiązań finansowych, spłacaliśmy nasze długi. Najważniejsze, aby pieniądź był w ciągłym ruchu. Skąd braliśmy na to wszystko środki? Okradając banki tych państw, które zajeliśmy. Jak mawiają Szwajcarzy: „Złoto nie rozróżnia ras”. Cóż za wspaniały system. Kapitał *über alles*.

Vautker wyprostował się. Jego oczy błyszcząły.

- Co się zaś tyczy obecnych wydarzeń: uważasz, że bylibyśmy w stanie samodzielnie wprowadzić w życie Projekt Porajmus? Naprawdę nie rozumiesz, że w głębi serca przywódcy państw Europy popierają nasze działania? Że uważają je za potrzebne? Weź do ręki którąkolwiek gazetę. We Włoszech cygańskie dziewczyny toną na plażach, a oni dalej opalają się i zajadają salami, zaledwie kilka metrów od ciał. Czesi, Słowacy, Węgrzy sterylizowali romskie kobiety od lat. Przeprowadzano cesarskie cięcia. Kiedy kobiety budziły się po operacji, dowiadywały się, że w czasie operacji lekarz wyciągnął z brzucha nie tylko ich dziecko, ale też ich narządy rodne. Projekt Porajmus to żadna nowość. Może jedynie o tyle, że jest bardziej humanitarny i skuteczny.

Vautker uśmiechnął się i z wyraźną przyjemnością Wyrecytował:

- „Wyobraźmy sobie kontynent, na którym panuje pokój, kontynent pozbawiony barier i przeszkód, na którym historia i geografia nie mają już znaczenia”. Czy wiesz, kto to powiedział? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparł Alex.

Szacował, że od Vautkera dzielą go jakieś dwa metry.

- Valery Giscard d'Estaing, jeden z twórców konstytucji Unii Europejskiej. A teraz posłuchaj tego: „Trzeba być niezbyt inteligentnym, aby wierzyć w to, że na tak niewielkim obszarze jak Europa, społeczeństwa mogą na dłużej zachować indywidualne systemy prawne i filozofię prawa”.

- Tego również nie znam - powiedział Alex.

Mógłby skoczyć w stronę wózka i spróbować wyrwać Vautkerowi pistolet. Vautker nie mógł przecież chodzić. Ale Daintner był zwinny i szybki. No i w jaki sposób miałby wydostać się z hotelu? Alex czuł jednak, że wszystko będzie lepsze od śmierci tutaj.

Vautker uśmiechnął się.

- Adolf Hitler. To było jego marzenie: jeden kontynent, jeden rząd, jeden system prawny, jedna waluta. A teraz wszystkie te plany się urzeczywistnią.

Drzwi otworzyły się z hukiem i Alex wiedział, że jego plan właśnie legł w gruzach. Do pomieszczenia wszedł ochroniarz ze szczupłą, młodą, ubraną w kozuch kobietą na rękach. Miała związane z tyłu ręce i była nieprzytomna.

\* \* \*

Po wybuchu granatów żandarmi byli chwilowo ogłuszeni i oślepieni, chwiali się na nogach. Bandi chwycił za fragment ogrodzenia, podważany łomami przez jego ludzi. Żelastwo zaskrzypiało, zatrzeszczało, aż wreszcie z hukiem runęło na ziemię. Przed nimi była jeszcze kolejna blokada do pokonania. Szacował, że mieli na jej przewrócenie jakieś trzydzieści sekund - potem dopadną ich żandarmi.

Ekipa sprawnie uformowała szyk: sześciu mężczyzn popędziło do ogrodzenia i podważyło je łomami, członkowie dwóch mniejszych grup osłaniali ich z dwóch stron, z granatami w pogotowiu. Żandarmi zbierali się w odległości pięćdziesięciu metrów - byli już ostrożniejsi, wiedząc, że przeciwnicy mają granaty hukowe. Ogrodzenie uniosło się, opadło z powrotem, po czym ponownie się uniosło. Żandarmi szykowali się do ataku: załadowali pistolety gumowymi pociskami i ustawili się w pozycji strzeleckiej.

Aniko Kovacs i jej kamerzysta podbiegli w stronę Bandiego. Podetknęła mu mikrofon pod nos. Bandi dostrzegł kątem oka, że jeden z żandarmów w niego celuje.

- Czy jesteśmy teraz na wizji? - spytał.

- Tak. Proszę powiedzieć, kim panowie jesteście? - Aniko ledwo mówiła z przejęcia.

Bandi zdjął maskę przeciwgazową, aby było go lepiej słychać.

- Patriotami - odparł krótko.

Gumowa kula odbiła się od jego hełmu. Siła tego uderzenia niemal powaliła go na ziemię. Kovacs zachwiała się, kiedy kula odbiła się od ziemi i uderzyła reporterkę w ramię. Kobieta szybko złapała równowagę i kontynuowała:

- Proszę państwa, nadajemy właśnie na żywo spod hotelu Sayoy, gdzie niezidentyfikowana grupa mężczyzn próbuje rozbić blokady wokół hotelu. Tłum napiera z czterech stron. Żandarmi używają gazu łzawiącego i gumowych pocisków. Ludzie przejmują kontrolę na ulicach.

Bandi patrzył, co dzieje się z ogrodzeniem. Gumowe kule odbijały się od żelaznych prętów. Jego ludzie walczyli dzielnie, metalowa barykada wznosiła się i opadała, wreszcie runęła na ziemię. Bandi poczuł zastrzyk adrenaliny. Ogarnęło go dobrze znane mu uczucie. Jak szalony popędził w kierunku powstałej właśnie dziury w ogrodzeniu.

- Naprzód, naprzód! - krzyczał, biegnąc.

Za nim truchtała Kovacs.

Grupa Bandiego wybiegła za swoim dowódcą na pustą przestrzeń, gdzie krzyżowały się cztery główne ulice. Ekipy CNN i BBC ruszyły ku nim. Gumowe kule świsnęły w powietrzu. Ludzie Bandiego błyskawicznie podzielili się na grupy. Sześciu ruszyło do natarcia na ogrodzenie blokujące ulicę Kossutha. Tłum po drugiej stronie na chwilę zamarł bez ruchu, przyglądając się ich działaniom, a potem nagle rzucił się naprzód. Bandi dostrzegł w tłumie swoich ludzi, próbujących precyzyjnie się do blokad. Protestujący szybko zrozumieli, co się dzieje i ruszyli na pomoc, podnosząc metalowe barierki.

Do kontrataku ruszyły dwa oddziały żandarmów. Dwie trzyosobowe grupy zareagowały błyskawicznie. Potoczyły się granaty. Ogrodzenie wznosiło się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu przewróciło się. Żelazna blokada została przerwana, ale żandarmi nadal trwali na swoich pozycjach. Unieśli tarcze. Granaty odbiły się w kierunku tłumu. Oślepiające błyski, ogłuszający huk - wśród protestujących rozległy się okrzyki paniki i bólu. Przestraszeni, rozpiechli się na wszystkie strony.

Żandarmi z pierwszej linii przyklekli, wycelowali w kierunku ludzi Bandiego i zaczęli strzelać do nich gumowymi kulami. Z drugiej linii poleciał w kierunku tłumu gaz łzawiący. Ekipa Bandiego ruszyła na żandarmów, równocześnie próbując uchylać się przed gumowymi pociskami. Ulicę wypełniał huk wybuchających granatów, okrzyki i wrzaski tłumu. Gęsta chmura gazu łzawiącego sunęła nad Dunaj.

\* \* \*

Vautker śmiał się donośnie, trzymając pistolet wycelowany w Nataszę. Leżała na boku na podłodze. Oddychała równo, ale była nieprzytomna.

- Czy powiedziałeś jej kiedyś, kim była Azra? Azra Mehmedović, którą na twoich oczach zabrano na pewną śmierć. A ty patrzyłeś na to, mając kieszenie pełne dolarów, mając legitymację prasową ONZ. Tak, wiemy o niej. Wiemy też o twoich żalonych e-mailach do jej rodziny, w których proponowałeś im pieniądze. Ona ryzykowała dla ciebie życie. A wszystkie twoje obietnice, że ją stamtąd wyciągniesz, były kłamstwem. Kolejne puste słowa... czyż nie na nich zbudowane jest całe twoje życie? Ale jej rodzina nie chciała twoich pieniędzy. Czy myślałeś o niej tego wieczoru, kiedy odbierałeś swoją nagrodę? Jestem pewien, że dostałeś też wtedy sporą podwyżkę. Warto było? A teraz, czy nadal warto? - spytał, wskazując na ciało Nagya.

Alex poczuł znajomy, palący wstyd.

- Wykonywałem swoją pracę. Byłem reporterem, więc informowałem o tym, co widzę. Reporterzy nie mogą się angażować - powiedział, wiedząc, jak puste były jego słowa.

Vautker podjechał bliżej.

- Wykonywałeś tylko swoją pracę. Niektórzy z moich przyjaciół próbowali tej linii obrony. Nie udało się wtedy, tobie też się nie uda. Skoro nie możecie się angażować, co właściwie tutaj robisz? - zaśmiał się szyderczo.

Daintner zapalił papierosa. Kiedy smuga dymu dotarła do Vautkera, ten zakaszłał głośno.

- Daintner, przecież wiesz, że nie toleruję dymu papierosowego. Poza tym nie czas teraz na popalanie.

- Najmocniej przepraszam, sir - odparł, rzucając niedopałek na podłogę i gasząc go butem. Jednocześnie podał starcowi chusteczkę z materiału.

Vautker rozłożył chusteczkę, wytarł sobie nią usta, po czym kontynuował:

- Powiedz mi, dla kogo pracujesz. Albo ją zabiję - zagroził i lufą pistoletu wskazał Nataszę.

Alex wpatrywał się w Vautkera.

- Dla nikogo. Działam sam - wysapał.

- Ostrzegłem cię - pokręcił głową Vautker.

Wycelował lugera w Nataszę.

\* \* \*

Bandi w pośpiechu analizował chaos, jaki zapanował. Mając maskę przeciwgazową na twarzy, słyszał swój świszczący oddech. Tłum napierał od strony ulicy Kossutha, przedostawał się przez dziurę w ogrodzeniu, napływał też od Mostu Elżbiety. Ale dzielił się na mniejsze grupki - niektórzy uciekali w kierunku rzeki, w obawie przed żandarmami, inni wycofywali się za kolumnadę na Kossutha. Żandarmi próbowali załatać dziury w dwóch ogrodzeniach. Powietrze było gęste od gazu łzawiącego. Ludzie kaszleli, niektórzy wymiotowali. Jakaś grupa kibiców rozwalila przydrożny hydrant. Wytrysnęła woda - protestujący obmywali twarze, próbując pozbyć się drażniącej substancji. Żandarmi uformowali szereg przed wejściem do hotelu. Stali przed betonowymi barykadami, ciasno jeden obok drugiego. Bandi obserwował, jak wysoki, potężnie zbudowany ksiądz, z mokrym kawałkiem materiału owiniętym wokół twarzy, podniósł puszkę z gazem łzawiącym, która wylądowała na platformie przedstawicieli klubu Sotto Voce. Zamachnął się i cisnął puszkę w kierunku żandarmów. Wylądowała idealnie pomiędzy nimi, gaz wystrzelił na wszystkie strony. Protestujący zaczęli się śmiać i wiwatować.

Zabrzączał telefon Bandiego. Nadchodziły posiłki. I nie tylko.

\* \* \*

Wystrzał odbił się głośnym echem w niewielkim pokoju. Kula utknęła w ścianie - przeleciała zaledwie kilka milimetrów od stopy Nataszy.

- To twoja ostatnia szansa - krzyknął Vautker. - Następnym razem nie spudłuję. Kto ci pomaga? Kto jeszcze wie o Direktoracie? Rosjanie? Brytyjczycy? Izraelczycy?

- Nikt. Już mówiłem. Działam sam.

- Kłamca! - wrzasnął Vautker. - Na co właściwie liczyłeś? Na rozgrzeszenie? Na to, że się zrehabilitujesz? Azra nie żyje przez ciebie, nie żyje, bo siedziałeś i patrzyłeś. Dlatego postanowiłeś wejść dziś do jaskini lwa i zdemaskować nikczemników. Uspokoiłbyś swoje sumienie, a po drodze może zgarnął też jakąś nagrodę. Całkiem ładny plan, gdyby udało ci się go zrealizować. Ale się nie uda. Daintner!

Vautker wręczył Daintnerowi swój pistolet.

- Pilnuj go - polecił, a sam podjechał do leżącej na podłodze Nataszy. Wyciągnął z kieszeni strzykawkę, uniósł pod światło i lekko nacisnął tłoczek. Z igły pociekła cienka strużka płynu.

Vautker zwrócił się do Alexa:

- Substancja zwiotczająca mięśnie. Opatentowana przez KZX Pharmaceuticals, oczywiście. Stosowana przez Amerykanów przy wykonywaniu wyroków śmierci. Dziewczyna jest już nieprzytomna. Ta dawka ją zabije. Udusi się, ale najpierw ocknie się jeszcze na chwilę i będziesz patrzył, jak umiera. Kto jest twoim kontaktem?

Alex zbladł.

- Jeśli wam powiem, jaką mam gwarancję, że jej nie zabijecie?

- Żadnej. Ale przynajmniej nie będziesz miał kolejnej śmierci na sumieniu. To nie jest studencka debata, Farkas - powiedział Vautker, po czym delikatnie wbił igłę w ramię Nataszy.

Poruszyła się i zaczęła coś mamrotać.

- Nie! - krzyknął Alex.

\* \* \*

Jednostajny warkot silnika niósł się echem po ulicy Kossutha. Setki oczu zwróciło się w stronę źródła hałasu. Ogromny opancerzony buldożer toczył się z łoskotem środkiem ulicy; zostawiając za sobą kłęby spalin. Niemal cały pojazd pokryty był osłonami z grubej falistej blachy, z niewielką szparą, przez którą mógł patrzeć kierowca. Buldożer jechał powoli w kierunku żandarmów. Kierowca dwukrotnie zatrąbił. Tłum wybuchnął radosnym śmiechem.

Alex patrzył, jak kciuk Vautkera niebezpiecznie zbliża się do tłoczka strzykawki.

- Poczekaj. Czekaj! Powiem ci. Powiem ci wszystko - obiecał gorączkowo Alex.

Vautker odsunął palec.

\* \* \*

Buldożer z warkotem sunął naprzód. Żandarmi rozpierzchli się na wszystkie strony. Gigantyczna łopata maszyny natarła na ogrodzenie, przewracając je i miażdżąc. Potem buldożer wycofał się, zmienił nieco kierunek ataku i z rykiem ruszył dalej.

Bandi wybiegł na środek ulicy Kossutha, nakłaniając ludzi z tłumu, aby ruszyli za nim.

- Naprzód, naprzód! - krzyczał.

Ruszyły za nim dziesiątki, setki protestujących i szczerze wypełniły przestrzeń między dwoma ogrodzeniami. Silnik buldożera znowu głośno zawarczał. Na ten dźwięk ludzie

rozstąpili się, robiąc mu drogę w kierunku ostatniego kordonu żandarmów, przy wejściu do hotelu.

Żandarmi wycelowali swoją broń w protestujących. Jeden z nich oddał ostrzegawczy strzał w powietrze. Tłum zamarł na dźwięk wystrzału niosący się po okolicy. Dowódca żandarmów uniósł megafon do ust:

- To są ostre naboje. Koniec z gumowymi kulami, zabawa się skończyła. Macie dziesięć sekund na rozejście się, jeśli tego nie zrobicie, otworzymy ogień.

\* \* \*

Vautker gwałtownie poczerwieniał i wydał z siebie cichy, charczący dźwięk. Zaczął bezładnie wymachiwać rękami, chwycił się za gardło, pochylił naprzód i spadł z wózka.

\* \* \*

Samochody nadjeżdżały z czterech stron. Policyjne busy torowały sobie drogę przez ogrodzenia i zatrzymywały się przed hotelem. Wsiadły z nich dziesiątki policjantów w pełnym rynsztunku. Uzbrojeni byli w pistolety automatyczne i granaty hukowe. Uformowali szereg tuż przed linią żandarmów.

Helikopter krążący nad tłumem obniżył nieco lot. Potężny podmuch zrywał czapki i kapelusze - fruwały teraz po ulicy. Policijni komandosi z helikoptera zjechali w dół po linach i wylądowali przed żandarmami z bronią gotową do strzału.

Żandarmi patrzyli wyczekująco na swojego dowódcę. Ten dotknął ręką dousznej słuchawki i przez kilka sekund wysłuchiwał poleceń. Potem pokręcił głową. Mundurowi opuścili broń.

Tłum wiwatował i krzyczał radośnie.

Żandarmi powoli się wycofywali.

Buldożer zatrał kolejny raz i zaczął toczyć się naprzód, taranując po drodze betonowe bariery przy wejściu do Savoy'a. Za nim podążał rozradowany krzyczący tłum.

\* \* \*

Daintner podszedł szybko do Nataszy. Alex skoczył ku niemu, chcąc jej bronić, ale Daintner tylko machnął ręką. Przyklęknął, sprawdził jej oddech, uwolnił jej ręce z więzów, po czym podszedł do Vautkera. Uniósł jego powiekę. Oko patrzyło pusto w przestrzeń. Alex przyglądał się wszystkiemu w osłupieniu. Daintner zerknął na swój zegarek.

- Broń Boże nie dotykaj tamtej chusteczki. Antidotum powinno zadziałać w ciągu dwóch minut, jednak z doświadczenia wiem, że może to potrwać raczej trzy, do czterech minut.

Daintner podniósł strzykawkę, wbił igłę w ramię Vautkera i powoli, stopniowo, wstrzyknął mu całą jej zawartość. Ciało Vautkera zadrgało kilka razy. Potem znieruchomiał.

- Powiesz mi, kim jesteś? - spytał Alex, oszołomiony.

- Powiedzmy... - Daintner przerwał na chwilę - powiedzmy, że jestem zatroskanym wyborcą.

- Ale jak ty... dla kogo pracujesz?

- Do widzenia, Alex - rzucił tylko Daintner i wyszedł z pokoju.

\* \* \*

Natasza poruszyła się. Usiadła niepewnie, mrugając i ze zdziwieniem rozglądając się dookoła.



- Jozsef? - zapytała, opierając się ciężko o ścianę, próbując złapać równowagę.  
Alex zdjął okulary, podszedł do niej i przykucnął obok.  
- Nie. To ja.  
Natasza wpatrywała się w niego dłuższą chwilę.  
- Alex? Ale jak? Czy ja umarłam? - Spojrzała na swoje dłonie. - Chyba jednak nie, bo strasznie bolą mnie nadgarstki.  
Alex pokręcił głową.  
- Nie, z całą pewnością jesteś żywa.  
Natasza stopniowo dochodziła do siebie.  
- A czy ty umarłeś?  
- Nie - odpowiedział, uśmiechając się szeroko i przysuwając się bliżej.  
Spoliczkowała go z całej siły.  
- To dlaczego w takim razie byłam na twoim pogrzebie? - wrzeszczała, a oczy jej płonęły. - Ty cholerny draniu! Podły kłamco! Oplakiwałam cię. Jak, jak mogłeś mi to zrobić?  
- ponownie uniosła rękę. - Nie, nie, trzymaj się ode mnie z daleka!  
Zaczęła okładać go pięściami. Alex chwycił ją za nadgarstek, przyciągnął do siebie i mocno przytulił, chłonąc jej zapach, gładząc ją po głowie. Uderzenia były coraz słabsze, aż w końcu ustały.  
- Przepraszam - powiedział, kiedy już wyplątali się z uścisku. - Musiałem tak zrobić.  
Natasza otarła łzy, próbując powstrzymać uśmiech.  
- Jesteś mi coś winien.  
- Wiem.  
- Artykuł opatrzony naszymi nazwiskami.  
Przytaknął.  
- I moje nazwisko ma być pierwsze - dodała.  
Alex uśmiechnął się smutno i pomógł jej wstać. Podeszli do drzwi. Na kłamce wisiała duża koperta. Alex sięgnął po nią, lecz Natasza go ubiegła. Odtrąciła jego rękę i chwyciła kopertę. Ostrożnie wyjęła z niej plik starych pożółkłych kartek.  
- Co to jest? Powiedz! - zażądał Alex, wyciągając rękę.  
Natasza odsunęła się z tryumfalną miną, nie dając mu dokumentu. Pokazała mu tylko stronę tytułową, na której ktoś wyraźnie napisał: „Protokół budapesztański”.

## Rozdział 28

BUDAPEST NEWS - WYDANIE SPECJALNE  
HUNKALFFY I SANZLERMANN ZNALEZIENI MARTWI NAD DUNAJEM  
W związku z ujawnieniem spisku policja  
poszukuje przywódców Direktoratu

Natasza Hatvani, Alex Farkas

Policjanci z całej Europy poszukują Dietera Klinderna, dyrektora generalnego KZX Industries oraz Sylvie Krieghaufner, prezes Volkstern Corporation, w związku z odnalezieniem nad brzegiem Dunaju ciał Attili Hunkalffyego i Franka Sanzlermanna.

Interpol wydał już nakaz aresztowania poszukiwanych pod zarzutem morderstwa. Jak poinformowała budapesztańska policja, zarówno Sanzlermann, najpoważniejsi kandydat na stanowisko prezydenta Europy, jak i premier Hunkalffy, zginęli od licznych ran postrzałowych. W związku z tym podwójnym zabójstwem pierwsza tura wyborów

prezydenckich, która miała się odbyć w niedzielę, została odwołana. Nie jest jeszcze jasne, kiedy, o ile w ogóle, odbędą się wybory. Jak wynika z deklaracji Brukseli, rozważane są różne opcje, zaznaczono jednak, że bez względu na to, jaka decyzja zostanie podjęta, będzie ona zgodna z europejskimi zasadami jedności i integracji.

Ostatnie dni z pewnością można uznać za jedne z najbardziej burzliwych w historii Europy. Jak udało się nam ustalić, Sanzlermann, prawicowy polityk uważany przez wielu za murowanego zwycięzcę wyborów prezydenckich, okazał się jedynie figurantem sterowanym przez grupy niemieckich i austriackich przemysłowców, wspierane przez szwajcarskich bankierów. Ich plan przejęcia Europy został opisany w dokumencie znanym jako „Protokół budapesztański”. Dokument ten sporządzony został w hotelu Savoy w listopadzie 1944 roku, w ostatnich dniach drugiej wojny światowej. Dziś mogą przeczytać go Państwo w całości na łamach naszej gazety.

Dokument ten, przechowywany w ukryciu przez ponad sześćdziesiąt lat, zawiera szczegółowy opis planu nazistów: zejście do podziemia i przygotowywanie w ukryciu nadejścia Czwartej Rzeszy - nie militarnej, a gospodarczego imperium. Dyktando utworzył międzynarodową sieć firm-przykrywek, finansowanych ze środków zagrabionych przez nazistów. W miarę jak niemiecka i austriacka gospodarka odbudowywały się po 1945 roku, kapitał nazistów się powiększał. Za zdobyte w ten sposób pieniądze wykupywano kolejne przedsiębiorstwa i banki. Dyktando szybko przejął kontrolę nad ważnymi sektorami europejskiej gospodarki. Koncentrował się przede wszystkim na przemyśle wytwórczym, mediach, branży farmaceutycznej oraz przemyśle. Od czasu upadku komunizmu w 1989 roku Dyktando zintensyfikował działania na terenie państw postkomunistycznych, gdzie słabe jeszcze instytucje oraz niemal wszechobecna korupcja znacznie ułatwiały działania.

Wprowadzenie euro oraz odebranie państwom suwerenności, zarówno politycznej, jak i gospodarczej, umożliwiło Dyktandowi sterowanie rządami i gospodarkami na całym kontynencie. Wybór Franka Sanzlermanna na prezydenta miał być ukoronowaniem działań Dyktandu, Prezydent mógłby bowiem kształtować politykę gospodarczą i zagraniczną oraz miałby niczym nieograniczone prawo weta. Do przyznania przyszłemu prezydentowi tak dużych uprawnień doprowadził intensywny lobbing Niemiec i Austrii. Stanowczo sprzeciwiała się temu Wielka Brytania.

„To przerażające przedsięwzięcie planowane było od kilkadziesiąt lat. Gdyby Dyktando zrealizował wszystko to, co zamierzał, proces integracji europejskiej zostałby wstrzymany” - stwierdził Istvan Kiraly, były doradca do spraw public relations Franka Sanzlermanna, który pracuje obecnie nad książką na temat kampanii. Rewelacje Kiraly’ego dotyczące tego, w jaki sposób działał Dyktando, zostaną opublikowane niebawem na łamach „Budapest News”.

Zarząd kontrolował skrajnie nacjonalistyczne rządy Chorwacji, Węgier, Słowacji oraz Rumunii. Przejęcie przez Dyktando Europy Wschodniej miało zostać ostatecznie zakończone na kolacji w hotelu Savoy w Budapeszcie. W przyjęciu brali również udział węgierski premier Attila Hunkalffy, prezydent Słowacji Duszán Hrkna, prezydent Rumunii Cornelius Malinescu oraz niemieccy i austriaccy przemysłowcy i szwajcarscy bankierzy. Ostatnie tygodnie rządów Hunkalffyeego naznaczone były licznymi autorytarnymi zakazami i notorycznym naruszaniem praw człowieka.

Dziennikarze „Budapest News” odkryli również, że Dyktando planował doprowadzenie do zniknięcia z Europy całej populacji Romów przy pomocy Czigexu, specjalnie opracowanego leku, który wywoływał bezpłodność u romskich kobiet. Czigex, który był już stosowany na terenie Słowacji, opracowany został na podstawie badań czy raczej okrutnych eksperymentów przeprowadzanych przez nazistowskich lekarzy w obozach koncentracyjnych.

Szukające informacje wywołały oburzenie na całym świecie. Francuski prezydent Jean-Luc De Rouen skomentował: „Nie po to walczyliśmy z nazistami, żeby odkryć teraz, że de facto wygrali oni drugą wojnę światową. Poważnie rozważamy naszą przyszłość w Unii Europejskiej”. Niepewna jest również przyszłość euro po tym, jak jego wartość z dnia na dzień spadła o trzydzieści procent w stosunku do dolara i o czterdzieści w stosunku do funta szterlinga.

Podjeżdżają się, że wysocy rangą członkowie Direktoratu pełnią ważne funkcje w najważniejszych komisjach w Brukseli i Strasburgu. Na czele Direktoratu stał Friedrich Vautker, osiemdziesięcioośmioletni były oficer SS, znany jako „Pułkownik” - znaleziono go martwego w sobotę wieczorem w Budapeszcie. Jego syn, Heinrich Vautker, zrezygnował zeszłej nocy ze stanowiska przewodniczącego Federalnego Urzędu Monetarnego, jak powiedział, „z powodów osobistych”. Prezydenci: Hrkna oraz Malinanescu zostali aresztowani. Budapesztańska policja poinformowała również o zatrzymaniu George’a Smitha, redaktora naczelnego regionalnego oddziału Volkstern Corporation w związku z morderstwem Vince’a Szatmariego.

Setki tysięcy ludzi w niedzielę wieczorem wystąpiło w centrum Budapesztu przeciwko rządowi Hunkalffyego i Frankowi Sanzlermannowi. Demonstrację zorganizował Węgierski Ruch Wolności (WRW). Równie imponujący pokaz „siły ludu” mogliśmy ostatnio obserwować w październiku 2000 roku, kiedy to obalony został Slobodan Milosević. Policyjni dowódcy odmówili wykonania rozkazu aresztowania demonstrantów. Według naszego źródła w węgierskim wywiadzie: „Hunkalffy wzywał pomocy, ale nie doczekał się jej”. Nadal nie wiadomo, kto stoi za WRW. Oświadczenie przesłane do agencji prasowych ogłosiło, że organizacja została rozwiązana, jednak zawierało również ostrzeżenie: „Naszą misję tutaj uważam za zakończoną, ale pozostajemy czujni”.

Direktorat od wewnątrz: sześć dekad potajemnego budowania imperium, oraz przedruk „Protokołu budapesztańskiego” - strony: 2,3,4,5,6, %

Projekt Porajmus: Plan nowego cygańskiego holokaustu - strony: 8, 9,10.

Artykuł redakcyjny: W cieniu 1944 roku - strona 12.

Gospodarka: Ekspansja euro pod znakiem zapytania - strona 14.

Nieruchomości: Boom cenowy po upadku Direktoratu - strona 16.

Media: Jak Alex i Natasza natrafili na tę historię - strona 18.

Spółeczeństwo: Dawna willa Frakasów nad Balatonem przekazana na siedzibę Letniego Domu im. Mikłosa Farkasa dla Dzieci z Ubogich Rodzin - strona 24.

## Załącznik pierwszy

### Raport Red House

Historia opisana w książce jest fikcją. Jednak do jej stworzenia zainspirował mnie autentyczny dokument amerykańskiego wywiadu, znany jako Raport Red House, którego przedruk zamieszczono w załączniku czwartym tej książki. Sporządzony 27 listopada 1944 roku w Londynie raport przygotowany został przez sekcję G-2 Naczelnego Dowództwa Alianckich SU Ekspedycyjnych (SHAEF), która zajmowała się gospodarczymi aspektami wojny. Następnie wysłano go do Cordella Hulla, sekretarza stanu USA. Raport opisuje szczegółowo „plany niemieckich przemysłowców dotyczące działań powojennych”, a w szczególności takich kwestii jak: patenty, rezerwy finansowe, eksport kapitału oraz strategiczne rozmieszczenie personelu technicznego.

Źródłem tych wiadomości był agent francuskiego Deuxieme Bureau lub wywiadu wojskowego, który zajmował się sprawami niemieckimi od 1916 roku. Pozostawał on w bliskich stosunkach z niemieckimi przemysłowcami. Dziesiątego sierpnia 1944 roku wziął udział w spotkaniu w hotelu Maison Rouge w Strasburgu we Francji, podczas którego liczni niemieccy przemysłowcy oraz nazistowscy oficjele omawiali plany działalności w podziemiu po nadchodzącej klęsce Niemiec. Wśród uczestników spotkania byli między innymi przedstawiciele takich firm jak Krupp, Volkswagen, Messerschmitti Rheinmetall. Przewodził mu Obergruppenführer SS doktor Scheid, który był przekonany o niemożności wygrania wojny i głosił, że niemiecki przemysł powinien szykować się na „powojenną kampanię gospodarczą”. Każdy z przemysłowców miał obowiązek dyskretnie nawiązywać kontakty z zagranicznymi firmami, „bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń”, i przygotowywać grunt pod „znaczące pożyczki od obcych państw po wojnie”. Rozmowy takie stanowiły zdradę stanu i każdy przeciętny Niemiec za dyskusje na takie tematy zapewne szybko zostałby aresztowany przez gestapo. Poważni biznesmeni i nazistowscy oficerowie zebrani w Maison Rouge po prostu myśleli praktycznie.

Po tym spotkaniu odbyło się kolejne, mniejsze, na którym omawiano jeszcze delikatniejsze kwestie. W raporcie znalazła się następująca informacja: „Na tym drugim spotkaniu ogłoszono, że przedstawiciele partii nazistowskiej poinformowali przemysłowców, iż Niemcy praktycznie już przegrały wojnę, jednak działania militarne nie zostaną przerwane, dopóki przywódcy nie uzyskają gwarancji jedności Niemiec”. Poinformowano przemysłowców, że muszą przygotować się na finansowanie partii nazistowskiej, kiedy zostanie ona zmuszona do „zejścia do podziemia”. W tym czasie rząd niemiecki będzie przekazywać przemysłowcom „znaczące sumy pieniędzy”, aby stworzyć „pewne zabezpieczenie finansowe poza granicami Niemiec”, a „istniejące już rezerwy finansowe w obcych państwach” muszą zostać „udostępnione partii [nazistowskiej] tak, aby mogła od nowa zbudować silne, niemieckie imperium”.

Instrukcje dotyczące wyprowadzania kapitału byłyby dokładnym przeciwieństwem tego, co zawierały nazistowskie rozporządzenia, jednak w lecie 1944 roku niemieccy realiści myśleli perspektywicznie. Wyprowadzone środki finansowe miały być przekazywane do dwóch banków w Zurychu bądź do szwajcarskich agencji, których zadaniem byłoby wykupywanie w Szwajcarii nieruchomości dla niemieckich koncernów. Pobierałyby za to pięć procent prowizji. Jak donosi raport: „Wcześniej wyprowadzanie przez niemieckich przemysłowców kapitału do państw neutralnych musiało odbywać się potajemnie, teraz jednak partia nazistowska sama nakłania do tego przemysłowców, sugerując, aby ratowali sami siebie poprzez przenoszenie funduszy poza granice kraju. Dzięki temu partia przygotowuje powojenne operacje”. Partnerzy niemieckich firm w Stanach Zjednoczonych uznawani byli za szczególnie ważnych. Nie jest to zaskakujące zważywszy na fakt, że zanim USA przystąpiły

do wojny w 1941 roku, między amerykańskim i niemieckimi właścicielami firm istniały silne więzi, w szczególności w przemyśle paliwowym i chemicznym.

Natrafiłem na Raport Red House w 1996 roku, kiedy zbierałem materiały do mojej książki *Hitler's Secret Bunkers* (Tajne bunkry Hitlera), w której zająłem się zjawiskiem współpracy gospodarczej Szwajcarii i nazistów oraz rolą szwajcarskich banków w „praniu” zagrabionego przez nazistów złota i w finansowaniu nazistowskich działań wojennych. Raport ten był jednym z wielu dokumentów sporządzonych przez wywiad, a ujawnionych w Stanach Zjednoczonych po tym, jak żydowskie organizacje, takie jak Światowy Kongres Żydów, wyraziły takie życzenie, powołując się na konstytucyjne prawo wolności informacji. Odtajnione raporty, jeden po drugim, ujawniały gospodarczy wymiar wojny, a także nazistowskie plany na przyszłość. Trzymając w ręku Raport Red House czułem się dziwnie. Dokument napisany jest na maszynie. Przez lata litery wyblakły. Język jest rzeczowy, suchy, pozbawiony przymiotników. W *Protokole budapesztańskim* przenieśliśmy tajne spotkanie do nieistniejącego hotelu Savoy. Jednak za fantazją powieściopisarza kryją się fundamentalne pytania: Czy spotkanie rzeczywiście się odbyło? Czy naziści rzeczywiście planowali stworzenie Czwartej Rzeszy (czy też, jak ujęto to w dokumencie, „silnego niemieckiego imperium”), potęgi gospodarczej? Czy udało im się ją zbudować?

Kilka rzeczy wiemy na pewno. Hotel Maison Rouge nadal istnieje. Ogromna liczba szczegółów, stanowcze zapewnienie o wiarygodności źródła, zawarte w liście przewodnim załączonym do dokumentu, fakt, że został on wysłany do sekretarza stanu, oraz przede wszystkim fakt, że plany opisane w raporcie zgadzają się w dużym stopniu ze znanymi wcześniej celami polityki nazistowskiej - wszystko to świadczy o tym, że do spotkania takiego rzeczywiście doszło. Interesujący jest również fakt, że nazistowscy przemysłowcy spotkali się w Strasburgu, stolicy Alzacji, francuskiej prowincji przy niemieckiej granicy, gdzie Niemcy od dawna prowadzili szereg interesów. Raport Red House z pewnością czytali wysocy funkcjonariusze państwowi.

W książce z 1946 roku pt. *Germany Is Our Problem* (Niemcy to problem nas wszystkich) sekretarz skarbu Stanów Zjednoczonych Henry Morgenthau optował za deindustrializacją Niemiec częściowo po to, aby rozbić gospodarczą siłę niemieckich koncernów przemysłowych, które finansowały nazistów, a potem czerpały z tego profity. Ogromna część tych koncernów szybko odbudowała po wojnie swoją potęgę - wiele z nich do tej pory działa pod tym samym szyldem co przed wojną. Możliwe, że Morgenthau wiedział o planach stworzenia nowego imperium gospodarczego i wyprowadzania kapitału, opisanych w Raporcie Red House. Stwierdzał: „Pieniądze te będą do dyspozycji nazistów w trakcie ich potajemnych kampanii (przemysłowcy dostaną je z powrotem w formie koncesji i zamówień, kiedy do władzy ponownie dojdą przedstawiciele partii)”. I dalej: „Wytypowano dwa szwajcarskie banki, w których będą przeprowadzane operacje finansowe, przy czym zaznaczono, że można będzie je wykorzystać jako przykrywkę dla tych operacji w zamian za prowizję w wysokości pięciu procent”.

Naziści zawsze kładli ogromny nacisk na zasoby finansowe ukryte w neutralnych krajach, które mogły zostać wykorzystane w przyszłości. W listopadzie 1945 roku brytyjska sekcja Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec odnalazła tajny okólnik sporządzony we wrześniu 1939 roku przez ówczesnego niemieckiego ministra gospodarki. Zawierał on instrukcje dla wszystkich niemieckich urzędów dewizowych (Devisenstellen) dotyczące ochrony i maskowania środków finansowych za granicą. Instrukcje te miały status „tajemnicy państwowej” - dokument przygotowano w zaledwie czterdziestu kopiach. W punkcie II/1, dotyczącym maskowania zagranicznych przedsięwzięć, można przeczytać:

Niezwykle istotne jest, aby to maskowanie pozwoliło jak najdłużej funkcjonować firmom, które w przyszłości umożliwią ekspansję niemieckiej gospodarki. Maskowanie

to polega na zalegalizowaniu tych firm jako niezależnych zagranicznych przedsiębiorstw.  
[podkreślenie z oryginału]

I dalej:

Faktyczny wpływ na nowe zagraniczne firmy musi być zabezpieczony poprzez efektywne środki ekonomiczne i odpowiedni personel. Szczególne znaczenie ma właściwy dobór osób, które będą pełnić funkcje kierownicze w nowo powstałych zagranicznych firmach. (...) Oczywiście w zamaskowanych niemieckich firmach należy unikać zatrudniania osób pochodzenia żydowskiego.

Wszystko to jest zgodne z planami opisanymi w Raporcie Red House. Sześćdziesiąt pięć lat po tym, jak doktor Scheid i nazistowscy przemysłowcy spotkali się w hotelu Maison Rouge, zapis ich rozmów stanowi nadal intrygującą i niepokojącą lekturę.

## Załącznik drugi

### **Sterylizacja Romów**

W lutym 2009 roku węgierska Romka po ośmiu latach walki w sądach, wygrała odszkodowanie za przymusową sterylizację. Kobieta, znana szerzej jako AS, została wysterylizowana przez lekarzy w szpitalu w niewielkim mieście na wschodzie Węgier. Jej sprawą zajęło się Europejskie Centrum Praw Romów z siedzibą w Budapeszcie. To zwycięstwo stanowi przełomowy krok w walce o prawa Romów. AS została przyjęta do szpitala na zabieg operacyjnego usunięcia martwego płodu w styczniu 2001 roku. Poproszono ją o podpisanie zgody na tę operację oraz na sterylizację. Jednak lekarze nie wyjaśnili jej, co to za zabieg, jakie wiąże się z nim ryzyko i jakie są jego konsekwencje.

Węgry i sąsiadujące z nimi państwa są już członkami Unii Europejskiej, co oznacza, że ciąży na nich pewne obowiązki, takie jak równe traktowanie wszystkich obywateli. Sądowe zwycięstwo AS doprowadziło również do podjęcia w 2009 r. przez węgierski rząd decyzji o wprowadzeniu poprawek do Ustawy o zdrowiu publicznym, które gwarantują, że wszyscy pacjenci uzyskają dokładne informacje o zabiegu sterylizacji. Wielu mieszkańców tej części świata, a w szczególności skrajnie konserwatywni przedstawiciele służby medycznej, uważa, że prawa człowieka nie przysługują Romom. Przeprowadzanie przymusowej sterylizacji jest zjawiskiem sprzed zmiany systemu w 1989 r., z czasów komunistycznych i epoki nazistowskiej. Jest to jeden z najdrastyczniejszych przykładów zinstytucjonalizowanej dyskryminacji, której doświadczają Romowie: pozbawia się ich praw reprodukcyjnych.

Nawet na początku dwudziestego pierwszego wieku zdarzają się jeszcze przypadki przymusowej sterylizacji na Węgrzech, Słowacji i w Czechach. Sam poznałem kilka ofiar tego procederu. W lutym 2003 r. razem z moim przyjacielem i współpracownikiem Peterem Greenem wybrałem się w podróż do niewielkiej wioski nieopodal miasta Preszów na wschodzie Słowacji. Prowadziliśmy dziennikarskie śledztwo w związku z raportami działaczy na rzecz praw Romów i praw człowieka, informującymi o masowej sterylizacji romskich kobiet dokonywanej bez ich zgody. To, co udało nam się odkryć, było zarazem szokujące i smutne: Romowie żyli w ubóstwie i niedostatku, jaki widuje się zazwyczaj w krajach rozwijających się. A stosowana wobec nich polityka była *de facto* polityką apartheidu, i to z przyzwoleniem władz (a być może była nawet przez nie inspirowana).

Słowacka część wsi była schludna i czysta, stały w niej przestronne pomalowane na biało budynki wzniesione z cegieł. Romowie mieszkali w ruderach z drewna i gliny, które sami

sobie zbudowali na peryferiach wsi. Nie mieli ogrzewania, elektryczności, gazu, wody ani kanalizacji. Licho odziane dzieci biegały w błocie, a psy przeszukiwały góry śmieci przy gospodarstwach. Romowie żyli tak nie dlatego, że tego chcieli, ale dlatego, że lokalne władze odmówiły im zameldowania. Ponieważ więc nie przyznano im żadnego statusu prawnego - który jest szczególnie ważny w postkomunistycznej kafkowskiej maszynie biurokratycznej - oficjalnie po prostu nie istnieli. Nie mogli głosować w lokalnych ani ogólnokrajowych wyborach. Ich dzieci nie mogły uczęszczać do szkoły. Rada miasta odmówiła świadczenia im jakichkolwiek usług komunalnych. Romowie musieli też chodzić do oddzielnego drewnianego kościoła.

W jednej z takich rozpadających się romskich chat poznaliśmy Zitę. Miała dwadzieścia trzy lata i, jak wielu Romów, była niepiśmienna. Jak niemal wszystkie romskie kobiety, marzyła o licznej rodzinie. Dla Romów rodzina ma nadrzędną wartość, to wokół niej kręci się całe ich życie. W czasach nazistowskiego holokaustu, który Romowie określają jako „Porajmos” lub „Pochłonięcie”, romskie rodziny stawiały wściekły opór, kiedy naziści chcieli je rozdzielić. Naziści zdecydowali więc, że łatwiej będzie pozwolić im żyć - a potem umrzeć - razem. W Auschwitz mieli oni nawet swój oddzielny zamknięty teren. Często zabierano stamtąd ludzi i poddawano ich medycznym eksperymentom - przeprowadzał je doktor Josef Mengele. Na początku 1998 roku Zita wydała na świat swoje drugie dziecko, córeczkę. Poród odbył się poprzez cesarskie cięcie. Zita była jeszcze półprzytomna, kiedy pielęgniarka wręczyła jej do podpisania dokument. Jak opowiadała: „Dali mi do podpisania jakiś papier, ale nie wiem, co zawierał, ponieważ nie umiem czytać ani pisać. Po operacji byłam strasznie obolała. Mój podpis to po prostu trzy krzyżyki - tak podpisałam się i wtedy. Po operacji przyszła do mnie pielęgniarka i powiedziała mi, że nie będę mogła mieć więcej dzieci. Czułam się bardzo źle. Zaczęłam płakać”.

Z Zitą postąpiono podobnie jak z AS - taka procedura jest typowa dla polityki przymusowej sterylizacji kobiet romskich. Tak wynika z informacji zgromadzonych w czasie śledztwa Centrum Praw Reprodukcyjnych z siedzibą w Nowym Jorku. Raport Centrum, oparty na trzymiesięcznym śledztwie, został opublikowany w marcu 2003 roku. Szczegółowo opisano w nim sto dziesięć przypadków przymusowej sterylizacji na Słowacji oraz politykę apartheidu w placówkach medycznych. Obowiązywała segregacja na oddziałach, w poczekalniach, łazienkach i na stołówkach, Romskie kobiety często padały ofiarą zarówno werbalnej, jak i fizycznej przemocy, odmawiano im też dostępu do ich dokumentacji medycznej. Ich szpitalne akta opatrywane były często wyraźną literą „R”. Większość romskich kobiet jest słabo wykształcona, nie mają one pojęcia o przysługujących im prawach. Mąż Zity, Krystian, powiedział nam: „Jestem pewien na sto procent, że moja żona została wysterylizowana. Żyłem z nią przez osiem lat, a teraz, pięć lat po operacji, okazuje się, że nie może już mieć dzieci. Oni uważają nas za diabelskie nasienie i są przekonani, że mogą robić z nami, co tylko chcą”.

Poznaliśmy również dwudziestodwuletnią Marię, która, podobnie jak Zita, nie może mieć już dzieci. Także jest niepiśmienna. Miała siódmkę dzieci, co nie jest niczym nadzwyczajnym w romskich rodzinach. W 1998 roku, przed porodem, który miał się odbyć poprzez cesarskie cięcie, jej również wręczono do podpisania dokument. „Wetknęli mi długopis i poprowadzili moją rękę. Nie powiedziano mi, co podpisałam. Miałam operację, ale nie wiem dokładnie, co mi zrobiono. A teraz dowiedziałam się, że nie mogę mieć już dzieci. Zaczęłam wypytywać, o co tutaj chodzi, ale mówię bardzo słabo po słowacku i nie wiedziałam, jak zapytać słowackiego lekarza, co się ze mną stało”. W dokumentacji medycznej, którą posiada Barbora Bukovska, prawniczka i obrończyni praw człowieka, zapisano czarno na białym, że Maria została wysterylizowana, kiedy miała 24 lata.

Z wioski pojechaliśmy do szpitala w Preszowie, Chcieliśmy usłyszeć również wersję drugiej strony. Pracujący tam lekarz pokazał nam makabryczną kolekcję zdjęć martwych i

zdeformowanych płodów. Twierdził, że to właśnie dlatego w szpitalu tak często przeprowadzano cesarskie cięcia. Stwierdził, że czasem trzeba też wycinać macicę i jajniki. Doktor Marian Kisely, ordynator oddziału położnictwa, twierdzi, że w szpitalu nie przeprowadzono nigdy sterylizacji romskich kobiet bez ich zgody. „Jeśli dokonujemy sterylizacji, dzieje się tak zawsze z powodów medycznych i za zgodą pacjentki. Zdarzały się jednak krytyczne przypadki, kiedy zmuszeni byliśmy przeprowadzać histerektomię, aby ratować życie pacjentki”.

Słowacja, jako młode demokratyczne państwo, w tamtym czasie będące o krok od przystąpienia do Unii Europejskiej, była i jest niezwykle wrażliwa na punkcie swojego wizerunku. Nie chciała być postrzegana przez pryzmat przymusowej sterylizacji i żyjących w nędzy mniejszości etnicznych. Niewygodne pytania zaczęły zadawać międzynarodowe organizacje, grupy walczące o prawa człowieka co spowodowało to spore zamieszanie. Mimo to na Słowacji, jak również w sąsiadujących z nią państwach, wciąż górę biorą stare nawyki z czasów komunizmu. Romskie kobiety poprosiły nas o nieujawnianie ich nazwisk i niepodawanie nazwy wsi, z obawy przed zemstą władz. Słyszeliśmy już niejedną historię o tym, jak agenci słowackich służb specjalnych nękali działaczy organizacji praw człowieka za rzekome zniesławianie całego społeczeństwa. Niektórzy z oficjeli posuwali się nawet do tego, że grozili aktywistom procesami za niezgłoszenie zawczasu na policję przestępstwa, czyli sterylizacji. Jednak tymi, którzy szargali dobre imię całego państwa, byli nie działacze, a nowy demokratyczny rząd, który nie potrafił zerwać z polityką przeprowadzania od dziesięcioleci sterylizacji romskich kobiet.

\* \* \*

Przykład AS dowodzi, że nie tylko Słowacja ma problem ze złym traktowaniem Romów. Podobne obrazy można zaobserwować w całej postkomunistycznej Europie, od krajów bałtyckich po Bałkany. Na Węgrzech, około siedmiu, ośmiu procent całej dziesięciomilionowej populacji kraju stanowią Romowie. Wielu z nich żyje w biedzie, nie ma pracy - problemy jeszcze potęguje ogólnoświatowa recesja i spowolnienie w sektorze budowlanym, w którym wcześniej wielu Romów znajdowało zatrudnienie.

W 2005, dwa lata po tym, jak odwiedziłem wioskę Marii i Zity, władze państw środkowej i południowo-wschodniej Europy rozpoczęły program nazwany „Dekadą na rzecz Romów w Europie”. Na spotkanie, które odbyło się w jednym z wystawnych hoteli nad brzegiem Dunaju w Budapeszcie, przybyło wiele osobistości Europy Środkowej, w tym premierzy i wysocy urzędnicy. Nie brakowało wielkich słów, porywających przemówień i poruszających deklaracji o walce z dyskryminacją. Skończyło się na pustych słowach. Żaden z węgierskich postkomunistycznych rządów nie podjął żadnych kroków, aby poprawić warunki życia Romów. W niektórych częściach wschodnich Węgier panująca wśród Romów bieda jest tak wielka, że często muszą oni kraść ziemniaki z upraw swoich sąsiadów, z których zresztą wielu żyje na takim samym poziomie.

Konsekwencją życia w biedzie jest często wzrost przestępczości i napięć społecznych. Pod koniec 2008 roku, po tym jak nasiliły się ataki na tle rasowym, Węgry utworzyły pierwszą państwową jednostkę policji zajmującą się zwalczaniem przemocy wobec Romów. Dziesiątki funkcjonariuszy prowadziło śledztwo w szesnastu sprawach. We wszystkich przewijała się broń, koktajle Mołotowa i granaty ręczne. Dwóch Romów zginęło w wiosce Nagycsecs na północnym wschodzie kraju: zostali zastrzeleni, kiedy próbowali uciekać ze swojego domu, który został obrzucony koktajlami Mołotowa. W Peczu na południu kraju kobieta i mężczyzna zginęli od wybuchu granatu ręcznego, które wrzucono do ich mieszkania przez okno. Ich dzieci zostały ranne. Trzy domy Romów podpalono, a trzy inne ostrzelano w lecie 2008 roku. Nikt nie odniósł wtedy obrażeń. W lutym 2009 roku w Tatárszentgyörgy



Robert Csorba, Rom, oraz jego pięcioletni syn, Robika, zostali zastrzeleni, kiedy uciekali ze swojego domu, który wcześniej podpalono. Ta sprawa najbardziej oburzyła opinię publiczną. Generał porucznik Jozef Bencze uznał ataki na Romów za „największą, najbardziej złożoną i najpoważniejszą serię morderstw” w historii Węgier. Po ogólnokrajowej akcji policji w sierpniu 2009 roku w Debreczynie aresztowano w związku z morderstwami czterech mężczyzn. Według policji, wszystkie ataki były doskonale zorganizowane. W domach podejrzanych policjanci znaleźli broń, mapy i amunicję.

Robika Csorba urodził się w 2004 roku - w tym czasie Węgry oraz sąsiednie państwa przystąpiły do Unii Europejskiej. Jednak wszelkie nadzieje, jakie wiązano z tym faktem, zostały szybko pogrzebane. W marcu 2009 w Koszycach na Słowacji oficerowie policji zmuszali sześciu nastoletnich romskich chłopców, w wieku od 11 do 16 lat, do rozbierania się, całowania i bicia się po twarzach. Miała to być kara za kradzież torebki. Policjanci nagrali wówczas filmiki swoimi telefonami komórkowymi. Filmowali również genitalia chłopców. We fragmencie nagrania można zobaczyć przerażonych, bijących się chłopców, spoglądających raz po raz na policjantów, w oczekiwaniu na kolejne instrukcje. Ci drwią sobie z nich, mówiąc, że chłopcy są nie dość brutalni, i szczują ich psami. W listopadzie 2008 roku w sąsiednich Czechach setki działaczy ze skrajnie prawicowej Partii Pracy zaatakowało romską osadę w Litvinovie, na północ od Pragi. Napastnicy uzbrojeni byli w kamienie i koktajle Mołotowa. Setki Romów zgromadziło się, aby odeprzeć atak. Czeska policja wysłała na miejsce oddziały prewencyjne, ale walka trwała wiele godzin - piętnaście osób odniosło obrażenia. W 2009 roku skrajnie prawicowa Słowacka Partia Narodowa wzywała do „ostatecznego rozwiązania” kwestii romskiej w klipie emitowanym w telewizji w ramach kampanii wyborczej do Europarlamentu.

Rzecz jasna, nie wszystkie problemy Romów wynikają z czynników zewnętrznych. Społeczeństwo romskie, szczególnie na wsiach, zaliczane jest do wyjątkowo konserwatywnych i tradycjonalistycznych. Młodzi nie są zachęceni do nauki. Wielu aktywistów organizacji działających na rzecz praw człowieka pracujących z Romami relacjonuje, że często się zdarza, iż rodziny zabraniają dalszej edukacji młodym i zdolnym uczniom. Szczególnie dotyczy to dziewcząt, które zamiast tego wydawane są za mąż, i to już w wieku kilkunastu lat. Prawdziwą plagą społeczeństwa romskiego są pożyczkodawcy, którzy za swój cel obierają sobie właśnie mieszkańców najbiedniejszych rejonów. Pożyczają im pieniądze na wysoki procent (czasem nawet na 100 procent), wpędzając ich tym samym w długi, których nie są w stanie spłacić. Romowie nie potrafią wyłonić spośród siebie jednego skutecznego przywódcy. Obyczaj nakazuje młodym zawieranie małżeństw i zakładanie rodzin, a nie pozwala im na indywidualny rozwój, edukację i karierę. Wszystko to prowadzi do marginalizacji romskiego społeczeństwa. Wśród niektórych Romów narasta niepokojąca tendencja do alienowania się i ignorowania społeczeństwa i jego praw. W październiku 2006 roku Lajos Szogi, nauczyciel, jechał samochodem wraz ze swoimi córkami przez Orlasziszkę na północy Węgier. Potrafił niegroźnie dwunastoletnią dziewczynkę, Romkę - wpadła ona do rowu. Kierowca został siłą wyciągnięty z samochodu przez wściekły tłum, w tym wielu członków rodziny dziewczynki, i pobity na śmierć na oczach dwóch córek. Osiem osób, w tym ojciec dziewczynki, zostało oskarżonych o udział w morderstwie. Ta sprawa wstrząsnęła opinią publiczną w całym kraju. Sędzia prowadzący sprawę opisywał ze szczegółami, jak ofiara była bita przez około dziesięć do piętnastu minut zanim umarła. Określił to mianem ataku „z nieludzkim okrucieństwem”. Ojciec dziewczynki, którego sędzia uznał za „zagrożenie dla społeczeństwa”, został skazany na trzydzieści lat więzienia. Pozostałą siódmką, w tym matkę i brata dziewczynki, skazano na piętnaście lat.

W coraz większym stopniu największymi beneficjentami narastającego społecznego napięcia są skrajni prawicowcy. Czują się coraz pewniejsi i silniejsi, nieustannie i zawzięcie zwracają uwagę społeczeństwa na tak zwaną przestępczość cygańską. Jobbik, czyli Ruch na

rzecz Lepszych Węgier, nieraz wzywał już do reaktywowania żandarmerii, działającej przed wojną formacji policji wojskowej. Jednak dla wielu żandarmi, którzy zaganiali węgierskich Żydów i Romów do pociągów, wiozących ich do Auschwitz, stanowią symbol Holokaustu. Jest więc mało prawdopodobne, aby żandarmeria rzeczywiście powróciła. Staje się jednak coraz bardziej jasne, że przerażająca sytuacja Romów w środkowej i wschodniej Europie oraz narastający rasizm i ksenofobia tworzą razem niebezpieczną mieszankę, która kiedyś może wybuchnąć.

## Załącznik trzeci

### **Jak zachować anonimowość w Internecie**

Wysyłasz e-mail albo odwiedzasz stronę internetową? To tak, jakbyś informował cały świat. E-maile są niezabezpieczone, mogą być przekazywane dalej w nieskończoność i przetrwać w sieci na zawsze. Według unijnych przepisów twój dostawca Internetu już teraz jest zobowiązany do rejestrowania twoich internetowych nawyków, włączając w to odwiedzane przez ciebie strony internetowe, przez okres dwóch lat. Władze chcą dodatkowo stworzyć obszerną bazę zawierającą dane dotyczące aktywności w Internecie, w tym szczegółowe informacje na temat tego, skąd i kiedy wysyłane były e-maile - chociaż podobno nie chce mieć dostępu do ich treści. Na ile jednak można im wierzyć?

Szyfrowanie i bezpieczne metody komunikacji, które były wcześniej domeną rządów i służb wywiadowczych, są teraz dostępne wszystkim użytkownikom Internetu. Są darmowe, łatwe dostępne i całkiem proste w obsłudze.

Rozmowy przeprowadzane za pomocą programów telefonii internetowej są niezwykle trudne do podsłuchiwania. O ile nie interesują się tobą władze, programy te są wystarczająco bezpieczne do poufnych rozmów, o ile oczywiście pomieszczenie, w którym się znajdujesz, nie jest na podsłuchu. Komunikatory internetowe i aplikacje używane w różnych chatroomach już nie są tak bezpieczne. Niektóre kraje, na przykład Chiny, stworzyły specjalne oprogramowanie, które filtruje treści przekazywane tą drogą i zapobiega tym samym dyskusjom na niewygodne dla władz tematy.

Pamiętaj, że każdy wysłany przez ciebie e-mail zawiera adres IP (Internet Protocol) twojego komputera oraz twojego dostawcy Internetu (ISP - Internet Service Provider) - za ich pomocą można zidentyfikować nadawcę wiadomości. Adres IP zawarty jest w nagłówku e-maila i łatwo go znaleźć (w programie pocztowym wystarczy kliknąć „Pokaż nagłówki”). Programy śledzące oraz strony internetowe odnotowują adres IP komputera i/lub dostawcy Internetu, co umożliwia zlokalizowanie użytkownika. Stosowanie na przykład przy korzystaniu z konta pocztowego Gmail protokołu „https” zamiast „http” (co można ustawić jako domyślne) sprawia, że twoje wiadomości są szyfrowane pomiędzy twoją przeglądarką a serwerami poczty. W przeciwieństwie do wielu innych dostawców poczty internetowej Gmail nie umieszcza twojego adresu IP w nagłówku wiadomości. Jeśli potrzebujesz bardziej zaawansowanych zabezpieczeń, wybierz GNU Privacy Guard, który umożliwia szyfrowanie, przesyłanie i przechowywanie e-maili oraz danych (są one zabezpieczane elektronicznym podpisem). Ci, którzy nie chcą wysyłać e-maili ze względu na to, że pozostawiają one w cyberprzestrzeni ślady, mogą wykorzystać do swoich celów folder „Kopie robocze” na dowolnym darmowym serwerze pocztowym. Folder staje się wtedy swojego rodzaju notatnikiem, który może być uaktualniany przez każdego, kto ma dostęp do tego konta pocztowego. Guerilla Mail oferuje natychmiast dostępne, darmowe i jednorazowe adresy pocztowe. Są one bardzo przydatne również w przypadku stron, które wymagają rejestracji - na podane konto pocztowe wysyłają link aktywacyjny.

Adres IP, unikalny dla każdego komputera, zostawia za sobą ślady w czasie, gdy surfujesz po Internecie. The Onion Router (Tor) maskuje go, umożliwiając ci anonimowe przeglądanie sieci. Tor szyfruje i zongluje zapytaniami internetowymi poprzez szereg routerów rozsianych po całym świecie. To taki system, w którym każdy z routerów zna tylko adres poprzedniego routera, z którego odebrał zapytanie. Tor jest dostępny za darmo, zazwyczaj w pakiecie z Privoxy, oprogramowaniem serwera pośredniczącego, przez który przesyłane są dane. Obydwa mogą być skonfigurowane dla przeglądarki Firefox. Wiele firm oferuje również usługi komercyjne, zapewniające anonimowość zarówno podczas surfowania po Internecie, jak i wysyłania e-maili.

Zarządzaj swoimi „ciasteczkami”. „Ciasteczka” to dane zapisywane na twoim komputerze przez strony internetowe, które odwiedzasz. Niektóre mogą być przydatne, na przykład zapamiętują hasła. Często jednak są wykorzystywane również do eksploracji danych (data-mining), czyli na przykład ustalania, jak dużo czasu spędzasz na danej stronie, na które odnośniki klikasz i tak dalej. Dla reklamodawców stanowi to ważne źródło informacji o twoich zainteresowaniach. Obecnie w przeglądarkach istnieje możliwość włączenia lub wyłączenia obsługi ciasteczek albo zarządzania każdymi z nich.

Aby otrzymać więcej informacji na temat bezpiecznej cyberkomunikacji, odwiedź poniższe strony:

Electronic Frontier Foundation: [www.eff.org](http://www.eff.org) Tor: [www.torproject.org](http://www.torproject.org)

Global Voices Online: [www.globalvoicesonline.org](http://www.globalvoicesonline.org) Frontline Defenders:  
[www.frontlinedefenders.org](http://www.frontlinedefenders.org) Citizen Lab: [www.citizenlab.org](http://www.citizenlab.org).

Załącznik czwarty  
Raport Red House

# Załącznik czwarty

## Raport Red House

DECLASSIFIED  
Authority: NND 765265  
By: [redacted] NARA Date: 5/6/86

REPRODUCED AT THE NATIONAL ARCHIVES

③

5-7EA

Red HOUSE

Secret

Sir. Klaus

No. 19,489  
BY AIR FORCE

London, November 27, 1944

Economic Warfare (Safehaven) Series: No. [redacted]

Subject: Transmitting Intelligence Report No. EW-Pa 128 by G-2 Economic Section, SHANP, regarding plans of German industrialists for post-war operation.

~~SECRET~~  
For Department, Treasury and Foreign Economic Administration.

The Honorable  
The Secretary of State  
Washington, D.C.

Sir:

I have the honor to enclose Intelligence Report No. EW-Pa 128 by G-2 Economic Section, SHANP, dated November 7, 1944, describing the plans of German industrialists for the post-war reconstruction of Germany. Among the topics dealt with in this report are: patents, financial reserves, exportation of capital, and the strategic placing of technical personnel.

Respectfully yours,  
For the Ambassador:

John W. Easton  
Lt. Colonel, P.A.  
Economic Warfare Division

Enclosure: Intelligence Report.

(Original and hectograph to Department)

JEW:jmc

SECRET

By SP NARA Date 5/8/76

Enclosure No. 1 to despatch No. 19489 of  
Nov. 27, 1944, from the Embassy at London,  
England.

**S E C R E T**

**SUPREME HEADQUARTERS  
ALLIED EXPEDITIONARY FORCE  
Office of Assistant Chief of Staff, G-2**

7 November 1944

**INTELLIGENCE REPORT NO. EW-Pa 188**

**SUBJECT:** Plans of German industrialists to engage in  
underground activity after Germany's defeat;  
flow of capital to neutral countries.

**SOURCE:** Agent of French Deuxieme Bureau, recommended by  
Commandant Zindel. This agent is regarded as  
reliable and has worked for the French on German  
problems since 1918. He was in close contact  
with the Germans, particularly industrialists,  
during the occupation of France and he visited  
Germany as late as August, 1944.

1. A meeting of the principal German industrialists  
with interests in France was held on August 10, 1944, in  
the Hotel Rotes Haus in Strasbourg, France, and attended  
by the informant indicated above as the source. Among  
those present were the following:

Dr. Scheid, who presided, holding the rank of  
S.S. Obergruppenfuhrer and Director of the  
Hecho (Kernsdorff & Schonburg) Company  
Dr. Kasper, representing Krupp  
Dr. Follie, representing Roshling  
Dr. Sinderen, representing Messerschmitt  
Drs. Kopp, Vier and Beerwanger, representing Rhein-  
metall  
Captain Haberkorn and Dr. Ruhe, representing Bussing  
Drs. Ellenmayer and Kardoc, representing Volkswagenwerk  
Engineers Drose, Yanchew and Koppchen, representing  
various factories in Posen, Poland (Drose,  
Yanchew and Co., Brown-Boveri, Herkuleswerke,  
Buschwerke, and Stadtwerke)  
Captain Dornbush, head of the Industrial Inspection  
Section at Posen  
Dr. Meyer, an official of the German Naval Ministry  
in Paris  
Dr. Strossner, of the Ministry of Armament, Paris.

2. Dr. Scheid stated that all industrial material  
in France was to be evacuated to Germany immediately.  
The battle of France was lost for Germany and now the  
defense of the Siegfried Line was the main problem. From  
now on also German industry must realize that the war  
cannot be won and that it must take steps in preparation  
for a post-war commercial campaign. Each industrialist  
must make contacts and alliances with foreign firms, but  
this must be done individually and without attracting any  
suspicion. Moreover, the ground would have to be laid on

DECLASSIFIED

Authority NND 7105785  
By SP1 NARA Date 5/6/86

REPRODUCED AT THE NATIONAL ARCHIVES

-2-

of penetration which had been most useful in the past, Dr. Scheid cited the fact that patents for stainless steel belonged to the Chemical Foundation, Inc., New York, and the Krupp Company of Germany jointly and that the U.S. Steel Corporation, Carnegie Illinois, American Steel and Wire, and National Tube, etc. were thereby under an obligation to work with the Krupp concern. He also cited the Zeiss Company, the Leica Company and the Hamburg-American Line as firms which had been especially effective in protecting German interests abroad and gave their New York addresses to the industrialists at this meeting.

3. Following this meeting a smaller one was held presided over by Dr. Basse of the German Armaments Ministry and attended only by representatives of Hecho, Krupp and Roehling. At this second meeting it was stated that the Nazi Party had informed the industrialists that the war was practically lost but that it would continue until a guarantee of the unity of Germany could be obtained. German industrialists must, it was said, through their exports increase the strength of Germany. They must also prepare themselves to finance the Nazi Party which would be forced to go underground as Maquis (in Gebirgsverteidigungsstellen gehen). From now on the government would allocate large sums to industrialists so that each could establish a secure post-war foundation in foreign countries. Existing financial reserves in foreign countries must be placed at the disposal of the Party so that a strong German Empire can be created after the defeat. It is also immediately required that the large factories in Germany create small technical offices or research bureaus which would be absolutely independent and have no known connection with the factory. These bureaus will receive plans and drawings of new weapons as well as documents which they need to continue their research and which must not be allowed to fall into the hands of the enemy. These offices are to be established in large cities where they can be most successfully hidden as well as in little villages near sources of hydro-electric power where they can pretend to be studying the development of water resources. The existence of these is to be known only by very few people in each industry and by chiefs of the Nazi Party. Each office will have a liaison agent with the Party. As soon as the Party becomes strong enough to re-establish its control over Germany the industrialists will be paid for their effort and cooperation by concessions and orders.

4. These meetings seem to indicate that the prohibition against the export of capital which was rigorously enforced until now has been completely withdrawn and replaced by a new Nazi policy whereby industrialists with government assistance will export as much of their capital as possible. Previously exports of capital by German industrialists to neutral countries had to be accomplished rather surreptitiously and by means of special influence.

DECLASSIFIED

Authority NND 765705  
By SP NARA Date 5-8-86

REPRODUCED AT THE NATIONAL ARCHIVES

-3-

Now the Nazi party stands behind the industrialists and urges them to save themselves by getting funds outside Germany and at the same time to advance the Party's plans for its post-war operation. This freedom given to the industrialists further cements their relations with the Party by giving them a measure of protection.

6. The German industrialists are not only buying agricultural property in Germany but are placing their funds abroad, particularly in neutral countries. Two main banks through which this export of capital operates are the Basler Handelsbank and the Schweizerische Kreditanstalt of Zurich. Also there are a number of agencies in Switzerland which for a five per cent commission buy property in Switzerland, using a Swiss cloak.

8. After the defeat of Germany the Nazi Party recognizes that certain of its best known leaders will be condemned as war criminals. However, in cooperation with the industrialists it is arranging to place its less conspicuous but most important members in positions with various German factories as technical experts or members of its research and designing offices.

For the A.C. of S., G-2.

WALTER K. SCHWINE

G-2, Economic Section

Prepared by

MELVIN H. PAGE

Distribution:

Same as HW-Pa 1.  
U.S. Political Adviser, SHARP  
British Political Adviser, SHARP

## Wybrana bibliografia

Czytelnikom, których zainteresowały tematy przedstawione w książce, polecam następujące publikacje:

Bank for International Settlements, The, The Bank for International Settlements and the Basic Meeting, BIS, Bazylea 1980.

Barsony, Janos and Agnes Daroczi, Pharrajimos: The Fate of the Roma During of Holocaust, International De-bate Education Association, Nowy Jork 2008.

Black, Edwin, IBM and the Holocaust: The Strategic Alliance between Nazi Germany and America's Most Powerful Corporation, Crown Publishing Group, Nowy Jork 2001.

Borkin, Joseph, The Crime and Punishment of I.G. Farben: The Startling Account of the Unholy Alliance of Adolf Hitler and Germany and Great Chemical Combine, Free Press, Nowy Jork 1978.

Braham, Randolph L. The Politics of Genocide: The Holocaust in Hungary, Columbia University Press, Nowy Jork 1981.

Fonseca, Isabel, Bury Me Standing: The Gypsies and their Journey. Vintage, Londyn 1996.

Garlinski, Jozef, The Swiss Corridor: Espionage Networks in Switzerland during World War II, J.M. Dent & Sons, Londyn 1981.

Higham, Charles, Trading With the Enemy: An Expose of the Nazi-American Money Plot 1933-1949, Robert Hale, Londyn 1983.

Jeffreys, Diarmuid, Hell's Cartel: IG Farben and the Making of Hitler's War Machine, Bloomsbury, Londyn 2008.

Laughland, John, The Tainted Source: The Undemocratic Origins of the European Idea, Little, Brown, Londyn 1997-

Lee, Marten, A. The Beast Reawakens: The Chilling Story of the Rise of the Neo-Nazi Movement, Little, Brown, Londyn 1997.

LeBor, Adam, Hitler's Secret Bankers: How Switzerland Profited from Nazi Genocide, Balazs and Schuster, Londyn 1997.

LeBor, Adam and Roger Boyes, Surviving Hitler: Choices, Corruption and Compromise in the Third Reich, Balazs and Schuster, Londyn 2000.

Liegeois, Jean-Pierre, Gypsies: An Illustrated History, Saqi Books, Londyn 2005.

Linklater, Magnus, Isobel Hilton and Neal Ascherson, Klaus Bardie, The Fourth Reich and the Neo-Fascist Connection, Coronet Books, Londyn 1994.

Loftus, John and Mark A.Arons, Mark, The Secret War Against the Jews: How Western Espionage Betrayed the Jewish People, St. Martin's Press, Nowy Jork 1994.

Simpson, Christopher, The Splendid Blond Beast: Money, Law and Genocide in the Twentieth Century, Common Courage Press, Monroe 1995.

Radnoti, Miklos, Foamy Sky : The Major Poems of Mihós Radnóti, Corvina, Budapeszt 2002.

Porter, Anna, Kasztner's Train, Constable, Londyn 2008.

Szep, Erno, The Smell of Humans: A Memoir of the Holocaust in Hungary, Central European University Press, Budapeszt 1994.

Turner, Hemy Ashby Jr., German Big Business and the Rise of Hitler, Oxford University Press, Oxford 1985.

Zsolt, Bela, Nine Suitcase, Jonathan Cape, Londyn 2004.